



MARY McCARTHY



Grupa

ROZDZIAŁ 1

Był czerwiec 1933 roku, gdy w tydzień po uroczystym wręczeniu dyplomów w Vassar College tegoroczna absolwentka Kay Leiland Strong, która pierwsza okrążyła stół podczas pożegnalnej kolacji, wychodziła za mąż za Haralda Petersena, absolwenta Reeds z 1927 roku, a ślubu udzielić miał sam proboszcz episkopalnego kościoła św. Jerzego, Karl F. Reiland, w kaplicy tej świątyni. Na placu Stuyvesanta przed kościołem drzewa były w pełnym rozkwicie, goście weselni nadjeżdżający taksówkami po dwie lub trzy osoby słyszeli głosy dzieci bawiących się w parku pod pomnikiem Petera Stuyvesanta. Płacąc taksówkarzom, wygładzając rękawiczki, młode kobiety, uniwersyteckie koleżanki Kay, rozglądały się z ciekawością jak w obcym mieście. Rzecz nie do wiary, ale były zafascynowane odkrywając Nowy Jork, choć niektóre z nich przeżyły tu właściwie całe życie w topornych georgiańskich czynszowych kamienicach, pełnych bezużytecznych zakamarków, w okolicy Osiemdziesiątych ulic i alei Parkowej: teraz zachwyciły się tym nietypowym zakątkiem; zielenią, kwakierskim domem modłów z czerwonej cegły oraz połyskującymi mosiądzem i bielą domami sąsiadującymi z kościołem w tonacji winnofioletowej; dziewczęta te zwykły były spacerować w niedzielę ze swoimi chłopakami po moście Brooklyńskim, zaglądały do sennej dzielnicy Brooklyn Heights, myszkowały po rezydencyjnej Murray Hill, po uroczej alei MacDougal, po placu Patchin i po Washington Mews, pełnych pracowni malarskich przerobionych z dawnych stajen; podziwiałały hotel „Plaza” z fontanną od frontu, zielone mansardy hotelu „Savoy Plaza” i sznur konnych dorożek z podstarzałymi dorożkarzami, czekającymi niczym we francuskim mieście na spacerowiczów, żeby ich skusić o zmierzchu do przejażdżki po Central Parku.

Zajmując bez szmeru miejsca w cichej, na wpół pustej jeszcze kaplicy, dziewczęta wyczuwały wiszącą w powietrzu zapowiedź niezwyklej przygody - nigdy nie były na ślubie, na który zaprosiłaby je sama narzeczona, a nie jej krewny czy starszy przyjaciel rodziny. Słyszały, że ma nie być podróży poślubnej, bo Harald (pisał swoje imię po skandynawsku) pracował jako pomocnik inspicjenta w teatrze i tego wieczoru musiał jak zwykle być w pracy, żeby wołać do aktorów: „jeszcze pół

godziny". Tłumaczyło to oczywiście dziwaczność - dziewczęta były tym bardzo podekscytowane - ślubu: Kay i Harald byli zbyt zajęci i dynamiczni, by ulec konwencjonalnym zwyczajom. We wrześniu Kay miała rozpocząć praktykę w domu handlowym Macy, żeby w gronie specjalnie dobranych dziewcząt po studiach zgłębiać arkana handlu, lecz zamiast siedzieć beczynnie przez całe lato, czekając na tę pracę, zapisała się do fachowej szkoły na kurs pisania na maszynie, co, zdaniem Harald, miało jej dać narzędzie, jakiego nie będą miały inne praktykantki. I, jak twierdziła Helena Davison, która na trzecim roku studiów mieszkała razem z Kay, młoda para wprowadziła się już do wynajętego na lato mieszkania w eleganckim domu w okolicy Wschodnich Pięćdziesiątych ulic nie posiadając ani jednej sztuki własnej bielizny stołowej czy srebra i przez cały tydzień od ukończenia studiów przez Kay (Helena tam była i widziała to na własne oczy) spała na prześcieradłach głównego lokatora.

Jakie to podobne do Kay, czule szeptały koleżanki, gdy historia ta przechodziła z ust do ust wzdłuż kościelnych ławek. Uważały, że Kay zdumiewająco się zmieniała po kursie „zwierzęcego zachowania” pod kierunkiem starej profesor Washburn (która w testamencie zapisała swój mózg dla badań naukowych) na trzecim roku. Ten kurs i współpraca z Hallie Flanagan w „Dramatic Productions” zmieniły dziewczynę z Zachodu - nieśmiałą, ładniutką, przyciężką, o błyszczących falistych czarnych włosach i cerze dzikiej róży, która grywała w hokeja, śpiewała w chórze, nosiła duże przyciasne staniki i miewała obfite okresy - w szczupłą, energiczną, pewną siebie młodą kobietę, ubraną w robocze spodnie i trykotową bluzkę oraz tenisówki, paradującą z umazanymi farbą nie mytymi włosami i śladami nikotyny na palcach, swobodnie mówiącą o „Hallie” i „Lesterze”, asystencie Hallie, o dekoracjach, nakładaniu farby, zwierzęcym gonieniu się i nimfomanii, wołającą koleżanki po nazwisku - Eastlake, Renfrew, MacAusland - doradzającą przedmałżeńskie życie seksualne i naukowy dobór partnerów. Miłość nazywała złudzeniem.

Siedem dziewcząt z uniwersyteckiej paczki Kay, obecnych w komplecie w kaplicy, patrzyło na owe przemiany z pewnym niepokojem, pobłażliwie określając je jako „stadium”. Krowa, która dużo ryczy..., mawiała przesiadując do późna we wspólnym saloniku w południowej wieży głównego budynku, gdy Kay jeszcze nie wróciła, zajęta malowaniem dekoracji lub próbą świateł z Lesterem w teatrze.

Obawiały się jednak, by jakiś mężczyzna, nie znający kochanej Kay tak dobrze jak one, nie wziął jej za słowo. Dyskutowały o Haraldzie, którego Kay poznała ubiegłego lata w Stamford na praktyce w letnim teatrze, gdzie kobiety mieszkały wspólnie z mężczyznami. Twierdziła, że Harald chce się z nią ożenić, lecz sądząc z jego listów, koleżanki były innego zdania. Uważały, że to nie są żadne listy miłosne, lecz relacje o jego własnych sukcesach wśród gwiazd teatru - że Edna Ferber powiedziała coś do George'a Kaufmana w obecności Haralda; że Gilbert Miller posłał po niego, a pewna gwiazda błagała go, aby przeczytał jej swoją sztukę w łóżku. Listy te kończyły się lakonicznym zwrotem: „Uważaj się za pocałowaną.” Lub inicjałami: „U.S.Z.P.” I ani słowa więcej. Gdyby młody człowiek z ich środowiska, jak to ogólnikowo określały dziewczęta, pisał podobne listy, uznałyby, że są obraźliwe, wykształcenie jednak pomogło im zrozumieć, że niemądrze jest wydawać ogólne sądy na podstawie małego, wąskiego odcinka własnych doświadczeń. Orientowały się, że Kay wcale nie jest tak pewna Haralda, jak udaje, potrafił nie pisać całymi tygodniami, a biedna Kay nadrabiała miną. Polly Andrews, która miała wspólną skrzynkę pocztową z Kay, dobrze o tym wiedziała. Do pożegnalnej kolacji dla absolwentek przed dziesięcioma dniami dziewczęta uważały rozreklamowane „zaręczyny” Kay za mit. Zamierzały nawet zasięgnąć rady kogoś mądrzejszego - wykładowcy czy psychiatry z uczelni - z kim Kay mogłaby szczerze na ten temat porozmawiać. Lecz gdy Kay obiegała długi stół, ogłaszając w ten sposób wszem i wobec swoje zaręczyny, na dowód czego wyciągnęła z zadyszanego gorsu komiczny meksykański srebrny pierścionek, niepokój koleżanek zamienił się w gorliwe rozbawienie - były brawo z dołeczkami w policzkach i porozumiewawczymi spojrzeniami, jakby od dawna były wtajemniczone. Natomiast rodziców przybyłych na uroczystość wręczania dyplomów zapewniały z powagą, spokojnie i wytwornie, że Kay od dawna jest zaręczona, a Harald „strasznie miły” i „strasznie zakochany” w Kay. Teraz w kaplicy poprawiały futra i uśmiechały się do siebie porozumiewawczo jak dojrzałe małe kuny i sobole, wszak miały rację, traktując nieokrzesanie Kay jako stadium przejściowe; niewątpliwie mogą zapisać punkt na swoją korzyść, bo oto obrazoburczyni i prześmiewczyni pierwsza z ich paczki wychodzi za mąż.

- Co za siurpryza - wyrwało się „Pokey” (Mary) Prothero, tłuściutkiej, wesołej dziewczynie z wyższych sfer Nowego Jorku, o pyzatyh czerwonych policzkach i żółtych włosach, która przemawiała jak figlarny złoty młodzieniec z początku stulecia, naśladowując swego ojca pasjonującego się jachtami. Była trudnym dzieckiem grupy - bardzo bogata i leniwa, potrzebowała korepetytorów do wszystkich przedmiotów i ściągaczek na egzaminach, wymykała się na weekendy z uczelni, kradła książki z biblioteki bez skrępów czy żenady, obchodziły ją tylko zwierzęta czy tańce po polowaniach, a jej ambicją - jak napisano w roczniku uniwersyteckim - było zostać weterynarzem; przyszła potulnie na ślub Kay, bo koleżanki zaciągnęły ją do kaplicy, jak zaciągały na wieczorki podczas studiów, rzucając kamyczki w jej okno, aby ją obudzić, i pakując ją następnie w wymiętą suknię oraz wsadzając jej czapkę na głowę. Skoro już udało im się zaciągnąć ją do kościoła, zamierzały zapędzić ją później do Tiffany'ego i dopilnować, żeby Kay dostała przynajmniej jeden prezent co się zowie, sama bowiem Pokey nigdy nie dostrzegłaby takiej konieczności, uważała prezenty ślubne za brzemień sfer uprzywilejowanych - szły w parze z detektywami, druhnami, sznurami limuzyn, przyjęciem w ekskluzywnym lokalu typu Sherry's lub Colony Club. Po co te ceregiele z osobą nie należącą do towarzystwa? Twierdziła, że nie cierpi przymiarek sukien, nienawidziła balu z okazji wprowadzenia jej w świat, będzie nienawidziła swego ślubu, gdy nastąpi, a nastąpić musi, skoro dzięki pieniążkom ojca może przebierać w absztyfikantach jak w ulegalkach. Wszystkie te obiekcje wyniszczyła w taksówce chrapliwym głosem damy, tak że taksówkarz, korzystając z postoju na światłach, odwrócił się, aby się przyjrzeć tej tłustej, jasnowłosej osobie w niebieskim kostiumiku z matowego jedwabiu przybranego sobolami, podnoszącej do krótkowzrocznych szafirowych oczu brylantowe lorgnon, by lepiej obejrzeć delikwenta i oznajmić głośnym, apodyktycznym szeptem:

- To nie ten sam typ.

- Wyglądają uroczo - szepnęła Dottie Renfrew z Bostonu, żeby uciszyć Pokey, bo Kay i Harald właśnie wyszli z zakrystii i stanęli przed pastorem w komży; towarzyszyli im malutka Helena Davison z Cleveland, z którą Kay kiedyś mieszkała, i blady młody blondyn z wąsikami. Pokey podniosła lorgnon, jak stara kobieta mrużąc

oczy z jasnymi rzęsami, oglądała bowiem Haralda po raz pierwszy, bo podczas jego jedynej wizyty w college'u ona akurat spędzała weekend na polowaniu.

- Ujdzie - odrzekła. - Z wyjątkiem butów.

Narzeczonego był szczupłym, skupionym młodzieńcem z gładkimi czarnymi włosami, dobrze zbudowanym i zwinnym jak szermierz; miał na sobie granatowe ubranie, białą koszulę, brązowe buty i ciemnoczerwony krawat. Pokey przeniosła badawcze spojrzenie na Kay w jasnobrązowej cienkiej sukni z jedwabnego muślinu z dużym białym kołnierzem i w szerokim czarnym taftowym kapeluszu przybranym białymi stokrotkami; na jedną z opalonych rąk włożyła złotą bransoletkę odziedziczoną po babce, w drugiej trzymała bukiet stokrotek i konwalii. Z rumianymi policzkami, błyszczącymi czarnymi falistymi włosami i ciemnymi oczami wyglądała jak wiejska dziewczyna ze starej kolorowej pocztówki; szwy na jej pończochach były przekrzywione, na czarnych zamszowych pantofelkach widniały wyłysiałe miejsca od pocierania nogą o nogę.

- Czy ona nie wie - biadolila prychnając Pokey - że czarny kolor na ślubie przynosi nieszczęście?

- Zamilknij! - rozległ się gniewny pomruk u jej boku.

Urażona Pokey obejrzała się i zobaczyła Elinor Eastlake z Lake Forest, milczącą ciemnowłosą piękność z ich grupy, patrzącą na nią ze sztyletami w podłużnych zielonych oczach.

- Ależ Lakey! - krzyknęła Pokey broniąc się, gdyż tylko dla tej inteligentnej, wytwornej, wzdorliwej i prawie tak bogatej jak ona sama dziewczyny z Chicago Pokey czuła respekt. Bowiem za fasadą dobroduszości i przymrużonych oczu była rozumującą logicznie snobką. Uważała za rzecz samą przez się zrozumiałą, że na jej ślub tylko Lakey z siedmiu koleżanek grupy może się spodziewać zaproszenia do kościoła i *vice versa* oczywiście, reszta przyjdzie na przyjęcie.

- Idiotka! - rzuciła Madonna z Lake Forest, zgrzytając perłowymi zębami.

Pokey wymownie podniosła oczy.

- Charakterek - powiedziała do Dottie.

Ubawione dziewczyny spojrzały ukradkiem na profil Elinor, której cienkie, białe, renesansowe nozdrza wyrażały cierpienie.

Ten ślub przyprawiał ją o męki. Wszystko było drażniaco niewłaściwe: strój Kay, buty i krawat Haralda, pusty ołtarz, prawie żadnych bliskich przyjaciół narzeczonego (jedno małżeństwo i samotny mężczyzna), nieobecność rodziny młodej pary. Inteligentna, chorobliwie wrażliwa Lakey skręcała się z litości dla protagonistów, odczuwając ich upokorzenie jak własne. Mogła nazwać jedynie hipokryzją antyfonalny szmer zachwyty: „przemili”, „wzruszający” - który wzniósł się na powitanie młodych zamiast marsza weselnego. Była niezłomnie przekonana, że ludzie są hipokrytami, gdyż nie mogła uwierzyć, aby dostrzegli mniej niż ona sama. Zakładała, że wszystkie dziewczęta muszą widzieć to, co ona widzi, muszą się czuć głęboko upokorzone za Kay i Haralda.

Pastor odkaslnął, stojąc zwrócony twarzą do kongregacji.

- Bliżej do mnie! - nakazał ostro młodej parze, przemawiając bardziej w stylu kierowcy autobusu niż duchownego, jak później skomentowała Lakey.

Kark pana młodego poczerwieniał, był świeżo ostrzyżony. Koleżanki nagle uświadomiły sobie w kaplicy, że przecież Kay głośno deklarowała swój naukowy ateizm, więc wszystkie pomyślały o tym samym: co zaszło podczas rozmowy z pastorem na plebanii? Czy Harald przystąpił do komunii? Wydawało się to raczej nieprawdopodobne. Więc jakim cudem uzyskali zgodę na ślub w twardym jak skała kościele episkopalnym? Dottie, pobożna, praktykująca episkopalistka, ciaśniej owinęła futrem swoje wrażliwe gardło, wstrząsnął nią dreszcz. Pomyślała, że może przykłada się do świętokradztwa, wiedziała na pewno, że Kay, dumna córka niewierzącego ojca i matki mormonki, nie została nawet ochrzczona. Koleżanki wiedziały też, że Kay nie grzeszy prawdomównością, więc czy to możliwe, że okłamała pastora? Czy w takim przypadku ślub jest nieważny? Dottie oblała się rumieńcem, zaczerwienił się nawet jej głęboki podłużny dekolt szytej na miarę krepdeszynowej bluzki, niespokojnym spojrzeniem orzechowych oczu objęła przyjaciółki, na jej egzematycznej cerze wystąpiły plamy. Doskonale wiedziała, co teraz nastąpi.

- Jeśli ktokolwiek zna słuszną przyczynę, dla której ta para nie może być połączona prawowitym węzłem małżeńskim, niech przemówi teraz lub po wsze czasy zachowa milczenie. - Pastor przerwał na pytającej nucie, jego spojrzenie powędrowało wzdłuż ławek. Dottie zamknęła oczy, modliła się, świadoma martwej ciszy zapadłej w

kaplicy. Czy Bóg lub jej własny pastor, doktor Everett, naprawdę wymagałby, żeby ona teraz przemówiła? Modliła się, żeby tak nie było. Okazja do zabrania głosu minęła, usłyszała, jak pastor głośno, z namaszczeniem, niemal jak gdyby potępiał młodą parę, nakazał:

- Żądam i nakazuję wam, ażebyście jak w strasliwym dniu Sądu Ostatecznego, gdy odkryte zostaną tajemnice wszystkich serc, jeśli znana wam jest jakakolwiek przeszkoda do zawarcia przez was prawowitego małżeństwa, wyznali ją teraz. Wiedźcie bowiem, że małżeństwo zawarte niezgodnie z nakazem Słowa Bożego nie jest prawowite.

Zapadła taka cisza, że, jak to później zgodnie stwierdziły dziewczęta, słyszałoby się spadającą szpilkę. Każda z nich wstrzymała oddech.

Religijne skrupuły Dottie zagłuszył niepokój innego rodzaju, podzielany przez całą grupę. Wszystkie wiedziały, że Kay „żyła” z Haraldem przed ślubem, i teraz poczuły, że dzieje się coś nie posiadającego sankcji. Ukradkiem rozejrzały się po kaplicy i po raz n-ty stwierdziły nieobecność kogokolwiek starszego, i to odstępstwo od utartych zwyczajów, „takie zabawne” przed rozpoczęciem obrzędu, wydało im się teraz dziwaczne i złowieszcze. Nawet Elinor, która ze wzgardliwą pewnością wiedziała, że nie o przedślubnej rozwiązłości mówił pastor jako o przeszkodzie do zawarcia małżeństwa, oczekiwała jak gdyby, że oto wyłoni się coś nieznanego, co przerwie obrzęd. Ona widziała duchową przeszkodę do tego małżeństwa: uważała Kay za okrutną, bezwzględną i głupią istotę, która poślubia Haralda, aby zaspokoić swoją ambicję.

Wszystkim zebranych słowa pastora, wypowiedziane z takim naciskiem, wydały się teraz jakby trochę dziwne, nie słyszeli dotąd formuły: „małżeństwo nie jest prawowite”, wypowiedzianej z takim natężeniem. Stojący obok narzeczonego przystojny młody człowiek z kasztanowymi włosami i wymiętą twarzą zacisnął nagle pięść i wymamrotał coś pod nosem. Okropnie czuć go było alkoholem, wydawał się mocno zdenerwowany, przez cały czas trwania obrzędu zaciskał i rozprostowywał kształtne, silne dłonie i gryzł ładnie wykrojone wargi.

- To malarz, właśnie się rozwiódł - szepnęła jasnowłosa Polly, cicha, lecz wszystkowiedząca dziewczyna, która siedziała z prawej strony Elinor. Ta, jak młoda

królowa, pochyliła się naprzód i złapała spojrzenie malarza, wyczuła, że go to wszystko mierzi i krępuje jak ją samą. Wyczytała w jego oczach gorzką, głęboką ironię, on zaś bez żenady mrugnął w stronę ołtarza. Pastor doszedł do zasadniczej części obrzędu i zaczął się spieszyć, jak gdyby przypomniał sobie o innym zajęciu i chciał jak najszybciej pożenić tę parę, jego zachowanie sugerowało, że to tylko dziesięciodolarowy ślub. Osłonięta szerokim kapeluszem Kay zdawała się nieświadoma tego afrontu, ale uszy i kark Haralda poczerwieniały i odpowiadając na pytania pastora, zaczął z pewną teatralną emfazą zwalniać i poprawiać intonację duchownego.

Stojąca obok narzeczonego para małżeńska uśmiechnęła się, jak gdyby oswojona z tą słabością czy wadą Haralda, lecz dziewczęta w ławkach kościelnych były oburzone na chamstwo pastora i przyklasnęły temu, że Harald utarł duchownemu nosa, jak to określiły, zdecydowane dać wyraz swoim uczuciom przy składaniu życzeń.

Niektóre od razu postanowiły porozmawiać o tym z mamą i poprosić, aby wyjaśniła sprawę z pastorem Reilandem, gdyż skutek wychowania straciły jak gdyby zdolność spontanicznego okazywania przynależnego im sferze prawa do oburzenia. To, że Kay i Harald będą biedni jak myszy kościelne, nie upoważniało jeszcze, w ich najgłębszym przekonaniu, pastora do podobnego nietaktu, zwłaszcza w czasach, gdy każdy musi zacisnąć pasa. Przecież w ich własnej paczce jedna z koleżanek musiała przyjąć stypendium, żeby skończyć studia, i nikt nie miał jej tego za złe - Polly pozostała ich najdroższą przyjaciółką. Mogły zapewnić pastora, że są z innej gliny niż omdlewające panny z poprzedniego pokolenia: od jesieni żadna nie zamierzała próżnować, choćby imając się tylko pracy społecznej. Libby miała obiecaną pracę w wydawnictwie; Helena, której rodzice w Cincinnati, pomyłka, w Cleveland, żyli z procentów od procentów ze swego kapitału, zamierzała zostać nauczycielką, obiecano już jej posadę w prywatnym przedszkolu; Polly - oby jej się powiodło! - chciała pracować jako laborantka w nowym Centrum Medycznym; Dottie czekała praca w bostońskim ośrodku pomocy społecznej; Lakey wybierała się do Paryża na podyplomowe studium historii sztuki; Pokey, która dostała samolot w nagrodę za dyplom, przygotowywała się do egzaminu na pilota, by móc trzy razy w tygodniu latać

do Szkoły Rolniczej Uniwersytetu Cornell; i ostatnia, lecz wcale nie mniej ważna mała Priss Hartshorn, największy kujon w grupie, ogłosiła jednocześnie swoje zaręczyny z młodym lekarzem i zdobycie posady w National Recovery Administration - Urzędzie Uzdrawienia Gospodarki Narodowej. Dziewczęta uznały, że to całkiem niezłe dla grupy, na której przez całe studia ciążyło odium zadzierających nosa snobek. Również poza swoją paczką, w szerszym gronie przyjaciółek Kay, mogły wskazać dziewczyny z bardzo dobrych domów, które zamierzały zająć się biznesem, antropologią czy medycyną nie dlatego, że musiały, ale dlatego, że czuły się zdolne do zaofiarowania czegoś rodzącej się Ameryce. Dziewczęta z grupy nie bały się radykalnych poglądów politycznych, dostrzegały dobro, jakie czynił Roosevelt, niezależnie od tego, co mówili mama i tato; nie dawały się nabrać na partyjne etykiety i uważały, że należy dać partii demokratycznej szansę, aby pokazała, co potrafi. Doświadczenie zdobywa się przecież poprzez próby i błędy, nawet najbardziej konserwatywne z dziewcząt przyznawały przyciśnięte do muru, że uczciwy socjalista ma prawo do tego, aby go wysłuchano.

Zgadzały się bez zastrzeżeń, że najgorsze byłoby pójść w ślady zacofanych, wystraszonych rodziców. Żadna za nic nie chciała wyjść za mąż za maklera giełdowego, bankiera czy nudnego jak flaki z olejem radcę prawnego, jak tyle dziewcząt z pokolenia mamy. Wolały już raczej żyć w dzikiej nędzy, żywić się samą potrawką z łososia, niż poślubić nudziarza z fioletowymi policzkami z własnej sfery - faceta mającego swoje miejsce na giełdzie i nabiegłe krwią oczy, którego obchodziłaby tylko gra w *squasha*, walka kogutów i pijatyka w ekskluzywnym, bardzo drogim Racquet Club z kumplami, absolwentami Princeton lub Yale z 1929 roku. Przyznawały odważnie, że lepiej już - choć mamusie łagodnie śmiały się z tego - poślubić Żyda, którego się kocha, bo niektórzy Żydzi potrafią być ogromnie interesujący i kulturalni, aczkolwiek są bardzo ambitni i skłonni do trzymania się razem, jak to było niezbitnie widać w Vassar: znając ich musiało się znać ich przyjaciół. Prawdę mówiąc, było coś, co niepokoiło grupę, jeśli idzie o Kay. Żałowały w pewnym sensie, że ktoś tak utalentowany i wykształcony jak Harald musiał wybrać teatr zamiast medycyny, architektury czy muzealnictwa, zawody, w których nie panowały tak brutalne stosunki. Słuchając Kay odnosiło się wrażenie, że teatr jest na wskroś czerwony, choć byli tam

naturalnie przemili ludzie, tacy jak Katherine Cornell i Walter Hampden (którego siostra ukończyła Vassar w 1932 roku) oraz John Mason Brown, przezwany „ten-tego”, przemawiający co roku w klubie mamusi. Harald studiował też w Wyższej Szkole Dramatycznej Yale pod kierunkiem profesora Bakera, lecz gdy skończył studia, nastąpił kryzys gospodarczy i zamiast pisać sztuki, musiał parać się pracą inspicjenta w Nowym Jorku. Jak gdyby zaczynał w fabryce od samego dołu, co robiło mnóstwo porządnych chłopców, nie było też zapewne żadnej różnicy pomiędzy kulisami w teatrze, gdzie szereg mężczyzn bez marynarek siedzi przed lustrami i charakteryzuje się, a piecem hutniczym czy kopalnią węgla, gdzie mężczyźni również są bez marynarek. Helena zapewniała, że gdy Harald przyjechał na wiosnę z przedstawieniem do Cleveland, przez cały czas grał w pokera z personelem technicznym i elektrykami, najmilszymi ludźmi w zespole, a ojciec Heleny orzekł, że zgadza się z Haraldem, zwłaszcza po obejrzeniu sztuki - pan Davison sam nie stronił od kart i miał bardziej demokratyczne poglądy niż większość ojców, pochodził bowiem z zachodu kraju i w pewnym sensie sam się dorobił. Ale w obecnych czasach nikt nie mógł sobie pozwolić na zadzieranie nosa. Narzeczony Connie Storey, który chciał zostać dziennikarzem, pracował jako goniec w „Fortune”, jej rodzina zaś nie rozdierała szat z tego powodu, przyjmowała to bardzo spokojnie i posłała dziewczynę do szkoły gospodyń domowych. A wielu dyplomowanych architektów zamiast podjąć pracę w firmie budowlanej i budować domy dla bogaczy, poszło do fabryk, żeby spenetrować zasady wzornictwa przemysłowego.

Wystarczyło spojrzeć na Russela Wrighta, którego powszechnie uważano za supernowoczesnego i który stosował takie materiały przemysłowe, jak cudownie elastyczne nowe aluminium, do wyrobu najrozmaitszych przedmiotów codziennego użytku, na przykład tac do sera czy karafek. Pierwszym prezentem ślubnym, który Kay sama sobie wybrała, był shaker do cocktaili Wrighta w kształcie wieżowca, zrobiony z dębowej dytki i aluminium, do którego dochodziła taca i dwanaście okrągłych kubeczków - wszystko to lekkie jak piórko i oczywiście niezniszczalne. Rzecz jednak w tym, że Harald był urodzonym dżentelmenem, aczkolwiek skłonny do przechwalania się w listach, zapewne po to, by zaimponować Kay, która sama lubiła rzucać nazwiskami, wtrącić słówko o czyichś tam kamerdynerach,

ekskluzywnych klubach, jak Fly, A.D. i Porcellian, oraz przedstawiać biednego Haralda jako wychowanka Yale, gdy tymczasem ten kończył tylko edukację w szkole dramatycznej tej uczelni... Była to cecha Kay, którą grupa stanowczo potępiała i która doprowadzała Lakey do szału. Brakowało jej wrażliwości i delikatności w stosunkach z ludźmi, nie wyczuwała subtelnych odcieni kodeksu towarzyskiego. Na przykład ciągle wchodziła do pokoi koleżanek jak do własnego, grzebała w ich rzeczach stojących na komódkach, a gdy im się to nie podobało, mówiła, że mają zahamowania; to ona wymyśliła zabawę w Prawdę i listy przyjaciół według stopnia przyjaźni, które miały sporządzić i następnie porównać. Nie pomyślała przy tym, że ktoś przecież będzie musiał się znaleźć na końcu listy, a potem gdy taka osoba płakała i była niepokieszona, Kay była naprawdę zaskoczona: twierdziła, że ona nie miałaby nic przeciw temu, by usłyszeć prawdę o sobie. Nigdy jednak tej prawdy nie usłyszała, gdyż koleżanki były zbyt taktowne, żeby ją umieścić na dole listy, nawet jeśli miały na to ochotę, bo Kay w pewnym sensie stała poza ich sferą, a żadna nie chciała dać jej tego odczuć. Umieszczaly więc na ostatnim miejscu zamiast niej Libby lub Polly - kogoś, kogo znały od dzieciństwa, z kim chodziły do szkoły lub coś w tym rodzaju. Kay doznała jednak pewnego wstrząsu, widząc, że nie jest na czele listy Lakey. Uwielbiała Lakey, zawsze nazywała ją swoją najlepszą przyjaciółką. Nie wiedziała, jaką batalię koleżanki stoczyły z Lakey, kiedy ciągnęły słomki, która ma zaprosić Kay na ferie wielkanocne, i Lakey nie zastosowała się do reguł gry, gdy wyciągnęła najkrótszą słomkę. Wówczas wszystkie jak jeden mąż skoczyły na Lakey, zarzucając jej brak koleżeństwa, co było prawdą. Bo, jak nie omieszkały jej szybko wytknąć, to przecież ona wciągnęła Kay do ich paczki, a gdy dowiedziały się, że mogłyby dostać całą południową wieżę dla siebie, gdyby ich było osiem, a nie sześć, to Lakey wpadła na pomysł dokooptowania Kay i Heleny do obu pojedynczych pokoików.

Kiedy chce się kogoś wykorzystać, należy go przyjąć takim, jakim jest. Nie było to zresztą żadne „wykorzystywanie”, wszystkie lubiły Kay i Helene, nie wyłączając samej Lakey, która odkryła Kay na drugim roku, gdy obie niosły łańcuch stokrotek*.

* Łańcuch stokrotek (Daisy Chain) - w niektórych żeńskich college'ach amerykańskich wybrane studentki niosą łańcuch stokrotek podczas uroczystych okazji, jak początek czy koniec roku itp.

Zaakceptowała wówczas Kay z całym dobrodziejstwem inwentarza, mówiąc, że jest „podatna” i „może się nauczyć”. Teraz upierała się, że Kay ma nogi z gliny, co było sprzecznością samą w sobie, bo czyż glina nie jest podatna? Lecz w Lakey było mnóstwo sprzeczności, na tym polegał jej urok. Czasem zachowywała się jak okropna snobka, kiedy indziej wręcz przeciwnie. Na przykład teraz miała taką wściekłą minę, dlatego że jej zdaniem Kay powinna była wziąć cichy ślub w urzędzie stanu cywilnego i nie obarczać Haralda, który nie urodził się w pałacu, ślubem wymagającym nie byle jakiej odwagi w parafialnym kościele takiego potentata jak sam J. P. Morgan. Czy to był, czy nie był snobizm ze strony Lakey? Słówka oczywiście nie pisnęła o tym do Kay, sądząc, że sama powinna była to wyczuć, rzecz całkowicie niemożliwa dla prostolinijnej, naturalnej, niewrażliwej Kay, którą kochały pomimo jej wad. Lakey miała najbardziej niesamowite pojęcie o ludziach. Zeszłej jesieni wbiła sobie do głowy, że Kay wcisnęła się do ich grupy, żeby dodać sobie towarzyskiego prestiżu, kiedy w rzeczywistości wcale tak nie było i na dziwactwo zakrawało posądzać o to dziewczynę, która do tego stopnia nie liczyła się z konwenansami, że nie zadała sobie nawet trudu zaproszenia własnych rodziców na swój ślub, choć ojciec jej był znaną osobistością w Salt Lake City.

Prawda, bardzo chciała urządzić przyjęcie weselne w miejskiej rezydencji Pokey, ale odmowę przyjęła z wdziękiem, gdy Pokey głośno lamentowała, że dom jest cały w pokrowcach na lato i został tylko jeden służący z żoną, żeby opiekować się jej ojcem, gdy nocuje w mieście. Biedna Kay - niektóre z koleżanek uważały, że Pokey mogła być trochę hojniejsza i zaofiarować Kay kartę do Colony Club. W sprawie

przyjęcia weselnego niemal wszystkie miały nieczyste sumienie. Każda, o czym wiedziały pozostałe, miała dom, duże mieszkanie lub należała do jakiegoś klubu, choćby tylko do klubu Cosmopolitan, ewentualnie każda mogła postarać się o mieszkanie kuzyna czy brata.

Ale w takim przypadku musiałyby też dostarczyć ponczu, szampana, tortu od Sherry'ego czy Henry'ego, wynajmując służbę. 2.96 T f 5.76 0 4 2 0 1 4 2 6 2 1 2 5 2 4 1 1 4 5 1 1 j / F 1 1 1 2.96 T f 8

Dottie i Elinor razem wyszły z ko **S**

brw4, odchrz

ciemnogrnatową obwódką wokół źrenic, dowód indiańskiego pochodzenia, wodziła wzrokiem po ulicy, szukając taksówki.

Na twarzy Libby osiadł wyraz przesadnego skupienia. Przytknęła palec do środka czoła.

- Chyba ma - skinęła trzykrotnie głową. - Naprawdę myślicie... - zaczęła z przejęciem.

Lakey podniosła dłoń, by zatrzymać taksówkę.

- Kay trzymała kuzyna w ukryciu - powiedziała - licząc na to, że któraś z nas dostarczy jej coś lepszego.

- Lakey! - wymamrotała Dottie, z wyrzutem kręcąc głową.

- Coś takiego! - wtrąciła Libby z uśmiechem. - Tylko tobie mogło to przyjść do głowy. - Po chwili wahania dodała: - Gdyby Kay chciała, żeby ją ktoś poprowadził do ołtarza, nie musiałaby przecież szukać daleko. Ojciec jej czy brat chętnie by to zrobili, każda z nas chętnie by... - Urwała, pobiegła do taksówki, jej szczupła postać wśliznęła się na składane siedzenie, po półminucie odwróciła się, z ręką na brodzie, zamyślona spojrzała na koleżanki, wszystkie jej ruchy były szybkie, niespokojne, myślała o sobie jako o rasowym, gwałtownym stworzeniu, jakimś czystej krwi Arabie z angielskiego obrazka rodzajowego. - Naprawdę tak myślisz? - dociekała natrętnie, przygryzając górną wargę.

Lakey milczała, nigdy nie rozwodziła się nad tym, co raz powiedziała, z tego powodu przezwano ją Moną Lisą z Palarni. Dottie martwiła się, dłonią w rękawiczce gniotła perły, prezent na dwudzieste pierwsze urodziny. Gryzło ją sumienie, z przyzwyczajenia zaczęła cicho, wolno pokasływać, jakby chciała wykrztusić gnębiący ją bezustannie skrupuł; kaszel ten do tego stopnia niepokoił rodziców Dottie, że dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i Wielkanoc, wysyłali ją na Florydę.

- Lakey - powiedziała poważnie, pomijając pytanie Libby - nie uważasz, że któraś z nas powinna była zrobić to dla niej?

Libby gwałtownie się odwróciła z głodnym spojrzeniem w oczach. Obie dziewczyny wpatrzyły się w nieruchomą owalną twarz Elinor. Ta zmrużyła oczy, dotknęła indiańsko czarnego koka na karku, poprawiła szpilki we włosach.

- Nie - rzekła wzgardliwie. - Byłoby to przyznaniem się do słabości.

- Jaka ty jesteś bezwzględna - powiedziała Libby, której oczy rozszerzyły się z zachwytu.

- A jednak Kay cię uwielbia - odezwała się zamyślona Dottie. - Przecież kiedyś lubiłaś ją najbardziej. I chyba w głębi serca ciągle lubisz.

- Może - Lakey uśmiechnęła się, słysząc ten stereotyp. Zapaliła papierosa. Teraz lubiła dziewczyny takie jak Dottie, nieomylnie przedstawiające określony typ, jak obrazy utrzymane w określonym stylu czy tradycji. Dziewczyny, które Lakey raczyła wybrać na przyjaciółki, nie rozumiały zazwyczaj, co ona w nich widzi, dostrzegały pokornie, że bardzo się od niej różnią. Często rozprawiły o niej między sobą, niczym zabawki mówiące o swoim właścicielu, i dochodziły do wniosku, że jest strasznie niehumanitarna. Wzmagało co tylko ich szacunek dla Lakey. Była też bardzo zmienna, w czym dopatrywały się wielkiej głębi.

Gdy taksówka na Dziewiątej ulicy skierowała się w stronę Piątej Alei, Lakey powzięła właściwą sobie nagłą decyzję.

- Wsiadam tu - oznajmiła stanowczo cichym miłym głosem.

Kierowca natychmiast zahamował, odwrócił się, patrzył, jak wysiada: majestatyczna, choć filigranowa, w czarnym, zapiętym pod szyją taftowym kostiumiku z białym jedwabnym szalikiem, czarnym toczku podobnym do melonika i czarnych pantofelkach na bardzo wysokich obcasach.

- Jedźcie! - nakazała niecierpliwie, widząc, że taksówkarz zwleka.

Pozostałe dziewczyny spojrzały na siebie pytająco.

Libby wysunęła przez okno złocistą głowę w kapeluszu z kwiatami.

- Nie jedziesz z nami? - krzyknęła.

Nie było odpowiedzi. Widziały wyprostowaną małą postać zmierzającą w kierunku południowym na słonecznym University Place.

- Niech pan jedzie za nią! - nakazała Libby taksówkarzowi.

- Muszę zrobić objazd - odparł kierowca. Skręcił w Piątą Aleję, minął hotel „Brevoort”, do którego zjeżdżali się już goście weselni, i przez Ósmą ulicę wrócił na University Place. Nie było śladu Lakey. Znikła.

- Jakże to denerwujące - rzuciła Libby. - Czy ja coś powiedziałam?

- Niech pan jeszcze raz skręci - spokojnie wtrąciła Dottie.

Przed hotelem „Brevoort” Kay i Harald wysiadali właśnie z taksówki, nie zauważyli pary przestraszonych dziewcząt.

- Czy ona wysiadła nagle, bo postanowiła nie iść na przyjęcie? - ciągnęła dalej Libby, gdy taksówka powtórnie objechała przecznicę bez żadnego skutku. - Muszę powiedzieć, że w bardzo niemiłym tonie mówiła o Kay. - Taksówka zatrzymała się przed hotelem. - Co zrobimy? - spytała Libby.

Dottie otworzyła torebkę i podała taksówkarzowi banknot.

- Lakey robi, co chce - rzekła stanowczo, wysiadając z taksówki. - Powiemy wszystkim po prostu, że poczuła się słabo w kościele.

Wyraz rozczarowania osiadł na ładnych, ostrych rysach Libby. Tak się cieszyła na skandal.

W sali bankietowej Kay i Harald stali na wypłowiałym kwiecistym dywanie, przyjmując życzenia przyjaciół. Roznoszono poncz, który goście pili z okrzykami: „Co to jest?” „Cudowny!” „Jak na to wpadłaś?”, i tak dalej. Kay dała każdemu przepis: jedna trzecia Jerseyowskiego jabłecznika, jedna trzecia klonowego syropu i jedna trzecia soku cytrynowego plus woda sodowa „White Rock”. Harald dostał jabłecznik od zaprzyjaźnionego aktora, który z kolei dostał go od farmera z okolic Flemington, zrobili ten poncz według przepisu na cocktail zwany „Jabłecznikowym Zającem”. Rozmowa o ponczu przełamała lody wśród gości, zgodnie z przewidywaniem Kay, która poinformowała po cichu Helenę, że wszyscy jednogłośnie uznali klonowy syrop za genialny dodatek. Jakiś wysoki facet z radia ze zmierzwioną czupryną sypał kawałami na temat „Jerseyowskiej Błyskawicy”, ostrzegając przystojnego młodzieńca w zielonym szydełkowym krawacie, że ten jabłecznik zwala z nóg jak uderzenie obuchem. Wywiązała się rozmowa na temat mocnego jabłecznika, który pobudza pijących do awantur, a dziewczęta chłoneły te wypowiedzi, gdyż żadna nigdy tego specjału nie próbowała. W tym okresie swego życia wszystkie chciały znać przepisy na napoje alkoholowe, przepadały za brandy „Alexander” i „White Lady”, chciały się dowiedzieć, jak się robi cocktail „Klub Koniczyny” z jednej trzeciej dzinu, jednej trzeciej soku cytrynowego, jednej trzeciej syropu z granatów i białka z jednego jaja. Harald opowiadał o pewnej drogerii na Zachodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy, do której chodzą z Kay, gdzie można dostać receptową whisky bez recepty, więc Polly

pożyczyła od kelnera ołówek i zapisała adres, bo tego lata miała mieszkać sama w apartamencie z tarasem ciotki Julii i potrzebowała jak najwięcej dobrych rad. Następnie Harald opowiedział o likierze zwanym anyżówką, który Włoch z orkiestry teatralnej nauczył go robić z czystej wódki, wody i anyżowego olejku, czyniącego likier mlecznym jak pernod. Wyjaśnił różnicę między pernodem, absyntem, arakiem i anyżówką; dziewczęta wspomniały o zielonym i żółtym *chartreuse*, zielonym i białym *creme de menthe*, Harald zaś pouczał je, że likiery te różnią się jedynie sztucznie dodanym kolorem, zgodnie z wymyślnymi wymaganiami rynku. Potem opowiadał o armeńskiej restauracji z lat dwudziestych, gdzie podawano na deser galaretkę z dzikiej róży, i wyjaśnił różnicę między turecką, ormiańską i syryjską kuchnią.

- Skąd wytrzasnąłaś takiego chłopca? - chórem krzyknęły dziewczęta.

W chwilowo zapadłej ciszy młody człowiek w szydełkowym krawacie wypił kieliszek ponczu i podszedł do Dottie.

- Gdzie ciemnowłosa piękność? - spytał poufnie.

- Poczula się słabo w kościele - odparła Dottie, również zniżając głos i niespokojnie spoglądając na drugi koniec sali, gdzie Libby coś szeptała do dwóch dziewcząt z grupy. - Właśnie powiedziałam o tym Kay i Haraldowi. Odesłałyśmy ją do hotelu, żeby się położyła.

- To straszne! - powiedział młody człowiek, unosząc brwi. Kay szybko odwróciła głowę, żeby posłuchać, młody człowiek najwyraźniej szydził. Dottie oblała się rumieńcem. Odważnie zmieniła temat.

- Czy pan też jest w teatrze? - spytała.

- Nie - odparł, opierając się o ścianę i unosząc głowę - choć pani pytanie jest naturalne. Właściwie mówiąc, pracuję w opiece społecznej.

Dottie poważnie przyjrzała się nieznanemu, przypomniała sobie informację Polly, że jest malarzem, i zrozumiała, że on się z nią droczy. W każdym calu wyglądał na artystę: piękny jak rzymski posąg, cokolwiek podniszczony i zużyty, mięśnie twarzy lekko sflaczały, po obu stronach nieskazitelnie prostego, mocnego nosa głębokie bruzdy. Czekala.

- Robię plakaty dla Międzynarodowej Ligi Kobiet na rzecz pokoju - wyjaśnił.

- To nie jest opieka społeczna - roześmiała się Dottie.

- Żeby się tak wyrazić. - Przyjrzał się jej uważnie. - Klub św. Wincentego a Paulo, Junior League (Liga Młodych), pomoc niezamężnym matkom - wyliczył. - Nazywam się Brown, urodziłem się w Marblehead, w bocznej linii pochodzę od Nathaniela Hawthorne'a. Mój ojciec ma sklep wielobranżowy. Nie studiowałem w college'u. Nie jestem z pani sfery, panienko.

Dottie milczała, patrzyła na niego z sympatią, wydał jej się bardzo pociągający.

- Jestem eks-emigrantem - kontynuował. - Od czasu spadku dolara mieszkam w umeblowanym pokoju na ulicy Perry, obok pokoju naszego żonkosia, robię plakaty pokojowe dla pań i reklamówki handlowe. Ubikacja, jak wy, dziewczęta, to nazywacie, znajduje się w korytarzu, w szafce ściennej mam elektryczny palnik. Więc musi mi pani wybaczyć, jeśli czuć mnie jajkami smażonymi na szynce.

W brązowych jak bobrowe futro oczach Dottie zabłysła wymówka, wywnioskowała z jego teatralnej tyrody, że jest dumny i zgorzkniały, wiedziała, że jest dżentelmenem, sądząc z jego pięknych rysów i dobrego, aczkolwiek starego tweedowego ubrania.

- Harald przenosi się w wyższe regiony - powiedział malarz. - Do mieszkania na eleganckiej Wschodniej Stronie, nad wódczanym sklepem i tanią pralnią chemiczną podobno. Spotkaliśmy się jak dwie mijające się windy, żeby unowocześnić metaforę, jedna jedzie w górę, druga w dół. Wczoraj - ciągnął dalej, marszcząc czoło - rozwiódła się ze mną na Foley Square piękna młoda istota, której na imię Betty i która pochodzi z Morristown w stanie New Jersey. - Lekko pochylił się do przodu. - Spędziliśmy wczorajszą noc w moim pokoju, żeby to uczcić. Czy któraś z was ma na imię Betty?

- Nazywamy ją Libby - po namyśle powiedziała Dottie.

- Nie chcę słyszeć o żadnej Libby, Beth czy Betsy. Nie podobają mi się obecne imiona dziewcząt. A ciemnowłosa piękność? Jak ona ma na imię?

Właśnie otworzyły się drzwi i kelner wprowadził Elinor, która podała mu dwie paczki owinięte w brązowy papier, trzymała je w ręce okrytej czarną kozłecą rękawiczką i wyglądała na bardzo opanowaną.

- Elinor - wyszeptała Dottie. - Nazywamy ją Lakey, bo nazywa się Eastlake i pochodzi z Lake Forest koło Chicago.

- Dziękuję pani - odrzekł Brown, który nie ruszył się jednak z miejsca i dalej po cichu rozmawiał z Dottie, rzucając słowa jakby kątem ust i robiąc zgryźliwe uwagi na temat przyjęcia.

Harald ujął dłoń Lakey, odsuwał ją i przyciągał do siebie, podziwiając jej kostium, model Patou. Jego szybkie, zgrabne ruchy dziwnie odcinały się od poważnej, długiej twarzy, jak gdyby głowa - maszyna do myślenia - nie należała do niego i została mu wsadzona na tułów dla jakiejś maskarady. Był człowiekiem ogromnie zajęтым sobą, co dziewczęta wywnioskowały z jego listów, a gdy mówił o swojej karierze, jak w tej chwili do Lakey, czynił to z jakąś abstrakcyjną, nie dotyczącą go osobiście pasją, jak gdyby dyskutował o rozbrojeniu czy deficycie państwowym. Mimo to miał powodzenie u kobiet, to też wiedziały z jego listów, przyznawały, że Harald ma *sex appeal*, jaki potrafią mieć nieładni nauczyciele lub duchowni, emanował z niego jakiś dynamizm, który budził w Dottie ciekawość, nawet teraz, gdy obserwowała go razem z malarzem; jakim cudem Kay zdołała zaciągnąć go do ołtarza? Nie po raz pierwszy pomyślała spokojnie, że może Kay jest *enceinte*, choć Kay twierdziła, że wie wszystko o zapobieganiu ciąży i trzyma irygator w szafce Haralda.

- Od dawna zna pan Kay? - spytała zaciekawiona Dottie, mimowoli myśląc o wspomnianej przez malarza wspólnej ubikacji na korytarzu w domu, w którym mieszkał Harald.

- Wystarczająco długo - rzekł malarz.

Zabrzmiało to tak okrutnie i bez osłonek, że Dottie wzdrygnęła się, jak gdyby to ktoś powiedział o niej samej, na jej własnym weselu.

- Nie lubię dziewcząt z grubymi nogami - dodał z uspokajającym uśmiechem: bo najmocniejszą stroną urody Dottie były jej nogi i wąskie stopy w eleganckich pantofelkach. Nielojalnie również spojrzała na cokolwiek rzeczywiście za grube nogi Kay. - Oznaka chłopskiego pochodzenia - dodał malarz, machając palcem. - Zbyt nisko położony środek ciężkości znamionuje upór i tępotę. - Przyjrzał się Kay, której kształty rysowały się wyraźnie pod cienką suknią, jak zwykle była bez pasa. - Skłonność do steatopygii - zakończył.

- Do czego? - szepnęła Dottie.

- Do nadmiernego otłuszczenia pośladków. Czego się pani napije? - Dottie była zaciekawiona i przerażona, nigdy z nikim nie prowadziła takiej *risque* rozmowy. - Pani i jej koleżanki z wyższych sfer - kontynuował malarz - macie budowę delikatniejszą, bardziej funkcjonalną. Pełny, nisko osadzony biust - rzucił okiem na salę - przeznaczony do noszenia pereł, swetrów *boucle*, bluzeczek ze szczypankami i zakładeczkami z krepdeszynu. Wąskie talie. Szczupłe nogi. Osobiście, jako człowiek supernowoczesny, wolę chłopcę figurę, dziewczynę w czepku kąpielowym, wyprostowaną jak struna przed skokiem z trampoliny. Wakacyjne wspomnienia z Marblehead. Betty jest fantastyczną pływaczką. Kobiety szczupłe są bardziej zmysłowe, to fakt naukowy, końce nerwów mają bliżej skóry. - Zmrużył szare oczy pod ciężkimi powiekami, jak gdyby był senny. - Ale podoba mi się ta tłusta - dodał nagle, wskazując Pokey. - Wygląda jak cieplarniana roślina. Opalizująca skóra upulchniona ostrygami. Mniam, mniam, mniam, forsa, forsa, forsa. Moje problemy seksualne są natury ekonomicznej. Nie znoszę kobiet z niższych sfer, lecz mam cygańskie poglądy. Niemożliwa kombinacja.

Ku wielkiej uldze Dottie kelnerzy wnieśli śniadanie - jaja po benedyktyńsku - i Kay popchnęła wszystkich do stołu. Posadziła družbę, milczącego osobnika pracującego w redakcji „Wall Street Journal” (dział reklam) po swojej prawej ręce, Helenę zaś po prawej ręce Haralda, poza tym goście siadali, jak kto chciał. Dottie znalazła miejsce na końcu stołu między Libby, jej *bete noir*, i żoną radiowca, projektantką modeli u Russeka (która powinna była oczywiście siedzieć po lewej ręce Haralda). Był to trudny stół do usadowienia gości, wśród których znalazło się dużo dziewcząt, lecz bardziej taktowna gospodyni rozmieściłaby je tak, aby najnudniejsze nie siedziały obok siebie. Pomimo to żona radiowca, żywa, chuda jak patyk osoba, ubrana jak wamp filmowy w suknię zdobioną piórkami i pajetkami, robiła wrażenie bardzo zadowolonej z towarzystwa przy stole, skończyła Uniwersytet Idaho w 1928 i oznajmiła, że uwielbia duży babiniec. Poinformowała, że zna Haralda od pędraka, tak jak i jego starych, których od wieków nie widziała. Anders, ojciec Haralda, był dyrektorem szkoły w Boise, do której chodziła z Haraldem kupę lat temu.

- Czy Kay nie jest słodka? - z miejsca zwróciła się do Dottie.

- Okropnie miła - serdecznie odpowiedziała Dottie. Jej sąsiadka była, jak to się dawniej mówiło, z „biglem”, w zasadzie Dottie zgadzała się z nauczycielką angielskiego, że mądrzej jest nie używać określeń żargonowych, które się szybko starzeją i zdradzają, ile kto ma lat.

- Jak to jest, że jej rodzice się nie machnęli? - ciągnęła dalej żona radiowca zniżonym głosem.

- Machnęli? - powtórzyła Dottie nie rozumiejąc; czyżby tamta miała na myśli, że powinni byli machnąć na nią ręką?

- Że się nie pokazali na ślubie.

- Hm! - rzuciła Dottie, kaszłąc. - Zdaje się, że przysłali młodej parze czek - wyszeptwała. - Zamiast wydawać na podróż, wie pani.

- To samo powiedział Dave - skinęła głową kobieta - mój mąż. Domyślił się, że musieli przysłać czek.

- Będą mieli z tego więcej pożytku. Nie uważa pani?

- Och, naturalnie. Jestem sentymentalną kretynką, poniekąd. Brałam ślub w welonie... Wie pani, mówiłam Haraldowi, że chętnie urządziłabym im ślub u siebie. Wygrzebalibyśmy skądś pastora, a Dave porobiłby zdjęcia dla ich starych. Ale Kay miała już podobno wszystko załatwione, gdy wystąpiłam z tą propozycją. - Przerwała wymownie i pytająco spojrzała na Dottie, która poczuła się w pułapce.

Odpowiedziała taktownie, obracając to w żart, że plany Kay są jak „prawa Medów i Persów”, nikt nie potrafi zmienić jej postanowień.

- Kto to powiedział - dodała z błyskiem w oku - że jego żona ma żelazny kaprys? Mój ojciec zawsze to cytuje, gdy musi ustąpić mamie.

- Fajne - przyznała tamta. - Harald to swój chłop - dodała innym tonem, głębszym i poważniejszym. - Którego łatwo zranić w dodatku. Choć nikt by tego nie przypuszczał. - Wnikliwie spojrzała na Dottie, a jej pióra wojowniczo przytaknęły, gdy wypiła do dna kieliszek ponczu.

Trochę dalej, po przeciwnej stronie stołu, rudawy potomek Hawthorne'a, rozmawiający z Priss, złapał zakłopotane spojrzenie Dottie i mrugnął do niej. Nie wiedziała, jak zareagować, wobec tego dzielnie odmrugnęła. Nie przypuszczała, że jest typem dziewczyny, do której mrugają mężczyźni. Była najstarsza w grupie,

kończyła dwadzieścia trzy lata, z powodu złego zdrowia nie mogła w dzieciństwie chodzić do szkoły, teraz czuła się po trosze starą panną, koleżanki droczyły się z nią z powodu jej nienaganych manier, powagi, szalików, lekarstw i długiego futra z norek, w którym paradowała po terenie uczelni, żeby nie zmarznąć, ale dzięki dużemu poczuciu humoru potrafiła razem z nimi bawić się własnym kosztem. Jej kawalerowie zawsze traktowali ją z szacunkiem, należała do gatunku dziewcząt, z którymi umawiają się na randki bracia koleżanek, asystował jej cały łańcuszek białych młodzieńców, studiujących archeologię, muzykologię czy architekturę w szykownym Harvardzie; czytywała koleżankom z grupy urywki z ich listów - opisy koncertów czy wykopalisk na południowym zachodzie kraju - a gdy bawili się w Dzień Bez Kłamstwa, przyznała, że dwaj z nich się jej oświadczyli. Wszyscy jej mówili, że ma ładne oczy, śliczne białe zęby i piękne, choć niezbyt gęste włosy; jej nos był nieco za długi i spiczasty, typowa cecha mieszkańców Nowej Anglii, brwi cokolwiek za szerokie, była podobna do jednej ze swych prababek na portrecie pędzla Copleya, wiszącym w hallu rodzinnego domu. Na swój skromny sposób lubiła się bawić, przypuszczała nawet, że jest zmysłowa, chętnie tańczyła i śpiewała, stale nuciła melodie popularnych piosenek. Jednakże żaden chłopak nigdy sobie nie pozwolił posunąć się z nią za daleko, w co niektóre koleżanki nie mogły uwierzyć, a była to prawda. I co dziwniejsze, Dottie wcale nie byłaby tym zgorszona. Ulubionym jej autorem był D. H. Lawrence (autor *Kochanka Lady Chatterley*), co bardzo bawiło koleżanki, z powodu jego prawdziwego rozumienia zwierząt i naturalnej strony życia.

Rozmawiała na ten temat z matką i obie doszły do wniosku, że jeśli dziewczyna jest zakochana i zaręczona z przyzwoitym chłopcem, powinna może spróbować z nim raz przed ślubem, aby się upewnić, czy są dobrze dobrani. Mama, bardzo młodzieńcza i nowoczesna, знаła niezwykle smutne przypadki wśród swoich przyjaciółek - mężczyzna i kobieta po prostu nie pasowali do siebie w tamtym miejscu i nigdy nie powinni się byli pobrać. Dottie nie uznawała rozwodów i uważała za rzecz bardzo ważną, aby ta strona małżeństwa była właściwie ułożona, bała się defloracji, o której dziewczęta ciągle żartem mówiły w palarni. Kay bardzo się nacierpiła z Haraldem, dopiero za piątym razem ją przeniknął, jak twierdziła, i to pomimo gry w siatkówkę i częstej jazdy konnej, którą uprawiała w swoich stronach. Mamusia mówiła, że kto

chce, może usunąć błonę chirurgicznie, jak to podobno robią za granicą kobiety z rodzin królewskich, lecz może bardzo delikatny kochanek potrafiłby to zrobić bezboleśnie, wobec tego kto wie, czy nie lepiej byłoby wyjść za starszego, doświadczonego mężczyznę.

Drużba wygłaszał toast, Dottie podniosła oczy i znów napotkała utkwione w nią błyszczące szare oczy Dicka Browna (tak się nazywał). Podniósł kieliszek i ceremonialnie przepił do niej. W odpowiedzi ona też wypila.

- Rozkoszne przyjęcie! - wykrzyknęła Libby, wyginając długą szyję, kręcąc głową na wszystkie strony i zanosząc się śmiechem.

- Znacznie przyjemniej - mruzcili goście - bez oficjalnych życzeń, formalności czy starszych.

- Marzę o czymś takim - oznajmiła Libby. - Młodzieżowy ślub. - Wydała okrzyk zachwyty, bo wniesiono tort lodowy z lekko dymiącymi bezami. - Tort lodowy! - krzyknęła i bezsilnie opadła na krzesło. - Dziewczyny - podjęła uroczyście, pokazując palcem duży tort z przypalonymi bezami na szczycie, który ustawiono przed Kay - spójrzcie na to! Spełnione marzenia dzieciństwa! To wymarzone przyjęcie każdego dziecka w całej kochanej Ameryce. Jak lakierki, sukieneczka z organdy i nieśmiały chłopczyk z dużym wykładanym kołnierzem zapraszający nas do tańca. Nie pamiętam, kiedy byłam taka zachwycona. Od dwunastego roku życia nie widziałam takiego tortu. To góra Whitney, Fudzi-jama.

Koleżanki uśmiechnęły się do siebie pobłaźliwie. Libby „komponuje”. W rzeczywistości podzielały jej zachwyty, nim się odezwała, rozległy się westchnienia pełne oczekiwania na widok gorących bezów zapadających się pod nożem Kay. Stojący pod ścianą dwaj kelnerzy patrzyli na tort z ponurymi minami. Nie udał się znów tak bardzo. Bezy przyrumieniły się nierówno, miejscami białe, w innych miejscach zwęglone miały przykry smak. Pod plastrem lodów biszkopt był nieświeży i wilgotny. Lecz wierna przyjaźń dla Kay kazała gościom podsuwać talerze po repete. Tort lodowy był właśnie czymś takim, co każda z nich sama wolałaby zadysponować, będąc na miejscu Kay - bardzo nietypowy na weselu, a przecież idealny, jeśli się nad tym zastanowić. Wszystkie ogromnie chciały nauczyć się gotować, miały absolutnie dość pieczeni, kotletów bez wyobraźni i deserów z cukierni, które podawała mamusia;

one miały zamiar wypróbować nowe potrawy, cudzoziemskie przepisy, pulchne omlety i suflety, pikantne auszpiki i choć jedną zapiekankę w żaroodpornym szklanym naczyniu, nie będą gotowały żadnych zup, tylko zamiast zupy świeża zielona sałata.

- To sztuczka hotelowa - wyjaśniła żona radiowca, zwracając się przez stół do Priss, która miała wyjść za mąż we wrześniu. - Mają lody zamrożone na kość i zaraz siup do pieca. W ten sposób nic nie ryzykują, ale, mówiąc między nami, nie tak to robiła moja matka.

Priss zmartwiona przytaknęła, była poważną, niedużą dziewczyną z popielatymi włosami, wyglądała jak suseł i uważała za swój obowiązek zapamiętać każdą zasłyszaną plotkę na temat kłopotów z żywieniem. Studiowała ekonomię i miała pracować w dziale żywienia Urzędu Zdrowienia Gospodarki Narodowej.

- Warunki pracy - zaczęła, lekko jękając się z nieśmiałości - w kuchniach niektórych naszych najlepszych hoteli są znacznie poniżej wymaganego poziomu, wie pani. - Wypity poncz uderzył jej trochę do głowy, był zdradliwy, choć jabłecznik jako produkt naturalny jest przecież najczystszym napojem, jaki można było wypić w tych czasach. Jak przez mgłę zobaczyła wstającego radiowca.

- Zdrowie absolwentek 1933 roku! - powiedział, wznosząc kieliszek. Wszyscy wypili zdrowie dziewcząt z Vassar.

- Do dna! - krzyknęła żona radiowca.

Milczący drużba zachichotał.

Choć kręciło jej się w głowie, Priss zdawała sobie sprawę, że ona sama i koleżanki mimo woli wzbudzały antagonizm ekonomiczny. Wiedziała, że dziewczęta z Vassar nie były na ogół lubiane i stały się niejako symbolem wyższości. Po ślubie będzie musiała znacznie rzadziej widywać niektóre koleżanki, jeśli chce, żeby Sloan miał dobre stosunki z kolegami w szpitalu. Smętnie spoglądała na Pokey, swoją najlepszą przyjaciółkę, która siedziała rozwalona przy stole, strzepując popiół z papierosa na talerz z topniejącymi lodami i namokłym biszkoptem, zachowując się bardzo brzydko, na co mogą sobie pozwolić tylko bardzo bogaci. Na jej pięknym kostiumie od Lanvina widniała długa plama. Priss w myśli zastosowała płyn do płam „Energine”, jej duszyczka czyściocha z całych sił pocierała plamę. Nie wyobrażała sobie, jak Pokey dałaby sobie radę w życiu bez osobistej pokojówki. Gdy na uczelni

Pokey znalazła się bez swojej Chapin, Priss sprzątała po niej, podsuwała w palarni popielniczki, zbierała jej rozrzucone rzeczy i wysyłała je do prania do domu Pokey, zakradała się do wspólnej łazienki, żeby zmyć pas brudu w wannie po kąpieli tamtej i uniknąć skarg koleżanek. Biedna Pokey będzie skazana po ślubie na konwencjonalny dom i chmarę służby oraz guwernantek, nie pozna rozkoszy i zgryzot, jak mawiała mamusia, urządzenia się na własnych śmieciach, mając do pomocy tylko jedną porządną dziewczynę przy zmywaniu i cięższej robocie.

Wielkie bogactwo to kłoda u nogi, izoluje człowieka od życia. Kryzys gospodarczy, cokolwiek by się o nim nie powiedziało, okazał się istnym błogosławieństwem dla klas posiadających: uzmysłowił wielu bogaczom sprawy, które liczą się naprawdę. Wśród znajomych Priss nie było ani jednej rodziny, która nie czułaby się szczęśliwsza i zdrowsza, odkąd musiała przyhamować wydatki, a te wyrzeczenia zbliżyły do siebie członków rodziny. Choćby rodzina Polly - pan Andrews był akurat w klinice Riggsa, gdy wybuchł kryzys i wszystkie inwestycje pana Andrewsa wzięły w łeb, a on zamiast popaść w głębszą melancholię, która spowodowałaby wysłanie go do państwowego zakładu dla umysłowo chorych (ponura myśl), wrócił do domu i stał się użyteczny jako kucharz. Zajmował się gotowaniem i zakupami, przyrządzał najwymyślniejsze potrawy, nauczył się bowiem *haute cuisine*, gdy mieli *chateau* we Francji; pani Andrews natomiast zmywała i sprzątała, wszyscy sami ślali sobie łóżka, a gdy dzieci bawiły na wakacjach w domu, wówczas one zmywały. Najweselej było na ich małej farmie, którą udało im się zachować koło Stockbridge; Lakey była u nich w Dniu Dziękczynienia w zeszłym roku i nigdy lepiej się nie bawiła, żałowała tylko, że jej ojciec nie stracił pieniędzy jak pan Andrews. Wcale nie żartowała. Ważne było oczywiście, że Andrewsowie zawsze byli intelektualistami - mieli wewnętrzne źródła, z których czerpali siły.

Sama Priss była zażartym liberałem, miała to we krwi. Matka zasiadała w Radzie Powierniczej Vassar, a dziadek w swoim czasie jako burmistrz Nowego Jorku był zwolennikiem reform. Gdy w zeszłym roku musiała być druzną na eleganckim ślubie z pompą w kościele św. Jakuba - z dywanem, baldachimem itede - nie mogła się uspokoić na widok tłoczących się wokół wejścia do kościoła bezrobotnych, odsuwanych przez policję. Wcale nie uważała, że sama musi zmienić świat, jak

pokpiwał z niej brat, studiujący w Yale, i nie miała za złe klasie, w której się urodziła, że chce zachować swoje przywileje - została tak ukształtowana. W najmniejszym stopniu nie była socjalistką czy buntowniczką, chociaż nawet Sloan droczył się z nią na ten temat. Uważała, że to luksus być socjalistą w czasach, gdy świat tak szybko się zmienia i tyle jest do zrobienia tu i teraz. Nie można siedzieć z założonymi rękami, czekając na królestwo Boże, jak nie można cofnąć zegara. Dziewczęta z grupy lubiły fantazjować na temat okresu historycznego, w jakim chciałyby żyć, gdyby to od nich zależało, i tylko Priss pozostawała w teraźniejszości; Kay wybrała rok 2000 (po narodzeniu Chrystusa, oczywiście), Lakey wołała *quattrocento*, co właściwie dowodziło, jak różnorodna była grupa. Mówiąc jednak poważnie, Priss nie wyobrażała sobie ciekawszych czasów do osiągnięcia pełnoletności niż właśnie w Ameryce roku 1933, i bardzo jej było żal kogoś takiego jak Dick Brown, jej sąsiad z prawej strony, który miał niespokojną, zgorzkniałą twarz i białe ruchliwe dłonie; po dłuższej rozmowie z nim (zanudziła go pewnie na śmierć) zorientowała się, że jest typowym przedstawicielem poprzedniego pokolenia byłych emigrantów i zbuntowanej cyganerii, o których uczyły się na kursie profesor Lockwood i którzy wracali teraz, starając się odnaleźć swoje korzenie.

Gwar stopniowo zamierał. Lekko zamroczone alkoholem dziewczęta wymieniały pytające spojrzenia. Co dalej? Na konwencjonalnym weselu Kay i Harald wymknęliby się teraz, aby się przebrać do podróży, a Kay rzuciłaby gościom swój bukiet. Lecz przypomniały sobie, że ma nie być podróży poślubnej. Młoda para najwyraźniej nie miała dokąd się udać prócz podnajętego mieszkania, z którego wyszła dziś rano. Znajac Kay, koleżanki były pewne, że zostawiła rozbabrane łóżko. Znów jak w kaplicy poczuły się dziwnie nieswojo. Spoglądały na zegarki, była zaledwie pierwsza piętnaście. Za ile godzin Harald będzie musiał iść do pracy? Mnóstwo par niewątpliwie zaraz po ceremonii zaślubin wracało do domu, a jednak dopuszczenie do tego wydawało się nie w porządku.

- Powinnam ich zaprosić na kawę do cioci Julii? - szepnęła przez stół Polly do Dottie.

- Za dużo osób - wymamrotała Dottie.

- Nie wiem, co by na to powiedziała Ross. - Ross była pokojową ciotki Julii i nie dawała sobie w kaszę dmuchać. - Co tam, gwizdź na Ross! - zakończyła Polly.

Spojrzenia obu dziewcząt powędrowały wzdłuż stołu, licząc gości, spotkały się poważne i wystraszone. Było trzynaście osób: osiem dziewcząt z grupy i pięć osób postronnych. Jakie to podobne do Kay. A może to przypadek? Może ktoś zawiódł w ostatniej chwili? Żona radiowca wymieniła spojrzenie z mężem, następnie odwróciła się do Dottie i spytała *sotto voce*:

- Nie wpadlibyście do nas na filiżankę kawy? Dam znak Kay i Haraldowi.

Dottie wahała się, może to rzeczywiście byłoby właściwsze, nie chciała jednak zdecydować za Kay, która wołałaby może iść do ciotki Julii. Gnębiło ją uczucie, że wszystko zanadto się gmatwa, jak koła w kołach.

Rozmyślenia jej przerwało ostre gdakanie Pokey.

- Powinniście przecież wyjechać - poskarżyła się nagle, gasząc papierosa i patrząc przez lorgnon z taką miną, jakby jej wyrządzono niezasłużoną krzywdę. Niezawodna Pokey, pomyślały dziewczęta, wdychając jednocześnie.

- Dokąd mielibyśmy jechać? - z uśmiechem zapytała Kay.

- Właśnie, dokąd? - dorzucił pan młody. Pokey zastanowiła się.

- Jedźcie na Coney Island - oznajmiła. Rada była tak niepodważalna i oczywista, jak gdyby padła z ust starca czy dziecka, i wszyscy na chwilę zaniemówili.

- Cudowny pomysł! - krzyknęła Kay. - Metrem?

- Ekspresem Brighton przez Flatbush Avenue - zakomunikował Harald - przesiadka przy Fulton.

- Pokey, jesteś genialna - przyklasnęli wszyscy z ogromną ulgą. Harald uregulował rachunek i wdał się w dyskusję na temat kolejek diabelskich, porównując zalety „Cyklonu” i „Pioruna”. Kobiety wyciągnęły puderniczki, włożyły futrzane narzutki, zajrzały do notesików, oprawnych w granatową angielską skórę. Zapanowało ogólne ożywienie i wesołość.

- Jak Pokey na to wpadła?

- Cudowne zakończenie cudownego ślubu.

- Idealne!

Głosy cichły, wkładano rękawiczki.

Goście weselni wyszli na ulicę, radiowiec, który zostawił aparat w szatni, robił teraz zdjęcia na chodniku w jasnym czerwcowym słońcu. Ruszyli pieszo przez Ósmą ulicę do stacji metra przy Astor Place, odprowadzani spojrzeniami przechodniów, którzy odwracali się, żeby im się lepiej przyjrzeć, i zeszli na dół do obrotowego wejścia.

- Kay musi rzucić bukiet - krzyknęła Libby, wyciągając się w górę na długich nogach jak środkowy napastnik w koszykówce, gdy tymczasem wokół nich gęstniał tłum gapiów.

- Moje dziewczę z Vassar, niezrównana nasza! - wyśpiewywał radiowiec. Harald wyciągnął dwie pięciocentowe monety i młodożeńcy przeszli przez kołowrót; Kay wyglądała prześlicznie, co do tego wszyscy byli zgodni, odwróciła się i wysoko podrzuciła bukiet, ponad kołowrót w stronę dziewcząt, które na to czekały. Libby podskakując złapała go, choć był przeznaczony dla stojącej tuż za nią Priss.

W tym momencie Lakey zaskoczyła wszystkich: paczki owinięte w brązowy papier, które zostawiła w szatni, zawierały ryż.

- Więc po to wysiadłaś z taksówki! - krzyknęła Dottie z podziwem, a towarzystwo zaczęło nabierać garściami ryż i obrzucać nim młodą parę, tak że gdy w końcu wjechał na stację pociąg metra, cały peron był usiany białym ziarnem.

- To banalne, wcale nie w twoim stylu, Eastlake! - krzyknęła Kay, w chwili gdy zamykały się drzwi wagonu, a rozchodzący się goście uznali, że to faktycznie niepodobne do Lakey, ale, banalne czy nie, jest właśnie tym pociągnięciem, którego wymagało zakończenie niezapomnianego wydarzenia.

ROZDZIAŁ 2

W pierwszej chwili Dottie czuła się bardzo nieswojo w ciemnym korytarzu, gdy zaledwie dwa dni po ślubie Kay wchodziła w nocy na palcach po schodach, idąc do pokoju położonego naprzeciwko dawnego pokoju Haralda, gdzie to samo przydarzyło się Kay. Ohydne uczucie, jak wówczas, gdy wszystkie dziewczęta z grupy jednocześnie miały okres; dziwne myśli przychodziły do głowy o naturze kobiety, uzależnionej od działania księżyca jak morski przyływ. Osaczały ją niesamowite, skołatane myśli, gdy klucz obrócił się w zamku i po raz pierwszy w życiu znalazła się sam na sam z mężczyzną w jego mieszkaniu. Była noc letniego przesilenia, gdy słońce stoi najwyżej nad równikiem i gdy dziewczęta oddawały ongiś swój wianek, by zbiory były obfitsze - Dottie czytała o tym w komentarzach do *Snu nocy letniej*. Pani profesor wykładająca Szekspira przywiązywała wielką wagę do antropologii, wymagała, aby studentki przeczytały w *Złotej gałęzi* Frazera o starożytnych obrzędach płodności i o tym, jak europejscy chłopci do niedawna jeszcze rozpalali wielkie ogniska na cześć Zbożowej Dziewicy, następnie leżeli parami w polu. Gdy zapaliła się lampa, Dottie pomyślała, że zdobyła na studiach niemal zbyt bogatą wiedzę. Przechodziły jej przez głowę ciekawe myśli, z których mogłaby się zwierzyć jedynie matce, na pewno nie mężczyźnie, bo uznaliby ją za niespełna rozumu, gdyby zaczęła mówić o Zbożowej Dziewicy na chwilę przed utratą własnego dziewictwa. Nawet koleżanki z grupy śmiałyby się, słysząc, że Dottie jest w nastroju do długiej, miłej rozmowy z Dickiem, tak strasznie pociągającym, nieszczęśliwym i mającym tyle do ofiarowania.

Lecz koleżanki nigdy, przenigdy nie uwierzyłyby, że ona w ogóle mogłaby przyjść do tego mansardowego pokoju pełnego kuchennych zapachów, i to z prawie nie znanym mężczyzną, nie ukrywającym swoich zamiarów, który przedtem porządnie popił i najwyraźniej nie był w niej zakochany. Ujmując to tak, bez ogródek, sama ledwie mogła w to uwierzyć i ta część jej istoty, która pragnęła rozmowy, chciała zapewne zyskać w ten sposób na czasie, podobnie jak wtedy, gdy zaczynała rozmowę o aktualnych wydarzeniach z dentystą, by odwlec chwilę borowania zęba. Dołek pojawił się w policzku Dottie. Co za dziwaczne porównanie! Gdyby dziewczęta to usłyszały.

A przecież gdy to się stało, wcale nie było tak, jakby to sobie wyobrażały koleżanki lub nawet ona sama - nie było ani trochę obrzydliwe czy wstrętne, mimo że Dick był wstawiony. Zachował się bardzo delikatnie, rozbierał ją powoli, rzeczowo, jak gdyby pomagał jej zdjąć płaszcz. Powiesił jej kapelusz i futrzaną narzutkę w szafie ściennej, potem rozpiął suknię, pochylając się nad zatrzaskami z zabawnym skupionym grymasem, podobnym do grymasu jej ojca, gdy zapinał matce suknię przed jakimś przyjęciem. Ostrożnie ściągnął jej suknię przez głowę, spojrzał na metkę, potem na Dottie, jak gdyby porównywał, czy pasują do siebie, i bardzo pewnym krokiem podszedł z suknią do szafy ściennej, gdzie powiesił ją na drewnianym wieszaku. Przy dalszym rozbieraniu jej, składał porządnie każdą sztukę bielizny i ceremonialnie kładł na krzesło, za każdym razem ze zmarszczonym czołem sprawdzając metkę. Gdy ściągnął z niej suknię, na chwilę zrobiło jej się słabo, zostawił ją jednak w halce, jak to robiła pielęgniarka u lekarza; potem zdjął jej buty i pończochy, rozpiął stanik, ściągnął pas i majteczki, tak że gdy wreszcie zdjął jej przez głowę halkę, uważając, by nie potargać włosów, prawie się nie trzęsła, stojąc przed nim naga, tylko ze sznurem pereł na szyi. Może to częste wizyty u lekarza, a może sam Dick, taki spokojny i rzeczowy jak studenci malarstwa, podobno, wobec nagiego modela, dodały jej odwagi. Rozbierając Dottie, nie dotknął jej ani razu, chyba przypadkiem drapiąc jej skórę. Następnie uszczypnął leciutko jej pełne piersi i kazał się jej uspokoić takim samym tonem jak doktor Perry przed zabiegiem, gdy miała atak ischiasu.

Podał jej książkę z rysunkami, sam podszedł do szafy ściennej; siedziała w fotelu, starając się nie słuchać. Z książką na kolanach uważnie rozejrzała się po pokoju, aby w ten sposób lepiej poznać Dicka. Pokoje bardzo dużo mówią o człowieku. Ten miał okienko w suficie i duże okno od północy, panował w nim zdumiewający, jak na pokój męski, porządek - stała rysownica z jakimiś rysunkami, na które miała wielką ochotę popatrzeć; długi, pusty stół podobny do stołu do prasowania; na oknach wisiały zasłony z ciężkiej samodziałowej bawełnianej tkaniny i taka sama tkanina pokrywała wąskie łóżko.

Na komodzie stała w ramkach fotografia blondynki o bardzo oryginalnej urodzie, z krótko ostrzyżonymi włosami, musiała to być „Betty”, jego żona. Na ścianie

wisiał przyczepione pluskiewkami zdjęcie kobiety w kostiumie kąpielowym i szereg szkiców aktu, w których Dottie z przygnębiającym uczuciem również rozpoznała tamtą. Usilnie starała się nie myśleć o miłości, nie komplikować swoich uczuć, wiedząc, że jemu by się to nie podobało. Powtarzała sobie w kółko, że to tylko pociąg fizyczny, starając się zachować spokój i opanowanie, pomimo gwałtownego pulsowania krwi, bo nagle, gdy za późno było na wycofanie się, straciła *sang-froid* i czuła zazdrość. Co gorsza, przyszło jej nawet do głowy, że Dick jest, powiedzmy, dziwny. Zajrzała do książki i zobaczyła więcej aktów podpisanych przez jakiegoś współczesnego malarza, o którym nigdy nie słyszała! Po chwili sama nie umiała powiedzieć, czego się spodziewała, lecz gdy wrócił, okazało się, że to nie jest takie straszne. Miał na sobie białe szorty, przyniósł ręcznik z metką jakiegoś hotelu, który rozłożył na łóżku, odrzuciwszy najpierw koce. Zabrał jej książkę i położył na stoliku. Kazał się jej położyć na ręczniku i znów miłym rzeczowym tonem nakazał się uspokoić, stał chwilę patrząc na nią z uśmiechem, z rękami na biodrach; usiłowała oddychać normalnie, mówiąc sobie, że ma dobrą figurę, siląc się na błądy uśmiech.

- Nic się nie stanie, chyba że chcesz tego, malutka.

Słowa te, wypowiedziane z lekkim naciskiem, uświadomiły jej, że musi wyglądać na bardzo wystraszoną i nieufną.

- Wiem, Dick - odpowiedziała cichutko, z wdzięcznością, zmuszając się do wymówienia po raz pierwszy jego imienia.

- Chcesz papierosa?

Dottie pokręciła głową, która opadła na poduszkę.

- Więc dobrze?

- Tak.

Gdy poszedł zgasić światło, poczuła w tamtym miejscu gwałtowny przypływ krwi, jak wówczas, gdy we włoskiej restauracji spytał: „Chcesz pójść do mnie?”, i utkwiał w niej głębokie, zamglone spojrzenie. Teraz, z ręką na stojącej lampie, odwrócił się i znów uważnie na nią spojrzał, ona zaś z szeroko otwartymi oczami ze zdumienia, czując przedziwny ogień w miejscu chronionym przez uda, patrzyła na niego szukając potwierdzenia; przełknęła ślinę. W odpowiedzi zgasił światło i podszedł do niej po ciemku, odpinając szorty.

Owa chwila zwłoki dała jej czas na przerażenie. Nigdy nie widziała tej części ciała mężczyzny, chyba tylko na rzeźbach i raz w dzieciństwie, gdy mając sześć lat zobaczyła ojca w kąpeli, przypuszczała jednak, że to coś będzie brzydkie, nabrzmiące i ciemne, obrosłe szorstkimi włosami. Była mu więc głęboko wdzięczna, że jej oszczędził tego widoku, którego nie potrafiłaby chyba znieść, wstrzymała oddech i skurczyła się, gdy kładło się na niej obce ciało.

- Rozsuń nogi! - nakazał i nogi Dottie posłusznie się rozwarły.

Ścisnął ją tam, pocierał i głaskał, nogi jej rozwarły się szerzej, zaczęła cichutko jęczeć, niemal jakby chciała, żeby przestał. Zabrał rękę, dzięki Bogu, zwlekał przez sekundę, potem poczuła, że ta rzecz, której się bała, wpycha się w nią, gdy sztywniejąc dodawała sobie odwagi.

- Spokojnie - szepnął. - Jesteś gotowa.

To coś było zdumiewająco ciepłe i gładkie, ale sprawiało okropny ból, napierając i wciskając się do środka.

- Do diabła! Spokojnie! Utrudniasz mi.

W tej samej chwili wyrwał jej się słaby okrzyk, to weszło całkowicie. Położył jej dłoń na ustach, podniósł jej nogi, opasał się nimi i zaczął tym rytmicznie w niej poruszać. Z początku było to tak bolesne, że wzdrygała się przy każdym ruchu i próbowała wysunąć się, co go tylko jeszcze bardziej zachęcało. Nagle, gdy modliła się jeszcze, żeby to się jak najprędzej skończyło, stwierdziła z ogromnym zdziwieniem, że zaczyna odczuwać pewną przyjemność. Zrozumiała, na czym rzecz polega, i jej ciało też zaczęło się poruszać, gdy wolno wpychał to w nią i wyciągał, jak gdyby powtarzał jakieś pytanie. Zaczęła szybciej oddychać. Każde powolne pchnięcie jak dotknięcie skrzypiec smyczkiem budziło pragnienie następnego. Nagle wstrząsnęły nią długie, gwałtowne drgawki, które napełniły ją wstydem jak czkawka, w chwili gdy ustały - bo to było tak, jak gdyby Dick przestał na chwilę być dla niej człowiekiem, natomiast on sam, jakby czując to, szybko się z niej wysunął, rzucił „tę część” na jej brzuch, napierając i uderzając w jej ciało. Potem on też zaczął podrygiwać i jęczeć, a Dottie poczuła coś mokrego i lepkiego, spływającego po jej brzuchu.

Mijały minuty, w pokoju panowała martwa cisza, przez okienko w suficie Dottie widziała księżyc. Leżała, ciągle przygnieciona jego ciałem, myśląc, że coś

poszło źle, pewnie z jej winy. Twarz miał odwróconą bokiem, więc nie mogła w nią zajrzeć, a jego tors tak przygniatał jej piersi, że z trudem łapała oddech. Oboje mieli mokre ciała, zimny pot z jego twarzy spływał na jej twarz, zlepiał z boku włosy, sączył się między jej piersiami, poczuła na ustach słony posmak, smętnie przypominający łyżę. Wstydziała się szczęścia, jakie czuła przed chwilą. Najwyraźniej nie zadowolili ją jako partnerka, w przeciwnym razie coś by powiedział. Może kobieta nie powinna się ruszać? Gdy sprawiał jej ból, powiedział: „Do diabła!”, takim złym tonem, jakby mówił: „Do diabła, dlaczego nie możemy zjeść kolacji na czas?”. Lub coś równie nieromantycznego. A może to jej krzyk wszystko zepsuł? Czy pod koniec zrobiła jakieś *faux pas*? Żałowała, że w książkach nie jest to dość jasno powiedziane; Krafft-Ebing, którego dzieło Kay i Helena wyszperały w jakimś antykwariacie i które czytywały na głos jako rzecz bardzo zabawną, opisywał na ogół takie okropności jak stosunki mężczyzn z kurami, a nawet i wówczas nie wyjaśniał, jak to się robi. Na myśl o blondynce na komodzie Dottie ogarnęła beznadziejna zawiść, a Dick robi zapewne w tej chwili gorzkie porównania. Czuła jego oddech i ziejący od niego ostry zapach skwaśniałego alkoholu. W łóżku unosiła się jakaś szczególna, ostra woń, bała się, że to może ją tak czuć.

Uderzyła ją okropna myśl, że on zasnął, ostrożnie parę razy się poruszyła, chcąc wysunąć się spod niego. Ich zlepione, wilgotne ciała wydały jakiś wsysający odgłos, gdy próbowała się wyswobodzić, ale nie potrafiła go z siebie zepchnąć. Przy tej okazji stwierdziła, że on rzeczywiście śpi. Musi być zmęczony, pomyślała, wybacząc mu, ma takie podkrążone oczy. Lecz w głębi serca wiedziała, że nie powinien być zwalić się do snu jak tona cegieł na niej, był to decydujący dowód, jeśli jeszcze potrzebowała dowodów, że ona nic dla niego nie znaczy. Ucieszy się zapewne jutro rano, gdy się zbudzi i stwierdzi, że jej nie ma. Może nie będzie nawet pamiętał, kogo przyprowadził, Dottie nie mogła choćby w przybliżeniu określić, ile on wypił, zanim spotkał się z nią na kolacji. Bała się, że on po prostu stracił przytomność. Pomyślała, że może uratować swoją godność tylko w ten sposób, jeśli się zaraz ubierze i wymknie po cichu. Musi jednak przedtem znaleźć łazienkę w tym ciemnym korytarzu. Dick zaczął chrapać. Lepka ciecz wyschła i zaskorupiała na jej brzuchu, pomyślała, że nie może wrócić do klubu Vassar, nie zmywszy tego. I teraz przyszła jej do głowy

najgorsza myśl: A jeśli on zaczął mieć wytrysk, gdy jeszcze w niej był? A może użył takiej gumowej rzeczy i to pękło, gdy ona tak się rzucała, i on dlatego się z niej wyrwał? Słyszała, że te gumowe rzeczy pękają, a kobieta może zająć od jednej kropli. Bardzo zdecydowanie uniosła się i gwałtownie poruszyła, podniósł głowę w świetle księżycy i wybałuszył na nią oczy, nie poznając jej. Więc to prawda, pomyślała zgnębiona, zasnął sobie i zapomniał o niej. Chciała wysunąć się z łóżka.

Dick usiadł, przetarł oczy.

- Ach, to ty, Boston - wymamrotał, obejmując ją w talii. - Przepraszam, że się zdrzemnąłem. - Wstał, zapalił stojącą lampę.

Dottie szybko naciągnęła na siebie prześcieradło i odwróciła twarz, ciągle jeszcze nie miała odwagi zobaczyć go całkiem nagiego.

- Muszę już iść, Dick - powiedziała spokojnie, patrząc bokiem na swoje rzeczy porządnie złożone na krześle.

- Musisz? - spytał ironicznie, a Dottie wyobraziła sobie, że unosi przy tym czerwonawe brwi.

- Nie musisz się ubierać i sprowadzać mnie na dół - ciągnęła dalej szybko i stanowczo, patrząc na jego białe stopy oparte o dywan. Pochylił się, podniósł szorty, patrzyła, jak wsuwa w nie nogi. Potem powoli podniosła oczy i napotkała jego pytające spojrzenie.

- O co chodzi, Boston? - spytał łagodnie. - Dziewczyny nie pędzą do domu podczas swojej pierwszej nocy. Bardzo bolało? - Dottie pokręciła głową. - Krwawisz? Czekał, zobaczę. - Podniósł ją i przesunął na łóżku, pociągając przy tym prześcieradło, na ręczniku widniała niewielka plama krwi. - Najbardziej niebezpieczna - orzekł. - Ale w minimalnej ilości. Betty krwawiła jak proszę. - Dottie milczała. - Gadaj, o co chodzi - nakazał ostro, pokazując palcem fotografię w ramkach. - To ona tak ci doskwiera?

Dottie dzielnie pokręciła głową. Musiała go jednak o coś spytać.

- Dick - ze wstydu zamknęła oczy - myślisz, że powinnam sobie zrobić irygację?

- Irygację? - powtórzył, nie rozumiejąc. - Dlaczego? Po co?

- No wiesz... na wypadek... rozumiesz... świadome macierzyństwo - bąkała.

Dick wybałuszył na nią oczy i nagle wybuchnął śmiechem, opadł na krzesło, odrzucił w tył ładną głowę.

- Moja kochana - rzekł - zastosowaliśmy właśnie najstarszy sposób świadomego macierzyństwa. *Coitus interruptus*, jak mawiali starożytni Rzymianie, i to cholernie przykry sposób.

- Myślałam, że może...

- Nie masz co myśleć. Co myślałaś? Zapewniam cię, że ani jeden plemnik nie podpływa do twego nieskazitelnego jajeczka, aby je zapłodnić. Jak ów mężczyzna z Biblii zrzuciłem swoje nasienie na ziemię, ściślej mówiąc, na twój bardzo ładny brzuch.* - Szybkim ruchem ściągnął z niej prześcieradło, nim zdołała mu przeszkodzić. - A teraz mów, o czym myślisz. - Dottie pokręciła głową, zarumieniona. Tabun koni nie wyciągnąłby z niej, co myśli, okropnie wstydziła się o tym mówić, i tak już omal nie udławiła się mówiąc „irygacja” i „świadome macierzyństwo”. - Musimy cię obmyć - oznajmił po chwili milczenia.

* Aluzja do Onana, Genesis, XXXVIII, 9. (Wszystkie cytaty z Biblii w tłum. ks. Wujka).

Włożył szlafrok, ranne pantofle i wyszedł do łazienki. Dottie zdawało się, że długo nie wraca, przyniósł namoczony ręcznik, którym wytarł jej brzuch. Potem, siedząc przy niej na łóżku, mocno wytarł ją całą suchym końcem ręcznika. Wydawał się o wiele świeższy, jak gdyby się umył, czuć go było płynem do ust i pastą do zębów. Zapalił dwa papierosy, jeden podał jej, postawił popielniczkę na łóżku między sobą i nią.

- Spuściłaś się, Boston - rzekł z miną zadowolonego instruktora.

Dottie spojrzała na niego niepewnie, czy mówi o tym, co ona zrobiła i o czym nie chce myśleć.

- Nie rozumiem - wyszeptała.

- Mówię, że miałaś orgazm.

Dottie wydała nieokreślony pytający pomruk z głębi gardła, choć już prawie na pewno rozumiała, o czym on mówi, żenowało ją jednak nowe słowo.

- Czująś rozkosz - dodał ostrzej. - Uczą was tego słowa w Vassar?
- O! - powiedziała Dottie niemal rozczarowana, że to tylko tyle. - To był...? -
nie potrafiła dokończyć.
- Właśnie - skinął głową Dick. - Jeśli jestem dobrym sędzią.
- Więc to normalne? - Dottie poczuła się trochę lepiej.
- Nie u dziewcząt wychowanych jak ty - wzruszył ramionami. - I zazwyczaj nie
za pierwszym razem. Ale są oznaki, że z tobą jest inaczej, jesteś pewnie bardzo
zmysłowa.

Dottie jeszcze mocniej się zaczerwieniła. Jeśli wierzyć Kay, rozkosz jest czymś
bardzo niezwykłym, czymś, co może dać mąż wnikliwie poznając pragnienia żony i
pobudzając ją cierpliwie rękami. Dottie nawet w myśli wzdrygała się, przypominając
sobie terminologię w tej dziedzinie; jest taki ohydny ustęp u Kraffta-Ebinga o
cesarzowej Marii Teresie i o tym, co dworski lekarz kazał zrobić księciu małżonkowi,
Dottie tylko zerknęła na ten fragment i starała się o nim zapomnieć. Nawet mama
napomykała, iż zaspokojenie przychodzi dopiero po dłuższym czasie i doświadczeniu i
że to w dużym stopniu zależy od miłości. Dottie nie całkiem dobrze rozumiała, co
mama ma na myśli mówiąc o zaspokojeniu, a Kay też nie wyrażała się jasno, chyba że
cytowała z książek. Polly spytała raz Kay, czy czuje się to samo co przy namiętym
całowaniu się z chłopcem (Polly była wówczas zaręczona), i Kay powiedziała, że
prawie to samo, teraz jednak Dottie uważała, że albo Kay się myliła, albo z jakiegoś
powodu chciała przed Polly ukryć prawdę. Dottie nieraz była roznamiętniona, gdy
tańczyła z jakimś przystojnym chłopakiem, ale to było zupełnie co innego niż to, o
czym mówił Dick. Można by niemal sądzić, iż Kay sama nie wiedziała, o czym mówi.
Lub że Kay i mama mówiły o dwóch różnych rzeczach, a to, co czuła z Dickiem, jest
nienormalne. Lecz przecież wydawał się taki zadowolony, siedząc przy niej, paląc
papierosa i puszczając kółka dymu. Pewnie wie więcej od mamy i Kay, bo mieszkał za
granicą.

- Na co się teraz krzywisz, Boston? - Dottie drgnęła. - Bardzo zmysłowe
kobiety - powiedział łagodnie - są wspaniałe. Nie powinnaś się wstydzić. - Zabrał jej
papierosa, zgasił go, położył dłonie na jej ramionach. - Głowa do góry. To, co czujesz
teraz, jest naturalne. „*Post coitum omne animal triste est*”, jak powiedział rzymski

poeta. - Przesunął dłoń po jej ramieniu i lekko dotknął jej sutki. - Twoje ciało zadziwiło cię dzisiaj. Powinnaś się nauczyć poznawać jego reakcje. - Dottie skinęła. - Miękką - szepnęła, ściskając sutkę kciukiem i palcem wskazującym. - Odczuwasz w tej chwili spadek podniecenia. - Zafascynowana Dottie szybko wciągnęła powietrze w płuca, jej wątpliwości się rozwiały. Sutka stwardniała pod jego palcami. - Erekcyjna tkanka - pouczył ją i dotknął drugiej sutki. - Widzisz? - Spojrzeli w dół. Obie sutki były twarde, nabrziałe, otoczone różową gęsią skórą, na piersiach widniało kilka ciemnych włosków. Dottie czekała w napięciu. Czowała głęboką ulgę, Dick używał określeń, które Kay cytowała z poradników dla małżeństw. Znow poczuła w tamtym miejscu szybkie drgnięcie. Usta jej rozchyliły się. Dick się uśmiechnął. - Czujesz coś? - Skinęła. - Chcesz jeszcze raz? - spytał, sprawdzając ręką. Dottie zeszywniała, ścisnęła uda. Wstydziła się gwałtownego doznania, które wykryły jego badające palce. On jednak trzymał rękę między jej zaciśniętymi udami, drugą mocno ujął jej prawą dłoń, prowadząc w dół do swego rozpiętego szlafroka i przycisnął do tej części swego ciała, miękkiej i wiotkiej, właściwie przyjemnej, zwiniętej w kłębek jak tłusty robaczek. Siedząc przy niej, zaglądał jej w twarz, pieścił w tamtym miejscu i zaciskał jej dłoń na tej swojej części ciała. - Tam jest takie małe zgrubienie - szepnęła. - Przesuwaj po nim palcami. - Dottie usłuchała z ciekawością, poczuła, że członek mu lekko zeszywniał, napełniło ją to dziwnym poczuciem siły. Walczyła z podnieceniem, które jego łaskoczący palec wywoływał w jej zewnętrznym organie, zamknęła oczy, czując na sobie jego wzrok, uda jej się rozwarły. Odsunął jej rękę, opadła na łóżko, łapiąc oddech. Jego palec dalej prowadził swoją grę, poddała się, cała skoncentrowana na miejscu narastającej rozkoszy, która nagle wyładowała się w szybkim drgającym spazmie, ciało jej wygięło się, uniosło i opadło bez ruchu. Gdy znow chciał ją dotknąć, słabo odepchnęła jego dłoń.

- Nie - wyjąkała, odwracając się na brzuch. Ta druga rozkosz, o której wiedziała już, czym jest, przypominając sobie pierwszą, mimo że była inna, pozostawiła w niej niepokój i zażenowanie, była mniej porywająca, a bardziej jak bezlitosne łaskotanie lub gwałtowna naturalna potrzeba.

- Nie było ci dobrze? - spytał, odwracając jej głowę na poduszce, aby nie mogła ukryć przed nim twarzy.

Nie chciała myśleć o tym, że on patrzył na nią w chwili, gdy to sprawił. Powoli otworzyła oczy i postanowiła powiedzieć prawdę.

- Nie tak jak przedtem, Dick.

- Porządna, normalna dziewczyna - roześmiał się. - Niektóre kobiety wolą właśnie to.

Dottie zadrżała, nie mogła zaprzeczyć, że było to rozkoszne, lecz wydało jej się niemal perwersyjne. On jakby czytał jej myśli.

- Robiłaś to kiedy z dziewczyną, Boston? - Uniósł jej twarz, żeby lepiej ją widzieć.

Dottie zarumieniła się. - Boże, nie!

- Spuszczasz się piorunem. Jak to wytłumaczysz? - Milczała. - Robiłaś to kiedy sama z sobą? - Dottie gwałtownie pokręciła głową, była dotknięta takim posądzeniem.

- We śnie?

Niechętnie przytaknęła. - Trochę. Nie do końca.

- Bogate fantazje erotyczne dziewczycy z wytwornej Chestnut Street - powiedział Dick przeciągając się. Wstał, podszedł do komody, wyjął dwie piżamy i rzucił jedną Dottie. - Włóż to i idź do łazienki. Na dziś nauka skończona.

Za zamkniętymi drzwiami mieszczącej się w korytarzu łazienki Dottie przyjrzała się sobie.

- Co za siurpryza - zacytowała powiedzonko Pokey, patrząc głęboko zdumiona w lustro. Ani na jotę nie zmienił się jej wygląd rodowitej bostonki: rumiana twarz, gęste brwi, prosty nos i ciemne oczy. Któraś z dziewcząt z grupy powiedziała kiedyś, że Dottie wygląda, jakby się urodziła w birecie. Miała w sobie coś z sędziego, sama to teraz stwierdziła, patrząc na siebie w białej męskiej piżamie: jej ostro zarysowana szczęka, typowa dla mieszkańców Nowej Anglii, wystawała nad kołnierzem, upodabniając ją do sędziego czy kosa na parkanie, jej ojciec mawiał czasem żartobliwie, że powinna być zostać adwokatem. Lecz dołek w policzku świadczył o zamiłowaniu do zabawy, uwielbiała tańczyć i śpiewać, bała się, czy nie cierpi przypadkiem na rozdwojenie osobowości, jak istny doktor Jekyll i pan Hyde. Pograżona w myślach wypłukała usta płynem do ust Dicka, odrzuciła w tył głowę, by lepiej wypłukać gardło. Starła szminkę z warg kawałkiem papieru toaletowego i ze strachem spojrzała

na mydło w mydelniczce, myśląc o swojej wrażliwej skórze. Musi bardzo uważać; stwierdziła z wdzięcznością, że łazienka jest skrupulatnie czysta, oblepiona napisami gospodyni: „Zostaw to miejsce w takim stanie, w jakim chciałbyś je zastać.”

„Dziękuję za współpracę.” „Biorąc prysznic, proszę używać rogożki.” „Dziękuję.” Pomyślała, że gospodyni musi być bardzo liberalna, skoro nie ma nic przeciw przyjmowaniu kobiet przez lokatorów. Przecież Kay spędzała tu całe weekendy z Haraldem.

Wolała nie myśleć o tym, jakie kobiety przyjmował tu Dick oprócz Betty, o której już wspomniał. A jeśli przyprowadził tu Lakey przed paru dniami, gdy razem odwieźli Dottie do domu? Oparła się o umywalnię, ciężko dysząc, i nerwowo podrapała się po brodzie. Przeszło jej przez głowę, że Lakey nie pozwoliłaby mu na to, co zrobił z nią, nie ośmieliłby się z Lakey. Takie myśli były jednak zbyt denerwujące, by dalej się nad nimi zastanawiać. Skąd wiedział, że ona mu pozwoli? Było coś dziwnego, o czym starała się nie myśleć, tak naprawdę nie pocałował jej ani razu. Można by to oczywiście wytłumaczyć: może nie chciał, aby poczuła ziejący od niego alkohol, a może jej cuchnie z ust...? Nie, stanowczo nie wolno jej tak myśleć. Jedno jest pewne, każdy by to spostrzegł. Dick został zraniony, i to bardzo głęboko, przez kobietę czy kobiety, powtórzyła w duchu, kiwając głową. I to, w jej oczach, daje mu prawo postępować, jak chce. Jeśli nie chce jej całować, to jego sprawa. Zanuciła coś ciepłym kontraltem, czesząc się przed lustrem kieszonkowym grzebykiem: - Chłopak taki jak on potrzebuje takiej kobiety jak ja-a. - Wesołym, tanecznym krokiem ruszyła do drzwi, potykając się w przydługiej piżamie. Strzeliła palcami, pociągając za sznurek, by zgasić światło w łazience.

Leżąc w wąskim łóżku obok ciężko dyszącego śpiącego Dicka, Dottie z czułością poszybowała myślami ku matce, która ukończyła Vassar w 1908 roku. Na próżno starała się usnąć, żeby po tak męczącym dniu jutro lepiej wyglądać, lecz ogromnie chciała z kimś porozmawiać, przedyskutować przeżycia tej nocy z najmilszą dla niej istotą, która nigdy nie potępiała, nie robiła wymówek i zawsze ogromnie interesowała się sprawami młodzieży.

Odtwarzając krok po kroku drogę swego wtajemniczenia, pragnęła opisać to wszystko matce: ten pusty pokój w dalekim zakątku Greenwich Village, poświęcę

księżycyca na grubym samodziale narzuty na łóżku, stół do rysowania, jeden fotel z czystym pokrowcem z płótna w pasy i samego Dicka oczywiście, wielką indywidualność, o ruchliwych, cyzelowanych rysach, człowieka posługującego się nieprawdopodobnym słownictwem. W ostatnich trzech dniach nazbierało się tyle szczegółów, które by zainteresowały mamę: ślub, tego samego dnia po południu Whitney Museum, do którego poszli w trójkę z Lakey, następnie kolacja z nimi w miłej włoskiej restauracyjce ze stołem bilardowym od frontu i winem w białych kubkach oraz jego dyskusja z Lakey o sztuce; na drugi dzień znów do muzeum, tym razem Modern Museum, potem wystawa modernistycznej rzeźby, a jej się nie śniło nawet, że on może myśleć o niej, kiedy widziała, że fascynuje go Lakey (kogo by nie fascynowała?), i ciągle była tego pewna, gdy zjawił się dziś rano na przystani, żeby odprowadzić Lakey, udając, że chce jej dać nazwiska jakichś malarzy w Paryżu, których powinna poznać. Nawet gdy po odejściu statku zrobiło się tak smutno, zaprosił ją na kolację do tej samej restauracyjki (okropnie się namęczyła, zanim tam trafiła taksówką z hotelu „New Weston“!), nawet wtedy mówiła sobie, że zaprosił ją tylko dlatego, że jest przyjaciółką Lakey. Jak ognia bała się zostać z nim sama, żeby go nie zanudzić, a on rzeczywiście był milczący i zamyślony, do chwili gdy spojrzał jej prosto w oczy i palnął: „Chcesz pójść do mnie?” Czy zdoła kiedykolwiek zapomnieć obojętny ton, jakim to powiedział? Mama byłaby zaskoczona, że żadne z nich nie myślało o miłości. Dottie słyszała siebie po cichu wyjaśniającą ślicznej mamie, która ma takie błyszczące oczy, że ona i Dick „żyją z sobą” na innej zasadzie. Biedactwo, mówiła, ciągle kocha swoją byłą żonę, co więcej (w tym miejscu odetchnęła głęboko, zbierając się na odwagę), bardzo mu się podoba Lakey, moja najlepsza przyjaciółka w tym roku. W wyobraźni Dottie widziała, jak rozszerzają się błękitne oczy mamusi, jak drżą jej złote loki, gdy lekko kiwa głową, jak ktoś cierpiący na chorobę Parkinsona, ona zaś pochyła się naprzód i stanowczo odparowuje: „Tak, mammo, przysięgłabym na to nawet teraz. Lakey bardzo mu się podoba. Pogodziłam się z tym tamtej nocy.” Scena ta, którą reżyserowała w wyobraźni, rozgrywała się w małym saloniku mamusi przy Chestnut Street, aczkolwiek w rzeczywistości mama wyjechała już na wieś do Gloucester, gdzie posiadali domek, dokąd Dottie miała przyjechać jutro lub pojutrze; malutka pani Renfrew miała na sobie prostą, sztywną

niebieską sukienkę bez rękawów z irlandzkiego lnu, jej ramiona były opalone od gry w golfa, Dottie zaś była ubrana w białą sportową sukienkę z błyszczącego jerseyu i biało-brązowe czółenka. Po skończeniu relacji Dottie spuściła wzrok i zaczęła przebierać palcami kontrafałdy sukni, czekając na replikę matki. „Tak, Dottie, pojmuję. Sądzę, że potrafię zrozumieć.” Rozmawiały dalej cicho, spokojnie, melodyjnymi głosami, mama cokolwiek bardziej *staccato*, Dottie w tonacji nieco głębszej. Nastrój był poważny, pełen zadumy. „Jesteś pewna, kochanie, że błona została przerwana?” Dottie stanowczo skinęła głową. Pani Renfrew, córka człowieka traktującego medycynę jako misję, sama również chorowała w młodości, co pozostawiło w niej pewien niepokój o fizyczną stronę życia.

Dottie niespokojnie wierciła się w łóżku. „Będziesz uwielbiał mamę - powiedziała do Dicka w myśli. - Jest osobą o bardzo żywym usposobieniu i o wiele ładniejszą ode mnie: filigranowa, cudownie zbudowana, ma błękitne oczy i złote włosy, które zaczynają lekko siwieć. Sama, siłą woli, wyleczyła się z choroby, gdy poznała tatusia na ostatnim roku studiów, a lekarze przepowiadali, że będzie zmuszona przerwać naukę. Powiedziała sobie, że chora osoba nie powinna wychodzić za mąż, wobec tego wyzdrowiała. Mama bardzo wierzy w miłość, cała nasza rodzina jest taka.” W tym miejscu Dottie się zaczerwieniła i wymazała ostatnie słowa. Nie wolno jej dopuścić do tego, aby Dick pomyślał, że ona się w nim zakocha i zepsuje ich romans, a taka uwaga byłaby fatalna. Żeby go przekonać, że nic mu nie grozi, powinna powiedzieć coś, co wyjaśni jej stanowisko. „Jestem też bardzo wierząca - zaryzykowała z przeproszającym uśmiechem - myślę jednak, że jestem panteistką raczej, w odróżnieniu od większości praktykujących. Kocham Kościół ze względu na rytuał, lecz wierzę, że Bóg jest wszędzie. Moje pokolenie trochę się różni od pokolenia mamy. Ja uważam, wszystkie tak uważamy, że seks może być niezależny od miłości. Nie musi, ale może. Nie należy wymagać od seksu, by przejął rolę miłości, ani od miłości, by przejęła rolę seksu, niegłupia myśl, prawda? - dodała pośpiesznie, chichocząc nerwowo, bo zaczęła tracić wątek. - Jedna z naszych starszych pań profesorek powiedziała do Lakey, że człowiek winien nauczyć się żyć bez miłości, dawać sobie radę bez niej, by móc żyć z miłością. Zrobiło to na Lakey ogromne

wrażenie. Zgadzasz się z tym?" - Dottie coraz śmielej przemawiała w wyobraźni, wykładając swoją filozofię śpiącemu obok niej mężczyźnie.

Ośmieliła się w myśli wspomnieć przy nim Lakey, mówiąc o miłości, chcąc mu pokazać, że nie jest zazdrosna o ciemnowłosą piękność, jak ją nazwał, nie podobało mu się zdrobniałe „Lakey”. Dottie zauważyła, że on zawsze odruchowo poprawiał krawat, ilekroć Lakey odwracała się, by spojrzeć na niego, jak gdyby sprawdzał swój wygląd w lustrze stacji metra. I to, że zawsze rozmawiał z nią poważnie, nie szydził. Nie ironizował, nawet gdy mieli różne zdania o sztuce. A jednak gdy na przystani machali do Lakey rękami na pożegnanie i Dottie chcąc zyskać jego zaufanie, wyrażając swoje uwielbienie dla koleżanki, szepnęła: czy ona nie jest olśniewająca? - on tylko wzruszył ramionami, jak gdyby Dottie mu się naprzykrzała.

- Ta kobieta potrafi myśleć - powiedział, gdy Dottie znów zachwycała się koleżanką.

Teraz gdy Lakey znajdowała się na otwartym morzu, ona sama zaś w łóżku z Dickiem, którego ciepło czuła, spróbowała spojrzeć na sprawę z innej strony. Czy to możliwe - zapytywała siebie - że Lakey pociąga go duchowo, a ona sama raczej fizycznie? Lakey jest ogromnie inteligentna i dużo wie, ale jest zimna, większość ludzi tak myśli. Może Dick zachwyca się urodą Lakey jako malarz, natomiast woli Dottie w innym sensie. Nie bardzo w to wierzyła, pomimo tego, co mówił o jej ciele, że ją zadziwiło itede. Kay twierdziła, że wyrafinowani mężczyźni więcej dbają o rozkosz kobiety niż własną, lecz Dick (Dottie lekko kaszlnęła) nie robił wrażenia roznamiętnionego nawet wtedy, gdy tak bardzo ją podniecał. Posmutniała, myśląc o Kay. Koleżanka powiedziałaby jej bez ogródek, że nie posiada „rozpalającej mocy” Lakey i że Dick traktuje Dottie jako namiastkę, bo sama Lakey jest dla niego zbyt wielkim wyzwaniem: jest zbyt piękna, bogata i fascynująca, żeby mógł ją przyprowadzić do tego smętnie umeblowanego pokoju. Dick nie chciałby - słyszała apodyktyczny głos Kay, mówiącej z akcentem mieszkanki Zachodu - uwikłać się w miłosny związek z dziewczyną, co niechybnie musiałyby nastąpić w romansie z Lakey, Renfrew. Jesteś dla niego tylko namiastką, klapą bezpieczeństwa na jedną noc. Te pewne siebie słowa zmiażdżyły Dottie jak walec parowy, czuła bowiem, że to

prawda. Kay dodałaby jeszcze pewnie, że Dottie chciała się pozbyć dziewictwa i posłużyła się po prostu Dickiem jako narzędziem.

Czy to też prawda? - przerażająca myśl. Czy Dick tak ją ocenił? Kay chciała dobrze, mówiąc o rzeczy bez ogródek, a najstraszniejsze było to, że przeważnie miała rację. Tak przynajmniej zawsze się wydawało, bo mówiła absolutnie bezinteresownie, nie zdając sobie sprawy, że rani czyjeś uczucia. Jak tylko Dottie zaczęła słuchać Kay - choćby tylko w wyobraźni - traciła własny sąd i stawała się taka, jaką była w opinii Kay: bostońską starą panną, przywiązaną srebrnym sznurem do pępka mamusi.

To samo działo się ze słabszymi koleżankami z grupy. Lakey powiedziała kiedyś, że Kay zabiera dziewczynom romanse i zwraca je skurczone, poznaczone metkami, jak bieliznę z pralni. Tak właśnie się stało z zaręczynami Polly. W rodzinie jej chłopca były wypadki choroby umysłowej, a Kay pokazała Polly tyle wykresów dotyczących dziedzictwa chorób umysłowych, że Polly zerwała z narzeczoną, rozchorowała się i musiała pójść do szpitala. I oczywiście Kay miała rację: każdy by przyznał, że Polly ma dość kłopotów z ojcem, żeby wchodzić do innej rodziny obciążonej dziedziczną melancholią. Kay radziła Polly żyć z chłopcem, skoro go kocha, a gdy będzie chciała mieć dzieci, wyjść za męża za kogo innego. Lecz pomimo wielkiej chęci Polly nie zdobyła się na to. Cała grupa prócz Lakey myślała jak Kay, przynajmniej w sprawie ślubu, lecz żadna z dziewcząt nie miała serca powiedzieć tego Polly wprost. I tak to zazwyczaj było: Kay waliła delikwentce prosto z mostu to, co inne tylko szeptały między sobą.

Dottie westchnęła. Wolałaby, aby Kay nie dowiedziała się o niej i Dicku. Było to jednak chyba nieuniknione, skoro Dick przyjaźni się z Haraldem. Dick na pewno nie powie, jest dżentelmenem i człowiekiem taktownym, już raczej sama Dottie się wygada, bo Kay umiała wyciągnąć tajemnicę z człowieka. W końcu człowiek zwierzał się Kay, bo bardziej chciał usłyszeć, niż nie usłyszeć, co ona o tym sądzi. Ogarnięty strachem, że boi się prawdy. Poza tym Dottie zrozumiała, że tak naprawdę to nie może zwierzyć się matce, w każdym razie jeszcze długo nie, gdyż mama należy do innego pokolenia i nawet przy najlepszej woli nie odniesie się do tego jak Dottie, a różnica poglądów tylko unieszczęśliwi ją i zasmuci. Chciałaby poznać Dicka, następnie poznałby go i tatuś, który zacząłby przemyśliwać o małżeństwie, co absolutnie nie

wchodziło w rachubę. Dottie znów westchnęła. Wiedziała, iż komuś będzie musiała się zwierzyć - nie z najintymniejszych szczegółów naturalnie, ale ze zdumiewającej sprawy, że straciła dziewictwo - i że zwierzy się właśnie Kay.

Potem Kay będzie o niej mówiła z Dickiem. To przerażało Dottie najbardziej, wzdrygała się na myśl, że Kay kraje ją na kawałki, analizuje jej osobowość, wyjaśnia jej medyczną historię, kluby mamusi i finansowe interesy ojca, ich dokładną pozycję towarzyską w Bostonie - bardzo przecenianą przez Kay - nie są żadnymi „Braminami”, co za koszmarnie słowo. W oczach Dottie pojawił się błysk rozbawienia - Kay jest taka prymitywna, choć przybiera wszechwiedzące miny, mówiąc o klubach i wyższych sferach. Ktoś powinien ją uświadomić, że tylko nudziarze lub, mówiąc szczerze, ludzie nie należący do tych sfer przejmują się jeszcze teraz takimi sprawami. Biedna, poczciwa Kay, Dottie pomyślała, zasypiając, że Kay straciła dziewictwo dopiero za piątym razem i tak się nacierpiała i nakrwawiła. Czy Lakey nie mówiła, że Kay ma skórę twardą jak wół? Dottie doszła do wniosku, że seks to tylko umiejętność poddania się mężczyźnie jak w tańcu - Kay fatalnie tańczyła, zawsze chciała prowadzić. Mama ma absolutną rację, pomyślała Dottie spokojnie, zasypiając: to wielki błąd pozwalać dziewczętom tańczyć z sobą, jak to się dzieje w tylu drugorzędnych żeńskich internatach.

ROZDZIAŁ 3

Spraw sobie pessarium - powiedział Dick następnego rana, szybko i stanowczo prowadząc ją do drzwi, ogłuszył ją tym *envoi* jak obuchem. Nie zrozumiała, zdawało jej się, że mówi: „spraw sobie pekari”, i w jej zmaconej świadomości jak na przeczycu pojawił się obraz szczeciniastego, podobnego do świni samca, o jakich uczyli się na zoologii, po czym przypomniała sobie straszne rzeczy z Kraffta-Ebinga i dziewczynę, która kiedyś trzymała kozła w Vassar. Czy to jakiś kawał, który powinna znać, na temat starej panny? Łzy napłynęły jej do oczu, próbowała je strzepnąć mruganiem. Dick najwyraźniej nienawidzi jej za to, co było między nimi w nocy, Kay mówiła, że niektórzy mężczyźni tak się zachowują po zaspokojeniu swojej żądz: „uszczerbek ducha w pustyni wstydu”*. Zjedli okropne śniadanie, które on przyrządził, nie pozwalając sobie pomóc, na palniku w szafce ściennej - jajecznica, kawa, wczorajszy placek z piekarni, żadnych owoców ani soku.

* 129 sonet Szekspira.

Przy śniadaniu ledwie otworzył usta, podał jej pierwsze strony gazety, sam czytał wiadomości sportowe i ogłoszenia, popijając kawę. Gdy chciała mu podać strony z wiadomościami ogólnymi, niecierpliwie odsunął jej rękę. Pocieszała się, że może „wstał lewą nogą”, jak mawiała mamusia, gdy tatuś bywał rano zły. Teraz jednak pojęła, że na nic się nie zda ukrywanie przed sobą prawdy - straciła go. W szlafroku, rozczochrany, z okrutnym złośliwym uśmiechem i gorzkimi przytykami przypominał jej kogoś. Oczywiście Hamleta odtrącającego Ofelię. „Idź do klasztoru. Nie kochałem cię wcale.” Lecz Dottie nie mogła jak Ofelia powiedzieć: „Tym bardziej więc zostałam zawiedziona”, (najżałośniejszy moment w całej sztuce, jednomyślnie orzekła klasa), bo przecież Dick jej nie zwodził, to ona sama siebie oszukiwała. Patrzyła na niego ogłuszona, łza spłynęła jej z jednego oka.

- Kobięcy środek antykoncepcyjny - wyjaśnił niecierpliwie Dick - krążek, kapturek. Dostaniesz to u kobiety ginekologa. Spytaj swoją przyjaciółkę Kay.

Dottie zaświtało w głowie, serce jej mocno podskoczyło. W ustach kogoś takiego jak Dick, zaśpiewał jej kobiecy instynkt, są to niewątpliwie słowa miłości. Jednakże błędem jest okazywać mężczyźnie, że dziewczyna była go niepewna choćby przez sekundę.

- Dobrze, Dick - szepnęła, kręcąc klamką u drzwi, a jej oczy mówiły mu delikatnie, jaki to głęboki, uroczysty moment, jak składanie wzajemnego zobowiązania. Na szczęście jemu by nigdy nawet do głowy nie przyszło, co ona myślała w związku z pekari! Widząc szczęście malujące się na jej twarzy, Dick podniósł jedną brew i zmarszczył czoło.

- Pamiętaj, że cię nie kocham, Boston - odezwał się ostrzegawczo.

- Dobrze, Dick.

- I musisz mi przyrzec, że ty nie zakochasz się we mnie.

- Dobrze, Dick - powiedziała ciszej.

- Moja żona nazywa mnie łajdakiem, ale ciągle mnie lubi w łóżku. Musisz się z tym pogodzić. Jeśli chcesz łóżka ze mną, możesz je mieć.

- Chcę - odparła cichym, lecz pewnym głosem. On wzruszył ramionami:

- Nie wierzę ci, Boston. Ale możesz spróbować. - Na ustach osiadł mu zamysłony uśmiech. - Większość kobiet nie traktuje moich warunków poważnie. Potem cierpią. Mają ukryty zamiar rozkochać mnie w sobie. Ja się nie zakochuję.

- A Betty? - spytała Dottie z ironią w łagodnych oczach.

- Myślisz, że ją kocham? - Przechylił głowę w kierunku fotografii. Dottie skinęła. Dick spoważniał. - Powiem ci, jak to jest. Lubię ją bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę w moim życiu. Ciągle się do niej palę, jeśli chcesz to nazwać miłością. - Dottie spuściła oczy i pokręciła głową.

- Ale nie zmienię dla niej życia, więc puściła mnie kantem. Nie mam do niej pretensji. Zrobiłbym to samo, gdybym był taki jak ona. Jest kobietą do szpiku kości. Lubi forszę, różnorodność, zabawę, przedmioty, suknie, dobra tego świata. - Potarł mocną szczękę kciukiem, jak gdyby starał się rozwiązać łamigłówkę. - Nienawidzę dóbr tego świata. Zabawne, myślałby kto, że nienawidzę dóbr, bo oznacza to ustabilizowane życie, prawda? - Dottie przytaknęła. - Ale kłopot w tym, że lubię ustabilizowane życie! - powiedział to z wzrastającym napięciem i zdenerwowaniem, nerwowo poruszał

rękami. Wydał się Dottie bardzo chłopięcy, był podobny do zatroskanych młodych ratowników, krążących w swoich łódkach koło Przylądka Ann, którzy wpadali czasem do willi, żeby pogadać o swojej przyszłości z matką Dottie. Oczywiście, że musiał być kiedyś ratownikiem, skoro dorastał w Marblehead wśród letników, ma budowę pływaka, doskonale mogła go sobie wyobrazić w łodzi ratowniczej, ubranego w czerwone wdzianko, mundur ratowników - mama mówiła, że ci chłopcy często zostają skażeni na całe życie wskutek ciągłego obracania się wśród letników, lecz nie należąc do ich sfery.

- Lubię męskie życie - ciągnął dalej Dick. - Bary. Przebywanie na świeżym powietrzu. Rybołówstwo i polowanie. Lubię męskie rozmowy nie prowadzące do niczego, ot, gadanie w kółko. Dlatego piję. Paryż mi odpowiadał: tłum malarzy, dziennikarzy i fotografików. Jestem urodzonym emigrantem, wystarczy mi kilka dolarów czy franków i jestem zadowolony. Nigdy daleko nie zajdę jako malarz, umiem jednak rysować i wykonać robotę ładnie i czysto - przyzwoicie. Ale nie znoszę zmian, wobec tego się nie zmieniam. Dlatego w stosunkach z kobietami jestem przegrany. Kobiety myślą, że romans w miarę trwania powinien być coraz lepszy, a gdy nie jest, uważają, że się pogarsza. Spodziewają się wzrostu moich uczuć, gdy sypiam z nimi dłużej, a skoro tak nie jest, myślą, że mam ich dość. Dla mnie jednak nic się nie zmienia. Jeśli to mi odpowiada za pierwszym razem, wiem, że i dalej będzie odpowiadało. Dobrze mi było z tobą tej nocy i będzie dobrze, jak długo zechcesz tu przychodzić. Ale nie wyobrażaj sobie, że moje uczucia wzrosną. - W jego głosie odezwała się ostra, grożąca nuta, patrzył na nią wnikliwie, stał w rannych pantoflach, lekko się kołysząc.

- Dobrze, Dick - szepnęła Dottie, dotykając wystrzępionych frędzli u paska jego szlafroka.

- Kiedy się zaopatrzysz w te rzeczy, możesz je tu przynieść, będę je trzymał dla ciebie. Zadzwoń po wizycie u lekarza.

Uderzyła w nią zakisła woń alkoholu, który pił wczoraj, odsunęła się trochę i odwróciła głowę. Myślała, że uda jej się poznać go lepiej, lecz jego filozofia życiowa napełniła ją nagłym smutkiem. Jak ułoży stosunki z nim tego lata na przykład? On nie zdaje sobie sprawy, że będzie musiała jak każdego lata pojechać do Gloucester. Gdyby

byli zaręczeni, mógłby tam przyjeżdżać, ale nie są oczywiście i nigdy nie będą, powiedział jej to właśnie. Teraz, gdy powiedział, że chce jej na swoich warunkach, stwierdziła z przerażeniem, że sama ma wątpliwości - a jeśli straciła dziewictwo z facetem, którego się boi i który, według jego własnych słów, wydaje się dość nikczemnym typem? Przez chwilę czuła się w pułapce, lecz wpojono w nią zasadę, że tylko ludzie źle wychowani dopuszczają myśl, że mogli się co do kogoś pomylić.

- Nie mogę cię prowadzić do lokali - powiedział łagodniej, jak gdyby czytał jej myśli. - Mogę cię tylko zapraszać tutaj, gdy będziesz w mieście. Zawsze będziesz mile widziana. Mogę ci zaofiarować tylko łóżko. Nie chodzę do teatru ani nocnych lokali, bardzo rzadko do restauracji. - Dottie chciała coś powiedzieć, lecz on pokręcił głową. - Nie lubię pań, które chcą płacić moje rachunki. To, co zarabiam plakatami i zamówieniami, wystarcza na moje skromne potrzeby: przejazdy, rachunki w barach i trochę niewybrednych konserw. - Ściśnięte dłonie Dottie poruszyły się gestem litości i żalu, zapomniała, że Dick jest biedny, dlatego oczywiście tak szorstko i lakonicznie mówi o widywaniu jej, to duma przez niego przemawia. - Nie martw się - uspokoił ją - mam ciotkę w Marblehead, która od czasu do czasu przysyła mi czek. Kiedyś, jeśli pożyczę dość długo, będę po niej dziedziczył. Ale nienawidzę dóbr tego świata, Boston, wybacz, że myślę o tobie w pewnej kategorii. Nienawidzę pędu do pomnażania stanu posiadania. Nie lubię naszego kinetycznego społeczeństwa.

Dottie czuła, że powinna łagodnie zaprotestować, pomyślała, że ciocia Dicka nie całkiem zaaprobowałaby jego poglądy.

- Ależ, Dick - powiedziała spokojnie - są rzeczy pozorne i prawdziwe, które warto posiadać. Gdyby wszyscy myśleli jak ty, ludzkość nigdy do niczego by nie doszła. Gnieździłibyśmy się jeszcze w jaskiniach. Nie wymyślono by nawet koła. Ludzie potrzebują bodźca, może nie w postaci pieniędzy...

- Jesteś chyba pięćdziesiątą kobietą, która mi to mówi - roześmiał się Dick. - Trzeba to złożyć na karb powszechnej edukacji, że ilekroć dziewczyna poznaje Dicka Browna, zaczyna mówić o kole i dźwigni. Pewna francuska prostytutka mówiła mi nawet o środku ciężkości w mechanizmie.

- Do widzenia - szybko rzuciła Dottie. - Nie chcę ci przeszkadzać w pracy.

- Nie zapiszesz numeru telefonu? - spytał ironicznie, kiwając z wyrzutem głową. Podała mu oprawny w granatową skórę notesik, grubym ołówkiem do rysowania zamasyście wpisał nazwisko i telefon gospodyni, miał bardzo oryginalne pismo. - Do widzenia, Boston. - Ujął jej brodę kciukiem i palcem wskazującym, pokołysał nią w zamyśleniu. - Pamiętaj, żadnych kawałów. Żadnego zakochania się.

Pomimo tego postanowienia serce Dottie podśpiewywało radośnie, gdy po trzech dniach siedziała obok Kay Petersen w poczekalni pani doktor. Czyny mówią głośniejsz niż słowa i cokolwiek by mówił Dick, faktem jest, że przysłał ją tu, żeby poślubić ją niejako *per procura* przez nałożenie „pierścienia” albo inaczej mówiąc, krążka-pessarium, czego dokona lekarka. Prosto od fryzjera, z cerą olśniewającą po kosmetycznym masażu, miała spokojną, pewną siebie minę, jak zadowolona mężatka, niemal jak mamusia i jej przyjaciółki. Czerpała spokój z wiedzy. Kay nie uwierzyłaby w to, ale Dottie poszła sama do biura świadomego macierzyństwa, gdzie podano jej nazwisko lekarki i stos ulotek opisujących mnóstwo sposobów - tampony, gąbki, czapeczki, motylkowe pessaria, naparstki, jedwabne pierścienie i spiralki - oraz ich zalety i wady. Nowy środek, zalecany przez biuro, cieszył się poparciem wszystkich amerykańskich lekarzy i został wynaleziony przez Margaret Sanger w Holandii, obecnie zaś po raz pierwszy jest sprowadzany w dużej ilości do Ameryki, żeby go mogli skopiować rodzimi wytwórcy. Środek ten jest maksymalnie bezpieczny i minimalnie niewygodny, może się nim posługiwać każda przeciętnie inteligentna lub cokolwiek bystrzejsza kobieta, stosując się do wskazówek lekarza.

Artykuł ten - gumowa czapeczka na sprężynce - jest produkowany w różnych wymiarach, należało go dobrać do narządu rodnego Dottie, aby dobrze pasował, nie uwierał i tak dalej, w taki sam sposób, w jaki się dobiera szkła do oczu. Pierwszy raz założyły to pani doktor, sprawdziła, czy dobrze siedzi, następnie nauczyła Dottie, jak zakładować, jak posmarować galaretką antykoncepcyjną, włożywszy przedtem odrobinę do pochwy, jak przykucnąć, ująć złożone pessarium kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki, lewą rozdzielić *labia majore* i wprowadzić krążek do środka tak, aby osiadł na właściwym miejscu, zamykając dostęp do szyjki, wreszcie jak palcem środkowym prawej dłoni namacać szyjkę i upewnić się, że jest przykryta gumą. Po parokrotnym powtórzeniu tej procedury pod okiem lekarki, nauczyła ona Dottie, jak i

kiedy zrobić płukanie, ile wody użyć, jak wysoko powiesić irygator, jak zacisnąć wargi sromowe na natłuszczonej kańce, żeby osiągnąć najlepszy skutek. Gdy będzie wychodzić od pani doktor, pielęgniarka poda Dottie dużą kopertę z tubką dopochwowej galaretki i małe płaskie pudełko z dopasowanym krążkiem. Pielęgniarka pouczy ją, jak się z tym wszystkim obchodzić po każdym użyciu, dokładnie wytrzeć i posypać talkiem przed włożeniem z powrotem do pudełka.

Kay i Harald omal nie zemdleli z wrażenia, słysząc, co Dottie wyprawiała za ich plecami. Przyszła odwiedzić ich w nowym mieszkaniu, przyniosła osiemnastowieczny srebrny dzbanuszek do śmietanki jako prezent ślubny - zupełnie w stylu podarunku jakiejś starej ciotki - i bukiet białych peonii; Kay skreślała się z żalu, myśląc, że za tę forszę mogli mieć coś prostego, nowoczesnego z duńskiego magazynu Jensena. A gdy Harald poszedł do kuchni robić kolację, (konserwową pastę z morskich mięczaków na grzance), Dottie spokojnie odpowiedziała na pytanie Kay, jak jej się udało wziąć sobie Dicka Browna na kochanka. W ustach Dottie to niezrównane zdanie brzmiało wprost fantastycznie, Kay natychmiast Zakonotowała je sobie, żeby powtórzyć Haraldowi. Wyglądało na to, że rzecz wydarzyła się zaledwie ubiegłej nocy w umeblowanym pokoju Dicka, a już dziś Dottie pogalopowała do biura świadomego macierzyństwa i dostała plik broszur, które miała w torebce. Kay odebrało mowę, lecz jej twarz musiała mówić, jak głęboko jest przerażona. Pomyślała, że Dottie oszalała. Pod płaszczykiem męskości, jak to określał Harald, Dick Brown był postacią bardzo pokreconą: nałogowy pijak i gwałtowny antyfeminista, cierpiał na straszliwy kompleks niższości wskutek przejść z byłą żoną, pochodzącą z wyższych sfer. Jego motywy wydawały się całkiem jasne - wykorzystuje Dottie, żeby się odegrać na owych sferach za ranę zadaną jego miłości własnej, Kay nie mogła się doczekać, aby usłyszeć, co Harald o tym sądzi, gdy zostaną sami. Pomimo to zaprosiła Dottie na kolację ku wielkiemu zdumieniu Harald, który przyniósł drinki na tacy, przekonana, że gdy Harald pójdzie do teatru, Dottie na pewno opowie więcej.

- Musiałam ją zaprosić - usprawiedliwiała się szybko w kuchni. Szepnęła mu na ucho: - Stała się rzecz straszna i my jesteśmy za to odpowiedzialni. Dick Brown ją uwiódł.

Jednakże za każdym razem gdy Kay spoglądała na Dottie - taką spokojną i konwencjonalną w perłach, szykownym szytym na miarę kostiumie z białymi wypustkami i eleganckim granatowym słomkowym kapelusiku, popijającą cocktail „Klub Koniczyny” z kubeczka projektu Russela Wrighta i wycierającą małą serwetką wąsiki z białka na górnej długiej wardze - nie mogła jej sobie wyobrazić w łóżku z mężczyzną. Harald orzekł później, że wydała mu się całkiem apetycznym kąskiem, taką wiewióreczką z miłymi orzechowymi oczami, w których czają się chochliki spokojnej radości, trzepoczącą rzęsami, ilekroć spojrzała na niego. Nie dostrzegał, że Dottie w dużej mierze zawdzięczała swój wygląd ubraniu, gdyż sprytna matka nauczyła ją znakomicie się ubierać - ona jedna z całego bostońskiego kontyngentu dziewcząt w Vassar nigdy nie nosiła szalików w kratki do tweedowych kostiumów, w których te biedaczki wyglądały jak podstarzałe wysuszone guwernantki na niedzielnej pieszej wycieczce za miasto. Według Harald, jej pełny biust, wyglądający ze skośnych dekoltów bluzek, zapowiadał zmysłowość. To musi coś znaczyć - musiała przyznać Kay - że Dick podobno z własnej i nieprzymuszonej woli kazał Dottie zaopatrzyć się w pessarium.

- Kazał ci poradzić się mnie ? - dwukrotnie spytała Kay, zdziwiona, ale i trochę pochlebiona, gdy zmywały w kuchni po wyjściu Harald. Zawsze myślała, że Dick jej nie lubi. Rzecz w tym, że choć słyszała o pessariach, sama nic takiego nie miała. Żyjąc z Haraldem stosowała tylko czopki i teraz musiała z pewnym wstydem wyznać to koleżance, która tak nieoczekiwanie ją wyprzedziła, i to po jednej nocy zaledwie... Zazdrościła jej przedsiębiorczości, że poszła do biura świadomego macierzyństwa; ona sama nigdy by się na coś takiego nie odważyła przed ślubem. Dottie pytała, czy Kay uważa za dobry znak, że Dick kazał jej to zrobić, a Kay musiała przyznać, że chyba tak, gdyż może tylko znaczyć, że on zamierza regularnie sypiać z Dottie, jeśli można to uważać za coś dobrego. Zgłębiając własne uczucia, Kay stwierdziła, że jest rozdrażniona - irytowała ją myśl, że Dottie okazała się może lepsza w łóżku od niej samej. Prawda jednak nakazywała jej przyznać, że gdyby Dick traktował to jako przelotny romans, używałby prezerwatyw (jak Harald z początku) albo stosował *coitus interruptus*.

- Musisz mu się podobać, Renfrew - orzekła, otrzepując szczotkę do mycia naczyń. - W każdym razie dość mu się podobasz.

Taki też był werdykt Haralda. Gdy obie dziewczyny, siedząc na górnym pokładzie autobusu, jechały przez Piątą Aleję do lekarki, Kay powtórzyła słowa Haralda o etykietce antykoncepcyjnej, która, według niego, jak każda inna etykieta stanowi kodeks postępowania, ukształtowany przez społeczne realia. Należało spojrzeć na to w kategoriach ekonomii. Żaden człowiek honoru (a za takiego Harald uważał Dicka) nie naraziłby dziewczyny na takie wydatki jak: honorarium lekarza plus koszt pessarium, galaretki i irygatora, jeśli nie zamierzał sypiać z nią tak długo, aby ten wydatek się opłacił. Tego Dottie może być pewna. Mężczyzna wdający się w przelotną awanturkę uważa, że znacznie prościej jest kupować „Trojany” tuzinami, choć to zmniejsza jego rozkosz, bo w ten sposób nie wiąże się z dziewczyną. Niższe klasy, na przykład, prawie nigdy nie przerzucają ciężaru antykoncepcji na kobietę, to wynalazek klasy średniej. Robotnik albo nie przejmuje się niebezpieczeństwem poczęcia, albo zanadto nie ufa dziewczynie, by pozostawić sprawę w jej rękach.

Ta głęboko zakorzeniona w naturze samca nieufność, twierdził Harald, powstrzymuje nawet mężczyzn z klasy średniej i wolnych zawodów od posłania dziewczyny do lekarza po pessarium, zbyt wiele przymusowych ślubów było skutkiem zapewnień kobiet, że są zabezpieczone. Jest jeszcze sprawa akcesoriów: niezamężna kobieta mieszkająca z rodzicami potrzebuje schowka do trzymania pessarium i irygatora, aby matka tego nie znalazła, robiąc porządki w szufladach. Oznacza to, iż mężczyzna, chyba że sam jest żonaty, musi przechowywać to dla niej w swojej komodzie lub łazience. Kustosz tych rzeczy (Harald był bardzo zabawny, mówiąc to powoli) podejmuje się świętego powiernictwa. Jeśli strzegący ich mężczyzna ma odrobinę delikatności, nie będzie przyjmował u siebie innych kobiet, które mogłyby zajrzeć do szuflad lub szafki aptecznej lub nawet uważać, że mogą skorzystać z irygatora, stanowiącego Jej świętą przynależność.

W poważnym romansie z mężatką sytuacja jest identyczna - ona kupuje jeszcze jedno pessarium i irygator, które trzyma u kochanka, i ten fakt hamuje jego zapędy, gdyby czuł pokusę zdradzenia kochanki. Mężczyzna, któremu powierzono te ważne utensylia - mówił Harald - jest związany kaucją jak urzędnik bankowy, żeby się tak

wyrazić; jeśli skoczy na bok, zrobi to raczej u kobiety, w hotelu lub choćby w taksówce, w każdym razie w jakimś miejscu nie poświęconym przez te sakralne mementa. Podobnie kobieta zamężna daje wyraz swemu przywiązaniu do kochanka, zostawiając u niego swoje drugie pessarium, tylko bardzo gruboskórna kobieta używałaby tego samego pessarium z mężem i kochankiem. Jak długo kochanek ma u siebie pessarium kochanki, niczym średniowieczny rycerz klucz od pasa cnoty swej pani, może uważać, że dama jest mu wierna. Choć może się mylić. Harald opowiadał o pewnej frywolnej mężatce, która miała pessaria rozsiane po całym mieście, jak marynarz mający żonę w każdym porcie, gdy tymczasem jej mąż, zaharowany reżyser teatralny, upewniał się o jej cnotce, sprawdzając co dzień zawartość małego pudełka w żoninej apteczce, w której leżało posypane talkiem małżeńskie pessarium.

- Harald jest głębokim znawcą przedmiotu, prawda? - powiedziała Dottie z pruderyjnym błyskiem w oku.

- Źle to ujmuję - poważnie odparła Kay. - Gdy on o tym mówi, widzi się zagadnienie w kategoriach własności. Fetyszyzm własności. Mówiłam mu, że powinien napisać na ten temat artykuł do „Esquire'a”, drukują tam całkiem dobre rzeczy. Nie uważasz, że powinien?

Dottie nie wiedziała, co powiedzieć; jej zdaniem, Harald podchodził do sprawy w sposób „nieprzyjemny”, bardzo zimny i wyrozumowany, choć może znał się na rzeczy. Był to z pewnością inny punkt widzenia od przedstawionego w broszurach świadomego macierzyństwa.

Co więcej, dalej cytowała Kay, pozbycie się pessarium i irygatora stanowi problem w kończącym się romansie. Co ma zrobić mężczyzna z tymi „higienicznymi relikami”, gdy on lub kobieta mają dość romansu? Nie można odesłać tego pocztą, jak listy miłosne czy pierścionek zaręczynowe, aczkolwiek nieokrzesani faceci, jak mówi Harald, nieraz tak robili; z drugiej strony, nie można wyrzucić do kosza na śmieci, gdzie mogliby to znaleźć dozorca lub gospodyni mieszkania, nie sposób spalić w kominku, bo powstałby straszny fetor, trzymanie zaś tego dla innej kobiety jest nie do pomyślenia przy naszych burżuazyjnych przesądach. Mężczyzna może to wsadzić do papierowej torby i zanieść w nocy do któregoś z miejskich śmietników lub wrzucić do rzeki, lecz przyjaciele Harald, którzy tak zrobili, zostali zatrzymani przez policję.

Może dlatego, że robili to bardzo ukradkowo. Pozbycie się pessarium i irygatora, *corpus delicti* romansu, nastęcza tych samych problemów, zdaniem Haralda, co pozbycie się zwłok.

- Ja mu powiedziałam, że można to zrobić, jak robią mordercy w kryminałach: oddać jako bagaż do przechowalni na stacji Grand Central i wyrzucić kwit. - Kay wybuchnęła śmiechem, ale Dottie wzdrygnęła się. Pomyślała, że to nie byłoby wcale zabawne, gdyby ten problem powstał dla niej i Dicka; za każdym razem gdy myślała o przyszłości, o okropnych komplikacjach, w jakie wikła człowieka tajny romans, miała niemal ochotę dać sobie spokój i wrócić do domu. A wszystko, co mówiła Kay, choć niewątpliwie w dobrej intencji, zdawało się obliczone na to, by zaniepokoić Dottie obojętną bezwzględnością i cynizmem.

W końcu, mówiła Kay, żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie posyła dziewczyny do lekarza po te rzeczy, jeśli nie traktuje jej poważnie. Kłopot powstaje oczywiście wtedy, gdy idzie o kobiety zamężne lub porządne dziewczyny, które mieszkają z rodzicami lub koleżankami. Bywają kobiety o dość swobodnych obyczajach - rozwódki, mieszkające samotnie sekretarki lub urzędniczki, które zaopatrują się w te rzeczy z własnej inicjatywy i wieszają worki z irygatorami na drzwiach łazienki, gdzie każdy może to zobaczyć, korzystając z ubikacji podczas cocktailu. Pewien przyjaciel Haralda, inspicjent weteran, zawsze sprawdza, co dziewczyna ma w łazience, zanim z nią zacznie - jeśli worek wisi na drzwiach, ma pewność dziewięć do dziesięciu, że będzie ją miał za pierwszym podejściem.

Wysiadły na Dolnej Piątej Alei, na twarzy Dottie pojawiły się plamy jak przy pokrzywce czy półpaścu, nieomylny znak, że była zdenerwowana. Kay jej współczuła. Dottie będzie musiała zrobić dużą rzecz, właśnie próbowała dać jej pojęcie, jak bardzo dużą, że to będzie coś znacznie trudniejszego niż utrata dziewictwa. Sprawa nie jest oczywiście tak kłopotliwa dla kobiety zamężnej, Harald natychmiast przyznał, że to dobry pomysł, żeby i Kay zamówiła wizytę i poszła razem z Dottie. Oboje z Haraldem nie cierpieli dzieci i nie zamierzali ich mieć, Kay przekonała się na przykładzie swoich rodziców, do jakiego stopnia dzieci mogą zatruć życie małżonków. Czereda jej braci i siostr zmusiła ojca do ciężkiej harówki, gdyby nie miał tylu dzieci, mógłby zostać sławnym lekarzem specjalistą, a nie zaharowanym omnibusem kierującym

jednym oddziałem w szpitalu dla upamiętnienia zasług, jakie położył w ortopedii i badaniach nad surowicą przeciw zapaleniu opon mózgowych. Biedny tatusiek cieszył się jak wariat, że posyła córkę na Wschód do Vassar, była najstarsza i najinteligentniejsza z rodzeństwa, czuła, że ojciec pragnie, aby ona miała życie, jakie sam mógł mieć, gdyby się znalazł w szerokim świecie, gdzie oceniono by go, jak na to zasługiwał. I teraz jeszcze zapraszano go do wzięcia udziału w badaniach wielkich wschodnich laboratoriów, lecz był już za stary, by móc poszerzać swą wiedzę, twierdził, że jego arterie mózgowe już stwardniały. Właśnie oszołomił Kay i Haralda szlachetnym czekiem, byli wzruszeni do łez wysokością sumy - znacznie wyższą, niż on i mamcia wydaliby przyjeżdżając na ślub. Harald nazwał to wyznaniem wiary. Nie zamierzali więc zawieść tej wiary rodząc dzieci, bo Harald musiał zdobyć sławę w teatrze. Dziwnym zbiegiem okoliczności teatr był wielką miłością tatuśka, chodził z mamcią na wszystkie przedstawienia objazdowych trup w Salt Lake City, a gdy przyjeżdżali na kongresy medyczne do Nowego Jorku, niemal co wieczór byli w teatrze. I to nie na żadnych dyrdymałkach, ulubionym autorem tatuśka po Szekspirze był Bernard Shaw. Harald uważał, że byłoby ładnie, gdyby Kay zbierała programy dobrych sztuk, aby je potem przesłać ojcu, który byłby w ten sposób dobrze poinformowany o tym, co się dzieje w teatrze.

Jak wszyscy współcześni lekarze, tatusiek był zwolennikiem świadomego macierzyństwa, sterylizacji zbrodniarzy i niedołącznych. Na pewno pochwaliby postępowanie Kay. Inna sprawa, co myślałby o Dottie. Kay była przerażona słysząc, że Dottie zamówiła wizytę pod swoim prawdziwym nazwiskiem, jako Dorothy Renfrew, nawet nie „pani” Renfrew. Jak gdyby mieszkała w Rosji lub Szwecji, a nie w pocziwych Stanach Zjednoczonych. Mnóstwo ludzi, których nie gorszyłoby to, że sypia z Dickiem (to się może przytrafić każdemu), patrzyłoby na nią krzywo, gdyby wiedzieli, co wyprawia w tej chwili. To, co człowiek robi prywatnie, to jego sprawa, lecz ta wizyta była niemal sprawą publiczną! Kay niespokojnie rozejrzała się, nigdy nie wiadomo, czy ktoś akurat nie przejeżdża autobusem lub taksówką i mógłby je zauważyć. Coraz bardziej martwiła się o Dottie i coraz mocniej wściekała się na Dicka. Harald nigdy nie naraziłby jej na taką udrękę. Po kilku razach na początku sam poszedł do drogerii, kupił jej czopki, irygator gruszkowy i „Zonite”, żeby nie musiała

stykać się ze sprzedawcą. Kay przy przechodzeniu przez ulicę mocno ujęła ramię Dottie, żeby ją uspokoić, wyrzucała sobie, że zaprosiła Dicka na swój ślub, wiedząc, jaki z niego gagatek. Przecież w przychodni może być rewizja, kartoteki zabrane i ogłoszone w gazetach, zabiłoby to rodziców Dottie, którzy na pewno zwaliliby winę na Kay, jako pionierkę całej grupy. Uważała, że to nie lada poświęcenie z jej strony towarzyszyć Dottie do lekarki w charakterze podpory moralnej, chociaż Dottie twierdziła z uporem, że świadome macierzyństwo jest absolutnie legalne i jawne dzięki orzeczeniu sądu, według którego lekarz ma prawo przepisywać środki antykoncepcyjne w celach profilaktycznych lub zdrowotnych. Gdy dzwoniły do drzwi lekarki, Kay roześmiała się patrząc na Dottie, która miała minę tak zdecydowaną jak sama pani Pankhurst w czasie demonstracji sufrażystek. Istotnie zelotyzm Dottie znajdował odbicie w urządzeniu poczekalni lekarki, panowała tu atmosfera wojującej prostoty jak w głównej kwaterze misjonarskiej sekty. Jedna wyściełana kanapa miała dwie serwetki przypięte do oparcia, pod ścianami pomalowanymi na kolor beżowy stał rząd twardych krzesel. Na półce leżały: „Hygeia”, „Parents”, „Consumers' Research Bulletin”, świeży numer „Nation” i stary numer „Harper's”. Na ścianach wisiały akwaforty przedstawiające przeludnione slumsy, pełne dzieci z krzywymi nogami, i litografia dawnej sali szpitalnej, w której młode kobiety z niemowlętami przy sobie, nie mając opieki medycznej, umierały - na gorączkę połogową, jak szeptem wyjaśniła Dottie. Panowała tu nabożna cisza, pogłębiona przez brak popielniczek i namaszczone buczenie wentylatora. Kay i Dottie, które automatycznie wyjęły papierosy z papierośnic, włożyły je z powrotem, rozejrzawszy się po poczekalni.

Siedziały tu jeszcze dwie pacjentki, czytając „Hygeia” i „Consumers' Research Bulletin”. Jedna z nich, chuda kobieta o bladej żółtawej cerze, która mogła mieć około trzydziestki, położyła na kolanach niciane rękawiczki i widać było, że nie ma obrączki, na co Dottie milcząco zwróciła uwagę Kay. Druga, w okularach bez oprawek i znoszonych sznurowanych półbutach, była już prawie w średnim wieku. Widok tych kobiet, którym daleko było do zamożności, oraz obrazków na ścianach, sprawił, że dziewczyny spoważniały. Kay pomyślała: „ile dobrego robi lekarz”, zdanie, które często słyszała w odniesieniu do swego ojca, zawstydziała się swoich powierzchownych, przemądrzałych uwag na temat świadomego macierzyństwa, które

wygłaszała w autobusie, choć przecież cytowała tylko Haralda. Ulubioną maksymą pani profesor, którą Kay szanowała najbardziej, było: „Wydłużajcie swoje anteny, dziewczęta”, i myśląc teraz o darmowych pacjentach ojca zrozumiała zmieszana, że ona i Dottie są tylko marginesem praktyki pani doktor.

Nie docierało jakoś do niej, choć Harald suszył jej tym głowę, że ona i jej przyjaciółki przestały się liczyć jako warstwa, liczą się jeszcze jako jednostki w szerszym obrazie amerykańskiego społeczeństwa, które reprezentują obie kobiety w tej poczekalni. Wczoraj wieczorem, gdy po teatrze poszli w trójkę na piwo do nielegalnego szynku, Harald wytłumaczył to Dottie. Przeniesienie potęgi finansowej z Threadneedle Street, gdzie mieści się w Londynie Bank Anglii, na Wall Street, ośrodka wielkich banków Ameryki, jest w dziejach świata wydarzeniem równie znamienym co klęska hiszpańskiej Armady, która przyspieszyła erę kapitalizmu. Gdy Roosevelt zrezygnował niedawno z parytetu złota, zadeklarował tym niezależność Ameryki od Europy i nadejście nowej, elastycznej epoki. Urząd Uzdrawienia Gospodarki Narodowej i złota dziesięciodolarowa moneta są symbolami dojścia do władzy nowej klasy. A bogate mieszczaństwo, do którego obie należą, jest politycznie i ekonomicznie skończone, jego najlepsi przedstawiciele wejdą do awansującej klasy robotników, farmerów i techników, on sam jako technik teatralny należy już do tej klasy. W czasach Belasca* reżyser był królem, teraz przede wszystkim zależy od finansistów, których może być kilku, a następnie, co jest może ważniejsze, od głównego elektryka, który może się przyczynić do sukcesu lub położyć sztukę, w zależności od tego, jak pokieruje światłami - za każdym wielkim reżyserem w teatrze, choćby takim Jedem Harrisem, stoi genialny elektryk, tak jak za każdym wielkim reżyserem filmowym stoi genialny kamerzysta. To samo dzieje się w radiu, naprawdę liczą się tam tylko inżynierowie, faceci siedzący w reżyserce. Dzisiejszy doktor zależy od techników, od facetów z laboratorium i rentgenologów.

* David Belasco (1854-1931) - amerykański producent, reżyser i dramaturg.

- To oni stawiają czy kładą diagnozę.

Poprzedniego wieczoru Kay z przejęciem wyobrażała sobie przepowiedzianą przez Haralda przyszłość jako okres powszechnej obfitości dzięki maszynom. Z przyjemnością patrzyła, jakie wrażenie wywiera on na Dottie, która nie przypuszczała, że Harald potrafi myśleć w kategoriach społecznych, gdyż w listach nie objawił się z tej strony.

- Jako jednostki - mówił - macie coś do przekazania jednostkom klasy awansującej, tak jak stara Europa ciągle jeszcze ma coś do przekazania Ameryce.

Kay z ulgą słuchała wywodu męża, który przy tym obejmował ją w talii, gdy tymczasem Dottie chłoneła jego słowa z szeroko otwartymi oczami; Kay bowiem nie chciała pozostać w ogonie historii. Nie będąc jednocześnie wielką zwolenniczką równości, musiała przyznać, że woli górować nad innymi. Gdy Harald był w dobrym humorze, jak wczoraj wieczór, uważał, że coś takiego w nowej epoce będzie możliwe, choć jakoś inaczej.

Wyjaśnił Dottie istotę technokracji, aby wykazać, że nie ma podstaw do obawiania się przyszłości, jeśli pokieruje się nią inteligentnie i naukowo. W gospodarce opartej na obfitości i nadmiarze wolnego czasu, co już jest realne dzięki maszynom, każdy będzie pracował zaledwie kilka godzin dziennie. Właśnie przy takiej gospodarce jego klasa, klasa artystów i techników, zajmie drogą naturalną najwyższe miejsce, a hołd składany obecnie pieniądзом będzie w przyszłości składany inżynierom i autorom pomysłów na wypełnienie wolnego czasu. Więcej czasu wolnego od pracy oznacza więcej czasu dla sztuki i kultury. Dottie była ciekawa, co się stanie z kapitalistami (ojciec jej miał przedsiębiorstwo importowe), więc Kay pytająco spojrzała na męża.

- Kapitał przejdzie w ręce rządu - oznajmił Harald. - Po krótkiej walce. Jesteśmy właśnie świadkami tego procesu. Minister, który będzie po prostu technikiem na wielką skalę, zajmie miejsce wielkiego kapitalisty w przemyśle. Własność prywatna staje się przestarzała, a rej wodzą w gospodarce wysocy urzędnicy państwowi.

- Choćby taki Robert Moses - wtrąciła Kay. - Zmienia całkowicie wygląd Nowego Jorku swoimi wspaniałymi nowymi alejami i terenami rekreacyjnymi. - Namawiała Dottie, żeby się przejechała do Jones Beach (plaża i park w sercu Nowego

Jorku), wspaniały przykład, jest o tym głęboko przekonana, planowania na szeroką skalę możliwości rekreacyjnych. - Wszyscy z Oyster Bay - ciągnęła dalej - jeżdżą tam teraz popływać. To ostatnia moda, zamiast pływać w klubowym basenie.

Inicjatywa prywatna, dorzucił Harald, może jeszcze odegrać rolę, jeśli będzie miała wyobraźnię. Miasteczko radiowe, w którym przez jakiś czas pracował jako inspicjent, jest dobrym przykładem obywatelskiego planowania podjętego przez takich światłych kapitalistów jak Rockefellerowie. Kay wspomniała Modern Museum, również korzystające z dotacji Rockefellerów. Była szczerze przekonana, że Nowy Jork znajduje się teraz w erze nowego odrodzenia, w której dzisiejsi Medyceusze współzawodniczą z własnością publiczną, by stworzyć nowoczesną Florencję. Widać to nawet w magazynie Macy'ego, dodał Harald, gdzie światli kupcy, Żydzi Straussowie, kształcą grono techników z wyższych kręgów mieszczaństwa takich jak Kay, żeby zamienić sklep w coś więcej niż magazyn, coś zbliżonego do ośrodka obywatelskiego lub stałego bazaru z eksponatami o charakterze edukacyjnym, jak stary Cristal Palace w Anglii. Potem Kay mówiła o szykownych, świeżo odrestaurowanych domach w okolicy Pięćdziesiątych i Osiemdziesiątych ulic nad East River - czarne budynki z białymi żaluzjami i ramami okiennymi stanowią jeszcze jeden przykład inteligentnego planowania kapitalistów. Są dziełem Vincenta Astora. Czysze tu raczej wysokie, ale za te pieniądze ma się widok na rzekę nie gorszy niż z Sutton Place, gdzieś ogródek, żaluzje w dawnym stylu, ale zmodernizowane, i całkowicie nowoczesne kuchnie. Kiedy się pomyśli, że to były rudery, prawdopodobnie pełne robactwa i z niehigienicznymi wspólnymi ubikacjami na korytarzach, to się rozumie, czego dokonał kapitał Astorów! Inni właściciele nieruchomości idą ich śladem, przebudowują stare, koszarowate czynszówki na świetnie wyposażone trzy- lub czteropiętrowe bloki z centralnymi podwórzami obsadzonymi trawą i krzewami, dwu- lub trzypokojowymi mieszkaniami dla młodych, niektóre z kominkami i ściennymi szafkami na książki, a wszystkie z nowymi instalacjami wodociągowymi, kuchniami i lodówkami. Likwiduje się w tych budowlach bezużyteczne pomieszczenia - nie ma westybulów czy jadalni jak w staroświeckich mieszkaniach. Kay wyjaśniła, że Harald jest fanatycznym wrogiem bezużytecznych pomieszczeń. Uważa, że dom powinien być maszyną do życia. Gdy

znajdą stałe mieszkanie, będą mieli wszystko wbudowane w ściany: szafki na książki, komody, biurka. Zamiast łóżek sprawią sobie sprężynowe materace ułożone na czterech niskich kołkach, zamierzają też zrobić sobie stół do jedzenia wchodzący po złożeniu go w ścianę jak łóżko ściennie - blat w kształcie deski do prasowania, tyle że szerszy od niej.

Kay rzadko była równie szczęśliwa jak wtedy, gdy rozwijała te pomysły przed Dottie, a Harald słuchał z pytająco uniesioną brwią, poprawiając ją, jeśli się pomyliła. Dottie zepsuła trochę nastrój, pytając łagodnie tubalnym głosem, co się dzieje z biedotą, która dawniej mieszkała w tych domach. Dokąd ci ludzie się przenieśli? Pytanie to nigdy nie przyszło na myśl Kay, a Harald nie potrafił na nie odpowiedzieć, co natychmiast pogorszyło mu humor.

- *Cut bono?* - rzucił. - Kto na tym zyskuje? Co? - Skinął na kelnera, żeby przyniósł drugą kolejkę piwa. Zaniepokoiło to Kay, która wiedziała, że jutro rano o dziesiątej ma on próbę z powodu zastępstwa. - Twoje pytanie jest proste i głębokie jednocześnie - rzekł do Dottie. - Co się dzieje z biedotą? - Spojrzał ponuro przed siebie, jakby nikogo w lokalu nie było. - Czy biedota chodzi na rozległą, czystą, antyseptyczną plażę pana Mosesa, którą Kay uważa za taką wspaniałą i „obywatelską”? Nie, moje panie, nie chodzi, nie stać jej na zapłacenie za wstęp ani na samochód, który by ją tam dowiózł. Korzysta więc z tej plaży uprzywilejowana socjeta z Oyster Bay: przekłęci spekulanci i grabieżcy, którzy kręcą ślicznie upudrowanymi noskami na publiczne koryto.

Kay spostrzegła, że Harald zapada się w „bagnie przygnębienia” (tak nazwali jego nagle skandynawskie napady gorzkiej depresji), zdołała jednak zwiękslować rozmowę na bezpieczniejsze tory, mianowicie na przepisy kulinarne i gotowanie, jeden z jego ulubionych tematów, tak że wrócili do domu i poszli spać około pół do drugiej nad ranem. Harald był nieobliczalny, potrafił obruszać się i napadać na rzeczy, w które najgłębiej wierzył. Teraz siedząc w poczekalni i skrycie obserwując inne pacjentki, Kay mogła sobie łatwo wyobrazić, że Harald zarzuca jej i Dottie, że „spekulują” na kruczacie świadomego macierzyństwa, której prawdziwym celem jest ograniczenie liczebności rodzin biedaków. Zaczęła bronić się w myśli. Świadome macierzyństwo, dowodziła, jest dla tych, co potrafią z niego korzystać i docenić je -

czyli dla ludzi wykształconych. To tak jak z tymi odrestaurowanymi domami: gdyby biedakom dano możliwość wprowadzenia się do nich, z miejsca by je zniszczyli z powodu braku wykształcenia.

Dottie też myślała o wczorajszym wieczorze. Fascynowało ją to, że Kay i Harald mieli zaplanowane całe swoje życie. Gdy ona zacznie we wrześniu pracować u Macy'ego, on będzie rano robił śniadanie, posprząta, załatwi zakupy, tak że wszystko będzie gotowe, aby Kay mogła po powrocie ugotować kolację, zaś listę potraw na cały tydzień ułożą podczas weekendów. Specjalnością Haralda było włoskie spaghetti, potrawa łatwa dla każdego początkującego, poza tym pasta z mięczaków - wspaniała - którą jedli wczoraj, klopsiki gotowane na parze z posolonej wody (żadnego tłuszczu) oraz szybki, łatwy klops, który nauczyła go przyrządzać matka: jedna trzecia wołowiny, jedna trzecia wieprzowiny i jedna trzecia cielęciny, dodać drobno posiekaną cebulkę, polać puszką zupy pomidorowej Campbella i zapiec w piekarniku. Znał jeszcze potrawę *chile con carne*, którą robiło się z konserwowej czerwonej fasolki szparagowej, zupy pomidorowej, cebuli i pół funta mielonego mięsa, podawało się to z ryżem i starczało dla sześciu osób. Przepis na tę potrawę Harald również miał od swojej matki. Żeby się nie dać prześcignąć - śmiejąc się, powiedziała Kay - ona napisała z kolei do swojej matki z prośbą o rodzinne przepisy kulinarne tańszego rodzaju: nerki cielęce z sherry i grzybami oraz wspaniała sałatka w galarecie, zwana „zieloną boginią”, którą robiło się z cytrynowej żelatyny, krewetek, majonezu i *avocado*, rozlewało się to na noc do foremek, a na drugi dzień wykladało na listek sałaty. Kay wpadła w ręce nowa książka kucharska z całym rozdziałem o potrawach duszonych i zagranicznych, o wiele bardziej pomysłowa od książki kucharskiej Fannie Farmer i starej bostońskiej szkoły gotowania. W niedzielę zamierzali przyjmować gości, zapraszaliby ich albo na późne śniadanie składające się z cieniutko pokrojonej wędzonej wołowiny czy wołowiny konserwowej, albo na kolację z jakąś duszoną potrawą. Harald twierdził, że amerykańskiej kuchni brak wyobraźni, cechuje ją dziki strach przed podrobami i czosnkiem. On sam używa czosnku do wszystkiego i cieszy się opinią nie lada kucharza. Kay dodała, że bardzo ważne są przyprawy.

- Posłuchaj, jak Harald przyrządza wędzoną wołowinę - powiedziała. - Dodaje musztardy, pikantnego sosu Worcester i tartego sera, chyba się nie mylę? Jeszcze

zielonego pieprzu i jajko, nie pomyślałabyś nawet, że to ta sama okropna biaława wołowina, którą jadałyśmy w college'u.

Kay roześmiała się wesoło w nielegalnym szynku. Poradziła Dottie, żeby czytała przepisy kulinarne w „Tribune”, jeśli chce się nauczyć dobrze gotować.

- Kocham „Tribune” - oświadczyła. - Harald nawrócił mnie na to pismo, przestałam czytać „Timesa”.

- „Tribune” ma znacznie lepszą czcionkę - wtrącił Harald.

- Masz szczęście, Kay - ciepło powiedziała Dottie - że znalazłaś męża, który lubi gotować i nie boi się próbować rzeczy nowych. Większość panów ma okropnie konserwatywny smak. Tatusz słyszeć nie chce o gotowych potrawach, z wyjątkiem uświęconej fasoli z puszki w soboty. - Oczy Dottie zabłyśły humorem, szczerze jednak uważała, że Kay ma szczęście.

- Powiedz kucharce, żeby spróbowała nowego sposobu przyrządzania fasoli z puszki - poradziła Kay. - Dodaje się tylko keczupu, musztardy, sosu Worcester, posypuje gęsto melasowym cukrem, obkłada plasterkami bekonu i wstawia do piekarnika w szklanym żaroodpornym naczyniu.

- To musi być doskonałe, ale tatuś by umarł - rzekła Dottie.

Harald skinął głową. Zaczął się rozwodzić bardzo uczenie nad uprzedzeniem kół konserwatywnych do żywności konserwowej, wyjaśnił, że to się bierze z dawnej obawy przed zatruciem, gdyż przetwory domowe bardzo często się psuły. Nowoczesne maszyny i fabryczne metody konserwowania usunęły oczywiście wszelkie bakterie, mimo to uprzedzenie nie minęło, a szkoda, bo mnóstwo konserw, takie jak warzywa zakonserwowane w najlepszym dla nich okresie i niektóre zupy Campbella są lepsze od wszystkiego, co może osiągnąć domowy kucharz.

- Próbowałaś nowych Delicji Kukurydzianych? - spytała Kay. Dottie pokręciła głową. - Powinnaś o nich powiedzieć matce. Całe ziarna kukurydzy. Wspaniałe. Prawie jak kukurydza na kaczanie. Harald to odkrył. - Zamyśliła się. - A czy twoja mama zna sałatę lodową? To nowa odmiana, bardzo krucha i cudownie zachowująca świeżość. Jeśli raz jej spróbujesz, to potem nie spojrzysz już na zwykłą bostońską sałatę. Nazywają ją sałatą Simpsona.

Dottie westchnęła. Zastanawiała się, czy Kay zdaje sobie sprawę, że oto wydała wyrok śmierci na bostońską sałatę, bostońską fasolę i bostońską szkołę gotowania? Mimo to zamierzała po przyjeździe na wieś przekazać matce niektóre przepisy Kay. Miała nieczyste sumienie wobec matki od chwili powrotu do klubu Vassar tamtego fatalnego dnia (czy to tylko przedwczoraj?), gdy znalazła wiadomość, że dzwonił ktoś z Gloucester wczoraj wieczór i znów dziś o dziewiątej rano. Bardzo trudno przyszło jej pierwsze kłamstwo wobec matki, której powiedziała, że pozostała na noc razem z Polly u jej cioci. I teraz serce jej się krajało na myśl, że nie może powiedzieć matce o wizycie w biurze świadomego macierzyństwa i u lekarki, a przecież mama byłaby ogromnie zainteresowana, bo studiowała w Vassar razem z Lucy Stoners i bojowniczkami o prawa kobiet.

Gnębiące ją uczucie, że coś zataiła, obudziło w niej silniejszą niż zazwyczaj chęć wynagrodzenia tego matce jakimś miłym drobiazgiem - na przykład opowiadaniem o kuchni i gospodarstwie Kay i Haralda, co ogromnie ubawi mamę. Może nawet mogłaby powiedzieć, że Kay była w biurze świadomego macierzyństwa i została skierowana tam po ten nowy środek?

- Panna Renfrew! - cicho zawołała pielęgniarka, Dottie wzdrygnęła się i wstała. Rzuciła Kay ostatnie rozpaczliwe spojrzenie, jak uczennica w internacie, która została wezwana do dyrektorki; powoli przeszła do gabinetu lekarki, kolana jej się trzęsły i uderzały jedno o drugie, ledwie trzymała się na nogach. Za biurkiem siedziała kobieta w białym fartuchu, smągła, z dużym kokiem czarnych włosów. Pani doktor była bardzo przystojna, wyglądała na lat czterdzieści, jej duże, czarne błyszczące oczy musnęły Dottie jak promienie elektryczne, szeroką dłońią o zwięzających się palcach wskazała jej krzesło. Zaczęła pytać o przebyte choroby, jak gdyby to była zwykła wizyta, jej ołówek rzeczowo zapisywał odpowiedzi Dottie na temat odry, koklusz, egzemy i astmy. Jednakże Dottie zaczęła wyczuwać emanujący od tej kobiety magnetyczny ciepły urok, który zdawał się jej mówić, żeby się nie bała. Pomyślała niemal ze zdziwieniem, że przecież obie są kobietami. Kobięcość pani doktor działała uspokajająco tak jak jej biały fartuch, na jej palcu połyskiwała szeroka złota obrączka, która wydała się Dottie pogodna i duża jak sama pani.

- Miała już pani stosunki z mężczyzną, Dorothy? - Pytanie padło tak naturalnie po rozmowie o operacjach i przebytych chorobach, że Dottie potwierdziła bez namysłu. - Doskonale! - wykrzyknęła lekarka, a gdy Dottie niepewnie podniosła oczy, tamta uśmiechnęła się zachęcająco. - To nam ułatwi dobranie właściwego rozmiaru - powiedziała tonem pochwały, jak gdyby Dottie była grzecznym dzieckiem.

Fachowość lekarki zdumiewała Dottie, patrzyła zafascynowana, znieczulona osobowością tej kobiety, podczas gdy pytania niczym delikatnie manewrowane kleszcze wyciągały z niej odpowiedzi, które powinny były być bolesne, a jednak nie były. To bezbolesne przesłuchanie zawierało nie więcej ciekawości, dlaczego i kto zdeflorował Dottie, niż gdyby Dick był instrumentem chirurgicznym - czy przeniknął ją całkowicie, czy bardzo krwawiła, czy bardzo bolało? Jaką metodę antykoncepcyjną zastosował, czy akt został powtórzony?

- Wycofanie - cicho powiedziała lekarka, zapisując to na osobnej kartce. - Lubimy wiedzieć - wyjaśniła z przelotnym serdecznym uśmiechem - jakie metody stosowały nasze pacjentki przed przyjściem do nas. Kiedy stosunek miał miejsce?

- Trzy noce temu - odparła Dottie, oblewając się rumieńcem i myśląc, że teraz zaczną wreszcie mówić o jej zyciorysie.

- Kiedy był ostatni okres? - Dottie podała datę, lekarka spojrzała na stojący na biurku kalendarz. - Doskonale. Proszę iść do łazienki, oddać mocz, zdjąć pas i majteczki, może pani zostać w halce, ale proszę odpiąć stanik.

Badanie pochwy i dobieranie krążka nie sprawiały Dottie przykrości. Zła chwila nadeszła, gdy uczyła się sama wkładać krążek. Zazwyczaj dobrze sobie radziła z rękami i miała zręczne ruchy, teraz jednak stały się niepewne pod spojrzeniami pani doktor i pielęgniarki, równie badawczymi i bezosobowymi jak gumowe rękawiczki lekarza. Gdy próbowała złożyć krążek w pól, śliski, wysmarowany galaretką przedmiot wyskoczył jej z palców i poleciał przez cały gabinet, uderzając o sterylizator. Dottie umierała ze wstydu. Okazało się jednak, że to nic nowego dla pani doktor i pielęgniarki.

- Proszę spróbować jeszcze raz - powiedziała spokojnie lekarka, wyjmując z szuflady inny krążek tego samego rozmiaru. I chcąc jak gdyby zająć czymś uwagę Dottie, wygłosiła coś w rodzaju małego wykładu na temat historii pessarium, śledząc

jednocześnie kątem oka wysiłki Dottie: mianowicie, że medyczny krążek był znany starożytnym Grekom, Żydom i Egipcjanom, że Margaret Sanger jest wynalazczynią dzisiejszego pessarium i dokonała tego wynalazku w Holandii i że w Ameryce toczyła się długa walka w sądach... Dottie czytała o tym wszystkim, nie chciała jednak tego powiedzieć tej ciemnej, majestatycznej pani, poruszającej się wśród swoich instrumentów jak kapłanka w świątyni. Wiedziano powszechnie z prasy, że sama pani doktor została aresztowana zaledwie kilka lat temu podczas rewizji w klinice świadomego macierzyństwa i odzyskała wolność dzięki orzeczeniu sądu. Słuchanie, jak opowiada o misji całego swego życia, było zaszczytem, niczym dotknięcie szaty proroka, i Dottie czuła nabożny szacunek.

- Praktyka prywatna nie daje chyba wielkiego pola do działania - powiedziała współczująco. Dla osoby tak dynamicznej jak pani doktor dobieranie krążków dla dziewcząt w rodzaju Dottie nie mogło być wielkim zadaniem.

- Jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia - westchnęła lekarka, wyjmując krążek z pochwy i z aprobatą kiwając głową. Gestem przywołała Dottie do biurka. - Tyle naszych pacjentek klinicznych nie chce tego używać po dobraniu odpowiedniego rozmiaru lub też używa nieregularnie.

Pielęgniarka kiwnęła głową w białym czepku i mlasnęła językiem.

- I to właśnie takie, prawda, pani doktor, które najbardziej powinny ograniczać liczebność swoich rodzin. Z prywatnymi pacjentkami mamy większą pewność, że zastosują się do naszych wskazówek, panno Renfrew. - Pielęgniarka uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie będzie mi już pani potrzebna, panno Brimmer - powiedziała lekarka, myjąc ręce w umywalce.

Pielęgniarka wyszła. Dottie chciała pójść za nią, czuła się głupio w spuszczonej do kostek pończochach i rozpiętym staniku.

- Chwileczkę, Dorothy! - zatrzymała ją lekarka, odwracając się i patrząc na nią błyszczącymi oczami. - Są jakieś pytania?

Dottie zawahała się, teraz gdy lody zostały przełamane, miała wielką ochotę opowiedzieć pani doktor o Dicku. Zauważyła jednak ze współczuciem, że twarz tamtej jest poznaczona małymi zmarszczkami i wygląda na zmęczoną. I miała przecież

jeszcze inne pacjentki, Kay czekała na przyjęcie. Bała się też, że po wysłuchaniu opowieści pani doktor może jej kazać wrócić do klubu Vassar, spakować się i pojechać do domu pociągiem o szóstej, a z Dickiem nigdy więcej się nie spotykać. W takim przypadku krążek by się zmarnował i wszystko byłoby na próżno.

- Rady lekarza - ciepło odezwała się lekarka, patrząc uważnie na Dottie - często mogą pomóc pacjentom w osiągnięciu pełnej satysfakcji seksualnej. Młode kobiety, które do mnie przychodzą, mają prawo spodziewać się, że akt seksualny da im najgłębszą satysfakcję.

Dottie podrapała się w podbródek, na jej dekolcie ukazały się plamy. Miała wielką ochotę zapytać o pewną rzecz, o której lekarz powinien wiedzieć, zwłaszcza jeśli jest zameżną kobietą. Nie zwierzyła się oczywiście Kay z tego, co ciągle nie dawało jej spokoju: cóż znaczy, jeśli mężczyzna idzie z dziewczyną do łóżka i ani razu jej nie pocałuje, nawet w chwili największego uniesienia? O tym, jeśli dobrze wiedziała, nie było mowy w książkach o seksie, może to jednak zjawisko zbyt pospolite, by naukowcy mieli je odnotowywać, lub może istnieje naturalne wyjaśnienie, o którym już myślała - na przykład nieświeży oddech lub angina. A może Dick złożył ślub, jak ci, co ślubują nie golić się i nie myć, dopóki nie spełni im się coś, czego pragną. Nie mogła jednak przestać się tym trapić, a gdy mimo woli sobie to przypominała, oblewała się cała szkarłatem jak w tej chwili. W głębi duszy bała się, że Dick może jest „nie taki jak trzeba”, według określenia jej ojca. Teraz miała okazję dowiedzieć się, co to znaczy. Nie potrafiła jednak znaleźć odpowiednich słów, by spytać o to w tym lśniąącym gabinecie. Jak by to brzmiało w terminologii fachowej? „Jeśli mężczyzna nie szuka ustnego kontaktu”? Żaloszny dołeczek pojawił się w policzku Dottie, nawet Kay nie mogłaby czegoś takiego powiedzieć.

- Czy jest coś nienormalnego... - zaczęła i bezradna utkwiała spojrzenie w wysokiej, spokojnej kobiecie. - Jeśli przed aktem seksualnym...

- Słucham - zachęciła ją lekarka.

- To bardzo proste - powiedziała Dottie, kaszląc z zakłopotania - ale jakoś nie potrafię tego powiedzieć.

Lekarka czekała.

- Może mogłabym pani pomóc. Każdy sposób dający rozkosz partnerom - zaczęła z naciskiem - jest absolutnie dopuszczalny i naturalny. Posługiwanie się rękami czy ustami w miłości nie jest niemoralne, jeśli daje satysfakcję obu partnerom.

Dottie dostała gęziej skórki, doskonale wiedziała, o czym pani doktor mówi, i mimo woli pomyślała z przerażeniem, czy jako mężatka pani doktor uprawia to, co zaleca. Czuła najgłębszą odrazę do czegoś takiego.

- Dziękuję, pani doktor - powiedziała, zamykając temat.

Gdy się ubrała i upudrowała, wzięła dużą kopertę, którą podała jej pielęgniarka w pokoju przylegającym do gabinetu, i zapłaciła nowymi banknotami wyjętymi z portfela. Nie poczekała na Kay. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się drogeria z termoforami na wystawie. Weszła tam i jakoś zdołała kupić irygator. Następnie usiadła w budce telefonicznej i zadzwoniła do Dicka. Po długim dzwonieniu ktoś przyjął telefon. Dicka nie było w domu. Nie przewidziała takiej ewentualności. Myślała, bez zastanowienia, że będzie siedział w domu i czekał na nią, bo wykonała już swoją misję. „Zadzwoń po wizycie u lekarza.” Poszła wolno przez Ósmą ulicę do Washington Square, usiadła na ławce w parku ze swoimi paczkami. Po jakiejś godzinie, w ciągu której patrzyła na bawiące się w parku dzieci i wysłuchiwała sprzeczki jakichś młodych Żydów, wróciła do drogerii i ponownie zatelefonowała do Dicka. Ciągle go nie było. Wróciła do parku, ktoś jednak zajął jej ławkę. Poszła kawałek dalej i znalazła inną, ale siedzieli na niej ludzie, więc musiała trzymać paczki na kolanach. Irygator w dużym pudle ześlizgiwał się jej z kolan przy każdym ruchu lub zakładaniu nogi na nogę, musiała ciągle się po niego schylać. Miała bieliznę lepką od smarowideł lekarki, czuła się ohydnie brudna i przelekła się, że może dostała ciotkę. Po jakimś czasie dzieci powychodziły z parku, usłyszała dzwony wzywające na wieczorne modły.

Miała ochotę wejść do kościoła i pomodlić się, często to robiła w porze nieszporów (przy okazji obejrzałaby szybko, bez świadków, tył spódnicy), ale wchodzenie do kościoła z tymi paczkami byłoby czymś nieprzyzwoitym. Nie miała też odwagi zabrać tego do klubu Vassar, gdzie zajmowała wspólny pokój z Heleną, która mogła spytać, co kupiła. Robiło się późno, dawno minęła godzina szósta, lecz w parku było jeszcze jasno i Dottie zdawało się, że wszyscy ją widzą. Po raz trzeci zadzwoniła

do Dicka z hallu hotelu „Brevoort”, lecz przedtem poszła do ubikacji. Zostawiła dla niego wiadomość, że panna Renfrew czeka na ławce na Washington Square. Bała się czekać w hallu hotelowym, gdzie mogłaby się natknąć na znajomych. Wracając do parku żałowała, że zostawiła wiadomość, bo nie mogła już niepokoić gospodyni dalszymi telefonami. Teraz wydało jej się dziwne, że Dick nie zatelefonował do niej do klubu Vassar, po prostu żeby dać znak życia po tych dwu i pół dniach, odkąd wyszła od niego. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić tam, gdzie mogła być dla niej wiadomość, bała się jednak przeraźliwie, żeby jej nie połączono z Heleną. Poza tym nie powinna stąd odchodzić, bo on mógł w każdej chwili przyjść. W parku robiło się coraz ciemniej, na ławkach siadały zakochane pary. Minęła dziewiątą, gdy zdecydowała się odejść, bo zaczęli ją zaczepiać mężczyźni i obserwował policjant. Przypomniała sobie, co Kay mówiła w autobusie o „corpus delicti” romansu. Jakże to prawdziwe!

Fakt, że go nie ma w domu, niczego nie dowodzi - pocieszała się. To może wynikać z mnóstwa powodów - na przykład, że go dokądś wezwano. Wiedziała jednak, że to czegoś dowodzi. To znak. Zaczęła w ciemności cichutko popłakiwać, postanowiła policzyć do stu, nim odejdzie. Gdy odliczyła piątą setkę, doszła do wniosku, że to na nic - nawet jeśli dostał jej wiadomość, to i tak już nie przyjdzie. Pozostało jej tylko jedno wyjście. Modląc się w duchu, by nikt jej nie zauważył, wsunęła antykoncepcyjne wyposażenie pod ławkę, na której siedziała, i tak szybko, jak mogła, by nie zwrócić na siebie uwagi, ruszyła w kierunku Piątej Alei. Wolna taksówka zatrzymała się na rogu i zawiozła cicho szlochającą Dottie do klubu Vassar. Nazajutrz o świcie, nim obudziło się miasto, wróciła pociągiem do Bostonu.

ROZDZIAŁ 4

Pewnego dnia we wrześniu Harald stracił nową posadę. Powiedział reżyserowi, żeby się wypchał, i ta ciota wymówiła mu pracę. Kay uważała, że mogłaby sprzedać tę historię do „New Yorkera”, gdyby potrafiła ją opisać.

Właśnie wróciła z pracy i wkładała fartuszek, gdy usłyszała kroki męża na schodach, co ją bardzo zdziwiło, bo w teatrze nie robiono na ogół przerwy na kolację przed pół do siódma czy siódma. Przyniósł pół litra dzinu ze sklepu z napojami alkoholowymi, a jego ciemne, głęboko osadzone oczy dziwnie lśniły. Od razu zgadła, co się stało.

- Zdaję sobie sprawę - powiedział sztywno - co to za ironia losu. Jak widać wybrałaś sobie ofermę na męża.

- Jak możesz tak mówić? - oburzyła się Kay ze łzami w oczach, bo wcale tak nie myślała.

Należało jednak przyznać, że to jest ironia losu. Pierwszego października kończyła im się dzierżawa wynajętego na lato mieszkania i mieli się przeprowadzić na własne śmieci do eleganckiego domu, przebudowanego ze starej czynszowej kamienicy, z zielonym podwórzem i portierem w budce jak *concierge*. Podpisali kontrakt dzierżawy i zapłacili za miesiąc komorne - sto dwa dolary pięćdziesiąt centów, łącznie z gazem i elektrycznością. Było to więcej, niż Haraldowi kiedykolwiek śniło się, że zapłaci, lecz Kay dowodziła, jakoby ekonomiści uważali czwartą część dochodów za właściwy wydatek na czynsz - ona zarabia dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo, a on będzie miał siedemdziesiąt pięć, gdy sztuka wejdzie na afisz. Więc mogą sobie pozwolić na zapłacenie stu dolarów miesięcznie (lub mogli do dziś), a gdy się odliczy koszt gazu i elektryczności, to faktycznie płaciliby mniej. Harald, jak to mężczyzna, wtrącił, że nie ma się obowiązku wydawać czwartej części dochodów - stwierdzał jedynie fakt, tłumaczył się, gdy Kay chciała to zacytować przyjaciołom na dowód, jaki on jest dowcipny. Kochała to jego *risus sardonicus*, jak mawiała mama Heleny Davison.

Teraz jednak, rzecz dziwna, gdy szła za nim do pokoju, patrząc, jak z tym swoim zagadkowym półuśmieszkiem wkłada papierosa w cygarniczkę, poczuła, że

ogarnia ją wściekłość. Widząc jego minę była pewna, że będzie chciał wycofać się z dzierżawy mieszkania, zasłaniając się utratą posady, zaświtała jej nawet w głowie zła myśl, że stracił pracę, by mieć pretekst do tego. Spokojnie, Strong! - mitygowała siebie (po trzech miesiącach małżeństwa nie oswoiła się jeszcze z nazwiskiem Petersen). - Hamuj się! Szczególnie dziś Harald potrzebuje jej współczucia, choć duma nie pozwala mu tego okazać.

Biedny Harald był przez całe prawie lato bezrobotny. Sztuka, przy której był zatrudniony, zeszła z afisza z nastaniem upałów, w sobotę zaraz po ich ślubie ukazały się w gazetach komunikaty o ostatnich przedstawieniach. Było już za późno, by się zaciepić w którymś z letnich teatrów, aczkolwiek Kay myślała, że na jego miejscu jednak by spróbowała. Stwierdziła, że nie jest tak wytrwały jak ona. Obawiała się chwilami, że małżeństwo, zamiast stać się dla niego bodźcem, wpływa na niego niemal hamująco. Wreszcie, zupełnie niespodziewanie, zaproponowano mu obecną pracę - najlepszą, jaką miał do tej pory: powierzono mu pieczę nad tekstem rewii satyrycznej krytykującej kryzys gospodarczy, pod tytułem *Niech żyje Kolumbia!*, której premiera była przewidziana na październik; formalnie był tylko inspicjentem, lecz producent upoważnił go do spróbowania sił przy reżyserowaniu skeczów, bo główny reżyser, stary skurwiel od Shuberta, robił dotychczas tylko rewie z girlsami. Okazało się, że producent od dawna miał na Haralda oko i teraz dawał mu szansę, aby pokazał, co potrafi.

- To prawie zbyt dobre, aby było prawdziwe - cieszyła się Kay, widziała już nazwisko Haralda w programie jako drugiego reżysera. Lecz po tygodniu prób pojawiły się pierwsze chmury na niebie. Producent nie określił wyraźnie, kto i co ma robić; Harald przypisywał to jego wewnętrznemu rozdarciu, nie mógł się zdecydować, jaką rewię chce wystawić - intelektualną, z dowcipami, piosenkami i naprawdę aktualnymi skeczami czy stereotypowy kretyński groch z kapustą, trzymający się kupy tylko dzięki paru gwiazdom. Wykorzystywał więc Haralda jako swoistego królika doświadczalnego. Harald ustawiał jakąś scenę, a gdy ją zafiksował, zjawiał się reżyser i wszystko zmieniał - wprowadzał sznur girlsek do marszu bezrobotnych lub do skeczu o strajku mleczarzy wsadzał farmereczki w słomkowych kapeluszach. Autorzy byli w stu procentach po stronie Haralda, lecz gdy Harald odwoływał się do producenta, ten

kluczył, mówiąc: „Spróbuj to tak na razie.” Albo: „Czekaj!” Jednakże przez cały czas prób reżyser przejeżdżał się po Haraldzie przy byle okazji, wystarczyło, żeby spóźnił się parę minut po przerwie na kolację lub nie dopilnował wejścia tekstu na muzykę, a wszystko dlatego że Harald trzymał się koncepcji autorów, aż do dzisiejszego feralnego dnia, gdy w obecności całego zespołu bardzo spokojnie powiedział reżyserowi, że nie nadaje się do reżyserowania tekstu zawierającego myśli. Kay dałaby wiele, żeby móc to widzieć. Reżyser, który naturalnie nie dorastał Haraldowi do pięt inteligencją, zaczął krzyczeć, żeby się wynosił. I tak, zanim rewia weszła na afisz, Harald znalazł się na bruku. Gdy poszedł zaprotestować do producenta (Kay mogła mu powiedzieć, iż błędem było liczyć na lojalność producenta), ten, nie mając odwagi spojrzeć Haraldowi w oczy, kazał mu powiedzieć, że w tym stadium prób nie może się przeciwstawić reżyserowi, wobec czego skarbnik wypłacił Haraldowi dwutygodniową pensję, poczęstował go drinkiem i do widzenia.

Kay czuła zapach whisky na receptę, którą skarbnik poczęstował Haralda, aby dodać mu ducha; przez straszną chwilę, gdy otworzyła mu drzwi, zobaczyła go z butelką dżinu i owiał ją ziejący od niego alkohol, pomyślała z przerażeniem, że może go wylano za picie w pracy. Lecz po wysłuchaniu relacji Haralda zrozumiała, jak bardzo krzywdzące dla niego było takie przypuszczenie. Nie tylko skarbnik, lecz cały zespół okazał mu współczucie. Większość wykonawców głównych ról zatrzymała go ostentacyjnie, gdy wychodził, wyrażając swój żal. Autorzy (jeden z nich stale pisywał do „Vanity Fair”) pobiegli do reżysera protestując, jedna z girlssek płakała...

Kay w ślicznym czerwonym fartuszk z białymi aplikacjami, prezencie od matki, siedziała, potakując Haraldowi, gdy ten przemierzał pokój, odtwarzając scenę, jaka się rozegrała w teatrze. Co jakiś czas zadawała mu pytanie, żeby lepiej zrozumieć, siłąc się na obojętny ton. Chciała się upewnić przed napisaniem do rodziców, że on mówi całą prawdę, a nie swoją wersję. W Vassar wpajano wspaniałą zasadę studentkom: miej umysł otwarty i zawsze domagaj się dowodów, nawet od własnych stronników.

Aczkolwiek wierzyła w wersję Haralda, potwierdzały ją bowiem wszystkie znane jej fakty, rozumiała, że ktoś postronny, na przykład jej tatusiek, mógłby uważać, że Harald postąpiłby mądrzej, trzymając się własnego podwórka, czyli pilnując tekstu,

rekwizytów, egzemplarza suflerskiego i nie dając reżyserowi żadnej podstawy do czepiania się go. Jak spóźnianie się. Ale czyja to była wina? Producenta lub osoby odpowiedzialnej za nie kończące się próby. „Godzina przerwy na kolację.” Czy myśleli, że Harald może dojechać do domu pełzającymi śródmiejskimi autobusami, zjeść kolację i zdążyć wrócić do teatru w ciągu sześćdziesięciu minut? Harald twierdził, że większość aktorów przegryzała coś w kawiarni lub barze koło teatru. On jednak był świeżo po ślubie, co nikogo ani grzało, ani ziębiło. Wiedzieli przecież, że się ożenił, bo raz zabrał Kay na próbę i gwiazda zobaczywszy ją na sali zrobiła piekło, przerwała piosenkę, pokazała Kay palcem, pytając, co ona tu robi, lecz słysząc, że to młoda żona Harald, powiedziała: - Strasznie cię przepraszam, kochanie - i zaprosiła oboje do siebie na drinka. Ale reżyser nakazał Haraldowi nie przyprowadzać jej więcej, bo obcy ludzie na próbach denerwują wykonawców głównych ról, o czym Harald powinien wiedzieć. Wtedy to Kay po raz pierwszy widziała Harald chowającego obelgę do kieszeni i było jej niezmiernie smutno, jak gdyby ona mu była nieznośnym ciężarem; gdy poszli do mieszkania gwiazdy (mansarda wychodząca na południową stronę Central Parku), wstydziła się swoich grubych nóg z pojedynczymi włoskami na łydkach i słabą pociechą było mówienie sobie, że reżyserowała sztukę graną w auli uczelni i należała do Łańcucha Stokrotek.

Uważała, że Związek Aktorów powinien coś zrobić w sprawie godzin prób, a Priss zgadzała się, że to istne średniowiecze i nie byłoby do pomyślenia w najędźniejszej fabryce. Odkąd dostał tę pracę, nie mieli prawie pożycia małżeńskiego - bo jakim cudem? On kończył pracę o pierwszej czy drugiej nad ranem, gdy ona już spała, a gdy rano wychodziła do pracy, on jeszcze drzemał. Pewnej nocy doznał do domu dopiero o czwartej rano, mieli konferencję u producenta, mimo to musiał się stawić na próbie o dziesiątej rano, choć była niedziela i kiedy mogliby choć raz spokojnie zjeść razem śniadanie. Premiera miała się odbyć na prowincji, zostałyby sama na dwa tygodnie, a on przebywałby w towarzystwie tancerek i girlsek, z których jedna była całkiem inteligentna (Harald widział ją za kulisami czytającą Katherine Mansfield) i miała dom w Connecticut. Więc Kay cieszyła się oczywiście, gdy Harald drałował na kolację do domu (było to jedno z jego ulubionych słówek) i nie szedł z zespołem do szynku. Raz przyprowadził jednego z autorów i Kay zrobiła klops z łososia w

pikantnym śmietanowym sosie. Musiało to być tego dnia, gdy wcześniej zrobili przerwę na kolację, panowie musieli długo czekać (przepis nakazywał piec przez godzinę, a Kay zawsze dodawała piętnaście minut do zaleceń książki kucharskiej) i skracali sobie czekanie cocktailami. Harald nie rozumiał, jak ona może pędzić co dzień z magazynu Macy'ego do domu, zrobić po drodze zakupy u Gristede'a, bo on nie miał już rano na to czasu. Rzecz dziwna, odkąd ona przejęła zakupy, stało się to kością niezgody między nimi. Harald lubił kupować w supersamie A i P, gdzie było taniej, ona zaś wołała Gristede'a, bo doręczali do domu i mieli wykwintne warzywa - Harald mówił, że to sklep dla bonzów z Sutton Place. Poza tym on lubił gotować ciągle te same łatwe potrawy (na przykład spaghetti z suszonymi grzybami i koncentratem pomidorowym), a ona wołała zajrzeć do książki kucharskiej, czytać przepisy kulinarne w gazetach i wypróbować coś nowego. Zarzucał jej brak wyobraźni, bo z okularami na nosie ciągle zagląda do książki kucharskiej, przyprawia i odmierza wszystko z zegarkiem w rękę, podczas gdy gotowanie jest sztuką żywą, która w jej rękach staje się skostniała i martwa. Zabawne, że w ciągu trzech miesięcy zaznaczyły się między nimi niewielkie różnice, z początku ona była po prostu jego echem. Teraz gdy mówił, że wystarczy przecież otworzyć jakąś puszkę (zdarzyło się to innego wieczoru, gdy kolacja, nie była gotowa), ona krzyczała, że to nie dla niej, może jemu to wystarczy, ale ona nie potrafi tak żyć całymi tygodniami i jadać jak zwierzę, żeby się tylko utrzymać przy życiu. Po jego wyjściu żałowała swego wybuchu i postanowiła dokładnie obliczać czas potrzebny do przyrządzenia takiej czy innej potrawy, jak rądzily gazety. Lecz gdy udawało jej się być gotową na czas i kolacja czekała w piecyku, bo poprzedniego dnia zrobiła duszoną potrawę, on złościł się, że popędza go do stołu, przypominając, która to godzina.

- Mniej żoninej troski, proszę - mówił, grożąc jej na swój ponury sposób palcem i umyślnie przyrządzając sobie jeszcze jeden cocktail, nim raczył zasiąść do stołu.

Czuła wyrzuty sumienia z powodu tych cocktaili, bo przed poznaniem jej nie miał takiego zwyczaju. „To rytuał twojej klasy” - mawiał, przy czym ona nie była pewna, czy on ma na myśli jej klasę społeczną, czy jej rocznik uniwersytecki, w Salt Lake City rodzicom Kay nie śniło się podawać alkoholu, nawet gdy mieli gości, choć

tatusiek mógł dostać whisky na receptę. Ale na wschodzie kraju dobry ton nakazywał pić cocktaile nawet ludziom starszym, jak stwierdziła goszcząc u Priss, Pokey i Polly. Harald sam się przekonał, że w domu Heleny w Cleveland podawano sherry. Więc żeby sprawić Kay przyjemność, zaczęli co wieczór robić cocktaile w aluminiowym shakerze. Różnica między nimi polegała na tym, że ona lubiła tę małą uroczystość, on zaś alkohol. Jeden czy dwa cocktaile nie mogły oczywiście nikomu zaszkodzić, lecz w okresie prób powinni byli może z nich zrezygnować, dla dobra Haralda. Byłaby to jednak okropna degrengolada, usiąść od razu do stołu i zacząć jeść, jak robili jej rodzice.

Harald wyszedł do kuchni i zrobił sobie drinka z dżinu i ziołowej wódki; był to zły znak, wiedział, że Kay nie znosi nie rozcieńczonego alkoholu i nie lubi, gdy on tak pije. Napełnił fajkę, zapalił i nalał sobie jeszcze raz to samo.

- Czego się napijesz? - spytał. - Dżinu z tonikiem?

Kay zmarszczyła brwi, dotknęła ją jego szydercza uprzejmość.

- Chyba niczego - powiedziała zamyślona. Harald uniósł ciemne, szczeciniaste brwi.

- Co znaczy to odstępstwo?

Kay nagle zdecydowała zmienić zwyczaj picia przed kolacją, czuła jednak, że to nie jest najważniejszy moment, gdy Harald pił, nigdy nie było wiadomo, jak na coś zareaguje.

- Po prostu nie mam ochoty. Podam kolację. - Wstała, Harald wlepił w nią oczy wydymając usta, z rękami na biodrach.

- Mój Boże! - wycedził. - Jesteś najbardziej nietaktowną, niezręczną idiotką na świecie.

- Co ja takiego powiedziałam? - krzyknęła Kay, zbyt oszołomiona, żeby czuć się dotknięta.

- „Po prostu nie mam ochoty” - przedrzeźnił ją tonem zadowolenia z siebie, jakiego, przysięgłaby, nie było w jej głosie. Gdyby on wiedział, jak bardzo jej się chce dżinu z tonikiem i że rezygnuje, bo czuje się niemało winna za awantury na próbach. Co by się stało, gdyby ona poszła do pracy wypijwszy dwa cocktaile przed śniadaniem? To przecież to samo, nie? Przekonała się, że można się wiele nauczyć,

wyobrażając sobie swoje postępowanie w innych okolicznościach i patrząc na nie obiektywnie. Gdyby to ją właśnie wylano z pracy, wołałaby usiąść i od razu poszukać ubocznych przyczyn, choćby najbardziej nieistotnych. Ale może on właśnie to robi, choć tego nie okazuje?

- „Po prostu nie mam ochoty” - powtarzał. - Nie przybieraj takich tonów. Nie do twarzy ci z nimi. Jesteś marną aktorką.

- Zamknij się! - rzuciła Kay i wyszła do kuchni. Nasłuchiwała, czy wyjdzie trzaskając drzwiami jak kilka dni temu, gdy przyniosła ze sklepu Kontynentalny Przyrząd do Krajania Fasolki Szparagowej, który nie działał. Pozostał jednak w domu.

Otworzyła puszkę fasoli, włożyła fasolę do naczynia z plasterkami bekonu na wierzchu. Wracając do domu kolejną nadziemną postanowiła zrobić na kolację grzanki zapiekane z serem i piwem, miała to być niespodzianka dla Haralda, teraz jednak bała się, że ser się zetnie i on będzie miał pretekst, żeby wygłosić do niej kazanie. Obrała główkę sałaty i zabrała się do robienia sosu. Nagle wyrwał jej się z gardła głośny szloch na myśl o tym, że tylko dlatego nie zjedzą dziś grzanek zapiekanych z serem, iż Harald stracił pracę. Wiedziała, że teraz wszystko się zmieni. Miała na myśli głównie Mieszkanie, żyła oczekiwaniem przeprowadzki. Obecne ich mieszkanie należało do wdowy po plastyku, przebywającej w Cornish, w stanie New Hampshire - pełno tu było antyków i reprodukcji: hiszpańskich biurek z szufladkami, wschodnich dywanów, stolików z mozaikowymi blatami, krzeseł w stylu Hepplewhite'a, mosiężnych i miedzianych naczyń, wymagających czyszczenia. Kay nie mogła się doczekać, kiedy się wreszcie wyprowadzą z tego muzeum do mieszkania, które sami urządzą. Harald zdawał sobie z tego sprawę, ale nie wspomniał nawet o mieszkaniu, choć wiedział, jak bardzo ją to niepokoi, od chwili gdy otworzyła mu drzwi i zobaczyła go - co teraz zrobią? Czy nie pomyślał o tym?

W torebce leżącej na komodzie w pokoju miała próbki materiałów obiciowych, które chciała mu pokazać, cały czas przeznaczony na lunch spędziła w dziale Nowoczesny Dom u Macy'ego, wybierając nowoczesny tapczan i dwa fotele obite surowym płótnem. Po prostu dla zabawy obliczyła koszt zasłon, aby pokazać Haraldowi, ile oszczędzą na zasłonach, ponieważ będą mieli żaluzje za darmo, jak w większości eleganckich nowych domów. Więc zasłony odpadną. Dowiedziała się dziś,

że uszycie ich, nawet u Macy'ego, gdzie przysługiwała jej zniżka, kosztowałyby od stu do stu dwudziestu dolarów, można więc uznać to prawie za obniżkę czynszu za pierwszy rok o tę sumę. Tyle kosztowałyby zasłony bez podszewki, z podszewką zaś jeszcze więcej.

Zajrzała do piekarnika, fasola jeszcze się nie przyrumieniła. Rozłożyła w pokoju stół z klapami i nakryła na dwie osoby, zerkając ukradkiem na Haralda czytającego „New Yorkera”. Podniósł oczy.

- Co byś powiedziała na to, żeby zaprosić Blake'ów na brydża po kolacji? - Jego zdawkowy ton jej nie oszukał, w ustach Haralda były to przeprosiny. Starał się przeprosić ją za to, że prawie zepsuł sobie i jej cały wieczór.

- Cudownie! - Kay była uszczęśliwiona, od dawna już nie zasiedli w czwórkę do brydża. - Mam do nich zadzwonić czy ty to zrobisz?

- Ja. - Przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował. Wsunęła mu się z ramion i pobiegła do kuchni.

- Mam w lodówce trzy butelki piwa - krzyknęła. - Powiedz im to.

Ale w kuchni mina jej zrzędała. Pomyślała nagle, że w szaleństwie Haralda jest metoda. Dlaczego akurat Blake'ów? Norine Blake, koleżanka Kay ze studiów, miała bardzo lewicowe poglądy, w college'u stale urządzała socjalistyczne zebrania i demonstracje, a jej mąż Putnam był członkiem partii socjalistycznej. Oboje mieli kompleks oszczędzania i trzymania się domowego budżetu, choć Putnam miał dochody z kapitału i pochodził z bardzo dobrej rodziny. Kay domyślała się, co ją czeka. Jak tylko ta para usłyszy, że Harald stracił pracę, natychmiast zaczną wałkować temat mieszkania. Kay miała już powyżej uszu słuchania, że Norine i Put znaleźli ładną sutereneę z prawdziwym ogrodem tylko za czterdzieści dolarów miesięcznie, więc dlaczego ona i Harald nie mogliby poszukać czegoś takiego? Ona nie będzie mieszkała w suterenie, to niezdrowe. Jeszcze raz zajrzała do fasoli i zatrzasnęła drzwiczki piekarnika.

Put będzie dowodził (już go słyszała), że Harald ma absolutną rację, wycofując się z prawnego zobowiązania, którym jest kontrakt dzierżawy, bo taki kontrakt jest formą wyzysku, a czynsz nie zapracowanym dochodem - coś w tym guście. Natomiast

Norine będzie się rozwodziła nad kosztami przejazdu. Miała hysia na tym punkcie. Gdy ostatnio grali w brydża, wzięła Kay w krzyżowy ogień pytań, jak jeździ do pracy.

- Autobusem śródmiejskim? - spytała, patrząc na męża, jak gdyby jazda tym autobusem była niesłychanym luksusem. - I nadziemną przez Szóstą Aleję? - Znow spojrzała na męża, kiwając głową. - Więc płacisz za dwa bilety - zakończyła bezlitośnie.

Norine miała *idee fixe*, że wszystkie młode małżeństwa powinny mieszkać niedaleko stacji metra. A ponieważ Harald pracuje w okolicy Times Square, powinni mieszkać w dzielnicy West Side, nie dalej niż dwa przystanki od ekspresowego przystanku. Kay i Harald śmiali się z przejazdowej obsesji Norine, a jednak Harald zapamiętał to sobie. Teraz również, gdy po brydżu Kay podała kawę i grzanki z serem, Norine wykrzyknęła:

- Co, prawdziwa śmietanka? - Jak gdyby wszyscy prócz milionerów powinni byli zadowolić się skondensowanym mlekiem. Od czasu ślubu Kay ciągle tłumaczyła mężowi, że ludzie kupują śmietankę jako rzecz naturalną (twierdził, że wystarczy górna warstwa mleka z butelki), zaczerwieniła się teraz jak burak, jak gdyby Norine przyłapała ją na kłamstwie. Ale, o dziwo, Harald, zamiast przyczepić się do żony, tylko się z nią droczył:

- Co, prawdziwa śmietanka? - mamrotał po wyjściu gości, miętosząc jej piersi.

Harald stale utrzymywał, że Kay jest przezroczysta. Czasem, jak tego wieczoru, był to zarzut, kiedy indziej jednak kochał ją za to, że tak łatwo można ją przejrzeć, choć nigdy dokładnie się nie dowiedziała, co on widzi lub sądzi, że widzi.

Przypomniała sobie zabawny list, który znalazła ubiegłego wieczora, porządkując jego papiery przed przeprowadzką. Był to list Harald'a do ojca, doszła do wniosku, że musiał go napisać w sobotę przed ich ślubem. Widząc swoje imię pośrodku pierwszej strony, nie mogła się oprzeć pokusie przeczytania go.

„Kay nie boi się życia, Anders” - tak nazywał ojca. - „Ty, mama i ja wszyscy się po trochu boimy. Wiemy, że może nas zranić. Kay nigdy się o tym nie dowiedziała. Dlatego chyba postanowiłem w końcu się z nią ożenić, chociaż cynicy radzą mi poczekać na bogatą dziewczynę, która sfinansowałaby mi wystawienie mojej sztuki. Nie sądz, że nie myślałem o tym. Między nami mówiąc, nie jest to

przeznaczone dla oczu mamy, znałem kilka takich w sensie biblijnym. Kochałem się z nimi w ich sportowych samochodach, rewidowałem barki alkoholowe ich ojców, pozwalałem im płacić za mnie w nielegalnych szynkach, gdzie podpisują tylko rachunki. Więc wiem, co mówię. One też boją się życia, mają właściwy ich klasie pęd do śmierci, chcą utopić doświadczenie w zapamiętałej chwili rozkoszy. Są jak menady, które zniszczyły Orfeusza - pamiętasz stary mit grecki? Ostatecznie boją się przyszłości tak samo jak rodzina Petersenów. Ty i mama zamartwiacie się, że znów możesz stracić pracę lub że zbliża się wasz wiek emerytalny, a od czasu kryzysu gospodarczego pozłacane dziewczyny martwią się, że papcio może stracić majątek lub że odbierze mu go rewolucja. Kay jest inna, pochodzi z klasy zabezpieczonej, do której Ty jakoś nigdy nie wszedłeś, wyższej klasy wolnych zawodów. Jej ojciec to wielki ortopeda w Salt Lake City, znajdź go w *Who's Who* (jeśli dotychczas tego nie zrobiłeś). Ta klasa wierzy jeszcze w przyszłość, w swoją zdolność przetrwania i rządzenia, zupełnie słusznie, jak to widać na przykładzie Związku Radzieckiego, gdzie praca lekarzy i naukowców, nawet z „burżuazyjnego” środowiska, jest w wysokiej cenie, podobnie jak praca reżyserów filmowych i pisarzy. Dostrzegam tę wiarę, tę pionierską ufność w Kay, a choć ona sama jest tego nieświadoma, ma to wypisane na całej swej osobie, jak «zewnętrzny i widomy znak wewnętrznej duchowej łaski», żeby się posłużyć cytatem z episkopalnego modlitewnika. Łaska ta nie rozciąga się na jej zgrabność, chyba tylko w sportach - jeździ konno, pływa, nawet, jak twierdzi, gra w hokeja. Wracając do modlitewnika (powinieneś zajrzeć do niego czasem ze względu na styl), Kay chce, żebyśmy wzięli ślub w kościele w parafii J. P. Morgana, zgadzam się z poczuciem ironii i pocieszam się, że senator Cutting (Bronson Cutting z New Mexico, jeden z moich pomniejszych bohaterów - czy wspominałem Ci o tym? - walczący postępowy dżentelmen) chodzi do tego kościoła, gdy przyjeżdża do Nowego Jorku.

Nie wiem, co Wy tam myślicie w Boise, ale tu na Wschodzie zaszły wielkie zmiany, odkąd Roosevelt nastał. Ty pewnie jako dawny zwolennik Townleya* nie ufasz mu, lecz ja, mówiąc szczerze, nie podzielam Twego zdania. Czytałeś o napływie profesorów do rządu, oto klucz do zmiany, która może oznaczać bezkrwawą rewolucję w naszych czasach - mózgi zajmują miejsce kapitałów pieniężnych w zarządzaniu

naszymi nienaruszonymi bogactwami. Tu w Nowym Jorku marksiści popełniają błąd, sądząc, że musi nastąpić rozstrzygająca walka między kapitalistami i robotnikami, można się bowiem spodziewać, że zarówno kapitaliści, jak i robotnicy w swojej obecnej morfologii zanikną. To znamienne, że Roosevelt jest patrycjuszem, a Kay, nawiasem mówiąc, twierdzi, że należał do Rady Powierniczej Vassar. Odbiegam trochę od tematu, przypuszczam jednak, że dostrzegasz, o co mi idzie: uważam, że żeniąc się z Kay, podejmuję zobowiązanie wobec przyszłości. Brzmi to cokolwiek mistycznie, lecz w moim uczuciu do niej jest coś mistycznego: poczucie „słuszności” czy losu, nazwij to, jak chcesz. Nie pytaj, czy ją kocham, miłość, poza pociągami fizycznym, pozostaje dla mnie wielkością nie znaną. Domyśliłeś się tego zapewne. Kay jest bardzo silną młodą osobą, promieniuje z niej niezmiernie żywiołowa jeszcze żywotność. Tobie i mamie nie spodoba się może od razu, ale ja bardzo potrzebuję jej żywotności, której brak jeszcze kształtu i kierunku, sądzą jednak, że potrafię właściwie pokierować Kay.

* **Townley Nonpartisan League - ugrupowanie robotniczo-chłopskie o umiarkowanie lewicowych i ludowych sympatiach, działające przed i po pierwszej wojnie światowej.**

Ale, ale, czy mama nie zechciałaby, pisząc do Kay, zaproponować, żeby mówiła jej po imieniu. Jak wszystkie nowoczesne dziewczyny Kay nie cierpi zwracać się do teściowej per „mamo”, a pani Petersen brzmi zbyt oficjalnie. Wy tłumacz to mamie. Kay już teraz nazywa Ciebie w myśli Anders, wzrusza ją nasz wzajemny stosunek, to znaczy - Twój i mój. Próbowałem napisać sztukę o Twoim życiu, ale Kay, która studiowała zasady dramaturgii pod kierunkiem zabawnej, żywej kobietki, twierdzi, że nie radzę sobie jeszcze z konstrukcją dramatyczną, i obawiam się, że ma rację. Och, Anders...

W tym miejscu list się urywał, nigdy nie został skończony i Kay zastanawiała się, co też napisał w liście, który w końcu wysłał. W sfatygowanej walizce Haralda były jeszcze inne nie dokończone listy, niektóre pisane do niej do Vassar, i liczne początki opowiadania czy powieści, tak stare, że papier żółkł, oraz dwa akty sztuki

Haralda. Kay uważała, że list jest znakomicie napisany, jak wszystko, co Harald robił, ale po przeczytaniu go była przedziwnie przygnębiona. Nie było w nim nic, czego by w jakiś sposób nie wiedziała, ale wiedzieć w jakiś sposób to nie to samo, co wiedzieć na pewno. Musiała przyznać, że Harald nigdy nie robił przed nią tajemnicy ze swoich romansów ani z tego, że przemyślał nad poślubieniem niektórych z tych kobiet lub nad tym, by dać się którejś złapać na męża. Słyszała już jego wywody dotyczące jej klasy społecznej (aczkolwiek w rozmowie z żoną nazywał tę klasę zazwyczaj klasą skończoną), Roosevelta, tego, że nie jest pewny, czy ją kocha, oraz „poczucia ironii”. Może właśnie dlatego, że to wszystko wiedziała, list ją rozczarował. Potwierdzał, że Harald jest na wskroś taki, jakim go znała, co w jakiś przewrotny sposób go odmieniało. Ciekawość to rzecz straszna - zaczęła czytać list, wiedząc, że nie powinna tego robić, lecz spodziewając się dowiedzieć czegoś więcej o Haraldzie i o sobie samej. Jednakże zamiast powiedzieć jej coś więcej o nim, uwypuklił niemal jego ograniczenia. A może nie podobało jej się tylko to, że „obnaża duszę” przed ojcem?

Mimo wszystko list coś jej jednak powiedział, myślała o tym, słuchając rozmowy męża przez telefon (Blake'owie najwyraźniej przyjdą) i mieszając sałatę. List stwierdzał bez ogródek, co Harald w niej widzi, ale nie rozumiała tego dokładnie. Gdy go poznała w letnim teatrze, traktował ją jak popychadło, komenderował nią, krytykował, że za głośno wali w dekoracje, posyłał do sklepu z wyrobami żelaznymi.

- Masz farbę we włosach - powiedział do niej pewnego wieczora, tańcząc z nią na przyjęciu w teatrze; właśnie pokłócił się z aktorką grającą główną rolę, mężatką, z którą sypiał i której mąż był nowojorskim adwokatem. Kiedy indziej, gdy cały zespół popijał piwo w oberży, podszedł do stolika, przy którym siedziała z innymi praktykantkami, żeby powiedzieć - niech kto zgadnie, co! - że wystają jej ramiączka. Kay była niezmiernie zdziwiona, gdy obiecał pisać do niej do Vassar, a przecież napisał - krótki obojętny liścik - ona odpisała, potem on przyjechał na weekend, żeby obejrzeć sztukę, którą ona reżyserowała, no i proszę, są małżeństwem! Jakoś nigdy nie była go pewna, do ostatniej chwili przed ślubem bała się, że on się tylko posługuje nią jak pionkiem w grze, którą rozgrywa z inną. Nawet w łóżku nie tracił *sangfroid*, powtarzał w duchu tabliczkę mnożenia, aby opóźnić wytrysk - stary arabski sposób, którego nauczył go pewien Anglik. Kay wyłożyła fasolę na półmisek. „Nie boi się

życia", powtórzyła w myśli, „promieniuje z niej żywotność". Ich małżeństwo jest „zobowiązaniem wobec przyszłości". Zamiast martwić się, że nie powiedział czegoś bardziej romantycznego o ich małżeństwie, powinna uznać to określenie za swoją mocną kartę i zagrać nią, niech Blake'owie mówią co chcą - kontrakt dzierżawy jest zobowiązaniem wobec przyszłości. Niech ludzie mówią co chcą, ona nie zrezygnuje z Mieszkania. Sama nie wiedziała, dlaczego tak jej na nim zależy - czy z powodu żaluzji, *concierge'a*, prześlicznej małej ubieralni czy czego? Czuła, że jeśli je straci, umrze. I co by zrobili w takim przypadku - wrócili do ohydneho pokoju w Greenwich Village naprzeciw pokoju Dicka, do czasu gdy przyszłość Haralda będzie „pewniejsza"? Nie! Kay zacisnęła szczęki. „Są przecież inne mieszkania, kochanie" - słyszała już pocieszającą ją matkę. Nie chciała innego mieszkania, ale właśnie to. Tak samo było, kiedy pragnęła Haralda i bała się, że go straci, za każdym razem gdy nie było od niego listu. Nie zrezygnowała, nie powiedziała sobie: „Są inni mężczyźni", jak by zrobiło wiele dziewcząt, trwała przy swoim. I nie tylko o nią tu idzie, byłaby to katastrofa psychologiczna dla Haralda, gdyby zrezygnował z aspiracji życiowych i wycofał się po jednej porażce, nie mówiąc już o utracie zaliczki w wysokości miesięcznego czynszu.

Usiedli do stołu. Blake'owie mieli przyjść o pół do dziewiątej. Kay bez przerwy zerkała na komódkę, na której leżała jej torebka wypchana próbkami obić. Zastanawiała się, czy ich nie pokazać Haraldowi przed przyjściem gości, żeby już mieć to z głowy. Po brydżu będzie późno, przypuszczała też, że on będzie chciał się kochać, a trudno jej będzie powiedzieć „nie" w taką noc, choćby to nawet miało znaczyć, że zanim zrobi sobie płukanie i położy się, będzie pierwsza nad ranem (dzięki tej jego tabliczce mnożenia), a jutro przed jej wyjściem do pracy chwila będzie nieodpowiednia, bo on się wścieknie, jeśli tylko po to go zbudzi. Muszą jednak szybko zdecydować, bo u Macy'ego tapicerka trwa z reguły dwa tygodnie. Trzeba jeszcze zamówić łóżka, garnki, patelnie, lampy, stół itede, ale to wszystko jest gotowe w sklepie i może być dostarczone w ciągu dwóch dni. Uważała, że powinni zamówić włosiane materace, co prawda droższe, ale zdrowsze, jak przyznaje Dział Badań Opinii Konsumentów. Upadła na duchu, podając Haraldowi masło - przed paru dniami odbyli gorącą debatę, zakończoną jej płaczem, na temat: masło *versus* margaryna; on

utrzymywał, że margaryna jest równie pożywna i smaczna, tylko producenci masła zmówili się, by nie pozwolić producentom margaryny podbarwiać ich produktu; miał rację, mimo to ona patrzeć nie mogła na białe oleiste świństwo na swoim stole, nawet jeśli jej reakcja była odruchem warunkowym, opartym na przesądach klasowych. Teraz dziabnął kawałek masła z gorzkim uśmiechem, którego Kay starała się nie widzieć. Może i nie bała się życia, ale z całą pewnością bała się Haralda.

Postanowiła wspomnieć o próbkach mimochodem, opowiadając o tym, co się działo dziś w sklepie, bała się bowiem, że jeśli przestanie mówić, on może dostać napadu skandynawskiej rozpacz.

- Wiesz - zaczęła wesoło - zdaje się, że mnie dziś „sprawdzono”. - Było to jak nieprzewidziany egzamin na uczelni: zawodowy agent handlowy, udający klienta, przynajmniej raz w ciągu sześciomiesięcznego okresu próbnego wydawał opinię o przyszłym sprzedawcy czy sprzedawczynie. Przełożeni nikogo nie uprzedzali, ale wiadomość oczywiście przeciekła. - Mówiłam ci - ciągnęła dalej - że w tym tygodniu pracuję w dziale Lepszych Kostiumów? - Harald wiedział, że Kay będzie przenoszona do różnych działów, żeby poznała handel ze wszystkich stron, a nie tylko słuchała instrukcji kierowników. - Otóż dziś po południu miałam klientkę, która przymierzała każdy kostium i na wszystko kręciła nosem. Czas już było zamykać sklep, a ona nie mogła się zdecydować, czy kupić czarny wełniany z karakułowym przybraniem, czy niebieski tweedowy z granatowym aksamitnym kołnierzykiem. Zażądała, żebym posłała po krawcową, chciała się jej poradzić, ta zaś namawiała ją na oba i mrugnęła do mnie, żeby mi dać cynk. Ci agenci stawiają stopnie za uprzejmość, dobry humor, osobowość, ale najważniejsze jest to, czy potrafisz sprzedawać. Oblewasz egzamin, jeśli agent odchodzi, nic nie kupiwszy. I co powiesz, dzięki krawcowej tamta kupiła oba kostiumy. Nie tak „naprawdę”, naturalnie, takich zakupów nie odsyła się do pracowni, wracają do działu, jeśli klientka jest agentem Macy'ego. W ten sposób wiadomo, kim jest. Z drugiej strony, jeśli prawdziwa klientka coś kupi i potem zwróci towar, sprzedawca dostaje minus za namawianie do kupna...

Harald jadł w milczeniu, wreszcie odłożył widelec. Jego obojętność zmroziła Kay.

- Mów dalej, kochanie - powiedział, gdy zawahała się i umilkła. - To niezmiernie ciekawe. Z tego, co mówisz, wnoszę, iż dostąpisz zaszczytu wygłoszenia pożegnalnej oracji po zakończeniu praktyki u Macy'ego. Może nawet znajdziesz dla mnie pracę w dziale dywanów czy lodówek, będących chyba domeną mężczyzn, prawda?

- Tak - automatycznie odpowiedziała Kay, jakby ją pytano o informację. - Tylko że mężczyzna nigdy nie zaczyna pracy w tych działach, musi wpierw zdobyć doświadczenie, sprzedając inne artykuły. - Nagle widelec wypadł jej z ręki, ukryła w dłoniach kędzierzawą głowę. - Och, dlaczego mnie tak nienawidzisz? - szepnęła.

- Bo zadajesz takie nudne pytania jak to właśnie.

Twarz Kay płonęła, poskramiała płacz, za chwilę mieli przyjść Blake'owie. On chyba też o tym pomyślał, bo odezwał się innym tonem:

- Nie mam do ciebie pretensji, kochana Kay - rzekł ponuro - o to, że porównujesz się ze mną jako głowa rodziny utrzymująca dom. Bóg wie, że masz do tego prawo.

- Ależ ja wcale nie porównywałam się z tobą! - Kay z oburzeniem podniosła głowę. - Mówiłam, aby coś mówić.

- Nie mam do ciebie pretensji - powtórzył Harald, uśmiechając się smętnie.

- Proszę cię, uwierz mi! - pochwyciła jego rękę. - Nigdy mi nawet do głowy nie przyszło porównywać się z tobą! To niemożliwe! Wiem, że jesteś geniuszem, a ja tylko osobą drugorzędną i przeciętną. Dlatego ja potrafię manewrować w życiu, a ty nie. I nie pomogłam ci dostatecznie, wiem o tym. Nie powinnam była pozwalać ci przychodzić na kolację do domu, gdy masz próby, nie powinnam była wprowadzać zwyczaju picia cocktaili przed kolacją. Powinnam była pomyśleć, że pracujesz w wielkim napięciu... - Poczwała, że jego ręka wiotczeje w jej dłoni, zrozumiała, że znów spudłowała, dobrze przynajmniej, że nie powiedziała nic o jego spóźnieniu się do teatru, co naprawdę zatruwało jej sumienie.

- Kay - rzekł, odrzucając jej dłoń - ile razy ci mówiłem, że jesteś niemiłosierną egoistką? Popatrz, jak przesunęłaś sedno dramatu na siebie samą. To mnie wylano dziś z pracy, nie ciebie. Ty nie miałaś z tym nic wspólnego. Spóźnianie się - uśmiechnął się okrutnie - nie było powodem, choć ty od dwóch tygodni po swojemu gruboskórnie

suszysz mi tym głowę. Masz zegarową mentalność. Nikt w teatrze, z wyjątkiem ciebie, nie traktuje serio „godziny na kolację”. Sama to stwierdziłaś, gdy poszłaś tam ze mną, przez pół godziny po naszym przyjściu nic się nie działo. Siedzą tylko i grają w karty...

- Masz rację - przyznała Kay. - Przepraszam.

- Będę ci wdzięczny - rzucił, ciągle zły - za trzymanie się ze swoim małostkowym, mieszczańskim sumieniem daleko od moich spraw. To twój sposób na ucieranie mi nosa. Udajesz, że oskarżasz siebie, ale faktycznie oskarżasz mnie.

- Nie! Nie! - pokręciła głową Kay. - Nigdy!

- Zanadto się bronisz - zauważył miłszym tonem, podnosząc sceptycznie jedną brew, stwierdziła, że znów mu się zmienił humor. - Tak czy siak, to wszystko nie miało z tym nic wspólnego. Jesteś na fałszywym tropie, moja miła. Ta ciota nienawidzi mnie, to wszystko.

- Bo go przewyższasz - wymamrotała Kay.

- To prawda. Niewątpliwie to wchodziło w grę.

- „Niewątpliwie”! - krzyknęła Kay, oburzona na rozwagę tej oceny. -

Oczywiście, że to wchodziło w grę. To byłby najlepszy sposób na to, żeby ją rozszczępiać włos na czworo, gdy doszli do zgodnego wniosku, że zasadnicze przyczyny są jasne jak słońce. - Co masz na myśli, mówiąc

- I jeśli zmienisz płęć Fedry...
- Nie rozumiem. Co, jeśli zmienię płęć Fedry?
- Będiesz miała dokładną historię, dlaczego mnie wylano. A teraz idź, zrób kawę. - Kay patrzyła osłupiała. - Nie rozumiesz? - Pedalstwo! I aczkolwiek nie jestem prawiczkim, to jednak jestem niewinnym Hipolitem w tej farsie, którą, nawiasem mówiąc, jest ta sztuka. Bo mężczyzna broniący swej cnoty zawsze jest postacią farsową.

Kay zrzęda mina.

- Mówisz, że pedał chciał cię uwieść? Kto? Reżyser? - Zatkanę ją.
- Chyba na odwrót. Zapewniał mnie, że ma rozkoszny tyłek.
- Kiedy to było? Dziś po południu? - Pomimo przerażenia Kay nie potrafiła poskromić ciekawości. „Pedały zawsze za mną przepadały”, powiedział do niej Harald latem (mieli dwóch w zespole), a ona słuchając go odczuła ciekawość i jakąś zawiść.

- Nie, nie, kilka tygodni temu. To znaczy, po raz pierwszy.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - poczuła się głęboko zraniona na myśl, że on ukrył przed nią coś takiego.

- Nie musiałaś wiedzieć.
- Ale jak to było? Co on ci powiedział? Gdzieście byli?
- Na Shuberta*. Tego wieczora miałem trochę w czubie i byłem w dobrym humorze, a on to wziął za zachęę. Zaproponował, żebyśmy później poszli do niego.

- Boże! Nie poszedłeś chyba?
- Nie, nie - uspokoił ją. - To nie była pociągająca perspektywa. Stara ciota ma już chyba czterdzieę.

* Mała uliczka w Nowym Jorku, na której mieści się teatr pod tą nazwą oraz szereg agencji teatralnych.

Przez sekundę Kay czuła ulgę, połączoną (czy to nie dziwne?) z jakimś rozczarowaniem, ale zaraz opadły ją nowe wątpliwości.

- Czy chcesz powiedzieć, że bylibyś to zrobił z kimś młodszym? Z jakimś chłopakiem z chóru? - Słabo jej się zrobiło na myśl o nocach, gdy pracował do późna, a jednocześnie dziwnie ją korciło, żeby się dowiedzieć.

- Nie potrafię odpowiedzieć na hipotetyczne pytanie - Harald zaczął się irytować. - Nie było takiego problemu.

- Och! - nie uspokajała się Kay. - Czy ten reżyser próbował znowu? - Harald przyznał, że tak. Raz gdy pracowali do późna, dotknął krocza Harald. - I co? - wyrwało się Kay.

- Erekcja jest dość odruchowa u normalnego samca - wzruszył ramionami Harald.

- Och, Haraldzie! - Kay zbladła. - Zachęcałeś go! - Nagle poczuła dziką zazdrość, dopiero po dłuższej chwili zdołał ją uspokoić. W głębi serca była koszmarnie pewna, że jego erekcja nie byłaby taka odruchowa, gdyby ona nie spała zawsze, kiedy on wchodził na palcach do sypialni. Ale skąd wie, że wchodził na palcach? Bo (czy on się kiedykolwiek domyślił?) ona nie zawsze spała naprawdę. Postanowiła, że tej nocy będą się kochać, choćby padała z nóg ze zmęczenia po wyjściu Blake'ów.

Ziewnęła, zsunęła się z kolan Harald, który przyciągnął ją do siebie, aby ją uspokoić. (Lubię twoje piegi - szepnął - i twoje rozwichrzone cygańskie włosy.)

- Zrobię kawę - powiedziała. Gdy odchodziła, wyciągnął dłoń i poklepał ją po pośladkach, wywołało to w niej podejrzliwe myśli na temat reżysera. Co ją ugryzło ostatnio, że mu nie wierzy i w każdym najmniejszym incydencie, o którym Harald opowiada, dopatruje się czegoś więcej, niż on mówi? Co prawda, zastanawiała się już przedtem, czy nie istnieje jeszcze jakieś wytłumaczenie, dlaczego reżyser prześladowa Harald, a teraz, gdy wiedziała już, co w trawie piszczy („Kobieta wżgardzona od furii piekła gorsza”), nie przestawała dociekać, czy w tym, co powiedział, nie kryje się coś więcej. Jak daleko pozwolił posunąć się temu pedałowowi? Przypomniała sobie historię, którą opowiedział jej jeszcze na studiach, mianowicie, że rozebrał jakąś starszawą aktorkę w mieszkaniu facetki i wyszedł, a tamta została wściekła na niebieskich prześcieradłach wykończonych w ząbki.

Wierzyła w Haralda bez zastrzeżeń, przekonana, że prędzej czy później zdobędzie sławę na każdym polu, jakie wybierze. Lecz wiara w niego nie była wiarą w to, co mówił. Właściwie im bardziej jej imponował (jego iloraz inteligencji musi sięgać kategorii geniuszy), tym ostrzej dostrzegała jego drobne potknięcia. I dlaczego, choć wszechstronnie utalentowany, ciągle jest tylko inspicjentem, kiedy jego rówieśnicy, którzy mu do pięt nie dorosli, zaszli znacznie dalej niż on? Czy brak mu czegoś, co mieliby dostrzec producenci i reżyserzy, ale nie ona? Gdyby się tylko zgodził na test Bineta* i niektóre z testów osobowości, które przeprowadzała z koleżankami w Vassar.

* Alfred Binet (1857-1911) - francuski psycholog, który razem z Simonem opracował pierwszą skalę do badania inteligencji dzieci.

Kiedyś w tygodniu egzaminacyjnym (nikt prócz niej o tym nie wiedział) usiłował popełnić samobójstwo, zjeżdżając cudzym samochodem ze skały. Wóz przekoziółkował, ale jemu nic się nie stało, wygramolił się z niego i poszedł piechotą do domu, w którym gościł. Na drugi dzień jego gospodarze posłali po ciężarówkę, żeby wyciągnęła samochód, uszkodzona była tylko tapicerka, bo kwas z baterii wypalił w niej dziury, i angielski kapelusz Haralda, który spadł mu z głowy podczas tego incydentu. Ta próba samobójstwa ogromnie zaimponowała Kay, chroniła jak skarb list, w którym jej to opisał. Nie wyobrażała sobie, aby jej samej starczyło zimnej krwi na taki wyczyn, a już na pewno nie w cudzym samochodzie. Wyznał, że zrobił to pod wpływem nagłego impulsu, bo zobaczył całą swoją przyszłość jak na dłoni i nie chciał być pantoflarzem, nawet gdyby ona była jego żoną. Gdy cudem wyszedł z tego cało, uznał to za znak - pisał - że Niebo usankcjonowało ich związek. Teraz jednak, gdy znała go lepiej, zastanawiała się, czy nie zjechał z tej skały przypadkiem, przyznał bowiem, że pił wówczas jabłecznik. Była zła na siebie za te podejrzenia i sama nie wiedziała, co gorsze: umierać ze strachu, że mąż może odebrać sobie życie z powodu jakiegoś minimalnego niepowodzenia, czy domyślać się, że to tylko chęć ukrycia czegoś tak banalnego, jak prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym.

Harald jest komediantem, Lakey znalazła właściwe określenie dla niego. Lecz właśnie dlatego przy swoim intelekcie i wiedzy byłby wspaniałym reżyserem. Kay dużo myślała o problemach męża w długie samotne wieczory, gdy on był w teatrze, i doszła do wniosku, że hamuje go głównie to, że tak bardzo identyfikuje się ze swoim ojcem. Ciągłe toczy boje tatusia, byle psycholog by się w tym zorientował. Nic więc dziwnego, że Kay denerwowała ta sytuacja. „Anders” i „Judith” - gdyby Harald wiedział, do jakiej pasji doprowadzają ją tylko te same imiona. Niemal wołałaby już odebrać sobie życie, niż przyrzadzić „szybki, łatwy klops” według przepisu Judith. Widok przepisów kulinarnych teściowej, wypisanych mozolnie ołówkiem i dołączonych do listów „Andersa”, budził w niej zimną wściekłość. Od chwili gdy zobaczyła pismo „Judith”, znieść nie mogła *chile con carne*, popisowej potrawy Harald, mimo że ogromnie smakowała gościom, którzy nie znali jej źródła i myśleli, że to w teatrze Harald się nauczył tego wytwornego dania. Nie miała wątpliwości, że „Judith” używa oleistej margaryny, w myśli widziała na nędznej ceracie pokrywającej stół starszych państwa plaster tego białego świństwa z tanim posrebrzanym nożykiem do masła (dostaje się takie za kupony reklamowe) obok tej wilgotnej mazi.

Zdejmując kawę marki Maxwell House z kuchenki, Kay skrzywiła się. Bezlitośnie nienawidziła biedoty, czego nawet Harald się nie domyślał, i ją samą przerażała czasem gwałtowność tego wstępu, na przykład gdy w sklepie obsługiwała uboższego klienta. Obiektywnie biorąc, powinna oczywiście litować się nad Andersem, biednym starym norweskim emigrantem, który najpierw uczył majsterkowania w miejskich szkołach stanu Idaho, studiował nocami, został nauczycielem algebry, wreszcie dochrapał się stanowiska dyrektora szkoły w Boise, gdzie naraził się wicedyrektorowi, który spowodował jego dymisję. Harald napisał sztukę o tym. Zrobił w niej ojca prezesem college'u, który popada w zatarg ze stanowymi władzami ustawodawczymi. Zdaniem Kay, było to bardzo nieprzekonujące i stanowiło o słabości sztuki. Jeśli Harald chce pisać o ojcu, nie powinien go gloryfikować. Dlaczego nie napisze po prostu, jak to było naprawdę?

Harald utrzymywał, że w prawdziwym życiu sfabrykowano oskarżenie przeciw jego ojcu i wymanewrowano go ze stanowiska (kłania się Ibsen) dlatego, że wykrył nieczyste sprawy w księgowości szkoły. Ale jeśli faktycznie był niewinny, jak

twierdził Harald, trudno zrozumieć, dlaczego przez wszystkie lata, gdy Harald dorastał, nie mógł odzyskać pracy w szkolnictwie i musiał, żeby utrzymać rodzinę, pracować dorywczo jako cieśla nie należący do związku, a Harald zarabiał jako gazeciarz. Harald utrzymywał, że to wszystko było dziełem spisku, do którego należeli też pewni dygnitarze miejscy, i że musieli ukrzyżować jego ojca, aby ukryć prawdę. Potem doszła do władzy pewna partia reformatorska (ojciec Haralda był czymś w rodzaju populistycznego radykała, a jego bogiem był wspomniany Townley) i starszy Petersen znów dostał pracę jako nauczyciel zastępczy, Harald natomiast stał się sławny w szkole jako obrońca w drużynie futbolowej, gwiazdor kółka dramatycznego i redaktor szkolnego pisemka. Kilka pań z Boise zebrało fundusze na dalszą naukę dla niego, dzięki czemu mógł najpierw studiować w college'u Reed w stanie Oregon, następnie w Szkole Dramatycznej Yale, i teraz, gdyby chciał, mógł zostać dyrektorem Małego Teatru w Boise - wystarczyło popatrzeć na srebrny dzbanek do wody, który te damy nabyły u Gumpa w San Francisco i przysłały jako prezent ślubny. Lecz Harald nie chciał wracać do Boise, zanim imię jego ojca zostanie oczyszczone. Miał na myśli - zanim jego sztuka zostanie wystawiona: spodziewał się, że całe Boise przeczyta o tej sztuce w prasie i rozpozna w postaci skrzywdzonego prezesa wielkiego uniwersytetu Andersa, który znów miał etat nauczyciela (połowa godzin - algebra, połowa - majsterkowanie). Tytuł sztuki brzmiał: *Koźuch*, Harald wprowadził do biografii ojca niektóre fakty z życia Alexandra Meiklejohna* ze stanu Wisconsin, nie przyznając nawet w głębi duszy, że jego tata i Meiklejohn to konie różnej maści.

* Zwolennik eksperymentalnych metod wychowania młodzieży; musiał ustąpić ze stanowiska prezydenta Wisconsin University, gdyż uznano jego metodę za zbyt postępową.

Najbardziej jednak niepokoiło Kay to, że Harald identyfikował się z kimś przegranym. Jak tylko usłyszała feralną wiadomość, pomyślała od razu, że Harald odtwarza jak gdyby los ojca w swoim życiu. Zastanawiała się, ile też osób znających Haralda pomyślałoby o tym prócz niej. Jest więc rzeczą bardzo ważną, aby ludzie dowiedzieli się prawdy, zaszkodziłoby mu bardzo w karierze, gdyby mu przyczepiono

etykietkę rozrabiaacza, który chce, żeby go wylano, potrzebuje porażki. Uważała, że nie powinien patyczkować się z reżyserem i opowiedzieć, do czego tamten zmierzał, a każdy, znając skłonności reżysera, przyznałby, że ten typ sprytnie go prowokował, aby powiedział mu kilka słów do słuchu, i że gdyby to się nie stało dziś, zadreślałby Haralda dotąd, dopóki by tego nie zrobił.

Dzwonek u drzwi zadzwonił, gdy kończyli kawę. Słyszając kroki Blake'ów na schodach (Norine miała ciężki chód), Kay powzięła szybkie postanowienie. Cokolwiek powiedzą na temat Mieszkania, ona ust nie otworzy, niech strzępią sobie języki. A jutro z samego rana zajdzie do działu Nowoczesny Dom i zamówi obicia. Zawsze będzie mogła powiedzieć, że zrobiła to, zanim usłyszała nowinę, a nie wspomniała o tym, widząc, jak bardzo Harald się martwi. Może nawet wymyślić bajeczkę o tym, jak rozpaczliwie próbowała wycofać zamówienie (niby jutro rano), ale było za późno, pokroili już materiał. Tak przecież mogło być naprawdę, to czysty przypadek, że postanowiła najpierw pokazać próbki Haraldowi, zamiast wybrać materiał, który jej się podobał - w kolorze ostrej czerwieni. Gdyby tak zrobiła, naprawdę byłoby za późno.

Otworzyła drzwi.

- Cześć! Witajcie! - Mówiła cicho, żeby uprzedzić gości, jak gdyby stojący tuż za nią Harald, zapalający na nowo fajkę, był chory czy też duchem czy Bóg wie czym - bo jak się należało zachować, gdy mąż znalazł się właśnie w szeregach bezrobotnych w czasach kryzysu gospodarczego? Na myśl o tym poczuła nagły przyływ dzikiego strachu, jak w chwili gdy usłyszała, że Harald wraca, i wiedziała, co jej powie. Lecz coś w niej natychmiast pokonało strach, pomyślała, że teraz będzie mógł pracować nad swoją sztuką, wyrzuci ją wreszcie z siebie; wnęka jadalna doskonale mu się nada na gabinet, a pod szafką na porcelanę będzie mógł wbudować półki na papiery. Nic już teraz nie stoi na przeszkodzie, żeby zrobił całą robotę ciesielską: wmontował składane łóżko w ścianę, jak planowali, i zrobił szafę biblioteczną w dużym pokoju. Za jej plecami Harald powiedział:

- *Morituri te salutamus.* Zostałem wylany.

- Och, Haraldzie! - szybko wtrąciła Kay. - Daj im zdjąć płaszcze. I opowiedz, tak jak opowiedziałeś mnie. Od samego początku, niczego nie opuszczając.

ROZDZIAŁ 5

Harald i Kay wydawali przyjęcie, bo Haraldowi udało się znaleźć producenta do swojej sztuki. Było święto, urodziny Waszyngtona, i Kay miała wolny dzień. Przyszła cała grupa w swoich najładniejszych zimowych sukniach i kapeluszach. Biedak Harald od miesięcy był bezrobotny, kiedy to we wrześniu, jak twierdziła Polly, jakiś reżyser robił mu nieprzyzwoite propozycje. Od miesięcy zalegali z komornym, agenci nieruchomości „dźwigali” ich na swoich barkach. Gdy dostali czek od producenta (pięćset dolarów), groziło im właśnie wyłączenie telefonu. Pozostawało tajemnicą, z czego żyli, nawet przy pensji Kay. Z wiary, nadziei i miłosierdzia - śmiejąc się, mówiła Kay. Wiara Haraldą w siebie dodawała nadziei jego wierzycielom, którzy okazywali miłosierdzie. Opowiedziała o pomysle Haraldą, aby zaprosić wybraną grupę wierzycieli: agenta od nieruchomości, urzędnika od telefonów, pana Finna z urzędu skarbowego oraz dentystę, doktora Rosenthala - czy to nie byłaby heca?

Kay oprowadzała po mieszkaniu każdego, kto go jeszcze nie widział. Dwa pokoje z wnęką na jadalnię i kuchnię, hallem oraz dumą i radością Kay - rozkoszną małą ubieralnią, wyposażoną we wszystko: szafki, szafy i szuflady wbudowane w ściany. Nieskazitelnie białe ściany, boazerie, otwierane na zewnątrz okna, wychodzące rzędem na słoneczne podwórze z młodymi drzewkami i krzewami. Ostatnie modele kuchenki, zlewu i lodówki, wbudowane szafki na naczynia, osobne szafki na miotłę, bieliznę stołową i pościelową. Każdy mebel w najnowocześniejszym stylu: jasne szwedzkie krzesła, stół z klapami (z nie malowanej brzozy) w małej jadalni oddzielonej od kuchni rozsuwanymi drzwiami; w dużym pokoju nowoczesny jasnoczerwony tapczan i fotele do kompletu, kozetka kryta materacowym płótnem w biało-szare pasy, stojące stalowe lampy, stoliczek, będący właściwie tylko szklaną taflą, którą Harald przykroił u szklarza i sam zamontował na stalowych nóżkach, poza tym szafki biblioteczne w ścianie, pomalowane przez Haraldą na kolor kanarkowy. Nie mają jeszcze dywanów, a zamiast zasłon tylko białe żaluzje. Bluszcz w białych doniczkach zastępuje im kwiaty. Zamiast łóżka mają w sypialni sprężynowy materac z

drugim materacem na wierzchu, w dolny Harald wbił czerwone kołki, żeby nie leżał na samej podłodze.

Kay miała na sobie wiśniową aksamitną szatę domową bez rękawów (gwiazdka od Haralda) z firmy Bendel; starszawa Murzynka z Harlemu roznosiła kanapki na modnej tacy z przedziałkami. Zamiast cocktailu podawano poncz pod nazwą „rybny”, zrobiony z rumu One Dagger, pożyczyli w tym celu wazę ponczową z dwudziestoma czterema czarkami od Priss Hartshorn-Crockett, która dostała ten serwis jako prezent ślubny, gdy wychodziła we wrześniu za mąż w Oyster Bay.

Tylko cztery dziewczęta z grupy mogły być na tym ślubie. Dziś *mirabile dictu* brakowało tylko Lakey, która przebywała w Hiszpanii. Pokey przyleciała swoim samolotem w kasku i goglach z Cornell, gdzie studiowała weterynarię, Helena, która lato i jesień spędziła w Europie, przyjechała z Cleveland. Dottie wróciła już z Arizony, dokąd rodzice wysłali ją dla podreperowania zdrowia, cudownie opalona, z pierścieniem zaręczynowym na palcu i brylantem niemal wielkości jej oczu, miała poślubić właściciela kopalni, do którego należała połowa stanu.

Odbiegało to daleko od skromnych planów Dottie, żeby pracować w przytułku dla ubogich i mieszkać z rodzicami w Bostonie.

- Nie będziesz mogła chodzić na koncerty czy do teatru - sucho zauważyła Helena.

Na co Dottie odparła, że i Arizona ma wiele do ofiarowania. Spotyka się tam mnóstwo ciekawych ludzi, którzy przyjeżdżają leczyć gruźlicę i zakochują się w tamtych stronach - muzyków, malarzy, architektów, poza tym jest konna jazda i niewiarygodne polne kwiaty pustyni, nie mówiąc o Indianach i fascynujących wykopaliskach, które przyciągają naukowców z Harvardu.

Goście już się prawie rozeszli, w sypialni pozostało jeszcze tylko jedno futro z norek. W szczytowym momencie leżało tam pięć, Harald je policzył. Należały do szefowej Kay, żony producenta, który kupił prawa do sztuki Haralda, Connie Storey, Dottie i narzeczonego Connie, chłopaka o różowych jak jabłuszka policzkach, pracującego w piśmie „Fortune”; to ostatnie futro było męską pelisą na norkach. Teraz w samotnym majestacie leżało tu tylko futro Dottie obok ocelotów Heleny i dziwnego okrycia ze starego szarego wilka, futra Norine Schmittlapp-Blake,

jeszcze jednej kobiety z kontyngentu Vassarówek. Producent z żoną wyszli po półgodzinie (to ona miała forszę) razem z gwiazdą, która objęła rolę po Judith Anderson w sztuce Pirandella *Jaką mnie pragniesz*, lecz absolwentki z 1933 roku zjechały się jak na zjazd koleżeński niemal i miały sobie mnóstwo rzeczy do powiedzenia - Libby sprzedała wiersz do magazynu „Harper's”; Priss była w ciąży; Helena widziała się w Monachium z Lakey i spotkała profesor Sandison w British Museum; Norine, która przyszła z mężem (tym w czarnej koszuli), była na rozprawie w Scottsboro*; Prexy (kochany Prexy!) jadł z Rooseveltem lunch podany na tacy w Białym Domu.

* Rozprawa dotycząca oskarżenia dziewięciu Murzynów o zgwałcenie dwóch białych kobiet w pociągu towarowym w 1931 roku, która narobiła dużo szumu jako sfabrykowana.

Helena pełniąca rolę korespondentki ich rocznika do vassarowskiego pisma zanotowała w pamięci kilka zwiezłych myśli: „U Kay Strong-Petersen spotkałam Dottie Renfrew, która ma poślubić Brooka Lathama i zamieszkać w Arizonie. *Kobieta, która odjechała konno*, jak ci się podoba ten tytuł, Dottie? Brook jest wdowcem - zajrzyjcie do przepowiedni dla naszego rocznika. Mąż Kay, Harald, sprzedał swoją sztukę pod tytułem *Kozuch* producentowi Paulowi Berglerowi, uważaj, Haraldzie! Wystawienie przewidziane na jesieni, reżyser Walter Huston właśnie ją czyta. Mąż Norine Schmittlapp (absolwent college'u Williams, 1930) założył niezależną organizację zdobywania funduszy na ruch robotniczy i sprawy lewicowe. Uwaga, działacze społeczni! Jego wspólnikiem jest Bill Nickum (Yale, 1929). Uwaga, Karolu Dickensie! Polly Andrews donosi, że Sis Farnworth i Lely Baker założyły przedsiębiorstwo pod wezwaniem: Spacer z Psem. Dzięki temu ciągle przebywają na świeżym powietrzu, powiada Polly, i są zavalone zgłoszeniami od ludzi, którzy nie mają już lokai do wyprowadzania ich piesków do parku...”

Helena zmarszczyła niskie czoło. Czy opanowała (stała się panią) styl „Magazynu Alumnów”? Siedziała z Dottie, czekając taktownie, kiedy będą mogły zabrać futra z sypialni i wyjść. Harald i Kay tam się zamknęli, „dyskutując”, jak

sądziła. Bo, żeby zacytować gospodarza: przyjęcie nie wypaliło. Większość gości wyniosła się, jak tylko pokazała się cała w uśmiechach czarna pokojówka z tortem, który przyniosła w prezencie na cześć urodzin Waszyngtona. Harald, rumieniąc się, wypchnął ją z powrotem do kuchni, aby ludzie nie pomyśleli, jakoby oczekiwano, że zostaną dłużej. Lecz Kay, która zawsze była paplą, puściła farbę.

- Przecież Harald miał czytać swoją sztukę! - krzyknęła smętnie za odchodzącymi gośćmi. Wyznała, że całe przyjęcie odbyło się w tym celu. Pokojówka zabrała swoją torbę i poszła do domu, a oprócz gospodarzy pozostali jeszcze Helena, Dottie, aktor radiowy, hojnie raczący się ponczem, państwo Blake'owie i oficer marynarki poznany przez Haraldą w jakimś barze, siostra faceta miała męża sławnego architekta, projektującego pochylnie w domach zamiast schodów. Aktor, osobnik z zaczesanymi do góry falistymi włosami, dyskutował z Norine o sztuce Haraldą.

- Kłopot w tym, widzisz, że napięcie w sztuce gwałtownie opada. Kiedy mi ją czytał, powiedziałem mu: „Napisałeś to bardzo ciekawie, zastanawiam się jednak, czy to w ogóle jest sztuka teatralna? - Mówiąc to, machnął ręką i trochę ponczu ściekło mu na ubranie. - Jeśli widz identyfikuje się z postacią, chce czuć, że bohater ma szansę wygrać. Harald jednak patrzy na życie zbyt logicznie i czarno, żeby karmić widza taką tanioczą.

Na drugim końcu pokoju Putnam Blake, chudy, blady młody mężczyzna, po studencku krótko ostrzyżony, z surową miną, niskim głosem, pełen napięcia wyjaśniał oficerowi, na czym, według niego, polega „Zasada akumulacji winy”.

- Pan Blake - wtrąciła Dottie z błyskiem w oku - ma metodę wynajdywania bogaczy, od których wyciąga się pieniądze na ruch robotniczy. Mówił nam o tym wcześniej. To bardzo ciekawe - dodała serdecznie.

Spoglądając na zegarki, na Norine i aktora oraz na zamknięte drzwi sypialni, obie dziewczyny podeszły, żeby posłuchać wywodów Putnama. Ten nie zwrócił na nie uwagi, zajęty tylko fajką i oficerem, twierdził, że na podstawie *Wielkich amerykańskich fortun* Gustavusa Wyersa, *Rejestru dyrektorów* Poora oraz prawa Mendla potrafi przepowiedzieć, kiedy jakaś bogata rodzina „dojrzeje”. Następuje to na ogół w trzecim pokoleniu.

- Wyłączyłem po prostu element przypadku w zdobywaniu funduszy - mówił - oparłem to na podstawie naukowej. Upraszczam naturalnie, ale ogólnie biorąc, poczucie winy z powodu posiadania fortuny przeważnie przeskakuje jedno pokolenie. A gdy się przejawia w drugim pokoleniu, jak w rodzinie Lamontów, wystąpi raczej u drugiego niż pierwородnego syna. Może też być odziedziczone przez kobiety i pozostać uśpione u mężczyzn. Oznacza to, że poczucie winy bywa odseparowane od głównego majątku, który zazwyczaj przechodzi na pierwородnych męskich potomków rodziny. I tak poczucie winy, będące cechą zanikającą, jak niebieskie oczy, może w niektórych rodzinach zaniknąć bez korzyści dla lewicy.

- Ślad drżenia, cień uśmiechu przemknął mu po wargach, Helena pomyślała, że robi wrażenie, jakby miał wielką ochotę, niczym jakiś zwariowany wynalazca, zwierzyć się oficerowi ze swego patentu; było w tym coś z atmosfery „ektoplazmicznego” żartu, czającego się przy jego Zasadzie.

- Pracuję teraz - ciągnął - nad powiązaniem niedorozwoju umysłowego z poczuciem winy w bogatych rodzinach. Idealny dawca (komuniści to odkryli), dziedzic wielkiej fortuny, ma mentalność dwunastolatka. - Nie zmieniając wyrazu twarzy, roześmiał się krótko, jakby w nawiasie.

Helena zmarszczyła jasne brwi, myśląc o bogatym młodzieńcu z Biblii, zobaczyła rząd wielbłądów z garbami narosłej winy, ustawiających się w kolejce, żeby przejść przez ucho igielne. Rozmowy na tym przyjęciu wydały jej się nadzwyczaj dziwne.

- Niech pani przeczyta *Manifest komunistyczny* ze względu na styl - mówił Harald do szefowej Kay (Wellesley, 1928).

Słyszając to, Helena się uśmiechnęła.

- Na przykład ta - powiedział nagle Putnam, wskazując Helenę fajką. - Jej rodzice żyją z procentów. Tata jest pierwszym wiceprezesem Stali Oneida. Sam doszedł do fortuny, pierwsze pokolenie. Córka, inteligentna dziewczyna, jedynaczka. Nie reaguje na wezwanie o pomoc dla ofiar systemu pracy. Zapewne jej filantropia ogranicza się do datków na Czerwony Krzyż i gruźlicę. Ale jeśli będzie miała czworo dzieci, można się spodziewać, że przynajmniej jedno przejawia cechy poczucia winy...

Mimo woli pod wrażeniem tych słów Helena zapaliła papierosa. Poznała Putnama dopiero na tym przyjęciu i przez chwilę myślała, że jest jasnowidzem - czytał myśli ludzkie jak magik w kinie przed rozpoczęciem seansu lub, ściślej mówiąc, jak wróżka. Kay musiała go oczywiście poinformować, niech ją gęś! Helena przeklinała dzień, gdy opowiedziała jej jako rzecz dziwną, że rodzice żyją „z procentów od procentów”, nie mając nic innego na myśli. Ale Kay musiała to przedstawić jako przechwałkę. Nawet dziś słyszała, jak mówi do producenta, że „rodzice Heleny nigdy nie odczuli kryzysu”.

- Jak się nazywają? - spytał producent, odwracając się, by spojrzeć na Helenę, normalna reakcja ludzi w stosunku do niej. - Kay wymieniła nazwisko. - Nigdy o nim nie słyszałem - rzekł producent.

- Jak większość ludzi - zgodziła się Kay. - Znają go jednak na Wall Street. Przepada za teatrem. Niech pan spyta Haralda. Bardzo często spotykał się z Davisonami w zeszłym roku, gdy był z przedstawieniem w Cleveland. Mama Heleny jest prezeską jednego z klubów w tym mieście, to kobieta niezwykła, ciągle organizuje wykłady i kursy dla dziewcząt z klasy robotniczej, odnosi się z pogardą do organizacji dobroczynnych w rodzaju Junior League, nie robiących nic konkretnego...

Helena paliła, wypuszczając z ust kółka dymu, nauczyła się tej sztuki, żeby pokonać zażenowanie - przez całe życie musiała znosić komentarze na swój temat, przede wszystkim ze strony własnej matki. Nieduża, płowowłosa, z miłym zadartym noskiem, robiła wrażenie osoby silnej, choć była szczuplutka i filigranowa. Była bardzo podobna do ojca, niskiego Szkota, z włosami koloru piasku, który dorobił się ogromnego majątku na produkcji stali, bo znał się na stopach; urodził się w małej miejscinie o nazwie Iron Mountain (Żelazna Góra) w stanie Michigan. Koleżanki z grupy uważały, że jest zabawna, miała poczucie humoru jak chochlik, mówiła przeciągając słowa i zazwyczaj biegała nago po pokoju, co z początku wywoływało zgorszenie. Bardzo słabo rozwinęła się fizycznie i gdy się ją widziało z daleka idącą wziąć prysznic z ręcznikiem wokół szyi, można ją było wziąć za małego piegowatego chłopca, który idzie popływać w jakimś leśnym jeziorcu; miała lekko pałakowate nogi, a kępka włosów w pewnym miejscu była czerwonoróżowa jak marchewka. Gdy poznały się z Kay na pierwszym roku, łączyły po drzewach na Sunset Hill za jeziorem i

robiły przedziwne doświadczenia w laboratorium chemicznym, tak że o mały włos nie wysadziły się w powietrze. Jednak grupa przekonała się, że Helena jest inteligentna i w pewnych sprawach bardzo dojrzała jak na swój wiek. Była bardzo czytana, zwłaszcza w literaturze współczesnej, osłuchana w muzyce współczesnej, w czym znacznie prześcignęła większość koleżanek, zbierała wydane w małych nakładach tomiki wierszy i rzadkie płyty przedpolifonicznej muzyki kościelnej. Grupa uważała ją za nie lada zdobycz, maskotkę niemal; w prostym szetlandzkim sweterku i spódnicy jeździła po terenie uczelni na rowerze lub z siatką na motyle biegała po Ogrodzie Szekspira.

Z punktu widzenia Heleny najgorsze było, że wiedziała o tym wszystkim, to znaczy: o maskotce, leśnym jeziorze i bieganiu za motylami - obejrzało ją i opisało dokładnie zbyt wielu znawców, wszyscy z wyrozumiałym uśmiechem, tak jak to zrobiła grupa. Została zapisana jako przyszła kandydatka na studia w Vassar zaraz po urodzeniu, przez całe jej dzieciństwo matka pilnowała, żeby pobierała nauki z każdego przedmiotu na świecie. Umiała (jak twierdziła mamusia) grać na skrzypcach, fortepianie, flecie i trąbce, śpiewała altem w chórze. Była kiedyś doradcą na obozie szkolnym i posiadała odznakę starszej ratowniczkini. Dobrze grała w tenisa, równie dobrze w golfa, uprawiała narciarstwo, jazdę figurową na łyżwach, jeździła konno, aczkolwiek nie skakała i nie polowała. Posiadała prawdziwe laboratorium chemiczne, małą maszynę drukarską, narzędzia do obróbki skóry, koło garncarskie, bibliotekę zawierającą książki o kwiatach polnych, paprociach i ptakach, zbiór motyli osadzonych na szpilkach i ułożonych w szklanych gablotach, kolekcję muszli morskich, agatów, kwarców i krwawników - wszystkie te pamiątki nauki przechowywała jeszcze w szafach w swoim niedużym saloniku w Cleveland, jej dawniejszym pokoju dziecięcym, natomiast domek dla lalek i zabawki zostały rozdane. Potrafiła napisać poważny nieduży esej, naśladować nawoływania ptaków i gong bokszerski, grać w *lacrosse* (podobne do hokeja), szachy, warcaby, mah-jong, tryktraka, anagramy, domino i przeróżne gry karciane: remik, wist, brydż i szereg innych. Znała na pamięć większość hymnów z episkopalnego i prezbiteriańskiego śpiewnika. Uczyła się tańców salonowych, baletu i stepowania. Robiła wycieczki w teren w związku z nauką geologii, zwiedziła Państwowy Zakład dla Umysłowo

Chorych, spała na koi marynarskiej i obejrzała maszyny drukujące „Dutehess County Sentinel” w Poughkeepsie. Pływała w wodospadzie koło Washington Crossing i chodziła na coroczne przedstawienia greckiej sztuki w szkole Bennetta w Millbrook. Ona i Kay, w ramach zajęć z higieny na pierwszym roku, były chyba jedynymi studentkami, które obejrzały obory z uniwersyteckimi krowami, a jeden z robotników pokazał Helenie, jak się doi. Znała się na porcelanie i posiadała niewielki zbiór tabakierok, które zaczęła dla niej zbierać matka; znała grekę i łacinę i potrafiła przetłumaczyć najdrastyczniejsze urywki z Kraffta-Ebinga bez cienia zakłopotania. Znała średniowieczną francuszczyznę i pieśni trubadurów, aczkolwiek akcent miała fatalny, matka bowiem nie uznawała francuskich guwernantek, po tym co słyszała na temat tych kobiet, mianowicie że potrafiły dawać dzieciom narkotyki lub wsadzać główki maleństw do piecyka gazowego, żeby prędzej usnęły. Na obozie szkolnym nauczyła się żeglować i śpiewać stare pieśni kościelne oraz śpiewki marynarskie, niektóre cokolwiek pieprzne, improwizowała na ustnej harmonijce i uczyła się grać na flecie starego typu. Od szóstego roku życia pobierała lekcje rysunku i wykazywała niepoślednie zdolności plastyczne. Gdy na ostatnim roku Kay wystąpiła z pomysłem robienia list wykazujących, kto kogo lubi najczęściej, Helena rozważnie oświadczyła, że nie potrafi zdecydować, i zamiast listy zrobiła duży kolorowy rysunek pod tytułem *Sąd Parysa*, na którym wszystkie koleżanki były nagie jak boginie, a ona sama malutka, w kurteczce, papierowej oślej czapce, trzymała w dłoni robaczywe jabłko. Ubawione koleżanki powiesiły dzieło we wspólnym saloniku, przy czym wywiązała się nie lada dysputa, czy powinny go zdejmować w dni wieczorków tanecznych, gdy przyjmowały kawalerów na herbacie; skromne dziewczęta, jak Dottie i Polly, bały się, aby nie powiedziano, że są rozwydrzone, bo były tak podobne, jakby pozowały do rysunku.

Ponieważ Helena kiedyś mieszkała w jednym pokoju z Kay (zanim przenieśli się jako grupa do wieży) i zaprosiła ją raz do Cleveland, poddała się werdyktowi mamusi, że Kay jest jej „najlepszą przyjaciółką”, choć nie były już z sobą tak blisko, jak w czasach gdy Kay nie miała jeszcze życia seksualnego. Wiedziała o seksie od najwcześniejszych lat, nie traktowała go jednak poważnie, nazywając instalacją hydrauliczną. Sucho i z rezerwą odnosiła się do czulej pasji, jak nazywała miłość,

bawiły ją zapęły Kay w stosunku do Haralda, którego przezwała „Szybkim Haraldem”, robiąc aluzję do staroangielskiego zwyczaju przesypania się przed pobraniem się. Ogólnie biorąc, mężczyźni byli dla niej dziwaczными stworzeniami, jak jednorożce, a do Haralda osobiście miała pewne zastrzeżenia, polegające głównie na dezaprobachie pisowni jego imienia. Rodzicom jej natomiast Harald się spodobał i pochwalili wybór Kay. Gdy ubiegłej zimy przyjechał z przedstawieniem do Cleveland, pan Davison zaproponował mu kartę wstępu do swego klubu, z którego i tak niewiele korzystał, będąc, jak się wyraził, „człowiekiem prostym”.

Sama Kay była ulubienicą matki Heleny; ilekroć przyjeżdżała do Heleny, pani Davison, osoba bardzo gadatliwa, lubiła mówić z nią o córce przy drugiej filiżance kawy podczas śniadania w ślicznym pokoju śniadaniowym z boazerią; Helena spała jeszcze zazwyczaj i tylko kubki w kształcie starczych głów i dzbanuszki z angielskiej porcelany z lisimi łbami, z których piło się strzemiennego - kolekcja pana Davisona - przysłuchiwały się komentarzom mamusi (jak mawiała Helena). Znając obie rozmówczynie, mogła, nie przerywając snu, odtworzyć tę rozmowę.

- Miała wszelką szansę - mówiła pani Davison, patrząc wymownie na Kay popijającą z szacunkiem sok pomarańczowy, podany z tłuczonym lodem. - Wszelką szansę.

Słowa te wypowiedziane parokrotnie z naciskiem robiły na Kay wrażenie, jakoby pani Davison mówiła jej poufnie, że bardzo zawiodła się na córce. Myliła się jednak, jak się przekonały inne koleżanki Heleny. Często przemawiając publicznie, pani Davison zawsze robiła pauzy i mówiła z naciskiem, żeby słowa jej lepiej dotarły do słuchaczy, nawet jeśli jej audytorium składało się tylko z jednej osoby. W rzeczywistości uważała, że Helena znakomicie się rozwija, choć pojąć nie mogła - wyznała Kay - dlaczego córka „nie uznała za stosowne” studiować malarstwa w college'u.

- Davy Davison i ja - wyjaśniła - nie mielibyśmy nic przeciw temu, żeby Helena została malarką. Po studiach. Jej nauczycielka w naszym mieście uważa ją za niezwykle obiecującą, wykazującą zdecydowane uzdolnienia i podobnie sądził pan Smart z muzeum. Proponowaliśmy, aby przez rok, dwa pochodziła do Art Students

League w Nowym Jorku, i że wynajmiemy jej pracownię w Greenwich Village. Ale jej zainteresowania rozszerzyły się w Vassar, żeby się tak wyrazić.

Kay zgodziła się. Pani Davison dziwiła się też, że Helena nie została wybrana do Phi Beta Kappa*.

* Stowarzyszenie, do którego są wybierani najlepsi studenci ze wszystkich uniwersytetów.

- Powiedziałam - zdawała Helenie sprawozdanie Kay - że tylko kujony zostają wybrane na pierwszym roku.

- To samo mówiłam Davy Davisonowi! - wykrzyknęła pani Davison. - Dziewczeta, które miały korepetytorów, którym pomagano. - Mama Heleny często ze wstrętem mówiła o korepetytorach. - Ja tam nie mam wyższych studiów - ciągnęła dalej ta dama - i gorzko tego żałuję. Będę miała o to pretensje do Davy Davisona, dopóki mi nie położą miedziaków na oczy. - Ostatnia uwaga nie była całkiem a propos, jak tyle innych wypowiedzi tej pani mieszkającej uczone aluzje - również ta nawiązująca do pogrzebowych zwyczajów Rzymian - z niejasnymi wspomnieniami osobistymi. Kay zrozumiała, że pan Davison poślubił panią Davison, według jej własnego określenia, „przedwcześnie”, w co trudno było uwierzyć, bo choć lubiła matkę Heleny, nie mogła jej sobie wyobrazić jako osoby młodej. Wysoka, tęga, z wałkami siwych włosów po staroświecku owiniętymi wokół uszu, miała duże, ciemne, błyszczące i inteligentne oczy, nie pasujące jakoś do jej szerokiej, nalanej, nieładnej twarzy, białej i bezkształtnej jak ciasto na chleb włożone do formy, aby rosło. Była Kanadyjką z prowincji Saskatchewan i mówiła, lekko połykając słowa.

W rzeczywistości była przed ślubem wiejską nauczycielką, nie pierwszej już młodości, zbliżała się bowiem do trzydziestki, gdy pan Davison ją poznał w domu pewnego metalowca. Jeśli nie miała prawa pisać „magister” przed swoim nazwiskiem, mogła mieć pretensje wyłącznie do siebie, bo w *annus mirabilis* (1901) otworzono uniwersytet w Saskatoon - lubiła opowiadać o tym - i po obejrzeniu profesorów przekonała się, że umie więcej od nich.

- Zupełnie jak mały Pan Jezus w świątyni, *toute proportion gardee* - wyznawała. Mimo to żywiła niepojętą pretensję do męża, że nie pozwolił jej dokończyć, jak to określała, edukacji.

- Będziemy musieli kupić matce doktorat honoris causa na jej złote wesele - mawiał czasem ojciec Heleny.

Oboje państwo Davisonowie mieli wyraźny wstręt do ostentacji. Pani nie nosiła biżuterii prócz obrączki i pierścionka zaręczynowego, czasem przypinała do sukni we wzorki lub kropki wiktoriańską broszkę z granatami harmonizującymi z jej znakiem zodiaku. Helena miała garnitur biżuterii z kamieniami księżycowymi, broszkę z kocim oczkiem (odbijającym światło), szpilkę z ametystem i naszyjnik zwany Dodaj Perłę, który był skompletowany na jej osiemnaste urodziny, gdy została wprowadzona w świat (czyli przedstawiona rodzinie i starym przyjaciółom) podczas skromnej herbatki wydanej przez mamę w domu rodzinnym, znanym jako „Dworek”, z ogrodem za wysokim murem i angielskimi lakami wonnymi.

Kay opowiadała koleżankom z grupy, że dom Davisonów jest jak z bajki, choć stoi w samym sercu Clevelandu, tylko o dwie przecznice od przystanku tramwajowego, lecz ukryty za wysokimi żywopłotami ligustru i murem ogrodowym. Jest nieduży, dobrze rozplanowany i cichy, w pokojach pod oknami stoją wyściełane kanapki z poduszkami w kretonowych pokrowcach, są fotele na biegunach, szafki ścienne, półki, „kredensy” pełne kruchych, drogocennych naczyń używanych na co dzień niczym pouczające zabawki - szkło do mleka, szkło z Sandwich, angielska porcelana Wedgwood, Staffordshire, Lowestoft i Crown Derby. Stół jest niemal zawsze nakryty: do śniadania, obiadu, podwieczorku czy kolacji, stoją na nim podstawki do grzanek, maszynki do podgrzewania bułeczek, Leniwa Susan (duży obracający się półmisek, o którym Kay nigdy nie słyszała), miseczki z pudrem cukrowym do ciepłych bułeczek, miseczki do płukania palców z pływającymi w nich kwiatami. Nie ma tam jednak kręcących się po domu kamerdynerów czy lokai, napędzających człowiekowi strachu, że może użyć niewłaściwego naczynia lub sztućca. Gdy Helena, zawsze ostatnia schodząca na śniadanie, kończyła jeść, kolorowa służąca wносиła porcelanową misę w śliczne różowe różyczki i dzban gorącej wody, a pani domu zmywała przy stole filiżanki i spodki (stary pionierski zwyczaj, jak twierdziła),

wycierając je haftowaną ściereczką. Po głównym daniu przy kolacji służąca wносиła czerwono-zieloną misę na sałatę z chińskiej porcelany i starą podstawkę z oliwą, musztardą oraz różnymi rodzajami octu, pan Davison wstawiał, sam przyprawiał i mieszał sałatę, zawsze posypaną świeżymi ziołami. Państwo Davisonowie nie przyjmowali zbyt często, większość przyjaciół rodziny, opowiadała Kay, to przeważnie ludzie starsi, kawalerowie lub wdowy i ani pan domu (który naprawdę ma na imię Edward), ani pani nie przepadają za „świętą”, jak to zabawnie nazywają, chociaż Helena jako jedynaczka miała wszelką szansę, by poznać w postępowej szkole, do której chodziła, chłopców i dziewczyny w swoim wieku. Nie mówiąc o szkole tańca i szkółce niedzielnej; ani pan, ani pani Davison nie chodzili regularnie do kościoła (aczkolwiek pani wnikliwie oceniała kazania), uważali jednak, że córka powinna poznać Biblię oraz zasady głównych chrześcijańskich wierzeń, żeby mogła sama zdecydować o wyborze wiary.

Po szkole podstawowej wysłano Helenę do dobrego internatu w Nowej Anglii z wszechstronnym programem, ale bez wielkich cudów.

Latem rodzina wyjeżdżała do Watch Hill czy Rhode Island, Yarmouth w Nowej Szkocji lub Biddleford Pool w Maine, Helena zawsze zapraszała tam przyjaciółki, a gdy skończyła osiemnaście lat, nauczyła się prowadzić samochód i mogła korzystać z małego, lekkiego forda, jak go opisywała pani Davison, drugiego samochodu zakupionego przez pana Davisona.

Po pierwszym roku studiów Heleny zamierzali latem 1930 roku zrobić wycieczkę do Lake District (Pojezierza) w Anglii (pani Davison uwielbiała Dorothy Wordsworth*), ale z powodu ciężkich czasów w interesach postanowili zostać w kraju, aby pan Davison mógł mieć oko na rozwój wydarzeń. Pani Davison upewniła się, że żadna inna dziewczyna z Vassar nie wybiera się za granicę.

* Siostra sławnego angielskiego poety Williama Wordswortha, autorka pamiętników znanych z pięknej prozy i opisów życia w tak zwanym Pojezierzu, skąd wywodzi się grupa poetów angielskich, którzy weszli do historii literatury jako Lake District Poets.

Lecz w czerwcu bieżącego roku pan Davison nagle oznajmił, że Helena potrzebuje zmiany. Na uroczystości wręczania dyplomów wydała mu się mizerna, powiedział do żony. Niech się przewietrzy w Europie i pozna trochę świata, nim zaszyje się w tym przedszkolu, co jest pomysłem idiotycznym. Mając takie wykształcenie, zdecydowała przygrywać na fortepianie i uczyć gimnastyki Dalcroze'a oraz malować palcami w eksperymentalnej szkole w Cleveland zgraję zatraconych gudłajskich bachorów, sądząc z tego, co słyszał pan Davison.

- Jaki to ma sens? - z wściekłością pytał Kay podczas lunchu nazajutrz po rozdaniu dyplomów, lecz pani Davison zmitygowała męża.

- Spokój, tatusiu! - Helena i Kay wymieniły spojrzenia.

- Dobrze, matko! - natychmiast usłuchał pan Davison.

Kay przypuszczała, że on się złości, ponieważ Helena nie skończyła studiów z odznaczeniem *magna cum laude*, gdy tymczasem dużo Żydówek otrzymało takie dyplomy. Pani Davison najwyraźniej też tak myślała, bo odchrząknęła i wtrąciła, że samo *cum laude* (bez *magna*), które przypadło Helenie w udziale, znamionuje prawdziwego studenta, w przeciwieństwie do tych, których w jej czasach nazywano „zakopconymi kujonami”.

- Patrzyłam na te magny - oznajmiła - gdy podchodziły po dyplomy, wcale mi się nie podobały, czuć je było lampą, jak powiedziałam do Davy Davisona, całonocnym ślęczeniem nad książkami przy lampce oliwnej, żeby się tak wyrazić.

- Och, mammo! - Helena zawstydzona uniosła brwi.

- Z jakiej racji - kontynuował pan Davison, który nie dał się sprowadzić na inny temat - Helena ma zabierać pracę jakiejś dziewczynie, która naprawdę jej potrzebuje. Możesz mi to powiedzieć? - Odsunął talerz ze smażonym kurczęciem. Jego pyzate policzki poczerwieniały.

Kay chciała coś powiedzieć, lecz pani Davison jej przerwała: - Chwileczkę, tatusiu, sugerujesz, że dziewczyna w sytuacji Heleny nie ma tych samych praw co inne dziewczęta?

- Jak najbardziej - odparował pan Davison. - Trafiłaś w sedno. Płacimy pewną cenę za posiadanie majątku. Ludzie w mojej sytuacji - zwrócił się do Kay - mają „przywileje”. Wyczytałem to w „Nation” i „New Republic”. - Pani Davison

przytaknęła. - Dobrze. Więc słuchajcie: człowiek cieszący się przywilejami rezygnuje z pewnych praw lub powinien zrezygnować.

- Nie jestem pewna, czy zrozumiałam - powiedziała Kay.

- Na pewno zrozumiałaś. Tak jak matka i Helena.

- Weźmy inny przykład - zaczęła pani Davison zamyślona. - Przypuśćmy, że Helena namaluje obraz. Czy nie miałyby prawa go sprzedać, dlatego że inni malarze są bez grosza?

- Obraz nie jest służbą, matko - odparował pan Davison. - Helena zamierza ofiarować swoje usługi, które równie dobrze może wykonać sto innych dziewcząt w Cleveland. - W tym punkcie dyskusja urwała się, bo kelner podał rachunek, który zapłacił pan Davison. Sama Helena ledwie otworzyła usta w trakcie tej dysputy.

Po tej rozmowie Kay oświadczyła, że ojciec Heleny ma zdumiewająco niesprawiedliwe poglądy, a wycieczka do Europy to łapówka, która zdeprawuje Helenę. Była głęboko zdumiona (powiedziała to teraz Helenie w oczy), że potulnie, z podwiniętym ogonem pojechała do Europy i siedziała tam do Bożego Narodzenia. A po powrocie wcale się nie stara, by znaleźć pracę, tylko gada o uczeniu się rytownictwa suchą igłą w Cleveland i o zapisaniu się na kurs akrobatycznego tańca w takiej dziurze jak Y.W.C.A. I nie idzie jej wcale o zajęcie się czymś do czasu małżeństwa, jak innym dziewczynom, bo i tak nie wyjdzie za mąż, jest istotą rodzaju nijakiego, takim małym mułem. Wobec tego powinna zrealizować swoje możliwości. W rozmowie z producentem Kay stwierdziła, że ona i Helena są absolutnym przeciwieństwem.

- Naprawdę? - zdziwił się pan Bergler. - W jakim sensie?

- Podczas studiów chciałam być reżyserem - wyjaśniła Kay. - Chodź tu, Heleno! - zawołała - mówimy o tobie. - Helena niechętnie podeszła; jej strój składał się z czarnego toczka, czarnej aksamitnej sukni zapinanej z przodu od góry do dołu na guziczki, z kołnierzykiem ze starej koronki, spiętym broszką z kocim oczkiem. - Mówiłam panu, że zawsze chciałam być reżyserem - poinformowała Kay.

- No cóż - odezwał się producent, bezpretensjonalny, siwy Żyd z białą delikatną cerą i rybimi szarymi oczami bez wyrazu. - Więc i to panią łączy z Hall. - Kay przytaknęła.

- Reżyserowałam jedną ze sztuk granych w auli uczelni - poinformowała Kay. - To co innego niż DP, Dramatic Production, które prowadzi Hallie, Hallie Flanagan, słyszał pan o niej? Więc Hall Plays wywodzą się z Philaletheis, to studencka impreza. Brzmi to jak filatelistyka. Ale oznacza co innego, mianowicie miłość do teatru. Hallie nie pozwalała mi reżyserować u siebie. Pracowałam przy światłach z Lesterem, Lesterem Langiem, jej asystentem, pan pewnie nie słyszał o nim. I budowałam dekoracje.

- A teraz?

- Zrezygnowałam - westchnęła Kay. - Pracuję u Macy'ego, jestem na praktyce. Mam zacięcie, ale nie talent. Tak orzekł Harald po obejrzeniu sztuki, którą reżyserowałam. *Opowieść zimową* Szekspira w teatrze na wolnym powietrzu. Helena grała Autolikusa.

Producent spojrział na Helenę.

- Właśnie to chciałam powiedzieć - podjęła Kay - na chwilę straciłam wątek. Mam zacięcie, ale nie talent, Helena natomiast ma talent, ale nie ma zacięcia.

- Chciałaby pani pójść na scenę? - spytał zaciekawiony producent, pochylając się ku Helenie.

- Och, nie - odpowiedziała Kay za koleżankę. - Helena jest mimem, ale nie aktorką. Harald tak uważa. Nie. Ale ona ma tyle innych talentów, że nie potrafi się zdecydować na skanalizowanie żadnego. Pisze, śpiewa, maluje, tańczy, gra na tylu instrumentach, że nie potrafię ich zliczyć. Wszechstronna dziewczyna. Mówiłam panu o twoich rodzicach. Ona ma absolutnie niezwykłych rodziców. Ile pism prenumeruje twoja mama? Jej mamusia jest Kanadyjką - dodała Kay, patrząc na zamyśloną Helenę, stojącą ze szklanką ponczu w ręku.

Domyśliła się, że Kay zachęca ją do popisu przed producentem, i była gotowa usłuchać, tak jak dawniej, gdy recytowała wiersze lub bawiła się pod okiem mamusi, czując się sumienną nakręconą zabawką. Potrafiła nadać oczom „zakłopotany”, gorliwy wyraz i skierowała je teraz na producenta spod czerwonych brwi.

- Więc - zaczęła krzywiąc się i przeciągając słowa - mama prenumeruje: „National Geographic”, „Christian Century”, „Churchmana”, „Theater Arts Monthly”, „Stage”, „Nation”, „New Republic”, „Scribner's”, „Harper's”, „Bookmanna”, „Forum”,

londyński „Times Literary Supplement”, „Economista”, „Spectatora”, „Blackwood's”, „Life and Letters Today”, „The Nineteenth Century and After”, „Puncha”, „L'Illustration”, „Connaissance des Arts”, „Antiques”, „Country Life”, „Isis”, „PMLA”, „Lanceta”, „American Scholar”, roczne sprawozdanie Zarządu College'ów, „Vanity Fair”, „American Mercury”, „New Yorkera” i „Fortune” (ostatnie cztery są dla tatusia, ale mama je przegląda).

- Opuściłaś kilka - wtrąciła Kay.

Producent uśmiechnął się, mówiono, że jest komunistą.

- Na pewno zapomniała pani „Atlantic Monthly” - powiedział.

- Nie - Helena pokręciła głową. - Mama ma z tym pismem na pieńku. Coś jej się nie podobało w cyklu Jalna i anulowała prenumeratę. Uwielbia anulować prenumeraty... to dla niej bolesny obowiązek. Wojna z „Saturday Review of Literature” mocno ją dotknęła z powodu „Bliźniaczej Krzyżówki”, myślała nawet o wznowieniu prenumeraty na nazwisko naszej służącej, ale bała się, że poznają adres.

- Pani mamusia musi być bardzo groźną osobą - podjął producent w odpowiedzi na lekki uśmieszek Heleny. - Proszę mi powiedzieć, co wywołuje jej dezaprobatę w „Saturday Review of Literature”? Czy seks się tam zanadto rozpanoszył?

- Och - odparła Helena - pan krzywdzi moją mamę. Jest uodporniona na seks.

Recenzent pewnego wydawnictwa, mieszkający w tym samym domu na niższym piętrze, podszedł, aby posłuchać; lekko ścisnął łokieć Libby.

- Bardzo dowcipne, prawda? - powiedział.

- Czuję miejsce mamy - ciągnęła dalej Helena z niewzruszonym spokojem - są wyższe regiony mózgu, ma wysoko rozwinięty „guz” gramatyki i jej stosowania. Czuje się moralnie dotknięta nieczystą angielszczyzną.

- Na przykład? - zachęciła Helenę Kay.

- Nieuzasadnione modyfikacje. Niewłaściwe przyimki. „Pogarszający” w sensie „dokuczliwy”, „poniżyć” w sensie „pomniejszać”. „Lewy”...

- Lewy? - powtórzył recenzent książek.

- Mama twierdzi, że „lewy” oznacza tylko leworęczną osobę. Kiedy jej się mówi, że ktoś jest „lewy”, rozumie jedynie, że dana osoba jest mańkutem. Przyznaje,

że jakiś czyn może być „lewy”, jeśli się go dokona z boku, „pod płaszczykiem” lub „na lewo”.

- Coś takiego! - wykrzyknęła Pokey jakby oburzonym tonem. Coraz więcej gości podeszło do Heleny, otaczając ją kołem.

- „Wnioskować” zamiast „zakładać” - wtrąciła Libby, chcąc, żeby ją usłyszano.

- Aha - zgodziła się Helena. - Ale to zbyt powszechne, żeby zasłużyć na specjalną obronę mamy. „Dokładny” niewłaściwie używany jako synonim przymiotnika „czysty”. Mama przywiązuje wielką wagę do łacińskich korzeni, ale nie uznaje *ablativus absolutus* w składni angielskiej.

- Och - wtrącił przyjaciel Haralda, Sisson, który robił zdjęcia na ślubie. - Och, „nie potrafię inaczej, jak czuć”.

- A co tu nie gra? - odezwało się kilka głosów.

- Nic na to nie poradzę, ale czuję. Lub: Czuję mimo woli.

- Jeszcze! - tubalnym głosem zażądał recenzent.

- Nic na to nie poradzę, ale czuję - powiedziała Helena - że dość już mówiliśmy o „ulubionych konikach” mamusi.

Maniera emfaticznego podkreślania słów właściwa matce Heleny przeszła dziwną mutację w wysławianiu się córki. Słowa, które pani Davison podkreślała z naciskiem, Helena wtrącała ostrożnie, w cudzysłowie, tak że uwagi, zdania, a nawet imiona własne lekko wypowiedane brzmiały jak ironiczne cytaty. Wszystko, co mówiła pani Davison, zdawało się absolutnie autorytatywne, a wszystko, co mówiła Helena, nacechowane było jak gdyby najgłębszym zwątpieniem.

- Spotkałam profesor Sandison w British Museum - powiedziała kiedyś do Kay i Dottie, a jej podniesione brwi i powolne, przeciągłe wymawianie nazwiska pani profesor i nazwy instytucji zdawały się sugerować, że „profesor Sandison” to jakiś przedziwny kryptonim, a „British Museum” jest tylko fasadą czegoś lub szalbierstwem. To wykrzywanie akcentu przychodziło jej automatycznie, jak zmieniający się dźwięk puzonu po zastosowaniu suwaka. W rzeczywistości bowiem bardzo szanowała swoją dawną profesor od Szekspira, jak i British Museum. Miała stałą kartę wstępu do czytelnicy tego muzeum niemal od chwili, gdy nauczyła się chodzić, i równie dobrze była obyta z różnymi systemami katalogowania, jak z pełnym

wydaniem dzieł Szekspira opracowanym przez Furnessa. Na studiach celowała w „bibliografii” - bardzo zalecanej przez profesora Sandison - i miała mnóstwo drewnianych pudełek, pełnych dokładnie sklasyfikowanych fiszek, na biurku obok małej maszyny do pisania, prezentu gwiazdkowego na pierwszym roku - matka bowiem nie życzyła sobie, aby Helena zaczęła pisać na maszynie wcześniej, nim sobie wyrobi charakter pisma; przez jakiś czas pobierała lekcje kaligrafii w Cleveland, co drugi dzień, między lekcjami muzyki i jazdy konnej, nauczyła się też sama przycinać gęsie pióra do pisania. Spotkanie pani profesor, wybitnej znawczynie literatury elżbietańskiej, w British Museum było przecież jak najbardziej oczywiste, mimo to Helena drobiazgowo opisała okoliczności tego spotkania, jak gdyby ono wymagało wyjaśnienia: że pani profesor ma urlop akademicki i opracowuje naukowy esej o mało znanym Elżbietańczyku „Arturze Gorgesie”, ona sama zaś szukała wczesnego wydania Dorothy Richardson* i zajrzała do Marmurów Elgina**. Relacjonując tego rodzaju „prawdziwe szczegóły”, Helena zniżyła głos i z powagą marszczyła czoło, przybierając, jak matka, poufną minę, jak gdyby przekazywała specjalne wiadomości o chorym wspólnym przyjacielu.

* Dorothy Richardson (1873-1957) angielska pisarka stosująca monologi wewnętrzne w swoich powieściach psychologicznych (cykl *Pilgrimage*).

** Mowa o marmurowych rzeźbach z Akropolu w Atenach, które zabrał do Anglii lord Elgin.

- Rozkoszna mała - powiedział producent do Haralda, zegnając się. - Przypomina mi młodą Hepburn, zanim ją ucharakteryzowano na gwiazdę. Tamta też ma matkę członkinię klubów.

Helena nie miała nic przeciw końcowej partii tego „hołdu”.

- Mama należy do klubów - Helena łagodnie upomniała Kay, która uważała, że producent uchybił pani Davison. - A ja nie lubię Katharine Hepburn. - Miała dość ustawicznego porównywania jej do aktorki. Pierwsza zauważyła podobieństwo matka Heleny.

- Studiowała w Bryn Mawr - powiedziała. - Skończyła w 1929. Davy Davison i ja widzieliśmy ją z Jane Cowl. Była krótko ostrzyżona jak ty.

Helena zmęczona zerknęła na drzwi sypialni. Chciała już iść do domu, a właściwie mówiąc, na kolację z Dottie do restauracji Longchamps na Czterdziestej Dziewiątej ulicy, naprzeciw klubu Vassar. Wiedziała, że po powrocie do Cleveland będzie musiała zdać sprawozdanie matce, jak „znalazła” Kay i Haralda, jakie mają mieszkanie i jak Haraldowi się powodzi w teatrze.

- Kay zawsze była moją ulubienicą - mawiała pani Davison, wysłuchawszy relacji córki. Matka, o czym Helena dobrze wiedziała, odznaczała się pewną cechą szczególną - jak królowa wymagała, aby wszystkie wiadomości były pomyślne i odzwierciedlały stały postęp w ludzkich sprawach.

To istotnie była cudowna wiadomość, że sztuka Haralda ma być wystawiona, a przecież ani Kay, ani Harald nie wydawali się bardzo szczęśliwi. Może, jak przypuszczała Dottie, za długo czekali na sukces. Słyszała smutną historię, że Harald pomagał facetowi od teatrzyku marionetek, który zabawiał gości na przyjęciach prostackich bogaczy; ktoś zauważył go operującego światłami za maleńką sceną przenośnego teatrzyku kukielkowego - nie wolno mu było przyłączyć się do gości. Kay nikomu o tym nie napomknęła. Dziś wygląda na zdenerwowaną i zmęczoną, a Harald za dużo pije. Miał rację, przyjęcie nie „wypaliło”. Producent z żoną zdawali się nie rozumieć, skąd się wzięło tyle Vassarówek, i Helena obawiała się, że akcje Haralda spadły. Kay pragnęła, aby zabłysły w towarzystwie, lecz towarzystwo im nie służyło. Jak to określił Harald: nie umiały „promieniować”. Ze wszystkich dziewcząt obecnych na przyjęciu tylko Kay - według Heleny i Haralda, którzy doszli do tego wniosku przy wazie z ponczem - była prawdziwą pięknoscią. Traciła jednak kolory, co zmartwiłoby panią Davison, zachwycającą się „różami” na policzkach Kay.

Wreszcie otworzyły się drzwi sypialni. Para gołąbków się pogodziła. Kay uśmiechała się wilgotnie, a Harald zawadiacko trzymał ustnik w zębach. Kay oznajmiła, że zrobił dziś rano ogromną michę *chile con came*, więc wszyscy mają zostać na kolacji. Potem, jeśli goście będą chcieli, Harald przeczyta jeden akt ze swojej sztuki. Nie było rady, Helena i Dottie musiały zostać, Kay liczyła na nie.

Harald wyszedł do kuchni, po drodze dolewając sobie ponczu, nie pozwolił Kay, żeby mu pomogła, mówiąc, że jest zmęczona i ma dziś urlop.

- Czy to nie wzruszające? - szepnęła Dottie.

Helena nie była wzruszona. Była przekonana, że Harald zna Kay równie dobrze jak ona sama, więc wie, jak bardzo jego żona nie lubi, żeby coś robiono bez niej, ma nienasycone pragnienie, żeby być użyteczną. Słysząc było Harald w kuchni, brzęk talerzy, skrzypienie otwieranych szuflad. Kay nie mogła usiedzieć spokojnie.

- Może ja zrobię kawę! - krzyknęła.

- Nie - odkrzyknął Harald. - Zajmij się gośćmi. Kay rozejrzała się z przegranym, gorliwym uśmiechem.

- Ja mu pomogę - zaofiarowała się Dottie, słysząc ciągle pobrzękiwanie talerzy w kuchni.

- Poczekaj - wtrąciła Norine - ja to zrobię. Znam tę kuchnię. - Zdecydowanym krokiem wyszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi z ukośnych deseczek, które się zakołysały.

- Zrobi zbyt słabą kawę - smętnie zauważyła Kay do Heleny. - I poda papierowe serwetki.

- Nie przejmuj się - uspokajała ją Helena.

Aktor radiowy odwrócił się w stronę Kay, był dość mocno wstawiony, papieros w jego ręku drżał.

- Możesz mi podać ogień?

Kay rozejrzała się, nie widać było zapalek, wszystkie bloczki z zapalkami były puste. Putnam bez słowa podał aktorowi zapaloną fajkę. Gdy ten przytykał papierosa do ognia, na świeżo zapastowaną podłogę spadło kilka odprysków żaru.

- Boże! - krzyknęła Kay, zdeptując je. - Przyniosę zapalki z kuchni.

- Ja pójdę - wtrąciła Helena. -

Za drzwiami w małej kuchence zobaczyła Norine i Harald w namiętym uścisku. Wysoka, długonoga koleżanka była odchylona w tył jak ogromny ryś, a Harald całował ją, napierając z przodu niczym zwierzę, które dopadło zdobyczy. Scena ta nie wiadomo dlaczego przypominała Helenie nieme filmy niemieckie. Orzechowe oczy Norine były zamknięte, jej wschodni turban - arcydzieło modniarskie

domowej roboty - cokolwiek się rozkręcił. Na podłodze leżała ścierka do naczyń. Gdy Helena weszła, całująca się para rozłączyła wilgotne usta, oboje odwrócili głowy, by spojrzeć, kto to taki. Usłyszeli wołanie Kay:

- Znalazłaś? Harald, proszę cię, daj Helenie kuchenne zapalniczki. Helena zauważyła leżące na kuchence zapalniczki. Norine i Harald odsunęli się od siebie, Helena szybko przesunęła się między nimi.

- Przejście - powiedziała. Podniosła ścierkę, rzuciła ją Haraldowi. Chwyciła zapalniczki i szybko wyszła. Jej mała dłoń drżała z powodu cudzej winy, gdy zapaliła dużą zapalniczkę i podała ją aktorowi. Zapalniczka zgasła. Zapaliła następną. Stwierdziła, że w pokoju unosi się mocny zapach siarki piekielnej.

Po kilku minutach do pokoju wkroczyła Norine, niosąc na tacy talerze i pudełko papierowych serwetek, za nią podążał Harald ze swoim *chile*. Wszyscy zabrali się do jedzenia. Aktor powrócił do krytycznej oceny *Kozucha*.

- Upadek sprawiedliwego - powiedział Harald, zerkając na Helenę - jest jak runięcie w przepaść. - Trochę krzywo odstawił swój talerz. - Przepraszam, muszę pójść do toalety - dodał.

- Upadek sprawiedliwego - powtórzył aktor. - Harald znakomicie to ujął. Prezes college'u zaczyna na górze, politycy podkładają mu świnię i facet leci w przepaść. Koncepcja niewątpliwie śmiała, lecz nie aktorska.

- Czy Szekspir nie był aktorem? - nieoczekiwanie odezwał się oficer marynarki.

- Co to ma wspólnego z moją tezą? - odparował aktor.

- Mam na myśli króla Lira - wyjaśnił oficer. - Czy i on nie zaczynał na górze?

- Króla Lira - wtrąciła Helena - trudno nazwać sprawiedliwym. Rozległ się szum wody spuszczonej w ubikacji.

- Poza tym w sztuce *Król Lir* jest rozmaitość: są postacie jasne, takie jak Kordelia, Kent, Błazen - powiedział aktor. - A w sztuce Harald nie ma nic jasnego. Harald twierdzi, że to byłby fałsz.

- Tort Klary! - krzyknęła Kay, gdy podano kawę. - Harald, musimy spróbować tortu Klary. Przyrzekłam jej to. Była bardzo dotknięta, gdy nie pozwoliliśmy jej pójść do ponczu.

- Gdy ja nie pozwoliłem - poprawił żonę Harald ze smętną miną.

- Dlaczego wprost tego nie powiesz?

- Poczekajcie, aż zobaczycie ten tort - oznajmiła Kay. - Zrobiła go sama na to przyjęcie i przyniosła z Harlemu na papierowej koronce. Klara to wspaniała postać. Prowadzi wysokiej klasy zakład pogrzebowy. Wyprawiła pogrzeb wielkiemu murzyńskiemu bokserowi Tigerowi Flowersowi. Powinniście usłyszeć, jak go opisuje „wystawionego z pompą”. Uwielbiam jej komentarze na temat konkurencji: „Te nocne loty karawaniarzy grzebią nam interes.”

- Idź po tort - nakazał Harald. - Okropnie naśladujesz czarnych.

- To ty ją naśladujesz.

- Idź po tort! - powtórzył.

Czekali. Słyszeli, jak Kay zmywa w kuchni. Norine jakby zapomniała języka w gębie, a Putnam nie był człowiekiem rozmownym. Dottie powtórnie podała kawę. Gdy podeszła z kawą do Putnama, ten szturchnął Helinę.

- Proszę spojrzeć, prawdziwa śmietanka - odezwał się z ogniem w dziwnych oczach. Helena widziała, że to go porusza bardziej niż wszystko inne na tym przyjęciu.

Wróciła Kay z czystymi talerzykami i różową szklaną paterą, na której leżał tort na papierowej serwetce. Lukrowany tort był ozdobiony drzewkiem wiśniowym zawierającym likier maraschino oraz czekoladowym toporkiem.

- Och, kochane złote serce! - wykrzyknęła Dottie.

- Pocziwe czarne serce - poprawił ją Harald, patrząc krzywo na tort. - Prosto z harlemowskiej cukierni - zakończył.

- Nie mów tak! - zaprotestowała Kay, przykładając dłoń do policzka. - Klara by mnie nie oszukała.

- Nikczemny tort - ponuro uśmiechnął się Harald. - „Niech jedzą chleb!” Nie sądzi pan, że tak byłoby lepiej? - zwrócił się do oficera.

- Spójrzcie na lukier - odezwał się aktor. - Jakby prosto od Lavorisa.

Oczy Kay napełniły się łzami. Jak gdyby rzucając obecnym wyzwanie, zaczęła krajać tort.

- Kay uwielbia, gdy z niej robią balona - zauważył Harald. - Wyobraża sobie w prostocie serca, że stara czarnucha specjalnie zrobiła ten tort dla „panienki Kay” i „pana Chłopa”.

- Ja uważam, że to wzruszające - szybko wtrąciła Dottie. - I założę się, że smakuje jak delicje. - Wzięła podany jej kawałek i zaczęła go jeść. Reszta gości poszła jej śladem, z wyjątkiem Haralda, który pokręcił głową, gdy mu podano patere,

- Wrzuć to do pieca - powiedział, wymachując łyżeczką do kawy. Rozległ się śmiech, po którym zaraz zapadła cisza. Okazało się, że Harald miał rację.

- Smakuje jak lukrowana higroskopijna bawełna - zauważył aktor zwracając się do Heleny.

Helena odstawiła talerzyk. Na miejscu Kay nie podałyby tortu z czysto praktycznych względów - żeby nie zachęcać służącej do marnotrawstwa. Ale zważywszy sytuację, nie uważała „wygłupów” Haralda za zabawne. Pomyślała, że błaznuje głównie przed nią, żeby jej pokazać, iż jest Chrystusikiem Frasobliwym. Biedny łajdus boi się, że ona go wyda. Chętnie by go uspokoiła. „Nie chcę słuchać żadnych plotek” - upominała ją zawsze matka, ilekroć chciała się poskarżyć na koleżankę, z którą się bawiła. Helenie „nie podobało się” to, co widziała, przypuszczała jednak, że wszystkiemu winna butelka, i trochę współczuła Haraldowi w jego zakłopotaniu. Jest przykry wobec Kay, myślała, bo gdyby był miły, Helena mogłaby go posądzić o hipokryzję.

Na drugim końcu pokoju Kay rozprawiała zbyt żywo, zdaniem Heleny, o prezentach ślubnych. Litując się nad nią Helena czuła się głęboko zakłopotana. Kay nie wie, że znajduje się na scenie. Miała trzech ironicznych widzów - łącznie z Heleną - obserwujących ją i słuchających. Opowiadała, że ciągle jeszcze nadchodzą pocztą najdziwniejsze rzeczy, będące na tym samym poziomie co tort Klary.

- Popatrzcie na to! - Pokazała brzydką karafkę z czerwonego szkła i sześć kieliszków, przysłanych, rzecz nie do wiary, przez jej przyjaciółkę z lat dziecińczych w Salt Lake City. - Co my mamy z tym zrobić, posłać do Armii Zbawienia?

- Daj to Klarze - powiedział aktor. Niemal wszyscy się roześmiali.

- Wrzuć to do pieca! - krzyknął nagle Harald.

Goście oglądali karafkę pod światło, robiąc uwagi o rzemiośle i wyrobach masowych, gdy usłyszeli zamykanie frontowych drzwi. Znikła różowa patera z resztkami tortu, a z nią i Harald.

- Gdzie on się podział? - spytał oficer.

- Myślałam, że jest w kuchni - powiedziała Norine.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Harald zatrzaskał za sobą drzwi i nie mógł wejść do mieszkania.

- Gdzie byłeś? - pytali zebrani.

- Urządziłem tortowi wikingowy pogrzeb. Czy to nie był *beau geste*? -

Zasalutował przed dziewczętami.

- Och, Haraldzie! - smętnie upomniała go Kay. - To była patera Klary.

Aktor zachichotał. Harald ze stanowczą miną zaczął zbierać czerwone kieliszki.

- Ty weź karafkę, przyjacielu - nakazał aktorowi, który posłusznie wykonał rozkaz i poszedł za Haraldem, nucąc marsza żałobnego z *Saula*.

- Czy są wstawieni? - szepnęła Dottie.

Helena skinęła głową. Tym razem Harald zostawił drzwi otwarte i goście słyszeli odległy trzask łamanego szkła, gdy karafka z kieliszkami została wrzucona do pieca na śmieci w hallu.

- Co jeszcze? - spytał Harald po powrocie. - Co jeszcze, kochanie?

- Muszę go powstrzymać - powiedziała Kay, siląc się na śmiech - bo zrobi całopalenie wszystkich naszych dóbr i zasobów.

- Powstrzymaj go - nalegał Putnam. - To nie żarty.

- Nie bądź mokrą szmatą - podjudzał Harald aktora. - Zabawmy się. Niech każdy wybierze swego kandydata na stos.

- Haraldzie - przymilnie powiedziała Kay, podbiegając do męża - może byś nam teraz przeczytał swoją sztukę. Obiecałeś przecież.

- Prawda - przyznał Harald. - I robi się późno. A ty musisz jutro iść do pracy. Podsunęłaś mi pomysł. - Wszedł do wnęki jadalnej i wyjął z szafki ściiennej maszynopis w szarej teczce. - Do pieca z tym! - zawołał. Jego wysoka, żyłasta, chuda postać zatrzymała się na chwilę przy półce z książkami, następnie zaczęła się przesuwać koło mebli.

Norine zawołała, aby go ktoś zatrzymał, więc Putnam i oficer ruszyli, chcąc zablokować mu drogę do drzwi. Aktor podskoczył i zaczął się mocować z Haraldem, próbował mu odebrać teczkę, rozległ się szelest rwanego papieru, gdy Harald mu ją wyrwał z powrotem. Przyciskając teczkę do piersi jedną ręką, drugą odepchnął prześladowców, niczym piłkarz, który biegnie z piłką, aby dotknąć nią ziemi poza linią pola przeciwnika. Przy drzwiach wywiązała się szamotanina, lecz Harald zdołał otworzyć drzwi, które zatrzasnęły się za nim. Nie wrócił.

- Trudno! - rzekła Kay.

- Czy sam skoczył do pieca? - szepnęła Dottie.

- Nie - uspokoił ją aktor. - Myślałem już o tym. Piec jest za mały na ludzkie ciało.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Ale dokąd poszedł, Kay? - spytała Norine. - Wyszedł bez płaszcza.

- Do sąsiadów na parterze - rzeczowo poinformowała Kay. - Żeby wypić kielicha z Russellem. - Miała na myśli recenzenta książek. - Idźcie już lepiej. Nie wróci, dopóki wszyscy się nie rozejdą. Dawniej okropnie się bałam, gdy tak zniknął. Myślałam, że może skoczyć do rzeki. Potem przekonałam się, że siedzi u Russella. Albo u Norine i Puta.

Putnam przytaknął.

- Nie może być u nas - odezwał się - bo my jesteśmy tutaj. Goście wkładali płaszcze.

- A rękopis? - dyskretnie spytała Dottie, przypominając o sztuce.

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją Kay. - Bergler ma egzemplarz. Walter Huston ma drugi. I agent Haralda ma jeszcze trzeci egzemplarz.

Helena po raz drugi doszła do wniosku, że Kay jest „papłą”. W taksówce ona i Dottie przeprowadziły sekcję zwłok.

- Bałaś się czy zgadłaś? - spytała Dottie.

- Bałam. Wszyscy dali się nabrać. - Helena uśmiechnęła się.

- Ale nie Kay. - Po chwili Dottie dodała: - To zabawne. Harald musiał wiedzieć, że Kay wie. O tym, że są inne egzemplarze. - Helena skinęła głową. -

Ciekawe, czy liczył na jej milczenie - zastanawiała się Dottie tonem, który świadczył, że jeszcze nie ochłonęła z wrażenia. - A ona go zdradziła!

- Kay nie jest dziwką gangstera - rzuciła krótko Helena.

- A ty byś go w ten sposób zdemaskowała na jej miejscu? - upierała się Dottie.

- Tak - oświadczyła Helena.

Ponuro układała w głowie nową wersję *Wiadomości Absolwentek*. „Reportaż z Urodzin Waszyngtona. Wczoraj przyłapałam męża Kay Strong-Petersen całującego się z Norine Schmittlapp-Blake. Oboje doskonale wyglądali, a Kay spodziewa się awansu u Macy'ego. W późniejszych godzinach uruczono gości ceremonialnym paleniem maszynopisu. Kay podała poncz zwany Rybim Domem, przyrządzony według starego kolonialnego przepisu. Haraldowie mają eleganckie mieszkanie w okolicy Wschodnich Pięćdziesiątych ulic, niedaleko rzeki, do której Harald będzie mógł skoczyć, gdy jego małżeństwo się «rozleci». W związku z tym absolwentka antropologii Dottie Renfrew twierdzi, że drobne sprawy, takie jak kłamstwa, stają się bardzo ważne w małżeństwie. Gdyby poślubiła urodzonego kłamcę, zastosowałaby się do jego plemiennych obyczajów. Co wy na to, absolwentki z 1933 roku? Napiszcie, co o tym sądzicie, i przeprowadźmy naprawdę pasjonującą dyskusję.”

ROZDZIAŁ 6

Nazajutrz po przyjęciu u Kay Helena miała zamiar zjeść śniadanie z ojcem, który przyjechał slipingiem z Cleveland, potem chcieli pójść do złotnika i wybrać prezent urodzinowy dla pani Davison. Umówili się w hotelu „Savoy Plaza”, gdzie pan Davison wynajmował stały apartament - składający się z sypialni i saloniku - żeby mieć gdzie mieszkać, gdy bywał w interesach w Nowym Jorku, i gdzie dawano mu rabat. Sama Helena zatrzymała się w klubie Vassar, mieszczącym się w hotelu „New Weston”, tam też zajeżdżała czasem jej matka, uważając atmosferę klubu za „stosowną”.

Pani Davison w głębi serca czuła się jak alumn i bardzo cierpiała nad tym, że nie może być wybrana do kobiecego klubu uniwersyteckiego w Cleveland, gdzie działały jej liczne znajome i gdzie bywała często w charakterze gościa. „Nie mam

wyższych studiów" - zaczynała przemówienie, ilekroć przewodnicząca zebrania prosiła ją o wypowiedź na temat wykładu wchodzącego w zakres jej zainteresowań. „Nie mam wyższego wykształcenia”, słyszała Helena matkę mówiącą z aplombem urodzonego oratora do sekretarki klubu Vassar lub absolwentki z 1910 roku, popijając w hallu herbatę i odkładając świeży numer „Vassar Alumnae Magazine”. Matka potrafiła zapanować nad audytorium już samym chrząknięciem, tylko Helena pozostawała krytycznie usposobiona.

- Płacimy za pięć lat członkostwa w tym klubie dla Heleny - mówiła pani Davison z namaszczeniem - żeby zawsze miała gdzie zajechać, to takie *pied-a-terre*, jakie posiada jej ojciec w Nowym Jorku. Własny Pokój*, żeby się tak wyrazić. - Pani Davison nie mówiła po prostu, że coś postanowiła w związku z Heleną, lecz ogłaszała to niczym dekret. Z tego powodu Helena czuła się skrępowana w klubie Vassar, który stał się niejako terenem jej matki, mimo to zatrzymywała się tam, będąc w Nowym Jorku, bo, jak mawiała pani Davison, leżał w centrum, był wygodny, niedrogi i mogła spotykać się z przyjaciółmi w hallu.

* Aluzja do tomu opowiadań Virginii Woolf pod tym tytułem, mająca świadczyć o erudycji pani Davison.

Tego dnia telefon zadzwonił, gdy brała rano prysznic. Nie telefonował ojciec, tylko Norine, która mówiła z budki telefonicznej w drogerii i oświadczyła, że musi natychmiast zobaczyć się z Heleną, jak tylko Putnam wyjdzie z domu. Właśnie golił się w łazience. Norine najwyraźniej chciała tylko usłyszeć, że Helena nic nikomu nie powie, ale skoro nie powiedziała tego przez telefon, więc Helena nie mogła jej zapewnić, że nie ma się czego obawiać. Filozoficznie zgodziła się pójść do Norine i odwołała spotkanie z ojcem, który bardzo się zirytował; nie mógł pojąć, co to za pilne sprawy, których nie mogłaby załatwić po południu. Helena nie wdawała się w szczegóły, nigdy nie okłamywała rodziców. W gruncie rzeczy sama nie rozumiała, dlaczego Norine nie mogłaby spotkać się z nią na herbacie, cocktailu czy lunchu. Lecz gdy zaproponowała to obojętnym tonem, po drugiej stronie drutu zapadło milczenie, Norine rzuciła krótko i ponuro:

- W porządku, nie mówmy o tym. Powinam była wiedzieć, że nie będziesz chciała zobaczyć się ze mną.

Helena musiała temu zaprzeczyć i przyrzekła przyjść natychmiast.

Niechętnie szła na to spotkanie. Jej delikatna, łagodnie aseptyczna ironia nie docierała do Norine, głuchej na ironię i humorystyczne odcienie głosu, słyszała tylko oczywisty sens tego, co się mówiło, i wyciągała własne jednoznaczne wnioski, jak w trakcie obecnej rozmowy telefonicznej. W normalnych okolicznościach Helena byłaby ciekawa zobaczyć mieszkanie Norine, które Kay opisała jako „cyrk”, lecz w tej chwili wolałaby spotkać się z Norine na bardziej neutralnym gruncie, na przykład w hallu klubu Vassar. Wcale nie była ciekawa usprawiedliwień czy okoliczności łagodzących, z którymi, jak przypuszczała, wystąpi Norine, uważała, że to niesprawiedliwe ciągnąć ją do czyjegoś mieszkania tylko dlatego, że bez własnej winy stała się świadkiem czegoś, co najwyraźniej nie jest jej sprawą. Zupełnie tak jak gdy wezwano jej ojca do sądu tylko dlatego, że był Bogu ducha winnym świadkiem wypadku drogowego; gdy przekłeci adwokaci dali mu wreszcie spokój, powiedział, że suchej nitki na nim nie zostawili.

Dobrze przynajmniej, że Norine nie mieszka gdzieś na końcu Greenwich Village, jak można było się spodziewać. Mieszkała całkiem blisko hotelu „New Weston”, na ładnej ulicy, o kilka przecznic od stacji metra przy Lexington Avenue, zadrzewionej, z prywatnymi rezydencjami mającymi skrzynki kwiatów na oknach, a jej dom nie był gorszy, może nawet cokolwiek lepszy, od domu Kay. Helena była zaskoczona. Norine w starych narciarskich spodniach, sweterku i skórzanej męskiej marynarce siedziała na frontowym ganku żółtego domu ze stiukami, niespokojnie wypatrując koleżanki i osłaniając ręką oczy przed słońcem. „Siostró Anno, siostró Anno - wyszeptwała do siebie Helena, która znała na pamięć większość bajek braci Grimm i Perraulta - czy ktoś nadchodzi?” Sinawy cień po goleniu na bladej twarzy Putnama zwrócił jej uwagę poprzedniego wieczoru. Norine dostrzegła Helenę w futrze z ocelotów i kołyszącym się kapelusiku z piórem w stylu Robina Hooda, przywołała ją gestem.

- Put właśnie wyszedł. Możesz wejść - oznajmiła. Poprowadziła Helenę przez bramę z łukowym sklepieniem do mieszkania na parterze, mijając po drodze otwarte

drzwi jakiegoś biura. Wyjaśniła, przerywając na chwilę, aby się przywitać z kimś niewidocznym w biurze, że dom należy do firmy nowoczesnych dekoratorów wnętrz, małżeństwa, które ucierpiało wskutek kryzysu gospodarczego; sami zajmują dwa górne piętra, a mieszkanie wychodzące na ogród, dawniejszą salę wystawową, wynajmują im; na ostatnim piętrze natomiast mieszka sekretarka pracująca w kancelarii adwokackiej na Wall Street i dorabiająca jako płatna współwinowajczyni w cudzołóstwie w sprawach rozwodowych. „I przywiedli doktorowie i pharyzeuszowie niewiastę, którą na cudzołóstwie zastano...”* - dodała ze śmiechem Norine.

* Jan, VIII, 3.

Miała ochryple, gardłowy głos palacza, usta jej się nie zamykały, płynął z nich konwulsyjny strumień informacji, podobny do terkotu silnika. Na ostatnim roku studiów personel medyczny uczelni orzekł, że jest „nerwowa”, wtedy to zaczęła mówić urywanymi zdaniami i opuszczać słowa, otaczał ją jakby stały obłok tytoniowego dymu. Jeśli nie szła na czele jakiegoś pochodu, nie pracowała w redakcji gazetki czy literackiego pisma uczelni, przesiadywała w lokalu Cary'ego, poza terenem uniwersyteckim, popijając coca-colę lub kawę i wyśpiewując uniwersyteckie śpiewki z koleżankami, które też miały ochryple głosy. „Zdrowie Nellie, jest niezłomna, jest rozwiązła i niepomna; ponoć pije - mówią ludzie; chce pójść do nieba, lecz w przeciwną stronę idzie.” Muzycznie wyszkolone ucho Heleny słyszało jeszcze teraz, niestety, te chóry i brzęk szklanek, gdy wolno już było sprzedawać legalnie niskoprocentowe piwo, pamiętała też, że widywała tam czasem Kay wśród tych skrzeczących Chrypek dołączającą swój czysty głos do tego chóru, jak tamte strzepującą popiół do kawy, żeby sprawdzić, czy od tego można się „zacadzić”, biorącą udział w grze polegającej na tym, że należało wymyślić najgorsze paskudztwo do jedzenia: na przykład zimną jajecnicę polaną czekoladą. Na studiach Norine najbardziej interesowała się dziennikarstwem, nade wszystko lubiła wykłady profesor Lockwood o prasie współczesnej; jej ulubioną książką była *Autobiografia Steffensa***, ulubionym gatunkiem sztuki - fotografika, ulubioną malarką - Georgia O'Keeffe. Do ostatniego roku studiów była tłusta, opychała się vassarowskimi „szatanami”, czarną masą

czekoladową, której Helena nigdy nawet nie skosztowała; jeździła do lokalu pod nazwą Wytwórnia Cydru, gdzie podawano pączki z jabłecznikiem; tymczasem Helena i jej przyjaciółki jeździły na rowerach do Srebrnego Łabędzia, bo nazwa ta przypominała im madrygały, lub też jadały kolacje w towarzystwie kogoś z personelu akademickiego w oberży Vassar, gdzie zawsze zamawiały to samo: karczochy i pieczarki z patelni.

**** Lincoln Steffens (1886-1936) amerykański dziennikarz krytykujący bogacenie się wielkich koncernów.**

Teraz jednak Norine, podobnie jak Kay, schudła i zrobiła się nerwowa. Jej orzechowe, złociste oczy prawie stale były zwężone, ładna rumiana twarz wydawała się przekrwiona, pociemniała od skrzepów myśli. Rzadko przejawiała swoje uczucia, jakby wypaliły ją ustawiczne krótkie spięcia naprężonej uwagi. Wszystko, co mówiła - pobieżnie i skrótowo - brzmiało jak ostatnie wiadomości polityczne, nawet jeśli mówiła o sprawach intymnych; patrząc na nią teraz, Helena przypomniała sobie starą zagadkę o gazecie: czarne, białe i czerwone wszędzie. W trakcie rozmowy była zaaferowana, roztargniona, jak gdyby prowadziła zebranie informacyjne bez notatek, posługując się jedynie pamięcią.

- Chcesz być wobec niej lojalna, wiem - rzuciła przez ramię, gdy weszły do mieszkania. Szczekanie psa w ogrodzie skierowało jej myśli w inną stronę. - Na górze mamy goniącą się sukę - wyjaśniła - więc trzymamy Nietzschego na łańcuchu, żeby nie dopuścić do pomieszania ras. - Roześmiała się krótkim urywanym śmiechem, który zabrzmiał jak szczekanie.

Helena pomyślała, że ten śmiech z gatunku „niewesołych” jest tylko znakiem przestankowym, gwiazdką wskazującą, że uwaga Norine została osłabiona jej własnymi słowami. Zaczęła jak nieokrzesany weterynarz opowiadać historię parzenia się suki na górze, przechodząc mimochodem do historii parzenia się jej właścicieli. Słownictwo Norine zwulgarniało od czasu jej małżeństwa, Helena nie całkiem zrozumiała, czy to pudel, czy żona gospodarza jest „suką na piętze”, którą czeka operacja jajowodów.

- Obie - krótko wyjaśniła Norine. - Jajowody Margaret są zatkane, dlatego nie może zejść. Podda się zabiegowi odblokowania. Natomiast jajowody Lizy zostaną podwiązane. Robią to teraz, zamiast wytrzebiać. Dzięki temu może odczuwać rozkosz seksualną. Napij się kawy.

Helena rozejrzała się po mieszkaniu. Ściany były pomalowane na czarno; gdyby Norine była osobą praktyczną, Helena pomyślałaby, że ma to ukryć brud. Kolor ten jednak niewątpliwie coś znaczył, był czymś w rodzaju sloganu, jak koszula Putnama; w tym wypadku kolor ten był mylący, Helena zawsze myślała, że czarny jest kolorem czarnej reakcji, klerykalizmu i faszyzmu. Kuchnia mieściła się w wydzielonej części pokoju, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Nad zlewem wisiała długa półka, na której stały szklanki po twarożku i galaretkach, talerze i puszki konserw, przeważnie zupy i mleko skondensowane. Oszklone drzwi z firaneczkami z pomarańczowej teatralnej gazy prowadziły do ogrodu. Po obu stronach kominka z malowanych na biało cegieł stały pod ścianą szafki biblioteczne w kształcie pomarańczowych skrzyń wykładanych sfałdowaną czarną ceratą - leżały w nich broszury, nieduże pisma ilustrowane i cienkie tomiki poezji. Z dużych książek były tam tylko: *Kapitał* Marksa, coś Pareto i Spenglera, *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem* Johna Reeda, *Axel's Castle* Edmunda Wilsona i Lincoln Steffens.

Naprzeciw kominka stał duży, wybrzuszony tapczan z narzutą z czarnego aksamitu i stosem poduszek z pomarańczowej ceraty, byle jak zeszytej na maszynie i prującej się w rogach. Na czarno-białym linoleum przykrywającym podłogę leżała bardzo brudna skóra z białego niedźwiedzia. Pod zlewem stała miska dla psa z resztkami jedzenia. Na ścianach wisiały w ramach reprodukcje kwiatów Georgii O'Keeffe, przypominające kobiece narządy rodne, oraz detale fresków Diega Rivery i Orozca, a także oprawione zdjęcia nowojorskich slumsów, wykonane przez Stieglitza. W pokoju były dwie metalowe lampy z zaimprovizowanymi abażurami z papieru maszynowego, stolik do kart i cztery składane krzesła do brydża. Na stoliku znajdowały się maszynka do grzanek, słoik fistaszkowego masła, elektryczne żelazko do włosów i ręczne lusterko; widać było, że Norine kręciła sobie włosy i nie dokończyła zabiegu, bo z jednej strony były ufryzowane w czub, a z drugiej zwisały gładko.

Patrząc na to wnętrze, Helena pomyślała, że wyczuwa się atmosferę nie dokończonych roboty. Ktoś, zapewne mąż Norine, usiłował zaprowadzić tutaj jakiś ład - koło lodówki wisiał na parawanie duży staroświecki kalendarz z przekreślonymi czerwonym ołówkiem dniami, które minęły; obok widniała mapa czy wykres zrobiony ołówkiem z jakimiś cyframi - tygodniowym budżetem gospodarskim, jak wyjaśniła Norine. Na ścianie koło kuchenki wisiały na gwoździu rachunki za żywność i inne pokwitowania, na desce przy zlewie stała butelka na mleko do połowy napełniona miedziakami przeznaczonymi na opłaty pocztowe, objaśniła Norine.

- Put wymaga, abyśmy zapisywali każdy grosz wydany na dwucentowe znaczki. Kupił mi na urodziny taki notesik, jaki on ma, żebym miała gdzie zapisywać wydatki, na przykład za przejazd metrem, a potem żeby przenieść je na listę budżetu. Co wieczór przed pójściem do łóżka robimy rachunki. W ten sposób wiemy na bieżąco, jak stoimy: jeśli jednego dnia wydamy za dużo, możemy zaoszczędzić następnego. Wystarczy spojrzeć na wykres. Put lubi wszystko jasno widzieć. Dziś wieczór będę miała deficyt pięciu centów, które wydałam na telefon do ciebie. Zażąda, żebym krok po kroku odtworzyła, co robiłam przez cały dzień, powie: „przypomnij sobie, co zrobiłaś potem”, aż natrafi na te pięć centów. Ma hysia na punkcie dokładności. - Krótkie westchnienie wyrwało się Norine po tym panegiryku na cześć męża; Helena uniosła brwi z dezaprobatą, ona sama

miała rachunek bankowy od dziesiątego roku życia, nauczono ją przechowywać grzbiety wydanych czeków.

- Pozwól, że ci zwrócę te pięć centów - powiedziała otwierając torebkę. - Dlaczego nie zażadasz, żeby ci dawał pensję?

- Dziękuję - rzekła Norine, pomijając milczeniem to pytanie. - Jeśli pozwolisz, wezmę dziesiątkę. Zapomniałam, że przedtem dzwoniłam do Haralda, żeby się dowiedzieć, gdzie mieszkasz.

Stuk monety o stół karciany podkreślił milczenie, które zapadło. Koleżanki spojrzały sobie w oczy. Słuchały szczenia psa.

- Nigdy mnie nie lubiłaś na studiach - powiedziała, Norine, nalewając kawę i podsuwając cukier oraz skondensowane mleko. - Nikt z waszej paczki mnie nie lubił. - Opadła na brydżowe krzesło naprzeciwko Heleny i głęboko zaciągnęła się papierosem.

Znając Norine, Helena wiedziała, że to tylko gadanie wprowadzające, i nie zaprzeczyła. W rzeczywistości nie miała nic „przeciw” Norine nawet i teraz; od chwili gdy dowiedziała się o księgowości w tym domu, współczuła jakoś tej dużej niechlujnej kobiecie, robiącej wrażenie zmęczonej lwicy zamkniętej w tej norze razem ze zwierzęciem na łańcuchu w ogrodzie i białym niedźwiedziem rozciągniętym na linoleum. W college'u całkiem przyjaźnie pracowała z Norine w redakcji pisma literackiego.

- Wyście były estetkami, my politykami - ciągnęła dalej Norine. - Obserwowaliśmy się zza barykad.

Twierdzenie to wydało się Helenie bardzo przesadne, tkwiący w niej naukowiec nie mógł puścić tego płazem.

- Czy to nie przesada - powiedziała z „myśląco” ściągniętymi brwiami, przy czym na jej czole pojawiły się typowe dla Vassarówek zmarszczki. - Nazwałabyś Pokey estetką? Albo Dottie? Albo Priss? - Byłaby wymieniła też Kay, nie chciała jednak mówić o niej dziś w sprawach nieważnych lub w ogóle dyskutować o Kay z Norine.

- One się nie liczyły - odparła Norine. - Liczyłyście się tylko ty, Lakey, Libby i Kay. - Norine zawsze była biegła w tym, kto się „liczy”, a kto nie. - Wyście były pupilkami profesor Sandison - ponuro ciągnęła Norine - my profesor Lockwood. Wyście byli za Morganem, my za Marksem.

- Bzdura! - krzyknęła Helena niemal rozgniewana. - Kto to był Morgan? - W jej zrównoważonej naturze jedyną obudzoną dotychczas pasją była pasja prawdy. - Cała nasza grupa głosowała na Roosevelta w college'u! Prócz Pokey, która zapomniała o głosowaniu.

- O jeden głos mniej dla Hoovera - zauważyła Norine.

- Pomyłka! - uśmiechnęła się Helena. - Była za Normanem Thomasem. Bo on hoduje psy.

- Spaniele - przyznała Norine. - Co za klasowy powód! - Helena zgodziła się, że tak było. - Dobrze - podjęła po namyśle Norine. - Kay była za Flanaganem, jeśli chcesz. Priss za Newcomerem. Lakey za Rindge'em. Może zanadto upraszczam. Uważasz, że Libby była za M. A. P. Smithem?

- Chyba tak. - Helena lekko ziewnęła i zerknęła na zegarek, bo tak powszechna w Vassar analiza tego rodzaju nudziła ją.

- Tak czy siak - mówiła dalej Norine - wasza paczka była sterylna. Zrozumiałam to dzięki profesor Lockwood. Ale, Jezu, jak ja wam zazdrościłam!

- Mój Boże, dlaczego? - wyrwało się Helenie, którą ta spowiedź wprowadziła w zakłopotanie.

- Swoboda. Ogląda. Uroda. Powodzenie u mężczyzn. Wieczorki taneczne. Mecze piłki nożnej. Zebrania studenckie. Przeżywały was Grupą z Wieży z Kości Słoniowej. Z dała od walki.

Helena chciała coś powiedzieć, lecz powstrzymała się, opinia ta była tak daleka od faktów, że nie miało sensu zaprzeczać; ona sama, na przykład, nie odznaczała się szczególną urodą i nigdy nie była na studenckim meczu piłki nożnej (pani Davison odnosiła się z pogardą do „widowiskowych” sportów) czy na studenckiej potańcówce, z wyjątkiem wieczorków w Vassar, kiedy musiała się zadowolić bratem Priss jako „mężczyzną”. Była zdecydowana nie dać się sprowokować Norine do spowiedzi ze swej strony; co więcej, uważała, że gdyby ze wszystkich dziewcząt zrobić jedną, byłaby taka, o jakiej mówi Norine - bogata, pewna siebie, piękna intelektualistka.

- Mówisz o Lakey - powiedziała Helena poważnie. - Ona ucieleśniła grupę. Lub to, co profesor Lockwood nazwałby jej stereotypem. Ale żadna z nas nie była naprawdę taka jak Lakey. Byłyśmy jej satelitami. Stara profesor Fiske mówiła, że świecimy jej odbitym światłem.

- Lakey nie miała ciepła - stwierdziła Norine. - Była nieładzka jak księżyc. Pamiętasz jabłka?

Helena poczuła, że oblewa się rumieńcem. Doskonale pamiętała kłótnię z Norine z powodu martwej natury z jabłkami Cezanne'a, wiszącej w nowym Museum of Modern Art.

- Palarnia w Cushing - przyznała, krzywiąc się. - Kiedy to było? Na pierwszym roku?

- Na drugim. Ty i Kay przyszłyście z kimś na kolację. Lakey też tam była. Ty i Kay grałyście w brydża. Lakey jak zwykle stawiała pasjansa i paliła papierosy z ustnikami jak z kości słoniowej. Wtedy po raz pierwszy odezwała się do mnie.

- Do nas też - wtrąciła Helena. - I pamiętam, że wtedy po raz pierwszy zobaczyłam ciebie.

- Byłam okropna. Ważyłam nago sto sześćdziesiąt funtów. Ciało jak galareta. A wy wbijałyście we mnie harpuny, wszystkie trzy.

- „Duch jabłek” - zacytowała Helena, podnosząc szczerze oczy znad filiżanki z kawą - przeciw „znaczącej formie”. Nie mogła sobie przypomnieć dokładnie, jakie bzdury wygłaszała wyciągnięta na kanapie Norine na temat Cezanne'a do całej palarni, lecz nawet w tej chwili widziała Lakey, którą ona i Kay admiirowały z daleka, podnoszącą nagle oczy znad pasjansa i spokojnie, wyraźnie mówiącą, że w obrazach Cezanne'a malarzowi idzie o formalny układ kształtów. Norine znów zaczęła powtarzać, że ważny jest „duch jabłek”, na co Kay odłożyła karty i zerkając na Lakey, żeby uzyskać jej aprobatę, wtrąciła: - znacząca forma - termin z wykładów literatury angielskiej na pierwszym roku, kiedy profesor Kitchel wymagała od studentek lektury Clive'a Bella, Croce i Tołstoja *Co to jest sztuka?* - Odmawiacie jabłkom ducha - upierała się Norine, wówczas Helena odkładając karty, zacytowała łagodnie T. S. Eliota: „Duch zabija, a litera ożywia.”* Wszystkie oczy zwróciły się ku Norine, która się rozpląkała, a Lakey, która nie miała litości dla słabych, nazwała ją sentymentalną krową. Norine ustąpiła pola nieprzyjacielowi i szlochając, wyszła z palarni, Lakey zaś powiedziała „kretynka” i wróciła do pasjansa. Partia brydża została przerwana. W drodze powrotnej Helena orzekła, że trzy na jedną to było za ostro wobec biednej Schmittlapp, na co Kay wtrąciła, że na ogół to Schmittlapp miewa ostatnie słowo.

* Parafraza zwrotu z listu św. Pawła do Koryntian, który brzmi: Nie literą, ale duchem; bo litera zabija, a Duch ożywia. II, 3, 6.

- Jak myślisz, zapamięta, że przyszliśmy jej z pomocą? - spytała Kay, mając na myśli Lakey.

- Wątpię - odparła Helena, która siedziała kiedyś obok panny Eastlake (jako że alfabetycznie Davison było tuż przed Eastlake) przez całe pół semestru na kursie z historii sztuki, a tamta najmniejszym odruchem nie zdradziła się, że ją zauważyła. Lakey jednak zapamiętała Kay, gdy obie były tamtej wiosny w Łańcuchu Stokrotek,

rozmawiała z nią o krytykach sztuki: Clivie Bellu i Rogerze Fry, więc można by powiedzieć, myślała Helena, że sprzeczka z Norine utorowała drogę, która w końcu zaprowadziła je wszystkie do zamieszkania z Lakey w południowej wieży. Helena, której snobizm towarzyski był równie obcy jak „pasja miłosna”, nie odczuwała uroków mieszkania w grupie w tym samym stopniu co Kay, nie sprzeciwiała się jednak, aczkolwiek jej profesorowie i rodzice byli trochę zaniepokojeni tym projektem, uważając, jak i Norine, że „ekskluzywna elita” jest niebezpieczną dekoracją dla dziewczyny mającej własną indywidualność. Pani Davison, po poznaniu grupy, wyraziła nadzieję, że córka jej nie zacznie się stroić w „cudze piórka”.

- Wystąpiłam przeciw pustemu formalizmowi Lakey - powiedziała teraz Norine. - Tamtej nocy wróciłam do swojego pokoju i zwymiotowałam przez okno. Był to mój Armagedon*, choć wtedy tego jeszcze nie rozumiałam. Odkryłam socjalizm dopiero na trzecim roku. Tamtego wieczora wiedziałam tylko, że w coś wierzę, nie potrafiłam tego jednak ująć w słowa, natomiast wasza paczka nie wierzyła w nic, ale umiała to powiedzieć cudzymi słowami. Tego też wam oczywiście zazdrościłam. Pokażę ci coś. - Wstała, dając znak Helenie, by poszła za nią, i otworzyła drzwi do sypialni. Nad zasłanym łóżkiem wisiała reprodukcja martwej natury z jabłkami Cezanne'a.

* **Teren ostatecznej walki między dobrem i złem. Objawienie św. Jana 16, 16.**

- Patrzcie państwo, jabłka niezgody! - zauważyła Helena, stając w drzwiach sypialni i siląc się na humor, potknęła się o kość dla psa w zlepionym brudem futrze białego niedźwiedzia, bolała ją kostka u nogi i nie miała pojęcia, czego ma dowieść ta martwa natura.

- Put miał to w swoim pokoju na uczelni - wyjaśniła Norine. - On też oparł na tych jabłkach swoje *credo*. Oznaczały dla niego radykalne uproszczenie.

- Hm - mruknęła Helena, rozglądając się po sypialni będącej najwyraźniej terenem Puta. Znajdowały się tu stalowe szafki na kartoteki, proporczyk z college'u, afrykańska maska, maszyna do pisania na stoliku do kart. Uderzyła ją myśl, że mieszkanie Norine zawiera zbyt wiele „znaczących form”. Każdy przedmiot zdawał

się coś mówić, potwierdzać, ogłaszać jak wyrocznia: Norine i Put byli otoczeni artykułami wiary aż do ostatniej puszkii skondensowanego mleka oraz jedynej ascetycznej poduszki na podwójnym łóżku. Mieszkanie to różniło się od mieszkania Kay, gdzie meble aż się prosiły, żeby je podziwiać lub o nich mówić. Jednakże do tego dogmatycznego barłogu nie dopuszczono nic, co nie byłoby „posiadającym znaczenie stwierdzeniem”, aczkolwiek Helena nie potrafiła wywnioskować, co ma znaczyć biały niedźwiedź.

Koleżanki wróciły na swoje miejsca. Norine zapaliła nowego papierosa. Zamyślona przyglądała się Helenie.

- Put jest impotentem - oznajmiła.

- Och! - po chwili powiedziała Helena. - Och, Norine, tak mi przykro.

- To nie twoja wina - ochryple rzuciła Norine.

Helena nie wiedziała, co powiedzieć. Czula tu jeszcze zapach tytoniu Puta, jego fajka leżała na pełnej popiołu popielniczce. Aczkolwiek nie miała jeszcze przeżyć seksualnych, wiedziała, jak wygląda męski organ, i teraz mimo woli zobaczyła członek Puta leżący bład i bez życia w trumnie jego spodni, prawdziwa *nature morte*. Przykro jej było, że Norine uznała za konieczne to wyznać, aby usprawiedliwić swoje wczorajsze postępowanie, nie chciała wnikać w tajemnice genitaliów biednego Puta.

- Pobraliśmy się w czerwcu - rozwodziła się dalej Norine. - Kilka tygodni po rozdaniu dyplomów w Vassar. Byłam niewinną dziewicą. Przed poznaniem Puta nigdy nie miałam randki z chłopcem. Więc gdy poszliśmy do hotelu w okręgu górniczym Pensylwanii, nie od razu się zorientowałam. Zwłaszcza że moja matka, która nienawidziła seksu, jak całe jej pokolenie, pouczyła mnie, że dżentelmen nigdy nie przenika żony w pierwszą noc po ślubie. Pomyślałam, że przynajmniej raz matka miała rację. Pieściliśmy się, tak że oboje byliśmy mocno podnieceni, potem wszystko ustawało, on się odwracał i zasypiał.

- Goście robili w okręgu górniczym? - spytała Helena mając nadzieję, że spowoduje zmianę tematu.

- Put zajmował się pewną sprawą, został pobity i uwięziony organizator strajku. W dzień robiłam wywiady z kobietami, żonami górników, żeby zdobyć obraz środowiska. Put twierdził, że to się bardzo przyda. Dzięki temu mógł obciążyć swoje

biuro kosztami naszej podróży poślubnej. W nocy byliśmy porządnie zmordowani. Ale po powrocie do Nowego Jorku nic się nie zmieniło. Pieściliśmy się w piżamach i zasypiali.

- Co go napadło, żeby się żenić?

- Sam nie wiedział, jaki jest. Wreszcie - mówiła dalej ochryple Norine - spojrzałam prawdzie w oczy. Poszłam do czytelnicy publicznej. Pracuje tam w dziale informacji wiedenka, bardzo *gemutlich*. Sporządziła mi listę książek na temat impotencji, wiele z nich po niemiecku, całą bibliografię. Są różne rodzaje impotencji: organiczne i funkcjonalne. Put ma funkcjonalną. Hamuje go więź z matką, która jest wdową. Niektórzy mężczyźni w ogóle nie są zdolni do erekcji, a niektórzy tylko w pewnych okolicznościach. Put jest zdolny do pełnej erekcji, ale tylko z prostytutkami i kobietami upadłymi. - Norine roześmiała się krótko.

- Nie mów, że dowiedziałas się tego wszystkiego w czytelnicy - zauważyła Helena; co prawda matka jej twierdziła, że rozgałęziona sieć czytelnicy publicznych Ameryki może zapewnić człowiekowi wyższe wykształcenie, ale wszystko ma swoje granice.

- Nie - przyznała Norine. - Wyrobiłam sobie tam tylko ogólny pogląd. Po przeczytaniu kilku dzieł na ten temat mogłam porozmawiać z Putem. Okazało się, że wcześniej poznał życie seksualne z prostytutkami i robotnicami fabrycznymi w Pittsfield. Podnosiły spódnice na korytarzu czy w sieni i on miewał nieraz wytrysk przy pierwszym dotknięciu, zanim całkowicie wprowadził penisa do środka. Nigdy nie miał stosunku z kobietą przyzwoitą i dlatego nie wychodzi mu ze mną. Wydaje mu się, jakoby uprawiał nierząd z własną matką. Tak uważają freudyści, natomiast behawiorysty powiedzieliby, że to odruch warunkowy. Ale nie mógł przecież wiedzieć tego zawczasu. To go mocno stuknęło. Podniecam go, ale nie potrafię zaspokoić. Członek po prostu mu flaczeje, kiedy zbliża się do mnie. Ostatnio sypiam w tym pokoju - ruchem głowy wskazała tapczan - bo panicznie się boi, że mógłby niechcący dotknąć we śnie krocza przyzwoitej kobiety. Mimo że oboje spaliśmy w piżamach, cierpiał na bezsenność. Teraz przynajmniej sama będę spała nago. - Norine przeciągnęła się.

- Byłaś u lekarza?

- U dwóch - ponuro roześmiała się Norine. - Put nie chciał iść, więc ja poszłam. Pierwszy doktor spytał, czy chcę mieć dzieci. Był to staroświecki neurolog, o którym słyszała moja matka. Gdy powiedziałam, że nie, omal mnie nie wyrzucił za drzwi. Powiedział, że powinnam być szczęśliwa, że mój mąż nie chce pożycia seksualnego. Oświadczył, że seks nie jest konieczny dla kobiety.

- Boże! - krzyknęła Helena.

- Tak - skinęła głową Norine. - Drugi był lekarzem omnibusem, miał trochę bardziej nowoczesne poglądy. Posłał mnie do niego wspólnik Puta, Bill Nickum. Ten lekarz był właściwie behawiorystą. Gdy opowiedziałam mu seksualną historię Puta, poradził mi kupić czarną szyfonową bieliznę, czarne jedwabne pończochy i tanie perfumy. Żeby Put mógł mnie wziąć za prostytutkę. I żebym spróbowała go sprowokować, by mnie posiadał w tym przebraniu po południu, gdy wraca z pracy.

- Litości! - wyrwało się Helenie. - I co?

- Prawie się udało. Poszłam do Bloomingdale'a, kupiłam bieliznę i pończochy. - Podniosła sweterek, Helena zobaczyła rąbek stanika „shimmy” z czarnego szyfonu z koronką. - Potem pomyślałam o tym białym niedźwiedziu. Matka miała go w przechowalni, odziedziczyła go po babce Schmittlapp, starej bogatej arystokratce. „Wenus w futrze” Sacher-Masocha. Ułożyłam się na tym niedźwiedziu o tej porze, gdy on wraca z pracy. - Helena uśmiechnęła się, lekko gwizdnęła. - Miał wytrysk przed czasem - ponuro powiedziała Norine. - Potem pokłóciliśmy się z powodu mojego wydatku u Bloomingdale'a. Put jest ascetą w stosunku do pieniędzy. Dlatego nie chce słyszeć o pójściu do psychoanalityka, choć Bill Nickum uważa, że powinien.

Helena uniosła brwi, postanowiła jednak nie pytać, skąd Bill wie o dolegliwości Puta.

- Jesteście bardzo spłukani?

- Put ma fundusz powierniczy, a mnie mój ojciec wyznaczył pensję. Ale to idzie na utrzymanie domu. Put i Bill topią prawie całą swoją forszę w Sprawach Ogółu.

- W „Sprawach Ogółu?” - nie zrozumiała Helena.

- Tak się nazywa ich firma. Mają oczywiście pensje, reszta personelu pracuje społecznie. Ale ich wydatki na pocztę i drukarnię są przerażające. Poza tym musimy przyjmować działaczy ruchu robotniczego, znakomitości, bogatych filantropów i

niektórych dziennikarzy prasy robotniczej. To mieszkanie służy nam jako coś w rodzaju skrzyżowania między salonem i kawiarnią.

Helena bez słowa rozejrzała się po pokoju.

- Bill twierdzi, że atmosfera między mną i mężem zelżałaby, gdyby Put mógł pójść do burdelu. Lub znalazł sobie fordanserkę. Choć taka może być zarażona. Ale Put mógłby się nauczyć stosować ochraniacz. Widziałas kiedy coś takiego? Proste jak mycie zębów. Put zaproponował mi rozwód, ale ja nie chcę. Tak by postąpiło starsze pokolenie. Które od wszystkiego uciekało. Moi rodzice są rozwiedzeni. Gdyby Put był pijakiem albo mnie bił, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale małżeństwo to nie tylko seks. Weź przeciętne małżeństwo. Mają stosunek raz na tydzień, w sobotę. Powiedzmy, że seks zajmuje im pięć minut tygodniowo, nie licząc czynności wstępnych. Pięć minut na dziesięć tysięcy osiemdziesiąt. Obliczyłam to w procentach. Mniej niż pół procenta. Załóżmy, że Put spędziłby pięć minut tygodniowo z dziwką, tyle czasu zajmuje mu golenie. Dlaczego miałabym się tym przejmować? Zwłaszcza kiedy wiem, że to nic dla niego nie znaczy uczuciowo?

Na twarzy Heleny osiadł wyraz niepokoju, gdy Norine wyrzucała z siebie te cyfry, poczuła, że musi iść do ubikacji, ale chciała się powstrzymać. Przejechała całą Europę, nie przejmując się bakteriami, piła surową wodę, korzystała z chłopskiej wygodki w Hiszpanii, a czasem ze zwykłej dziury w podłodze, jak we włoskiej osterii, a jednak wzdrygała się na myśl o skorzystaniu z ubikacji w łazience Norine. Parcie na pęcherz wzmagało w niej poczucie nierzeczywistości, wywołane statystycznymi kalkulacjami koleżanki, nie milknącym szczekaniem psa w ogrodzie i kapaniem wody w zlewie; miała wrażenie, że przeniosła się w wieczność. Lecz gdy w końcu spytała, gdzie ubikacja, nie mogła od razu oddać moczu, mimo że wyłożyła kawałkami gazety sedes, który Puc zostawił nie przykryty, jak chorobliwe przypomnienie o sobie; w końcu musiała odkręcić kran w umywalce, aby uruchomić własną pompę.

Gdy wróciła do pokoju, Norine nagle przeszła do rzeczy.

- Harald stał się chyba dla mnie symbolem męskiej potencji - powiedziała Norine monotonnym głosem i z obojętną miną wypuszczając kłęby dymu z ust, lecz jej topazowe oczy badawczo patrzyły na Helene z za tej dymnej zasłony, aby ocenić reakcję koleżanki.

Słuchając Norine mówiącej bez wytchnienia w stylu stenograficznym, jak karabin maszynowy, Helena też zapaliła papierosa, nastawiona krytycznie, notowała słowa koleżanki w pamięci i segregowała je pod różnymi nagłówkami jak notatki na wykładzie czy zebraniu.

Odnotowała następujące powody, dla których Harald stał się „symbolem męskiej potencji” dla zaniechanej Norine: A. Grupa. Norine zawsze zazdrościła dziewczętom z grupy ich „seksualnej wyższości”. B. Rola Kay jako osoby neutralnej „utrzymującej łączność pomiędzy oboma obozami”. To znaczy, że na ostatnim roku Norine siedziała obok Kay na wykładach profesor Washburn na temat Nienormalnej Psychologii i uznała Kay za „dobrego kumpla”. G. Zawiść, że Kay umiała się tak urządzać, żeby wilk był syty i owca cała. Czyli że straciła dziewictwo i spędzała weekendy w mieszkaniu Harald, nie stając się jednocześnie *declassée*. Sytuacja Norine była wręcz odwrotna. D. Sąsiedztwo. Norine spotkała Kay na ulicy w dniu, gdy wrócili z Putem z podróży poślubnej. Okazało się, że są sąsiadami, i obie pary zaczęły grywać wieczorami w brydża. E. Harald grał w brydża lepiej od Puta. *Ergo*, Harald stał się w wyobraźni Norine symbolem „podniesionego fallusa”, niedostępnym dla niej jak grupa z wieży. Oto dlaczego Helena zastała tę parę całującą się w kuchni i dlaczego to „nic nie znaczy”.

Helena zmarszczyła czoło. Pomyślała, że wręcz przeciwnie, jeśli się przyjmie rozumowanie Norine, sprawa znaczy bardzo dużo. Zakładając, że Harald jest symbolem fallusa, a nie mężem Kay, całowanie się z nim staje się „znaczące” w sensie, jaki przemawiałby do Norine. Uległa Sile Logiki, którą biedna Kay sama rozpętała.

- Skoro to nic nie znaczy, po co się tym zajmujesz? - spytała Helena.

- Żebyś zrozumiała. Oboje z Haraldem wiemy, że jesteś inteligentna i nie chcemy, byś uważała, że powinnaś powiedzieć Kay.

Coś nastroszyło się w Helenie na to „oboje”, dalej jednak obojętnie paliła papierosa. Dlaczego oni myślą, że powie Kay? Uściski tej pary funta kłaków niewarte, pod warunkiem że sprawy nie zajdą dalej; przecież Harald miał w czubie, o czym Norine powinna wiedzieć.

- Nie chciałam rozbić jej małżeństwa - deliberowała Norine.

- To nie rozbijaj - odparowała Helena głosem podobnym do głosu swego ojca.
- Wybij sobie Haralda z głowy. Są inne ryby w morzu. Nie myśl, że powinnaś to doprowadzić do końca tylko dlatego, że zaczęłaś. - Uśmiechnęła się szczerze, w przekonaniu, że dobrze przeniknęła myśli koleżanki.

Norine wahała się. Bezmyślnie wzięła do ręki żelazko do włosów.

- To nie jest takie proste - rzuciła. - Jesteśmy kochankami już od jakiegoś czasu.

Helena przygryzła wargi, w głębi serca bała się to usłyszeć. Skrzywiła się. Zwykle słowo „kochankowie” nieoczekiwanie głęboko nią wstrząsnęło.

- Puta przez cały dzień nie ma w domu - wyjaśniła dalej Norine. - Kay również. Harald czuje się poniżony, że ona pracuje, aby go utrzymać. Musi dowieść swej męskości. Sama widziałaś, co się stało wczoraj... gdy spalił swoją sztukę. Było to coś w rodzaju rytuału ofiarnego dla przebłagania Kay, złożył całopalną ofiarę ze swego nasienia, dziecka swego umysłu i jąder...

Na te słowa wrodzona ironia Heleny znów wzięła w niej górę.

- Och! - wykrzyknęła. - Mów do rzeczy!

- „Do rzeczy” - powtórzyła Norine, marszcząc czoło. - Czy nie taki był tytuł waszego pisma literackiego na uczelni? - Helena przytaknęła. Norine włączyła żelazko do włosów. - Dlaczego - zastanawiała się, patrząc na Helenę - mamy ochotę wypiąć się na imponderabilia? Pozwolisz, że zakręcę sobie włosy? - Czekając, aż żelazko się nagrzej, mówiła dalej. Okazało się, że Harald, będąc przez cały dzień sam w domu, zaczął jakoby wpadać do niej na filiżankę herbaty czy flaszkę piwa po południu. Czasem przynosił książkę i czytał jej na głos, jego ulubionym poetą był Robinson Jeffers*.

* Robinson Jeffers (1887-1962) - amerykański poeta, mający katastroficzną wizję ludzkości, której znaczenie uważa za znikome w zestawieniu z siłami przyrody i porządkiem wszechświata.

- Czytał *Roan Stallion* - powiedziała Helena. Norine skinęła głową. - Skąd wiesz?

- Domyśliłam się. - Helena doskonale pamiętała ów fatalny weekend, gdy Harald czytał ten utwór Kay.

- Pewnego dnia - mówiła Norine - powiedziałam mu o Pucie...

- Niemało powiedziałaś - sucho zauważyła Helena. Norine splonęła rumieńcem.

- Mój pierwszy romans, przed Haraldem, zaczął się tak samo - przyznała. - Poznałam tego faceta w bibliotece publicznej, był to postępowy nauczyciel, żonaty, ojciec sześciorga dzieci. - Mimo woli się roześmiała. - Był ciekaw, co czytam. Siadywaliśmy na ławce w parku Bryant i opowiedziałam mu o Pucie. Zaprowadził mnie do hotelu i zdeflorował. Ale bał się, że żona może się dowiedzieć.

- A Harald?

- Chyba też się boi, choć udaje odważnego. Żonaci mężczyźni są zabawni, wszyscy mają inny stosunek do żony i do konkubiny.

Norine zabrała się do podkręcania włosów. Wkrótce swąd palonych włosów zmieszał się z zapachem papierosów, psa, fajki i nieświeżej ścierki koło zlewu. Patrząc na nią, Helena przyznała, że emanuje z niej jakaś zwierzęca żywotność, „ziemskość”, podkreślana jakby umyślnie przez brud i nieporządek w mieszkaniu. Spanie z nią, pomyślała Helena, musi być jak nurzanie się w gęstym, gnijącym kompoście jesiennych liści, suchych na zewnątrz, trzeszczących jak głos Norine, lecz ciepłych i coraz gorętszych pod spodem od chemicznych procesów gnicia. Przypomniała sobie bzdurny artykuł, jaki Norine napisała o folklorze, przedmiocie profesor Beckwith, na temat Gai, Matki Ziemi, i gorących kultów chtonicznych, odrzucony przez magazyn studencki „Journal of Undergraduate Studies” z powodu „mętnego myślenia” - jest to ulubiony frazes wydziału. Pomyślała, że w tej chwili mogłaby sama machnąć niezły artykułek w stylu Caroline Spurgeon na temat chtonicznych atrybutów mieszkania Norine, które choć nie całkiem piwniczne, jak uparcie nazywała je Kay, było czarne jak jama węglowa, ogrzewane ogniem nie ugaszonych żądź gospodyni, parzących jak niegaszone wapno i ziejących, pomyślała nagle Helena, niebagatelnym żarem. Pomyślała ironicznie o „goniącej się suce” na pięttrze, stanowiącej niewątpliwie totem czy symbol rodzinny, o jajowodach właścicielki domu (system rodowy totemizmu) i o cerberze na podwórzu. „O, Pani Piekła - powiedziała w duchu - gdzie cię Zbożowa

Macierz oplakuje?" Po chwili miała się dowiedzieć, że na Lower Park Avenue. Matka Norine utrzymywała się z alimentów od męża, który powtórnie się ożenił. Co drugą środę Norine jadała z nią kolację w restauracji Schraffa.

- Nie jestem jego pierwszą kochanką - rzuciła Norine przy akompaniamencie skwierczącego żelazka do włosów. - Harald opowiada mi rzeczy, których nie mówi Kay. Miał długi romans z aktorką rewiową, którą poznał zeszłej jesieni, chciała się za niego wydać. Ma bogatego męża i dom w Connecticut, Harald i Kay jeżdżą tam jeszcze czasem na weekendy. Ale on już nie chce z nią sypiać, choć ona go o to błaga. Nienawidzi zagmatwanych sytuacji. Na przykład, zanim poszliśmy do łóżka, musieliśmy sobie powiedzieć, że to nie wpłynie na nasze małżeństwa.

- Łatwo się to mówi, nie uważasz?

- Nie z Haraldem. Jest bardzo pryncypialny. A ja jestem przywiązana do Puta. Czasem jestem trochę zazdrosna o Kay, wiem, że niekiedy z nią sypia, choć o tym nie mówi. Powtarzam sobie jednak, że każde przeżycie jest jedyne w swoim rodzaju, więc to, co jest między nimi, nie może zmienić tego, co jest między mną i Haraldem. I na odwrót. Nic jej nie zabieram. Większość żonatych mężczyzn żyje lepiej z żonami, gdy mają kochanki. W innych społeczeństwach to się rozumie samo przez się.

- A jednak - wtrąciła Helena - wolisz, żeby Kay się nie dowiedziała. Ani Put, jak się zdaje. I musisz przyznać, że wczoraj mogłaś wpaść. A gdyby tak zamiast mnie do kuchni weszła Kay?

- Szach-mat! - ponuro przytaknęła Norine i zaraz się roześmiała. - Boże! - zwierzyła się - mogliśmy też wpaść kilka dni przedtem... - Helena uniosła brwi. - Chcesz posłuchać?

- Dobrze.

- To było w tym mieszkaniu. Po południu. Dziesięć dni temu. Cudzołożyliśmy tam - wskazała tapczan - gdy ktoś zaczął okropnie walić do drzwi, wrzeszcząc: „Otwierać!”

Helena wzdrygnęła się. Słuchając uniwersyteckiej koleżanki, rzeczowo wyobraziła sobie tę scenę: obnażonych Norine i Haralda, ogarniętych przerażeniem w trakcie swych „uniesień” na tapczanie. Co mogło znaczyć to walenie w drzwi? Harald, jak się okazało, nie czekał, żeby się dowiedzieć, porwał spodnie ze składanego krzesła,

na którym Helena właśnie siedziała w tej chwili, i skoczył do sypialni. Norine usiadła, owinięła się narzutą z tapczanu, podczas gdy walenie do drzwi nie ustawało. Była przekonana, że to policja - Czerwona Brygada - przyszła po kartotekę Putnama. Zdawało się, że lada chwila wyłamią drzwi, bo musieli słyszeć, jak szeptała do Haralda. - Otwórz! - syknął Harald z sypialni. Przyciskając do siebie czarną narzutę, Norine boso podeszła do drzwi i uchyliła je leciutko. Do pokoju wpadli dwaj cywile i kobieta. - To ona! - krzyknęła kobieta w średnim wieku, w klejnotach i futrze, pokazując na Norine. - Gdzie mój mąż? - Zanim Norine zdążyła im przeszkodzić, tajniacy pchnęli drzwi sypialni, gdzie natknęli się na Haralda zapinającego rozpiorek.

- Jest, proszę pani! - wrzasnęli. - Nie całkiem jeszcze ubrany. W podkoszulku. I nie zapiętych spodniach.

- Ależ to nie jest mój mąż! - krzyknęła kobieta, która też weszła do sypialni, żeby się przekonać. - Nigdy tego człowieka nie widziałam. Kto to jest? - zwróciła się wściekła do Norine.

W tym punkcie opowiadania Helena się roześmiała.

- Sekretarka na górze - zauważyła.

- Jak zgadłaś?

Helena zorientowała się w sytuacji. Tajniakami byli prywatni detektywi, specjaliści od spraw rozwodowych, którzy weszli do niewłaściwego mieszkania. A przez cały ten czas mąż tej kobiety siedział na górze z sekretarką Grace, czekając, aby żona i tajniacy przyłapali go na zdradzie, była to bowiem wpadka „zaaranżowana” jako powód do rozwodu.

- Tamta para oczywiście wcale nie kopulowała naprawdę - ciągnęła dalej Norine - mieli tylko ubrania „w nieładzie”. Powinni byli natychmiast otworzyć drzwi i bez hałasu wpuścić detektywów, bo w przeciwnym wypadku John się wścieka. Ciągłe powtarza Margaret, że prowadzą „dom publiczny”.

- John to gospodarz? - spytała Helena.

- Tak - skinęła głową Norine. - Właściwie powinien siedzieć cicho, bo Margaret nakryła go z poprzednią lokatorką, którą wyrzuciła z domu. A on zachowuje się czasem jak kołtun z powodu Grace, sprawy zysku, normalne. Dom służy mu jako coś w rodzaju sali wystawowej dla dekoracji wewnątrz i boi się, żeby adres nie dostał się

do gazet w związku z jakąś sprawą rozwodową. Tym razem była to głupota detektywów, którym wyraźnie powiedziano, że mają rewidować górne piętro, a oni się pojawili na parterze. Gdy nie otwieraliśmy, a oni nas słyszeli, doszli do wniosku, że to jakieś oszustwo i mąż wycofuje się z transakcji. Więc zamiast zwrócić się po instrukcje do adwokata, jak powinni byli zrobić, wdarli się tutaj siłą. Żona faceta nie wiedziała, co myśleć, widząc mnie owiniętą narzutą, przekonana, że małżonek się ukrywa. Mówiono jej, że zobaczy blondynkę (to zawsze musi być blondynka), więc wzięła mnie za Grace. Prawdopodobnie pomyślała, że mąż postanowił nie ograniczyć się tylko do słów - roześmiała się Norine.

Harald był „wspaniały”. Bardzo spokojnie wyciągnął od detektywów wszystkie fakty, a potem ich zbeształ. Nazwał ich parą kretyńskich chamów, którzy zostali wyszkoleni w brutalności przez policję nowojorską, a następnie „wylani” za wymuszanie lub czystą tępotę. Pytał, czy mogą zaprzeczyć. Powinni byli dowiedzieć się, że nie mają prawa wchodzić do prywatnego mieszkania bez policjanta i nakazu rewizji i że na miejscu Norine zaskarżyłby ich za włamanie, co jest zbrodnią, i posłał ich razem z klientką do więzienia.

- Nie bardzo mogliście wykonać tę groźbę - wtrąciła Helena. - Detektywi musieli się w tym zorientować.

- Umierali ze strachu - pokręciła całkowicie już ufryzowaną głową Norine.

Na szczęście, mówiła bardziej prozaicznie, dom był tego dnia pusty, prócz Grace i faceta na górze, inaczej walenie w drzwi i wrzaski ściągnęłyby wszystkich na dół.

- A gdzie był Nietzsche? - spytała Helena. - Powinien był chyba dołączyć swój głos.

Okazało się, że pies był na wsi z gospodarzem i jego żoną, a Grace miała wolne popołudnie z powodu urodzin prezydenta Lincolna, normalnie bowiem detektywi łapią ją w nocy, chyba że John i Margaret mają gości.

- A Kay? - spytała Helena.

- Kay pracowała. Sklepy nie obchodzą urodzin Lincolna. Zarabiają na tym, że płatni niewolnicy z innych instytucji mają wolne. Ten dzień jest wielką przygodą zakupową dla pracowników umysłowych. Jak myślisz, kiedy stenografistka pracująca

czterdzieści osiem godzin na tydzień ma czas kupić sobie sukienkę? Musiałaby zrezygnować z godziny na lunch. Ty pewnie w ogóle o tym nie myślałaś. - Norine wbiła w Helenę oczy i zapaliła papierosa, trzymając przez chwilę palącą się zapalną, jak gdyby chciała rozjaśnić ciemności w umyśle Heleny.

Helena wstała, była zdecydowana powiedzieć, co ma na wątrobie. Zaciśnęła usta, słysząc, jak beztrosko i obojętnie Norine mówi: „Kay pracowała”.

- Nie jestem socjalistką - zaczęła powoli - ale gdybym nią była, starałabym się być osobą przyzwoitą. Wydaje mi się, że Norman Thomas jest człowiekiem przyzwoitym.

- To były pastor - wtrąciła Norine. - Bardzo mu to przeszkadza. Nie przyciąga współczesnych robotników. Węszą w nim dobroczyńcę. Pomógł Putowi, ale Put sądzi, że czas z nim zerwać. W Waszyngtonie powstała nowa grupa - farmerów, zwolenników ruchu robotniczego i postępowców - z którą Put będzie mógł pracować skuteczniej, jak sądzi. Stoją bliżej realiów władzy. Kilku z nich przychodzi tu dziś po południu na drinka, potem pójdziemy z nimi pewnie do nocnego lokalu w Village, bo jeden z nich lubi tańczyć. Put i Bill - czy mówił ci o tym? - chcą założyć syndykat prasowy i skończyć ze zbieraniem funduszy, w czym komuniści mają kolosalną przewagę. Otóż ci kongresmani mają po swojej stronie mnóstwo małomiasteczkowych gazet w farmerskich stanach, które łakną prawdziwych, nie cenzurowanych wiadomości o ruchu robotniczym, o ostatnich osiągnięciach w spółdzielczości i podziale zysków. Zaprosiłam też Haralda i Kay, bo Harald ma korzenie w Veblen...

- Norine - przerwała jej Helena - powiedziałam, że gdybym była socjalistką, postarałabym się być osobą przyzwoitą. - Mimo że usiłowała mówić spokojnie, głos jej zadrżał. Norine, patrząc na Helenę, powoli zgasła papierosa. - Powiadasz, że twój mąż nie potrafi z tobą sypiać, ponieważ jesteś „kobietą przyzwoitą”. Proponuję, żebyś oświeciła go w tym względzie. Powiedz mu, co wyprawiasz z Haraldem. I o żonatym postępowym nauczycielu, ojcu sześciorga dzieci. To powinno mu podnieść koguta. I każ mu się przyjrzeć temu mieszkaniu. I obróć brudu na twojej szyi. Pobrudziłabyś mężczyznę, który przespałby się z tobą. Zostawiałabyś na nim pas brudu jak na twojej wannie. - Norine siedziała zastygła, nie spuszczając z mówiącej oczu. Helena przełknęła ślinę, nie przemawiała z takim ferworem od czasu, gdy jako dziecko śmiało

złościła się na matkę. Nie poznawała prawie własnego słownictwa, głos jej dziwnie się rwał. W jej suchym, ściśniętym gardle tłoczyły się chaotyczne zdania, które usiłowała poskromić jak motłoch. - Weź trochę amoniaku - usłyszała siebie - umyj w tym szczotkę i grzebień. - Przerwała, żeby złapać oddech, bała się, że zaraz się rozplacze ze złości, jak dawniej, gdy złościła się na matkę. Szybko podeszła do oszklonych drzwi, patrzyła na ogród, układając w myśli słowa, jakimi mogłaby przeprosić koleżankę.

- Masz rację - odezwała się za jej plecami Norine. - Absolutną rację. - Obejrzała swoją szyję w ręcznym lusterku. - Dziękuję ci za słowa prawdy. Nikt mi tego nigdy nie mówi.

Helena podskoczyła, słysząc te ochryple słowa. Odwróciła się powoli w pantofelkach z brązowej jaszczurki. Wdzięczność była ostatnią rzeczą, jakiej spodziewała się ze strony Norine. Helena nie była reformatorką, kiedyś „reagowała”, jak by to określiła Norine, sprzeciwiając się spokojnemu, namaszczoneму melioryzmowi matki, teraz stawała okoniem na samą myśl o zmienianiu kogokolwiek, jak również i jej samej. Nie wiedziała, co ją napadło, że tak się uniosła - defensywna lojalność wobec Kay, kanon uczciwości czy po prostu chęć pokazania Norine, że nie wszystkich i nie zawsze potrafi wyprowadzić w pole. Jednakże uległość Norine stwarzała wielką odpowiedzialność.

- Mów dalej - nalegała Norine. - Powiedz więcej. Co mam zrobić, żeby zmienić swoje życie?

Wzdychając w duchu, Helena usiadła naprzeciw koleżance przy stole, myśląc o niedoszłym spotkaniu z ojcem, o ile chętniej oglądałaby w tej chwili stare srebro, niż odgrywała rolę miotły w życiu Norine. Pomyślała jednak, że kongresmani przynajmniej, a może i Putnam, będą jej wdzięczni, jeśli poradzi Norine sprzątać mieszkanie.

- No cóż - rzekła nieśmiało - zaczęłabym od małej harówki.

- Umyć podłogę? - spytała Norine, rozglądając się w zamyśleniu. - Dobrze. A potem?

- Potem - powiedziała Helena, mimo woli zapalając się do nadarzającej się okazji - kupiłabym papier toaletowy. W łazience nie ma ani kawałka. I trochę chloru

do umycia kubła na śmieci i muszli klozetowej. I wygotuj ścierkę lub kup nową. - Słyszała szczekanie psa. - Spuściłabym psa z łańcucha i wyprowadziła go na spacer. I przy okazji zmieniałabym mu imię.

- Nie podoba ci się Nietzsche?

- Nie - sucho rzuciła Helena. - Nazwałabym go może Pirat.

- Pojmuję - powiedziała Norine z krótkim śmiechem. - Boże, jesteś wspaniała!

Mam go wykąpać, żeby go ochrzcić?

- Nie w taką pogodę - rzekła Helena po namyśle. - Mógłby się zaziębić. Sama się lepiej wykup i umyj sobie włosy pod prysznicem.

- Dopiero co je zakręciłam.

- To umyj je jutro. Następnie kup sobie jakieś sukienki i każ Putnamowi za nie zapłacić. A jeśli się będzie złościł z powodu wydatku, podrzyj wykres budżetowy. I kup jakieś prawdziwe jedzenie, nie konserwy. Choćby tylko hamburgery, świeże jarzyny i pomarańcze.

- Dobrze - przytaknęła Norine. - Ale powiedz mi coś bardziej zasadniczego.

- Pomalowałabym ściany - ciągnęła dalej Helena, której badawcze spojrzenie omiotło pokój - na inny kolor.

- Czy to sprawa zasadnicza? - Twarz Norine wyrażała zwątpienie.

- Oczywiście. Nie chcesz chyba, żeby cię uważano za faszystkę? - dodała podstępnie Helena.

- Boże, masz absolutną rację. Za blisko jestem związana z polityką. Nigdy mi to na myśl nie przyszło. Trzeba być niezmiernie ostrożnym. Komuniści nie mają żadnych skrupułów. Dziś leżą z tobą w jednym łóżku, a jutro wyzywają cię od faszystów. Nawet Normana nazywają socjalistycznym faszystą. Dobrze. Mów dalej.

- Wyrzuciłabym tego białego niedźwiedzia - łagodnie powiedziała Helena. - Zbiera tylko kurz i chyba już się wysłużył.

- Przyprawia Puta o alergię - zgodziła się Norine. - Co jeszcze?

- Wzięłabym w bibliotece kilka prawdziwych książek.

- Co ty nazywasz „prawdziwymi książkami”? - Norine spojrzała niepewnie na półki z książkami.

- Literaturę. Dzieła Jane Austen. George Eliot. Flauberta. Lady Murasaki, Dickensa, Szekspira, Arystofanesa, Swifta.

- Ci autorzy nie są ideowi - Norine zmarszczyła czoło.

- Tym lepiej. Zapadło milczenie.

- To wszystko? - spytała Norine.

Helena pokręciła głową. Jej oczy spotkały się z oczami Norine.

- Przestałabym spotykać się z Haraldem - powiedziała.

- Och! - wymamrotała Norine.

- Zajmij się czymś innym - energicznie kontynuowała Helena. - Zapisz się na jakiś kurs w Columbi. Lub napisz artykuł na temat tego, co widziałas w kopalniach węgla. Znajdź sobie pracę, choćby społeczną. Ale nie spotykaj się więcej z Haraldem. Nawet w towarzystwie. Skończ z tym raz na zawsze. - Ostatnie słowa wypowiedziała poważnie, dalej mówiła już lżejszym tonem: - Na twoim miejscu wystąpiłabym o rozwód lub unieważnienie małżeństwa. Ale to powinniście rozstrzygnąć sami. Nie powinnaś mówić o tym z nikim innym. Jeśli chcesz z nim zostać, powinnaś zrezygnować z seksu. Nie usiłuj mieć jednego i drugiego. Zdecyduj, czego chcesz: seksu czy Putnama. Mnóstwo kobiet potrafi żyć bez seksu i świetnie im to służy. Przypomnij sobie nasze panie profesorki, nie były ani zasuszone, ani zgorzkniałe. I - dodała - mnóstwo kobiet potrafi żyć bez Putnama.

- Masz rację - ponuro zgodziła się Norine. - Tak, oczywiście masz rację. Muszę wybrać - powiedziała niepewnie.

Helena odniosła wrażenie, że Norine już od jakiegoś czasu przestała słuchać wykładanego dla niej programu lub też słuchała jednym uchem, wydając pomruk zgody.

- Nie słuchasz tego, co mówię - Helena mimo woli była poirytowana i zawiedziona. Zapytywała siebie, co ją obchodzi, czy Norine pójdzie za jej radą, czy nie? Może ze względu na Kay - musiała jednak przyznać, że nie idzie jej tylko o Kay. Porwała ją po prostu wizja lepszego życia dla Norine. I uniesiona własnym misjonarskim zapałem nie chciała zrezygnować z tej wizji. - Cokolwiek zdecydujesz - rzekła stanowczo - nie gadaj o tym. Oto moja zasadnicza rada dla ciebie. Nie dyskutuj

o swoich i Puta sprawach z nikim oprócz adwokata. Ani nawet z innym lekarzem. Jeśli już ktoś powinien porozmawiać z lekarzem, powinien to być Putnam, a nie ty.

I tak długo, jak jesteś jego żoną, nie wspominaj o seksie. W żadnej postaci: zwierzęcej, roślinnej czy mineralnej. Żadnych wzmianek o jajowodach.

- Dobrze - Norine westchnęła, jak gdyby to miało być najtrudniejsze.

Zapadło ciężkie milczenie, pies znów zaczął szczekać. Wzniosłość dudniła na swych filarach. W tym homeryckim zmaganiu, pomyślała Helena, Zeus wyciąga swoją złotą wagę.

Norine ziewnęła i przeciągnęła się.

- Jesteś przedwcześnie rozwiniętym dzieckiem - powiedziała, ziewając. - Ale uczuciowo jesteś jeszcze ciągle niedorostkiem. *Si jeunesse savait...* - Znów ziewnęła. - Poważnie, jestem ci wdzięczna, że starasz się mi pomóc. Powiedziałaś mi prawdę zgodnie z własnym jej rozumieniem.

I podsunęłaś mi kilka cholernie dobrych pomysłów. Na przykład, żebym wybrała między seksem i Putem. Zdecydowała się na jedno lub drugie. Zamiast siedzieć na dwóch stołkach, jak do tej pory. Z czego się śmiejesz?

- Z twojego doboru słów.

- Oto przykład tego - Norine parsknęła śmiechem i zaraz zmarszczyła brwi - co nazwałabym twoim ograniczonym podejściem. Masz fioła na punkcie formy, mnie obchodzi treść. Pozwolisz, że ci powiem, że większość twoich rad jest powierzchowna?

- Na przykład? - Helena czuła się dotknięta.

- Sprzątnięcie mieszkania. Jak gdyby to było najważniejsze. Papier toaletowy, chlor, nowe sukienki. Zwróć uwagę na znaczenie, jakie przypisujesz burżuazyjnym nabytkom. Rzeczom. Ja proszę o chleb, a ty podajesz mi kamień. Przyznaję, że powinniśmy mieć papier toaletowy, dziś rano Put mnie za to objechał. Ale to nie rozwiąże ważnych spraw. Biedacy nie mają papieru toaletowego.

- Myślałam jednak - broniła się Helena - że dążycie między innymi do tego, aby mieli papier toaletowy.

- Stosujesz uniki - pokręciła głową Norine. - Masz obsesję pozorów. Nie dotykasz spraw zasadniczych. Nieuchwytnych.

- „Duch jabłek” - odcięła się Helena.

- Właśnie.

- A mnie się zdaje, że twój główny problem jest jak najbardziej uchwytny - wycodziła Helena. Dostrzegła, że Norine nie zamierza zastosować się do żadnej z jej recept, może tylko zmieni imię psa na Pirat, bo to dobry temat do konwersacji.

- Nie - powiedziała z namysłem Norine - nęka mnie ukryty duchowy niepokój. Impotencja Puta jest oznaką prometejskiej samotności.

Helena wzięła swoje futro z ocelotów z tapczanu. Norine, po ostatnich słowach, zapadła w zadumę, wsparła brodę na rękach i jakby zapomniała o Helenie.

- Musisz już iść? - spytała roztargniona. - Dam ci coś do jedzenia, jeśli zostaniesz.

- Mam spotkanie z ojcem. - Helena włożyła futro.

- Dziękuję ci - powiedziała Norine. - Bardzo ci dziękuję. Wpadnij po południu, jeśli masz czas. - Wyciągnęła dużą dłoń z obgryzionymi paznokciami. - Będą Harald i Kay, gdybyś miała ochotę się z nimi zobaczyć. - Pamięć jakby ją zawiodła, zarumieniła się, spotkawszy spojrzenie Heleny. - Nie rozumiesz. Nie możemy tak z miejsca zerwać z nimi. Muszę widywać Haralda w towarzystwie. On i Put mają bardzo dużo wspólnego w swoich poglądach. Prawdopodobnie więcej znaczą dla siebie, niż ja znaczę dla każdego z nich. Poza tym Harald szuka u nas podniet intelektualnych. Powiedziałam ci przecież, że prowadzimy tu coś na kształt salonu intelektualnego. W tym miesiącu piszą o nas w „Mademoiselle”. „Put i Norine Blake (on Williams, 1931, ona Vassar, 1933) prowadzą dom otwarty dla sumienia Młodej Ameryki.” Z fotografiami. - Roześmiała się terkotliwie. Potem zmarszczyła brwi i przesunęła dłoń po włosach. - Oto element, który opuszczasz w swojej analizie. Sedno mojego małżeństwa z Putem. Znaczymy coś dla niektórych ludzi, a gdy dzieje się coś takiego, człowiek przestaje być wolny. Ty ze swojej perspektywy nie możesz tego dostrzec. I dlatego przeceniasz seks. - Ton Norine stał się pouczający i uprzejmy, z powodu wysokiego wzrostu patrzyła z góry na swego niedużego gościa. - Nie powiesz nikomu tego, co ci mówiłam? - spytała z nutką nagłego strachu.

- Nie - Helena poprawiła frymuśny kapelusik. - Ale ty powiesz.

- Jesteś wspaniała - oświadczyła Norine, odprowadzając koleżankę do drzwi.

W następnym tygodniu po tej rozmowie pani Davison w Cleveland podniosła oczy znad wczorajszego nowojorskiego „Timesa”. Siedziała w „kąciku przy kominku” w swoim saloniku, gdzie zawsze czytała poranną pocztę. „Times” przychodził z jednodniowym opóźnieniem, co wcale pani Davison nie przeszkadzało, bo i tak czytała gazetę dla „atmosfery”. W saloniku stały angielskie meble w kretonowych pokrowcach w kolorach: niebieskim, fioletowym i białym; pokój miał tudorowskie wykuszowe okno z małymi szybkami, a Helena jako uczennica wyobrażała sobie Sir Waltera Raleigha piszącego na nich diamentem. Stała tu piękna sekretera z epoki królowej Anny, z małymi wnękami i skrytką, pani Davison załatwiała przy tej sekreterze swoją korespondencję, a jej zbiór pudełeczek zawierał najrozmaitsze znaczki, istne kolorowe skarby; na przysadzistym stole z czasów Jakuba I leżały aktualne miesięczniki poukładane kupkami jak w szkolnej bibliotece. Nad sekreterą, na krytej boazerii ścianie, wisieli antenaci pani domu - wyblakłe późnowiktoriańskie fotografie jej gniazda rodzinnego w hrabstwie Somerset w Anglii, „siedziby skromnego dżentelmena”, z której jej przodek, duchowny, wyemigrował do Kanady. Kominek wyłożony był ślicznymi białymi i niebieskimi kafelkami w heraldyczne wzory, przy kominku zaś siedziała w fotelu pani domu przeglądając gazetę; na jej szerokich, okrytych suknią w groszki kolanach leżał nożyk do papieru z porcelanowym trzonkiem.

- Heleno! - zawołała tubalnym głosem, podobnym do syreny okazałego statku. Helena stanęła w drzwiach. - Haralda aresztowano!

- Wielkie nieba! - powiedziała Helena.

- Za awanturę z jakimiś prywatnymi detektywami podobno. - Pani Davison stuknęła w gazetę nożykiem do papieru. - Jego i faceta nazwiskiem Putnam Blake. Wiesz, kto to może być?

- Pokaż - błagalnie powiedziała Helena, która zbladła, podskoczyła do matki, jakby jej chciała wyrwać z ręki gazetę z tą potworną wiadomością. Pomyślała, że Harald i Norine znów zostali przyłapani na zakazanych uściskach, a perspektywa krzyżowego ognia pytań matki sprawiła, że złote piegi na jej policzkach pociemniały i zaostrzyły się. Matka, zawsze męcząca, odsunęła Helene.

- Pognieciesz - upomniała córkę, powoli składając pismo.

Choć bardzo przejęta, Helena zwróciła jednak uwagę, że matka, rzecz dziwna, wcale nie jest taka zgorzonna, jak należało się spodziewać, i że odniosła się do sprawy, jeśli można tak powiedzieć, z przyjemnym, pełnym godności niepokojem.

- Przeczytam ci. Jest, na piątej stronie. Umieścili też zdjęcie. Te fotografie w gazetach są zawsze zamazane.

Helena przysunęła małą, jasną głowę do dużej, siwej głowy matki, siateczka do włosów utrzymująca w porządku „loki” starszej pani drapała jej policzki.

- Nie wiem, gdzie - powiedziała, przebiegając niespokojnie po nagłówkach artykułów, wszystkie na temat sporów pracowniczych.

- Tu. „Goście opuszczają lokal podczas strajku kelnerów. Dwaj aresztowani.”

Helena przygryzła wargę, z osłupienia przełknęła ślinę i opadła na podnózek, żeby słuchać.

- Nie wiem, czy słyszałaś - powiedziała matka - że niektórzy kelnerzy strajkowali w kilku najlepszych hotelach Nowego Jorku. Tatuś i ja interesowaliśmy się tym ze względu na nasz apartament w „Savoy Plaza”. Kelner podający tatusiowi śniadanie powiedział mu nie dalej jak w zeszłym tygodniu...

- Mamo, proszę! - przerwała matce Helena. - Przeczytaj o Haraldzie.

Pani Davison zabrała się do czytania, po swojemu podkreślając słowa i robiąc pauzy:

„Strajkujący kelnerzy hotelu „Carlton Cavendish” spotkali się wczoraj z poparciem z nieoczekiwanej strony. Solidarnościowy strajk gości, zainicjowany przez Putnama Blake'a, lat dwadzieścia cztery, publicystę, miał miejsce w Sali Różowej przy dźwiękach orkiestry. Strajkujący goście byli w strojach wieczorowych, zauważyliśmy wśród nich - prócz pana Blake'a, który został odprowadzony do komisariatu przy Wschodniej Pięćdziesiątej Pierwszej ulicy - Dorothy Parker, Alexandra Woolcotta, Roberta Benchleya oraz inne literackie znakomitości. Sygnałem do opuszczenia sali stała się mowa wygłoszona przez pana Blake'a, nawołująca gości do zmanifestowania swej solidarności z kelnerami, których związek pikietował przed hotelem. Sala nie funkcjonowała przez trzy kwadransy. Pan Blake został zatrzymany pod zarzutem zakłócenia porządku publicznego, z oskarżenia Franka Harta, wicedyrektora „Carlton Cavendish”, oprócz niego, również pod zarzutem zakłócenia porządku publicznego,

zatrzymano Haralda Petersena, lat dwadzieścia siedem, dramaturga. Obaj panowie zostali przesłuchani w nocnym sądzie i zwolnieni tymczasowo za kaucją w wysokości pięciu dolarów każdy. Pan Blake oświadczył reporterom, że on sam i pan Petersen zamierzają skarżyć pana Harta i dwu hotelowych detektywów, zatrudnionych przez trust hoteli „Carlton Cavendish”, którzy, jak twierdzi pan Blake, „poturbowali” ich i usiłowali uwięzić w suterenie hotelu. Pan Petersen oskarża policję o stosowanie kastetów. Pan Blake twierdzi, że on i towarzyszący mu goście mieli pełne prawo opuścić Różową Salę, gdy stwierdzili, że mają im usługiwać kelnerzy nie należący do związku zawodowego kelnerów, a pan Hart i detektywi usiłowali im czynnie przeszkodzić w spokojnym opuszczeniu lokalu. Pan Hart oświadczył, że „grupa rozrabiaczy” zamówiła napoje i zakąski i wyszła, nie zapłaciwszy za nie. Panowie Blake i Petersen temu zaprzeczyli, powiedzieli, że całe ich towarzystwo, składające się z około trzydziestu osób siedzących przy osobnych stolikach w luksusowej, świeżo odnowionej Sali Różowej, zostawiło przed wyjściem z sali „wystarczającą rekompensatę” za spożyte trunki, nie zostawiło natomiast napiwków. Możliwe, dodał pan Blake, że inni goście wyszli, nie zapłaciwszy, korzystając z zamieszania, jakie powstało, gdy on sam i pan Petersen zostali napadnięci przez „lotną brygadę” kelnerów niezwiązkowców i detektywów. W nocnym sądzie pan Blake i pan Petersen stawili się w asyście żon w eleganckich wieczorowych toaletach oraz przyjaciół w cylindrach i frakach. Ich rozprawa została wyznaczona na dwudziestego trzeciego marca. Wśród strajkujących znajdowała się podobno pewna liczba absolwentek Vassar. Taki sam strajk gości odbył się przed paru tygodniami podczas lunchu w hotelu „Algonquin”, zainicjowany przez Heywooda Brouna, dziennikarza felietonistę. Nie dokonano wówczas żadnych aresztowań.”

- Coś takiego! - powiedziała Helena. - Myślisz, że Kay jest na tym zdjęciu? Pokaż!

Zdjęcie przedstawiało scenę zamieszania w hotelowej sali, widać było przewrócony stół i krzesła. Lecz, jak stwierdziła pani Davison, zdjęcie było zamazane. Nie mogły odnaleźć na nim Kay, zdawało im się jednak, że rozpoznają Haralda - bladego, niewyraźnego, w smokingu, z podniesionym ramieniem, podczas walki z korpusem nacierających na niego kelnerów. Podczas gdy matka szukała na fotografii

Dorothy Parker („Wychowała się w klasztorze, wiedziałaś o tym?”), córka odnalazła Norine w środku, patrzącą prosto w aparat, ubraną w coś, co wyglądało na mocno wydekoltowaną białą suknię z błyszczącego jedwabiu i z diademem na głowie, jak gdyby siedziała w operowej łoży, na rękach długie białe rękawiczki *glaces*, zsunięte oczywiście z rąk i zawinięte wokół nadgarstków. Wstawka fotograficzna ukazywała Putnama stojącego przed nocnym sędzią, i nie wiadomo, czy to farba drukarska się rozlała, czy też miał podbite oko, był, jak się zdaje, we fraku, ale nie w białym krawacie. Pani Davison odłożyła gazetę.

- Duża fotografia - powiedziała energicznie - dowodzi tego, że cała afera została wyreżyserowana.

- Oczywiście - niecierpliwie rzuciła Helena. - O to im przecież chodziło. Dostać się do gazet w obronie skrzywdzonych kelnerów.

- Została wymanipulowana - poprawiła Helenę matka. - Musieli uprzedzić gazetę, aby przysłali fotografa. A ten Putnam Blake twierdzi, że wyszli z sali, gdy stwierdzili, że mają być obsługiwani przez kelnerów niezwiązkowców. Zwróć uwagę na tę sprzeczność.

- To tylko *pro forma*, mamó. Jego adwokaci poradzili mu pewnie tak mówić. W przeciwnym wypadku można by mu zarzucić, że organizował konspirację czy coś takiego. Nie spodziewają się, by ktokolwiek w to uwierzył.

- Zaraz zadzwonię do tatusia do biura - oświadczyła pani Davison. - Może nie czytał tego. Jest dokładnie tak, jak mówił mu kelner w „Savoy Plaza” przy śniadaniu: elementy postronne opanowały kelnerów i manipulują nimi. Obawiam się, że Harald może mieć bardzo poważne kłopoty. Za to, że dał się wciągnąć w podobną kabałę. Może powinnaś zamówić rozmowę z Kay?

Helena pokręciła głową. Nie chciała rozmawiać z Kay przy matce.

- Nie teraz - powiedziała. - Jest w pracy.

- Dobrze przynajmniej - odezwała się pani Davison - że o niej nic nie ma w gazecie. No i Petersen to bardzo pospolite nazwisko. Istny cud, nawiasem mówiąc, że „Times” napisał je prawidłowo. Miejmy nadzieję, że nie dowiedzą się o tym u Macy'ego, ogromnie bym nie chciała, żeby Kay straciła stanowisko. - Wstała, podeszła do telefonu, stojącego na stoliku w kącie. - Idź, chcę porozmawiać z tatusiem.

Rozmowy pani Davison z małżonkiem, choćby o bagatelach, zawsze odbywały się *in camera*. Po krótkiej przerwie znów zawołała Helenę.

- Tatusz już wie. Posłał po dzisiejszą gazetę. Jeśli już jest. I po wczorajszą „Tribune”, i prasę brukową. Tatusz się zastanawia, czy nasza nowojorska filia nie mogłaby wyciągnąć z tego Haralda. Znaleźć mu poważnego adwokata. Kto to jest ten Putnam Blake? Harald nigdy o nim nie mówił. Tatusiowi też nie. - Pani Davison mówiła łagodnie zaczepnym tonem.

Helena nie przypominała matce, że nie widziała Haralda od wielu miesięcy.

- Studiował w college'u Williamsa - cierpliwie poinformowała matkę. - Razem z drugim chłopakiem prowadzi organizację pod nazwą Sprawy Ogółu, żeby pomóc w zbieraniu funduszy na rzecz „zapomnianego człowieka” w sprawach robotniczych. Jest żonaty z Norine Schmittlapp, która była w Vassar razem ze mną. Ta w diademie i długich rękawiczkach to ona. Podczas studiów zawsze organizowała demonstracje.

- Właśnie. Wiedziałam! *Cherchez la femme*, jak powiedziałam ojcu. „Zapamiętaj moje słowa, okaże się, że za tym kryje się jakaś kobieta.”

- Co masz na myśli? - ostrożnie spytała Helena, zaskoczona przenikliwością matki.

- Powiedziałam ojcu - pani Davison przyklepała siatkę na głowie - że cała ta awantura przypomina dawne demonstracje sufrażystek. Przywiązywały się łańcuchami do latarni ulicznych, a ta młoda osoba, Inez, jak jej tam, też absolwentka Vassar, przejechała się na białym koniu po Piątej Alei, demonstrując na rzecz prawa wyborczego dla kobiet. Zabójczo wystrojona. Gazety się o tym wszystkim rozpisywały, gdy byłaś malutka. Te kobiety uwielbiały być aresztowane. Ojciec nigdy nie pozwolił mi wziąć udziału w tych bzdurach. Choć w tym ruchu było dużo bardzo przyzwoitych kobiet, takie panie jak McConnaughey i Perkin działały tu w Cleveland.

- Te dwie przyjaciółki pani Davison, jedna studiowała w college'u Smith, druga w Wellesley, często występowały w jej rozmowach i unosiły się nad dzieciństwem Heleny jak świeckie patronki. Pani Davison westchnęła: - Ale tamte awantury sufrażystek też były wyreżyserowane - zakończyła weselszym tonem, jak gdyby opanowując żal. - Prasa była z góry zaproszona. Nie, jak tylko zobaczyłam ten artykuł

- znacząco poklepała „Timesa” - powiedziałam sobie, że tego nie zaplanował żaden mężczyzna.

- Dlaczego?

- Żaden dorosły mężczyzna - wyjaśniła matka Heleny - nigdy nie włoży smokingu, jeśli kobieta go do tego nie zmusi. Żaden mężczyzna, niezależnie od swoich poglądów politycznych, nie włoży smokingu na strajk solidarnościowy, czy jak to się nazywa, jeśli go do tego nie zagoni sprytna kobieta. Żeby jej fotografia trafiła do gazet. Nie mów, że Harald to zrobił dla błękitnych oczu Blake'a. Nie, ona zapewne owinęła sobie Blake'a i Haralda wokół małego paluszka. Popatrz na ten diadem, pewnie miała ochotę go włożyć. I te rękawiczki. Dziwię się, że nie miała jeszcze wachlarza ze strusich piór. - Helena roześmiała się i poklepała matkę po pulchnym ramieniu. - Można by pomyśleć - ciągnęła dalej pani Davison głębokim tonem, lecz najwyraźniej czując, że ma „dobrą wenę” - że wita gości na balu dobroczynnym. Założę się, że zakupiła ten strój specjalnie na tę okazję. A może wyciągnęła go z babcinego kufra. - Helena znów się roześmiała, podziwiała indukcyjne zdolności matki. - Łasa na reklamę - orzekła pani Davison, po raz ostatni przyklepując gazetę. - Co studiowała?

- Anglistykę. Studiowała głównie pod kierunkiem profesor Lockwood. Prasę współczesną.

- Och, moja prorocza dusza! - skinęła głową pani Davison, uderzając się w czoło.

ROZDZIAŁ 7

Dwa dni przedtem (artykuł, który czytała pani Davison, został przedrukowany z wieczornego wydania gazety w dniu poprzednim) Hatton, angielski kamerdyner Protherów, w szkarłatnym pikowanym szlafroku z chińskiego jedwabiu z haftem i klapami *moire* siedział wieczorem w fotelu w swym pokoju na najwyższym piętrze miejskiej rezydencji swoich państwa, czytając „Herald Tribune” przy otwartym radiu. Palił fajkę, jego stopy w jedwabnych skarpetkach i czerwonych skórzanych pantoflach rannych spoczywały na podnóżku. Szlafrok, pantofle, radio - kostium i rekwizyty

Hattona, prócz fajki, zostały mu podarowane przez pana Prothero, niemłodego wysportowanego eleganta w wieku i z figurą Hattona. Kamerdyner był cokolwiek wyższy od swego pana, nosił się godniej i nie miał takiej czerwono-fioletowej twarzy; jeden z lokai słyszał, jak młode panny z Vassar, koleżanki panienki Mary, mówiły, że Hatton wygląda jak Henry James, amerykański pisarz, podobno bywalec londyńskich salonów, obracający się w najlepszych kołach - sam Hatton wygrzebał te dane, gdy miał wolny dzień, w sali encyklopedycznej Biblioteki Wyższych Sfer, nie ufał bowiem szoferowi, który zmieniał kryminały dla pani Prothero, wybierane dla niej co piątek przez dyrektora biblioteki, że zrobi to należycie. (Biblioteka pana domu, jak wyjaśnił Hatton młodszemu lokajowi, była raczej biblioteką dżentelmena, zawierała przeważnie dzieła sportowe: historię pełnej krwi koni, rejestry stadnin i jachtów, wspomnienia z polowań i wyścigów konnych, wszystkie oprawne w marokańskie i cielęce skóry, i trochę książek pornograficznych w futerałach z fałszywymi tytułami.) Gazeta, którą Hatton studiował, została mu przekazana tego rana przez pana Prothero, który ledwie rzucił na nią okiem i oddał kamerdynerowi niemal w stanie dziewiczym, tak jak szlafrok i pantofle ranne, wyglądające jak nowe. Hatton właściwie był czymś w rodzaju sobowtóra lub lekko powiększonej kopii swego pana, co nie sprawiało mu żadnej przykrości, w zasadzie bowiem czuł się ulepszonym wydaniem swego amerykańskiego chlebodawcy: ubrania pana Prothero lepiej się prezentowały na Hattonie, ponieważ był wyższy; wieczorne czytanie gazety sprawiało mu większą przyjemność niż ranne przeglądanie pisma jego panu, którego nabiegłe krwią oczy szukały tylko wiadomości giełdowych. Usługując swemu panu, lekko przesuując szczotkę po jego ramionach lub poprawiając mu chusteczkę w kieszonce marynarki, Hatton nie mógł się opędzić od myśli, że ma przed sobą krawiecki manekin, wypchaną figurę z drutu i materiału, służącą do pierwszych przymiarek ubrań i innej odzieży, przeznaczonych w końcowym rezultacie dla „człowieka”. Można by nawet powiedzieć, że pan domu rozchodził buty dla Hattona, który nie tylko odziedziczył ubrania, fotel, gazetę i radio, wszystko prawie nowe, po swoim panu, lecz że Hatton „zastępował” go w nagłych wypadkach, na przykład podczas alarmów pożarowych, które wszczyniała pani domu, ogromna, „delikatna” dama, miękka jak okrągły materacyk lub poduszka z kanapy, żyjąca w wiecznym strachu przed pożarami;

nauczony przez nią „węszyć dym”, Hatton często w środku nocy sprowadzał całą rodzinę, lokai i pokojówki do bezpiecznej sutereny, podczas gdy pan domu spał w najlepsze. Widok Hattona, przypominającego ogromnego czerwonego ptaka z koralami jak u indyka, na korytarzu lub schodach wysokiego domostwa późną nocą (pani domu bała się też „intruzów”) wprowadził często w osłupienie gości panienki Mary, którzy wracali z jakiegoś balu cokolwiek zamroczeni szampanem; Hatton zaś zdawał sobie sprawę, że widząc go bez liberii, biorą go za pana domu, którego mogli widzieć wieczorem w identycznym szlafroku, raczącego się whisky w bibliotece. Sam Hatton był bezwzględny abstynentem.

Był nie tylko męskim służącym, ale i „mężczyzną” w tym domu, człowiekiem bardzo odpowiedzialnym. Od lat tu służył; gdy nastał, dziewczynki były jeszcze malutkie, a choć kiedyś żywił skryty zamiar powrotu do Anglii - po odłożeniu dostatecznej ilości gotówki - i poślubienia młodej dziewczyny, postąpił jak człowiek elegancki, tracąc wszystko, co posiadał, w krachu giełdowym cztery i pół roku temu. Zrujnowali go panowie z Wall Street, w tym też prześcignął swego pana, który, po chwilowych niepowodzeniach w 1929 roku, przebrnął przez kryzys gospodarczy, bogacąc się coraz bardziej, i to bez żadnego wysiłku, zakupując patent od jakiegoś faceta, którego poznał w klubie Piping Rock po grze w polo. Facet ten, wyglądający na oszusta, zabił się wkrótce potem, skacząc do pustego basenu kąpielowego. Natomiast patent na nowy proces wyrobu syntetyków okazał się złotą żyłą. Pan Prothero wyznawał, że pewnie ma robienie pieniędzy we krwi. Jeździł niemal co dzień do biura w centrum miasta, żeby dać odpowiednią oprawę, jak się wyrażał, firmie zarządzającej tym patentem; mianowano go dyrektorem, aczkolwiek pojęcia nie miał, co oni, do diaska, produkują lub do czego udzielają praw, nie był pewien, co firma robi. Sądził jednak, że w tych ciężkich czasach ma obowiązek przyłożyć się do popychania wozu.

Rodzina Protherów z obu stron (pani była Schuyler z domu) nie grzeszyła inteligencją, czym szczyciła się jako oznaką dobrego pochodzenia; nikt w tych klanach, jak długo sięgali pamięcią, nie otrzymał wyższego wykształcenia, dopóki nie zjawiała się Pokey lub Mary, jak ją nazywano w domu; jej młodsza siostra, Phyllis, została wydalona ze szkoły Chapin, ku wielkiej uldze mamusi, w drugim roku nauki i

po kilku miesiącach na kursie panny Hewitt mogła dać sobie spokój z nauką, skończywszy szesnaście lat, zgodnie z obowiązującym prawem stanowym. Teraz była już wprowadzona w świat i jako dziewiętnastoletnia panna dojrzała do małżeństwa - idealny do tego wiek, orzekła mamusia, aczkolwiek nie chciała utracić córki, gdyż jako osoba samotna lubiła, żeby dziewczyna towarzyszyła jej do fryzjera lub klubu Colony, gdzie dama ta siadywała w hallu, podczas gdy młodzież pływała w basenie. Pani Prothero, jak przyznawała jej służba, nie miała, biedaczka, dużo rozrywek - w przeciwieństwie do większości dam nie przepadała za zakupami, przymiarki sukien męczyły ją, bała się, że długo nie ustoi bez ruchu, nabawiła się bowiem skrzepu w nodze po urodzeniu córek; na popołudniówkach w teatrze płakała (tyle teraz grali smutnych sztuk) i nigdy nie zgłębiła tajników licytacji w brydżu. Nie bawiło jej urządzenie domu, zajęcie absorbujące tyle dam, meble, dywany i obrazy w paradnych pokojach niewiele się zmieniły, odkąd Hatton nastał. Ani służba, prócz młodszego lokaja i Annette, pokojówki dziewcząt. Pani Prothero miała bladą, jakby przykurzoną bezowawą cerę, w kolorze obić mebli i chodników na schodach. Obrazy w salonie przedstawiały biało-brązowy żywy inwentarz: krowy i owce na brunatnych polach. Hatton pochwalał obrazy, słyszał, jakoby były holenderskie i wartościowe, oraz stonowane brązowawe obicia, ale żeńska służba uważała, że dom wymaga odświeżenia. Kłopot w tym, że nie sposób było zainteresować tą sprawą pani domu lub jej córki. Ostatnio Forbes, dawna guwernantka dzieci, gdy były małe, a obecnie doglądająca bielizny i większych napraw, nauczyła swoją panią wyszywać krzyżykami, mówiąc, że to jakby gość w domu, bo panienka Mary uczy się na weterynarza w Cornell i nigdy nikogo nie zaprasza na weekendy, jak kiedy była w Vassar, pan przesiaduje w biurze, a panienka Phyllis, dawniej taka podpora mamusi, biega teraz z młodzieżą na lunchy, herbatki i pokazy mody.

Państwo Protherowie przyjmowali, lecz zawsze wieczorami, pani domu nie potrafiła sprostać konwersacji przy lunchu. Pan domu jadał lunchy w restauracji Brook, Racquet lub Knickerbocker, a dziewczęta miały nakazane zapraszać przyjaciół na lunch do klubu, żeby nie przysparzać pracy Hattonowi. Tak to przedstawiała *madame*, gdyż sam Hatton nigdy się od pracy nie uchylał, o czym dobrze powinna była wiedzieć. To on układał proszone kolacje swojej pani, przynosił menu i układ

gości przy stole do jej aprobaty, zanim wypisał karteczki z nazwiskami gości; pani Prothero nigdy nie rozwiązała łamigłówek, jak rozsadzić osiem czy szesnaście osób, zawsze przy takiej okazji spoglądała trochę przerażona na Hattona, widząc naprzeciw siebie jakąś panią, a nie męża jak zwykle na drugim końcu długiego stołu. Prowadziła życie zbyt bierne, by mieć sekretarkę, z wyjątkiem dwu sezonów, gdy dziewczęta wchodziły w świat. To Hatton pisywał jej zaproszenia i w jej imieniu dziękował za zaproszenia innych, informował ją, kto przychodzi na kolację lub dokąd ona sama ma iść. Kierował jej datkami na cele dobroczynne, a czasem, gdy mieli gości, potrafił podsunąć temat do rozmowy.

Rozumie się samo przez się, że i dziewczęta wybawiał z kłopotu.

- Hatton, jesteś geniuszem - ciągle wykrzykiwały panienka Mary i panienka Phyllis, gdy układały listę gości lub miejsca przy stole.

- Nieomylny instynkt towarzyski - często mamrotał pan Prothero, mając na myśli kamerdynera, mrugając i dziwnie poruszając mięśniami twarzy, co nadawało mu wygląd paralityka. W kwestii garderoby dziewczęta bardziej polegały na zdaniu Hattona niż Annette czy Forbes; przychodziły do jego pokoju w sukniach balowych, okręcały się przed nim na piętach i radziły się, czy włożyć perły, brylanty *madame*, czy trzymać w ręku chusteczkę lub wachlarz. To Hatton w sojuszu z Forbes dopilnował, żeby panienka Phyllis nosiła opaskę na jednym oku i klamrę na zębach, bo gdyby Hatton nie poparł Forbes, biedna panienka byłaby dziś prawdziwym szkaradzieństwem jak rozbójnik Ben Turpin, według słów Forbes.

Cała rodzina uwielbiała Hattona. „Wszyscy uwielbiamy Hattona” - oświadczyła głośnym szeptem panienka Mary, jedną ręką przykrywając ściągnięte usta, do jakiegoś młodzieńca, który po raz pierwszy odprowadził ją do domu po tańcach po południu, lub do młodej dziewczyny, która gościła u Protherów; wyszkolony kamerdynier zachowywał niewzruszony wyraz twarzy, prowadząc gości schodami, aczkolwiek udawanie, że nie słyszy, byłoby nie lada zadaniem dla służącego mniejszego kalibru, bowiem obie panienki nie tylko były ślepe jak krety, ale mówiły bardzo głośno i monotennie, nie zdając sobie z tego sprawy jak osoby głuche, tak że nawet gdy mówiły szeptem, wszyscy się odwracali, przyglądali się im i słuchali, co mówią.

Odziedziczyły ten sposób mówienia - jeszcze jeden dowód błękitnej krwi - po babci ze strony ojca.

Aczkolwiek Hatton, częściowo wskutek przyzwyczajenia, nie zwracał uwagi na te hołdy, jednak nie sprawiało mu przykrości, że panienki pilnują tego, by każdy, kto bawił w tym domu lub przyszedł na kolację, należycie go docenił. Jego namaszczone, ceremonialne maniery, zdyscyplinowane, powściągliwe zachowanie powinny były mówić same za siebie, rozumiał jednak, że w wyższych sferach Ameryki panuje konwencja niedostrzegania służby, małostkowy sposób tej warstwy, mający dowodzić, że jest przyzwyczajona do tego, by jej usługiwano. Hatton czuł się przez to dotknięty w swojej dumie zawodowej i z tego powodu opuścił poprzednie miejsce. W rodzinie Protherów, gdzie panowały raczej zasady starej szkoły, podkreślano wyjątkowe zalety i kwalifikacje Hattona, a im bardziej usuwał się w cień, tym bardziej wszystkie głowy odwracały się ukradkiem, aby podziwiać jego postawę, gdy wchodził do pokoju lub z niego wychodził. Wiedział, że jak tylko bezszelestnie zamknie za sobą drzwi lub wyjdzie do przyległego do jadalni pokoju kredensowego, cała rodzina wraz z gośćmi zacznie mówić o nim. Zajmowanie się Hattonem dowodziło zażyłości z rodziną Protherów, było przechwałką, rzecz można, zwłaszcza wśród młodzieży.

- Hatton to cud - zwierzali się sobie młodzi kawalerowie, wybierający się na tańce w białych krawatach i frakach, popijając kawę i koniak po kolacji, po wyjściu panien z jadalni. - Hatton to cud, proszę pana - oświadczała, zwracając się do siedzącego u szczytu stołu pana domu. Hatton nie potrzebował mieć szóstego zmysłu (panienka Mary lubiła sugerować, że ma), aby zerkając przez szparę w drzwiach pokoju kredensowego zorientować się w temacie rozmowy. W pokojach na piętrze panienki z Vassar nie wszystkie obracały się w wielkim świecie, więc lokaj podający im benedyktynekę i *crime de menthe* słyszał czasem rozmowy na inny temat.

- Jak członek rodziny - mawiał pan Prothero. - Hatton to prawdziwa instytucja. Znakomity.

Hatton wcale nie był pewny, czy chce być „jak członek rodziny”, zawsze znał swoje miejsce, nawet gdy panienki były malutkie. Jednakże czuł się w tym domu jak instytucja i przywykł, by spoglądano na niego z podziwem, niczym na posąg dygnitarza ustawiony na wysokiej kolumnie na jakimś londyńskim skwerze.

Pamiętając o tym, udoskonalił idealnie niewzruszony wyraz twarzy, świadom, że to głównie dodaje mu majestatu pomnika, na co zawsze zwracano uwagę gości w tym domu. Znał na pamięć znaki, jakie panienki dawały swoim młodym przyjaciom, żeby zwrócić ich uwagę na jego zastygłą jak kamień twarz, przyjmował to jako swoisty komplement bez najmniejszego drgnienia, nawet w głębi serca. Gdy go pytano o rodzinę, której służył tak długo i z takim widocznym samozaparciem („Hatton jest nam oddany” - stwierdzała pani domu w jakiejś rzadkiej dla niej chwili pozytywnego stosunku do czegokolwiek), odpowiadał powściągliwie, że to „dobre miejsce”. Panienska Phyllis w dzieciństwie zadreślała go, żeby powiedział, że ją lubi, ponieważ jest brzydkim kaczątkiem, choć reszta rodziny też nie była łabędziami, na co Hatton niezmiennie mówił, że to dobre miejsce, panienko. To samo odpowiadał panu domu, będącemu na porządnym gazie, gdy Hatton prowadził go do łóżka. „Lubisz nas, eh, eh, Hatton? Po tylu latach, eh?” Forbes, twarda sztuka rodem z Glasgow, która była u Protherów, odkąd panienska Mary przysła na świat, mówiła czasem Hattonowi, że są lepsze miejsca, że wysokiej klasy kamerdyner nie powinien wykonywać obowiązków sekretarki i lokaja, działając też jako agent towarzystwa ubezpieczeniowego i instalacja przeciwpożarowa w ludzkiej postaci (określenie to było dowcipem Forbes). „Żebrak bierze - nie przebiera”, chłodno odpowiadał Hatton, który lubił przysłowia, lecz w tym wypadku miał na myśli coś wręcz przeciwnego, mianowicie, że kamerdyner z jego kwalifikacjami może sobie pozwolić na przyjęcie paru dodatkowych obowiązków bez ujmy dla swojej dobrej sławy. Zyskuje tylko na tym. Dzięki rozwiązywaniu krzyżówek Hatton poznał główne mity ludzkości i czasem przemyślał nad tym, jak to Apollo służył królowi Admetosowi, choć nie umieściłby swojego pana tak wysoko. Porównanie to przychodziło mu czasem do głowy w trakcie usługiwania przy kolacji, gdy rozsiewając wokół siebie szeroką aureolę czy też nimb, przechodził od krzesła do krzesła, pytając cicho: sherry, *madame*? - Lub: - szampana, panienko? - Wyczuwał, że panienska Mary jest świadoma tego nimbu, łapał bowiem na sobie jej zamyślane krótkowzroczne oczy, jak gdyby patrzyła na coś niezwykłego, wężąc przy tym nozdrzami, znak zaostrej uwagi, który prawdopodobnie przejęła od *madame*, gdyż biedaczka była całkowicie pozbawiona węchu. Panienska Mary

święcie wierzyła w telepatię, twierdziła, że ma szósty zmysł w nagrodę za brakujący jej zmysł węchu. Doszła do wniosku, że i Hatton ma szósty zmysł.

- Palą cię uszy, Hatton? - pytała często, gdy zjawiał się na dzwonek, a ona z przyjaciółkami stawiała sobie kabały w celu odgadywania swoich myśli, zabawa uprawiana w Vassar. Odpowiadał, że dobry służący powinien umieć czytać myśli swych państwa i zgadywać ich życzenia, dodawał przy tym z odcieniem wyrzutu, że dla niego to normalna praca, żadna zabawa czy kabała.

- Jak to się stało, że zostałeś kamerdynerem? - pytała go czasem, siadając na jego łóżku.

- Właśnie, jak to było? - dodawała panienka Phyllis, siadając na podnóżku.

- To sprawa osobista, panienko - odpowiadał wymijająco.

- A ja myślę - wtrącała panienka Mary - że postanowiłeś zostać kamerdynerem, bo masz szósty zmysł. Dobór naturalny. - To już było dla Hattona za trudne, nie dał jednak tego poznać po sobie. - To potwierdza mój pogląd - zwróciła się Mary do siostry. - Nie pojmujesz? Darwin. Utrzymanie się przy życiu jednostek najsilniejszych. - Jej donośny, apodyktyczny głos słychać było we wszystkich pomieszczeniach dla służby. - Gdyby Hatton nie miał szóstego zmysłu, byłby do niczego jako kamerdyner. *Ergo*, ma szósty zmysł. *Quod erat demonstrandum*. - Mary podrapała się w głowę i tryumfalnie się uśmiechnęła do Hattona. - Sprytne, co?

- Bardzo sprytne, panienko - zgodził się Hatton, zastanawiając się, czy to ten sam pan Darwin, który odkrył brakujące ogniwo.

- Panienki! - zawołała z dołu Forbes. - Schodźcie na dół, pora na kąpiel.

Hatton został kamerdynerem dlatego, że jego ojciec służył u ludzi. Jednakże sam też doszedł do wniosku, że za tym kryje się coś więcej: miał powołanie, jak to określiła panienka Mary, lub usłyszał głos z nieba nakazujący mu objąć to stanowisko. Powoli doszedł do tego przekonania w Ameryce, gdzie autentyczni angielscy kamerdynerzy nie rodzą się na kamieniu.

- Jesteś prawdziwym okazem - powiedział do Hattona pewnego dnia ze zdumioną miną dżentelmen bawiący w rezydencji Protherów na Long Island. Miał na myśli zapewne, że Hatton jest kamerdynerem, jakiego widuje się na scenie czy filmie. Sprawilo to Hattonowi przyjemność, jako że był wówczas trochę młodszy i niejako

sam w obcym kraju, więc starał się naśladować ideał angielskiego kamerdynera z filmów czy kryminałów i komiksów, które czytywała kucharka, bo mądry człowiek wie, jak obrócić najbłahszą okazję na swoją korzyść. Lecz teraz doszedł do wniosku, że nauka to jeszcze za mało. Gdy panienki mówiły, że jest geniuszem, sądził, że trafiają w sedno „ustami maluczkich...” Od dawna już pogodził się z faktem, że jest mózgiem rodziny i wynikającą z tego ciężką powinnością. Odwieczny wzór angielskiego kamerdynera, jaki stale miał przed oczami, wymagał, żeby był wszechwiedzący i wszechobecny, jak uczy katechizm. „Gdzie jest Bóg?” „Bóg jest wszędzie.” Jako dobry anglikanin, Hatton nie chciał bluźnić, nie mógł jednakże nie dostrzegać pewnych podobieństw, stwierdził, że tak jak w poprzedniej służbie też ma być niewidoczny.

Teraz złożył gazetę i westchnął. Jednym z obowiązków czy zalet klasycznego angielskiego kamerdynera, którego był idealnym wzorem, powinna być gruntowna znajomość spraw na pierwszy rzut oka nie mających związku z obecną służbą oraz zapamiętywanie nazwisk. Dlatego dla dobra swoich państwa czytał w tej chwili „Herald Tribune”, po uprzednim przejrzaniu brukowca kucharki z kroniką morderstw, i dlatego zaczął od wiadomości towarzyskich i sportowych, dopóki ma świeżą głowę. Nie był amatorem sportów, z wyjątkiem wyścigów konnych i krykietu, który lubił mieszkając w Anglii, obowiązek jednak nakazywał mu zaznajomić się z wymienionymi w gazecie imionami oraz genealogią psów, kotów, jachtów, koni, graczy w polo i golfa plus wszelkiego rodzaju cyframi i statystykami, bo właśnie tego rodzaju dane najbardziej interesowały rodzinę Protherów. Musiał też orientować się w wiadomościach towarzyskich ze względu na *madame* i dziewczęta. Gdy jakiś panicz się żenił, to Hatton skreślał jego nazwisko z listy panienki Mary, a gdy zaręczyła się jakaś panna, Hatton przypominał panience Phyllis, że należy kupić prezent ślubny, rzecz, którą panienka Mary często zaniedbywała lub kazała załatwić pokojówce Annette.

Hatton poszukał zielonego ołówka i podkreślił coś na stronie z wiadomościami towarzyskimi, oznaczało to: prezent - panienka Phyllis; podkreślenie czerwonym ołówkiem znaczyło: prezent - panienka Mary. Westchnąwszy ponownie, tym razem z zadowolenia, odwrócił stronę i zaczął czytać nekrologii, swój ulubiony dział. Lecz

nawet i tu odezwał się głos obowiązku, aczkolwiek, jak się od razu zorientował, nie na dziś wieczór, nie musi dziś uprzedzać Yvonne, osobistej pokojówki swej pani, żeby przejrzała czarną garderobę *madame*, ani przygotować pana do obowiązku niesienia trumny. Spokojnie przeczytał nekrologi. Następnie przeszedł do wiadomości giełdowych, które jego osobiście już niewiele interesowały, nie spekulował już na giełdzie od 1929 roku, ale znał na bieżąco kursy, by podczas kolacji wydawanej przez starszych państwa orientować się w rozmowie panów po wyjściu pań do salonu. Żywił ukrytą nadzieję, że dostanie cynk od któregoś ze starszych panów, ale nie odzyskał jeszcze odwagi, by polecić swemu maklerowi kupno akcji.

Ponownie zapalił fajkę i zagłębił się w wiadomościach teatralnych i filmowych, żeby sprawdzić, czy grają jeszcze film, który chciał obejrzeć, gdy będzie miał wychodne. Przeczytał recenzje Percy Hammonda ze sztuki, której premiera odbyła się poprzedniego dnia. Nigdy nie był w teatrze z prawdziwego zdarzenia, tylko w music-hallu, interesował się jednak teatrem po części dlatego, że słyszał, jakoby sztuki zawsze się rozpoczynały od sceny pomiędzy lokajem i pokojówką z miotełką z piór w rękę. Miał wielką ochotę zobaczyć coś takiego. Koleżanka panienki Mary, panna Katherine z Vassar, przyrzekła dać mu kiedyś bilet do teatru, gdy będzie miał wychodne, ale na obietnicę się skończyło. Wyszła za męża za aktora czy kogoś mającego do czynienia ze sceną, panienka Mary była na ślubie. Hatton nigdy specjalnie nie lubił panny Katherine, nie zgadzał się z Forbes, która nazywała ją „dziewuszką jak jabłuszko”. Forbes zaśpiewałaby inaczej, gdyby widziała to, co on widział, schodząc kiedyś w nocy na dół, pośpiesznie zawiązując pas od szlafroka i bez mostku w ustach, bo *madame* zawołała: „Słyszałam jakiś hałas, proszę cię, sprawdź, Hatton”. Choć raz *madame* miała rację: natknął się na tę parę na podeście frontowego hallu, gdzie „dziewuszka jak jabłuszko” i jej „narzeczony” robili to na całego. Narzeczony już przy kolacji nie podobał się Hattonowi. Nazywał się „Harald Petersen”, jak jakiś zakazany wiking, bo Hatton dokładnie sprawdził pisownię tego imienia i nazwiska, wypisując karteczki do stołu. Gdy panna Katherine wychodziła za męża, panienka Mary radziła się Hattona, czy można by urządzić jej wesele w miejskiej rezydencji, bo cała rodzina prócz pana domu już była na wsi. Zważywszy to, co Hatton widział („Całowali się tylko” - orzekła Forbes; ale czy ludzie całują się na podłodze z podniesioną kiecką i

narzeczonym leżącym na dziewczynie, żeby każdy mógł ich widzieć z ulicy?), nie mówiąc już o nie dostarczonych biletach do teatru, Hatton powiedział nie, meble będą w pokrowcach, a pan byłby niezadowolony, gdyby akurat przyjechał do miasta i zastał wieczorem obcych ludzi w domu.

- Jesteś skarbem - oświadczyła panienska Mary.

Hatton wcale się nie zdziwił, przeczytawszy latem w gazecie, że sztuka, przy której pracował pan Petersen, zeszła z afisza, choć panna Katherine twierdziła, że będzie szła latami; od tamtego czasu nie natknął się na nazwisko Petersen w wiadomościach teatralnych, aczkolwiek przeczytał we wzmiankach dotyczących nieruchomości, że niejacy państwo Petersen (sic!) wynajęli mieszkanie w okolicy Wschodnich Pięćdziesiątych ulic, w sąsiedztwie szykownej Sutton Place. Panienska Mary poinformowała go, że to oni, była u nich niedawno. Odkąd studiowała w tym rolniczym college'u, nie zaprosiła tej pary do domu, zapraszała teraz raczej ludzi ze swej sfery, telefonowała po prostu do Hattona, aby nakrył dla dwunastu osób, sam ułożył listę i koniecznie wyprawił gdzieś Phyllis. Gdyby jednak doszło kiedy do zaproszenia panny Katherine i pana Petersona, Hatton zakonotował sobie, że ma się do niej zwrócić per *madame*, otwierając jej drzwi. „Dobry wieczór, *madame*” (nie panienko) z leciutkim, dyskretnym uśmieszkiem, bo właśnie takie drobiazgi są ważne. „Powiedział do mnie *madame*, czy to nie wspaniałe? - powie panna Katherine do męża. - Powiedział do mnie *madame*, Pokey, co ty na to?”

Hatton zabrał się do czytania pierwszej strony, którą odłożył na koniec, lubił czuć, że rozwija swój umysł, czytając wiadomości ze świata i kraju. Jakaś kontrowersja w sprawach robotniczych od przeszło tygodnia nie schodziła z łamów prasy, strajkowali kelnerzy wielkich hoteli. Hatton strzegł się, by nie stawać po niczyjej stronie w polityce amerykańskiej, uważał, że to wbrew prawu mieszać się w wewnętrzne sprawy jakiegoś państwa, i wobec tego starał się nie mieć żadnego zdania na ten temat.

- Na kogo ty byś głosował, Hatton? - spytała go panna Katherine, która gościła u Protherów podczas ostatnich wyborów prezydenckich.

- Nie jestem obywatelem amerykańskim, panienko - powiedział. Mimo to strajk kelnerów spotkał się z pewną aprobatą z jego strony, uważał bowiem kelnerów

za swoich pobratymców, mimo że istniała przepaść, i to bardzo szeroka, pomiędzy służbą prywatną a tym, co można by nazwać służbą pospolitą. Przez krótki czas, gdy uczył się fachu, pracował w jednym z londyńskich hoteli. W związku z tym śledził wiadomości o strajku, a „Daily Mirror”, gazeta kucharki, donosił, że coś się działo wczoraj wieczór w hotelu „Cavendish”, jeszcze jedna demonstracja.

Teraz szare oczy Hattona rozszerzyły się z niewzruszonym spokojem; odwrócił stronę na kolanach. Gdy skończył czytać na stronie piątej, znów powrócił do strony pierwszej, wyszukał niebieski ołówek w kolekcji ołówków stojących na stole i powoli obrysował nim ten reportaż. Ręce drżały mu z lekko tłumionego podniecenia. Potem złożył gazetę, żeby się zmieściła na tacy, na której poda ją swej pani przy śniadaniu. „Przepraszam, *madame*, ale sądzę, że to zainteresuje panienkę Mary.” Wycofał się w wyobraźni pod kredens, a jeszcze lepiej do pokoju kredensowego przy jadalni.

Hatton! - usłyszał zdenerwowany głos pani domu następnego rana; powoli wszedł do jadalni. - Co to jest? Dlaczego mi to przyniosłeś? - Pani trzęsa się na całym bezkształtnym poduszkowatym ciele.

- Proszę wybaczyć śmiałość, *madame*, ale pozwoliłem sobie pomyśleć, że jeden z wymienionych panów jest mężem panny Katherine. - Pochylił się i wymanicurowanym różowym palcem pokazał swojej pani nazwisko i imię Haralda Petersena (pisownia imienia: Harold).

- Panna Katherine? A któż to taki? Skąd my ją znamy? - Pani Prothero spojrzała na fotografię na stronie piątej, którą wskazywał jej kamerdyner.

- To młoda dama, która gościła u nas na Boże Narodzenie i kilka razy jeszcze, gdy panienka Mary kształciła się w Vassar. - Przerwał, czekając, żeby leniwa pamięć jego pani zaczęła działać.

Dama jednak pokręciła głową z masą jasnobrązowych drzących loczków bez połysku, które pomimo wysiłków pokojowej Yvonne i fryzjera przypominały perukę.

- Kim byli jej rodzice?

- Nigdy się tego nie dowiedziałem, *madame* - odparł z namaszczeniem Hatton.

- Nazywała się Strong z domu. Pochodziła z jakiegoś zachodniego stanu.

- Czy nie panna Eastlake? - spytała pani domu, której na moment niepewnie rozjaśniła się twarz.

- Och, nie, *madame*. Pannę Elinor to my znamy. Ale ta druga panna też była brunetką, ładną w sposób naturalny. Jeśli *madame* pamięta, Forbes ją bardzo polubiła. Nazywała ją „górską różą”. - Hatton naśladował szkocką wymowę Forbes, z gardłowym „r”.

- O Boże, tak! - słabo wykrzyknęła pani domu. - Pamiętam. Bardzo ładna. Ale raczej nieokrzęsana. A może ten osobnik, za którego wyszła, był nieokrzęsany? Jak ona go nazywała?

- „Mój narzeczony” - odpowiedział Hatton z wyczekującym uśmiechem.

- Właśnie! - wykrzyknęła pani domu. - Ale nie powinniśmy się z niej wyśmiewać. Nasz pan zawsze recytował wierszyk, gdy do nas przyjeżdżała: „Maud Muller w letnie rano...” Potem było coś o sianie. O Boże, jak to było dalej? Pomóż mi, Hatton. - Raz przynajmniej Hatton zapomniał języka w gębie. - Mam! - krzyknęła pani. - „Stała, słuchając z miłym zdziwieniem lśniącym w jej długorzęsim spojrzeniu.” Chyba Tennyson.

- Zapewne, *madame* - ostrożnie rzekł Hatton.

- Ale myśmy nigdy nie wiedzieli, kim ona jest - powiedziała pani Prothero, wzdychając. - Nasz pan często mnie pytał, kto jest ta dziewczyna, która ciągle do nas przyjeżdża. Ta podobna do Maud Muller. Nigdy nie umiałam mu powiedzieć. Mówiła, zdaje się, że jej rodzina pochodzi od wczesnych osadników na Zachodzie. - Pani włożyła okulary i znów spojrzała na złożoną w prostokąt gazetę. - A teraz powiadasz, że ona jest w więzieniu? Co zrobiła? Kradła pewnie w sklepach.

- Sądzę - odparł Hatton - że to jej małżonek został zatrzymany. W związku z jakąś dysputą pracowniczą.

- Nie chcę słyszeć nic więcej! - Pani pomachała bladą pulchną dłonią. - I proszę cię, nie pokazuj tego naszemu panu. Mieliśmy tego człowieka na kolacji. Pamiętam doskonale. - Zamyśliła się, jej wyblakłe krótkowzroczne oczy obracały się niespokojnie za okularami w złotej oprawce. - Najlepiej zabierz ten artykuł do kuchni i wrzuć go do pieca. I ani słowa kucharce, bardzo proszę! Ludzie mający taką pozycję jak my nie mogą sobie pozwolić... - spojrzała wyczekująco na kamerdynera, żeby dokończył jej myśl.

- Tak jest, *madame*. - Hatton wziął złożoną gazetę i położył ją z powrotem na tace.

- Ludzie mieszkający w szklanych domach... Jak to idzie dalej? O Boże, co innego chciałam powiedzieć. „Musi być poza podejrzeniem.” Szekspir, prawda? *Juliusz Cezar*. - Uśmiechnęła się. - Dziś rano jesteśmy bardzo uczeni. Prawdziwi intelektualiści. To wina Vassar, nie uważasz? Chociaż ty zawsze byłeś nie lada myślicielem. - Hatton skłonił się z wdzięcznością i cofnął parę kroków. - Pamiętaj, spal to. Własnymi rękami - upomniała go pani domu.

Po wyjściu kamerdynera pani Prothero przestała panować nad sobą, wsparła się na tłustym mlecznobiałym łokciu i pozwoliła łzom napłynąć do swych oczu. Hatton obserwował ją przez szparę w drzwiach pokoju kredensowego. Wiedział, o czym myśli *madame*. Że zachowała się bardzo dzielnie w obecności sługi, nie pokazując po sobie, jak głęboko jest wstrząśnięta tą paskudną historią w gazecie. Oburzające! I o tym, że wszyscy są winni, poczynając od szkoły Chapin, że zmówili się, by posłać Mary do college'u, o którym stale coś piszą w gazetach, a inne college'e też niewiele lepsze, ale mniej się o nich słyszy. Wszyscy którym ufała, poczynając od profesorów w Chapin, byli przeciwko niej: nauczycielka, jak jej tam było, która pomogła Mary wypełnić formularz o przyjęcie; Forbes, która z własnych oszczędności pożyczyła panience na wpisowe; ta panna Hartshorn, która przez trzy dni z rzędu pomagała podobno Mary wymknąć się z domu na egzaminy wstępne; i Hatton, sam Hatton, który udobruchał ją i jej męża, gdy panienka została przyjęta, mówiąc, że nie przypuszcza, by rok czy dwa w college'u mogły zaszkodzić dziewczynie.

Przypomniało jej to sprawę z Bar Harbour, którą słyszała w klubie Colony dopiero przed paru dniami. Opowiedziała tę historię Hattonowi, aby mu pokazać, że nie zapomniła o tamtym. Ucieczka z mężczyzną, taka to była sprawa, przez oszklone drzwi w jednym z wielkich domów, a potem przez szparę w żywopłocie. Służba, jak zwykle, tam też (powiedziała „jak zwykle” prosto w oczy Hattonowi) postąpiła wbrew życzeniu rodziny, a kamerdyner wyszedł nawet cichaczem w nocy z domu z sekatorem i wyciął tę dziurę w żywopłocie. I co z tego, że ta para natychmiast wzięła ślub, bo pastor czekał, jak mówiono, na plebanii? Był tylko jeszcze jednym współwinowajcą. A co się tyczy jej własnej służby, to zawsze podejrzewała, że ktoś -

może Forbes, a najpewniej Hatton - podrobił jej podpis na formularzu o przyjęcie; panienska Mary twierdziła, że sama to zrobiła, wcale nie owijała tego w bawełnę, ale pani Prothero sądziła mimo to, że ręką jej córki kierował Hatton.

Kamerdyner cofnął się od szpary w drzwiach, szlochy *madame* stawały się głośnie, więc poszedł zadzwonić na Yvonne. Gdy *madame* wpadła w podobny stan, traciła rozsądek. Myliła się grubo, myśląc, a ciągle tak myślała, że to on sfalszował jej podpis. Przed nim też zatajono tę sprawę, do samego końca nic o tej aferze nie wiedział, dowiedział się, dopiero gdy panienska została przyjęta. Teraz podzielał poglądy swej pani na wyższe wykształcenie, aczkolwiek *madame* nie była konsekwentna: po co darowała paniencie Mary samolot, jeśli nie chce, aby co tydzień latała kształcić się na końskiego doktora? Ale panienska Mary zawsze stawiała na swoim, tylko nie z nim.

Zacisnął usta i podszedł do drzwi, by jeszcze raz spojrzeć na panią Prothero. Żałował teraz, że pokazał jej artykuł, bo jak biedna pani by nie wiedziała, toby ją serce nie bolało. Powodowała nim nadmierna gorliwość - jakaś naddoskonałość, jeśli tak to się nazywa, w wykonywaniu swych obowiązków. „Hatton, powiedział do siebie, przed zginieniem uprzedza pycha, a przed upadkiem duch się wynosi”.* W jadalni jego pani myśli zapewne, że dzięki wyższemu wykształceniu miała w swym domu ptaszka więziennego.

* Stary Testament, Przysłowia, 16, 18.

- Ptaszek więzienny! - powtórzyła oburzona dama z trzęsącym się cofniętym podbródkiem tak głośno, że schodząca na dół Yvonne ją dosłyszała. Owinęła się ciaśniej szlafrokiem, wsparła na ramieniu pokojówki i udała się do swego pokoju, kazała przy tym odwołać samochód, który miał ją zawieźć do fryzjera. Natomiast Hatton, który już przedtem uprzedził szofera, że nie będzie potrzebny, wyciął artykuł, żeby go wlepić do albumu z wycinkami prasowymi.

Następnego dnia w Bostonie pani Renfrew spotkała się z Dottie na lunchu u Ritza. Jadły wcześniej, gdyż po lunchu miały iść do Birda zamówić zaproszenia oraz zawiadomienia o ślubie, po południu zaś były umówione do miary w salonie Crawford

Hollidge. Suknię ślubną i kostium podróżny szyto dla Dottie w Nowym Jorku, lecz większość jej garderoby - kostiumy na wieś, zwłaszcza proste rzeczy sportowe - można było równie dobrze uszyć w Bostonie, i to za pół ceny. Po salonie, jeśli starczyłoby czasu, panie miały zajrzeć do Stearnsa, do działu bielizny pościelowej i stołowej, żeby porównać ceny z cenami Filensa. Państwo Renfrew nie byli bogaci, zaliczali się do ludzi zamożnych tylko, i pani Renfrew oszczędzała gdzie mogła, uważając, że to w złym guście szastać pieniędzmi w tych ciężkich czasach, gdy ludzie muszą sobie odmawiać tylu rzeczy. Poprosiły krawcową, żeby obejrzała suknię ślubną pani Renfrew, którą dostała od swojej mamy i którą Dottie okropnie chciała włożyć, okazało się jednak, że w szwach jest za mało zapasu; panie przekonały się, że Dottie (oto prawdziwy postęp) jest niemal o cztery cale grubsza w pasie, biuście i biodrach, choć wcale nie jest „biodrzasta” czy „piersiasta”, ma tylko grubsze kości. Tego dnia głowa pani Renfrew pełna była wymiarów: prześcieradeł, sukien, rękawiczek, poza tym myślała o prezentach dla druchen. Srebrne puderniczki od Shreve'a Crumpa? Malutkie srebrne zapalniczki? Będą tylko trzy: Polly Andrews naturalnie, Helena Davison i kuzynka Dottie z Dedham, absolwentka Vassar z 1931 roku, która jako mężatka będzie szła tuż za panną młodą. Ponieważ pan młody był wdowcem, Dottie z matką uważały, że ślub powinien być cichy, tylko starsza druhna i dwie pozostałe idące za nią. Dottie okropnie chciała, żeby jedną z druchen była Lakey, ale Lakey napisała z cudownej Avili, że nie może przyjechać w tym roku. Zawiadamiała też, że posyła małą hiszpańską prymitywną madonnę (idealną dla Południowego Zachodu) i że Dottie nie powinna mieć kłopotów z celnikami, gdy będzie odbierała ten antyk. Pani Renfrew żywiła nadzieję, że Sam, ojciec Dottie, którego firma miała do czynienia z Urzędem Celnym od czasów żaglowców, załatwi tę sprawę, bo panie były tak bardzo zajęte. Idąc na spotkanie z córką, która poszła na badanie do doktora Perry, pani Renfrew wstąpiła do klubu Chilton, żeby zrobić sobie manicure i przy okazji obejrzeć w czytelniku nowojorskie pismo, na wypadek gdyby zobaczyła w reklamach coś przydatnego dla Dottie, co można by zamówić pocztą. Uwagę jej przyciągnęła fotografia jakichś młodych ludzi w strojach wieczorowych na jednej z wewnętrznych stron pisma, tuż obok reklamy firmy Peck i Peck. Odwróciła stronę, aby przeczytać artykuł od początku, został przedrukowany z wczorajszego wieczornego wydania.

Widząc nazwisko Haralda, postanowiła koniecznie powiedzieć o tym Dottie przy lunchu, bo może będzie chciała zatelefonować do Kay i dowiedzieć się wszystkich krwawych szczegółów. Pani Renfrew była pogodną, żywą osobką, zawsze widzącą wesołą stronę wszystkiego, pomyślała, że to musiała być nie lada przygoda dla tych młodych radykałów wystroić się na wieczorowo do bójki z personelem hotelu, całkiem w stylu dowcipu z „Lampoon”; była pewna, że gdy mąż Kay stanie przed sędzią, ten wygłosi mu kazanie i zwolni, jak to zwykle bywało z chłopcami z Harvardu, kiedy zadzierali z policją Cambridge. Przypomniała sobie przy okazji, że musi poprosić męża o zapłacenie mandatu, który dostała za parkowanie w miejscu niedozwolonym.

Mając tyle innych spraw na głowie: wybór czcionek do zaproszeń, wymiary prześcieradeł (czy Brook i Dottie będą sypiali razem, trudno powiedzieć, gdy ma się do czynienia z wdowcem), suknie druhen (prawdziwy kłopot, chyba że Helena mogłaby przyjechać z Cleveland do miary), pani Renfrew zupełnie zapomniała wspomnieć o awanturze Haralda i przypomniała sobie o tym dopiero po lunchu, gdy panie szły ulicą Newbury, wyglądając jak dwie siostry - matka w futrze bobrowym, córka w norkach.

- Dottie! - wykrzyknęła pani Renfrew - omal nie zapomniałam! Nie zgadniesz, co ja dziś przeczytałam w klubie. Ktoś z twoich przyjaciół popełnił przestępstwo. - Z iskierkami w błękitnych oczach pytająco spojrzała na córkę. - Zgadnij, kto.

- Pokey - powiedziała Dottie. Pani Renfrew pokręciła głową.

- Zimno, zimno...

- Harald Petersen - powtórzyła Dottie, gdy matka jej powiedziała. - To nie było uczciwe, mamó. Nie można go zaliczyć do moich przyjaciół. Co on zrobił?

Pani Renfrew opowiedziała przeczytaną w gazecie historię. W trakcie opowiadania matki Dottie stanęła jak wryta między ulicami Arlington i Berkeley.

- Kto był ten drugi? - spytała. - Ciekawe, kto to mógł być.

- Nie wiem, ale w gazecie była jego fotografia. Miał śliczny „siniec”.

- Nie pamiętasz nazwiska?

- Dlaczego cię to interesuje? - Pani Renfrew smętnie pokręciła głową. -

Myślisz, że to jakiś twój znajomy? - Dottie skinęła. - Nazwisko dość pospolite. - Pani Renfrew zamyśliła się. - Chyba zaczynało się na B.

- Brown? - wykrzyknęła Dottie.
- Możliwe. Brown, Brown. Zastanawiam się, czy to było Brown.
- Och, mamo, dlaczego tego nie wycięłaś?
- Kochanie, nie można wycinać niczego z klubowych gazet. Wbrew przepisom.

A jednak tylu członków klubu to robi. Z ilustrowanych pism również.

- Jak on wyglądał?

- Powiedziałabym, że artystycznie. Wyglądał na człowieka rozwiązłego. Ale to może z powodu sińca pod okiem. Dżentelmen, moim zdaniem. Ale co tam było napisane o jego zawodzie? To smutne, córeczko, ale tracę pamięć. Harald Petersen, dramaturg. A ten drugi był czymś takim... W każdym razie nie „kopacz rowów” - dodała wesoło.

- Malarz? - powiedziała Dottie.

- Nie sędzę.

Przez cały czas stały na środku chodnika, a przechodnie ocierali się o nie. Było zimno, pani Renfrew odsunęła rękaw futra i spojrzała na zegarek.

- Idź sama - nagle odezwała się Dottie. - Spotkamy się później, wracam do Ritza po gazetę.

Pani Renfrew poważnie spojrzała na córkę, nie zaniepokoiła się, od dawna już zgadła, że Dottie przeżyła na początku lata w Nowym Jorku jakieś małe miłosne rozczarowanie. Dlatego przecież wysłała ją na Zachód, żeby zapomniała.

- Mam pójść z tobą? - spytała. Dottie wahała się. Matka ujęła jej ramię. - Chodź, kochanie. Poczekam w saloniku dla pań, gdy będziesz kupowała gazetę u portiera.

Po kilku minutach Dottie przyniosła „Herald Tribune”, „Timesa” już nie dostała.

- Putnam Blake - powiedziała. - Miałaś rację, że nazwisko zaczyna się na B. Poznałam go na przyjęciu u Kay. Zbiera fundusze na ruch robotniczy. Niedawno dostaliśmy od niego pismo z apelem na jakiś cel. Ożenił się z Norine Schmittlapp, która studiowała razem ze mną. Ona jest na dużym zdjęciu. Cała ta czwórka bardzo się zaprzyjaźniła tej zimy.

Z obojętnego tonu córki pani Renfrew wywnioskowała, że to nie „ten”. Biedna dziewczyna spokojnie odłożyła gazetę, potem wsparła brodę na dłoni i zamyśliła się. Pani Renfrew wyciągnęła puderniczkę, żeby nie wyglądało na to, że obserwuje córkę. Pudrując ładną, wesołą twarz, zastanawiała się, co robić. Nie ulegało wątpliwości, że to jeszcze w niej „siedzi”, jak mawiają obecnie dziewczęta. Współczucie matki objęło córkę delikatnymi czułkami, wiedziała, co to znaczy tęsknić do widoku czyjegoś nazwiska, gdy mężczyzna noszący to nazwisko od dawna już znikł na zawsze z naszego życia. Już sama możliwość zobaczenia jego nazwiska i zdjęcia sprawiły, że Dottie „płonie i szarpie się”. Pani Renfrew nie wiedziała, czy mądrzej będzie pozwolić przeżyć rozczarowanie w milczeniu, czy też pomóc jej się wygadać. Istnieje niebezpieczeństwo, że rozmowa rozdmucha pożerający ją płomień, natomiast jeśli będzie miała siłę sama go ugasić, wyjdzie z tego jako lepszy człowiek. Lecz malutka pani Renfrew nie potrafiła spokojnie udawać, że poprawia fryzurę, przez jej twarz przebiegł skurcz, przygryzła wargę na myśl, że kilka słów z tej strony mogłoby okazać się balsamem dla duszy córki.

Miała absolutne zaufanie do sądu Dottie: jeśli uznała, że ten mężczyzna w Nowym Jorku, kimkolwiek jest, nie nadaje się dla niej, na pewno ma rację. Niektóre dziewczęta, będąc w sytuacji Dottie, potrafiłyby się wyrzec przyzwoitego młodzieńca tylko dlatego, że miałyby na utrzymaniu matkę lub siostry (pani Renfrew znała takie wypadki), lecz Dottie nie zrobiłaby czegoś takiego, wiara w Boga pomagałaby jej cierpliwie czekać. Jakikolwiek by był powód, serce Dottie powzięło decyzję i wspaniale przy tej decyzji wytrzymało - pani Renfrew przypuszczała, że ten mężczyzna jest żonaty. W pewnych przypadkach (żona beznadziejnie chora umyślowo w szpitalu i nie ma żadnej nadziei na jej śmierć) pani Renfrew byłaby skłonna poradzić córce nieślubny związek, choćby mąż uciekł się do grózb, ale gdyby to była taka sprawa, Dottie na pewno powiedziałaby o tym matce. Nie, pani Renfrew nie wątpiła, że Dottie postąpiła mądrze i dzielnie, wykreślając tego mężczyznę ze swego życia, martwiło ją tylko, że może zbyt pośpiesznie wychodzi za mąż, „na złość”, zanim tamto uczucie mogło umrzeć śmiercią naturalną. Wróciła z Arizony spokojna i radosna, wyglądała kwitnąco, jak róża, ale Brook ciągle siedzi na Zachodzie, a przygotowania do ślubu są bardzo wyczerpujące, więc ostatnio robi wrażenie trochę przemęczonej i nerwowej.

Teraz pani Renfrew myślała z niepokojem, że Dottie musi jeszcze dwa razy pojechać do Nowego Jorku w związku z miarą sukni ślubnej i będzie narażona tam na każdym kroku na wspomnienia o tym mężczyźnie.

Myśli te, niechybne jak ptasie szlaki, przebiegały przez śliczną, okrytą kapeluszem głowę pani Renfrew, gdy pełna współczucia dla córki siedziała z napiętymi nerwami w saloniku dla pań u Ritza. Zastanawiała się, co by poradził doktor Perry lub kochany stary pastor Leverette, gdyby Dottie zdobyła się na rozmowę z którymś z nich, jeśli naprawdę jest niepewna swych uczuć. Pani Renfrew zdecydowanym ruchem zamknęła torebkę.

- Jak tam dziś było u doktora Perry? - spytała z uśmiechem. - Wystawił ci świadectwo zdrowia?

- Chce spróbować diatermii na mój ischias - powiedziała Dottie, podnosząc głowę. - Ale twierdzi, że poczuję się lepiej w ciepłym klimacie na wielkich otwartych przestrzeniach - zakończyła, zmuszając się do figlarnego spojrzenia.

Pani Renfrew wahała się, ani czas, ani miejsce nie były odpowiednie, ale wierzyła w nagłe odruchy. Rozejrzała się, były same.

- Dottie - zaczęła - czy doktor Perry mówił z tobą o świadomym macierzyństwie?

- Powiedział, że prosiłaś go o to, mamó. - Rumieniec oblał twarz i szyję Dottie, nadając jej szorstki, bolesny wyraz, jak u cierpiącej starej panny. - Nie powinnaś była.

Pani Renfrew domyśliła się, że doktor miał jeden ze swoich obcesowych dni i uraził dziewczęce poczucie skromności Dottie; zaręczone dziewczęta często przedziwnie reagują na wzmiankę o nocy poślubnej. Przysunęła się z krzesłem trochę bliżej córki.

- Dottie - zaczęła - jeśli ty i Brook zamierzacie mieć dzieci, może będziecie chcieli trochę z tym poczekać. Jest podobno nowy środek, w dziewięćdziesięciu procentach skuteczny. Coś w rodzaju gumowej czapeczki zamykającej macicę. Doktor mówił ci o tym?

- Nie pozwoliłam mu.

Pani Renfrew przygryzła wargę.

- Kochanie - powiedziała z naciskiem - nie powinnaś się bać. Wiesz przecież, że doktor Perry nie jest ginekologiem, może być trochę niedelikatny. On ci załatwi wizytę u specjalisty, z którym pójdzie ci znacznie łatwiej. I który odpowie ci na pytania, jakie zechcesz mu zadać, rozumiesz, w związku z fizyczną stroną miłości. Może wolisz pójść do kobiety ginekologa? Ten nowy środek nie jest jeszcze chyba legalny w Massachusetts. Ale doktor Perry mógłby ci zamówić wizytę u lekarza w Nowym Jorku, kiedy tam będziesz do następnej miary sukni. - Pani Renfrew miała wrażenie, że Dottie zdrząła. - Pojadę z tobą, kochanie - powiedziała wesoło - jeśli potrzebujesz moralnego wsparcia... Albo mogłabyś poprosić którąś ze swoich zamężnych przyjaciółek, Kay czy Priss. - Pani Renfrew nie rozumiała, co wywołało łzy córki, może wzmianka o Nowym Jorku.

- Kocham go - wyznała ze ściśniętym gardłem Dottie, podczas gdy łzy spływały jej po obu stronach długiego rasowego nosa. - Kocham go, mamó.

Nareszcie zdobyła się na to wyznanie.

- Wiem, kochanie. - Pani Renfrew poszukała w torebce córki czystej chusteczki do nosa i delikatnie wytarła jej twarz.

- Nie mówię o Brooku.

- Wiem - rzekła matka.

- Co ja zrobię? Co ja teraz zrobię? - powtarzała Dottie.

- Zobaczymy - uspokajała ją matka. W tej chwili zależało jej tylko na tym, aby zetrzeć łzy z twarzy córki, upudrować ją i zabrać do domu, zanim zobaczy je tu ktoś ze znajomych. - Damy sobie spokój z miarą - powiedziała.

Portier podstawił samochód (on i pani Renfrew byli starymi przyjaciółmi), pani Renfrew nacisnęła gaz małą stopą i po kilku minutach były już w domu, w pokoju Dottie za zamkniętymi drzwiami; weszły tak cichutko, że stara pokojówka Margaret ich nie słyszała. Usiadły na kanapce przytulone do siebie.

- Myślałam, że mi to przeszło. Myślałam, że Kocham Brooka - mówiła Dottie.

Pani Renfrew skinęła głową, choć nie dowiedziała się jeszcze o okolicznościach tej miłości ani nie знаła imienia młodego człowieka.

- Chciałabyś wyjść za niego? - spytała, przechodząc od razu do rzeczy.

- O tym nie ma mowy, mamó - powiedziała Dottie zimno, niemal jakby chciała dać matce nauczkę.

Pani Renfrew odetchnęła głęboko.

- Chcesz z nim „żyć?” - zapytała śmiało.

Dottie przywarła głową do mocnego, niedużego ramienia matki.

- Nie, chyba nie - przyznała.

- To czego chcesz, kochanie? - Pani Renfrew głaskała czoło Dottie.

- Chciałabym go jeszcze raz zobaczyć - powiedziała Dottie po namyśle. - To wszystko. Chcę go tylko jeszcze raz zobaczyć. - Pani Renfrew mocniej objęła córkę. - Myślałam, że będzie na przyjęciu u Kay. Byłam pewna, że tam będzie. I wiesz, z początku chciałam tylko, żeby dowiedział się o moich zaręczynach, zobaczył mój pierścionek i jaka jestem szczęśliwa. Bardzo dobrze tego dnia wyglądałam. Ale gdy nie przychodził, chciałam już tylko go zobaczyć, tylko zobaczyć, a nie pokazać mu, że nic już dla mnie nie znaczy. Myślisz, że to pierwsze uczucie było tylko czymś w rodzaju pancerza?

- Tak sądzę.

- Och, to było straszne. Za każdym razem, gdy ktoś dzwonił do drzwi, byłam pewna, że to Dick - wymówiła to imię nieśmiało, zerkając z ukosa na matkę - a potem, gdy to nie był on, omal nie mdlałam, tak mnie bolało serce. Wszyscy nowi przyjaciele Kay byli bardzo mili, ale nienawidziłam ich prawie za to, że nie są nim. Jak myślisz, dlaczego nie przyszedł?

- Czy był zaproszony? - praktycznie spytała pani Renfrew.

- Nie wiem i nie mogłam spytać. To było takie dziwne, że nikt o nim nie wspominał. Ani jednym słowem. I przez cały czas wisiał tam na ścianie jego rysunkowy portret Haralda. Jak duch Banka lub coś takiego. Byłam pewna, że został zaproszony i nie przyszedł specjalnie, że wszyscy wiedzą o tym i obserwują mnie kątem oczu.

- Mów gramatycznie - odezwała się matka, myśląc o czym innym, jej niebieskie oczy pociemniały. - Czy Kay wie o tym? - Starła się, by pytania jej brzmiały obojętnie, nie jak wyrzut. Dottie, nie patrząc na matkę, bez słowa przytaknęła. Pani Renfrew skrzywiła się lekko, ale natychmiast się opanowała. - Jeśli

wiedziała i wiedziała też, że jesteś zaręczona, to oczywiście nie zaprosiła go. Dla twego dobra. - Pani Renfrew zarzuciła wędkę, ale Dottie nie brała.

- To okrutne - rzekła, co niczego jej matce nie wyjaśniało.

- Nie bądź niesprawiedliwa - powiedziała pani Renfrew odruchowo - dlatego, że cierpisz. Twój ojciec orzekłby - dodała z uśmiechem - że Kay wykazała rozsądek. - Pytając zadrzała córce w oczy. Jak daleko zaszła ta sprawa? Matka musiała to wiedzieć, ale córka nie zdawała sobie jakby sprawy, że zostawiła rodzicielkę w ciemnościach.

- Więc myślisz, że nie powinnam się z nim zobaczyć? - szybko rzuciła Dottie.

- Skąd mam wiedzieć - broniła się pani Renfrew. - Nic mi o nim nie powiedziałaś. Wydaje mi się jednak, że to ty myślisz, że nie powinnaś się z nim zobaczyć. Nie jest tak?

- Myślę, że muszę się z nim zobaczyć - odezwała się Dottie, patrząc na pierścionek zaręczynowy. - To znaczy, że los tak chce. Zobaczę go, nawet jeśli nic sama w tej sprawie nie zrobię. Że to się jakoś stanie, zanim wyjdę za mąż, że go choć raz jeszcze zobaczę. Ale myślę, że nie powinnam starać się go zobaczyć. Rozumiesz?

- Rozumiem, że chcesz, aby wilk był syty i owca cała. Chcesz, żeby Bóg sprawił, abyś dostała coś, co byłoby dla ciebie niedobre, gdybyś to wybrała z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Masz rację! - krzyknęła Dottie z wyrazem ulgi i podziwu na twarzy. - Jesteś wspaniała! Przejrzałaś mnie na wylot.

- Jesteśmy wszystkie dość podobne do siebie - pocieszyła córkę pani Renfrew. - Pamiętasz Kiplinga: „Prosta dziewczyna i pani hrabina to siostry pod skórą”? - Ścisnęła rękę Dottie.

- Ale nawet jeśli to niedobre dla mnie - ciągnęła dalej Dottie - nie mogę przestać mieć nadzieję. Nawet nie nadzieję. Spodziewać się. Że jakoś, jakoś go jednak zobaczę. Na ulicy. W autobusie czy pociągu. Na drugi dzień po przyjęciu u Kay poszłam do muzeum sztuki nowoczesnej, udawałam przed sobą, że idę na wystawę. Ale nie było go tam. A zostało już tak mało czasu. Tylko miesiąc. Mniej. Wiesz, kiedy byłam w Arizonie, prawie wcale o nim nie myślałam, prawie zapomniałam o nim. Wszystko odżyło na przyjęciu u Kay. I od tego czasu mam przedziwne uczucie. Że on

też myśli o mnie. Nie tylko to. Że obserwuje mnie sceptycznie, gdziekolwiek pójde, jak dziś do doktora Perry lub do miary, on ma najbardziej niezwykle szare oczy, które mruży... - Zawahała się i umilkła. - Wierzysz w przekazywanie myśli, mamó? Pamiętasz powieść du Mauriera *Peter Ibbetson*? Bo ja czuję, że Dick słucha moich myśli. I czeka.

- Masz zbyt bujną wyobraźnię, kochanie. - Pani Renfrew westchnęła. - Stajesz się igraszką wyobraźni.

- Och, mamó! Gdybyś go mogła zobaczyć! Też byś go polubiła. Jest strasznie przystojny i tyle się nacierpiał. - Uśmiechnęła się nagle, w jej policzkach ukazały się dołeczki. - Jak mogłaś nawet pomyśleć, że zakochałabym się w kimś, kto wygląda jak ten Putnam Blake? Przecież jest biały jak trędowaty i ma brudne włosy! Dick nie jest brudasem, pochodzi z bardzo dobrej rodziny, ich przodkiem był Hawthorne. Brown to bardzo dobre nazwisko.

Pani Renfrew łagodnie położyła dłonie na ramionach córki i lekko nią potrząsnęła.

- Połóż się teraz. Przyniosę ci zimny kompres na oczy. Odpocznij do kolacji. Albo do powrotu tatusia.

Sprawdziły się obawy pani Renfrew: mówienie o tym mężczyźnie wskrzesiło całą miłość Dottie do niego, zaczęła od płaczu, a skończyła na uśmiechach i dołeczkach na twarzy. Wyżymając w łazience dwa ręczniki zmoczone w zimnej wodzie, pani Renfrew zastanawiała się, czy Dottie jednak nie powinna się z nim zobaczyć. Na własnym gruncie, wśród przyjaciół... Niezależnie od tego, co Dottie o nim mówi, najwyraźniej jest nieoszlifowanym diamentem. Gdyby Dottie nie była zaręczona, mogłaby go zaprosić na małe przyjęcie w Nowym Jorku, może w mieszkaniu Polly. Albo na kolację tylko z matką, potem mogliby pójść do teatru czy na koncert w towarzystwie jeszcze jakiegoś starszego pana, żeby były dwie pary. Może sześć osób byłoby jeszcze lepiej - sprawa nie byłaby taka oczywista. Dottie mogłaby po prostu do niego zadzwonić, powiedzieć, że matka ma dodatkowy bilet i czy zjadłby z nimi przed teatrem kolację. Lecz zaręczona dziewczyna nie może zapraszać kogo zechce, choćby nawet miała najpewniejsze przyzwolitki na świecie. I co by Brook powiedział matce Dottie, gdyby potem coś się stało?

Pani Renfrew mocno wyżeła kompres, który nagrzał się w trakcie jej rozmyślań, i ponownie zmoczyła go w zimnej wodzie. Dla dobra córki musi się dowiedzieć, jak daleko ta sprawa zaszła. Jeśli do samego końca i on rozbudził jej zmysły, biedne dziecko naprawdę jest w kropce. Podobno niektóre kobiety nigdy nie potrafią zapomnieć pierwszego mężczyzny, zwłaszcza jeśli był zręczny, pozostawia niezatarte piętno. Podobno nawet dziecko poczęte z prawowitym mężem może mieć rysy pierwszego kochanka kobiety! To bzdura oczywiście, zabobon, mimo to myśl ta trochę wzburzyła panią Renfrew. Miała czterdzieści siedem lat, dopiero co uczestniczyła w dwudziestym piątym zjeździe absolwentek swojej uczelni (uznano ją za najmłodziej wyglądającą z całego rocznika), w tym samym czasie kiedy Dottie odbierała dyplom, a jednak obawiała się, że w głębi serca pozostała romantyczką, myśl, że mężczyzna, który odebrał dziewczynie dziewictwo, może uczynić ją swoją na zawsze, podniecała jej niemądrą wyobraźnię. Nie umiała się zorientować, co dyktuje Dottie jej serce. Górka jest niezależna, ma własny rachunek bankowy w State Street Trust. Co w takim razie wstrzymuje ją od zobaczenia się z tym panem, jeśli ma na to ochotę?

Pani Renfrew położyła kompres na czole córki, energicznie zaciągnęła zasłony i przysiadła na łóżku tylko po to, aby sprawdzić puls Dottie. Wydawał się normalny.

- Dottie - wyrwało jej się, gdy otulała córkę kocem - sądzę, że powinnaś pójść za głosem serca. Jeśli kochasz Dicka - z trudem wymówiła to imię - może powinnaś wziąć sprawę w swoje ręce i postarać się z nim zobaczyć. Czy duma cię powstrzymuje? Czy zranił cię w jakiś sposób? Pokłóciliście się czy posprzeczali?

- On mnie nie kocha, mamó - cicho powiedziała Dottie. - Podniecam go tylko seksualnie. Powiedział mi to.

Pani Renfrew na chwilę zamknęła oczy, coś w niej nieprzyjemnie klasnęło, gdy usłyszała potwierdzenie tego, co już odgadła; czule ścisnęła rękę córki. - Więc był twoim kochankiem!

Okazało się, że spędzili z sobą tylko jedną noc, właśnie wtedy gdy dzwoniła do klubu Vassar i nie zastała Dottie. Wtedy.

- Przecież go prawie nie znałaś - dodała.

- Dick nie zasypia gruszek w popiele - powiedziała Dottie z błyskiem w oku i kaszlnęła.

- A potem? - poważnie spytała matka. - Nigdy więcej się nie odezwał? O to idzie? - Współczucie dla córki zalało jej serce.

- Nie potrafię wytłumaczyć. Sama nie wiem, co się stało. Można powiedzieć, że uciekłam.

Pani Renfrew mlasnęła językiem. - Czy to było przeżycie bardzo przykre? Krwawiłaś mocno, kochanie?

- Nie. To nie było przykre z powodu bólu. Było właściwie bardzo podniecające i namiętne. Ale potem... Och, mamó, nie potrafię ci po prostu powiedzieć, nigdy nikomu nie będę mogła powiedzieć, co się stało potem. - Domniemania wrażliwej pani Renfrew były jak najbardziej mylne. - Kazał mi - wyrwało się Dottie - pójść do lekarza i zaopatrzyć się w środek antykoncepcyjny, właśnie w takie gumowe coś, o którym mówiłaś.

Pani Renfrew była ogłuszona, szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami badała twarz córki, jakby chcąc złożyć ją do kupy.

- Może tak się teraz postępuje - zaryzykowała w końcu.

- Kay też tak myśli. - Dottie opisała wizytę u pani doktor.

- A co miałaś zrobić z tym po wizycie? - spytała pani Renfrew.

- Na tym polegał cały kłopot. - Dottie oblała się rumieńcem. Opowiedziała matce, jak niemal przez sześć godzin siedziała na ławce na Washington Square z antykoncepcyjnym środkiem na kolanach. - Zrozumiałam wówczas, że nic go nie obchodzi, bo nie naraziłby mnie na coś takiego.

- Mężczyźni są dziwni - powiedziała pani Renfrew. - Twój ojciec... - nie dokończyła zdania. - Czasem myślę, że oni nie chcą wiedzieć zbyt wiele o tej stronie życia kobiety. To zabija złudzenia.

- Tak myślało twoje pokolenie, mamó. Nie, prawda jest taka, że Dick w ogóle nie myślał o mnie. Powinnam się stać niesentymalna, jak Kay, i spojrzeć prawdzie w oczy. Zostawiłam cały ten kran pod ławką na Washington Square. Wyobraź sobie zaskoczenie śmieciarza! Co on sobie pomyślał?

Pani Renfrew też musiała się uśmiechnąć. Zrozumiała już, dlaczego Dottie płakała u Ritza.

- Więc myślałaś - odezwała się wesoło - że doktor Perry i ja pošemy cię do tej samej pani doktor. Jak po raz drugi na film, który już widziałaś. Och, moja biedna córeczko! - Obie panie mimo woli się roześmiały. Pani Renfrew wytarła oczy. - Poważnie mówiąc, to dziwne, że twój Dick nie wrócił do domu przez cały ten czas. Jak myślisz, co on mógł robić? Chyba zgadzam się z Kay, że nie pošaby cię do lekarza dla kawału.

- Zapomniał po prostu. Prawdopodobnie wstąpił na jednego do baru. Jest jeszcze to, mamó. On pije.

- Boże - wyrwało się pani Renfrew.

Więc jest skończonym łajdakiem, ale właśnie dla takich, naturalnie, przyzwoite kobiety łamią sobie serca. Pani Renfrew przypomniała sobie wesołe czasy wojny, gdy Dottie biegła jeszcze w krótkich sukienkach z ogromną kokardą we włosach, a Sam, na urlopie z obozu, ochrzcił jednego pana z ich paczki mianem „małżeńskiej łodzi podwodnej”. I jaki ten mężczyzna był przystojny, jak świetnie tańczył, choć wszyscy panowie go nie cierpieli, ale w końcu tak się zapił, że musiał pójść do sanatorium po storpedowaniu trzech szczęśliwych stadeł. Pani Renfrew potrząsnęła głową.

- Masz rację - odezwała się stanowczo. - Gdyby mu naprawdę na tobie zależało, zrozumiałby, jak ciężko zranił twoje uczucia, i odszukałby cię przez Kay. A może ma resztki przyzwoitości. Może postanowił zostawić cię w spokoju, wiedząc, że zmarnowałby ci życie, gdybyś się w nim zakochała. Czy był pijany, gdy cię uwiódlł?

- Nie uwiódlł mnie, mamó. To *vieux jeu*. I jestem w nim zakochana. Myślisz, że gdyby wiedział...? Jest bardzo dumny. Na samym początku powiedział, że nie należy do mojej sfery. A gdybym tak poszła do niego i powiedziała mu...?

- Nie wiem. - Pani Renfrew westchnęła. Nie była pewna, czy sama stara się odwieść Dottie od szukania spotkania z tym Dickiem, czy na odwrót. Przede wszystkim chciała pomóc córce zorientować się w jej prawdziwych uczuciach. Jest bardzo prosty sposób na to. - Kochanie - podjęła - najlepiej będzie, jeśli na kilka tygodni odłożymy twój ślub. Zorientujesz się, co czujesz naprawdę. Teraz odpocznij,

przyniosę ci świeży kompres. - Wstała, wygładziła kape, stanowczo zrobiło jej się lżej na sercu, bo pomyślała, że to by się dało zrobić i że odroczenie ślubu na kilka tygodni jest może najlepszym wyjściem. - Na szczęście - szepnęła - nie zamówiliśmy dziś zaproszeń. Pomyśl tylko, gdybym dziś rano nie zaszła do klubu na manicure, nie zobaczyłabym tej gazety, ty byś mi nigdy tego wszystkiego nie opowiedziała i zamówiłybyśmy zaproszenia... „Z braku ćwieka but stracony.”

- A suknie? - spytała Dottie.

- Będą dobre i za miesiąc. Powiemy, że wszystkiemu winien doktor Perry.

Żywe sangwiniacznosc usposobienie pani Renfrew pchnęło ją o krok dalej, odfajkowała już całkowite odwołanie ślubu. Ona i Sam będą musieli zwrócić drużnom koszt sukien, ale to nie będzie dużo, bo ze względu na Polly wybrały tani model. Kilka sztuk srebra poznaczono już monogramem, na szczęście po staremu, czyli inicjałami panny młodej, tak że zawsze się przydadzą. Nie trzeba będzie zwracać żadnych prezentów ślubnych prócz madonny od Lakey, a z tym można poczekać do jej powrotu. Natomiast suknię ślubną można będzie schować lub odstąpić którejś z młodszych kuzynek. Pani Renfrew nauczyła się z latami dawać sobie radę z rozczarowaniami, stwierdziła jednak, że ludzie młodzi o wiele trudniej przystosowują się do zmiany planów.

Gdy wróciła ze świeżym kompresem, pomyślała najpierw, że Dottie śpi, oczy miała zamknięte i oddychała spokojnie. Pani Renfrew leciutko uchyliła okno i delikatnie położyła ręcznik na głowie córki, patrząc czule na trójką włosów na jej czole. Na palcach podeszła do drzwi, dziękując swoim gwiazdom, że znalazła właściwe lekarstwo, bo jak tylko ciężar zbliżającego się ślubu został zdjęty z ramion Dottie, dziewczyna się uspokoiła. Ale gdy ostrożnie zamykała za sobą drzwi, odezwała się Dottie:

- Nie chcę odkładać ślubu. Brook nigdy by tego nie zrozumiał.

- Nonsens. Powiemy po prostu, że doktor Perry...

- Nie. Nie, mam. Postanowiłam.

Pani Renfrew wróciła do pokoju, zamknęła drzwi, słyszała kroki starej Margaret, która lubiła podsłuchiwać.

- Kochanie - powiedziała - tobie się zdawało i przedtem, że postanowiłaś.

Byłaś zupełnie pewna, że kochasz Brooka i możesz mu dać szczęście.

- Znów jestem pewna.

Pani Renfrew podeszła bliżej do łóżka pewnym, lekkim krokiem, w młodości nieznacznie kulą i pokonała tę wadę gimnastyką i grą w golfa.

- Dottie - powiedziała stanowczo - to okrutne i niegodziwe poślubić mężczyznę, którego nie kochasz całym sercem. Zwłaszcza starszego mężczyznę. To swoiste oszustwo. Widziałam takie przypadki wśród moich własnych przyjaciółek. Przrzekasz mężczyźnie coś, czego nie możesz mu dać. Tak długo, jak ten drugi tkwi w twoich myślach niczym karta ukryta w rękawie. - Była bardzo wzburzona, jej złota głowa ze srebrnym połyskiem zaczęła się lekko trząść, jak gdyby przypomniawszy sobie dawną dolegliwość, którą wówczas nazywano porażeniem.

Ku jej wielkiemu zmartwieniu zaczęły się sprzeczać, nie podnosząc głosów, jak dobrze wychowane osoby, pani Renfrew nigdy by nie przypuszczała, że może dojść do czegoś takiego między nią i córką. Mówiła, że Dottie musi się zobaczyć z Dickiem choćby tylko po to, aby się upewnić.

- Zrobię to, jeśli mi rozkazujesz, mamó. Ale potem się zabiję. Wyskoczę z pociągu.

- Nie bądź melodramatyczna.

- To ty jesteś melodramatyczna. Pozwól mi spokojnie poślubić Brooka.

Pani Renfrew z mieszanymi uczuciami myślała o dziwnej sytuacji, jaka powstała: role się odwróciły, jej córka śpieszy się do zawarcia „odpowiedniego” małżeństwa, a matka błaga ją, żeby odnalazła nieodpowiedniego rozpustnika. Na tym zapewne polega „przepaść między pokoleniami”, o której dyskutowano na zjeździe jej rocznika w czerwcu; dawna pani profesor uznała za rzecz powszechną, że dzisiejsze wykształcone dziewczęta są znacznie mniej idealistyczne i bezinteresowne od swoich matek w ich wieku. Pani Renfrew była innego zdania, mówiła sobie, że Dottie i jej przyjaciółki wszystkie chcą pracować, przeważnie społecznie, nie czują się skrupowane obawami i zakazami towarzyskimi, które dręczyły jej własne pokolenie. A teraz Dottie potwierdza jak gdyby słowa pani profesor. Czy to znak czasu? Czy skutek kryzysu gospodarczego? Czy dzisiejsze dziewczęta boją się ryzykować? Podejrzała,

że Dottie ze słabym zdrowiem i bostońskim dziedzictwem panicznie się boi zostać starą panną. Właśnie to (nie małżeństwo) jest „losem gorszym od śmierci” dla rówieśniczek Dottie. A przecież zawsze kładła córce do głowy, że małżeństwo to sprawa poważna, sakrament. Dottie nie kocha Brooka, pani Renfrew nie miała co do tego cienia wątpliwości, uważała więc, że rozgrzeszyłaby córkę z bardzo ciężkiego grzechu, gdyby wiedząc to, co wiedziała, pozwoliła jej wyjść za mąż bez zastanowienia. Czy szanuje przynajmniej Brooka? Jeśli tak, powinna się zastanowić.

- Nie chcesz się niczego wyrzec - smętnie powiedziała pani Renfrew i głowa znów jej się zatrzęsała. - Nie chcesz poczekać miesiąc, żeby nie zrobić krzywdy człowiekowi, który już nie jest pierwszej młodości. Nie chcesz się wyrzec swojej dumy, zobaczyć się z Dickiem i żyć z nim, jeśli go kochasz, i spróbować go zmienić. Za moich czasów kobiety, i to kobiety wszelkiego rodzaju, chętnie ponosiły ofiary w imię miłości czy ideału, na przykład prawa wyborczego czy równouprawnienia, o które walczyła Lucy Stone. Wyrzucano je z hotelu, bo meldowały się jako „panna” i „pan”, gdy były ze ślubnym mężem. Spójrz na swoje nauczycielki, spójrz na to, czego one się wyrzekły. Lub na lekarki czy działaczki społeczne.

- Tak było w twoich czasach - cierpliwie odpowiedziała Dottie. - Ofiary już nie są potrzebne. Nikt nie musi wybierać między małżeństwem i zawodem nauczycielki. Jeśli kiedykolwiek musiały. Przyznaj, że twoje najbrzydsze koleżanki zostały nauczycielkami. I wszyscy wiedzą, że mężczyzny zmienić nie można, on po prostu pociąga za sobą kobietę w błoto. Dużo myślałam o tym w Arizonie. Ofiara jest ideą przestarzałą. Zabobonem właściwie, jak palenie wdów na stosach razem z nieboszczykiem w Indiach. Społeczeństwo dąży teraz do pełnego rozwoju jednostki.

- Och, zgadzam się, najzupełniej się zgadzam - odparła pani Renfrew. - Ale proszę cię o taką drobnostkę. Bądź wyrozumiała dla swojej podstarzałej macierzy. - Wtrąciła ten dowcip rodzinny nerwowo i pojednawczo.

- Nie ma potrzeby. Naprawdę wiem, czego chcę. Nie muszę zmieniać całego życia tylko dlatego, że przespałam się z Dickiem. On myśli tak samo. Wszystko ma swoje miejsce. Zrobił ze mnie kobietę i zawsze mu będę wdzięczna, że zrobił to tak pięknie. Ale gdybym się z nim zobaczyła teraz, mogłoby się to okazać nie takie piękne. Byłabym uczuciowo związana... lepiej niech to zostanie wspomnieniem. Poza

tym on nie chce mojej miłości. Właśnie o tym myślałam, gdy byłaś w łazience. Nie mogę mu się narzucać.

- To czasem skutkuje - uśmiechnęła się pani Renfrew. - Mężczyźni, zwłaszcza samotni i nieszczęśliwi - ciągnęła dalej - nie pozostają obojętni na wierne serce. Niezlomna wiara porusza góry, powinnaś wiedzieć o tym z Biblii. „Bo gdzie siękolwiek obrócisz, pójdę, a gdzie będziesz mieszkać, i ja pospołu mieszkać będę”.*

* Stary Testament, Księga Rut 1, 16.

- Spróbowałabyś sama posiedzieć w parku - powiedziała Dottie, kręcąc ciemną głową - z irygatorem i całym tym kramem na kolanach. I wcale nie chcesz, żebym z nim żyła. To puste słowa, chcesz po prostu, abym „zapłaciła za swój grzech”. Mam odłożyć ślub, pokrzyżować wszystkim plany po to, aby mógł upłynąć „przyzwoity okres czasu”. Żałoby po Dicku. Nie jest tak? - W orzechowych oczach Dottie zabłysnęła lekka ironia przy tym przesłuchiwanie matki.

Pani Renfrew zastanowiła się nad tym oskarżeniem. Musiała przyznać, że istotnie nie chce, aby Dottie „żyła” z Dickiem. Ale chciałaby, żeby Dottie tego chciała. Tylko jak to ująć? Może córka ma rację, że ona sama kieruje się tylko konwencjonalnymi względami, chcąc odroczyć ślub. Może jako konwencjonalna bostonka uważa, że Dottie powinna zrobić jakiś gest w stosunku do przeszłości. Ale czy to dostatecznie tłumaczy głębokie, smutne poczucie zawodu... zawodu, jaki sprawiła jej córka? Nawet patrząc na to jak najbardziej wyrozumiale, sądziła, że Dottie kusi bogactwo Brooka i cudowne, urozmaicone życie, jakie on może jej stworzyć; opisała je w sposób barwny i niezapomniany: pustynia, kopalnie srebra, tłumne wycieczki w góry.

- To twoje słowa były „puste” - odcięła się pani Renfrew - kiedy twierdziłaś, że kochasz Dicka. Ja się tylko kierowałam tym, co mówiłaś. Nie sądzę jednak, abyś go kochała. Ale myślę, że lubisz tak twierdzić. Bo w przeciwnym wypadku czułabyś się zbyt zawstydzona i poniżona.

- Proszę cię, mamó! - oschle powiedziała Dottie.

- Postaraj się odpocząć. - Pani Renfrew skierowała się ku drzwiom. - Ja się też położę. - W jej błękitnych oczach błyszczały łzy, gdy leżała na kanapce w swoim pokoju naprzeciw okna, z ładnymi firankami ze szwajcarskim haftem, wychodzącym na Chestnut Street. Ona z całą pewnością nie poślubiła Sama Renfrew dla pieniędzy lub tego, co się teraz nazywa „zabezpieczeniem”, a jednak czuła, jak gdyby tak było i że jakiś okropny układ powtarza się w życiu jej córki. Czy ona i Sam wpoili w Dottie fałszywe wartości, pomimo tylu wysiłków, żeby było na odwrót? Ona i Sam pobrali się z miłości, ona nigdy nie miała nikogo przed nim, mimo to ogarnęło ją takie uczucie, jak gdyby przed wielu laty wyrzekła się kochanka dla tego domu, State Street Trustu, golfa i klubu Chilton, a teraz Dottie i ten biedak z Arizony za to płacą. Grzechy rodziców. Wiedziała, że to wszystko absolutna bzdura i że Dottie może z czasem pokochać Brooka, zwłaszcza że jej zmysły ponoć zostały obudzone, przynajmniej to w całym tym smutnym romansie może się okazać dobre, jeśli Brook będzie uważny. Poza tym klimat Arizony jest „zalecany przez lekarza” dla Dottie. Jednakże kilka łez spłynęło z jednego oka pani Renfrew, wytarła je chusteczką z cieniutkiego irlandzkiego lnu i koronki, prezent od starej Margaret na gwiazdkę. Myśl o utraconym kochanku, którego się wyrzekła, dobijała się do jej pamięci jak dzieciół. Kto to mógł być - zapytywała siebie zawstydzona. Małżeńska łódź podwodna?

ROZDZIAŁ 8

Libby MacAusland miała tip-top mieszkancko w Greenwich Village. Rodzina w Pittsfield płaciła czynsz. Obiecana przez wydawcę tuż przed końcem jej studiów posada nie całkiem doszła do skutku. Zrobiła wywiad ze współnikiem wydawnictwa, który oprowadził ją po biurach, dał jej kilka wydanych przez firmę książek i przedstawił redaktorowi, który palił fajkę w swoim sanktuarium. Redaktor LeRoy, postawny młody mężczyzna z ciemnym wąsem i krzaczastymi brwiami, był bardzo usłużny w obecności właściciela, ale po jego wyjściu nie posadzili Libby z miejsca przy biurku (wypatrzyła pustą komórkę w redakcji), lecz kazał jej przyjść za jakiś tydzień. Obiecał dać jej wtedy tytułem próby maszynopisy do czytania w domu. Płacili pięć dolarów za przeczytanie, streszczenie i zrecenzowanie jednego maszynopisu,

sądził, że powinna się uporać z trzema tygodniowo, co przyniesie jej tyle, ile praca na pół etatu, więcej nawet.

- Gdybyśmy zatrudnili panią w redakcji - powiedział - moglibyśmy płacić tylko dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo za pełny etat. Musiałaby pani ponieść koszt przejazdów i lunchy. - Gdy spytał, czy potrzebuje tej pracy, skłamała, że tak, sądząc, że jeśli wywoła w nim wrażenie, że jest w skrajnej nędzy, to da jej więcej maszynopisów do czytania.

To go właściwie nie powinno było obchodzić. Miała wszelkie kwalifikacje do pracy w wydawnictwie: czytała swobodnie po francusku i włosku, potrafiła adiuutować teksty i czytać korekty, pełniła w Vassar obowiązki naczelnego redaktora miesięcznika literackiego; poza tym skończyła kurs pisania opowiadań oraz wierszy, biegle pisała na maszynie - czyli była jak najbardziej predestynowana do zawodu wydawcy. Pamiętając jednak o konkurencji, bardzo starannie opracowywała recenzje dla LeRoya - przepisywała je na maszynie z potrójnym odstępem na błękitnym papierze, który ciągle jeszcze produkuje pewna fabryka w Pittsfield, i wpinała w twarde błękitne teczki. Jej „prezentację” tematu uznano w Vassar za wybitną. Zawsze dodawała stronę tytułową z kolofonem - własnego projektu, według którego wykonała też swoje ekslibrisy - do oprawnych w teczki tygodniowych recenzji; miała wyraźne pismo z grecką literą „e” i ozdobnymi dużymi literami. Profesor Kitchel z anglistyki bez wahania postawiła stopień celujący „młodej artystce z pięknym włoskim charakterem pisma”. Jej „wylewne epistoły”, jak je nazywała poczciwa pani profesor, zostały wydrukowane w piśmie pierwszoroczników „Sampler” i Libby już na pierwszym roku została zaproszona do kolegium redakcyjnego literackiego pisma. Celowała w opisach. „Ta obiecująca piękność stworzyła” (wyjątek z wiersza Carew) widniało jako motto pod jej fotografią w uniwersyteckim roczniku.

Siostra jej matki posiadała willę w Fiesole, Libby spędziła tam rok w dzieciństwie, uczęszczając do najśladziej szkoły dla dziewcząt we Florencji, a później ciągle jeździła na wakacje - ściśle mówiąc, dwa razy; Libby miała skłonność do przesady. Mówiła po włosku szybko, z „fajnym” tokańskim akcentem i będąc na trzecim roku, okropnie chciała postudiować rok na uniwersytecie w Bolonii, przeczytała bowiem fascynującą powieść pod tytułem *Pani praw* o uczonej

renesansowej damie, doktorze praw w Bolonii, porwanej i zgwałconej przez jednego z Malatestów (Libby wystąpiła kiedyś w roli kazuisty w debacie o cenzurze ze studentami pierwszego roku college'u Wesleyan). Obawiała się jednak, że rok spędzony poza Vassar może ją kosztować upragnioną koronę, liczyła bowiem na to, że zostanie wybrana Prezydentem Studentów.

Grała w koszykówkę (jako środkowy napastnik) i miała dużo wielbicieli wśród tępotliwych koleżanek, była prezeską Circolo Italiano oraz prezeską studentów drugiego roku. Była też działaczką Kościoła Komunalnego, lecz gdy kandydowała na Prezydenta Studentów, przegrała, jak się okazało, z grubymi rybami z wieży północnej, które przodowały w hokeju, nie ustępowały nikomu pola i nadawały ton w Vassar, zagarniając dla siebie wszystkie stanowiska na ostatnim roku. Grupa ta proponowała Libby przyłączenie się do niej na pierwszym roku, ale Libby uważała paczkę Lakey za szykowniejszą. A potem zaświtał dzień, gdy Lakey i te drugie nie chciały nawet na nią głosować.

Taki już był los Libby (jak dotąd), że ludzie najpierw do niej lgnęli, a potem bez żadnego dostrzegalnego dla niej powodu przestawali się nią interesować... Jak w wierszu Thomasa Wyatta: „Stronią ode mnie ci, co ongiś mnie szukali.” Właśnie tak się stało z grupą. Libby uwielbiała *W niewoli uczuć* Somerseta Maughama, Katherine Mansfield, Ednę Millay, Elinor Wylie i wiele utworów Virginii Woolf, ale nie potrafiła już wciągnąć nikogo w dyskusję o książkach, bo Lakey orzekła, że ma sentymentalny gust. Paradoks polegał na tym, że była najbardziej lubiana poza swoją grupą, a najmniej w swojej. Na przykład wciągnęła Helenę, która lubiła siedzieć pod korcem, do kolegium redakcyjnego miesięcznika literackiego, a ta spokojnie odwróciła się na pięcie i przystała do mniejszości, która chciała drukować „literaturę eksperymentalną”. Helena i arcywróg Libby Norine Schmittlapp napisały „list otwarty do redaktora”, twierdząc, że pismo przestało odzwierciedlać ducha Vassar i stało się dziedzictwem „bladej” kliki literackiej. Idąc za radą wydziału, Libby popłynęła z prądem i wydrukowała „numer eksperymentalny”, lecz prąd obrócił się przeciw niej, gdy wyszło na jaw, że jeden z wierszy został dla kawału sfabrykowany przez sprytną pierwszoroczniczkę jako parodia poezji współczesnej. Ale zaraz w następnym numerze opowiadanie, o które Libby kruszyła kopie, okazało się plagiatem, słowo w

słowo przepisany z opowiadania opublikowanego w „Harper's”. Sprawę zatuszowano ze względu na przyszłość plagiatorce, po rozmowie dziekana z wydawcą „Harper's”, ale ktoś, prawdopodobnie Kay, której Libby opowiedziała tę historię w najgłębszej tajemnicy, zdradził i wkrótce zbuntowana klika rozpowiadała to na wszystkie strony. To jedna sprawa, mówiły, nabrać kogoś bez złych myśli, a druga wydrukować jako oryginalny utwór nieciekawym plagiat z kołtuńskiego, drugorzędnego piśmidła. Libby dosłownie nie mogła zrozumieć drugiej części zarzutu - jej największą ambicją było wydrukować w „Harper's” opowiadanie lub wiersz. I zaiste powiadam wam, trzymajcie się mocno, dziewczęta: dopięła w końcu swego w zeszłym roku zimą.

Prawie od dwóch lat mieszkała już w Nowym Jorku, najpierw z dwiema dziewczynami z Pittsfield w Tudor City, a teraz sama w tip-top mieszkanku, które udało jej się znaleźć. Za wszelką cenę chciała osiągnąć sukces, rodzice zaś byli gotowi jej pomóc; brat ustatkował się w końcu i osiadł w rodzinnej fabryce, siostra poślubiła bogatego Harknessa. Więc Libby mogła rozwinąć skrzydła.

LeRoy dał jej sterty maszynopisów na początek. Do taskania ich tam i z powrotem musiała nabyć damską teczkę u Marka Crossa - z szykownej czarnej cielejącej skóry. Zrobiłaś karierę - mówiły, zachłystując się, jej współlokatorce w Tudor City, widząc ją uginającą się pod ciężarem tej literatury, gdy wracała do domu. I jakby chcąc śladem mitologicznych tytanów wciągnąć górę Pelion na szczyt góry Ossa, podjęła się jeszcze pisania recenzji z książek dla „Saturday Review of Literature” oraz „Herald Tribune Books” - pism wysokiego lotu. Współlokatorce zieleniały z zawiści, same bowiem kształciły się na sekretarki w szkole Katherine Gibbs. Rodzina Libby była zachwycona, dlatego płaciła czynsz za jej mieszkanie. Brat, po powrocie z Nowego Jorku, złożył meldunek w kwaterze głównej, że Libby najwyraźniej chce się poświęcić karierze literackiej. Ojciec kazał sfotografować i oprawić dla niej w ramkę jej pierwszy czek, wisiał ten dokument nad biurkiem Libby z gałązką oliwną z rodzicielskiego ogrodu, dowód, że została ukoronowana wawrzynem.

Pomysł pisania recenzji z książek zrodził się całkowicie w głowie LeRoya.

- Niech pani spróbuje pisać recenzje - powiedział do niej, gdy pytała, jak mogłaby szybciej dojść do czegoś. Poszła więc w tym celu do pani Amy Loveman i

pani Van Doren (Irity, żony Carla) i obie panie dały jej szansę. Miała jeszcze do zdobycia „New York Timesa”.

Większość maszynopisów, jakie jej dawał LeRoy, to były powieści, biografie (które uwielbiała) trzymał dla specjalistów i do tej pory nie dał jej jeszcze francuskiej czy włoskiej książki - była zbyt niedoświadczona, jak przypuszczała. Pisywała wyczerpujące streszczenia, nie chciała brać na siebie całego ciężaru decyzji, i do późnej nocy ślęczała nad krytycznymi egzemplarzami, robiąc konstruktywne uwagi. Paliła się do tego, by zostać redaktorem - zaszczytna to funkcja w wydawnictwie - nie szło jej tylko o redagowanie cudzych tekstów, ale o kreatywne ich przetwarzanie. Starła się też twórczo czytać, wyobrażając sobie, gdy wydawała sąd, że jest kobietą przy mężu lub skromną sekretarką na prowincji. To rzecz zrozumiała, dowodziła, że wydawcy chcą trafić do szerokich rzesz czytelników, a nie wydawać książki dla przyjemności Libby MacAusland. Starła się więc oceniać każdą powieść z punktu widzenia jej szans na stanie się bestsellerem. Tak samo myślała pani redaktor z „Herald Tribune Books”, powiedziała to Libby z najśladźszym południowym akcentem:

- Uważamy, panno MacAusland, że w każdej książce jest coś dobrego, co należy uzmysłwić czytelnikowi.

Jednakże LeRoy zaczął się jej badawczo przyglądać, gdy przynosiła recenzje. To nie mogło być z powodu ubrania, starała się ubierać tak, jak powinna, jej zdaniem, ubierać się recenzentka wydawnictwa: ładnie, lecz nie krzykliwie - prosta spódniczka, koszulowa bluzka, która może być ozdobiona zakładeczkami z przodu lub zapięta pod szyją starą broszką z kameą, odziedziczoną po prababce Ireton - ogólne wrażenie z lekka staroświeckie, jak „robociarz” w którejś z powieści Howellsa (Libby kochała stare określenia). Gdyby dostała kiedyś stałą posadę w biurze, miała zamiar zakładać papierowe mankiety na prawdziwe. W chłodne dni nosiła sweter do spódnicy i złote korale lub perły, nie wschodnie, lecz kultywowane, ale LeRoy i tak się na tym nie znał, dla niego równie dobrze mogły pochodzić z najtańszego magazynu, gdzie wszystko kosztuje pięć dolarów dziesięć centów. Więc Libby obawiała się, że badawcze spojrzenia LeRoya mają coś wspólnego z jej recenzjami. Napomknął raz, że

nie musi tak szczegółowo streszczać powieści, którą odrzuca. Odparła, że z największą przyjemnością wykonuje swoje zadanie, robociarz musi być wart swej zapłaty.

Często zastawała LeRoya czytającego prasę: „The New Masses” (Nowe Masy), „The Anvill” (Kowadło) albo pismo o dziwacznym tytule „The Partisan Review” (Przegląd partyzancki), do tego ostatniego zajrzała w księgarni na Washington Square. Dlatego zaczęła wtrącać w rozmowie z nim takie słowa jak „robociarz”, żeby mu uświadomić, że i ona należy do uciskanych. Chodziły pogłoski, że w wydawnictwach jest sporo „różowych”. Jakkolwiek rzecz się miała, LeRoy nie był żadnym lordem Chesterfieldem, gdy siedział za biurkiem bez marynarki, flegmatyczny, dość opasły, odchylając się razem z krzesłem, pocierając wąsy; patrząc na niego Libby miała czasem wrażenie, że redaktor nieczęsto przebywa wśród kobiecych kobiet. Rozmawiając z nim, nieznacznie przechylała na bok głowę, skwapliwie wysuwała naprzód brodę i lekko rozchyłała usta, jak ktoś zasłuchany w muzykę, krępowało go to, gdyż ilekroć przybierała tę pozę, przerywał w środku zdania i krzywiąc się, marszczył brwi.

- Nie musi pani tego czytać od deski do deski - powiedział do niej kiedyś, trzymając jej niebieską teczkę dwoma palcami i pykając z fajki. - Niektórzy recenzenci po prostu czują pismo nosem.

- To nie sprawia mi żadnego kłopotu, drogi panie! - wykrzyknęła Libby potrząsając złotą głową w granatowym berecie. - I chciałabym rozwiać legendę, że wydawcy nie czytają maszynopisów. Może pan przysiąc na Pismo Świąte, że te zostały przeczytane. I nie może pan mieć mi tego za złe, skoro tracę na to własny czas.

LeRoy zaczął krążyć po pokoju, paląc fajkę.

- Jeśli pani poważnie zamierza utrzymać się z tego - odezwał się - powinna to pani traktować jako pracę akordową i racjonalizować swój czas, jak każdy pracujący w pocie czoła robotnik.

- Proszę nie mówić, że się pocę - krzyknęła. - Dezodorant Odo-Ro-No!

Nie ubawił go ten dowcip.

- Poważnie - ciągnęła dalej Libby. - Lubię czytać od deski do deski. Należę do nielicznych nieszczęsnych śmiertelników, którzy nie potrafią oderwać się od powieści,

dopóki się nie dowiedzą, jak się kończy. Słowa rzucają na mnie urok. Nawet najgorsze słowa w najgorszym szyku. Sama też piszę, wie pan.

- Niech pani napisze powieść dla nas - rzucił LeRoy. - Pisze pani diabelnie dobrze.

Libby zapaliła papierosa. Powiedziała sobie ostrzegawczo, że nie powinna pozwolić, żeby się jej pozbył pochlebstwem, wekslując rozmowę na jej karierę pisarską.

- Nie potrafię jeszcze - powiedziała. - Konstrukcja jest moim największym mankamentem. Ale się uczę. Dużo się nauczyłam, czytając maszynopisy. Gdy nadejdzie mój dzień i otworzę remingtona, aby wypisać: rozdział pierwszy, ich błędy bardzo mi pomogą.

- Traci pani własny czas - powiedział LeRoy, wróciwszy do biurka i wystukawszy popiół z fajki. - Ale zadaniem pierwszego recenzenta jest oszczędzić czas drugiemu. I sobie. To, co pani robi, jest nieekonomiczne.

- Muszę przecież uczynić tę pracę ciekawą dla siebie samej - broniła się Libby. - Każda praca powinna być ciekawa. Nawet praca fizyczna. Brawo! Brawo! - dodała wesoło w stylu Vassar. - Słysząc spadające cegły - wymamrotała, gdy LeRoy ciągle milczał.

Zgasiała papierosa. Na ogół trzymała się zasady, aby pozostać u LeRoya przez piętnaście minut, jak gdyby składała wizytę, często jednak bardzo trudno było wysiedzieć tak długo. Nadeszła chwila, której najbardziej się bała. Niektórzy panowie w biurach wstają, żeby zaznaczyć, że wizyta skończona, LeRoy jednak albo siedział za biurkiem, albo krążył po pokoju. Czasem zachowywał się tak, jak gdyby zapomniał, po co ona przyszła, czyli po nową porcję maszynopisów. Pozwalał jej włożyć płaszcz i rękawiczki, nie dostrzegając rzekomo, że ona chce się pożegnać, i nie rzuciwszy nawet okiem na szufladę biurka, w której, jak stwierdziła, trzymał nowe maszynopisy. Szuflada była głęboka jak paka, zniżając się do poziomu kalamburu, Libby nazywała ją czasem w duchu paką dla czubków, bo napięcie, z jakim za każdym razem czekała, aby ją otworzył, doprowadzało ją do oblędu. Czasem musiała mu przypomnieć, przekonała się jednak, że jeśli czekała dość długo, przypominał sobie sam. Za każdym razem czuła, że cała jej kariera wisi na włosku; choć trwało to pewnie zaledwie minutę

na zegarze, mierzone łomotaniem jej serca trwało wieczność. W końcu wyciągnął kilka maszynopisów i rzucał je na biurko ze słowami:

- Proszę zajrzeć do tych. - Lub zerkając do szuflady: - Niewiele tego jest w tym tygodniu - mówił, kaszląc. Podczas gdy ona, wyciągając szyję, widziała doskonale, że szuflada jest prawie pełna. Obawiała się, że któregoś dnia, mówiła to do siebie, jakby czytała opowiadanie, szuflada pozostanie zamknięta. Włoży płaszcz (prościutki, granatowy, z aksamitnym kołnierzykiem) i wyjdzie na zimną ulicę z pustą teczką, a po czymś takim nigdy już nie zobaczy LeRoya, duma jej na to nie pozwoli.

W rzeczywistości po posiedzeniu z LeRoyem szła do Schraffta na słodowe mleko z lodami. W tym złowieszczym dniu wyszła od niego chwiejnie, podupała na duchu, z jednym tylko martwym maszynopisem w nagrodę za jej trudy. Absolutna ciemność, lód i pustka. „Zadaniem pierwszego recenzenta jest oszczędzić czas drugiemu.” Wachlując czoło kartą z podwieczorkowym menu, nakazała sobie spojrzeć prawdzie w oczy: od miesiący stopniowo dawał jej coraz mniej, przygotowując aluzjami do ostatecznego ciosu, jak autor przygotowujący czytelnika. O ileż uprzejmiej byłoby po prostu powiedzieć: „Niestety, nie sprawdziła się pani. Żałuję.” Nic prostszego. Zrozumiałyby. Przecież wydawcy nie mogą rozdzielać maszynopisów jak jałmużny. „Dziękuję za szczerość - odpowiedziałyby. - Proszę wpaść kiedyś do mnie na herbatę. Zawsze będę myślała o panu jak o przyjacielu.”

Po chwili, ssąc przez słomkę mleko, pojęła, że widzi tylko siebie, to wszystko dzieje się w jej głowie. Kłopot w tym, że ocenia wizyty u LeRoya z własnego punktu widzenia, opartego na ukrytym, szalonym niepokoju związanym z ową szufladą. Ale z punktu widzenia LeRoya to sprawa normalna. Jest jednym z wielu recenzentów, pomiędzy którymi musi rozdzielić maszynopisy. A przecież nie potrafi ich wyczarowywać z powietrza, jeśli autorzy nic nie przyślą. Co więcej, LeRoy musi być sprawiedliwy, nie może wyróżniać jej kosztem dłużej dla niego pracujących, którzy pewnie tylko z tego się utrzymują. Z wyrazu jego brwi widać, że jest sprawiedliwy, zawsze wygląda tak, jakby był w kłopotcie. Gdy pouczał ją dziś jak niezadowolony wujaszek, chciał ją tylko nauczyć zawodu, przyhamować jej „instynkt pisarski”, zbyt twórczy dla księgarskiego rynku. On nie ma pewnie zielonego pojęcia o burzy nadziei i strachu, jaką rozpełtał w jej dziewczęcej piersi. Uważa za rzecz oczywistą, że ona jest

na liście płacy. Gdy powiedział, że niewiele tego jest w tym tygodniu, miał na myśli „ten tydzień”. To, co sobie mówiła przed chwilą, jest absolutnie prawdziwe: cóż łatwiejszego, niż powiedzieć, że się nie sprawdziła... gdyby tak uważał. Musi to mówić zapewne co dzień jakiemuś nieszczęśliwemu. Za każdym razem, gdy odrzuca czyjś maszynopis. Dlaczego jej to nigdy do głowy nie przyszło?

Pomyślała, że to byłoby fascynujące ćwiczenie z punktu widzenia narracji opowiedzieć historię jej powiązania z LeRoyem: najpierw, jak ona, a następnie, jak on to widzi. Od razu rzucałaby się w oczy całkowita różnorodność. Uwidoczniłoby się, do jakiego stopnia każde z nich jest zamknięte we własnym, osobistym świecie. Tytuł opowiadania mógłby być: „Fatalna szuflada”. Albo: „Tajemnicza szuflada”, ten tytuł nasuwałaby myśl o tajemniczym, zamkniętym życiu ludzi, przywoływałby na pamięć skrytki w starych biurkach, jak w biurku jej matki w domu. Libby postukała w szklanę, aby przywołać irlandzką kelnerkę i pożyczyć od niej ołówek, potem zaczęła coś gryzmolić na okładce menu. Miała pomysł, który zapisała, póki jej nie umknie. Załóżmy, że bohaterka (imię na razie nieważne) jest przez całe życie zafascynowana skrytką w biurku matki (babki), której nigdy nie zdołała otworzyć. Dodałoby to opowiadaniu poetyckiej głębi i pomogło wyjaśnić psychologię bohaterki wyrosłej w kamiennym wiktoriańskim domostwie w cieniu fabryk; wysokie żywopłoty, baobab w ogrodzie, altanka lub pergola, w której osamotnione dziecko jadało podwieczorek, i sekrettera z czasów królowej Anny w ciemnym hallu na górnym podejściu schodów, za spiralną poręczą... Później, gdy bohaterka przyjdzie do wydawcy, może wyobrazić sobie przeróżne nieprzyjemne rzeczy, na przykład podejrzewać, że drogocenna szuflada pęka od maszynopisów i że całkiem niebrzydka dziewczyna z tekturową teczką, którą bohaterka zauważyła w poczekalni, jest jej rywalką w zdobyciu faworów LeRoya. Okazałoby się jednak, że dziewczyna jest autorką maszynopisu, który Libby miałaby właśnie dostać do recenzji. Stałoby się to jasne po przedstawieniu sprawy z punktu widzenia LeRoya.

Libby pękała od pomysłów na opowiadania, które na ogół zapisywała w dzienniczku. Każdy pisarz powinien prowadzić dziennik, twierdziła pani M. A. P. Smith. Libby od trzech lat skrupulatnie zapisywała swoje wrażenia, poznane nowe słowa i sny. Oraz tytuły na opowiadania i wiersze.

- *Szuflada!* - wykrzyknęła. Taki oczywiście ma być tytuł, bo pierwsza zasada dobrego pisarstwa polega na wykreślaniu przymiotników. Libby skinęła na zarządzającą salą.

- Mogę to sobie wziąć? - spytała, wskazując menu oraz swoją teczkę. Zarządzająca salą była oczywiście zachwycona, Libby przekonała się, że cały świat kocha pisarza. Starzy francuscy kelnerzy w Cafe Lafayette byli tak mili, że sadzali ją zawsze przy tym samym stoliku, gdy *toute seule* wpadała w niedzielę po południu, żeby coś poczytać czy zapisać, siedząc przy stoliku z marmurowym blatem, i obserwować dziwadła grające w warcaby lub czytające gazety zawieszane na drewnianych patykach jak we Francji. Nie była pracusiem, który nie ma chwili czasu na rozrywki, potrafiła szalowo się bawić, nie przekraczając pensji od rodziców. Zimą jeździła na narty do wzgórz Berkshires ulgowymi pociągami weekendowymi ze stacji New York Central i w ten sposób zaprzyjaźniła się z wieloma narciarzami. Na ogół z osłupieniem przyjmowali wiadomość, że jej utwory są drukowane. Ubiegłej zimy poznała ślicznego młodzieńca, który wykładał angielski w prywatnej szkole i znał, jak się okazało na wiosnę, fajne miejsce na wycieczki, gdzie można było dojechać za pięć centów metrem; był to Pelham Bay Park, jeździło się tam linią Lexington Avenue Express do końca i szło się kawałek piechotą. Libby zabierała na te wycieczki ogórkowe kanapki, jaja na twardo i duże, tłuste truskawki, nie zapominali też o oprawnym w skórę tomiku poezji; po posiłku, leżąc na kocu w cichym zakątku nad wodą, czytali wiersze. Ona uwielbiała poetów rojalistów z czasów Karola I, on zaś elżbietańczyków, zwłaszcza Sidneya i Draytona. (Cytował sonet Draytona: „Gdy tak być musi, daj usta i żegnaj... Nie, koniec już, nic więcej nie dostaniesz...”) Mówił, że Libby wygląda tak, jak wyobraża sobie Penelope Rich (Penelope Devereux, siostrę hrabiego Essex), ową Stellę z poematu Sidneya *Asttophel i Stella*. „Stella” miała jasne włosy i ciemne oczy, z których leciały zabójcze strzały, jak z oczu Libby. Złote włosy i ciemne oczy były *nec plus ultra* kobiecej urody dla elżbietańczyków. Tej wiosny Libby nie mogła się doczekać, żeby zakwitły bazyliki i aby znów mogli się wybrać na wycieczkę. Jej towarzysz miewał niezliczone oryginalne porównania, odkrywające przed nią czasem zupełnie nowe królestwa literatury. Na przykład, gdy ubiegłej wiosny przyszedł po nią pewnej soboty rano do Tudor City, mając na nogach wycieczkowe buty, w ręku zaś

torbę na książki, ona akurat smarowała w kuchni chleb masłem na kanapki. Widząc ją, wyrecytował:

*Werter kochał swą Charlotte
Ponad wszelkie słowa, strasznie;
Chcecie wiedzieć, jak ją poznał?
Smarowała chlebuś masłem.*

Współlokatorki Libby omal z krzesel nie pospadały, tak im to zaimponowało, studiowały tylko w Smith i Holyoke. Wierszyk był parodią Thackeraya na temat *Cierpień młodego Wertera* Goethego, którą to książkę Libby niezwłocznie przeczytała jednym tchem w czytelnicy. Często zapytywała siebie, przykładając dramatycznie wskazujący palec do czoła na znak głębokiego zamyślenia, czy ten młodzieniec marzyciel kocha się w niej, choć nie ma grosza przy duszy prócz pensji nauczyciela. Podczas świąt Bożego Narodzenia zabrał ją dwukrotnie do Central Parku na ślizgawkę, wtedy to po raz pierwszy i jedyny objął ją w pasie, żeby nie upadła, niestety jednak przez całą zimę ciągle chorował, więc tylko wykładał w szkole, potem pił gorącą wodę z cytryną i cukrem i kładł się do łóżka.

Libby miała też innych poważnych adoratorów - młodego aktora, którego poznała u Kay i który ją zabierał na tanie miejsca do teatru; kupowało się takie bilety w agencji biletów zniżkowych Graya, mieszczącej się w głębi ziemi, pod gmachem nowojorskiego „Timesa”, a Libby i jej kawaler zawsze przystawali przed tym gmachem, żeby przeczytać oświetloną wstęgę wiadomości (to zgrabne porównanie było autorstwa Libby) opasującą budynek. Był też młody człowiek z Yale Music School, który prowadził ją na jazz do Harlemu. I jeszcze chłopak Żyd, którego poznała w narciarskim pociągu; seplenił i miał zawinięte do góry rzęsy (z bardzo dobrej rodziny, która legalnie zmieniła nazwisko), prowadził ją na tańce do hoteli „Plaza”, studiował nauki polityczne i ubiegłej jesieni podczas wyborów do Kongresu nadzorował wybory z ramienia partii demokratycznej. Znała kilku młodych prawników, mających kancelarie w centrum miasta, dawnych absztyfikantów jej siostry, ci zabierali ją czasem do opery albo na koncert do Carnegie Hall. Lub też do małego kina Carnegie, gdzie wyświetlano zagraniczne filmy i można było za darmo dostać małą czarną oraz pograć w hallu w ping-ponga. Libby grała w ping-ponga jak

szatan, nic dziwnego przy jej wzroście i długich ramionach, poza tym brat nauczył ją sprytnego serwowania. Czasem w niedzielę szła do kościoła z chłopakiem buchmanitą, żeby posłuchać kazania Sama Shoemakera, proboszcza kościoła Calvary, bowiem na studiach egzaltowała się oksfordzkim ruchem w kościele anglikańskim*.

* Frank Nathan Buchman - duchowny luterański, działający w pierwszej połowie XX w., założyciel oksfordzkiej grupy dążącej do duchowego odrodzenia jednostek i społeczeństw.

Mieszkała bardzo blisko kina „Fifth Avenue”, gdzie też wyświetlano zagraniczne filmy i dawano pół czarnej za darmo, chodziła tam przeważnie z koleżankami - z Kay, gdy Harald pracował, bo akurat znów miał pracę, z Polly i Priss, gdy Sloan był w szpitalu (jakie to smutne, straciła dziecko w szóstym miesiącu ciąży); z niektórymi dziewczętami z dawnej paczki z północnej wieży, na które natknęła się w narciarskim pociągu. I miała na swojej liście do babskich wieczorów jeszcze dwie kandydatki, które poznała, próbując sił jako recenzentka kryminałów: sekretarkę redakcji „Saturday Review of Literature” - jak nigdy nie omieszkała zaznaczyć Libby - oraz zastępczynię redaktora „Herald Tribune Books”. Jedna skończyła Smith College w 1930, druga Wellesley *ditto*, obie mieszkały same w Greenwich Village i bardzo się zapaliły do Libby. Dziewczyna z „Tribune” mieszkała na Christopher Street, Libby często się z nią spotykała najpierw na cocktailu w restauracji Longchamps na Dwunastej ulicy, stamtąd szły do restauracji Alice MacCollister na Ósmej ulicy lub do Jumble Shop, gdzie bywało mnóstwo malarzy i literatów, których ta dziewczyna pokazywała Libby, i gdzie usługiwali kelnerzy z Filipin. Przeważnie Libby chciała fundować cocktaile. - To ja zapraszałam - upierała się wesoło. W styczniu zaprosiła do siebie na grzane wino dziewczyny razem z ich szefowymi, ale te niestety nie mogły przyjść. Kay twierdziła, że nie zaprasza się szefowej i sekretarki na to samo przyjęcie, pomniejsza to wartość zaproszenia. Kay uważała też, że Libby powinna była zaprosić LeRoya, zabrakło jej jednak odwagi.

- On wyobraża sobie, że mieszkam na poddaszu - powiedziała. - Nie chcę rozwiewać jego złudzeń. Poza tym może jest żonaty.

- Słaba wymówka, MacAusland - odparła Kay.

Libby była zbyt dobrze wychowana (wołała staroświeckie określenie „dama”), żeby narzucać się komuś, z kim łączy ją stosunki oficjalne. Przecież na początku znajomości z dziewczętami z „Tribune” i „Saturday Review” wsuwała tylko głowę do ich biur i machała ręką, dopóki się nie przekonała, że jest mile widziana. Teraz oczywiście śmiało wpadała do nich na pogaduszki i aby zerknąć na nowe książki, żeby wiedzieć, o co poprosić redaktora, gdy przyjdzie jej kolej, opłacało się prosić o konkretną książkę. Niektórzy recenzenci z wielkim nabożeństwem studiowali „Publisher's Weekly” (Tygodnik Wydawców). Trzeba było mieć nie lada wiedzę, żeby dostać książkę do recenzji, Libby była szczerze przekonana, że potrafiłaby napisać artykuł na ten temat. Po pierwsze, należało wiedzieć, że redaktorzy, jak damy z towarzystwa, mają swoje „dni przyjęć” dla recenzentów. Wtorek był takim dniem w „Tribune”, środa w „Saturday Review”. „Times” też przyjmował we wtorki, choć, jak dotąd, Libby siadywała tylko w poczekalni, dopóki goniec nie oznajmił, że w tym tygodniu nic nie ma. W wyobraźni widziała redaktorów dających książki do recenzji niczym królów (lub królowe) przyjmujących dworaków w sypialni, podczas gdy ci, co przyszedli z jakąś prośbą, czekają uniżenie w antyszambrach, a lokaje (czyli gońcy) kursują tam i z powrotem. I jak królowie decydują o życiu i śmierci. Doskonale знаła już z widzenia innych recenzentów lub „klientów”, jak by powiedzieli Rzymianie: kobiety w średnim wieku z cyganerii, w okularach albo za mocno umalowane, ze zwisającymi kolczykami i sfatygowanymi teczkami czy torbami na książki; przyszczatych młodych mężczyzn w ubraniach jak z papieru. I te ich buty! Podzielowane, z podartymi, pełnymi węzłów sznurowadłami, serce się Libby krajało na widok tych butów i czerwonych, chropowatych kostek u nóg, wystających z tanich skarpetek ze sztucznego fildekosu. Patrząc na nich, myślała o wizytach u okulisty (musiała używać okularów do czytania), gdzie też czekało się godzinami i widziało tylu ludzi z zaćmą, czekających cierpliwie na przyjęcie. Recenzenci książek byli zawistni i złośliwi, młodzi mężczyźni z trądzikiem na twarzy i wyszczerbionymi zębami zawsze obrzucali ją wzgardliwym spojrzeniem od stóp do głów i aż syczeli, ilekroć wzywano ją do redaktora przed nimi. A przecież wielu z tych niedoszłych recenzentów to byli oszuści, nie szło im wcale o recenzje, tylko o to, żeby wyjść z

redakcji z plikiem książek, które zaraz opylali jakimś pokątnemu handlarzowi, nie rzuciwszy nawet na nie okiem. Wyrządzali krzywdę uczciwemu recenzentowi, a jeszcze większą autorowi i wydawcy, gdyż każda opublikowana książka zasługuje na uprzejmość w postaci recenzji. Ci „piraci”, jak Libby ich przezwiała, buszowali najbardziej w takich pismach jak „New Republic” i „Nation”, które nie próbowały nawet recenzować każdej książki. Podobno też trzeba było w tych pismach stawać w szranki z komunistami, zanim można było trafić przed oblicze redaktora od książek - z całą zgrają dziwacznych typów: wytatuowanych marynarzy prosto z doków, robotników portowych, włóczęgów i brodatych dziwołagów z kawiarni w Village, z których żaden od tygodni się nie kąpał. Taki był skutek „literatury proletariackiej”, dziko teraz modnej. Przecież nawet w Vassar wykładano tę literaturę na specjalnych kursach, profesor Peebles miała wykład na ten temat zaraz po wykładzie o „wielowątkowości” we współczesnej prozie. Kay radziła Libby spróbować szczęścia w „Nation” i „New Republic”, cieszących się wielkim uznaniem ludzi myślących, jak jej ojciec doktor, ale Libby powiedziała:

- *Mon ange*, idzie mi o wysiadywanie, nie chcę, żeby mnie oblażyły pchły.

Co więcej, pisanie recenzji było środkiem do celu, nazwisko recenzenta stawało się znane w kołach wydawniczych, gdzie czytano każdą recenzję, choćby najkrótszą. Właśnie tą drogą Libby miała zamiar wypłynąć, choćby wszystkie moce piekielne sprzysięgły się przeciwko niej, pomimo napadów pesymizmu, gdy zdawało jej się, że nie pójdzie już w żaden „feralny poniedziałek” do LeRoya, żeby patrzeć, jak drapie się w brodę, przeglądając jej recenzje. Poniedziałek był jej dniem u LeRoya, sama go zresztą ustaliła i nigdy nie zmieniała, chyba że było święto, jako że mężczyźni kierują się przyzwyczajeniem.

Po ostatniej ponurej sesji, gdy tak ją nastraszył, postanowiła, że musi mieć i drugie zajęcia. „Pani cholernie dobrze pisze...” Po tych jego słowach wbiła sobie do głowy, że powinna z nim pogadać o tłumaczeniach, ten pomysł podsunęła jej właściwie Kay. Powołała się na Haralda, twierdzącego, że Libby powinna się w czymś wyspecjalizować. Bo inaczej idzie w zawody ze wszystkimi absolwentkami anglistyki, które co czerwiec kończą studia i kiedyś pisywały wiersze lub wydawały pisma literackie. Wobec tego Libby powinna wykorzystać swoją znajomość języków obcych

- zwłaszcza włoskiego, bo mieszkała we Włoszech - i wykroić sobie własne pole działania. Niech zaproponuje, że przetłumaczy jeden rozdział na próbę za darmo, a jeśli tłumaczenie się spodoba, niech przełoży całą książkę, pracując godzinę dziennie. To literackie ćwiczenie dobrze wpłynie na jej styl, wyrobi się na specjalistkę, technika swego rodzaju. Inni wydawcy zaczną jej przysyłać włoskie książki, a redaktorzy pism poproszą o recenzje włoskich książek, pozna naukowców i profesorów, stanie się autorytetem. W technologicznym społeczeństwie, mówił Harald, wszystko zależy od posiadania właściwych narzędzi.

Libby nie bardzo widziała siebie w roli tłumaczki, redagowanie było o tyle ciekawsze, że się pracowało z ludźmi. Poza tym pomysł Haralda, jak większość jego pomysłów, był zbyt długoterminowy, by przemówić do wyobraźni Libby. Jednocześnie czuła, że nie powinna pozwolić, żeby jej stosunki z LeRoyem stały w miejscu. Zaświtało jej w głowie, że to może być sposób na przejście do literatury obcojęzycznej. Dowiedziała się, że płacą więcej (siedem pięćdziesiąt) za książkę. Wobec tego podczas następnej wizyty u LeRoya nie czekała, aż zacznie grzebać w pacie z maszynopisami, tylko chwyciła byka za rogi i poprosiła, żeby jej dał francuską lub włoską książkę do recenzji, gdyż zamierza spróbować sił jako tłumaczka.

- Napiszę recenzję, a potem, jeśli będziemy chcieli wydać książkę, przetłumaczę panu rozdział na próbę.

Pomyślała, że LeRoy skrzywił się na to „będziemy”, którego użyła umyślnie, żeby brzmiało fachowo. Dziwnym zbiegiem okoliczności dostał akurat tego dnia włoską powieść od swego stałego eksperta, profesora Uniwersytetu Columbia, z dopiskiem: „Proponuję uzyskać jeszcze jedną opinię”. Było to istne zrzędzenie losu, że Libby napatoczyła się LeRoyowi właśnie w tym czasie, sam najwyraźniej tak sądził.

- Dobrze - powiedział. - Niech pani to weźmie. - Zastanowił się. - Mówi pani płynnie po włosku?

- *Fluentissimo*.

Uprzedził ją, że nie opłaci się tłumaczyć książek, jeśli nie czuje się absolutnie swobodnie w danym języku, decyduje tu bowiem tempo. Wyszła od LeRoya lekko wystraszona, coś w jego zachowaniu powiedziało jej, że dał jej ostatnią szansę.

W domu zorientowała się, że zastawił na nią pułapkę. Dialogi były przeważnie w sycylijskim dialekcie. Przyzwyczajona do czystego tokańskiego włoskiego, Libby omal nie umarła. Prawdę mówiąc, nie była nawet pewna, czy to dialekt sycylijski - rzecz działa się wśród chłopów lub małych właścicieli ziemskich, a ich wioska mogła leżeć wszędzie we Włoszech. Pomyślała, żeby skoczyć do Vassar i poradzić się profesora Roselli, lecz, o biada, miał właśnie urlop akademicki, a inni profesorowie wydziału, którzy nie zaliczali się do jej przyjaciół, roztrąbiliby zapewne, że przyleciała do uczelni po pomoc. Coś jej mówiło nieśmiało, żeby zwrócić książkę i przyznać się, że jest dla niej za trudna; wzdrygnęła się na samą myśl o tym, LeRoy miałby wymówkę, aby jej powiedzieć, że to koniec.

Stała pośrodku pokoju, jedną rękę przyłożyła do czoła, do drugiej wzięła książkę i wyciągnęła ją jak recytatorka. - Stracone, wszystko stracone! - wykrzyknęła. - Żegnaj, słodka dziewczeczko! - Na chwiejnych nogach podeszła do tapczanu i znów otworzyła książkę - 521 stron! Wypadła z jej bladej, bezsilnej dłoni, strony smętnie zaszeleściły. Samotne mieszkanie ma swoje zalety, można, na przykład, mówić do siebie, ile dusza zapagnie, przemawiać też do wymaganych słuchaczy z wzrastającą pasją. Libby wstała z tapczanu, potrząsnęła głową, podeszła do lustra i wpatrzyła się w swoje odbicie, jakby miała oglądać siebie po raz ostatni w życiu. Następnie zmieniając tonację, szturchnęła się w żebra i poszła dać sałatę papużkom nierozłączkom, mówiąc sobie, że ma jeszcze cały tydzień do uporania się z tą sprawą. - Bądź dzielna! - nakazała sobie głośno, włożyła kapelusz i pewnym krokiem wyszła z domu, udając się na obiad do lokalu Alice MacCollister; zobaczyła tam znajomą dziewczynę w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Wychodząc, przystanąła przy ich stole i od razu zwierzyła się ze swego kłopotu, pokazując im włoską książkę i słownik kieszonkowy, przyniosła to wszystko, chcąc popracować przy obiedzie.

- Zauważyliśmy ciebie - powiedziała znajoma. - Musisz się chyba czuć bardzo ważna, mając taką pracę.

- Może niedługo już będę ją miała - zawyrokowała Libby. - Pięćset dwadzieścia jeden stron najgorszego sycylijskiego dialektu. A ja wychowana na Dantem!

Skończyła recenzję dopiero pod wieczór następnej niedzieli, mimo że przez cały weekend siedziała w domu i nie rozwiązała nawet krzyżówki w „Timesie”. Fabułę streściła krótko. Nie wszystko zrozumiała z akcji, choć śłęczała nad atlasem i słownikami z czytelnicy publicznej. Napisała, że książka stanowi „studium problemów” agrarnych współczesnych Włoch, wyrosłych z feudalnej przeszłości. Protagonista, Don Alfonso, przedstawiciel starego porządku, ma na pieńku z sołtysem, który wierzy w postęp i zmiany. Ostro zarysowani chłopci mówią soczystym, dosadnym, nasiąkłym chlewem i stodołą językiem i są podzieleni na zwolenników Don Alfonsa i sołtysa Don Onofria. Córka Don Onofria, Eufemia, zostaje wciągnięta w walkę polityczną i przypadkowo śmiertelnie zraniona nożem w czasie burzliwego wiecu na placu. Chłopci uważają ją za świętą i usiłują oddawać cześć jej szczątkom. Powstrzymuje ich miejscowy ksiądz. Zjawiają się *carabinieri* i przywracają porządek, potem wydarza się „cud” nad grobem Dońi Eufemii. Cud ma miejsce podczas uroczystości pogrzebowych Don Alfonsa, ostatniego z rodu, i jest wyraźnie zamierzonym symbolem. Książka obfituje w szczególnie, dobrze pokazany folklor, zwłaszcza niezłe wypadł gobelin, a raczej mozaika pogańskich wierzeń, chrześcijańskich zabobonów i prymitywnego animizmu, świecącego ciemnym blaskiem w umysłach chłopów, niczym w starożytnym, mrocznym, pełnym nietoperzy kościele o nierównej kamiennej podłodze, poznaczonej wydeptanymi, zapadłymi grobowcami normandzkich krzyżowców, gdzie klerestorium podtrzymują zniekształcone filary zrabowane w greckich świątyniach. Polityczne »stanowisko« autora nie jest jasno zdefiniowane. Gdzie stoi w tej walce? Po stronie Don Alfonsa czy sołtysa? Autor nie wypowiada się na ten temat, ale ważne jest, abyśmy my, czytelnicy, to wiedzieli. Miejsce wyznaczone na „cud” każe nam sądzić, że po stronie sołtysa, *ergo* po stronie dzisiejszych Włoch i Il Duce. *Carabinieri* zjawiają się jak prawdziwi oswoobodziciele. Gdy próbujemy zajrzeć do kotła tej wrzącej *minestra*, którą jest powieść, odrzuca nas buchająca para ostrego, parzącego języka. Recenzent jednak nie może się oprzeć wrażeniu, że autor napisał apologię korporacyjnego państwa. Z tego powodu wyraziłabym negatywną opinię o szansach tej książki u nas”.

Libby często słyszała swoją ciotkę w Fiesole mówiącą, że Mussolini robi dużo dobrego dla Włoch, sama jako dziewczynka zachwycała się czarnymi koszulami na

wieczach na Piazza della Signoria. Usiłowała jednak spojrzeć na tę powieść z punktu widzenia LeRoya, nie zapominając o Etiopii, Hajle Sellasjem i Lidze Narodów, ogólnie biorąc, była zadowolona ze swego wysiłku, gdy przyniosła recenzję w poniedziałek, szczególnie ze sposobu, w jaki udało jej się wywołać wrażenie, że rzecz dzieje się na Sycylii, nie mówiąc tego wyraźnie, na wypadek gdyby się myliła.

Siedziała, splatając palce, gdy LeRoy przeglądał recenzję.

- To wygląda na niesamowitą operę - odezwał się, podnosząc oczy po pierwszych zdaniach. Libby czekała. On czytał dalej i nagle strzelił ku niej spojrzeniem spod krzaczastych brwi. Odłożył błękitną teczkę, w roztargnieniu pociągnął za jedwabny sznurek, podniósł jedną bolesciwą brew, jak gdyby miał *tic douloureux*, i powoli zapalił fajkę. - Och, ludzie! - zachichotał. - Jaką książkę pani czytała? - Podał jej recenzję pierwszego recenzenta: „...zbyt mało znany klasyczny utwór włoskiego walczącego liberalizmu, zaprawionego Czechowowską litością i ironicznym obiektywizmem... Autor, któremu ta jedna książka zapewnia miejsce w literaturze włoskiej, zmarł w 1912 roku”.

Libby odebrało mowę.

- Śmiech pusty i trwoga - powiedziała w końcu, usiłując też się roześmiać. - Mogę wyjaśnić.

- Nieważne. Widzę, co panią zmyliło. Nawyki i obyczaje zapewne nie zmieniły się we Włoszech w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.

- Z ust mi pan to wyjął! - wykrzyknęła Libby, niemal spadając z krzesła z ulgi. - Czas stanął w Mezzogiorno. Miałam zamiar to napisać. Myślałam, że autor chciał podkreślić zacofanie. Och, czy kto kiedy słyszał coś tak śmiesznego? Będę musiała napisać drugą recenzję. „W świetle ostatnich odkryć, cha, cha...” Proszę mi ją oddać. - Niespokojnie zwróciła ku niemu wesołą twarz, zdając sobie sprawę, że jest okropnie zdenerwowana pod wpływem jego zamyślnego milczenia.

- Panno MacAusland - westchnął LeRoy - muszę być z panią szczery. Niech pani poszuka sobie pracy innego rodzaju. Myślała pani kiedy o agencji literackiej? Czy o którymś z pism kobiecych? Pani ma prawdziwy talent pisarski, proszę mi wierzyć, i kolosalne zacięcie. Ale nie jest pani stworzona do pracy edytorskiej.

- Ale dlaczego? - całkiem spokojnie spytała Libby, czując prawdziwą ulgę; kiedy cios już na nią spadł, była po prostu ciekawa, a nie zmartwiona.

- Nie jestem pewien, czy potrafię to pani wytłumaczyć. - LeRoy pykał z fajki. - Sam starałem się zrozumieć, co jest nie tak. Pani nie ma po prostu zmysłu trzeźwego sądu czy nosa, czy czegokolwiek, co jest potrzebne do wybrania właściwego utworu do wydania. Powiedzmy, że nie jest pani dość twarda. Ma pani współczującą naturę. Dlatego widzę panią u agenta literackiego. Powtarza mi pani, że chciałaby pracować z autorami. Właśnie na tym polega zadanie agentów, starają się umieścić dzieła autorów, zwłaszcza w magazynach literackich. Zachęcają autorów, zapędzają ich do roboty, mówią im, co usunąć z tekstu, trzymają ich za rączkę, zapraszają na lunch.

- Przecież wydawcy też to robią - ostro wtrąciła Libby. Często widziała siebie w wyobraźni w szykownym kapelusiku i kostiumie zapraszającą autorów na lunch z funduszu reprezentacyjnego i omawiającą z nimi ich dzieła przy kawie.

- Plotki na ten temat są bardzo przesadzone - rzekł LeRoy. - Pani pewnie myśli, że jadam co dzień lunch ze sławnymi pisarzami u Ritza. A tak naprawdę, to jadam przynajmniej dwa razy w tygodniu sam w Automacie. Jestem na diecie. Dziś jadłem lunch z agentką, diabelnie sprytną kobietą. Zarabia trzy razy tyle co ja. - Okrągłe łuki brwi Libby wyraziły zdziwienie i niedowierzanie. - I jeszcze coś. Edytorstwo jest domeną mężczyzn. - LeRoy pochylił się naprzód. - Mówię o wydawaniu książek. Niech mi pani wymieni choć jedną kobietę prócz Blanche Knopf, żony Alfreda Knopfa, która zrobiła karierę jako wydawca. Kobiety widzi się na peryferiach - w reklamie lub propagandzie, pracują nad adiustacją albo korektą. Są to przeważnie stare panny, mają ołówki zatknięte za uchem i cierpią na niestrawność. Mamy u nas kapitalną pannę Chambers już chyba od dwudziestu lat, zdaje się, że i ona ukończyła Vassar. A może Bryn Mawr. Skwaśniała, do jej długiego cienkiego nosa pasowałaby zwisająca kropla, nosi zapięte pod szyję swetry i okulary w metalowej oprawce, a przecież to bardzo inteligentna, porządna, źle opłacana, wspaniała kobieta. Nasza niewolnica galerowa, proszę wybaczyć kalambur. Nie, wydawnictwo jest domeną mężczyzn, chyba że kobieta poślubi wydawcę. Niech się pani wyda za wydawcę i zostanie panią jego domu. Albo niech pani nawiąże kontakt z agentem literackim. Lub też postara się dojść do czegoś w kobiecych pismach.

- Co za obraz pan wyczarował - powiedziała z namysłem Libby, wspierając brodę na dłoni. - Zastanawiam się... Czy udzieliliby mi pan wywiadu dla magazynu alumnów Vassar?

- Nie byłoby to chyba zgodne z polityką naszej firmy - sztywno powiedział LeRoy, unosząc dłoń.

- Nie wymieniałabym pana nazwiska, gdyby pan sobie tego nie życzył. Mogłabym już teraz zrobić kilka notatek. A jeszcze lepiej, gdyby pan miał któregoś dnia czas na cocktail...

- W tym tygodniu mamy konferencję handlową - szorstko odrzucił propozycję Libby LeRoy. - A w przyszłym, zaraz... - Spojrzył na kalendarz stojący na biurku. - W przyszłym muszę wyjechać. - Odchrząknął. - Może pani oczywiście napisać, co pani chce, ale wolałbym nie być w to wmieszany.

- Rozumiem - rzekła Libby.

Chciała wstać, gdy przyszło jej do głowy, że zbyt potulnie przyjęła odprawę, nie usłyszawszy ani jednego konkretnego powodu. LeRoy mówił samymi ogólnikami, nie wskazał, na czym polegał jej błąd, żeby mogła go naprawić. Więc jeśli szybko czegoś nie wymyśli, nie będzie już miała wymówki w rodzaju wywiadu, aby znów się z nim spotkać. Co się robi w takiej sytuacji?

Zapaliła papierosa.

- Może by pan spróbował dać mi coś innego. Pisanie notek na skrzydełka, na przykład. Jestem pewna, że potrafiłabym to robić.

- Całkowicie się zgadzam - przerwał jej LeRoy - że pani potrafiłaby pisać zupełnie znośne notki na okładkę. Ale w naszej branży to praca wyrobnicza. Nie przynosi żadnego zaszczytu. Każdy wtrąca swoje trzy grosze. Ja, moja sekretarka, redaktorzy, gońcy. Krótko mówiąc, panno MacAusland, naprawdę nie mamy pracy, do której posiadałaby pani odpowiednie kwalifikacje. Jest pani jedną z tysięcy absolwentów anglistyki co czerwiec tłumnie kończących studia, którzy wbili sobie do głowy pracę w wydawnictwie. Rodziny wspomagają ich przez jakiś czas, rok przeważnie, nie dłużej. Potem dziewczęta znajdują w końcu kandydata na męża, a chłopcy inne zajęcie.

- I pan uważa - wtrąciła Libby - że jestem tylko jedna z tej szarej masy. Tych anonimowych hord.

- Jest pani bardziej wytrwała - LeRoy spojrzął na zegarek i westchnął. - I twierdzi pani, że rodzina jej nie pomaga. Co czyni pani wytrwałość groźniejszą. I wydaje się pani mieć jakieś nieuchwytnie powiązanie z literaturą. Życzę szczęścia. - LeRoy wstał i podał Libby rękę przez biurko, mocno ściskając jej dłoń. Upuściła na dywan palącego się papierosa.

- Och, papieros! O Boże! - krzyknęła. - Gdzie on jest?

- Niech się pani tym nie przejmuje. Znajdziemy go. Panno Bisbee! - zawołał, sekretarka natychmiast wsunęła głowę w otwarte drzwi. - Tu gdzieś spadł palący się papieros. Proszę go poszukać. I niech pani dopilnuje, aby panna MacAusland dostała czek następną pocztą. - LeRoy porwał płaszcz Libby, żeby pomóc jej go włożyć, sekretarka, na kolanach, przesuwała rękami po dywanie, szukając papierosa, Libby zakręciło się w głowie z powodu wstrząsu i zmieszania. Zrobiła krok w tył i, proszę sobie wyobrazić, padła jak długa, bez zmysłów w ramiona LeRoya.

Musiała jej się zrobić słabo w przegrzonym gabinecie. Sekretarka LeRoya powiedziała jej później, że Libby całkiem Zzieleniała i na czole wystąpił jej zimny pot. Zupełnie jak tamtego lata, gdy była z ciocią w Uffizi i padła bez czucia przed obrazem *Narodziny Wenus*. Lecz Gus LeRoy (skrót od Augustus) był przekonany, że zemdląca z głodu - wyznała, że nie jadła lunchu. Zmusił ją do przyjęcia dziesięciu dolarów plus dolara na taksówkę, które dał jej z własnej kieszeni. Nazajutrz rano zatelefonował do niej i kazał jej pójść do kobiety, agenta literackiego, potrzebującej zastępcy. Wskutek tego, zaprawdę powiadam wam, miała teraz szykowną posadę za dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo, czytała rękopisy, pisała listy do autorów i jadła lunchy z wydawcami. Bardzo się zaprzyjaźniła z LeRoyem, który, jak się dowiedziała od szefowej, był jednak żonaty.

ROZDZIAŁ 9

Gus poznał Polly na przyjęciu u Libby w maju następnego roku. Był rok 1936 i połowa dziewcząt z grupy powychodziła za mąż. Z dawnej paczki Libby zaprosiła tylko Priss, która nie mogła przyjść, oraz Polly i Kay - z resztą potraciła kontakt. Podawała gościom poncz, zrobiony z wina Liebfraumlich, świeżych truskawek i słodkiej marzanny wonnej. Marzanna pochodziła z Niemiec i kupowało się ją sproszkowaną w specjalnym sklepie na Drugiej Alei pod koleją nadziemną, w zakurzonej niemieckiej firmie z aptekarskimi dzbanami i aptekarską wagą, moździerzami i tłuczkami w oknie. Libby powiedziała Polly przez telefon, że nie sposób nie zauważyć tego sklepu, jest o parę kroków od jej mieszkania, więc mogłaby kupić marzannę któregoś dnia, wracając z pracy do domu. Może to kupić w wilię przyjęcia, bo należy to tylko namoczyć na noc. Polly pracowała jako laborantka w Ośrodku Uniwersytetu Cornell, przeprowadzała głównie badania podstawowej przemiany materii, znaczyło to, że musiała być w szpitalu wcześniej rano, gdy pacjenci się budzą. Natomiast kończyła pracę wcześniej po południu, gdy Libby była jeszcze w biurze, i często wracała do domu koleją nadziemną przez Drugą Aleję - mieszkała na Dziesiątej ulicy, niedaleko St Mark's Place, niemal naprzeciw kościoła St Mark's-in-the-Bouwerie, w którym pastor, doktor Guthrie, miał takie piękne szaty liturgiczne; jednakże Polly nigdy nie skorzystała z sąsiedztwa kościoła i spała do późna w niedzielę.

Sklep zielarski był oddalony o dziewięć przecznic od mieszkania Polly, można było mieć pewność, że nie omieszka po swojemu, łagodnie, z uśmiechem, ale kąśliwie, wytknąć tego Libby, przynosząc zioła. Na co Libby zwróciła koleżance uwagę, że odległości między przecznicami są niewielkie, a Polly bardzo się przydał spacer na świeżym powietrzu. Gdy Polly opisała wystawę farmakologiczną sklepu - wszystkie te zioła, rośliny lekarskie i *materia medica* w dużych szklanych słojach ze szklanymi korkami i łaćńskimi napisami, wykaligrafowanymi ozdobnymi gotyckimi literami, Libby pożałowała, że sama nie pojechała tam taksówką. I żeby wynagrodzić Polly trudy, zaprosiła ją na kolację do nowego lokalu w Village, potem wróciły do Libby i zabrały się do robienia ponczu i innych rzeczy w związku z przyjęciem. Polly

uwielbiała kwiaty (tego wieczoru dokonała cudów z dzikim dereniem Libby) i знаła się na kuchni. Libby namówiła ją, żeby zrobiła sławne *pate* z kurzych wątróbek, na które ojciec Polly przywiózł przepis z Francji, szarpnęła się na kupno kurzych wątróbek na bazarze i teraz stała, patrząc, jak Polly najpierw je podsmaża, następnie mozolnie przeciera przez sito.

- Nie będą zanedo surowe? - spytała. - Kay twierdzi, że zawsze gotuje wszystko o piętnaście minut dłużej, niż przewiduje przepis. - Libby była zgorziona ilością najlepszego masła, które Polly dodała, plus brandy i sherry - nic dziwnego, że Andrewsowie są zrujnowani. Ale to ładnie ze strony Polly, że zgodziła się to zrobić, a gdy się już do czegoś zabrała, nie pozwalała nikomu się wtrącać. Wszyscy Andrewsowie byli tacy. Polly twierdziła, że ojciec zawsze sam gotuje rosół do polania pasztetu, co nadaje mu połysk, lecz Polly, dzięki Bogu, zgodziła się użyć *consomme* firmy Campbell z puszki do wysmarowania formy, bo inaczej byłyby na nogach do świtu. A i tak Libby była całkowicie wyczerpana po wyjściu Polly. Samo przecieranie wątróbek zajęło prawie godzinę. Słyszeć nie chciała o tym, aby Polly jeszcze pozmywała; na drugi dzień po południu miała przyjść kolorowa służąca, żeby posprzątać i usługiwać gościom.

Na szczęście Polly mogła dostać się do domu autobusem kursującym przez Ósmą ulicę, mieszkała daleko od Libby, na zachód od Piątej Alei, i musiałaby mijać ponure rudery i składy. Polly mieszkała w przyzwoitym domu, ale nie tak ładnym jak dom Libby, gdzie pokoje były wysokie, z kominkami i oknami niemal do samej podłogi. Pochlebstwem właściwie byłoby nazwać locum Polly mieszkaniem. Składało się tylko z umeblowanego pokoju i łazienki, w pokoju stał tapczan nakryty przywiezioną przez Polly z domu pikowaną narzutą z różnych kawałków, prócz tapczanu umeblowanie składało się z podniszczonych wiktoriańskich krzesel, zabawnego stołu z marmurowym blatem na nogach w kształcie lwich łap, kuchenki z dwoma palnikami, kilku półek w kącie wyłożonych jasnoblękitną ceratą, za białą zasłoną, i cieknącej lodówki. Mieszkanie było przynajmniej czyste, właściciele należeli do warstwy wolnych zawodów (żona skończyła Vassar w 1918 r.), a Polly zaprzyjaźniła się z innymi lokatorami, dwoma uchodźcami - białym Rosjaninem i niemieckim Żydem socjalistą - o których opowiadała zabawne historyjki w związku z

ich gwałtownymi dyskusjami. Polly miała dobre serce, każdy nowy znajomy zwierzał się jej ze swych kłopotów i prawdopodobnie pożyczal od niej pieniądze. A przecież rodzina biedaczki nie mogła jej przysłać ani centa. Jej ciocia Julia, mieszkająca na Siedemdziesiątej Drugiej ulicy róg alei Parkowej, dała jej trochę porcelany i naczynie do podgrzewania potraw, lecz nie wiedziała, jak mieszka bratanica, bo z powodu choroby serca nie mogła wchodzić na schody. Za jej czasów St Mark's Place był elegancką dzielnicą, a dama nie zdawała sobie sprawy, że zaszły tu zmiany. Jednakże mieszkanie byłoby całkiem odpowiednie, gdyby Polly nie dawała się wykorzystywać. Na przykład niemiecki Żyd, pan Schneider, ciągle znosił jej prezenciki, kolorowe owoce z marcepanu (raz przyniósł marcepanową parówkę w bułce, która nie wiadomo dlaczego zachwyciła Polly), pierniczki w czekoladzie, malutki wazonik z koniczyną na dzień św. Patryka, a Polly za to pomagała mu w angielskim, żeby mógł dostać lepszą pracę. Wobec tego niemal co wieczór pukał do jej drzwi. Libby poznała go kiedyś - prawie karzełek, z szopą niesfornych kędzierzawych siwych włosów, mówiący z ostrym cudzoziemskim akcentem i dość stary (jak z radością stwierdziła Libby), żeby być ojcem Polly, gdyby pan Andrews sam nie był prawie tak stary, aby móc być dziadkiem córki. U Polly spotykało się nieprawdopodobne dziwadła, przeważnie osoby wiekowe - Ross, służącą ciotki Julii, postać niewątpliwie przezabawną, zawsze z robótką na drutach, gdy przyszła z kotletami baraniami od rzeźnika swej pani przy alei Parkowej; białego Rosjanina, biedaczysko lubił grać z Polly w szachy; lodziarza. Powiedzmy, że z lodziarzem to trochę przesada, ale Polly opowiadała przekomiczną historię o tym Włochu lodziarzu, prawdziwym troglodycie, który pewnego dnia w marcu zjawił się u niej z blokiem lodu na ramieniu, powtarzając w kółko „patki”; więc Polly pyta, czy mówi o odpadkach, a on: - nie, nie, pani, patki! - wierzcie lub nie, ale okazało się, że facet ma kłopoty z zeznaniem podatkowym, zgrabiła ręką wyciągnął z tylnej kieszeni spodni formularz - tylko Polly mogła mieć lodziarza płacącego podatek dochodowy. Usiadła z nim naturalnie i pomogła mu uporać się z arytmetyką, potrąceniem kosztów własnych oraz wydatkami na rodzinę. A przecież gdy któraś z przyjaciółek poprosiła ją o coś, potrafiła się unieść i powiedzieć: „Libby, doskonale możesz to zrobić sama”.

Z wyglądu należała do typu „łagodnego promienia słońca” - bardzo jasna, z prawie lnianymi włosami koloru bladej słomy lub surowego jedwabiu, dużymi niebieskimi oczami i mlecznobiałą skórą, sinawą jak chude mleko; miała miękkie, pulchne podbródek, jak gdyby z dołeczkiem czy pęknięciem pośrodku, pulchne białe ramiona i szerokie, otwarte czoło. Niektórzy uważali, że jest podobna do aktorki filmowej Ann Harding, ale nie była tak wysoka jak tamta. Owijała warkocze wokół szerokiej głowy, uważając, że tak jest schludniej dla pracownicy szpitala, jeśli ma włosy mocno splecione. Niestety, to ją postarzało. Gdy Priss po ostatnim poronieniu leżała w półseparacie w New York Hospital, Polly co dzień ją odwiedzała, co było łatwe dla niej, jako pracownicy tego szpitala; patrząc na jej biały fartuch, pantofle na płaskich obcasach i te owinięte wokół głowy warkocze jak u matrony, inne pacjentki uważały, że musi mieć co najmniej dwadzieścia sześć lat. Ona też była w Łańcuchu Stokrotek (cztery ich było z grupy - Libby, Lakey, Kay i Polly, swoisty rekord, rzecz można), Libby nigdy nie zgodziła się z opinią, że Polly jest piękna. Zarzucała jej, że jest zbyt spokojna i bezbarwna, chyba że się uśmiecha. Kay obsadziła ją w roli Najświętszej Panny w bożonarodzeniowej pantomimie, którą reżyserowała na ostatnim roku, ale zrobiła to dlatego, żeby podnieść Polly na duchu po zerwaniu z obciążonym dziedzicznie chłopakiem.

Naprawdę jednak pod maską spokoju Polly była bardzo uczuciowa, bardzo towarzyska, była cudownym kompanem, osobą o oryginalnych poglądach. Wszyscy Andrewsowie byli oryginalni. Jako główny przedmiot studiów Polly obrała chemię, bo zamierzała kształcić się dalej na lekarza, lecz kiedy pan Andrews stracił majątek, musiała oczywiście zrezygnować z tych planów; na szczęście Biuro Powołań na uczelni znalazło jej posadę w szpitalu przy Uniwersytecie Cornell. Wszystkie koleżanki z grupy miały nadzieję, że Polly pozna tam jakiegoś szalonego lekarza lub patologa, który zechce się z nią ożenić, jak dotąd jednak nic takiego się nie zdarzyło, a jeśli tak, to nikt o tym nie wiedział. Polly mało o sobie mówiła. Słuchając jej, można było pomyśleć, że nie widuje nikogo prócz ciotki, swoich sąsiadów dziwadeł i pracujących dziewcząt, dość nudnych na ogół, w rodzaju tych - według Kay - które trzymają na oknach papierowe narcyzy w doniczkach ze sklepu, gdzie wszystko kosztuje pięć dolarów dziesięć centów. Zdolność nawiązywania przyjaźni z szarymi

ludźmi była *faiblesse* Polly. Dowód: studentki chemii z Vassar, niewątpliwie poczciwe dusze, lecz jako grupa (i to spostrzeżenie jest zasługą Kay) były najniższą warstwą w Vassar. Typy, twierdziła Kay, których nikt nie będzie pamiętał na dziesiątym zjeździe dorocznym: żalosne okazy z chorobami skóry, nadmiernym owłosieniem ciała, w grubych okularach, za tłuste lub za chude, mające nazwiska w rodzaju Hasenpfeffer. Co czekało je po studiach? Czy wszystkie wrócą do swoich rodzinnych miast, zostaną podporami społeczności, a w swoim czasie pošlą córki do Vassar, żeby utrzymać gatunek, czy też zostaną nauczycielkami lub skończą medycynę i pewnego dnia będzie nawet o nich głośno? „Doktor Elfrida Katzenbach pracuje w Instytucie Rockefellera, wiesz, Katzy” - można będzie przeczytać w wiadomościach alumnów i człowiek będzie się głowił, kto zacz. Astronomia i zoologia były cokolwiek lepsze od chemii, Pokey studiowała zoologię i cud nad cudy, w zeszłym roku zakręciła się i wyszła za mąż za poetę, swojego dalekiego kuzyna, odbywającego studia podyplomowe w Princeton; rodzina Pokey kupiła tam młodej parze dom, ale Pokey w dalszym ciągu latała swoim samolotem do Ithaki i w dalszym ciągu zamierzała zostać weterynarzem. W każdym razie astronomia i zoologia stały wyżej - nie takie suche, było w nich więcej fantazji, to samo w botanice. Po studentkach fizyki i chemii najnudniejsze były adeptki filologii, Libby cudem uniknęła ich losu. Wszystkie czekała kariera nauczycielek francuskiego czy hiszpańskiego w szkołach średnich rodzinnych miasteczek, nosiły nazwiska w rodzaju: Peltier czy La Gasa. I w tych kołach Polly miała przyjaciółki, które zapraszała nawet do Stockbridge, żeby jej ojciec miał z kim porozmawiać po francusku. Polly była demokratką (wszyscy Andrewsowie głosowali na Roosevelta jako krewni Delanów), aczkolwiek Lakey twierdziła, że cała ta ich demokracja jest powierzchowna i że w głębi duszy Polly jest feudalną snobką.

Jakkolwiek rzeczy się miały, Libby spotykała się z Polly bardzo często i zawsze zapraszała ją na swoje przyjęcia. Jednakże Polly, która była wspaniałym kompanem w małym gronie, nie błyszczała niestety w większym towarzystwie. Mówiła bardzo cicho, jak jej ojciec, który odzywał się łagodnie, niemal szeptem.

Ludzie, którzy nie słyszeli o jej pochodzeniu (gniazdo szlacheckie z przypadkami bzików w rodzinie, siostry pana Andrews'a były portretowane przez Sargenta*), przeważnie nie zwracali na nią uwagi albo po jej wyjściu pytali, kto jest ta cicha blondyneczka. To też było charakterystyczne dla Polly, że zawsze wychodziła z przyjęcia wcześniej, chyba że się jej kazało coś zrobić, na przykład wciągnąć w rozmowę jakiegoś nudziarza, żeby się poczuła użyteczna. Wystarczyło tylko powiedzieć jej, żeby ruszyła na ratunek komuś podpierającemu ścianę, a Polly natychmiast wciągała delikwenta w ożywioną rozmowę, w której zwierzał się jej z najniezwyklejszych rzeczy, o które nikt by go nie podejrzewał. Ale gdy jej się mówiło, że ktoś jest olśniewający, palcem w bucie nie kiwnęła - obawiam się, że będę musiała się pożegnać, Libby (wszyscy Andrewsowie przemawiali w ten deseń).

* John Singer Sargent (1856-1925) - sławny malarz angielski, który wspiął się głównie portretami osób z wyższych sfer Francji i Anglii.

Wystarczyło jednak zapowiedzieć jakąś grę - pokera czy „przypiąć ośli ogon” - żeby Polly poczuła się w swoim żywiole: radośnie segregowała sztony, wycinała ogony z papieru lub robiła opaski na oczy, zawsze była sędzią - osobą ustanawiającą reguły gry i pilnującą porządku. Również i to było cechą rodzinną. Po utracie majątku i tylu kłopotach Andrewsowie zachowali pogodę ducha dzięki szaradom i grom. Ktokolwiek gościł w ich wielkim farmerskim domu z ogromnym kominkiem, strychemi i pomieszczeniami gospodarskimi, natychmiast po kolacji zostawał powołany do roli „tego” i szybko pouczony o regułach gry, biada zaś temu lub tej, którzy okazali się nie dość pojętni. W niektóre wieczory odgrywali bardzo zawile kostiumowe szarady w stodole ogrzewanej naftowymi piecykami. Kiedy indziej bawili się w „mord”, chociaż przekonali się, że ta zabawa bardzo rozstraja pana Andrews'a, który miewał podobno ataki furii w szpitalu i drżał na całym ciele, gdy mając gorszy dzień, musiał krajać mięso przy stole. Czasem bawili się w „cache-cache”, co było po prostu francuską nazwą pocziwego chowanego z nieco zmienionymi regułami, których nauczyli się w swoim zamku we Francji. Lub w „dychy”, tę zabawę rodzina przemianowała na „dynię”, bo pan Andrews zaczynał czasem cichutko płakać lub

dziwnie się śmiać, gdy odpowiadając na pytanie, musiał powiedzieć: jestem jedną trzecią ducha, wobec tego mówili: jestem jedną trzecią dyni, jak w powiedzonku „głupi jak dynia”. Bawili się jeszcze w „geografię”, w czym pan Andrews był szatanem, bo tyle podróżował i wiedział nawet, jakie miejscowości zaczynają się na „y” i „k”, na przykład Ypres, które wymawiał „Wipres” (wycieracze), Yezd, Kyoto i Knossos. Wymyślili też nową wersję „duchów” pod nazwą „chytry austriacki dyplomata”. (Jesteś chytrym austriackim dyplomata? Nie, jestem Metternichem.) Rodzina Polly, odznaczająca się inteligencją, lubiła najbardziej gry w zgadywanki, ale bawili się też w niemądre gry, na przykład w „zapakowałem kufer babci”. W deszczowe dni grali w szachy, warcaby i tryktraka, musieli przestać grać w monopol (dostali tę grę od jakiegoś przyjaciela), bo pan Andrews, biedaczysko, przypominał sobie przy tej grze o swoich fatalnych inwestycjach. Gdy rodzina musiała powziąć wspólną decyzję, na przykład do jakiego college'u posłać młodego Billa lub co zrobić na bożonarodzeniowy obiad, z całą powagą odwoływali się do „*sortes Virgilianae*”, posługując się *Eneidą* pana Andrews: dzieci otrzymywały prawo głosu, jeśli potrafiły przetłumaczyć kawałek łacińskiego tekstu, proszę sobie wyobrazić! Dzieci bawiły się też w poszukiwanie skarbów, a skarbem bywała poduszeczka do szpilek zrobiona w domu, kalendarz czy pojedyncza cebulka narcyza, bo nie mogli już sobie pozwolić na poszukiwanie skarbów konno, mieli tylko kilka krów i trochę kur; pewnej zimy spróbowali jeździć na świni. Dawniej Polly polowała i jeździła konno w damskim siodle, miała jeszcze strój do konnej jazdy, buty i melonik, które zabierała do Princeton, gdy Pokey przypominała sobie, aby ją zaprosić (Pokey miała własne konie i polowała podczas weekendów), musiała jednak trochę poszerzyć marynarkę, bo była odrobinę grubsza, niż kiedy miała osiemnaście lat, mówiono, że ciągle ślicznie wygląda z białą karnacją i jasnymi włosami w czarnym stroju amazonki i plastronie. Czarny był kolorem Polly.

W dni powszednie Polly ubierała się skromnie, w stary sweter, układaną spódnicę i pantofle na płaskich obcasach. Lecz na przyjęcia takie jak u Libby miała dobrą czarną sukienkę z jedwabiu z ząbkowanym dekoltem i szarfą z frędzlami; poza tym posiadała dwa czarne kapelusze z szerokimi rondami - na zimę i lato. Letni, który miała na sobie teraz, był z czarnej ażurowej słomki przybranej czarną koronką.

Jedwabna sukienka rudziała już miejscami (czarna krepa niestety rudzieje), uwydatniała jednak jej pełną białą szyję, mięsisty podbródek i biust; włosy miała zwinięte w leżący na karku kok, w czym było jej bardziej do twarzy niż w owiniętych wokół głowy warkoczach. Harald twierdził, że wygląda jak obraz Renoira. Ale Libby sądziła, że jak obraz Mary Cassatt. Sama Libby miała na sobie zapiętą pod szyję suknię z brązowej tafty (brązowy był jej kolorem), do tego kolczyki z topazami, żeby uwydatnić złote błyski we włosach i oczach. Uważała, że Polly, która nie posiadała już przyzwoitej biżuterii, mogła przynajmniej przypiąć sobie do sukni różę.

Libby uważnie dobrała gości - trochę ludzi z Vassar, trochę z branży wydawniczej. Jej siostra z mężem właśnie wrócili z Europy, poza tym było kilka osób z Wall Street, kilka z teatru, pisarka, dziennikarz z „Herald Tribune”, pani z Metropolitan Museum. *E cosi via*; nie zaprosiła nikogo ze swego biura, gdyż nie pasowaliby do tego przyjęcia. Siostra, mrużąc ametystowe oczy, zauważyła, że to zbieranina, lecz siostra zawsze odnosiła się krytycznie do aspiracji Libby.

- Arka Noego, eh? - zachichotał szwagier. - Pokaż swój zwierzyniec, Libuś! - Nigdy nie przepuścił okazji, aby pokpić z jej „życia literackiego”. Na ogół Libby podtrzymywała tę zabawę, dziś jednak co innego miała na głowie. Chciała, aby siostra z mężem zaimponowali jej nowemu adoratorowi. Nazywał się Nils Aslund, poznała go tej zimy w narciarskim pociągu. Był skoczkiem narciarskim u Altmanna i autentycznym norweskim baronem! Szwagier, który tył niepomiernie, omal nie udławił się kawałkiem *pate* według przepisu pana Andrews, widząc wchodzącego Nilsa w fantastycznym szarym garniturze, następnie pochylającego się, żeby ucałować rękę jego małżonki; Nils wyjaśnił kiedyś Libby, że w rękę całuje się tylko kobiety zamężne. Miał boskie maniery, cudowną figurę, tańczył jak młody bóg. Nawet siostra po krótkiej rozmowie z nim musiała przyznać, że jest tip-top. Mówił po angielsku niemal bezbłędnie, z leciutkim cudzoziemskim akcentem, studiował literaturę angielską, i proszę sobie tylko wyobrazić, jeszcze przed poznaniem Libby przeczytał jej wiersz w „Harper's” i zapamiętał go. On i Libby mieli te same zainteresowania. Była niemal pewna, że jej się oświadczy, dlatego, między innymi, wydała obecne przyjęcie. Chciała, aby ją zobaczył w jej własnym środowisku, stąd marzanna, proszę państwa. Nigdy go nie zaprosiła do siebie, bo kto wie, co taki Europejczyk pomyślałby

sobie? Ale na przyjęciu, i to w obecności kogoś z jej rodziny, sprawa wyglądała inaczej. Wieczorem miał ją zabrać na kolację i sądziła, że właśnie wówczas, jeśli wszystko dobrze pójdzie, on rzuci to wielkie pytanie. Szwagier też chyba zwał pismo nosem.

- Powiedz no, Libuś, czy on ma intratne zajęcie? - spytał.

Libby poinformowała szwagra, że Nils prowadzi skocznię u Altmana, że przyjechał do Stanów studiować zasady businessu.

- Skocznia narciarska to zabawne miejsce na tego rodzaju studia, dlaczego nie Wall Street? - zachichotał szwagier. - Masz talent do wynajdywania sobie kawalerów. Ale mówiąc poważnie, jego zajęcie ustawi go towarzysko na tym samym poziomie co zawodowego gracza w golfa.

Libby przygryzła wargę. Takiej właśnie reakcji się obawiała ze strony swojej rodziny. Opanowała jednak złość i rozczarowanie, pomyślała, że jeśli przyjmie oświadczyzny Nilsa, może postawić warunek, żeby zmienił zajęcie. Może mogliby otworzyć hotelik dla narciarzy w górach Berkshires, inna vassarówka i jej mąż właśnie tak zrobili. Jeszcze inna para założyła rancho na Dalekim Zachodzie. Zajęcie Nilsa to sprawa przejściowa, do śmierci jego ojca, bo wtedy Nils będzie musiał wrócić do domu i gospodarować w rodowych dobrach...

Nic więc dziwnego, że mając głowę zaprzątniętą tymi sprawami, Libby zapomniała dopilnować, żeby Polly krążyła między gośćmi, gdy przyjęcie rozkręciło się na dobre. Ale gdy się trochę uspokoiło, stwierdziła z ogromnym zdziwieniem, że Polly jest pogrążona w rozmowie z Gusem LeRoyem, który po przyjściu oświadczył, że może zostać tylko chwilę. Libby nigdy się nie dowiedziała, kto ich sobie przedstawił. Stali pod oknem, patrząc na papużki. Polly karmiła je kawałeczkami truskawki ze swego kieliszka (biedne ptaszęta urzną się na amen winem Liebfraumilch, pomyślała Libby), a Gus bez wytchnienia coś perorował. Libby szturchnęła Kay. Błękitnobiałe piersi Polly były dość widoczne, co zapewne pociągało LeRoya, a jej słomkowego koloru włosy, zawsze trochę rozwichrzone, bo takie były cieniutkie, wysuwały się ze szpilek w koku.

Libby zaczęła opowiadać Kay historię z Gusem LeRoyem. Jej baron kręcił się w pobliżu, skinęła na niego, żeby podszedł.

- Przepowiadamy romans - oświadczyła.

Gus pochodził z Fall River, gdzie jego rodzice posiadali drukarnię. Żył w separacji z żoną, miał dwuipółletniego syna. Augustyna LeRoya IV. Żona wykładała w postępowej szkole i była członkiem partii komunistycznej, miała romans z kimś w swojej komórce politycznej, właśnie dlatego Gus od niej odszedł. Jak dotąd, sam też był porządnie różowy, ale nie wstąpił do partii, wydał wielu wybitnych autorów sympatyzujących z komunizmem, teraz jednak komuniści odżegnują się od niego, bo chce się rozwieść z żoną i wymienić jako winowajcę tego drugiego, co, ich zdaniem, jest taktyką „rozłamową” czy czymś takim.

- Nils jest socjalistą - dodała Libby z uśmiechem.

- Nie, nie - zaprzeczył baron. - Byłem jako student. Teraz jestem neutralny. Ale nie rodzaju nijakiego. - Roześmiał się wesołym, chłopięcym śmiechem i spojrzał kątem oka na Libby.

Rzucając Nilsowi karcące spojrzenie, Libby wyjaśniła, że wie to wszystko od zdeklarowanej komunistki w swoim biurze, bardzo nieładnej dziewczyny, zbudowanej jak ciężarówka, która pije samotnie wieczorami lub idzie na zebrania partyjne. Ta dziewczyna (czy kobieta, ma już chyba trzydziestkę) zna żonę Gusa.

- No cóż, nieładne kobiety! - skomentował baron ze wzgardliwym grymasem. - Dla nich to jak kościół.

Libby wahała się, przyszła jej na myśl pewna dość nieprzyzwoita historia, która zawierała jednak morał dla Nilsa.

- Ośmielam się być innego zdania, drogi panie! Gdybyś wiedział, co się przydarzyło tej dziewczynie niedawno. Całkiem inna para kaloszy niż pobożne stowarzyszenie dziewcząt lub bractwo ołtarzowe św. Pawła. Musiałam ja zastąpić w biurze, do czasu gdy wyjdzie ze szpitala. Cztery wybite zęby i pęknięta szczeka. Oto co jej się dostało za należenie do partii komunistycznej.

- Pikietowanie! - wykrzyknęła Kay. - Słyszeliście o tym, że Harald stanął niedawno na czele marszu pikietowego?

- Całkiem inna para kaloszy - powtórzyła Libby, kręcąc głową. - Więc ta dziewczyna, jako komunistka, nie powiem, jak się nazywa, odnosi się z wielką sympatią do robotników. Poza tym pije. Powinniście kiedyś rano powąchać, jak jej

czuć z ust. Otóż pewnego wieczoru, przed miesiącem właściwie, pamiętacie, jak zimno było w marcu, wracała taksówką do domu, bo sobie podpła w barze; zaczęła rozmowę z taksówkarzem, rozczuliła się oczywiście nad jego losem i oboje stwierdzili, że jest bardzo zimno. Zauważyła, tak mi to przynajmniej zrelacjonowała, że taksówkarz jest bez płaszcza czy kurtki. Więc jak to między towarzyszami, zaprosiła go na kieliszek do siebie, żeby się ogrzał.

Kay zachnęła się. Libby skinęła głową. Kilka innych osób podeszło, żeby posłuchać, Libby słynęła z daru opowiadania.

- Może myślała, że brzydota ochroni ją w jakiś sposób - ciągnęła dalej Libby. - Ale on to sobie wyobrażał inaczej. Przypuszczał, że ona również. Więc po wypiciu kieliszka zaczął się do niej dobierać. Była bardzo zaskoczona i odepchnęła go. No i ocknęła się na podłodze w kałuży krwi z zębami rozsypanymi po pokoju i pękniętą szczęką. Jego już oczywiście nie było.

- Czy...?

- Nie. Podobno nie. I nic nie zginęło. Torebka leżała przy niej na podłodze. Moja szefowa uważa, że powinna pójść na policję. Tak samo uważa szpital. Musieli zadrutować jej szczękę, a zęby będzie spłacała latami. Ale nie chce nic zrobić w tej sprawie. To podobno sprzeczne z zasadami komunistów zwracać się do policji przeciw „robotnikowi”. Oświadczyła przez zaciśnięte szczęki, że to jej własna wina.

- Zupełnie słusznie - stanowczo orzekł Nils. - Popełniła błąd.

- Absolutnie się nie zgadzam! - wykrzyknęła Kay. - Czy za każdym razem, gdy ktoś źle nas zrozumie, ma prawo wybijać nam zęby...? Lub za każdym razem, gdy będziemy dla kogoś miłe, mamy zostać źle zrozumiane?

- Dziewczęta nie powinny być miłe dla taksówkarzy - odparł Nils.

- Tak przemawia stara Europa - odparowała Kay. - Zawsze jestem miła dla taksówkarzy. I nigdy nic mi się nie stało.

- Naprawdę nigdy? - spytała siostra Libby, spoglądając z litością na Kay.

- Właściwie - powiedziała Kay - jeden próbował kiedyś przesiąść się do mnie na tylne siedzenie.

- Boże! - krzyknęła Libby. - I co zrobiłaś?

- Wybiłam mu to z głowy.

Baron serdecznie się roześmiał. Zorientował się chyba, że Kay uwielbia się sprzeczać.

- Ależ moje dziecko - powiedziała Libby - co zrobiłaś, żeby go zachęcić?

- Absolutnie nic. Rozmawialiśmy, a on nagle oświadczył, że jestem piękna i że mu się podobają moje perfumy. Zatrzymał samochód i wysiadł.

- Miał dobry gust, prawda, Elizabeth? - odezwał się Nils, mówiąc do Kay, ale zaglądając głęboko w oczy Libby błyszczącymi, gorącymi niebieskimi oczami, tak że pod Libby nogi niemal się nie ugięły.

Wywiązała się ogólna rozmowa. Kay chciała opowiedzieć o pikietowaniu Haralda.

- Jego fotografia była w sensacyjnej prasie - oznajmiła. Libby westchnęła, myśląc o siostrze i szwagrze. Okazało się jednak, że historia zafascynowała słuchaczy, wcale nie była stereotypowa. Harald reżyserował sztukę dla jakiegoś lewicowego ugrupowania w centrum miasta. Zespół funkcjonował na zasadach spółdzielczych, aktorzy dzielili się zyskami, ale jak się Harald dowiedział później, nieoficjalnie kierowali zespołem komuniści. Sztuka była o sprawach robotniczych, widzowie w większej części przychodzili grupami zorganizowanymi przez związki zawodowe. - Więc gdy Harald dowiedział się, że ci komuniści w dyrekcji robią machlojki z księgowością, zorganizował aktorów i ustawił pikiety wokół teatru - dokończyła Kay.

Dziennikarz z „Herald Tribune” podrapał się w brodę.

- Pamiętam - powiedział, patrząc z ciekawością na Haralda.

- Pańska gazeta zbagatelizowała tę sprawę - wtrąciła Kay. - Tak samo jak „Times”.

- Z powodu reklamy? - podsunęła literatka. Harald pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Opowiadaj dalej, jeśli musisz - powiedział do żony.

- Więc publiczność nie mogła przejść przez kordon pikietujących, oczywiście nawet gdyby, to i tak pikietowali przeważnie aktorzy. I dyrekcja natychmiast musiała się zgodzić na cotygodniową kontrolę ksiąg przez komitet aktorski, na którego czele stał Harald. Dopiero wtedy publiczność weszła na salę.

- I przedstawienie się odbyło - zakończył Harald, ironicznie machając ręką.

- Więc wygrał pan - stwierdził Nils. - Bardzo ciekawe.

Kay wtrąciła, że w praktyce aktorzy ciągle jeszcze dostają czterdzieści dolarów tygodniowo, czyli minimalną stawkę określoną przez związek aktorów, bo sztuka nie idzie zbyt dobrze.

- W zasadzie jednak - sucho dodał Harald - było to wielkie zwycięstwo. - Jego koścista twarz miała smętny wyraz.

Libby zauważyła, że Harald nie pije, może przyrzekł to Kay. Własna sztuka biedaka nie została w końcu wystawiona, bo żona producenta wystąpiła o rozwód, w momencie gdy obsadzano role, i wycofała fundusze, sprawa trafiła do sądu i dotyczyła też sztuki Harald. Libby nigdy nie przepadała za Haraldem. Chodziły plotki, że on ciągle sypia z innymi kobietami, a Kay albo nie wie, albo nie ma nic przeciw temu, mąż imponował jej intelektualnie. Natomiast Nilsa Harald całkowicie podbił, powiedział do niego kilka słów po norwesku, zacytował parę kwestii z *Peer Gynta* (wymawia się Per Gant), w czym zawtórował mu Nils.

- Uroczy człowiek ten Petersen - zwrócił się Nils do Libby. - Masz takich czarujących przyjaciół.

Nawet siostra Libby stwierdziła, że Harald jest atrakcyjnym brzydalem.

Przez cały ten czas Polly i Gus stali pod oknem, nie biorąc udziału w ogólnej rozmowie. Mieli puste kieliszki. Polly piła bardzo mało ze względu na alkoholizm w swojej rodzinie (jeden z jej stryjów wjechał pijany konno do hotelu „Copley Plaza” w Bostonie), pozwalała sobie jednak na wypicie odrobiny wina czy kieliszka likieru Goldwasser albo likieru z drzewkiem w butelce. Libby podpłynęła do nich i zabrała im kieliszki, aby je napełnić.

- Wydaje mi się, że on ją zaprasza na kolację - powiedziała do Kay.

- I zapamiętaj moje słowa, ona odmówi. Znajdzie jakiś dziwaczny pretekst, żeby wrócić do domu.

Rzeczywiście nie minęło wiele czasu, a Polly zaczęła „przepraszać, że musi wyjść”, pytając przy tym, czy mogłaby wziąć trochę ponczu dla pana Schneidera. Libby wyrzuciła w górę ramiona.

- Po co? Przecież on równie dobrze może pójść do Luchowa w sąsiedztwie, jeśli ma ochotę na kieliszek majowego wina. Po co musisz mu to przynosić?

- Obawiam się, że to był mój pomysł. - Polly oblała się szkarłatem.
- Opowiedziałam mu o twoim ponczu, kiedy przynosiłam marzannę do domu.

Wtedy on i Szczerbatiew posprzeczała się gwałtownie na temat ich narodowych przepisów na poncz z białego wina. Szczerbatiew woli skórkę od ogórka - Polly zabawnie się uśmiechnęła. - W każdym razie przyrzekłam im przynieść trochę ponczu. Jeśli zechcesz mi go dać.

Libby spojrzała na wazę z ponczem, została w niej jeszcze jedna trzecia płynu, a goście już się rozchodzili.

- Jutro nie będzie dobry - nietaktownie wtrąciła Kay. - Truskawki skwaśnieją, chyba że je odcedzisz...

- Jeśli masz pustą buteleczkę po śmietance, nalałabym do niej trochę - upierała się Polly - albo słoik po majonezie.

Libby przygryzła wargę. W przeciwieństwie do Polly nie miała cierpliwości do niemieckich uchodźców, którzy tęsknią do kraju i „dobrego dawnego niemieckiego życia”. Posprzeczała się już kiedyś na ten temat z Polly, która powiedziała, że to ich ojczyzna. Libby zaś orzekła, że będą musieli przystosować się do Ameryki. Uważała, szczerze mówiąc, że to trochę nie przystoi niemieckiemu Żydowi tak bardzo wychwalać niemieckie produkty, bo są ludzie, którzy sądzą, że nawet my, Amerykanie, powinniśmy bojkotować faszystowskie wyroby. Powiedziała, że jej samej mogą wypomnieć, że podała Liebfraumilch na swoim przyjęciu. Zauważyła, że LeRoy wziął kapelusz i czeka, zapewne, aby się pożegnać.

Bała się, że widać po niej irytację. „Oto - chciała powiedzieć - Polly ma okazję wybrać się z panem na kolację do jakiegoś miłego lokalu, a ona woli iść do domu, do tych swoich współlokatorów tylko dlatego, że im niemądrze coś obiecała! Czy to nie jest czysta perwersja?” Poza tym żaden mężczyzna, nawet salonowy sympatyk czerwonych, nie lubi dziewcząt paradujących z buteleczkami po śmietance w papierowych torebkach. Więc powiedziała do Polly:

- Nie możesz tego wozić autobusem do domu. To się rozleje.
- Odwiozę panią taksówką - wtrącił LeRoy, postępując krok naprzód.
- Polly, pozwól do kuchni na chwilę - poprosiła Libby, wachlując się. Musiała porozmawiać z przyjaciółką bez świadków. - Słuchaj - zaczęła - nie mam nic przeciw

temu, aby ci dać trochę ponczu. Przecież to ty zdobyłaś marzannę. Ale proszę cię, bardzo cię proszę, nie zapraszaj Gusa do tego twojego pokoju i nie przedstawiaj mu tych typów nie z tej ziemi. Zrób to dla mnie, jeśli już nie dla siebie. - Libby miała na myśli, że do cudacznego domu Polly można zaprosić dziewczęta na małe co nieco, ale mężczyzna słysząc o tym domu, a tym bardziej widząc go, pomyślałby, że dziewczyna musi usychać w samotności, jeśli ucieka się do czegoś takiego. Mężczyzna, każdy bez wyjątku, lubi wyobrażać sobie, że dziewczyna jest oblegana przez tłum *olśniewających* rywali... Libby zmarszczyła brwi. Nie, właściwie źle to ujęła. Co takiego jest w mieszkańcach tego domu, w samej jego staroświeckiej architekturze, w chodnikach na schodach, w tacy z kieliszkami do likieru w złote ciapki, z wytartymi szlaczkami, które Polly trzyma u siebie, w bonzurce Szcherbatiewa, że dziewczyna wprowadzając do tego domu normalnego mężczyznę - kobiecy instynkt mówił to Libby - musi być ugotowana w jego oczach? Jak gdyby ten dom zdradzał każdemu, kto tylko przestąpił jego próg, coś bardzo osobistego, coś jak niemiły zapach Polly. Zapach biedy? Gusowi taki zapach mógłby się podobać. Raczej zapach dawnych lepszych czasów. O to idzie! Właśnie, i dom, i jego lokatorzy, i sama Polly mają niestety coś ze sobą wspólnego. Że znali kiedyś lepsze czasy, ale już nie widzą zasadniczych różnic między tamtymi czasami a obecnymi, nie żywią żadnych prawdziwych ambicji. Zachowali w sercu kilka radości pogrobowców - jak owe pachnące gałki, które Polly robiła na prezenty gwiazdkowe: pomarańcze naszpikowane goździkami, owinięte kłęczkami irysa i przewiązane wstążką do powieszenia w szafie lub włożenia do szuflady dla miłego zapachu. Te wonne gałki były właściwie bardzo wytworne, stanowiły oryginalny prezent i prawie nic nie kosztowały. Libby zapisała przepis w swoim notatniku oprawnym we florencką skórę i miała zamiar poprosić Polly, żeby pomogła jej zrobić trochę gałek na następne święta. Robienie tych gałek byłoby w jakiś sposób na miejscu dla Libby, podczas gdy dla Polly... Rzecz dziwna, byłoby nawet w porządku, gdyby Libby zamieszkała w tym domu, czego oczywiście nie zrobiłaby, bo mogłaby twierdzić, że zbiera materiał do opowiadania...

- Nie mam zamiaru go zapraszać - odparła Polly trochę sztywno. - Nie mówmy już o tym ponczu, proszę cię.

- Nie bądź niemożliwa! Ida! - Libby zawołała służącą. - Daj panie Andrews mały szklany shaker do cocktaili. Nalej do niego ponczu z wazy, ale sprawdź najpierw, czy jest czysty. Może panna Andrews chciałaby też kawałek *pate*. Jesteś pewna, że nie? - szybko spytała Polly. - I co masz zamiar zrobić? On cię odwiezie pod same drzwi...

Przez wścibskie pytania Libby ustaliła, że Polly ma zamiar zawieźć poncz do domu, potem pójdzie z Gusem do sławnej żydowskiej restauracji, tuż obok mieszkania Polly - do „Cafe Royal”, gdzie bywają wszystkie gwiazdy żydowskiego teatru i dziennikarze pism w języku jidisz.

- Czy to był jego pomysł? - spytała Libby.

- Obawiam się, że mój. To nie jest najcichszy lokal.

- Bzdura. Idealny. Nie mógłby być lepszy. - Libby uważała, że Polly postąpiła bardzo sprytnie, skoro Gus jest tak małomówny, wybierając lokal, w którym można obserwować ludzi, nie siląc się na rozmowę. Ona sama była wniebowzięta, gdy Polly ją tam zaprowadziła, bez żenady odwracała z ciekawości na wszystkie strony głowy, pytając o nazwiska znakomitości (każdy tam był wielkim nazwiskiem dla wyznawców tej samej wiary, co dowodzi, jaką marnością jest sława) i wydając okrzyki zachwytu, gdy podano jedzenie; w końcu Polly musiała kazać jej się uspokoić, bo ci ludzie mogą się poczuć dotknięci, widząc, że się na nich patrzy jak na kurioza, choć przecież każdy wie, że po to tu przychodzą - żeby się pokazać.

- Nie, doskonale zrobiłaś - powiedziała Libby zamyślona, przykładając palec wskazujący do policzka. - Co będziecie jedli? Ten cudowny czerwony barszcz, który myśmy jadły, z wrzuconym do niego kartoflem z wody?

- Nie myślałam o menu - powiedziała Polly, biorąc od służącej shaker z ponczem.

- Czekaj. Ida ci to zawinie. Idź do mojej toaletki i popraw sobie włosy. - Wepchnęła lekko srebrzyste szpilki w niski kok na pełnym karku Polly i odsunęła się trochę, aby ją obejrzeć z profilu, Polly będzie musiała uważać na podbródek. - Uperfumuj się moimi perfumami w sprayu.

Gdy Polly wychodziła, a za nią postępował LeRoy, niezdarnie szczypiąc wąż i podskakując nagle, by otulić obnażone ramiona Polly starą pelerynką ze srebrnych

lisów cioci Julii, Libby podeszła do nich i wymogła na Polly obietnicę, że jutro wieczorem odniesie shaker, bo może być jej potrzebny, w ten sposób będzie mogła usłyszeć relację z sekcji zwłok.

Kay i Harald pożegnali się, mieli wpaść gdzieś na hamburgera przed spektaklem. Harald zjawiał się co wieczór w teatrze, żeby sprawdzić, czy aktorzy grają tak, jak on sztukę wyreżyserował. Kay czasem mu towarzyszyła i czekała w garderobie.

- Parska jak stara szkapa wojenna, czując zapach szminki - wyjaśniła Libby. - Nie można jej wypędzić z garderoby. Reżyserowała na studiach.

Zapadło milczenie, jak zwykle pod koniec przyjęcia. Kilka osób ociągało się jeszcze z wyjściem, nie zdając sobie najwyraźniej sprawy, że gospodyni jest umówiona z Nilsem na kolację.

- Niech pani zostanie - namawiała Libby panią z Metropolitan Museum, która posłusznie znów usiadła; Libby nie znosiła tłumnego wychodzenia gości, gdy pokój pustoszeje zbyt szybko, jakby każdy bał się wyjść ostatni. Na dworze było jeszcze jasno, zapadał cudowny majowy wieczór. Zielonkawobiały poncz z marzanny wydawał się bledszy w ciemnym kącie, wysokie butelki reńskiego wina połyskiwały zielenią i złotem na przykrytym adamaszkowym obrusem stole z ponczem, w pokoju pachniało truskawkami i konwalia - Nils przyniósł bukiet. Służąca, trzymając czarną torbę, szykowała się do wyjścia, Libby zapłaciła jej i w napadzie wiosennego szału kazała jej zabrać resztę *pate*.

- Jesteś hojna - orzekł Nils. - W stosunku do służącej i przyjaciółki. Tej dziewczyny jak Liebfraumilch.

Więc i on dostrzegł biust Polly. Libby niepewnie się roześmiała. Ton, jakim powiedział „hojna”, zaniepokoił ją trochę.

Pani z Metropolitan Museum pochyliła się naprzód.

- Mówiąc o Liebfraumilch, czy ktoś z państwa zauważył tego zabawnego Tintoretta w National Gallery? *Droga mleczna*. Niezwykła koncepcja.

Zapytani najwyraźniej nie wiedzieli, o czym mowa.

- Kiedy będziemy sami? - szepnął Nils do ucha Libby.

Stało się to prędzej, niż Libby przewidywała. Jak na komendę, widząc, że on coś do niej szepcze, goście wstali i wyszli. Dopiero tu byli, a po chwili znikli. Nils odwrócił się do Libby.

- Wezmę okrycie - rzuciła. Lecz on pochwycił jej rękę.

- Jeszcze nie teraz, Elizabeth. Dlaczego pozwalasz ludziom używać tego ohydneho zdrobnienia „Libby”?

- Nie podoba ci się?

- Mnie się podoba Elizabeth. Bardzo mi się podoba. Za bardzo. - Przyciągnął ją do siebie, odsunął jej głowę w tył i pocałował ją; Libby nie pozostawała obojętna, tak często marzyła o tej chwili, że wiedziała dokładnie, jak to będzie: jej głowa opada w tył, jak kielich przyjmuje jego usta, nozdrza jej się rozdymają, oczy są zamknięte.

Wbrew jej oczekiwaniom wargi Nilsa były ciepłe i miękkie, zawsze widziała go w myślach w narciarskim swetrze, jasnego i zimnego jak lód, z popielatymi włosami rozwianymi przez wiatr pod narciarską czapkę. Skóra na jego wystających kościach policzkowych była mocno napięta, sądziła, że skoro tyle przebywa na świeżym powietrzu, powinien mieć usta twarde i jędrne. Łagodnie przesunął wargi tam i z powrotem po jej ustach. Podniósł jej brodę, zajrzał głęboko w oczy i pocałował namiętnie, aż jej dech zaparło. Chwiejnie odsunęła się i wysliznęła z jego ramion.

- Elizabeth! - zawołał, przyciągając ją z powrotem i pocałował bardzo delikatnie, mamrocząc jej imię. Po chwili - może godzinach, naprawdę straciła poczucie czasu - poczuła jego duże zęby mocno napierające na jej zamknięte usta. Oderwała się i po raz drugi chwiejnie odsunęła od niego. Próbowała się roześmiać. - Cicho! - nakazał.

Pociągnęła za łańcuszek dużej mosiężnej lampy na stole, bo robiło się ciemno, jedną dłonią oparła się o stół, drugą nerwowo poprawiła włosy. Podeszedł, otoczył ramieniem jej plecy, przyłgnęła do niego z czołem wspartym na jego policzku, pomyślała, że jest o cztery cale wyższy od niej - idealna różnica. W tej pozycji czuła się znakomicie. Czas mijał. Nagle odwrócił ją do siebie i w mgnieniu oka wsunął język w jej usta, napierając nim na jej język. Jego język był jędrny i ostry.

- Daj mi swój język, Elizabeth. Pocałuj mnie z językiem.

Powoli, niechętnie uniosła koniuszek języka i dotknęła nim jego języka, przeszył ją ognisty dreszcz. Ich języki dotykały się w jej ustach, próbował wessać jej język w swoje usta, ale mu nie pozwoliła.

Ostrzegawczy dzwonek uprzedził ją, że posunęli się dość daleko. Tym razem sam ją puścił, uśmiechnęła się szklście.

- Musimy już iść - powiedziała.

- Piękna Elizabeth! - przesunął ślicznie wymanikiowane dłonie po jej ramieniu w długim taftowym rękawie. - Cudownie elastyczne mięśnie. Jesteś mocną dziewczyną, prawda? Mocną, namiętą dziewczyną.

Libby czuła się tak pochlebiona, że pozwoliła mu na kilka dalszych pocałunków. On podszedł do okien, ściągnął na dół rolety i poprowadził ją do kanapy.

- Chodź - powiedział rozbijając - poczytamy trochę wierszy i napijemy się wina.

Libby nie mogła się temu oprzeć, pozwoliła mu wziąć tom wierszy w wydaniu oksfordzkim z półki z dziełami poetyckimi i nalać dwa pełne kieliszki wina z nowo otwartej butelki. Usiadł koło niej na kanapie.

- Nasze kawalerskie, Dziewico Reńska! - Libby zachichotała. - Szekspir - odezwała się nagle - umarł z przepicia reńskim winem i przejedzenia marynowanymi śledziami.

Nils wertował tom ze zmarszczonymi brwiami, ulubione wiersze Libby były podkreślone, a marginesy upstrzone wykrzyknikami i pytajnikami.

- Mam! - wykrzyknął i zaczął czytać na głos *Namiętny pasterz do swej lubej* Marlowe'a: - „Chodź, ze mną żyj i kochaj mnie, / Miłość nam da rozkosze swe.” - Et cetera; Libby była cokolwiek zażenowana, ten poemat to takie starocie, znała go na pamięć od szesnastego roku życia. Gdy skończył czytać, pochylił się i łapczywie ją pocałował.

- Och, założę się, że szanowny pan nie zna odpowiedzi - rzuciła, śmiejąc się i uwalniając z jego objęć. - Odpowiedź pasterki pióra Sir Waltera Raleigha. - Zaczęła mówić z pamięci: - „Gdyby młody był świat cały, / Pasterz zaś o prawdę dbały, / Nęciłyby delicje te, / By z tobą żyć i kochać cię.” - Zawahała się, on nie zdejmował z niej oczu. - „Koral sprzączek, bursztyn spinek...” Jak to jest dalej? Sens jest taki, że

Raleigh ustami pasterki odrzuca miłe zaproszenie pasterza. Daj mi książkę - błagała. On zażądał jako zapłaty dłuższego pocałunku. Gdy wreszcie podał jej książkę, była niemal omdlała. Jego dłoń głaskała jej włosy. Szukała w indeksie nazwiska Raleigha, a strony były denerwująco zlepione. Usiłowała nie zwracać uwagi na jego rękę, która przesunęła się na jej kark i bawiła się kołnierzykiem, myślała o wierszu. Nagle usłyszała, że zatrzask jej sukni się rozpiął.

Na ten słabiutki odgłos wszystkie zmysły Libby się napięły, kręgosłup zeszytywniał. Wybałuszyła oczy. Gwałtownie przełknęła ślinę. Zdała sobie sprawę, że on chce ją uwieść. Książka sama otworzyła się na jej kolanach. To musi być kontynentalne (europejskie) podejście. Ci baronowie i hrabiowie stosują manewry tak oczywiste, że trudno wprost uwierzyć, że się do nich uciekają. Och, biedny Nils, ileż tracił w jej oczach. Gdyby tylko wiedział, jak staroświecki się jej wydaje! Cichutko odpiął jeszcze jeden zatrzask. Libby sama nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy gniewać. Jak mu uświadomić, że jest w błędzie, nie raniąc jego uczuć, żeby mimo wszystko mogli jeszcze pójść na kolację? Zmysły jej przestały drgać, jak zegar, który staje; krew była idealnie niema. Jak gdyby czując zmianę temperatury, Nils odwrócił ją ku sobie i zajrzał jej w oczy. Libby znów przełknęła ślinę. Gdy przyciągnął ją do siebie i pocałował, miała mocno zaciśnięte zęby. To powinno dać mu do myślenia.

- Lodowa Dziewica - powiedział z wyrzutem.

- Dostyc tego, Nils! - Libby siliła się na miłszy ton, niż dyktowały jej uczucia. Oparła stopy mocno o podłogę, zamknęła książkę i chciała wstać. Lecz on nagle przycisnął ją do kanapy jak żelazną obręczą.

- Pocałuj mnie! - rozkazał szorstko. - Nie tak. Z językiem. - Libby uznała, że rozsądniej będzie usłuchać. Był potwornie silny, przypomniawszy sobie z przerażeniem plotki na temat nieposkromionej żądzy sportowców i że Skandynawowie są okrutnymi uwodzicielami. Kto to mówił - Kay? Ostatni pocałunek był bolesny, Nils gryzł jej usta.

- Przestań! - krzyknęła, szeroko otwierając oczy i napotykając wbite w nią jak dwie niebieskie szpilki jego źrenice, rozchylił wargi, odsłaniając zęby drapieznika na chwilę przed atakiem na zdobycz. Miała przed sobą innego człowieka, człowieka o bardzo okrutnym wyrazie twarzy. Libby byłaby zafascynowana, gdyby się tak bardzo nie bała. Przygwoździł ją do kanapy swoim ciałem, przesuwając pieścizotliwie ręce

po jej ciele. Im bardziej się wierciła, tym bardziej stawał się stanowczy. W trakcie tej walki odpięły się zatrzaski na jej plecach, zerwała się haftka stanika. Usłyszała straszliwy dźwięk szarpanego materiału - trzasła jej nowiutka suknia, kupiona na wiosennej wyprzedaży u Bendela. Jedną ręką całkowicie zerwał górną część sukni z rękawem, który zawisł na jej ramieniu, drugą przygwoździł ją do kanapy, ściskając i wykręcając nadgarstek, gdy próbowała się poruszyć. Zarył się głową w jej szyję i zaczął szarpać dół sukni.

Libby jęczała z przerażenia. Zastanawiała się, czy zacząć wołać o pomoc, ale nigdy słowa nie zamieniła z sąsiadami i nie mogła znieść myśli, że ktoś zobaczyłby ją w podartej sukni, całą poturbowaną. Pomyślała o Polly i o tym, że ją współlokatorzy by uratowali, gdyby ktoś spróbował z nią coś takiego. Pomyślała, że może by zemdleć, ale co mogłoby się stać, gdy będzie nieprzytomna? Lekarze w Vassar twierdzili, że nie można zmusić kobiety bez jej woli. Radzili dziewczętom kopnąć napastnika w jądra lub pchnąć go tam kolaniem. Gdy zamierzała to zrobić, mierząc kolaniem we właściwe miejsce, jak miała nadzieję, on wybuchnął śmiechem i lekko uderzył ją w twarz.

- Niegrzeczna dziewczyna! - Najgorsza ze wszystkiego była zmiana, jaka zaszła w Nilsie. - Jesteś dziewczicą? - spytał nagle, hamując swoje nieczne zapędy. Libby przytaknęła bez słów. Wiedziała, że jej jedyną nadzieją w tej chwili jest zdać się na jego łaskę. - Och, jakie to nudne! - rzucił, na w pół rozluźniając uścisk. - Jaka z ciebie nudziara, Elizabeth.

- Skrzywił się. - Libby, chciałem powiedzieć. - Gwałtownie odsunął się od niej. W całym swoim życiu Libby nie czuła się tak sponiewierana. Leżała, połykając ślinę, w zniszczonej sukni, patrząc na niego żałośnie dużymi, orzechowymi, wystraszonymi oczami. Szorstko obciągnął suknię na jej obciste jedwabne majtki. - To nie byłoby nawet zabawne zgwałcić ciebie - powiedział. Wstał i spokojnie wyszedł do łazienki. Została sama z oksfordzkim wyborem angielskich wierszy. Słyszała, jak on oddaje mocz, nie zadał sobie nawet trudu, żeby otworzyć kran w umywalce albo zamknąć drzwi. Następnie, pogwizdując, wyszedł z mieszkania. Usłyszała stuk zatrzasku w drzwiach i jego kroki na schodach, potem zapadła cisza.

Wstała i chwiejnie podeszła do lustra. Wyglądała jak w poemacie Longfellowa *Wrak Hesperusa*. I była głodna, nie poczekał nawet, żeby zjedli kolację. A ona oddała

służącej *pate*. - Jesteś hojna - powiedziała do siebie w lustrze. - Piękna Elizabeth. - Ogarnął ją przedziwny zamęt uczuć. Nils nie mógł mówić poważnie, że jest nudziarą, dał tylko upust złości, że jest dziewicą. Kodeks honoru arystokraty powstrzymał go, gdy się o tym dowiedział. To ten kodeks jest nudny w jego pojęciu. Chciał ją zgwałcić w szale, jak dawni wikingowie. To przynajmniej byłoby czymś dramatycznym i ostatecznym. Straciłaby swoją cześć. Ale dowiedziałaby się, jak to smakuje, gdy mężczyzna tak postępuje z dziewczyną. Miała swoją małą tajemnicę - onanizowała się czasem na macie w łazience po kąpieli. Potem zawsze czuła się okropnie roztrzęsiona i rozbita, zastanawiała się, co by ludzie o niej pomyśleli. Gdyby ją mogli zobaczyć, zwłaszcza w chwili, gdy jak to określała, sama siebie wznosiła na szczyt. Wpatrywała się w swoją pobladłą twarz, zapytując siebie, czy to możliwe, że on się domyślił i właśnie dlatego uważał ją za osobę doświadczoną? Podobno ma się potem podkrążone oczy. - Nie - powiedziała sobie, drżąc. - Nie!

- Precz z taką myślą. Nikt nie może się domyślić. I nikt nigdy się nie domyśli tej haniebnej, ohydnej, bestialskiej rzeczy, która się wydarzyła lub nie wydarzyła dzisiaj wieczoru. Nils nic nie powie. Choć kto wie?

ROZDZIAŁ 10

Priss Hartshorn-Crockett karmiła piersią swoje dziecko. Była to wielka nowina.

- Nigdy nie przypuszczałam, że będę miała wnuka karmionego piersią - oznajmiła mama Priss ze śmiechem, przyjmując kieliszek cocktailu martini z rąk zięcia, doktora Sloana Crocketta, nieopierzonego pediatry. Była właśnie godzina cocktailu i w separacie Priss w New York Hospital panował wesoły nastrój. Podczas całego weekendu Sloan zachodził do żony co dzień po południu i przyrządzał martini dla odwiedzających. Odbył w tym szpitalu praktykę, więc mógł dostać w kuchni lód i w ogóle łamać przepisy szpitalne.

- Nigdy też nie przypuszczałaś, że będziesz miała w-wnuka, mamó - odparła Priss, lekko jękając się ze zdenerwowania. Miała na sobie błękitną lizeskę, jej cienkie popielate włosy były zaondulowane, zakręciła je tego rana początkująca pielęgniarka. Suche wargi Priss były uszminekowane nowym odcieniem szminki Tussy; lekarz kazał

jej się umalować i upudrować, gdy była w połogu, obaj ze Sloanem uważali, że rodząca powinna być zadbana. Priss uchodząca za osobę bezbarwną wydawała się sobie nieprawdziwa, siedząc w łóżku wystrojona i wysztafirowana, jak mała dziewczynka przebrana w matczyne futro i pantofle na wysokich obcasach, zbierająca datki na ulicach Nowego Jorku podczas tradycyjnej maskarady w przededniu Wszystkich Świętych. Sloan przezwał ją Małą Elą Kopciuszkiem, była to postać z komiksów gazetowych. Czułaby się znacznie lepiej w krótkiej bawełnianej szpitalnej koszuli zapinanej z tyłu, lecz pielęgniarki z jej piętra co rano zmuszały ją, żeby się wciskała w koronkowo-atłasową „koszulkę nocną” z jej wyprawy. Lekarz kazał - było ich wymówką.

Pielęgniarki cackały się z Priss, bo była już na porodówce w dziale położniczym trzykrotnie z poronieniami, zanim w końcu wzięła przeszkodę.

Tym razem, żeby donosić dziecko, rzuciła pracę w Stowarzyszeniu Kobiet Konsumentów i przez pierwszych pięć miesięcy ciąży leżała w łóżku lub na kanapie - miała odchyloną do tyłu macicę. A i tak w ostatnich miesiącach ciąży nie obeszło się bez komplikacji nerkowych, czym prędzej zabrano ją do szpitala i karmiono dożylnie, dopóki zapalenie nie ustąpiło. Teraz, mówiąc słowami pani Hartshorn, narodzenie zostało dokonane. Chwała niech będzie w Niebiosach, stało się to w dzień św. Szczepana, drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, gdy Priss zległa, wydając na świat syna, ważącego siedem i pół funta; poród był normalny, choć długi, trwał bowiem dwadzieścia dwie godziny. W separacie Priss pełno było gałęzi ostrokrzewu, jemioli, azalii i cyklamenów, a przy łóżku stała mała choinka. Dziecko miało mieć na imię Stephen, na cześć pierwszego męczennika.

W tej chwili niemowlę znajdowało się na drugim końcu korytarza w sali dla osesków, za szybą z tafLOWEGO szkła, wrzeszczało wniebogłosy, bo czas karmienia przypadał na szóstą po południu. Priss piła kogel-mogel z mlekiem, żeby mieć więcej pokarmu; musiała dużo pić, ale mleko jej obrzydło, bo podczas ciąży musiała wypić litr dziennie, żeby nie stracić zębów, budując kościec dziecka, taki był bezapelacyjny rozkaz lekarzy. Więc teraz pielęgniarki dawały jej mleko z jajkiem, cukrem i wanilią, co godzinę soki owocowe i lemoniadę oraz colę, wszystkie rodzaje płynów prócz alkoholowych, bo gdyby wypła martini, Stephen miałby dzin na obiad.

Sloan potrzasał kostkami lodu w srebrnym shakerze, rozmawiając z bratem Priss, Allenem, który przyjechał na święta z Harvardu, gdzie studiował prawo. Obaj panowie byli zagorzałymi zwolennikami partii republikańskiej i wielkimi przyjaciółmi, natomiast Priss i jej matka miały zupełnie inne orientacje polityczne. W tej rodzinie liberalizm był cechą kobiet, pani Hartshorn wojowała z nieboszczykiem mężem o prezydenta Wilsona i Ligę Narodów, a teraz Priss i Sloan byli na noże z powodu Roosevelta i uspołecznionego lecznictwa. Cóż to był za jubel dla Sloana i Allena, gdy Sąd Najwyższy orzekł likwidację Blue Eagle* (Błękitnego Orła), wskutek czego Priss straciła pracę. Praca w Stowarzyszeniu Kobiet Konsumentów nigdy zbyt jej nie pociągała, była to raczej praca społeczna, więc łatwiej mogła z niej zrezygnować, żeby urodzić Stephena.

* Blue Eagle - symbol ustawy o odrodzeniu gospodarki narodowej (National Recovery Act), według której wytwórcy artykułów odpowiadających określonymu standardowi mieli prawo umieszczać ten znak na swoich wyrobach.

Zrobiła to wskutek nalegań męża, choć źle się czuła bez pracy i martwiła się o pieniądze, bo Sloan zaczynał dopiero praktykę (jako partner starszego pediatry) i jej pensja pokrywała ich wydatki na papierosy, koncerty, teatry i dobroczynność oraz wypożyczalnię książek, gdyż Priss dużo czytała. Matka niewiele mogła pomóc, musiała opłacać naukę dwojga najmłodszych dzieci w college'ach (Linda studiowała w Bennington), co było niemało dla biednej wdowy, jak wesoło mawiała o sobie pani Hartshorn. Posyłała córce swoją wierną pokojówkę Irenę, żeby pomogła rano przy gospodarstwie, wieczorami zaś wyskakiwała do Priss kucharka Lily z ugotowaną kolacją do odgrzania, żeby Sloan miał przynajmniej jeden przyzwoity posiłek dziennie. Po powrocie Priss ze szpitala matka obiecała przysłać jej na dwa tygodnie Irenę, która miała własne dzieci i spałaby na łóżku składanym w pokoju dziecka (dawniejszym stołowym), co oszczędziłoby wydatku na fachową pielęgniarkę.

Był to prezent pani Hartshorn dla młodych rodziców, dla noworodka natomiast kupiła angielski wózek - dzika rozrzutność - a na wiosnę obiecała przysłać dawne łóżeczko Lindy, znajdujące się obecnie na strychu w Oyster Bay, wysokie krzeselko i

inne drobiazgi, choć ponoć wysokie krzeselka wyszły z mody. Na razie Stephen miał sypiać w koszu na bieliznę na materacyku z dzieciennego wózka - całkiem sprytny pomysł, który Priss wyczytała w broszurce o opiece nad niemowlętami, wydanej przez Ministerstwo Pracy*.

- Tak, moja droga, to nie żaden kalambur - powiedziała pani Hartshorn do Polly, która wpadła odwiedzić przyjaciółkę. Allen prychnął:

- Dlaczego nie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych? Priss skrzywiła się na złośliwy dowcip brata.

- Ta broszura jest znakomitym poradnikiem - rzekła poważnie. - Sloan też tak uważa, jeśli chcesz wiedzieć.

- Pewnie wypociny twojej przyjaciółki, pani minister Perkins** - odparował Allen.

Priss zeszywniała, głowiąc się nad repliką, usta jej kurczowo się poruszały, nie wydając dźwięku.

* Gra słów, w języku angielskim poród - labour, a Ministerstwo Pracy - Department of Labour.

** Frances Perkins (1882-1965) - amerykańska działaczka społeczna, pierwsza kobieta w Ameryce, która została ministrem pracy i piastowała ten urząd od 1933 do 1945 roku.

- Żadnej polityki dzisiaj! - stanowczo nakazała pani Hartshorn. - Ogłosiliśmy moratorium. Priss musi dbać o swój pokarm.

Pani Hartshorn zaczęła opowiadać Polly, że Lakey przysłała z Paryża ogromnie wytworną sukieneczkę do chrztu, nadającą się dla jakiegoś następcy tronu francuskiego - wielka niespodzianka, bo Lakey od wieków się nie odzywała, robi na Sorbonie doktorat. A Pokey Prothero-Beauchamp, która w zeszłym roku urodziła bliźnięta, przysłała wagę dla niemowląt, bardzo pożyteczny prezent, trzeba przyznać. Wszyscy są tacy mili. Dottie Renfrew-Latham zamówiła z Arizony u Bloomingdale'a sterylizator ze wszystkimi dodatkami - buteleczkami i półkami, zamiast kon-

wencjonalnego kubka i miseczki. Przyda się później, gdy Priss zabraknie pokarmu.

Pani Hartshorn rzuciła okiem na córkę i zniżyła głos:

- Pomyśl tylko, mała Priss, pierwsza z waszej paczki sama karmi - powiedziała do Polly. - Jest taka płaska w tamtym miejscu, że nigdy nie potrzebowała stanika. Ale Sloan twierdzi, że wielkość się nie liczy. Mam nadzieję, że się nie myli. Ja to nazywam cudem chleba i ryb. Wszystkie inne niemowlęta w tym szpitalu są na butelkach. Pielęgniarki to wołają. Skłaniam się do ich zdania. Lekarze ciągle teoretyzują. A pielęgniarki widzą fakty. - Jednym haustem wypila martini jak lekarstwo, taka bowiem panowała moda wśród postępowych part z towarzystwa w jej wieku. Otarła usta i odmówiła przyjęcia „dywidendy” ze srebrnego shakera. - W jakim kierunku idzie postęp? - spytała trochę głośniejszym głosem, potrząsając białymi lokami. - Butelka była okrzykiem bojowym mojego pokolenia. Linda była tylko na butelce. Nie masz pojęcia, jaka to różnica. Dla nas butelka oznaczała koniec kolki i złoścącego się młodego męża, chodzącego z dzieckiem na ręku przez całą noc. Byłyśmy zagorzałymi zwolenniczkami butelki, my z awangardy. Moja teściowa trzęsła się cała z oburzenia. A teraz, przyznaję, że ja się oburzam.

Zięć pani Hartshorn nadstawił uszu i uśmiechnął się pobłaźliwie. Był wysokim mężczyzną w okularach, o ostrym profilu, studiował, zarabiając jednocześnie na życie, jego ojciec, chirurg wojskowy, zmarł na influencję podczas wojny, a matka była gospodynią w internacie żeńskim w stanie Virginia. Priss poznała go na pierwszym roku studiów podczas przyjęcia z okazji wprowadzenia w świat jej kuzynki; przyszedł z kuzynem, studentem medycyny, któremu kazano przyprowadzić kilku kawalerów.

- Medycyna wydaje się przechodzić przez różne cykle - ciągnęła dalej pani Hartshorn. - Jest to kość niezgody między mną i Sloanem. Jak ta nowa teoria historii głoszona przez tego pana, jak mu tam. Najpierw karmiłyśmy niemowlęta piersią, potem nauka nakazała nam nie karmić piersią. Teraz znów mówi, że dawniej robiłyśmy dobrze. Czy, że źle robiłyśmy wtedy, a dobrze robimy teraz? Przypomina mi to teorię względności, jeśli dobrze rozumiem pana Einsteina.

- Karmiąc Stephena piersią - odezwał się Sloan, pomijając ostatnią uwagę teściowej - Priss może mu przekazać własną odporność, przynajmniej na pierwszy rok życia. Uniknie wietrznej ospy, odry czy kokluszki. I będzie do pewnego stopnia

uodporniony na zaziębienie. Są oczywiście przypadki, gdy mleko matki nie służy niemowlęciu. Dostaje wysypki lub niestrawności. W takich przypadkach należy porównać korzyść karmienia piersią z negatywnymi skutkami ubocznymi.

- Czy z punktu widzenia psychologii - wtrąciła Polly - dziecko karmione piersią nie ma cieplejszego stosunku do matki niż dziecko karmione butelką?

- Psychologii daleko jeszcze do statusu nauki - odparł Sloan, marszcząc brwi. - Zostańmy przy faktach sprawdzonych. Faktach widocznych. Możemy udowodnić, że dziecko karmione piersią nabywa odporność matki. A waga nam mówi, że Stephen przybiera na wadze. Uncję dziennie, kuzynko Luizo. - Tak nazywał teściową. - Nie możesz się sprzeczać z wagą.

W ciszy, jaka zapadła po tej oracji, usłyszeli płacz dziecka.

- To znowu Stephen - rzekła pani Hartshorn. - Poznaję jego głos. Wrzeszczy głośniejsz od wszystkich dzieci w sali niemowląt.

- Dowodzi to, że z niego zdrowy młodzieniec - powiedział Sloan. - Będzie czas się martwić, kiedy przestanie domagać się krzykiem obiadu, prawda, Priss?

- Sloan twierdzi - blado uśmiechnęła się Priss - że to dobrze dla jego płuc - zakończyła, krzywiąc się.

- Rozwija je - zgodził się Sloan. - Jak miechy. - Wciągnął w płuca powietrze i wypuścił je.

- Czy pielęgniarka nie mogłaby go już przynieść? - spytała pani Hartshorn, patrząc na zegarek. - Szósta za kwadrans.

- Regulamin, mamó! - wykrzyknęła Priss. - W twoich czasach niemowlęta dostawały kolki nie dlatego, że je karmiono piersią, ale dlatego, że brano je na ręce o każdej porze i karmiono, jak tylko zaczynały płakać. Idzie o to, aby ustalić regulamin i bezwzględnie się go trzymać.

Rozległo się pukanie do półotwartych drzwi. Przyszli nowi odwiedzający. Connie Storey z mężem i doktor Edris, który mieszkał w jednym pokoju ze Sloanem na studiach. Gwar wzrósł, pokój był pełen tytoniowego dymu. Pani Hartshorn otworzyła okno, żeby zrobić *cotrant d'air*. Co za sens trzymać niemowlę za szkłem, jeśli się je karmi w zadymionym pokoju?

- Nie mówiąc już o naszych bakteriach - dodała, wypuszczając powietrze z płuc z odcieniem zadowolenia z siebie, jak gdyby jej własne bakterie były szczególnie żywotne i miały dobry rodowód.

- Dzieci - powiedział Sloan, kręcąc głową - muszą wypracować w sobie jakąś odporność przed powrotem ze szpitala do domu. Jeśli dziecko nie zetknie się z bakteriami, choruje natychmiast po przybyciu do domu. Moim zdaniem, przesadzamy z tą całą sterylizacją, jak sądzisz, Bill? Cokolwiek?

- Zależy - odparł doktor Edris.

- Należy to dobrze uświadomić przeciętnej matce. - Sloan uśmiechnął się. - „Wygotuj grzechotkę dziecka za każdym razem, gdy ją rzuci na ziemię” - zacytował.

- Nie uważasz, że należy wszystko wygotować? - niespokojnie spytała Priss. - Tak piszą w broszurce o opiece nad niemowlętami.

- Ciemna masa - skomentował brat. - Założę się, że została napisana dla nędzarek ze slumsów przez absolwentkę Vassar.

- Grzechotki i tak już wyszły z użycia - odważnie broniła się Priss. - Wszyscy wiedzą, że są niehigieniczne i łatwo się łamią.

- Niebezpieczna zabawka - zgodził się Sloan. Zapadło krótkie milczenie.

- Sloan lubi czasem udawać heretyka - wtrąciła Priss. - Powinniście słyszeć, jak epatuje pielęgniarki.

- Obiecująca cecha u lekarza - skinęła głową pani Hartshorn. - Budzi zaufanie do niego. Choć Bóg wie, dlaczego. Wszyscy ufamy lekarzowi, który nie wierzy w medycynę.

Pośród ogólnej wesołości zapukała do pokoju pielęgniarka.

- Przepraszamy państwa. Czas karmienia. - Gdy goście wyszli, zamknęła okno, potem przyniosła na ręku dziecko. Niemowlę w długiej białej koszulce miało czerwoną, spuchniętą twarz, pielęgniarka ułożyła je na łóżku obok Priss. Była szósta. - Którą to dziś karmimy, kochanie? - spytała. Priss, która zsunęła nocną koszulę z jednego ramienia, wskazała prawą pierś. Pielęgniarka przemyła ją watką umoczoną w spirytusie i przyłożyła niemowlę do piersi; jak zwykle skrzywiło się na smak alkoholu i odepchnęło pierś. Pielęgniarka stanowczo znów wsunęła mu sutkę w buzię, potem

zabrała się do opróżniania popielniczek i zbierania kieliszków, żeby je odnieść z powrotem do kuchni.

- Miała pani dziś nie lada przyjęcie - oświadczyła.

Priss odebrała tę uwagę jako krytykę, więc nic nie odpowiedziała. Zaciśnęła zęby. Usta dziecka zawsze na początku ssania sprawiały jej ból, jak gdyby mały ją gryzł. Miała ogromnie wrażliwe piersi, bardzo nie lubiła, żeby Sloan ich dotykał podczas stosunku, liczyła na to, że karmienie zmniejszy tę wrażliwość. Karmienie daje podobno matce satysfakcję zmysłową, przypuszczała więc, że jeśli przyzwyczai się do dotykania jej piersi przez dziecko, nie będzie jej przykro, gdy to zrobi mężczyzna. Choć nie powiedziała tego mężowi, był to jeden z głównych powodów, dla których zgodziła się karmić Stephen, żeby móc dać Sloanowi, mającemu do tego pełne prawo, więcej satysfakcji w łóżku. Lecz, jak dotąd, karmienie, podobnie jak pożycie seksualne, przeważnie było dla niej udręką, do której za każdym razem uzbierała się całą siłą woli, myśląc o miłości i poświęceniu. Pielęgniarka obserwowała Priss, aby się upewnić, że niemowlę ssi jak należy.

- Niech się pani odpręży - powiedziała serdecznie. - Niemowlę czuje, kiedy pani jest napięta.

Priss westchnęła, próbowała się uspokoić. Ale im więcej myślała o odprężeniu, tym bardziej oczywiście napięcie wzrastało.

- Niech żyje napięcie, precz z odprężeniem - siliła się na żart.

- Pani jest dziś zmęczona - zauważyła pielęgniarka.

Priss skinęła głową, wdzięczna pielęgniarce, że ta przynajmniej o tym wie, jednocześnie czując się nielojalna wobec męża, który nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo ją męczą wizyty, zwłaszcza gdy mieszane towarzystwo dyskutuje o jej mleku.

Ale w miarę jak niemowlę (wolałaby, aby pielęgniarka nazywała je Stephen) zaczęło regularnie ssać, prychnąc przy tym, jak gdyby pochrapywało, Priss trochę się uspokoiła. Ssanie nie sprawiało jej przyjemności, lubiła jednak świeży zapach mleka, przypominający robienie masła i mleczarnię, oraz jasny puszek na główce syna i jego ciepło. Wkrótce przestała sobie uświadamiać ssanie, wyczuwała jedynie jego hipnotyzujący rytm; pielęgniarka włożyła Priss do ręki dzwonek i wyszła na palcach. Priss spała prawie, gdy nagle się ocknęła, Stephen również spał. Jego usteczka

przystały pociągać, wydobywało się z nich leciutkie chrapanie. Podrzuciła go lekko, jak ją uczono, sutka wysunęła mu się z ust. Odwrócił okrągłą, miękką główkę i spał z policzkiem przyciśniętym do jej piersi. Priss ogarnęło przerażenie, próbowała odwrócić główkę i wsadzić dziecku sutkę w usta. Broniło się, podniosło rączki i słabo uderzało w pierś matki. Priss zmieniła pozycję i spojrzała na zegarek. Mały ssał tylko siedem minut, a miał ssać piętnaście, żeby spożyć tyle mleka, ile ma mu wystarczyć do następnego karmienia o dziesiątej. Uprzedzono ją, aby mu nie dała usnąć. Zadzwonila, światelko nad drzwiami na korytarzu się zapaliło.

Nikt nie przychodził, nasłuchiwała, na korytarzu panowała absolutna cisza. Nie słysząc nawet było dziecięcego płaczu z drugiego końca korytarza. W tej chwili karmiono wszystkie dzieci, wszystkie prócz biednego Stephena, więc pielęgniarki były zajęte karmieniem dzieci z butelki. Priss zawsze się bała zostać z małym sama, zazwyczaj starała się chytrze zatrzymać pielęgniarkę, mówiąc coś do niej. Ale od wczoraj w sali dla niemowląt było o dwa noworodki więcej i dwie matki wymagały dodatkowej opieki; Priss stała się już „starą” matką, która powinna sama dawać sobie radę. Teraz po raz pierwszy została zupełnie sama, zazwyczaj pielęgniarka co jakiś czas wsadzała głowę do pokoju, aby sprawdzić, jak idzie karmienie. Priss podejrzewała, że pielęgniarki wiedzą, iż ona się boi Stephena, swojej własnej krwi i kości.

Pomimo dzwonka nikt nie przychodził, upłynęły następne minuty. Priss pomyślała o Sloanie w sali dla odwiedzających z jej matką i doktorem Edrisem, rozmawia sobie w najlepsze, regulamin szpitalny zabrania mężowi być obecnym przy karmieniu dziecka, a tego zarządzenia Sloan akurat nie miał ochoty naruszać. Może jakiś student medycyny znajdzie się na korytarzu i zauważy światelko nad jej drzwiami. Podniosła rękę, znów spojrzała na zegarek, upłynęły dalsze dwie minuty. Zdawało jej się, że razem z synem ugrzęzła w wieczności lub że zostali skuci jak więźniowie, odbywając jakąś straszliwą karę. Nic nie pomagało mówienie sobie, że ten przerażający tłumoczek jest dzieckiem jej i Sloana. Ze wstydem patrzyła na małego jak na rekwizyt szpitalny, który jej podrzuciono i o którym zapomniano - nigdy po niego nie przyjdą.

Właśnie wtedy mały się zbudził. Westchnął głęboko, odwrócił główkę, przywarł do piersi matki i natychmiast znów usnął. Priss czuła nasek małego naciskający na jej cierpnącą skórę i zlodowaciała ze strachu na myśl, że dziecko może się udusić. Takie rzeczy ciągle przydarzają się dzieciom w łóżeczkach. Może się udusiło? Nasłuchiwała, nie słyszała jego oddechu, tylko własne głośnie dyszenie. Serce waliło jej, tak, jakby się jąkało. Spróbowała leciutko unieść głowę małego, ale znów się opierał, bała się, że może przypadkowo dotknąć miękkiego miejsca na tej główce. Przynajmniej był żywy. Wdzięczna za to usiłowała się uspokoić i powziąć jakąś rozsądną decyzję. Może zadzwonić do centrali i poprosić, aby kogoś przysłali. Powstrzymywały ją dwie rzeczy: po pierwsze, nieśmiałość i niechęć do sprawiania komukolwiek kłopotu; po drugie - telefon znajdował się po przeciwnej stronie i żeby się do niego dostać, musiałyby ruszyć dziecko, a na tym właśnie polegał cały problem. Bała się. Czego? - zapytywała siebie. Żeby się nie rozplakało. „Priss Hartshorn-Crockett - zbesztła siebie - masz zamiar dopuścić do tego, żeby twoje nowo narodzone dziecko się udusiło, bo jesteś nieśmiała, lub dlatego, że nie możesz znieść jego płaczu? Co by pomyślała twoja matka?” Zdecydowana uniosła się trochę, ten nagły ruch zmienił pozycję dziecka, które bezwładnie spadło na łóżko koło niej, obudziło się i zaczęło gwałtownie płakać. W tej samej chwili otworzyły się drzwi.

- Co się tu dzieje? - wykrzyknęła początkująca pielęgniarka, ulubienica Priss, która ucieszyła się, że to przynajmniej nie ta druga. Dziewczyna w uniformie w granatowe paski wzięła dziecko na ręce. - Pokłóciliście się państwo? - Priss zareagowała słabym śmiechem, humor nie był jej mocną stroną, lecz widząc dziecko bezpieczne w mocnych obnażonych ramionach dziewczyny, roześmiała się z ulgą.

- Nic mu nie jest? Obawiam się, że straciłam głowę.

- Stephen jest po prostu zły, prawda, malutki? - zwróciła się pielęgniarka do niemowlęcia. - Chce wrócić do łóżeczka? - Wzięła kołderkę, owinęła nią małego, poklepała go po plecach, żeby mu się odbiło.

- Nie! Nie! - krzyknęła Priss. - Proszę mi go dać. Nie skończył ssać. Dałam mu usnąć w trakcie karmienia.

- Coś takiego! Musiała się pani porządnie wystraszyć. Zostanę tu z panią, dopóki nie skończy jeść. - Mały beknął, pielęgniarka wyjęła go z kołderki i ułożyła

pod kocem na piersi Priss. - Ktoś powinien był przyjść poklepać go po plecach, aby się odbeknął - oświadczyła. - Połknął mnóstwo powietrza. - Delikatnie wsunęła dziecku sutkę w usta. Mały odepchnął ją i znów się rozplakał. Najwyraźniej był łzy. Obie dziewczyny, Priss była starsza, smętnie spojrzały na siebie.

- Czy to się często zdarza? - spytała Priss.

- Nie wiem. Większość niemowląt u nas karmi się butelką. Ale i z butelką czasem tak się zachowują, kiedy dziura w smoczku nie jest dość duża, złością się i odpychają butelkę.

- Bo mleko nie napływa dość szybko - wyjaśniła Priss. - Na tym właśnie polega mój kłopot. Ale nie martwiłabym się, gdyby odpychał b-b-butelkę. - Jej szczupła twarz posmutniała.

- Zmęczył się - powiedziała pielęgniarka. - Słyszała pani, jak płakał dziś po południu?

Priss przytaknęła, patrząc na małego.

- Błędne koło - zauważyła ponuro. - Płacze do całkowitego wyczerpania, bo jest głodny, a potem jest zmęczony, by móc ssać.

Drzwi ponownie się otworzyły.

- Zostawiłaś zapalone światło nad drzwiami pani Crockett - obsztorcował dziewczynę starsza pielęgniarka. - Musisz pamiętać, aby je gasić, wchodząc do pokoju. Co się tu właściwie działo?

- Nie chce ssać - poinformowała Priss.

Trzy kobiety spojrzały na siebie i jednocześnie westchnęły.

- Zobaczymy, czy ma pani pokarm - powiedziała w końcu starsza pielęgniarka rzeczowym tonem. Odsunęła główkę dziecka i ścisnęła pierś Priss, ukazała się kropla wodnistej cieczy.

- Może pani spróbować - orzekła. - Ale on będzie musiał popracować na swoją kolację. Im mocniej będzie ssał, tym więcej mleka pani wytworzy. Pierś powinna być dobrze opróżniona. - Ponownie ścisnęła pierś Priss, następnie przytknęła główkę małego do wilgotnej sutki. Ssał minutę, dwie pod nadzorem obu pielęgniarek i przestał.

- Zastosujemy znów pompkę? - spytała Priss ze słabym śmiechem. Starsza pielęgniarka pochyliła się nad nią. - Pierś jest pusta. Nie ma sensu męczyć go na próżno. Zabiorę go i zważę.

Po chwili wróciła zadyszana początkująca pielęgniarka.

- Dwie uncje - ogłosiła. - Powiedzieć pani gościom, żeby wrócili? Priss była wniebowzięta, podano jej na tacy kolację, gdy czekała na powrót rodziny, niemal czuła głód.

- Słyszeliśmy o twojej podstawowej statystyce - powiedziała pani Hartshorn.

- Czy dwie uncje to tak dużo? - wtrącił powątpiewająco Allen. Sloan zapewnił go, że to doskonała przeciętna miara pokarmu, bo mleko Priss jest bardzo odżywcze, aczkolwiek nie bardzo obfite, właśnie dlatego mały równomiernie przybiera na wadze, choć przed karmieniem zawsze trochę kaprysi. Po czym goście wyszli, mając swoje plany na wieczór i pozwalając Priss zjeść spokojnie kolację. Sloan zabrał shaker, nie będzie już potrzebny w szpitalu, bo na następny weekend Priss wróci do domu.

Priss wzięła do ręki ostatni numer „Consumer Reports” (Wiadomości Konsumentów), w nadziei że znajdzie tam artykuł na temat gotowych odżywek dla niemowląt. Wiedziała, że umyślowo zaniedbuje się w szpitalu, żyje sprawozdaniami pielęgniarek o rosnącej wadze syna - ważyły go przed i po każdym karmieniu. Jeśli pielęgniarka zapomniała przyjść jej powiedzieć, umierała ze strachu, wyobrażając sobie najgorsze, ale nie mając odwagi zadzwonić i spytać. Innym ważnym wydarzeniem było poranne ważenie dziecka przed kąpielą, bo wtedy wiadomo było, ile przybrało przez cały poprzedni dzień. W tym okresie obchodziły Priss tylko te dane oraz ilość wypitego przez nią płynu, ciągle musiała dzwonić, żeby jej podano basen z powodu ogromnej ilości wypitej wody. Pielęgniarki były bardzo usłużne, choć wiedziała, że są przeciwne (prócz początkującej) karmieniu piersią. Uważały Sloana i doktora Turnera, ginekologa Priss, za stukniętych. Jednakże i one *nolens volens* musiały podziwiać świadectwo wagi. Dziecko rosło.

Gdyby nie te sprawozdania, Priss na pewno straciłaby wiarę. Sloan i doktor Turner nie musieli wysłuchiwać płaczu dziecka. Natomiast pielęgniarki i Priss musiały. Punktualnie o ósmej tego wieczoru Stephen zaczął płakać w sali dla noworodków. Priss poznawała jego płacz, całe piętro go poznawało. Czasem

pochlipywał tylko i na chwilę znów usypiał, lecz gdy zaczynał głośno jak teraz, potrafił tak ciągnąć przez dwie bite godziny - istny skandal. Regulamin zabraniał pielęgniarkom brać go na ręce, wolno im było dać mu kropelkę wody i zmienić pieluszki - nic więcej. Nie wolno było „patyczkować się” z dziećmi. A gdyby mu dały dwukrotnie łyżeczek wody, mógł nie ssać jak należy w porze karmienia.

Czasem cichł na chwilę po zmianie pieluszek. Często uspokajał go łyżeczek wody. Ale nie zawsze. Dużo zależało, jak stwierdziła Priss, od tego, kiedy dostał wodę: jeśli zbyt szybko, usypiał na moment i budził się z wrzaskiem. Jeśli się budził po upływie dwu godzin od ostatniego karmienia, pielęgniarka zazwyczaj zmieniała pieluszki i pozwalała mu płakać przez godzinę, dopiero wtedy dawała mu kropelkę wody, a dziecko, zmęczone płaczem, z pozornie pełnym żołądkiem często spało do przewidzianej godziny karmienia. Tak było najlepiej, bo gdy je przynoszono, było wypoczęte, ssało mocno i zdecydowanie. Lecz gdy budziło się niedługo po karmieniu, to było okropne; po godzinie płaczu dostawało trochę wody, usypiało, znów się budziło i płakało non stop, jego rekord płaczu wynosił do tej pory dwie godziny i trzy kwadranse.

Ucho Priss było wyczulone na każdy szczegół tej procedury - rozpoznawała, kiedy dziecko dostaje wody, kiedy pielęgniarka tylko zmienia mu pieluszki lub odwraca je na drugi bok.

Wiedziała, kiedy mały usypia z samego wyczerpania, sądząc po jego zamierających, powoli ustających krzykach. Rozpoznawała pierwsze senne chlipnięcia i w myśli podzielała wahania pielęgniarki, czy ma go od razu podnieść i zmienić mu pieluszki, czy też nie ruszać go, w nadziei, że nie rozbudzi się całkowicie. Wiedziała też, że jedna z pielęgniarek (choć nie wiedziała, która) bierze go na ręce i kołysze, łamiąc regulamin: świadczyło o tym nagłe uspokojenie, dość długie milczenie, a potem dziki wrzask, gdy go kładziono z powrotem do koszyka. Nigdy nie potrafiła zdecydować, co czuje do tej pielęgniarki - wdzięczność czy dezaprobatę.

Najgorsze były noce. W niektóre słyszała płacz syna o trzeciej lub czwartej nad ranem, wówczas zgodziła się na wszystko, co by go uspokoiło - krople uspokajające, osłodzony smoczek, na każdą z tych okropności. Podczas ciąży przeczytała dużo na temat dawnych błędów w opiece nad niemowlętami - według tej literatury, owe błędy

nie wynikały tylko z niewiedzy, ale z czystego egoizmu, pielęgniarka lub matka dająca dziecku krople uspokajające czyniła tak zwykle dla własnego spokoju, żeby nie mieć kłopotów z dzieckiem. Lekarze byli zgodni co do tego, że płacz nie robi dziecku żadnej krzywdy, tylko dorośli nie potrafią znieść tego płaczu. Przypuszczała, że to prawda. Pielęgniarki zapisywały co dzień na karcie Stephena, ile godzin przeplakał dziennie, a Sloan i doktor Turner nawet okiem nie mrugnęli, widząc te cyfry, obchodziła ich tylko krzywa wagi.

Sloan ciągle ostrzegał Priss, aby nie słuchała pielęgniarek, mają dobre chęci, ale to rutyniary. Poza tym lubią myśleć, że są mądrzejsze od lekarzy. Irytował się, gdy Priss obliczyła, jak długo mały uprawiał „wokalizę”.

- Jeśli to cię tak dręczy - powiedział kiedyś - każ sobie dać waty do uszu.

Priss szło o co innego, zastanawiała się jednak, czy nie posłuchać rady męża, wiedziała bowiem, że gryzienie się źle wpływa na jej pokarm, pielęgniarki bez przerwy suszyły jej tym głowę. Była jednak osobą zbyt uczuciową, żeby „pozostać głuchą” na płacz głodnego dziecka, upodobniłaby się do takich, co pozostają ślepi na demonstracje głodowe i uliczne pikietowanie. Jeśli Stephen wrzeszczy, ona chce o tym wiedzieć. Co więcej, jako osoba skłonna do zamartwiania się, wyobrażałaby sobie, że dziecko płacze, a ona nie słyszy, bo ma watę w uszach. Sloan mówił, że to śmieszne, ale skoro nie chce być rozsądna, to niech cierpi.

Cierpienie irytowało biednego Sloana, może dlatego został lekarzem. Ukrywał jednak swój idealizm pod pancerzem obojętności, w przeciwnym wypadku nie mógłby uprawiać zawodu lekarza, widząc tyle cierpienia. Priss często tworzyła taką teorię o mężu, gdy kłócili się, czy przejść przez kordon pikietujących lub czy bojkotować Hiszpanię i Japonię (mąż nazywał Priss wobec przyjaciół Małym Kapitanem Bojkotem), lecz teraz w szpitalu wydało jej się dziwne, że pielęgniarki, które słyszą więcej płaczu od lekarzy, nie wytworzyły w sobie pancerza ochronnego przeciw łzom. I nie uważała, żeby tylko dla własnego spokoju pielęgniarki zaczęły między sobą przebąkiwać (słyszała), że chciałyby zobaczyć doktora Turnera choćby przez jedną noc na miejscu pacjentki.

Winiły doktora Turnera jako lekarza Priss, ale w rzeczywistości to Sloan miał bzika na punkcie regulaminu. Leżąc w łóżku, słuchając rozdzierającego płaczu syna,

Priss nagle nie potrafiła pojąć, dlaczego Sloan tak się upiera przy karmieniu piersią. Czy całkowicie z powodów, jakie przytaczał - powodów medycznych? Czy może dlatego, że jest uparty i myśli, że teściowa, Priss i pielęgniarki są wszystkie przeciw niemu? A może to coś jeszcze gorszego? Przyszło jej na myśl, że Sloan, który dopiero zdobywa pacjentów, traktuje może karmienie syna piersią jako rodzaj reklamy. Lubił podkreślać, że ma inne poglądy od poczciwego starego doktora Drysdale'a, który go przyjął do swego gabinetu i który wprowadził właściwie zwyczaj karmienia butelką niemowląt w wyższych sferach Nowego Jorku. Doktor Drysdale szczylił się tym, że jest ultranaukowcem, a Sloan twierdził, że całe to gotowanie i sterylizowanie jest nieskuteczne i marnotrawne (nie mówiąc już o koszcie przyrządów), kiedy można czerpać z zasobów natury; po odstawieniu dziecka od piersi może ono od razu być karmione z kubka. Utrzymywał, że każda kobieta jest zdolna do karmienia piersią, tak jak każda może nie dopuścić do nadmiernej wagi w czasie ciąży - pani Hartshorn była zdumiona, że Priss tak mało utyła, choć leżała na kanapie. Priss szczyliła się tym, że zachowała dziewczęcą figurę, i była dumna jak paw, że karmi, lecz teraz duma jej cierpiała na myśl, że Sloan posługuje się nią, żeby udowodnić słusność swych teorii, jakby je ogłaszał w prasie. Istotnie, wieść o tym, że karmi, rozeszła się szeroko - dosłownie wszyscy na położniczym oddziale słyszeli, że biedna malutka pani Crockett, zdumiewająco płaska, karmi piersią; mówiono też o tym w kółku matki Priss w klubie Cosmopolitan.

- Trzeba przyznać, że jesteś pionierką - zauważyła Kay. - Każda była vassarówka w ciąży, która słyszała o tobie, chce sama karmić.

Rozgoryczenie nie leżało w charakterze Priss, była jednak rozdrażniona, jak właśnie tego wieczoru, myśląc, że przyczyniła się do grubego oszustwa, fałszu, którym karmi się ludzi i który stale gdzieś wykrywa Państwowy Urząd Jakości. O dziewiątej, gdy salowa przynosiła Priss sok owocowy, Stephen jeszcze płakał bez wytchnienia, niczym piła tarczowa, Priss próbowała rozwiązać krzyżówkę, lecz nie potrafiła się skupić. Gdy salowa otworzyła drzwi, wrzaski z sali niemowląt stały się głośniejsze, do płaczu Stephena przyłączył się słabszy krzyk. Myśl, że jej dziecko nie daje spać innym niemowlętom, sprawiała Priss wielką przykrość, choć pielęgniarki

usiłowały ją pocieszyć, mówiąc, że noworodki szybko się oswiają z powtarzającym się hałasem. Mimo to Priss czuła potrzebę przeproszenia salowej:

- Droga Catherine - (nauczyła się imion salowych) - słyszy go pani? On obudzi cały szpital.

- Czy go słyszę? - powtórzyła Catherine, która była Irlandką. - Obudziłby przecież umarłego. Kiedy wreszcie pozwolą dać mu butelkę, na miłość boską!

- Nie wiem. - Priss boleśnie zamknęła oczy.

- Niech się pani tak nie przejmuje - żywo powiedziała salowa, wygładzając koce na łóżku Priss. - Ćwiczy sobie płuca. - Priss nie mogła już tego słuchać. - Nie moja sprawa pytać - powiedziała salowa, podchodząc, żeby wzbic poduszki - ale jestem ciekawa, co panią napadło, żeby karmić piersią?

- Od-p-porność - wyjąkała Priss, czując, że jej szyja oblewa się rumieńcem. Salowa spojrzała na nią z ciekawością. - Wie pani, to jest jak szczepionka. Dziecko nie może zachorować na żadną chorobę, którą ja przesłałam, na przykład na świnkę, wietrzna ospę czy odrę.

- Ciągłe wymyślają coś nowego - salowa pokiwała głową. Nalała świeżej wody do szklanki Priss. - Ciągłe coś wymyślają, prawda? - Priss przytaknęła. - Otworzyć pani radio? Posłucha pani trochę muzyki? Nie będzie go pani słyszała.

- Nie, dziękuję, Catherine.

- Opowiedzieć pani coś zabawnego?

- Nie, dziękuję. - Salowa ociągała się z wyjściem.

- No to dobranoc i głowa do góry. Niech pani myśli o dobrych stronach tego karmienia. Dawniej mówiono, że to rozwija biust.

Ta ostatnia uwaga przypadła Priss do gustu, chciała ją jutro powtórzyć matce z irlandzkim akcentem, jeśli potrafi, i nie jękając się. Musiała też przyznać, że miała ukrytą nadzieję, iż Stephen przyczyni się do powiększenia jej biustu, i doprowadziła doktora Turnera do śmiechu, pytając, czy nie będzie potrzebowała stanika dla karmiących matek. Humor jej się poprawił - na korytarzu panowała cisza, Stephen zapewne dostał wody, gdy ona rozmawiała z salową.

Spokój został zakłócony przez pielęgniarkę oddziałową, pannę Swenson, która kończyła dyżur. Weszła, zamykając za sobą drzwi.

- Chciałam panią uprzedzić - zaczęła - że jutro rano mam zamiar porozmawiać z doktorem Turnerem. I zaproponować, aby dziecko dostawało butelkę jako pokarm dodatkowy. - Obojętny ton pielęgniarki nie zwiódł Priss.

Pokarm dodatkowy - to brzmiało okropnie, jak gdyby pielęgniarka powiedziała: „zaproponuję porcję strychniny”. Już samo słowo „butelka” wzburzyło Priss, niezależnie od dołączonych doń przymiotników. Wsparła się o poduszki, przygotowała do walki.

- Wiem, że to będzie dla pani wielka ulga - ciągnęła dalej pielęgniarka, jak gdyby nie zauważyła, jakie wrażenie jej słowa wywarły na Priss. - Rozumiemy wszyscy, co pani przeżywa. Jest pani cudowną, wyjątkową pacjentką.

Pomimo wstrząsu Priss musiała przyznać, że pielęgniarka, którą zawsze lubiła, mówi z prawdziwym przejęciem.

- Ale dlaczego? - wyjąkała w końcu. - Waga...

Panna Swenson, osoba trzydziestokilkuletnia, z jasnymi, uczesnymi w kok włosami, podeszła do łóżka i ujęła dłoń Priss.

- Wiem, co pani czuje, droga pani. Rozdarcie. Większość karmiących matek płacze, gdy jestem zmuszona im powiedzieć, że zalecam dodatkowy pokarm z butelki. Nawet gdy dziecko nie przybiera na wadze, chcą jeszcze próbować. Pani jest wyjątkowo dzielna, że się nie załamuje.

- Chce pani powiedzieć, że to się często zdarza?

- Niestety. Ale mamy tu kilku młodszych lekarzy, którzy lubią zmuszać do karmienia piersią, jak długo matki mogą. Nie wszystkie oczywiście godzą się na to. Kobiety ciągle są uprzedzone do karmienia piersią, zwłaszcza, i to panią zdziwi, pacjentki z sali ogólnej. Uważają, że dziecko karmione z butelki należy do wyższych sfer.

- To bardzo ciekawe! - wykrzyknęła Priss.

- Obserwujemy ten sam stosunek u naszych żydowskich pacjentek w separatkach. Nawet gdy mają obfity pokarm i doktor zachęca je do karmienia piersią, nie zgadzają się, wydaje im się, że to zwyczaj biedoty.

- To bardzo ciekawe - powtórzyła Priss zamyślona.

- Kiedy się jest pielęgniarką, widzi się to i owo. A różnice klasowe są naprawdę niezwykle. Na przykład na oddziale chirurgicznym wszystkie pacjentki i wielu pacjentów z separatem cierpi po operacji na wstrzymanie moczu. Natomiast na sali z samymi Murzynami nie ma ani jednego takiego przypadku. Jest to po prostu sprawa skromności, wyższe klasy zostały wychowane, że wstydzą się dolnej części swego ciała, a po operacji otwarcia brzucha dochodzą do głosu ich zahamowania i nie mogą oddać moczu.

- Fascynujące - szepnęła Priss. Żałowała często, że nie studiowała socjologii. Nie chciała jednak dać się odwieść od głównego tematu rozmowy. - Czy kobiety o wyższych dochodach mają mniej pokarmu? - spytała, unikając określenia „wyższe klasy”.

Na to obcesowe pytanie pielęgniarka uchyliła się od odpowiedzi, może nie chciała przygnębiać Priss oświadczeniem, że jej przypadek jest statystycznie beznadziejny. Spojrzała na zegarek.

- Chcę pani wytłumaczyć, na czym polega dokarmianie butelką.

Priss stwierdziła ze zdumieniem, że to zdanie nie brzmi już jak dzwon pogrzebowy.

- Ale skoro przybiera tyle, ile trzeba... - upierała się.

- Dziecko jest wyjątkowo głodne. Z odżywczego punktu widzenia ma pani wystarczającą ilość pokarmu, ale to mu nie wypełnia żołądka. Proponuję, aby od jutra po wieczornym karmieniu o szóstej dawać mu niewielką ilość odżywki w butelce. Zauważyłam, że o szóstej wieczór ma pani najmniej pokarmu. O dziesiątej daje mu pani tyle, że mu to wystarcza. Z pełnym żołądkiem będzie spał do drugiej i pani również, biedactwo. Może nawet uda nam się dzięki dokarmianiu butelką przyzwycząić go, zanim pani stąd wyjdzie, żeby spał do szóstej rano i by pani mogła spokojnie przespać całą noc. Staramy się to robić dla naszych matek przed ich powrotem do domu, bo gdy noworodek przyzwyczai się do karmienia o drugiej w nocy, matce trudno go od tego odzwyczaić. Noworodek funkcjonuje jak mały zegarek, więc staramy się go dobrze wyregulować, zanim matka przejmie go od nas.

Priss skinęła głową. Jakie to piękne ze strony szpitala przewidywać, co czeka matki w domu. Jeszcze kilka lat temu takie rzeczy nie byłyby możliwe.

- Jeśli dziecko ciągle będzie niespokojne z jedną butelką na dokarmianie - dodała pielęgniarka - będziemy może musiały dać mu więcej. Niektóre dzieci dostają butelkę po każdym karmieniu piersią. Nie przypuszczam jednak, aby to było potrzebne pani synowi. Może pani mieć obfitszy pokarm, kiedy dziecko będzie spokojniejsze.

Po wyjściu pielęgniarki Priss była inną kobietą. Najwspanialsze wydało jej się to, że w szpitalu panuje duch doświadczenia, gotowość wypróbowania bez uprzedzeń różnych metod oraz łączenia ich, dopóki nie natrafiają na najskuteczniejszą, często będącą wynikiem kompromisu, jak Nowy Ład. Priss była przekonana, że pielęgniarka jest demokratką. Bardzo ją cieszyło, że Sloan kształcił się w tym właśnie szpitalu, a nie w Columbiu czy Prezbiteriańskim. Ten szpital, myślała, dając się cokolwiek ponieść fantazji, jest jak nowoczesna fabryka: nie odsyła do domu żadnego dziecka, dopóki nie zacznie prawidłowo funkcjonować, dopóki nie zostanie wypróbowane, sprawdzone i nie będzie dawało gwarancji, że będzie działać bez zakłóceń przynajmniej przez kilka pierwszych miesięcy. Urządzają tu nawet pokazówki dla matek, które nie mają tyle szczęścia, by móc sobie pozwolić na opłacenie takiej Ireny lub fachowej pielęgniarki do niemowląt, uczą, jak kąpać maleństwo, jak spowodować, żeby beknęło, jak je zawijać w pieluszki, a matki korzystające z ambulatorium mogą, jeśli zechcą, wejść do kuchni i zobaczyć, jak się przyrządza odżywkę do butelki. I te noworodki karmione i śpiące podług ustalonego rozkładu, jak zegareczki, by użyć określenia pielęgniarki, wyrosną na innych ludzi, którzy może (nie należy być zbyt optymistycznym) nie zechcą już wojować i zagarniać majątków. W naszych czasach tyle się robi, aby ułatwić życie młodym matkom: przyucza się maleństwa do nocniczków już w pierwszych miesiącach życia, wysadzając je po prostu delikatnie, gdy zbliża się ich ustalony czas; a co do prania pieluszek, to jest ta nowa instytucja pod nazwą „Pieluszkowe Usługi”, przyjeżdżają co dzień ze świeżo wypranymi pieluszkami i zabierają brudne w sanitarnym pojemniku.

Tej nocy Stephen pobił wszystkie swoje poprzednie rekordy - ryczał przez bite trzy godziny, od trzeciej do szóstej rano. Gdy doktor Turner wszedł rano do pokoju Priss, zwymyślał ją za podkrążone oczy i kazał się umalować. Ale był bardzo miły w sprawie dokarmiania butelką, jak gdyby propozycja pielęgniarki Swenson była jego własnym pomysłem, gdy spojrział na wykres. Oświadczył z namysłem, że krzywa wagi

nie jest dostatecznym wskaźnikiem. Priss nie przypominała mu, że dopiero parę dni temu, w sobotę, stojąc w tym samym miejscu, powiedział coś wręcz przeciwnego. Wyszedł, nucąc, a przedtem wybrał sobie różę do butonierki z kwiatów Priss.

Radość Priss zatruwała myśl o mężu. Bała się, że wpadnie w szal na samą wzmiankę o dokarmianiu butelką. Doktor Turner przyrzekł porozmawiać z nim, obawiała się, że jeśli sama to zrobi, to będzie się jąkać i wykręci się jakimś eufemizmem w rodzaju: „dziś wieczór Stephen dostanie trochę odżywkę z butelki na deser”. Dziwna rzecz, jak człowiek zaczyna używać tego rodzaju języka w szpitalu. Jedno wszakże postanowiła twardo: ani ona sama, ani nikt inny nie będzie przemawiał do jej dziecka dziecinny bełkotem. Ani używał wyrażen w rodzaju pi-pi lub duży interes. Nie zdecydowała jeszcze, jak to powie.

W porze lunchu zjawił się Sloan, był zły. Pod jednym okiem drgał mu mięsień. Wściekał się bardziej na doktora Turnera niż na pielęgniarki i żonę, którą uważał za niewinną. Oświadczył, że zgodziła się na butelkę pod presją.

- Ależ, Sloan - argumentowała - to się wydaje bardzo sensowne, Stephen tylko na tym skorzysta, rozumiesz?

- Kochanie, jesteś laikiem - pokręcił głową Sloan. - Turner jest ginekologiem. Nie wie, co się dzieje z kobietą i dzieckiem po wyjściu ze szpitala. Widzi cię tylko na badaniu kontrolnym. Nie rozumie, co się dzieje, gdy dziecko karmione piersią nagle przechodzi na butelkę. Nie rozumieją też tego pielęgniarki z położnictwa. Rozumie to tylko pediatra. Powtarza się to za każdym przeklętym razem. - Usiadł w fotelu i zanurzył palce w jasnych włosach, Priss spostrzegła, że jest naprawdę wzburzony.

- Co się dzieje? - spytała łagodnie.

- To proste - odparł, wycierając okulary. - Kiedy niemowlę dostaje uncję odżywkę z butelki bez większego wysiłku, przestaje energicznie ssać pierś. Dlaczego miałyby to robić? Dziecko jest myślącym stworzeniem. A gdy niemowlę przestaje ssać z całych sił, pokarm się zmniejsza. Wówczas daje mu się jeszcze jedną dodatkową butelkę. I jeszcze jedną. A po tygodniu dostaje butelkę po każdym karmieniu piersią. W tej sytuacji zaczyna odpychać pierś. Za dużo kłopotu. Albo pediatra zarządza, aby matka przestała karmić piersią. Bo gdy jej mleko obniża się do jednej uncji przy każdym karmieniu, gra przestaje być warta świeczki. Zwłaszcza gdy się ma tyle roboty

ze sterylizacją butelek i smoczków i przygotowaniem odżywki do sześciu karmień dziennie, to podwójna robota. Mówię ci, jeśli Stephen dostanie dziś wieczór butelkę, to po tygodniu pobytu w domu stracisz pokarm i będziesz miała dziecko zdane całkowicie na butelkę.

Priss potulnie skinęła głową. Jakby nie miała własnego zdania, Sloan nie potrzebował dużo czasu, by ją przekonać, że koniec z jej karmieniem, jeśli mały dostanie butelkę. Przecież to byłoby jak dawanie małemu narkotyków lub alkoholu, od razu by w tym zasmakował. Pojęła, o co mąż walczy, i że pielęgniarka z doktorem Turnerem oszukali ją. Czuła się smutna i pokonana, życie zdawało się tracić dla niej sens, jeśli nie będzie mogła karmić syna piersią.

- Czy to aż taka różnica? - spytała poważnie. - Czy nie zbzikowaliśmy trochę na punkcie karmienia piersią?

- Nie - powiedział zimno. - To nie jest aż taka różnica. Chcieliśmy tylko dać dziecku najlepszą szansę, i tyle. Gdybyś mogła je karmić choćby przez miesiąc, dwa...

- Przepraszam - powiedziała Priss.

- To nie twoja wina. Wszystkiemu winien ten przeklęty szpital. Znam ich. Nie dają człowiekowi spróbować. Poradziłabyś sobie znakomicie. Jeszcze jeden dzień i wszystko poszłoby dobrze. Dwa dni, powiedzmy.

- Nie rozumiem.

- Dziecko uspokoiłoby się i przestało domagać rzeczy niemożliwych. Twój program mu służy. Spójrz na wykres. Powiedziałem to Turnerowi. Nikt w tym szpitalu nie ma odwagi doprowadzić doświadczenia do końca. Niemowlę wrzeszczy, więc mu dają butelkę. Żeby osiągnąć w medycynie jakiś postęp, trzeba się zdobyć na bezwzględność. To samo dotyczy twojego przyjaciela Roosevelta i tych społeczników z rozmiękczeniem mózgu w Białym Domu. Gospodarka sama wyszłaby z kryzysu, gdyby ją zostawiono w spokoju i nie słuchano skamlenia przegranych. Wyjście z kryzysu! Nie nastąpiło żadne wyjście z kryzysu. Gospodarka jest chora i napompowana odżywką dla niemowląt. - Nagle roześmiał się jak chłopiec. - Niezły dowcip, co, malutka?

- Zabawne - powściągliwie oświadczyła Priss - ale nie zgadzam się z tym porównaniem.

- Kochana, pocziwa Priss - powiedział czule, ciągle dumny ze swego kalamburu. - Nie ustąpi ani na cal.

- Co powiedziałaś Turnerowi?

- To co i tobie - wzruszył ramionami. - Orzekł, że nie ma sensu eksperymentować w obecnych warunkach szpitalnych. Pielęgniarki są temu przeciwnie. To spisek.

- Ściśle mówiąc, co masz na myśli, nazywając to eksperymentem?

- Chcę udowodnić, że każda kobieta może karmić - rzucił niecierpliwie. -

Przecież wiesz, mówiłem ci setki razy.

- Sloan - powiedziała Priss przymilnie - bądź sprawiedliwy. Stephen płacze prawie dziesięć godzin dziennie.

- Po pierwsze, dziesięć godzin to przesada - podniósł palec. - A po drugie, co z tego? I po trzecie, pielęgniarki biorą go na ręce i cackają się z nim, kiedy płacze. -

Priss nie miała na to repliki. - Oczywiście, że to robią. Wobec tego on, rzecz jasna, więcej płacze. Już w drugim tygodniu życia nauczył się przyciągać uwagę wrzaskiem.

- Założył ręce i ze zmarszczonym czołem patrzył na Priss. - Zajmiemy się tym, gdy wrócimy do domu. Musisz zabronić Irenie, żeby go brała na ręce, chyba żeby go przewinąć. Powinna sprawdzić, czy mu nie jest zimno lub czy nie ma mokro, i zaraz położyć go z powrotem do koszyka.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Mówiłam już o tym z Ireną. Rozumie, że teraz wychowuje się niemowlęta inaczej. Ale co z butelką?

- Dostanie na razie dodatkową butelkę, a gdy będziemy w domu, wypróbuję pewien pomysł.

Priss zrobiło się zimno ze strachu. Odkąd była w szpitalu, jej uczucie do męża zaczęło się zmieniać. Czasem zdawało jej się, że go już nie kocha. A może wiele kobiet tak czuje: po urodzeniu dziecka uczucia jej były podzielone. Zaczynała rozumieć, że może będzie musiała bronić syna przed mężem, tym bardziej że Sloan, jako lekarz, ma podwójny autorytet. Stwierdziła, że porównuje jego słowa ze słowami pielęgniarek, z tym, co napisano w broszurze Ministerstwa Pracy i w „Parents' Magazine” (Magazynie Rodziców). Gdy Sloan oświadczył, że dziecko powinno spać w nie opalanym pokoju, stwierdziła ze zdziwieniem, że Ministerstwo Pracy jest tego

samego zdania; w szpitalu sala dla niemowląt była oczywiście ogrzewana. Priss doszła do wniosku, że mąż ma pewne cechy, którym ona nie ufa, można je podsumować jako jego konserwatyzm polityczny. Do tej pory to nie miało znaczenia, większość mężczyzn, których znała, głosowała na republikanów - był to niejako atrybut męskości. Nie uśmiechała jej się jednak perspektywa oddania w ręce republikanina losu bezbronno niemowlęcia. Jeśli idzie o medycynę, Sloan miał całkiem postępowe poglądy, ale był zakochany w swoich teoriach i chciał je narzucić jak prohibicję, nie licząc się z naturą ludzką. Zastanawiała się, czy naprawdę będzie dobrym pediatrą.

- Co to za pomysł? - zaczęła starając się nie okazać niepokoju.

- Przyszło mi coś do głowy - powiedział, podchodząc do okna. - Zastanawiam się, jak służyłby Stephenowi trzygodzinny cykl. - Oczy Priss omal nie wyszły z orbit. - Czterogodzinny cykl nie jest święty, kochanie - dodał, wracając do łóżka. - Nie miej takiej miny. Niektórzy młodzi lekarze stosują już na próbę trzygodzinny cykl. Idzie o znalezienie właściwego czasu dla każdego dziecka. Niemowlęta nie są jednakowe.

Priss zastanawiała się nad znaczeniem tych słów, które nie całkiem były w stylu jej męża. Pomyślała, że pewnie przeczytał najświeższe pisma medyczne.

- Oczywiście - ciągnął dalej - nie da się wypróbować trzygodzinnego cyklu w szpitalu, rutyna nie jest na to nastawiona. Wszystkie pielęgniarki stanęłyby okoniem. Ale mając do czynienia z wyjątkowo głodnym dzieckiem, które ciągle płacze, można to z łatwością wypróbować w domu.

Priss była wzruszona. Cofnęła wszystko, co przed chwilą myślała. Mąż też się martwi o syna, choć tego nie okazuje. Pewnie czyta do późnej nocy. Lecz jak wszyscy lekarze nie przyzna się do błędu czy zmiany poglądu.

- To nawet prostsze - kontynuował - przy karmieniu piersią, niż gdy dziecko jest na butelce. Mogłabyś go karmić co trzy godziny przez tydzień, dwa, a potem wrócić do czterogodzinnego rozkładu. Najważniejsze to regularny cykl, przerwa między karmieniami jest obojętna.

- Ale czy miałabym dość pokarmu? - Wizja dziecka odejmowanego od piersi osiem razy na dobę i ciągle głodnego była dość przerażająca.

- Częstsze karmienie powinno wzmocnić twojego pokarmu. W każdym razie chciałbym to wypróbować - zauważył.

Priss nie widziała nic złego w zmianie cyklu, pod warunkiem że starczy jej pokarmu. Czowała się jednak w obowiązku zadać ostatnie pytanie:

- Jesteś pewien, że nie cofasz zegara? Idzie mi o to, że potem każesz mi karmić dziecko co dwie godziny, a następnie za każdym razem, gdy będzie głodne. I nim się obejrzymy, znajdziemy się w czasach mojej matki.

- Lub babki - roześmiał się Sloan. - Nie bądź niemądra.

Nikt by nie zgadł, co się stało po wyjściu Sloana. Priss skończyła właśnie popołudniowe karmienie, gdy zadzwoniła Julie Bentkamp, inna koleżanka ze studiów, obecnie redaktor „Mademoiselle”. Słyszała od Libby, teraz już znanego agenta literackiego, że Priss sama karmi swoje dziecko. Uważała, że to bardzo ciekawe, więc czy Priss nie zechciałaby napisać artykułu do „Mademoiselle” na temat, co czuje karmiąca matka? Priss oświadczyła, że mowy o tym być nie może, że jako żona lekarza naruszyłaby etykę lekarską, pisząc taki artykuł. Po kilku minutach zadzwoniła sama Libby - nic się nie zmieniła. Zapewniła, że jeśli Priss napisze taki artykuł, ona, Libby, na pewno sprzeda go do „Reader's Digest”.

- Możesz to napisać pod pseudonimem - zaproponowała. - Choć ja osobiście sądzę, że Sloan ucieszyłby się z reklamy. Pozwól, że zadzwonię do niego i spytam, co o tym myśli.

- Lekarze się nie reklamują - chłodno wtrąciła Priss. - Właśnie o to idzie, moja droga. - Była zła, nienawidziła tego typu „nacisku handlowego”. Kto mógł powiedzieć Libby? - zadawała sobie próżne pytanie. Bała się, że jeśli Libby zasiądzie na Sloana, mąż w tym przypadku nie będzie staroświecki i zacznie ją namawiać na ten artykuł, usiłowała wyobrazić sobie starą doktorową Drysdale piszącą taki artykuł, nawet gdy była młoda...

- Zaproszę Sloana na drinka - ciągnęła dalej Libby. - Przecież jest słomianym wdowcem. Razem z Julie. Jestem przekonana, że zdołamy go namówić. Powinnaś zobaczyć Julie teraz, jest szałowa!

- Nie w-w-waż się, Libby! - krzyknęła Priss.

- Pamiętaj, żebyś koniecznie podała wymiary swego biustu. Nie musisz się nad tym rozwodzić. Tylko daj czytelnikowi do zrozumienia, że nie masz idealnej trójki. Bo inaczej umknie pointa.

- Rozumiem.

- I dodaj, że byłeś w Phi Beta Kappa i urzędniczką państwową. Jeśli Sloan się zgodzi, naturalnie, umieszczę twoje zdjęcie w dziale informacji o autorach.

- Nie napiszę tego. Umiem tylko pisać sprawozdania gospodarcze. Mój styl jest zbyt suchy.

- Ja ci to przefasonuję - lekko rzuciła Libby. - Jeśli chcesz, napiszę za ciebie wszystkie partie opisowe i uczuciowe. Powiedz mi tylko szczerze, jak to jest.

- Nie napiszę tego pod żadnym warunkiem!

- Mogłabyś mieć pielęgniarkę przez sześć miesięcy za honorarium, jeśli sprzedamy to do „Reader's Digest”. Nianię w czepku... czy one teraz noszą czepki z wstążkami... żeby wozila małego do parku...

Priss odsunęła słuchawkę od ucha, w końcu Libby zamilkła.

- Dlaczego? - spytała innym tonem.

- Bo to w złym guście - wyjąkała Priss.

- Ja tak nie uważam. Absolutnie tak nie uważam - Libby mówiła coraz głośniej.

- Czy w złym guście jest mówić o karmieniu piersią? Przecież to najnaturalniejsza rzecz na świecie. We Włoszech kobiety robią to publicznie i nikt się tym nie przejmuje.

- Nie zrobię tego publicznie. A skoro to takie naturalne, to dlaczego tak się palisz do tego artykułu? Bo uważasz, że to nienaturalne, dlatego. - Odłożyła słuchawkę. Bo to jest nienaturalne, powiedziała sobie smętnie. Przypadkiem dotknęła prawdy, jak się przypadkiem namaca strup. Karmiąc własne dziecko, robiła „najnaturalniejszą rzecz na świecie”, a jednocześnie z jakiegoś powodu było to całkowicie nienaturalne, naciągane i fałszywe, jak upozowana fotografia. Wiedzą to wszyscy w szpitalu, wie jej matka, wiedzą odwiedzający ją przyjaciele, dlatego właśnie o tym mówią i udają, że to wspaniałe, kiedy nie jest - jest tylko wspaniałym tematem do rozmowy. W rzeczywistości to, co ona robi, jest okropne, właśnie doleciał z sali niemowląt głos, żeby jej to powiedzieć - głos, którego starała się nie słyszeć, choć słyszy go przynajmniej od tygodnia. Żąda tego, co jest naturalne w naszych czasach - domaga się butelki.

ROZDZIAŁ 11

Polly i Gus mieli romans już prawie od roku. Ona ciągle mieszkała w umeblowanym pokoju z łazienką i co dzień szła do pracy w szpitalu, a on mieszkał niedaleko z pewnym grafikiem, który też był w separacji z żoną. Co wieczór po pracy Gus przychodził do Polly na drinka, chyba że musiał pójść na kolację z jakimś autorem, po drinkach Polly gotowała kolację na swoim palniku. Potem szli do kina lub na zebranie, na którym dyskutowano o wojnie domowej w Hiszpanii, o krzemicy płuc lub rolnikach płacących plonami za dzierżawę ziemi; czasem puszczały płyty na adapterze Polly, ale w dni powszednie on wracał do siebie na noc, bo tak było wygodniej - miał w domu przybory do golenia, fajki i maszynopisy, które musiał przeczytać; nie przeszkadzało mu, gdy grafik miał u siebie kobietę w drugiej sypialni, jeśli tylko on sam mógł zjeść swoje płatki kukurydziane i wypić poranną kawę w szlafroku, nie będąc zmuszony do konwersacji z kolejną kobietą.

W soboty pracował do południa, po południu zaś szli na spacer do włoskiej dzielnicy lub Chinatown, do hiszpańskiego muzeum czy do krużganków Barnarda. Wracając, robili zazwyczaj zakupy, jeśli Polly nie załatwiła tego rano; Gus kupował wino na University Place, szli piechotą z torbami zakupów, mijając po drodze sklep Wanamakera, aż do St Mark's Place i gotowali kolację w kuchni gospodarzy, jeśli ci wyjechali na weekend do swego domku w New Jersey. Albo też Gus zabierał Polly do francuskiej czy hiszpańskiej restauracji na kolację i tańce. W soboty zostawał u niej na noc, spali na wąskim łóżku Polly, a w niedzielę rano jadalі późne śniadanie i czytali gazety.

Niedzielne popołudnia Gus spędzał ze swoim małym synem - zabierał go do zoo w Bronx lub na przejażdżkę promem do Staten Island, czasem wchodzili na Statuę Wolności albo szli na Most Waszyngtona, do akwarium w Battery Parku czy do terrarium w małym zoo na Staten Island. Polly układała marszrutę, sama jednak im nie towarzyszyła.

- Dopiero po naszym ślubie - mówiła, na co Gus zawsze wybuchał śmiechem, bo to brzmiało tak staroświecko, jak gdyby odmawiała mu swoich łask, do czasu gdy będzie miała obrączkę na palcu. Ale Polly nie mogła się przemóc. Więc w niedzielę po

południu spotykała się ze starymi przyjaciółmi, a wieczorem, gdy Gus odprowadzał młodego Gusa do domu, zostawał na szklanek piwa u żony, na kolację zaś zjadał kanapkę w swojej kuchni. Umówili się z Polly, że w niedzielę on będzie miał wolny wieczór, ona wtedy robiła pranie i myła głowę.

Był właśnie niedzielny wieczór, w łazience Polly wisiała jej wyprana bielizna, pończochy i pas. Jej angielski bluszcz i roślina pod nazwą Rozkoszny Potwór też były po kąpieli, w poprzek okna w pokoju rozciągał się mocny sznur, na którym wisiały bluzki, Polly szczotkowała mokre długie włosy szczotką od Sióstr Ogilvie i wycierała je ręcznikiem. Na innym ręczniku suszył się biały sweter. Polly przekonała się, że pranie jest doskonałą kuracją na przygnębienie dla pracującej dziewczyny, a w niedzielę wieczorem bywała przygnębiona. Mydliny, para, zapach wilgotnej jagnięcej wełny, skrzywienie mokrych włosów budziły w niej nadzieję, że „wszystko się jakoś okaże w praniu”. Jeśli wyprasuje sześć białych bluzek w kuchni gospodyni, wyceruje pończochy i zastosuje dietę, by stracić pięć funtów, to Gus zdecyduje, że dłużej nie może czekać ze ślubem.

Przez pięć dni w tygodniu przed przyjściem do niej szedł do psychoanalityka. W psychoanalizie, twierdził psychoanalityk, obowiązuje zasada utrzymania w trakcie kuracji dotychczasowej sytuacji życiowej pacjenta, w przeciwnym wypadku zostałby naruszony układ psychoanalityczny. Wobec tego Gus nic nie robił w sprawie rozwodu. Gdy „dojrzeje” do rozwodu - określenie psychoanalityka - pojedzie zapewne na sześć tygodni do Reno. Jednakże rozwody w Reno są kosztowne i Polly nie wiedziała, skąd Gus weźmie pieniądze, skoro wszystkie oszczędności wydaje na psychoanalizę, a pół pensji idzie do żony na tymczasowe utrzymanie jej i dziecka. Poza tym Polly miała wątpliwości, czy żona Gusa da mu rozwód. Przyrzekła to zrobić po skończonej kuracji, lecz Polly podejrzewała, że jest w zмовie z psychoanalitykiem, żeby zmęczyć Gusa grą na zwłokę.

Gdy poznał Polly na majowym przyjęciu u Libby, od trzech miesięcy poddawał się już psychoanalizie i analityk był zaskoczony, słysząc, że Gus ma poważny romans, zarzucił mu złamanie przyrzeczenia. Jak gdyby od człowieka zależało, kiedy się zakocha.

Rodzina Polly o niczym nie miała pojęcia, przyjaciele jednak domyślali się, że w jej życiu musi być żonaty mężczyzna, bo nic nie mówiła, jak spędza czas poza pracą. Przeważała teoria, że to pewnie któryś z lekarzy w szpitalu. Polly ukrywała swoją miłość nie ze wstydu, ale z niechęci do rad i współczucia. Wiedzieli o tym romansie tylko ci, którzy nie mogli nie wiedzieć: grafik, z którym Gus mieszkał, gospodarze Polly, współlokatorzy oraz Ross, służąca cioci Julii, bo miała zwyczaj wpadać wieczorem, żeby „pomóc” Polly z robótkami i szyciem. Nawet Bisbee, sekretarka Gusa, nic nie wiedziała. Polly nie chodziła z Gusem na literackie cocktaile (po ślubie, mówiła) po części dlatego, że bała się spotkać Libby, głównie jednak z tego samego poczucia przyzwoitości, które wzbraniało jej spędzać niedziele z małym Gusem i jego ojcem, dopóki rodzice chłopca pozostają małżeństwem. Wzdragała się na myśl o pytaniach, jakie zada mały Gus i jakie z kolei zada małemu jego matka, o pytaniach, które posypałyby się - gdyby się zjawiała na cocktailach - ze strony personelu Gusa. Kiedy ślub, pytano natychmiast, widząc zakochaną parę. I o to z miejsca zapytali zarówno Ross i Schneider, który, nawiasem mówiąc, nie wierzył w małżeństwo, jak i gospodyni, należąca do grupy nudystów w New Jersey, oraz Szczerbatiew. Natomiast szczerza odpowiedź wywoływała inne jednomyślne pytanie. Dlaczego Gus chodzi do psychoanalityka? Co mu dolega?

O to, rzecz dziwna, nikt nigdy nie zapytał w związku z ojcem Polly, gdy biedaka „wsadzono” do kliniki Briggsa, choć choroba była określona jako melancholia, co ułatwiałoby odpowiedź. Gdyby na przykład Gus mówił sam do siebie lub w ogóle się nie odzywał, gdyby miał ataki płaczu lub napady tego, co lekarze nazywają dziwnym zachowaniem, nikt nie pytałby, co mu dolega. Kłopot w tym, że nic takiego się z Gusem nie działo. Polly nie dostrzegała w nim nic nienormalnego. Psychiczenie wydawał się najzdrowszym człowiekiem na świecie, przynajmniej oglądany gołym okiem, a Polly mogła się opierać tylko na tym, co widziała. Ani śladu nienawistnej melancholii, czarnej wściekłości czy inklinacji do dziwactw. Gus lubił tańczyć z policzkiem przytulonym do jej policzka, grać w tenisa, prowadzić samochód - miał starego hupmobile'a, którego trzymał w garażu w Brooklynie. Jak większość mieszkańców Nowej Anglii, miał węża w kieszeni, ale prezenty kupował zawsze w najlepszych magazynach - podarował Polly piękną torebkę, kolczyki z rzeźbionego

lapis lazuli i mięciutki niebieski sweter od Braci Brooks; prawie co tydzień przynosił kwiaty, a gdy szli potańczyć w sobotę, kupował jej bukietek fiołków lub kamelię. Ale nie dbał o własne ubranie, miał dwa znoszone garnitury, kupione gotowe u Wanamakera, tweedową marynarkę, flanelowe spodnie i kilka muszek. Na wypadek choroby był ubezpieczony w Niebieskim Krzyżu i trzy razy w roku chodził do dentysty na czyszczenie zębów. Uważał, żeby nie przytyć w pasie, i pilnował, aby mały Gus chodził do pediatry, jednego z najlepszych młodych lekarzy w mieście, jak i psychoanalityka Gusa, ongiś ulubionego studenta Brilla*. Choć miał zaledwie trzydzieści lat, Gus był drugim ojcem dla swoich autorów - bardzo cierpliwie wysłuchiwał ich utyskiwań, zdobywał dla nich adwokatów, bilety teatralne, książki po niższych cenach, mieszkania, sekretarki, kochanki, cokolwiek było im potrzebne. Zorganizował w swoim wydawnictwie oddział Cechu Książki i Czasopisma, choć sam, jako członek dyrekcji, nie mógł należeć do związku. Palił papierosy produkowane przez związkowców, gdy nie palił fajki, i kupując cokolwiek, sprawdzał, czy na danym artykule widnieje znak związku zawodowego; jednakże w odróżnieniu od Priss uznawał w skrytości ducha firmy renomowane: koszule Arrow, opony Firestone, śmietankę Teachera i żyłetki Gillette. Nie dał się przekonać hasłom ruchu konsumentów, że rzecz dwa razy tańsza jest równie dobra co rzecz droga. Patrzył ubawiony, jak Polly sama miesza puder z kremem, żeby było taniej, zwracał jej uwagę, że nie wlicza kosztów swojej pracy.

* Abraham Arden Brill (1874 - 1948) - urodzony w Austrii, amerykański psychiatra, tłumacz Junga i Freuda.

Preferencja dla renomowanych firm pchnęła go w kierunku komunizmu przed laty, gdy po skończeniu college'u Browna wylądował prosto w kryzysie gospodarczym. Wcześniej już Bernard Shaw nawrócił go na socjalizm, ale mieszkający z nim kolega twierdził, że jeśli chce być socjalistą, należy trzymać z największą i najlepszą firmą produkującą socjalizm - czyli ze Związkiem Radzieckim. Więc Gus przeszedł na komunizm, ale dopiero po sprawdzeniu rzeczy na własne oczy. Latem po skończeniu studiów objechał z kolegami Związek Radziecki, zaimponowały

im tamy, elektrownie, uspołecznione rolnictwo i przewodniczka z Inturistu. Po czymś takim Norman Thomas wydawał się politykiem niemrawym. Gus nie zwracał sobie głowy małymi odłamami odszczepieńców w rodzaju trockistów, do których należał współlokator Polly, Schneider, lovestone'istów czy musteitów, twierdził, że każdy duży ruch ma swoją porcję pomyleńców. Jednak po powrocie ze Związku Radzieckiego nie wstąpił do partii. Nie chciał martwić ojca, właściciela zakładu drukarskiego w Fall River, który był w rodzinie od czterech pokoleń. LeRoyowie cieszyli się poważaniem u fabrykantów, dla których drukowali zawiadomienia o ślubach i pogrzebach, karty wizytowe, programy wieczorków tanecznych, tablice z napisem „Przejdźcie wzbronione” oraz zawiadomienia o dacie zakończenia wyprzedaży od czasów Wojny Domowej; pod drukarnią w parterowym sklepie na głównej ulicy sprzedawali też artykuły szkolne, pocztówki bożonarodzeniowe i na św. Walentego oraz papier ozdobny do zawijania prezentów. Gdyby Gus został partyjnym komunistą, ci bezzwzględni fabrykanci byliby zdolni do zbojkotowania rodzinnego zakładu. Poza tym amerykańscy komuniści nie wydawali się Gusowi równie odpowiedzialni co radzieccy. Więc zamiast wstąpić do partii, ożenił się z partyjną dziewczyną, Żydówką, którą poznał przez kolegę, gdy ten przyprowadził dwie dziewczyny na tańce do Webster Hall, drugą jako parę dla Gusa; była nauczycielką w pierwszej klasie postępowej szkoły w centrum miasta.

Polly wiedziała, że Kay przypisałaaby pociąg Gusa do komunizmu - a zwłaszcza do komunistek - jego uczuciowej chwiejności. Ona sama jednak tak nie myślała, nie patrzyła na partię komunistyczną jako na Czerwoną Kobietę w życiu Gusa. Co więcej, jego solidarność z partią była flegmatyczna. Nigdy nie brał udziału w demonstracjach czy pochodach pierwszomajowych, nie nazywał policji kozakami, w komunistycznym piśmie „Daily Worker” czytał tylko stronę sportową. Nie sprzeczał się z niewiernymi, nie wyłączał Polly, i właściwie nie zajmował się szerzeniem wiary, w przeciwieństwie do biednego Schneidera, który ustawicznie usiłował nawrócić Polly na trockizm, a obecnie był szczególnie elokwentny na temat procesów moskiewskich i ilekroć spotkał Gusa na schodach, zaczynał o nich mówić. Gus utrzymywał, że procesy te odbywają się zbyt daleko, żeby można było sądzić o ich prawie czy

bezprawiu, że historia to rozstrzygnie. Wydawały mu się nieważne w porównaniu z wojną w Hiszpanii, która naprawdę go poruszyła.

Ciągle zamawiał książki na temat Hiszpanii - antologie poezji wojennej lojalistów, studium fotograficzne Brygady Międzynarodowej, nowy przekład *Don Kichota*. Próbował namówić Hemingwaya na napisanie książki o El Campesino, ale pisarz miał już niestety podpisaną umowę z wydawnictwem Scribnera, natomiast Vincent Sheean, o którym Gus też pomyślał, nie odpowiedział na jego depezę. Miał nadzieję, że w szeregach Batalionu Abrahama Lincolna powstanie wielka powieść; tej zimy, gdy ogłoszono nabór ochotników do owej formacji, też chciał się zaciągnąć i podczas przerwy na lunch poszedł na badania lekarskie, nie mówiąc o tym nawet swojemu psychoanalitykowi. Obraz Gusa jako dzielnego ochotnika w berecie bardzo przemawiał do Polly, uważała, że byłby znakomitym oficerem. Ale gdy żona Gusa dowiedziała się o tym (zamierzał zostawić swoją polisę ubezpieczeniową Gusowi IV), zarzuciła mu brak odpowiedzialności. Powiedziała, że Gus chce się zaciągnąć, bo poddaje się mechanizmowi ucieczki, co uczyniłoby jego akces politycznie nieważnym. Jej zdaniem, nie chce ukończyć kuracji psychoanalitycznej i ucieka od swoich prawdziwych problemów w związku z nią i ich synem, a poza tym, kto zapewni środki na utrzymanie dziecka, gdy Gus będzie bił faszystów lub włóczył się po madryckich kawiarniach? Słyszając to, Polly litowała się nad żoną Gusa, jak litowała się nad Libby, która była stale zakłamana. Chciała jednak być sprawiedliwa, więc zastanawiała się, czy naprawdę idzie o pieniądze i czy nie są one pretekstem mającym ukryć niepokój żony Gusa o jego bezpieczeństwo; może ona na swój sposób kocha go bardziej niż Polly, która pozwoliłaby mu narażać życie dla sprawy.

Polly czuła wielką sympatię dla hiszpańskich republikanów, a pytana o powody tej lojalności, odpowiadała z uśmiechem: - Jestem Baskijką. - Była to aluzja do tego, że Polly miała wśród swoich antenatów odłam katolicki: ze strony matki pochodziła z rodziny Ayerów i była spokrewniona z lordem Actonem. Politycznie stała na przeciwnym biegunie niż Gus, lecz serce jej wybiegało do strony przegrywającej w każdej walce, poza tym kochała małe sekty z dziwacznymi doktrynami, w rodzaju starych katolików Dollingera, nie uznających nieomylności papieża, duchoborców, którzy uciekli do Kanady, żeby uniknąć służby w carskim wojsku, cnotliwych

anabaptystów, Żydów chasydów tańczących i skaczących z radości w polskich wsiach; była po stronie „straconych” plemion Basków z ich tajemniczym językiem; lubiła wymarłe lub wyteńpione gatunki stworzeń, takie jak wędrowny gołąb, o którym napisała referat w ramach nauki o zoologii. Od czasów legendy o Bonnie Prince Charliem żadna sprawa tak mocno jej nie poruszała jak losy hiszpańskich lojalistów. Ona i Gus hojnie dawali na zmagania wojenne republikanów, z tym że Gus dawał na samoloty, a ona na karetki pogotowia i medykamenty. Mówiła z uśmiechem, że normalnie - czyli w czasach pokoju - jest pacyfistką, ale na miejscu Gusa zaciągnęłaby się i dziwiła się, że usłuchał psychoanalityka, który mu powiedział, że bardziej przysłuży się sprawie hiszpańskiej w Nowym Jorku niż w Madrycie. Może to i była prawda, lecz Polly nie wyobrażała sobie, żeby mogła się zgodzić na takie walenie jej wartości, jakby była drogocennym kruszczem. Właśnie ta strona komunizmu nie odpowiadała Polly. Lecz jeśli dziwiła się, że Gus usłuchał psychoanalityka, to jeszcze bardziej temu, że ów z nim rozmawiał.

- Myślałam, że nie powinni udzielać rad - wtrąciła, marszcząc brwi. Gus wyjaśnił, że psychoanalityk jest całkowicie neutralny, słucha tylko pacjenta i czasem zadaje pytanie. Pacjent sam wyciąga wnioski.

- Tak jest w teorii - ciągnął dalej Gus - ale on też jest człowiekiem. Jeśli widzi, że pacjent zmierza do samobójstwa, to oczywiście wtrąca się jako człowiek.

- Mnie by się zdawało, że powinien się wtrącać jako lekarz - łagodnie zauważyła Polly.

- Aha - skinął głową Gus. - Właśnie na to psychoanalitycy muszą uważać. Pacjent zawsze stara się wciągnąć psychoanalityka, jako psychoanalityka, w niecodzienną sytuację. Wywabić go spoza lekarskiej bariery. Psychoanalityk musi jednak pozostać za tą barierą, to jest Reguła Pierwsza. Jeśli nie potrafi, winien przerwać psychoanalizę. Tylko że pacjenci są chytry jak szatany. Na przykład doktor Bijur może pomyśleć, że zaciągam się do Batalionu Lincolna tylko po to, aby go złapać w pułapkę, zainteresować moimi osobistymi decyzjami. Zwrócić na siebie uwagę. - Zmarszczył brwi. - Boże, może tak było! Może ja się tylko bawiłem w żołnierzyka.

- Naprawdę? - krzyknęła Polly. - Ja ci wierzyłam. Nie byłeś szczery?

- Skąd mam wiedzieć? - Gus rozłożył ręce.

- Boże wielki! - powiedziała Polly.

Znów to samo, to dziwaczne traktowanie siebie jak gęsty nieprzenikniony przedmiot. Lub jak innego człowieka, którego motywów postępowania można się tylko domyślać. Czy właśnie ta dziwna, płaska obiektywność jest chorobą Gusa, czy też jest ona skutkiem leczenia?

Nie starała się zgłębić tego pytania. Wiedziała, że Reguła Druga zabrania pacjentowi mówić o swojej chorobie z przyjaciółmi i rodziną, a obecna dyskusja o psychoanalizie była niemal najdłuższą, jaką miała z Gusem, od czasu gdy wyznał jej po raz pierwszy, choć spali już ze sobą od pewnego czasu, że chodzi do doktora Bijura. Polly była sumienna i tak samo nie wyciągałaby Gusa na zwierzenia o jego kuracji, jak nie zmuszałaby chorego na cukrzycę do zjedzenia cukru, a skutek był taki, że nie miała pojęcia o sprawie, która niewątpliwie dla niego posiadała ogromne znaczenie.

Gdyby tak nie było, nie chodziłby co dzień na godzinną rozmowę z tym obcym człowiekiem.

Patrząc wstecz, zastanawiała się czasem, czy pozwoliłaby mu wejść do swego mieszkania i nawiązać z nią romans, gdyby jej wyznał przedtem, że „poddaje się analizie”. Powiedział, że jest żonaty i nie mieszka z żoną (o czym wiedziała już od Libby), ale słowa nie pisał o psychoanalizie. Powód był dla niej jasny: z początku nie znał jej na tyle dobrze, żeby jej to wyznać, a gdy ją poznał lepiej, byli już kochankami i wówczas ona nie miała wyboru. Kości zostały rzucone: godząc się na jego miłość, sama go pokochała. Wątpiła jednak, czy wiedząc o tym, straciłaby dziewictwo z człowiekiem „analizowanym”, nie miałaby odwagi.

Zawsze wiedziała, że seks będzie dla niej sprawą bardzo ważną. Właśnie dlatego strzegła się mężczyzn. Rozmawiając z koleżankami na studiach, zrozumiała, że całowanie się z chłopcami nie stanowiło dla nich tak głębokiego przeżycia jak dla niej, gdy była zaręczona. Często wówczas była bliska przekroczenia granicy, jak to nazywano, ale zawsze coś ją ratowało - raz był to policjant obchodzący teren uniwersytecki, przeważnie jednak sam chłopak, który miał skrupuły. Po zerwaniu zaręczyn, gdy musiała pójść do szpitala, najbardziej cierpiała z powodu zmysłów.

Potem stanowczo poskramiała zmysły, tak że nawet nie chodziła na filmy, w których całowano się, nie chciała być „podniecona”. Powiedziała sobie, że chce spokojnego, równego, niezależnego życia, urozmaiconego humorem jak okno firankami. Znajomi twierdzili, że ma słodkie usposobienie, łatwo nawiązywała przyjaźnie, tak jak potrafiła zwabić ptaki, aby jadły jej z ręki. Przemyślała dokładnie swoje możliwości oraz dziedziczne „obciążenie” i doszła do wniosku, że najlepiej będzie nastawić się na przyjaźń, a nie na miłość czy małżeństwo. Wyobrażała sobie siebie w późniejszych latach życia jako kobietę rozłożystą i pulchną, niczym ksieni w kwefie, lub diakonisę kościoła episkopalnego sprzątającą ołtarz, odkurzającą organy i odwiedzającą chorych w parafii. Na razie była niewierząca, spodziewała się jednak, że czas to naprawi. Rozumiała, że musi się bardzo strzec, by nie zostać „dziwadłem”, broniła się przed tym, by w dwudziestym szóstym roku życia - co jeszcze nie było starością - nie wklejano jej do albumu. Już i tak niektórzy przyjaciele traktowali ją jak „okazję”, na którą natrafili w sklepie z używanymi rzeczami, taki lekko pęknięty kawałek starej porcelany.

Prawda, nie przepadała za ludźmi z siłą przebiccia lub szczególnie predysponowanymi do zrobienia kariery, co bardzo jej szkodziło w Vassar, potrafiła lubić takie pewne siebie, pazerne dziewczyny jak Kay czy Libby tylko litując się nad nimi. Libby było jej tak bardzo żal, że ledwie mogła znieść jej towarzystwo, czerwone, nigdy nie zamykające się usta Libby były jak krwawiąca rana w jej pustej twarzy. Libby nie podejrzewała nawet oczywiście, że ma w sobie coś godnego litości, i to właśnie czyniło ją godną pożałowania; ona z kolei myślała, że żal jej Polly i że wyrządza tamtej łaskę za każdym razem, gdy się narzuca koleżance. Gdyby Polly przestała widywać Libby, ta biedaczka nie miałaby nikogo, komu mogłaby okazać swoje miłosierdzie, bo Libby nie potrafiła okazać serca komuś naprawdę nieszczęśliwemu, tylko takiej osobie jak Polly, całkiem zadowolonej ze swego losu. Ale właśnie „zadowolenie ze swego losu” czyniło z niej niestety „dziwadło” w oczach niedowierzających przyjaciółek; rodzinę Andrewsów uważano za ludzi ekscentrycznych, dlatego że stracili majątek i jakoś to przeżyli. Polly potrafiła się śmiać z tego, lecz większość ludzi uważa, że jeśli ktoś po utracie fortuny zachowuje pogodę ducha, to albo jest ekscentrykiem, albo się zgrywa. A noszenie przerobionych

starych paryskich sukien cioci z przymrużeniem oka było dziwactwem, aczkolwiek Polly nie wiedziała, jak ma je niby nosić - z grobową miną? Jeśli Polly zaczęła gustować w towarzystwie starych dziwadł, to pewnie dlatego, że ci ludzie nie mieli konkretnej koncepcji dziwactwa lub raczej uważali, że ktoś jest dziwny, jeśli nie jest dziwadłem. Szczerbatiew na przykład uważał Libby za stwór nie z tej ziemi i ciągle prosił Polly, aby mu wytłumaczyła, skąd się taka bierze.

Tylko w jednym wszyscy znajomi Polly - dziwacy i normalni - byli zgodni, mianowicie że powinna wyjść za mąż.

- Taka ładna dziewczyna. Czemu nie ma męża? - do ogólnego chóru dołączał swój głos lodziarz.

- Czekam na właściwego kandydata - mówiła Polly. I to, pomimo jej mądrych postanowień, było prawdą. Jeśli utrudniała wymarzonemu oblubieńcowi odnalezienie jej, stanowiło to część próby, jaką musiał przejść.

- Jak chcesz kogokolwiek poznać? - pytały koleżanki. - Kiedy prowadzisz takie życie i nigdzie z nikim nie wychodzisz?

Dobrze знаła argumenty: że mężczyznę poznaje się przez innych mężczyzn, że nie musi się mężczyzny kochać ani bardzo lubić, żeby z nim pójść na kolację czy do teatru, że to nic wielkiego dotrzymać mu towarzystwa, jeśli tego pragnie. Ona jednak, sądząc według własnych mocnych pożądań, uważała, że nie jest w porządku zacząć z kimś chodzić do teatru itede, jeśli nie ma się zamiaru pójść dalej, i że to nieuczciwe wykorzystywać mężczyznę w celu poznania innych mężczyzn. Uparcie więc unikała wszelkiej stwarzanej dla niej okazji nawiązania przyjaźni z mężczyzną - jakimś panem zaproszonym na kolację bez pary i zmuszanym do uprzejmości:

- Dick cię odprowadzi, Polly. Prawda, Dick?

- Nie, dziękuję - mówiła Polly. - Pojadę autobusem. Mieszkam tuż przy przystanku.

Nawet panowie Schneider i Szczerbatiew mieli na sumieniu podobne wysiłki: Schneider przyprowadził kilku młodych trockistów, żeby przedstawić ich Polly i wypić kieliszek sznapsa w jego pokoju, Szczerbatiew natomiast wygrzebał bratanka kształcącego się na hotelarza w Chicago. Przede wszystkim jednak Polly

zdecydowanie nie dała się wciągnąć jako para dla okropnego brata Libby, nazywanego „Bratem”, który zawsze był gotów gdzieś ją zaprosić.

- To pani дума, dziecko, każe jej tak postępować - orzekł kiedyś Schneider, gdy Polly robiła mu wyrzuty, że stara się znaleźć dla niej „chłopa”.

- Możliwe - odparła Polly. - Ale czy nie sądzi pan, że miłość powinna przyjść do nas nieoczekiwanie? Jak gdybyśmy bezwiednie gościli anioła. - Dołek w jej brodzie pogłębił się. - Wie pan, jak to jest w kryminałach? Mordercą jest osoba najmniej podejrzana, nikomu by do głowy nie przyszło, że to może być ta. Tak pojmuję miłość. „Właściwy” dla mnie mężczyzna nigdy nie będzie tym facetem bez pary, którego zaproszono specjalnie dla mnie. Będzie to ktoś, kogo gospodyni nigdy w życiu nie wybrałaby dla mnie. Gdyby taki się zjawił.

- Chce pani powiedzieć - zauważył ponuro Schneider - że zakocha się w żonatym mężczyźnie. Wszyscy inni podejrzani rzucają się w oczy.

I tak właśnie stało się z Gusem.

- Jesteście ostatnią parą - powiedziała na drugi dzień Libby - którą spodziewałabym się zobaczyć w takiej komitywie. Umówił się z tobą? - Zgodnie z prawdą Polly zaprzeczyła, bo Gus wziął tylko jej numer telefonu, czemu Libby wcale się nie zdziwiła. - Strasznie trudno z nim rozmawiać - zauważyła. - On się nie nadaje dla ciebie. Myślę o tobie, Polly. Jesteś w typie starszych panów. Podobasz się starszym panom i dziewczynom. Ale mężczyzna taki jak Gus pozostałby ślepy na twoją urodę. Dlategoomal z krzesła nie spadłam, kiedy wczoraj wyszliście razem. Nikt by nie przypuszczał, rozmawiając z nim, taki z niego ścichapek, że facet jest *dernier cri* w świecie wydawniczym, powinnaś zobaczyć, jakich ma autorów. I to autorów oddanych mu osobiście, którzy poszliby za nim choćby jutro, gdyby odszedł od Ferrisa. Wielu z nich to oczywiście komuniści, chodzą plotki, że Gus jest partyjny, ale utrzymuje to w tajemnicy i ma poufne zadanie, żeby rozsadzić Ferrisa od środka. Ale czy to się nam podoba, czy nie, niektórzy z naszych najlepszych pisarzy to w tym roku komuniści. - Libby westchnęła. Polly milczała. - Mówił coś o mnie? - nagle spytała Libby.

- Trochę.

- Och, co powiedział? Powiedz mi wszystko.

- Że doskonale się spisujesz jako agent literacki. Powiedział chyba „na medal”.

- Musiał chyba powiedzieć coś więcej - Libby była zawiedziona. - Uważa, że jestem ładna? Pewnie tak, inaczej nie przyszedłby na moje przyjęcie. Obawiam się, że go trochę zaniedbałam. Mówił coś na ten temat? Nie widziałam nikogo oprócz Nilsa. Wiesz, tego barona. - Znow westchnęła. - Wczoraj mi się oświadczył.

- Och, Libby - roześmiała się Polly - nie możesz wyjść za skoczka narciarskiego u Altmana. Mam nadzieję, że dałaś mu kosza.

- Był wściekły - Libby skinęła głową. - Dostał szału. Przyrzeknij, że nie puścisz pary z ust, jeśli ci powiem, co się stało.

- Przyrzekam.

- Gdy dałam mu kosza, chciał mnie zgwałcić. Moja nowa suknia od Bendela jest w strzępach... podobała ci się? I mam pełno sińców. Pokażę ci. - Odpięła bluzkę.

- Potworne! - powiedziała Polly, patrząc na czarne i sine plamy na chudych ramionach i piersiach Libby.

Libby zapięła bluzkę.

- Potem oczywiście przeproszał i strasznie się sumitował.

- Ale jak go powstrzymałaś?

- Powiedziałam mu, że jestem dziewczcą. To go natychmiast otrzeźwiło. Jest przecież człowiekiem honoru. Ale co za wiking! Masz szczęście, że poszłaś na kolację z ponurym Gusem. Przypuszczam, że nawet nie próbował cię pocałować.

- Nie. Ciągłe zwracał się do mnie per panno Andrews - uśmiechnęła się Polly. - Biedak - dodała.

- Biedak? - wykrzyknęła Libby. - Co w nim takiego biednego?

- Jest samotny. Powiedział mi to, zapraszając na kolację. To miły przyzwoity człowiek, tęskniący za żoną i dzieckiem. Przypomina mi wdowca.

Libby podniosła oczy ku niebu. Polly mówiła prawdę. Z początku litowała się nad Gusem. Bawiło ją, że przez cały wieczór mówił do niej panno Andrews, jak gdyby dzieliło ich biuro, a nie stół restauracyjny. Pomyślała, że on jest zrosnięty z biurkiem jak z dodatkową kończyną czy podporą, przemawiał jak zza biurka: rzeczowo, odchylając się w tył razem z krzesłem, tak że natychmiast wiedziała, jak wygląda w

biurze. Opowiedział jej, śmiejąc się sam z siebie, jak Libby padła zemdlona na dywan w jego gabinecie.

- Myślałem, że dziewczyna jest zagłodzona, panno Andrews, jak Boga kocham. - Spojrzał ponuro, spode łba na Polly, która wybuchnęła śmiechem.

- A kiedy się pan dowiedział prawdy?

- Znacznie później. Właściwie powiedziała mi o tym jej szefowa. Okazuje się, że MacAuslandowie to potęga w Pittsfield. Czy to prawda?

- Tak. Są właścicielami jednej z największych fabryk. Poznałam Libby jako córkę fabrykanta. Moja rodzina mieszka w Stockbridge.

- Fabrykanci? Polly przytaknęła.

- Mój ojciec jest architektem - wyjaśniła - który nigdy nic nikomu nie zbudował, projektował tylko dla swoich krewnych. Do kryzysu żył z dywidendy.

- A teraz?

- Mama ma niewielki dochód z kapitału i mamy farmę, na której pracujemy. To znaczy rodzina pracuje - poprawiła się Polly.

- A co pani robi, panno Andrews?

- Jestem laborantką w szpitalu.

- To musi być ciekawe. I daje satysfakcję. Gdzie pani pracuje?

I tak dalej, zupełnie jak rozmowa z kandydatem na posadę, pomyślała Polly. Cała ta biurowa strona charakteru Gusa, która tak imponowała Libby, wywoływała litość w sercu Polly. Czasem miała wrażenie, że zakochała się w biurku, w obracającym się fotelu, w małym szorstkim wąsiku.

Jednakże zakochać się w biurku, a znaleźć się naprzeciw tapczanu było dość zniechęcające. Często usiłowała wyobrazić sobie Gusa na tapczanie psychoanalityka i nigdy jej się to nie udawało. Czy pali przy tym fajkę i zakłada ręce pod głowę? Czy też pali papierosa, jednego za drugim, strzepując popiół do popielniczki na piersi, jak czasem w łóżku? Jakim głosem mówi: tym zza biurka, skrzypiącym jak obrotowy fotel, czy też łagodniejszym, lżejszym, pasującym do jego chłopięcego uśmiechu, cienkich kostek u nóg, miękkich czerwonych ust i oryginalnego sposobu marszczenia nosa jak wiewiórka, gdy czule patrzy na Polly?

Powiedział jej o psychoanalizie drżącym głosem, ze łzami w oczach. Wstał z łóżka, włożył japońskie kimono, sięgające mu do kolan, relikw po wschodnich podróżach ciotki Julii, nerwowo zapalił papierosa i opadł na fotel.

- Muszę ci coś wyznać - zaczął. - Chodzę do psychoanalityka. Polly usiadła w łóżku, instynktownie przyciskając do piersi prześcieradło, jak gdyby do pokoju wszedł ktoś obcy.

- Dlaczego? Och, dlaczego? - Jej pytanie zabrzmiało jak zawołanie. Nie wyjaśnił, dlaczego, aczkolwiek zdawało mu się, że to zrobił. Opowiedział natomiast, jak to się zaczęło.

Był to pomysł jego żony. Gdy Gus odszedł od niej, bo spotykała się z działaczem partyjnym, Esther - tak miała na imię - zdecydowała, że chce odzyskać męża. Wypróbowała wszystkie stare sposoby - łzy, groźby, obietniczki - ale Gus twardo nie chciał wrócić do domu. I pewnego dnia przyszła do niego do biura, znacznie spokojniejsza, z całkiem nową propozycją, mianowicie że oboje powinni się poddać psychoanalizie, żeby sprawdzić, czy uda się uratować ich małżeństwo. Po gwałtownych scenach, jakie urządzała Gusowi, ta propozycja wydała mu się rozsądna, uderzyła go przede wszystkim zmianą w zachowaniu żony. Powiedziała, że psychoanaliza pomogłaby jej w pracy z dziećmi, bo wielu z jej kolegów poddaje się psychoanalizie tylko z tego powodu, a dyrektor usilnie zaleca to całemu personelowi. Pomoże to też zapewne Gusowi w jego pracy z autorami, będzie sobie lepiej radził z ich konfliktami, tak że gdyby po skończonej kuracji postanowili się rozwieść, to i tak dużo zyskaliby zawodowo. Gus przyrzekł się zastanowić, ale jeszcze przed wyjściem żony postanowił spróbować. On też chciał uratować swoje małżeństwo z powodu małego Gusa, uważał to jednak za sprawę beznadziejną, myśląc, że ani on sam, ani Esther się nie zmienią. Gdyby nie ta beznadziejność, dawno już wróciłby do żony, bo tęsknił do niej i nie miał nikogo innego. Polly orientowała się, że pociągała go też myśl o uzyskaniu „wglądu” - słowo, które nie schodziło Esther z ust - był wdzięczny za wgląd w wiele spraw, jaki daje marksizm, i po męsku gotów był dodać nowe narzędzie do swego myślowego ekwipunku.

To wszystko Polly rozumiała. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego Gus chodzi do doktora teraz, gdy już kogoś ma. Dlaczego kontynuuje kurację, gdy nie ma

wątpliwości, że chce się rozwieść z Esther? Czy dlatego, że przyrzekł? Jeśli tak, to, w pojęciu Polly, istniała ciągle możliwość, że psychoanalityk przywróci go żonie wyreperowanego jak przedmiot posłany do naprawy. A może on chodzi do doktora z czystej bezwładności, jak się czasem zdawało Polly? Może doktor stwierdził u Gusa jakąś poważną chorobę; to tak jakby się szło zaplombować ząb, a tu okazałoby się, że pacjent ma ogromny wrzód.

Tamtej nocy, gdy Gus jej to wyznał, spytał, czy ona ma coś przeciw temu.

- Oczywiście, że nie - odparła, mając na myśli, że go kocha i zawsze będzie kochała, nie bacząc na psychoanalizę. Przekonała się jednak, że ma coś przeciw temu. Drażniła ją myśl, że on przychodzi do niej „prosto z kanapy”. Wolałaby, żeby miał tę swoją godzinę psychoanalizy rano przed pójściem do pracy lub podczas przerwy na lunch. Bo tak nie mogła się opędzić od myśli, o czym oni rozmawiają - o niej, straszna myśl, czy o Esther, też straszna myśl. Pocieszała się, że mówią o dzieciństwie Gusa - to było w porządku. Dziwna rzecz, aczkolwiek przychodził prosto od psychoanalityka, to jednak nigdy nie był wytrącony z równowagi, a przynajmniej był tak samo rzeczowy, jak gdyby wracał od fryzjera. Znacznie bardziej był zdenerwowany w niektóre piątki, gdy opuszczał wizytę u lekarza, bo musiał prowadzić zebranie Cechu Książki i Czasopisma. Polly czuła, że sama byłaby do głębi poruszona po godzinie plądrowania swej podświadomości.

Albo i świadomości. Lekarz zabronił Gusowi czytać Freuda w trakcie kuracji (jeszcze jedna reguła), lecz Polly w godzinie lunchu czytała wszystko, co mogła znaleźć w dziale psychiatrycznym swojego szpitala. Mimo że psychiatrzy byli zagorzałymi przeciwnikami psychoanalizy, to jednak mieli dzieła Freuda i jego głównych uczniów. Starła się dociec - sprytnie, musiała przyznać - na jaką nerwicę czy psychonerwicę cierpi Gus. Ale żaden z opisów hysterii, nerwicy lękowej, nerwicy natręctw czy neurastenii nie pasował do niego. Najbardziej przypominał chorego na nerwicę natręctw w tym sensie, że miał ustalone zwyczaje, był punktualny i można było na nim polegać, nie zachowywał się jednak tak, jak nerwicowcy natrętni podobno się zachowują, na przykład muszą nadepnąć lub nie nadepnąć na szczelinę w chodniku. Z drugiej strony, pacjenci cierpiący na nerwicę lękową mają trudności z powzięciem decyzji, a Gus faktycznie nie mógł się zdecydować, czy zaciągnąć się do

batalionu walczącego w Hiszpanii, i trochę się wahał, czy ma odejść od żony. Ale pacjent chory na prawdziwą nerwicę lękową - według ksiązek - nie potrafi zdecydować, jakim pociągiem ma jechać do pracy, linią brooklyńską czy śródmiejską, a on zawsze jeździ autobusem. Poza tym przy stanach nerwicowych życie seksualne pacjenta ulega zakłóceniu. Polly nie miała skali porównawczej, ale jej zdaniem życie seksualne Gusa przebiegało bez najmniejszych zakłóceń, zawsze był gotów do kochania i zdawał się mieć duże doświadczenie w tym względzie, robił to bowiem z wielkim znanstwem i bardzo czule nauczył tej sztuki Polly, jak mężczyzna uczący dziecko puszczać latawca, rozkręcić bąka lub zapinać guziki, najwyraźniej był dobrym ojcem. Polly uważała, że kochanie się z nim jest cudowne.

Im więcej czytała i obserwowała Gusa, tym bardziej dochodziła do wniosku, że jedyna rzecz, jaka mu dolega, to wydatek dwudziestu pięciu dolarów tygodniowo na psychoanalitka. Zapytywała siebie, czy można to nazwać chorobą, jakąś odmianą hipochondrii, i czy musi się chodzić do psychoanalitka, aby się z tego wyleczyć.

Lecz jeśli nie potrafiła dobrać do kochanego Gusa - jak się dobiera materiał do próbki - żadnej z notowanych nerwic, to z nią samą, jak stwierdziła ze smutkiem, rzecz miała się całkiem inaczej. Dolegały jej jakby wszystkie nerwice. Odkrywała w sobie natręctwa, obsesje, histerię, nerwicę lękową. Jeśli jej życie seksualne nie było teraz zakłócone, to jednak kiedyś było. Poczucie winy emanowało z jej niedzielnego rytuału prania wieczorem, zagłuszała lęk błagalniczą magią prasowania i cerowania. Rośliny na jej parapetach to były dzieci, których nie mogła mieć. Miała nałóg liczenia - zbierała guziki, agrafki do przypinania kwiatów do sukni, sznurki, kamyki, szpilki do kapeluszy, korki, wstążki i wycinki gazetowe, robiła listy, jak na przykład lista tych przedmiotów, i nabrała smaku do picia. Fakt, że patrzyła na ten wysoce niepokojący obraz z humorystyczną fascynacją, już sam w sobie był złym znakiem, dowodził odcięcia od siebie samej, oznaczał ucieczkę od rzeczywistości „nie do zniesienia” w krainę fantazji i bajek. Freud orzekłby, że cała rodzina Andrewsów żyje w świecie mitów.

Żarty na bok - były chwile, gdy niechętnie musiała odsunąć żarty na bok - Polly zdawała sobie sprawę, że znajduje się w pożałowania godnym stanie. Jakkolwiek by to klinicznie nazwać. W niedzielne wieczory wiedziała, że jest bardzo nieszczęśliwa. Po

raz drugi. Miłość znów wpędziła ją w taką sytuację. Miłość jej nie służy. Niektórzy ludzie są zapewne uczuleni na miłość, i ona jest właśnie taka. Miłość nie tylko jest zła dla niej, ale czyni ją złą, zatruwa ją. Przed poznaniem Gusa była nie tylko znacznie, znacznie szczęśliwsza, ale i lepsza. Kochanie Gusa zmienia ją w osobę ohydną, osobę, której nienawidzi.

Osoba ta wylaziła z niej w niedzielę jak wrzód, bo w niedzielę Gus widywał małego Gusa i żonę. Polly doskonale zdawała sobie sprawę, że to wywołuje w niej złość, w przeciwieństwie do chorych, o których czytała, którzy nie potrafili nic kojarzyć. Była zazdrosna. Mało tego, gryzło ją sumienie, gdyż prawdę mówiąc, nie pochwałała rozwodów, gdy są dzieci. Chyba że rodzice biorą się za łby przy dzieciach lub jedno z rodziców wywiera na nie zły wpływ. Wystarczy pomyśleć, co jej własna matka wycierpiała od ojca. A mimo to są razem. Esther wielokrotnie zdradziła męża i nie wydaje się kobieta miłą, Gus jednak kochał ją na tyle, by zrobić jej dziecko. Gdyby Polly sama nie była tą „drugą”, poradziłaby Gusowi wrócić do żony. Przynajmniej na próbę. Nie, to dwuznaczne. Na dobre.

Myśl ta zmroziła jej krew w żyłach. Owinęła mokłą głowę ręcznikiem i zabrała się do cerowania pończochy, która miała dziurę w okolicy palców. To nie ona zaproponowała Gusowi małżeństwo, ale on jej. Nie usprawiedliwia jej to jednak. Postępuje jak Kain w Biblii, udaje, że rozwód jest sprawą Gusa, a ona nie ma z tym nic wspólnego, nie jest stróżem Gusa. W rzeczywistości jest. Powtarzała sobie, że nikomu nigdy w głowie nie powstało, że Gus powinien wrócić do Esther, tylko samej Esther. To też nieprawda. Powstało to w jej własnej głowie. Nie od razu, stopniowo. W dni powszednie zapominała o tym, ale w niedzielę, gdy była sama, ta myśl podstępnie wracała. Jak gdyby, skoro raz o tym pomyślała, nie mogła już przestać. Myśl ta stała się prawdziwą pokusą. Polly bardzo chciała zwierzyć się z tej myśli Gusowi, bała się jednak, że ją wyśmieje, a może, że właśnie nie wyśmieje. Ta myśl była jej niedzielną tajemnicą. A szept sumienia (jeśli to było sumienie) nie tylko nie kierował jej myśli ku dobrym decyzjom, lecz wręcz pogłębiał jej zazdrość do takiego punktu, w którym niemal zabijała w myśli małego Gusa. Zawsze coś ją jednak powstrzymywało, więc zabijała Esther, a potem żyła szczęśliwie do końca dni swoich z chłopcem i jego tatą.

Polly odłożyła drewniane jajko do cerowania. Podeszła do okna, by sprawdzić, czy bluzki wystarczająco podeschły, by można je wyprasować. Owszem. Zawinęła je w ręcznik, upięła włosy dwiema dużymi szpilkami. Powiedziała sobie, że jeśli zacznie prasować, Gus zadzwoni, żeby jej powiedzieć dobranoc, jak to czasem robił. Zaczęła myśleć o tym telefonie jako o należnej jej nagrodzie, bo jeśli po praniu nie prasowała, nie cerowała pończoch i fig, to on często, jakby wiedząc o tym, nie dzwonił.

Odkryła smutne prawo: mężczyzna nie dzwoni nigdy, gdy się go potrzebuje, tylko gdy jest niepotrzebny. Ilekroć prasowanie czy porządkowanie szuflad absorbowało ją do tego stopnia, że nie chciała, aby jej przeszkadzano, wówczas telefon zaczynał dzwonić. To musiało być szczere, należało uczciwie zapomnieć o telefonie i cieszyć się własnym towarzystwem, zanim to prawo zacznie działać. Innymi słowy, człowiek dostawał to, czego chciał, gdy przestał już o to dbać, co znaczy - jeśli Polly słusznie rozumowała - że nigdy nie dostaje tego, co chce. Prawie co drugą niedzielę Polly stwierdzała z radością, że może się obejść bez Gusa, jeśli musi; wchodząc po schodach z naręczem ciepłych jeszcze od prasowania bluzek, czuła się całkiem zadowolona i samowystarczalna, myśląc przy tym, że małżeństwo niemal mogłoby ją pozbawić tych uczuć. Zastanawiała się, czy Gus, krzątając się w swojej kuchni o przecznice dalej, paląc fajkę i słuchając radia, myśli to samo. Czy oboje nie są przypadkiem starym kawalerem i starą panną, którzy oszukują się nawzajem i siebie samych, myśląc, że tak bardzo pragną się pobrać.

Jednakże obecna niedziela była tą drugą niedzielą. Dziś potrzebowała go, wobec tego pewnie nie zadzwoni. Było późno, w domu panowała cisza. Zastanawiała się, czy nie zapukać do Schneidera i nie poprosić, aby jej dotrzymał towarzystwa w kuchni przy prasowaniu. Choć chwilowo przegnała strachy, to jednak perspektywa pustej kuchni w suterenie i wysiłek związany z ustawieniem ciężkiej deski do prasowania wydawały się nieskończenie męczące. Bała się być sama ze swoimi myślami, pozbawiona ochrony swoich czterech ścian.

Ale gdyby ściągnęła Schneidera do kuchni, zaczęłby mówić o polityce, co byłoby z jej strony nielojalnością wobec Gusa. Bo jeśli nie o procesach moskiewskich, Schneider będzie mówił o wojnie w Hiszpanii. Był zwariowany na punkcie grupy pod nazwą „Poum” i był zwolennikiem anarchistów, a Gus twierdził, że oba te

ugrupowania sabotują wojnę. Schneider natomiast powtarzał, że to rosyjscy komisarze sabotują rewolucję i przez to przegrywają wojnę na rzecz Franco. Zarzucał komunistom, że mordują anarchistów i poumistów, Gus temu zaprzeczał, a gdyby nawet - wtrącał - to dlatego, że tamci to zdrajcy i w pełni zasługują na swój los. Polly rozumiała, że Gus jako człowiek praktyczny musi, logicznie biorąc, popierać Rosjan, bo oni jedni posyłają pomoc do Hiszpanii, nie miała jednak władzy nad swoimi instynktami, które skrycie przemykały się na stronę Schneidera w tej dyspucie. Poza tym Schneider był lepszym dyskutantem od niej, bo ona potrafiła tylko powtarzać słowa Gusa, znaczyło to, że za każdym razem gdy dopuszczała Schneidera do głosu, Gusowi działa się krzywda *per procura*. Gus nie miał nic przeciw temu, aby Schneider sobie ulżył, Polly jednak sądziła, że lepiej unikać sposobności do popełnienia grzechu, gdyż po prawdzie, lubiła słuchać wywodów Schneidera. Było to coś w rodzaju podsłuchiwania wypowiedzi, które partia uważała za niestosowne dla takich ludzi jak ona. Słuchanie Gusa, a potem Schneidera opisujących te same wydarzenia było jak oglądanie wojny w Hiszpanii przez latarnię magiczną - zyskiwało się dodatkowy wymiar, widząc rzecz z dwu stron. Usprawiedliwiała to jej chęć słuchania Schneidera, bo gdyby ktoś taki jak on znalazł posłuch u Roosevelta, może przekonałby prezydenta, aby zniósł embargo, i gdyby Amerykanie posłali broń do Hiszpanii, Rosjanie nie byłiby już panami sytuacji. W gruncie rzeczy jednak nie interesowały jej subtelności wojny domowej w Hiszpanii, tylko Gus, Schneider zaś bezwiednie ukazywał jej Gusa z innej strony. I z tej strony Gus wydawał się łatwowierny - „Staliniści i ich dudki”, jak lubił powtarzać Schneider. Lecz jeśli Gus jest dudkiem, ona nie powinna chcieć o tym wiedzieć.

A przecież gryzła ją chęć wiedzenia. Winiła za to psychoanalitka. To on zrobił z Gusa tajemniczego człowieka, przynajmniej w stosunku do niej, a podejrzewała, że często w stosunku i do siebie samego. Myśl, że istnieje jeszcze inny Gus, który jak świstak co dzień o piątej po południu wypęza z nory, stawała się z każdym dniem coraz koszmarniejsza. Z początku nie lubiła psychoanalitka, bo przeszkadzał jej wyjść za Gusa, teraz nienawidziła go, bo im dłużej Gus do niego chodził, tym bardziej ona łamała sobie głowę nad tym, co się między tymi dwoma dzieje. Była przekonana, że Gus opowiada lekarzowi rzeczy, których nie mówi jej. Może mówi, że już mu nie

jest pilno do ślubu z nią lub że co noc śni mu się Esther, skąd miała wiedzieć? A może doktor mówi mu, że on tylko myśli i, że kocha Polly, natomiast jego sny dowodzą, że nie kocha. Nie chodziłby przecież tak długo do psychoanalityka, gdyby nie miał „konfliktu”. Ale co i z czym jest w konflikcie?

Najbardziej jednak nie lubiła doktora za to, że przez niego dostrzegła w sobie coś, co jej się nie podobało. Jeśli istnieje inny Gus, istnieje też inna Polly. Nie tylko zazdrosna, oddająca się morderczym marzeniom, ale i podejrzliwa, wścibska Polly. Najgorsze jest to, że tak strasznie ją korci, aby się dowiedzieć, co Gus mówi lekarzowi. Gdy mordowała w myśli Esther, nie przejmowała się tym zbytnio, bo w rzeczywistości by jej nie zabiła, nawet gdyby mogła to zrobić przy pomocy promieni kosmicznych lub przez naciśnięcie guzika. Ale w rzeczywistości Polly dałaby wszystko, by móc w czapce niewidce znaleźć się w gabinecie doktora Bijura. Dlaczego musiała wiedzieć? Kobięca ciekawość. Puszka Pandory, według Greków, źródło wszelkiego zła na ziemi. Szafa Sinobrodego. Ale puszka była przynajmniej wypełniona prawdziwymi plagami, paskudnymi małymi uskrzydłonymi stworkami, które Pandora wypuściła na wolność, żeby nękały ludzkość, a szafa Sinobrodego pełna była krwawych trupów, więc morał wynikający z obu bajek jest taki, że lepiej nic nie wiedzieć. Polly ten morał się nie podobał, nie mógł się podobać absolwentce nauk ścisłych. Obawiała się, że inny mit odpowiada jej sprawie - historia Amora i Psyche. Gus na tapczanie psychoanalityka, ucieleśnienie niewinnej ufności, jest śpiącym Amorem, ona zaś, Psyche z woskowym kagankiem w ręku, usiłuje ukradkiem zobaczyć twarz śpiącego, chociaż wie, że to zabronione. Co spodziewała się zobaczyć Psyche - ohydny potwór? Lecz zobaczyła pięknego boga. A gdy gorący wosk jej ciekawości kapnął na niego i przestraszył go, obudził się i smętnie odleciał. Morał tego mitu jest taki: miłość to dar, którego nie wolno podawać w wątpliwość, pochodzi bowiem od bogów. To, co ona ku swemu zmartwieniu robi, jest szukaniem metki z ceną na bezcennym darze. Za karę miłość ją opuści. Kłopot z grzechami myśli polega na tym, że człowiek nie potrafi się od nich powstrzymać. W momencie gdy Psyche uległa żądzy ujrzenia Amora, była zgubiona, biedactwo, nie mogła się powstrzymać od domysłów i zgadywania w przerwach między jego nocnymi odwiedzinami -

przybywał po skończonym dniu pracy tak jak Gus. Polly uważała, że Psyche postąpiła bardzo odważnie, biorąc do ręki kaganek, żeby raz z tym skończyć.

Jeśli o nią idzie, chciałaby móc powiedzieć: wybieraj - ja albo psychoanalitik. Nie potrafiła jednak. Była zbyt miękka i uległa. I łudziła się nadzieją, że te seanse się wkrótce skończą. Ostatnio jednak miała szczęście do przykrych odkryć, dowiadywała się rzeczy rzucających na tę sprawę inne światło. Kay знаła kobietę, która poddawała się psychoanalizie przez osiem lat. Przy takim tempie, gdy wreszcie zabrzmiał dla Polly dzwony weselne, będzie niemal za stara do rodzenia dzieci, a Gus będzie pobierał zasiłek społeczny. Jediną pociechą była dla niej myśl, że oszczędności Gusa wkrótce się wyczerpią. Psychoanalitiky podobno nie psychoanalizują na kredyt, są gorsi od spółek telefonicznych i elektrycznych razem wziętych.

Podniesiona na duchu przez te myśli Polly cicho zeszła do kuchni i ustawiła deskę do prasowania. Schneider zaczął grać na skrzypcach w swoim pokoju. Prasowała trzecią bluzkę, gdy na korytarzu zadzwonił telefon. Dzwonił Gus. Pytał, czy może się z nią zobaczyć na chwilę. Polly wyłączyła żelazko i pobiegła do pokoju, żeby się przypudrować i umalować usta. Dzwonek u drzwi rozległ się, nim miała czas porządnie się uczesać. Pocałował ją i weszli na schody.

- Wygląda tu jak w pralni - powiedział. - Myłaś głowę. - Podeszedł do niej, pociągając nosem, pocałował kok na jej karku. - Dobrze pachnie. Przyjemny szampon.

- Rumiankowe płukanie - poinformowała go Polly. Nalała dwa kieliszki New York State Sherry. Gus rozejrzał się. Był tu po raz pierwszy w niedzielę wieczorem. Polly czekała, ciekawa, dlaczego przyszedł; nie zdjął tweedowego płaszcza, z kieliszkiem w ręku podeszedł do okna wychodzącego na ulicę, wyjrzał bezmyślnie i spuścił rolety.

- Rozmawiałem dziś z Esther.

- Tak?

- Mówiliśmy o mojej psychoanalizie.

- Tak? - Drugie „tak” zabrzmiało ostrożniej. Czy przyszedł powiedzieć, że postanowili dać spokój analizie?

- Pytała, jak postępuje moja psychoanaliza. Jej kuracja dała wspaniałe wyniki. Śniło jej się, że idzie na pogrzeb swego psychoanalitika. Na to jej lekarz oświadczył:

„Mówi mi pani, że skończyła z psychoanalizą”. W przyszłym tygodniu idzie na ostatnie posiedzenie.

- Świetnie! - wesoło powiedziała Polly.

- Moje wiadomości nie były tak dobre. - Gus odkaszlnął. - Musiałem jej powiedzieć, że jestem zakorkowany. - Dotknął rośliny avocado, którą Polly wyhodowała z pestki.

- Tak? Zakorkowany? Skinął głową.

- A co to znaczy dokładnie?

- Nie mam snów - powiedział, rumieniąc się. - To zabawne, ale przestałem śnić. Całkowicie.

- Czy to takie groźne?

- To cholerna sprawa.

- Dlaczego? Mnóstwo ludzi nie miewa snów. Jedna z moich koleżanek na studiach płaciła mi, żebym ją obudziła rano, krzycząc: „Pali się!”, w nadziei, że jej się coś przyśni, bo pisała artykuł o Freudzie. Było to w ramach samopomocy studenckiej.

- Polly uśmiechnęła się.

Gus zmarszczył brwi.

- Rzecz w tym, że skoro nie miewam snów, nie mam nic do powiedzenia Bijurovi.

- Nic?

- Nic. Dosłownie nic. Ani jednego przeklętego słowa nie mam do powiedzenia.

- Gus ponuro wypił sherry. - Co dzień powtarza się ta sama historia. Kładę się na tapczanie. „Śniło się panu coś?”, pyta Bijur, biorąc do ręki notatnik. „Nie”. Odkłada notatnik. Cisza. Po upływie pięćdziesięciu minut informuje mnie, że minęła godzina.

Daję mu pięć zielonych. „Na razie, doktorze.” I wychodzę.

- Co dzień? - wykrzyknęła Polly.

- Mniej więcej.

- Nie możesz mówić o czym innym? O pogodzie. O filmie, który widziałeś. Nie możesz przecież tam leżeć niemy jak kukła.

- Ale leżę. To nie jest towarzyskie przyjęcie, kochanie. Pacjent musi coś wygrzebać z podświadomości. A kiedy nie ma snu, żeby rozruszać silnik, jestem

zakorkowany. Nie mogę do niczego nawiązać w pustce. Więc po prostu leżę. Raz usnąłem w zeszłym tygodniu. Miałem ciężki dzień w wydawnictwie. Musiał mnie szturchnąć w ramię, aby mi oznajmić, że godzina minęła.

- Można przecież nawiązać do byle czego. Na przykład słowo „ogień”. Co ci przychodzi na myśl?

- Wodę.

- A woda?

- Ogień.

- Boże! - Polly nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Widzisz - powiedział ponuro. - O to właśnie idzie. Jestem zakorkowany.

- Spróbowałeś mówić o niemówieniu?

- Bijur to zaproponował. „Dlaczego, pańskim zdaniem, nie chce pan mówić?”, spytał. „Nie wiem.” Koniec rozmowy. - Gus skrzywił się. - Nigdy nie przepadałem za rozmową z kimś, kto nic nie odpowiada, tylko siedzi za człowiekiem i rozmyśla.

- Od jak dawna to się ciągnie?

- Około miesiąca. Dłużej, z przerwami.

- Gdybyś tylko wiedział, co ja sobie wyobrażałam - twarz Polly zmarszczyła się w uśmiechu.

- O mojej psychoanalizie?

- Nigdy nie przypuszczałam, że ci powiem. Bałam się, że mówisz o mnie.

- Dlaczego miałbym mówić o tobie?

- No wiesz... o seksie.

- Kretynka - czule powiedział Gus. - Pacjent nie mówi o prawdziwym seksie. Tylko o fantazjach seksualnych. Jeśli je ma. Ja nie mam, od czasu wczesnej młodości.

- Zaczął krążyć po pokoju. - Wiesz, co mi dolega? Nie interesuję się samym sobą.

- Ależ Gus! Uważam, że to cudowne. Czy każdy człowiek nie dąży do zapomnienia o sobie? - Chciała powiedzieć: „Popatrz na świętych”, ale poprawiła się.

- Popatrz na Lenina. Czy on myślał o sobie?

- Myślał o masach. Ale szczerze mówiąc, o masach też niewiele myślę. Nie w ten sposób.

- A o czym myślisz? - spytała z ciekawością.

- O konferencjach handlowych. Obwolutach. Sprawozdaniach z księgarń. Agentach. Pogadance, którą mam wygłosić w Lidze Pisarzy Amerykańskich. - Zasepił się.

- Moim zdaniem, twój doktor nie powinien brać od ciebie pieniędzy.
- W Polly odezwało się poczucie moralne. - To nieetyczne.
- Twierdzi, że to wszystko woda na mój młyn - pokiwał głową Gus.
- Powiedział mi to, gdy spytałem, czy nie powinienem przerwać kuracji i nie zabierać mu więcej czasu. Dodał, że większość pacjentów przeciwstawia się lekarzowi przez mówienie, a ja przez milczenie. Ale że moje milczenie ma wartość. Jest dowodem, że kuracja odnosi skutek, a ja się temu przeciwstawiam.

Polly straciła cierpliwość. Złościł ją widok takiego ponurego, przybitego Gusa. Zadała pytanie, którego postanowiła nigdy nie zadać:

- Powiedz mi - starała się mówić obojętnie - na co ty się kurujesz? Co ci dolega? Jak to się nazywa?

- Nazywa? - Gus wydawał się zaskoczony.
- Tak - zachęcała go Polly. - Natręctwo nerwicowe, obsesja nerwicowa, nerwica lękowa... któraś z tych nerwic.

- Nigdy mi nie powiedział - Gus podrapał się w głowę.

- Nigdy nie powiedział?

- Nie. Może nie wolno mówić pacjentowi, co mu dolega.

- Nie jesteś ciekaw?

- Nie. Co jest w nazwie, jakie to ma znaczenie?

- Gdybyś poszedł do lekarza z wysypką - Polly starała się mówić spokojnie - nie chciałbyś wiedzieć, czy to odra, czy też potówka?

- To co innego.

- Jakie masz symptomy? - Polly spróbowała z innej beczki. - Gdybym miała ci wypisać kartę szpitalną, co powinnam podać? Pacjent skarży się na...

- Zapomnij o szpitalu - Gus nagle się zirytował. - Poszedłem do psychoanalityka, gdyż jak ci mówiłem, postanowiliśmy to z Esther. Bo nasze małżeństwo rozpadło się z powodu mojej zazdrości. Ona chciała, żeby każde z nas miało wolną rękę, a ja nie chciałem na to pójść.

- Ach! - wyrwało się Polly, którą ogarnęło przerażenie. - Przecież to chyba naturalne?

- Tylko w naszej kulturze. - Gus zmarszczył brwi. - Rozumiesz chyba, że we mnie istnieje konflikt pomiędzy miasteczkiem Fall River i wielkomiastowym Union Square, centrum ruchu robotniczego.

- Przecież w każdym z nas jest taki konflikt. Mam na myśli nasze pokolenie. Może nie w duchu Union Square. - Zawahała się. - A jeśli tobie w ogóle nic nie jest? Jeśli jesteś tylko normalny?

- Gdyby mi nic nie było, nie byłbym zakorkowany, prawda? Usiadł znużony. Polly dotknęła jego ramienia.

- Co powiedziała Esther?

- Że sabotuję psychoanalizę. - Zamknął oczy. - Z twojego powodu.

- To ona wie o mnie?

- Jacoby jej powiedział. - Jacoby to był grafik, współlokator Gusa. Gus otworzył oczy. - Esther uważa, że się odkorkuję, jeśli przestanę się z tobą widywać, na razie.

Polly zeszywniała, w pierwszej chwili miała ochotę się roześmiać, nie zrobiła tego, czekała, ostrożnie obserwując Gusa.

- Według niej - Gus ciągnął dalej, rumieniąc się - staję okoniem w trakcie analizy, aby nie wyzdrowieć. Bo to, co we mnie słabe i tchórzliwe, szuka oparcia i schronienia u ciebie. Fakt, że pracujesz w szpitalu, sprawia, że patrzę na ciebie jak na pielęgniarkę. A gdybym wyzdrowiał, musiałbym się pożegnać ze swoją pielęgniarką. - Spojrzał pytająco na Polly. - Co o tym sądzisz?

- Sądzę - rzekła Polly ze ściśniętym gardłem - że Esther nie powinna praktykować medycyny bez dyplomu. Czy to raczej nie doktor Bijur powinien ci powiedzieć coś takiego, jeśli tak istotnie jest? To on powinien ci poradzić, abyś na razie przestał się ze mną widywać.

- Nie może. Jest moim psychoanalitykiem. Mówiliśmy już o tym. On nie może mi radzić, jakie decyzje życiowe mam podjąć. Może tylko słuchać, gdy ja o nich mówię.

- Będziesz przynajmniej miał o czym mówić na następnym seansie - wtrąciła Polly.

- To kiepski dowcip - oburzył się Gus. - Czy zasłużyłem na to? - Błagalnie zmarszczył nos. - Kocham cię.

- Mimo to i tak już zdecydowałeś, prawda? - powiedziała Polly spokojnie. - Zrobisz, co Bijur ci każe. Dlatego tu dziś przyszedłeś.

- Chciałem porozmawiać o tym z tobą, zanim będę u Bijura. A jutro mam lunch z pewnym autorem. I nic nie zdecydowałem. Musimy razem zdecydować. - Polly złożyła dłonie i uważnie mu się przyjrzała. - Do diabła! - krzyknął Gus. - Nie twierdzą, że zgadzam się z Esther. Ale może warto spróbować w charakterze eksperymentu. Jakkolwiek by było, ona zna mnie dość dobrze. I ma głowę na karku. Jeśli postanowimy się nie widywać przez jakiś tydzień i ja się odkorkuję, to może się coś wyjaśni. A jeśli się nie odkorkuję, to będzie znaczyć, że ona się myli, prawda? - Uśmiechnął się przymilnie.

- Ona rzeczywiście bardzo dobrze cię zna.

- Hej! - wykrzyknął - to niepodobne do ciebie, Pollusiu. Mówisz z przekąsem jak inne kobiety.

- Jestem jak inne kobiety.

- Nie - pokręcił głową. - Nie jesteś. Jesteś jak dziewczyna z powieści. - Rozejrzał się. - Tak właśnie zawsze o tobie myślę, jak o dziewczynie z powieści czy bajki. Dziewczynie z długimi jasnymi włosami, mieszkającej w niezwykłym pokoju, otoczonej dobrymi krasnoludkami.

Nie wiadomo dlaczego ta serdeczna aluzja do jej współlokatorów wyprowadziła Polly z równowagi. Łzy trysnęły jej z oczu, nie przypuszczała, że on lubi tych dwóch „skrzatów”.

- I właśnie dlatego mnie zostawisz - powiedziała. - Bo jestem z bajki. Nieprawdziwa. - Otarła łzy i nalała sobie sherry.

- Nic podobnego! Wcale cię nie zostawiam. To tylko chwilowa taktyka. Dla dobra strategii ogólnej. Zrozum, proszę cię. Obiecałem to Esther i ona będzie się domagała dotrzymania obietnicy. Jeśli nie skończę psychoanalizy, nie będzie rozwodu.

- Poczekamy - powiedziała Polly. - Możesz przerwać analizę i poczekamy.
Żyjąc w grzechu. Możesz się tu wprowadzić lub znajdziemy inne mieszkanie.

- Nie mógłbym ci tego zrobić - powiedział porywcz. - Nie jesteś stworzona do życia w grzechu. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym ci wyrządził taką krzywdę.

- Czy to Union Square przemawia przez ciebie?

- Nie, Fall River. Granitowa skała.

Polly uśmiechnęła się przez łzy.

- Więc rozumiesz. I wiesz, że cię kocham.

- Wiem - powiedziała Polly zamyślona, obracając w ręku kieliszek ze złotymi cętkami. - Zwariowałam chyba, ale wiem. I wiem coś jeszcze. Wrócisz do Esther. Myślisz, że nie, ale wrócisz.

- Dlaczego tak mówisz? - spytał oszołomiony.

- Mały Gus, partia, psychoanalityk. - Polly machnęła ręką. - Nigdy naprawdę nie odszedłeś od niej. Żeby od niej odejść, musiałbyś zmienić swoje życie. A tego nie potrafisz. To wszystko jest wmontowane w ciebie jak meble wmontowane w ścianę. I twoja praca. I twoi autorzy. Jacoby. Zawsze wiedziałam, że nigdy się nie pobierzemy - dodała smętnie. - Nie pasuję do wbudowanych w ścianę mebli. Jestem świecidełkiem.

- Potępiasz mnie?

- Nie.

- Czy jest coś, co twoim zdaniem powinienem był zrobić inaczej?

- Nie.

- Powiedz prawdę.

- To taka niemądra sprawa. - Polly zawahała się. - To nie ma nic wspólnego z nami. Uważam, że powinieneś był posłuchać Schneidera w sprawie moskiewskich procesów.

- Och, na miłość boską!

- Powiedziałam ci, że to niemądra sprawa. Ale posłuchaj. Uważam, że powinieneś wrócić do Esther. Lub uważam, że myślę, iż powinieneś to zrobić. - Chciała przypuszczać powiedzieć, że to byłoby słuszne dla niego, ale wolałaby, aby był inny. Lepszym lub gorszym człowiekiem. Przed kilkoma minutami dostrzegła coś,

co wyjaśniało wszystko, mianowicie, że Gus jest człowiekiem przeciętnym. Właśnie to mu dolegało.

Patrzył na nią załóżnie, jak gdyby stał przed nią nagi, a ona stwierdziła ze zdumieniem, że nie zdjął płaszcza, jak człowiek, który przyszedł w interesie.

- To była męczarnia - wybuchnął. - Te niedziele. Nie masz pojęcia. Kiedy odprowadzałem małego do domu, zawsze pytał: „Teraz już zostaniesz, tatusiu?”

- Wiem.

- I ten Jacoby ze swoją rysownicą i babami. Nic mu nie mogę zarzucić, zachowuje się przyzwoicie.

Minęła minuta, nim Polly zorientowała się, że on wziął ją za słowo i wróci do żony. Kiedy tylko będzie mógł to zrobić z honorem. Że jest zadowolony i wdzięczny, jak gdyby go „zwolniła”. Nie to mu sugerowała, miała na myśli, że kiedyś w przyszłości wróci w końcu do rodziny.

- Tak bardzo cię kochałem - powiedział. - Bardziej niż kogokolwiek w życiu. - Westchnął. - Przypuszczam, że każdy człowiek zabija to, co kocha.

- Nic mi nie będzie - szepnęła.

- Och, wiem o tym - powiedział głośno. - Jesteś silna i mądra... za dobra dla mnie. - Rozejrzał się, jak gdyby się żegnał z pokojem. - Jak ów nikczemny Indianin, który odrzucił bezcenną perłę, wartą więcej niż całe jego plemię - wymamrotał w jej szyć.

Polly była zakłopotana. Usłyszeli, że Schneider znów nastraja skrzypce. Gus pocałował ją delikatnie, odsunął ją na odległość ramienia, położył ręce na jej barkach.

- Zadzwoń pod koniec tygodnia - powiedział. - Żeby się dowiedzieć, jak sobie radzisz. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Pomyślała, że wyjdzie i już nie pójdzie z nią do łóżka. Znaczyło to, że rano tego dnia kochali się po raz ostatni. Ale tamto się nie liczyło. Rano nie wiedziała, że to ostatni raz. Gdy drzwi się za nim zamknęły, ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć. - To się nie może tak skończyć - powtarzała sobie w kółko, uderzając się pięścią w usta, żeby się nie rozsłochać. To, że nie poszedł z nią do łóżka, dowodziło, że wróci, przypomni sobie i wróci, jak ktoś, kto zaniedbał jakiegoś ważnego ceremoniału, kto ulotnił się „bez pożegnania”. Gdy zegar na kościele wybił pierwszą nad ranem,

wiedziała, że nie wróci, nie będzie chciał obudzić całego domu, dzwoniąc tak późno do drzwi. Mimo to czekała, może rzuci kamyk w jej okno. Rozebrała się i usiadła przy oknie w kimonie, wyglądając na ulicę. We wczesnych godzinach rannych usnęła na godzinę, potem jak zwykle poszła do pracy, a jej cierpienie, jak gdyby stemplując czas na automacie, wróciło po godzinie piątej.

W autobusie zaczęła automatycznie układać w pamięci listę zakupów - chleb, mleko, zielona sałata, nagle wzdrygnęła się i przestała wyliczać. Nie może kupować żywności tylko dla siebie. Ale jeśli nie kupi, potwierdzi swoją pewność, że on dziś wieczór nie przyjdzie. Lecz nie była pewna, nie chciała być. Pewność mówiła losowi, że się z tym pogodziła, ale gdyby się pogodziła, nie mogłaby żyć ani chwili dłużej. Natomiast jeśli kupi żywność dla dwóch osób, powie w ten sposób losowi, że spodziewa się Gusa. Ale jeśli będzie się go spodziewała, nigdy nie przyjdzie. Zjawi się tylko nieoczekiwanie. A może właśnie gdy będzie oczekiwany? Gdy będzie czekała na niego z oczyszczonym kagankiem, jak roztropna dziewczica? Religia chrześcijańska nakazywałaby kupić żywność dla dwóch osób, ale poganie powiedzieliby: „Nie ryzykuj”.

Wysiadła z autobusu i przystanąła przed supersamem A i P, mijał ją tłum kupujących, ona jakby wrosła w ziemię. Jak gdyby decyzja kupować czy nie miała stanowić o całej przyszłości. Nie mogła się zdecydować. Odeszła kilka kroków od sklepu i zawróciła niepewnie. Przeczytała wywieszzone w oknie specjalne oferty na ten tydzień: ogony wołowe po niższej cenie, a Gus lubi zupę z wołowego ogona. Gdyby ją dziś ugotowała, byłaby dobra na jutro. Ale jeśli on już nigdy nie przyjdzie? Co zrobi z zupą? Zupa z wołowego ogona z dodatkiem sherry. Ma w domu sherry. Przypuśćmy, że w drodze kompromisu kupi jaja. Jeśli on nie przyjdzie, przydadzą się na śniadanie. Na myśl o „śniadaniu” lekko krzyknęła, zapomniała o nocy. Powtórnie przeczytała specjalne oferty.

Pomyślała, że zna skądś ten niepokój wynikający z niemożności powzięcia decyzji, jak gdyby już kiedyś przeżyła taki stan, i to całkiem niedawno; nagle sobie przypomniwała. To te przypadki, o których czytała w bibliotece szpitalnej - pacjenci z nerwicą lękową, którzy nie mogą się zdecydować, co kupić na kolację lub którą linią metra jechać do pracy. Zrozumiała, co znaczy mieć nerwicę. Nerwicowiec żyje w

ustawicznym strachu, że poweźmie niewłaściwą decyzję. - Och, biedacy! -
wykrzyknęła na głos i jej własne cierpienie zamieniło się w głęboką litość dla tych
wszystkich, którzy stale muszą znosić rozterkę, jakiej zaznała tylko przez kilka chwil i
która w tak krótkim czasie już była ponad ludzkie siły. Podeszedł do niej żebrak, jej
wola znów była sparaliżowana. Chciała mu dać pieniądze, które wydałaby w sklepie,
ale przypomniała sobie, że Gus się krzywił na dawanie jałmużny, twierdząc, że
dobroczynność przedłuża system kapitalistyczny. Jeśli ona postąpi wbrew woli Gusa,
on nie przyjdzie dzisiaj. Gdy jej myśli wirowały to w jedną, to w drugą stronę, żebrak
począł dalej. To on zdecydował za nią. Ta myśl zmusiła ją do czynu. Pobiegła za
żebrakiem, otwierając po drodze torebkę, i wcisnęła mu dwa dolary do ręki. Potem
powoli poszła do domu. Dała pieniądze chętnie, ulegając spontanicznemu odruchowi,
nie w jakimś interesie, nie spodziewała się niczego w zamian.

W mieszkaniu pod drzwiami leżał list, nie miała odwagi na niego spojrzeć,
wiedziała, że jest od Gusa. Zdjęła płaszcz, umyła ręce, podlała rośliny, zapaliła
papierosa. Potem, drżąc, otworzyła kopertę. Była w niej jedna kartka papieru, krótki,
od ręcznie pisany list. Nie spojrzała na niego wprost, tylko bokiem, położyła go na
stole, jak gdyby w ten sposób mógł jej powiedzieć, co w nim jest, a ona nie musiałaby
go czytać. List był od ojca.

Kochana Polly!

*Twoja matka i ja postanowiliśmy się rozwieść. Jeśli Ci to odpowiada, chciał-
bym przyjechać do Nowego Jorku i zamieszkać z Tobą. To znaczy jeśli nie masz innych
obowiązków. Mogłbym Ci się przydać - robić zakupy i gotować. Moglibyśmy poszukać
jakiegoś małego mieszkania. Matka zostanie na farmie. Moje zdrowie psychiczne jest
znakomite.*

*Twój oddany sługa i kochający ojciec
Henry L. K. Andrews*

ROZDZIAŁ 12

Był to zły wiatr, który nie przyniósł nikomu nic dobrego. Gdyby Gus nie postanowił wrócić do Esther (zrobił to w następnym tygodniu), Polly byłaby zmuszona odmówić ojcu. Gdyby list przyszedł w sobotę, a nie w poniedziałek, miałyby straszny dylemat. W sobotę ciągle jeszcze był Gus. Co mogłaby zrobić? Zatelefonowałyby pewnie do matki i błagała, żeby zatrzymała ojca na farmie, żeby nie rozwodziła się bez zastanowienia. Może zaproponowałyby kurację dla ojca w zakładzie dla umysłowo chorych. Dostrzegła ironię wypadków już w pierwszej chwili. Czerpała zimną pociechę z myśli, że dzięki Gusowi może teraz zadepeszować do ojca, żeby przyjeżdżał. Słyszając o rozwodzie rodziców Polly, wszyscy byli przekonani, że to musiało być straszliwym wstrząsem dla niej, lecz smętna prawda była taka, że czuła tylko czczą wdzięczność, że ojciec przyjeżdża. Z wyrzutem przypomniła sobie w końcu o matce, zastanawiając się, jak ona to przyjęła.

Znacznie później przyznała, że wszystko wyszło na dobre. Była szczęśliwa, mieszkając z ojcem, o wiele szczęśliwsza, niż gdy była z Gusem. Ojcu i córce dobrze było razem. A jego przyjazd w trzy dni po liście był dla niej swoistą terapią zajęciową - coś w tym rodzaju mógł przepisać lekarz.

Pan Andrews wysiadł z pociągu w dobrym stanie - mały białowłosy staruszek z głową chochlika i błyszczącymi niebieskimi oczami - w ręku trzymał skrzynkę świeżych wiejskich jaj, której nie chciał powierzyć tragarzowi, oraz bukiet żonkili. Oświadczył, że od lat nie czuł się tak dobrze, a Kate też dobrze się miewa, wspaniale. Przypisywał to rozwodowi - cudownej instytucji. Wszyscy powinni się rozwieść. Kate odmłodziła już o dziesięć lat.

- Czy sprawa rozwodowa nie będzie się wlokła? - spytała Polly. - Ze względu na formalności prawne. Nawet jeśli mama wyrazi zgodę?

- Kate już podpisała papiery i przysłała je do mnie - oświadczył pan Andrews, nie tracąc pogody ducha. - Adwokat przyszedł na herbatę. Dałem jej podstawy do rozwodu. Najlepsze w świecie. - Polly była cokolwiek zgorszona, myśląc, że ojciec w tym wieku popełnił cudzołóstwo. Ale on miał na myśli obłąd. Był zachwycony sobą, że przewidująco dostał fioła i ma wariackie papiery.

Pomimo przygnębienia w pierwszych dniach mieszkania z ojcem, Polly była ubawiona. Zdziwiła się, słysząc swój śmiech zaraz po jego przyjeździe, jak gdyby to śmiał się kto inny. Mówiła sobie, że wykonuje tylko ruchy osoby żywej, bo ma teraz kogoś, dla kogo musi żyć. Wkrótce jednak stwierdziła, że czeka na chwilę powrotu do domu, myśli o tym, co będą mieli na kolację i co ojciec narobił podczas jej nieobecności. Był ogromnie dumny z rozwodu i opowiadał o tym na prawo i lewo, jak gdyby rozwód był jakimś nowym procesem, który on odkrył bez niczyjej pomocy. Na razie wynajęła dla niego pokój w tym samym domu na drugim piętrze, zamierzali poszukać mieszkania podczas weekendów. Ale pan Andrews wpadł na lepszy pomysł. Zaprzyjaźnił się z gospodynią i namówił ją, żeby przerobiła pokoje na ostatnim piętrze na mieszkanie dla niego i córki, a lokator jednego z tych pokoi mógłby się przenieść do pokoju Polly. Sam zaprojektował przeróbkę, z hallu powstała mała kuchenka, długa i wąska jak kuchnia na statku. Przez całą wiosnę i początek lata on i Polly mieli pełne ręce roboty z przebudową, która nie kosztowała gospodynię zbyt dużo, jako że pan Andrews dawał swoje usługi darmo - sam wykonał niektóre roboty ciesielskie (nauczył się ciesielstwa w pracowni sanatorium), wyszukał używany zlew i części do instalacji wodno-kanalizacyjnych w podwórkach z rupieciami, wśród których myszkował, poszukując skarbu. Polly nauczyła się na tyle dobrze posługiwać pędzlem, że pomalowała półki na książki i szafy, uszyła zasłony ze starych prześcieradeł z niebieskimi i czerwonymi szlakami, barwami sztandaru francuskiego, zabrała się też do tapicerki i dała nowe obicia na dwa wiktoriańskie fotele gospodyni.

Po przebudowie mieszkanie było rozkoszne, miało stare marmurowe kominki i wewnętrzne okiennice i gdyby pan Andrews z Polly kiedykolwiek się wyprowadzili, gospodyni mogła wynająć je znacznie drożej niż im. Odurzony tym sukcesem pan Andrews chciał przebudować cały dom na mieszkanie, co zapewniłoby spokojną przyszłość gospodyni, ale Polly założyła weto, myśląc o Schneiderze i Szczerbatiewie, których nie byłoby stać na zapłacenie czynszu i musieliby się wyprowadzić. Więc pan Andrews musiał się zadowolić projektem założenia małego zimowego ogrodu czy cieplarni dla roślin Polly na parapetach południowych okien od podwórza, miał to być jego prezent gwiazdkowy dla córki, i spędzał dużo czasu u szklarza.

Zmiana, jaka w nim zaszła, zdumiewała wszystkich znajomych pana Andrewsa. To nie może być tylko dzięki rozwodowi - twierdziła jego siostra Julia - ani dzięki dobremu serduszkowi i młodzieńczemu usposobieniu kochanej Polly. Coś jeszcze musiało się przydarzyć Henry'emu. Informacji na ten temat udzieliła matka Polly, gdy przyjechała do Nowego Jorku i zatrzymała się u swojej byłej szwagierki na Park Avenue.

- Zmienił nazwę jego choroby, wiedziałaś o tym, Polly? Nie nazywają już jej melancholią. Tylko psychozą depresyjno-maniakalną. Gdy Henry to usłyszał, miał wrażenie, że go przez wiele lat oszukiwano. On przeszedł tylko stadium „depresyjne”, rozumiesz? To go bardzo podniosło na duchu i zaczął robić wszystkie te plany. Począwszy od zwariowanego pomysłu, że powinniśmy się rozwieść. Z początku zgadzałam się, nie chcąc mu się sprzeciwiać. Pamiętasz, jak wtedy gdy się uparł, aby wiejski proboszcz przechrzczył go na katolika, a potem sam ochrzcił was, dzieci. Wiedziałam, że te chrzciny były zbyteczne, bo zostaliście ochrzczeni jako niemowlęta w episkopalnym kościele. Więc myślałam, że ten hyś rozwodowy przejdzie mu jak hyś katolicki. Ale on coraz bardziej wbijał sobie do głowy rozwód i wyjazd do Nowego Jorku. Więc w końcu powiedziałam sobie: czemu nie? Może Henry ma dobry pomysł. W naszym wieku nie ma żadnego powodu, abyśmy pozostali małżeństwem, jeśli nie mamy na to ochoty. I teraz czuję się jak nowo narodzona.

Polly spojrzała na matkę nalewającą herbatę u cioci Julii. Rozkwitła jak wesoła wdówka, zrobiła sobie trwałą ondulację.

- Bardzo przepraszam, *madame* - odezwała się Ross, podając herbatniki - ale dlaczego pani i pan Henry nie moglibyście po prostu mieszkać osobno jak tyle innych małżeństw?

- Henry mówi, że nie byłoby to przyzwoite. Że mieszkanie osobno bez rozwodu byłoby jak mieszkanie razem bez ślubu.

- Rozumiem - powiedziała Ross. - Nigdy o tym nie pomyślałam. - Mrugnęła porozumiewawczo do Polly.

- Potrafię znacznie lepiej gospodarować, będąc sama - mówiła pani Andrews do córki, zapalając papierosa i nie dostrzegając, że Polly się rumieni. - Twój bracia mi pomagają. Henry stale się wtrącał, a bydlę domowe go nie obchodziło. Zajmował się

tylko roślinami w doniczkach i ogrodem warzywnym. Po jego wyjeździe kupiliśmy czarne angusy i mam zamiar założyć hodowlę indyków, żeby je sprzedawać na Dzień Dziękczynienia, byłam już w tej sprawie w firmie „Charles i ska” i zrobiłam zamówienie. Gdyby Henry był w domu, upierałby się, żeby hodować chińskie bażanty i pawie.

- Chcesz powiedzieć, że ojciec jest w stanie „maniakalnym”?

- Chyba tak, moja droga - spokojnie odparła pani Andrews. - Miejmy nadzieję, że ten stan długo potrwa. Ojciec nie sprawia ci chyba kłopotu?

- Nie - powiedziała Polly, ale na drugi dzień porozmawiała z zastępcą naczelnego psychiatry w klinice Payne'a Whitneya, którego poznała jako młodego stażystę. Często pobierała krew pacjentom cierpiącym na depresję maniacką, nie wiedziała jednak, że melancholia jej ojca - która kojarzyła jej się w wyobraźni z rzeźbą *Il Penseroso* i sztychami Durerera - jest częścią tego samego syndromu. Widywała maniackich pacjentów w kaftanach bezpieczeństwa, których musiano pilnować, więc zdumiewała ją beztroška matki.

Młody lekarz potwierdził, że zachowanie pana Andrewsa istotnie wykazuje niektóre typowe symptomy psychozy maniackiej, ale w łagodnej postaci. Możliwe, że popadnie w depresję, lecz sądząc z łagodnego przebiegu maniackiej euforii, depresja nie powinna być ostra. W wieku ojca Polly te cykle często się wydłużają lub całkowicie nikną.

- Ile ma lat? - spytał lekarz.

- Około sześćdziesięciu.

- Po klimakterium - lekarz skinął głową - wielu pacjentów cierpiących na psychozę depresyjno-maniacką nagle odzyskuje zdrowie.

Polly powiedziała lekarzowi, że według jej matki, ojciec zaczął mieć inne symptomy, gdy jego chorobę nazwano inaczej. Lekarz się roześmiał.

- To chyba niemożliwe? - spytała Polly.

- Z pomyłkami wszystko jest możliwe. Obłęd to dziwna sprawa. Tak naprawdę nie rozumiemy, czym jest obłęd. Dlaczego ludzie tracą lub odzyskują zmysły. Zmiana nazwy choroby może wywrzeć wpływ na chorego. Stwierdziliśmy, że teraz, gdy nie używamy już terminu *dementia praecox*, mamy mniej chorych na

dementia praecox. Człowiek jest skłonny myśleć czasem, że każda choroba umysłowa powstaje na podłożu hysterii, że wszyscy umysłowo chorzy zachowują się zgodnie z najnowszymi podręcznikami. Nawet analfabeci. Czy to możliwe, że twój ojciec jest histerykiem?

- Nie sędzę. Chociaż dawniej dużo płakał. Ale bardzo cicho.

- Chcesz, żebym go zbadał?

Polly wahała się, sama nie wiedząc, dlaczego, poczuła ogromną ulgę.

- Wpadnij któregoś dnia po południu na kieliszek sherry. Albo na lunch w niedzielę, kiedy nie będziesz miał dyżuru. Po domowemu. Ojciec jest świetnym kucharzem i uwielbia gości.

Tak istotnie było. Życie towarzyskie Polly znacznie się wzbogaciło, odkąd zamieszkała z ojcem. Najważniejszym problemem było, jak przyhamować jego wydatki. Odkrył nowy oddział supersamu A i P, uwielbiał tam kupować, przekonany, że na każdym zakupie robi oszczędności. Kupował hurtem, twierdząc, że w ten sposób oszczędza na czasie, podobały mu się duże, ekonomiczne opakowania, korzystał z „ofert specjalnych” i nigdy nie przepuścił żadnej wyprzedaży. Lubił chodzić na włoskie bazy - rybny i warzywny - przy Dolnej Drugiej Alei, gdzie kupował przedziwne stwory, jakich Polly w życiu nie widziała. W każdą niedzielę mieli jakiegoś gościa na lunchu, posługiwali się naczyniami do podgrzewania potraw, które ciocia Julia odstawiła jako staroświeckie; goście zostawali czasem po lunchu, grając w jakąś grę lub słuchając płyt. Polly nigdy nie miała teraz czasu na pranie i mycie głowy.

Wkrótce po przyjeździe pan Andrews zaczął grać w ping-ponga, w młodości bardzo dobrze grał w tenisa i teraz wyszukał bar przy Pierwszej Alei, gdzie w długim pokoju od podwórza stał pingpongowy stół. W dni powszednie grał co dzień ze stałymi bywalcami, a w soboty po południu brał udział w turniejach, nalegając, aby i Polly stanęła w szranki. Poznała w ten sposób szereg młodych ludzi, niektórzy przychodzili w niedzielę na lunch lub w piątek wieczór na *bouillabaisse* ugotowaną przez ojca. Goście często przynosili wino. Schneider przychodził ze skrzypcami. Albo urządzali turniej szachowy pod przewodnictwem Szczerbatiewa.

- Słyszę, że prowadzisz salon - zawistnie powiedziała przez telefon Libby. -
Może byś i mnie zaprosiła? Kay powiada, że zdaniem Norine ty i twój ojciec
odnieśliście w tym roku *succes foux*.

Lecz pamiętnym dniem w życiu pana Andrews'a był dzień, gdy został trockistą.
Nie tylko sympatykiem, ale trockistowskim działaczem. Odpowiedzialność za to
ponosił oczywiście Schneider.

Po wykończeniu mieszkania pan Andrews miał mnóstwo czasu do zabicia, więc
gdy Polly była w szpitalu, Schneider za jej plecami zaopatrywał pana Andrews'a w
stosy książek i broszur na temat procesów moskiewskich. Z początku starszy pan
uważał je za trudne, nigdy specjalnie nie interesował się polityką, był sceptykiem w
stylu filozofa Henry'ego Adamsa. Stopniowo jednak zaciekawił go element
tajemniczości w tych procesach - pasjami lubił łamigłówki, rebusy, labirynty, zagadki.
Doszedł do wniosku, że Trocki jest niewinny. Postać brodatego komisarza wojennego
w białym mundurze, jadącego pociągiem pancernym lub czytającego francuskie
romanse podczas zebrań Biura Politycznego, podbiła jego wyobraźnię. Zażądał, aby
Schneider wcielił go do komórki trockistów. I w przeciwieństwie do wiejskiego *cure*
we Francji, który wymagał, by pan Andrews poznał zasady wiary, zanim zostanie
„przyjęty” na łono Kościoła katolickiego, trockiści, jak się zdaje, przyjęli go bez
przygotowania. Nigdy nie zrozumiał „dialektyki” i nieregularnie chodził na zebrania,
ale nadrabiał te niedociągnięcia zapałem, z jakim w czerwonym krawacie i
przedpotopowych getrach sprzedawał „Socialist Appeal” (Apel Socjalistyczny) na
ulicy przed budynkiem, w którym zbierali się staliniści. Był apostołem swej wiary na
herbatkach u cioci Julii i w pingpongowym barze.

Zachowanie ojca wprawiało Polly w zakłopotanie, uważała, że jego ubiór i
akcent człowieka z wyższych sfer psują trockistom opinię, staliniści wyśmiewali tego
„typowego konwertytę”, zwolennika doktryny permanentnej rewolucji. I tak jak
Gusowi nie udało się zrobić z niej stalinistki, tak ojciec chybił z nawróceniem na
trockizm. Uważała, że ani ojciec, ani Schneider nie mówiliby z takim zapałem o
„Starym”, jak go nazywali, gdyby Trocki miał władzę. Nie pochwałała rewolucji,
chyba że były absolutnie konieczne, sądziła, że w takich demokratycznych krajach jak
Francja i Stany Zjednoczone jest rzeczą co najmniej dziwną dążyć do rewolucji,

propagowanej przez ojca i jego znajomych, zamiast do obalenia Hitlera i Mussoliniego. Oczywiście, jak twierdził ojciec, rewolucja przeciw Hitlerowi była obecnie całkiem niemożliwa, ponieważ zgniół wszystkie partie robotnicze, ale myślała, że to niesprawiedliwe karać Roosevelta i Bluma za to, że nie są Hitlerem. Ojciec replikował, że sprawiedliwe postępowanie jest burżuazyjnym wymysłem i nie może być stosowane wobec wroga klasowego. Polly byłaby przerażona, słysząc, co ojciec wygaduje, gdyby myślała, że wierzy w to, co mówi. Była przekonana, że tak nie jest, a na myśl o „przejęciu władzy” przez niego musiała się uśmiechnąć, takie to było nieprawdopodobne. Zastanawiała się, czy wszyscy trockiści nie są lekko stuknięci.

- Należysz do komórki? - spytała ojca, który nie odpowiedział, zasłaniając się obowiązującą go dyscypliną. Pomyślała, że odkąd został trockistą, ma jeszcze jeden powód do snobizmu, i tyle. Patrzył z góry na stalinistów, postępowców i zwolenników Nowego Ładu, tak jak na mieszczaństwo i „elementy mamonowe”, z których zawsze pokpiwał. Polly robiła ojcu wymówki, że jego nowe przekonania utwierdzają w nim niektóre z jego najgorszych uprzedzeń. Na przykład, jako rodowity mieszkaniec Massachusetts czuł pełną pretensji niechęć do Irlandczyków i skakał z radości, słysząc, że Marks nazwał Irlandczyków przekupionymi narzędziami imperializmu.

- Popatrz na to przekupione narzędzie imperializmu - szeptał, wskazując nieszczęsnego policjanta na stanowisku.

Z czasem dowiedział się oczywiście o Gusie („Tym staliniście”, jak go nazwał) od Schneidera, Szczerbatiewa lub gospodyni, Polly nigdy nie wykryła, od kogo. Mieszkańcy domu myśleli, że Polly odprawiła Gusa z kwitkiem, kiedy się dowiedziała, że ojciec przyjeżdża, ale uczciwość nie pozwalała jej zostawić ojca w przekonaniu, że poświęciła miłość dla obowiązku córki, więc pewnego wieczora opowiedziała mu, jak było naprawdę. Fakt, że Gus nie potrafił uzyskać rozwodu, powiększył jeszcze pogardę pana Andrews dla niego.

- Ciągłe usychasz z tęsknoty za tym stalinowskim wydawcą? - pytał, gdy Polly była zamyślona.

Nie usychała już, ale uważała, że jej los został przypieczętowany tego wieczora, gdy dostała list ojca. Los posłał jej ojca na znak, że będzie dla niej łaskawy, jeśli

przestanie myśleć o mężczyznach i małżeństwie. Gus, zgodnie z obietnicą, zatelefonował pod koniec przyszłego tygodnia, słuchawkę podniósł ojciec.

- Jakiś mężczyzna chce z tobą mówić - oznajmił Polly, pod którą nogi się ugiwały, gdy podchodziła do telefonu na podeście.

- Kto to był? - spytał Gus.

- Mój ojciec. Będzie mieszkał ze mną. - Zapadło długie milczenie.

- Czy on wie?

- Nie.

- Doskonale. W takim razie będę się lepiej trzymał z daleka. - Polly milczała. -

Zadzwoń znów w przyszłym tygodniu.

Zadzwoił, żeby powiedzieć, że wraca do domu.

- Twój ojciec jeszcze u ciebie mieszka?

- Tak.

- Chciałbym go kiedyś poznać.

- Tak. Później. - Kiedy Gus odłożył słuchawkę, przypomniała sobie, że powinna go była spytać, czy się odkorkował.

Odkąd się przeprowadził, straciła nadzieję, że się natknie na niego któregoś dnia czy wieczora, mieszkał na drugim końcu miasta w Greenwich Village. Myślała o tej nadziei, pamiętała doskonale, że przeszył ją prąd, gdy ojciec zawołał ją do telefonu. Bała się, że może poprosić, żeby do niego wróciła. Co by zrobiła w takim wypadku? Jednocześnie w sposób paradoksalny czuła, że ich romans nie całkiem jeszcze się skończył, toczy się między nimi w ukryciu, rośnie w ciemności jak paznokcie i włosy umarłych. Była pewna, że gdzieś, kiedyś go spotka. I to przeczucie było zabarwione strachem.

Gdy ojciec został trockistą, czuła złośliwą radość na myśl, że ci dwaj mogą się spotkać po przeciwnej stronie pikietującej demonstracji. I to ojciec będzie po dobrej stronie. Wyobrażała sobie ojca proponującego Gusowi numer „Socialist Appeal” przed jakimś budynkiem, w którym odbywa się wiec na rzecz Hiszpanii. Gus ostro pokręci głową i nie będzie miał racji, gdyż boi się czytać, co ma do powiedzenia druga strona, natomiast Schneider nie boi się czytać co dzień „Daily Workera” od deski do deski. Jeśli idzie o pikietowanie, Polly również była trockistką.

Jednakże ojciec spotkał się z Gusem nie na arenie politycznej, ale w pingpongowym barze pewnej soboty po południu. Polly na szczęście została w domu, żeby posłuchać transmisji z Metropolitan Opera.

- Poznałem tego stalinistę - oznajmił pan Andrews po powrocie do domu z koszykiem pełnym artykułów spożywczych. - LeRoya. Pobiłem go w dwóch setach na trzy.

Polly była zadowolona, byłoby jej przykro, gdyby Gus wygrał z jej ojcem.

- Co on tam robił?

- Przyszedł z facetem, który nazywa się Jacoby, też stalinista. Grafik. Twój przyjaciel zaczął grać w ping-ponga, żeby schudnąć, jak twierdzi. Oni pewnie agituja w tym barze.

- Skąd wiedziałeś, że to on?

- Nie wiedziałem. To on wiedział, że ja to ja. - Pan Andrews łagodnie się roześmiał. - Jestem tam dobrze znany. Stuknięty Henry Andrews. Zgniły dżentelmen. Który grywał w tenisa z Borotrą. A teraz mieszka z piękną córką, Polly, przy Wschodniej Dziesiątej ulicy. Agent trockistowski i sabotażysta.

- Och, ojcie! - niecierpliwie wtrąciła Polly. - Myślisz, że przyszli tam z powodu ciebie?

- Oczywiście.

- Mówiliście o polityce?

- Nie. O tobie.

- Nie...

- To on zaczął - pokiwał głową pan Andrews. - Spytał, czy mam córkę, której na imię Polly. I o mnóstwo innych nudnych rzeczy. Jak się miewasz. Co robisz. Czy ciągle pracujesz tam, gdzie dawniej. Czy mieszkasz w tym samym domu.

Powiedziałem mu, że się rozwiodłem z twoją matką.

- I co on na to?

- Że to musiał być wstrząs dla ciebie.

- Co o nim sądzisz?

- Przeciętny. Smętnie przeciętny. Nudna sztuka. Ale facet dość przyzwoity. W każdym razie potrafi przegrywać z fasonem. Sądzę, że cię kochał. To źle o nim

świadczy oczywiście. Gdyby cię rzucił, bo mu się znudziłaś albo nie podobałaś mu się naprawdę, mógłbym to zrozumieć, współczuć mu. Ale ten biedak jest niebezpiecznym neurotykiem.

- Więc ty to zauważyłeś! - roześmiała się Polly. - Ja nigdy tego nie widziałam. Wydawał mi się absolutnie normalny.

- Na jedno wychodzi - orzekł pan Andrews, wyjmując żywność z koszyka. - Wszyscy neurotycy są burzujami. I na odwrót. Obłąd jest dla nich zbyt rewolucyjny. Nie potrafią zwariować na dobre. My wariaci jesteśmy arystokracją wśród umyślowo chorych. Nigdy nie mogłabyś poślubić tego faceta. On pewnie też to wiedział.

- I tak nigdy nie wyjdę za mąż.

- Bzdura. Mam zamiar wyszukać ci męża. Z czysto egoistycznych pobudek. Potrzebuję zięcia, który by mnie utrzymywał na starość. Nie chcę wrócić na klęczkach do Kate.

- Zostaniesz ze mną. Zaopiekuję się tobą.

- Dziękuję pięknie, kochanie. Nie chcę mieszkać ze zgorzkniałą starą panną. - Polly zachnęła się. - Gdybyś poświęciła dla mnie swoją młodość, stałabyś się zgorzkniała. Lub powinna byś się stać. Ale jeśli ci wyszukam miłego męża, będziesz mi wdzięczna. Oboje będziecie. Będziecie mieli dla mnie wolny pokój, a wydatki na moje utrzymanie potrąćcie w zeznaniu podatkowym.

Polly przygryzła wargę. Gdy ojciec wspominał o pobudkach "egoistycznych", mówił prawdę. Jest egoistą, oboje rodzice to egoiści. Kochała ojca, więc się z tym godziła. Uważała, że egoiści są ciekawszi od altruistów. Gdyby ojciec był łagodny i usuwał się w cień, nie chciałyby z nim mieszkać. Ale był łagodny i uparty. Lubił sprawiać jej miłe niespodzianki i świadczył mnóstwo uprzejmości, ale to on układał ich życie, jak dziecko bawiące się w gospodynię. Trudno go było przechytrzyć, jeśli wbił sobie coś do głowy, i naprawdę mógł ją łagodnie zmusić do poślubienia kogoś, żeby tylko mieć dom na starość. Właściwie miał rację, nie wiedziała, jak sama go utrzyma. Nie mogła odesłać go do matki, rozwód to przesądził. Nie był dla niej ciężarem, ale nie wiedziała, jak będzie mogła utrzymać siebie i jego ze swojej pensji na poziomie odpowiadającym jego upodobaniom, nie mając perspektywy większych zarobków. Matka pomagała, przysyłając jaja i drób z farmy, ojciec nazwał to swoimi

alimentami. Ciocia Julia też pomagała - przysłała bieliznę pościelową i koce i jak zwykle dawała Polly swoją garderobę, którą Polly przerabiała przy pomocy Ross. Tylko że odkąd mieszkała z ojcem, nie miała czasu na szycie i potrzebowała też więcej sukien, ojciec bowiem nie pozwalał jej przyjmować gości w spódnicy i bluzce. „Włóż coś ładnego” - mówił. Fakt, że myślał przy tym o niej, a nie o sobie, czynił jego bezmyślność trudniejszą do zniesienia.

To samo działo się z pieniędzmi przeznaczonymi na gospodarstwo. Polly dawała mu co tydzień pieniądze na dom, a on co tydzień wydawał więcej i musiał prosić o dodatek. I znów nie prosił dla siebie, ale żeby mieć na smakołyki dla niej i przyjaciół. Znając ojca, Polly zaczęła pod koniec jesieni myśleć ze strachem o Bożym Narodzeniu. Powiedziała mu, że wszystkie prezenty mają być zrobione w domu, miała na myśli drobiazgi w rodzaju poduszczek do wycierania piór. Gdy była na farmie latem, porobiła galaretki z dzikich jabłek, mięty, tymianku i rozmarynu, które trzymała na prezenty dla przyjaciół i krewnych, miała też zamiar porobić pachnące gałki do bieliźniarek; w szpitalu robiła na drutach szalik dla ojca, dla matki zaś kupiła kawałek wiśniowego dżerseju, na który naszywała kokardki z kolorowych aksamitek - miał to być wieczorowy szal według wzoru z „Vogue”. Dla ojca jednak „zrobione w domu” oznaczało cieplarnię, którą zamierzał zмайstrować własnymi rękami; z początku mówił, że słońce dostarczy ciepła, ale ostatnio ciągle naradzał się z hydraulikiem, jak utrzymać w dzień i w nocy temperaturę pięćdziesięciu stopni Fahrenheita. Twierdził oczywiście, że to im oszczędzi wydatków, bo Polly przez całą zimę będzie miała cięte kwiaty i wyhodują w przyspieszonym tempie hiacynty i krokusy jako prezenty wielkanocne dla przyjaciół. Twierdził, że na dłuższą metę to „się opłaci”, określenie, które sobie bardzo upodobał.

Mimo że Polly bardzo lubiła kwiaty, nie chciała tej cieplarni, tak jak matka nie chciała hodowli paw, starała się więc skierować inwencję ojca w innym kierunku, na przykład zrobił szklane półki na oknach dla roślin. Pan Andrews argumentował, że to banalny nowoczesny styl, więc Polly przypuszczała, że w końcu będzie musiała poprosić gospodynię, żeby twardo zabroniła mu robić cieplarnię. Bardzo nie chciała intrygować za plecami ojca, ale młody doktor Ridgeley nakazał jej tak postąpić w sprawach pieniężnych.

Ponownie rozmawiała z nim o ojcu, gdy przyszedł pewnej niedzieli na lunch i bez ogródek spytał, czy ojciec stał się ostatnio bardzo rozrzutny. Był to podobno znak zbliżającego się ataku depresji maniakalnej. Powiedział, że postąpiłaby rozsądnie, likwidując otwarte rachunki w sklepach i uprzedzając, by nie dawano ojcu na kredyt. Ale Polly nie miała otwartych rachunków w sklepach, tylko rachunki dzienne u Macy'ego, poza tym sądziła, że Jim Ridgeley zbyt klinicznie traktuje jej ojca. Nie rozumie, że człowiek, który przez większą część życia miał dochód z kapitału, nie potrafi tak naprawdę pojąć, co znaczy być biednym. Ona to rozumiała, gdyż była „dzieckiem kryzysu gospodarczego”, ojciec jednak ciągle jeszcze łudził się, że dobrobyt jest w zasięgu ręki. Dla niego więc „oszczędności”, jakie robił, były czymś w rodzaju gry, przygody, jak wtedy gdy na wsi jest przerwa w dostawie prądu i trzeba zapalać świece oraz lampy naftowe i nosić wodę ze studni. W sprawach finansowych ojciec ciągle oczekiwał, że za chwilę znów będzie prąd. Złudzenie to podzielało wiele ludzi, jak stwierdziła Polly, wśród nich niemało jej koleżanek.

Natomiast złudzenie, że wydawanie pieniędzy jest oszczędzaniem, też było szeroko rozpowszechnione, wszystkie reklamy wmawiały to człowiekowi. I wiele ludzi z latami dostawało obsesji, jak jej ojciec, na punkcie okazijnego kupna. Niezależnie od ich stanu majątkowego. Ciocia Julia doszła już do tego stadium i ciągle kupowała niepotrzebne rzeczy na wyprzedających. Co roku w styczniu uzupełniała swoje zasoby bielizny pościelowej podczas białego tygodnia, choć prześcieradła, ręczniki i poszewki kupione w zeszłym roku leżały jeszcze nietknięte. A przecież ciocia Julia była zupełnie normalna.

Poza wydatkiem na tak duży obiekt jak ciepłarnia Polly wybaczała ojcu jego rozrzutność. To nie jego wina, że dwie osoby nie mogą żyć tak tanio jak jedna. Doszła do wniosku, że musi znaleźć jeszcze jedno źródło dochodu. W ubiegłym tygodniu poszła do banku, działającego na zasadzie Planu Morrisa*, i pożyczyła pieniądze pod pensję, przy czym bardzo się wystraszyła.

* Plan Morrisa obejmuje sieć banków udzielających pożyczek na podstawie opinii i zdolności zarobkowych pożyczającego. Istnieje od 1910 roku.

Jak gdyby zrobiła pierwszy krok w kierunku otchłani występku i zguby. Wysokość procentu od pożyczki zgorszyła ją, potwierdziła jej instynktowne wyczucie, że w tej transakcji jest coś niemoralnego, coś w rodzaju szantażu, a procent jest opłatą za milczenie. Żadnych pytań. I właśnie chcąc uniknąć pytań, poszła do banku z Planu Morrisa, bo przeczytała reklamę takiego banku w autobusie. Mogła poprosić o pożyczkę ciocie Julię, lecz ciocia wyciągnęłaby ją na „poważną rozmowę”, chciałyby zobaczyć jej budżet - na co idą pieniądze - i od razu zważyłaby winę na ojca Polly. Przypuśćmy, że lekkomyślne szastanie pieniędzmi istotnie wynikało z choroby ojca, to przecież nie można go za to winić, a trzeba przed tym chronić. Polly nie wspomniała ojcu o tej pożyczce. Powstał jednak problem, jak ją spłacić. Musieliby wydawać jeszcze mniej niż dotychczas, lecz przecież dlatego musiała zaciągnąć pożyczkę, że ich wydatki przekroczyły dochody. Gwiazdkowy czek od cioci Julii nie wyrównał różnicy. Tyle mieli drobnych nieprzewidzianych wydatków: obliczając czynsz, zapomnieli, że we własnym mieszkaniu sami będą musieli płacić za gaz i elektryczność.

Polly łamała sobie głowę, jak uzyskać dodatkowy zarobek. Myślała o szyciu lub robieniu ziołowych galaretek i wonnych gałek na sprzedaż za pośrednictwem Women's Exchange (Wymiany Kobiecej). Mogliby z ojcem robić budyn śliwkowy lub keks. Ale gdy pewnego dnia podczas przerwy na lunch obliczyła zysk ze słoika galaretki z rozmarynu, który kosztowałby w detalu dwadzieścia centów powiedzmy, stwierdziła, że biorąc pod uwagę koszt słoika, cukru, etykiety i przewozu, musiałaby wyprodukować pięćset słoików, żeby zarobić dwadzieścia pięć dolarów, i to pod warunkiem, że owoce, zioła i gaz nic by nie kosztowały. Obliczyła też koszt wonnych gałek. Ile mogłoby kosztować w detalu? Pięćdziesiąt centów sztuka? Za drogo, lecz zrobienie sześciu gałek zajęłoby jej cały wieczór, a gdzie koszt pomarańczy, irysów, goździków i wstążek, nie mówiąc o obolałym kciuku, którym wpychała goździki. To samo byłoby z szyciem. Po raz pierwszy zrozumiała uroki masowej produkcji. Pojęła, jak wielkim złudzeniem jest przekonanie, że można zrobić pieniądze pracą rękodzielniczą w wolnych chwilach - żeby osiągnąć jakiś zysk, trzeba by być przykutym do łóżka, niedołącznym i chorym albo niewidomym. Zobaczyła siebie i ojca jako niewidomych lub przykutych do łóżka, wspomaganych przez instytucję

dobroczynną i radośnie wypłatających koszyki lub haftujących obrusy. Jako użytecznych członków społeczeństwa.

Przez całe tygodnie miała głowę zaprzątniętą zarobkowymi planami. Posyłała rozwiązania do konkursów w „Evening Post”. Zaproponowała ojcu, aby jej podyktował książkę kucharską ze swoimi ulubionymi francuskimi potrawami, Libby mogłaby im znaleźć wydawcę. Ale ojcu nie uśmiechała się myśl o wtajemniczeniu innych w swoje sekrety kulinarne, poza tym nie lubił Libby. Polly zastanawiała się, czy nie mogłoby otworzyć małej restauracyjki, gdyby im ktoś pożyczył kapitał. Lub czy sama nie mogłaby zrobić kremu ogórkowego i sprzedać przepisu na kompozycję firmie Elizabeth Arden. Przeglądała notatki absolwentek w piśmie Vassar, szukając w nich pomysłów, większość dziewcząt jednak pisała, że jest szczęśliwa „pracując społecznie” lub kierując grupą harcerek; kilka poświęciło się nauczycielstwu i pracowało na pół etatu, jedna była dziewczyną do krów, a jedna wyprowadzała psy na spacer. Pomyślała, że mogą powołać ojca na przysięgłego, ale sama musiała się śmiać z takiej myśli, wielce niecodzienny byłby z niego przysięgły. Naprowadziło ją to na myśl, że mógłby zostać zawodowym żałobnikiem - ale czy tacy istnieją w Ameryce? - lub klakierem w operze. Mógłby wieczorami pilnować dzieci, znakomicie opowiadał bajki, dlaczego nikt do tej pory nie pomyślał o opowiadaniu bajek jako o zawodzie? Albo mogłaby rzucić pracę w szpitalu i wynajmowałiby się z ojcem jako kucharz i pokojówka.

Polly orientowała się, że wszystkie te rojenia są czystą utopią, jeśli nie są wręcz śmieszne. Lecz gdy próbowała myśleć bardziej praktycznie, była przerażona wizjami wkradającymi się do jej myśli. Właśnie owej soboty, gdy ojciec mówił z nią o jej małżeństwie, wyobraziła sobie testament ciotki Julii. Wszyscy krewni zebrani w bibliotece, ciało leży w salonie, a adwokat odczytuje testament - Henry Andrews jest głównym spadkobiercą.

- Nie liczyłem na Julię - cicho powiedział ojciec, Polly podskoczyła. Ojciec miał niesamowitą zdolność, którą zaobserwowała u umysłowo chorych w szpitalu: siedząc w milczeniu, potrafią czytać ludzkie myśli.

- Julia - ciągnął dalej - jest dziwaczką. Może zapisać cały majątek jakiejś instytucji dobroczynnej. Zastrzegając wypłacanie emerytury Ross. Towarzystwu

Opieki Nad Zwierzętami albo Armii Zbawienia. Żeby mieli pieniądze na mundury dla świętych Mikołajów. - Roześmiał się żałośnie.

- Moim zdaniem, Julia cierpi na uwiąd starczy.

Polly wiedziała, co ojciec ma na myśli. Jego siostra zawsze była abstynentką ze względu na alkoholizm w rodzinie w kilku pokoleniach - jej stryjowie i bracia, z wyjątkiem Henry'ego, ulegli temu nałogowi. Ale jeszcze kilka lat temu podawała wino do kolacji nawet w okresie prohibicji, choć sama piła tylko lemoniadę. Twierdziła, że prawo nie rozciąga się na prywatną piwnicę dżentelmena. Jednakże od czasu zniesienia prohibicji, jako nieodrodna córka znikowanej rodziny Andrewsów, postanowiła, że wino na jej stole będzie tabu, serwowała lemoniadę, cydr, sok grapefruitowy i przeróżne napoje zdrowotne, określane przez jej brata jako wywołujące mdłości; twierdził z uporem, że podano mu u siostry mleczko kokosowe. „Przez całą kolację.” Ostatnio jednak ciocia popełniła poważniejszą zbrodnię. Wylała wszystkie zapasy z piwnicy zmarłego małżonka do zlewu w pokoju kredensowym.

- Mogłam to sprzedać - oznajmiła. - Sprowadziłam faceta od Lehmana, żeby ocenił wartość piwnicy. Przyniosłaby mi niemały grosz. Ale sumienie nie pozwoliło mi tego sprzedawać. Byłoby to handlowanie śmiercią. Jak ci fabrykanci broni, o których ciągle się czyta, ci spekulanci.

- Mogłabyś to dać mnie - powiedział jej brat.

- Nie wyszłoby ci na zdrowie. Poza tym nie masz gdzie tego trzymać. Sam dobrze wiesz, że dobre wino się psuje, jeśli się je przechowuje w nieodpowiednim pomieszczeniu.

Prawdę mówiąc, Ross uratowała wiele butelek ulubionego czerwonego wina pana Andrews i przyniosła je do mieszkania Polly, ale ojciec wpadł w furję.

- To było typowe dla Julii - powiedział teraz - że zanim wylała wino, wezwała rzeczoznawcę do jego wyceny. Nie zdziwiłbym się, słysząc, że wezwała kilku. Żeby wpisać swoją cnotę do księgi według najwyższej stawki. I to samo będzie z jej testamentem. Napisze długi testament wyjaśniający, że z początku chciała zapisać wszystko rodzinie, ale ostatecznie doszła do wniosku, że majątek nie wyszedłby krewnym na dobre. „Pieniądze mojego męża uczyniły mnie bardzo nieszczęśliwą. Nie chcę przysparzać tego nieszczęścia innym.”

Polly się uśmiechnęła. Miała nadzieję, że ojciec się nie myli, wobec tego może już nie myśleć o testamencie cioci. Liczenie na ten spadek było już niemal życzeniem jej śmierci. Jak dotąd Polly jeszcze nie życzyła cioci śmierci, obawiała się jednak, że do tego mogłoby dojść, gdyby jej sprawy bardzo się pogorszyły. A nawet gdyby nie życzyła cioci śmierci, to i tak źle jest dostrzegać dobre strony utraty krewnej.

- Więc - ciągnął dalej ojciec - muszę ci wyszukać męża. Zainwestować swoje nadzieje we wnuki, a nie w śmierć starej kobiety. Nie tracę jednak nadziei, że uda mi się ją namówić na zapisanie niewielkiego legatu trockistom.

- Masz fioła - roześmiała się Polly. - Nie możesz zrozumieć, że ciocia Julia jest konserwatywną republikanką.

- Wiem, kochanie. Ale ona wierzy w to, co piszą w gazetach, że my, trockiści, jesteśmy kontrrewolucjonistami i dążymy do zniszczenia Związku Radzieckiego. Walter Duranty i ci faceci, wiesz, przekonali ją do tych procesów. Gdyby to nie była prawda, powiada, nie drukowaliby tego w „New York Timesie”. Ja też co nieco dołożyłem, oczywiście. Zapewniłem ją, że trockiści to jedyna realna siła zwalczająca Stalina. Roosevelt idzie mu absolutnie na rękę. A Hitler ma własną pieczęć do upieczenia.

- Jesteś szachrajem - powiedziała Polly, całując ojca.

- Wcale nie. To prawda. I przyczyniłem się do tego, że Julia nie została faszystką.

Rozmowa ta ubawiła Polly, na chwilę zapomniała o swoich zmartwieniach. Na tym polegał jej kłopot z ojcem. W jego towarzystwie zapominała się martwić. A gdy przypominała sobie, wzdrygała się ze strachu, że mogła o tym zapomnieć. Miewała okropne sny w związku z pieniędzmi, budziła się zalana potem. Raz śniło jej się, że jest Boże Narodzenie i całe ich mieszkanie zamieniło się w ogromną cieplarnię wielkości Crystal Palace, a wszystko dlatego, że zapomniała poprosić gospodynię, żeby się sprzeciwiła temu pomysłowi. Kiedy indziej śniła, że oboje z ojcem zostali nudystami, bo ojciec twierdził, że w ten sposób zaoszczędzą na ubraniu, i zaarrestował ich irlandzki policjant. I oto pewnego dnia znalazła w szpitalu radę na swoje kłopoty. Nie pomyślała nawet o czymś takim, gdyż podobnie jak ów ukradziony list, rozwiązanie problemu leżało na jej oczach. Pobierała właśnie krew od zawodowego

dawcy i nagle błysnęła jej myśl: Dlaczego nie ja? Tamtego tygodnia sprzedała pół litra swojej krwi do laboratorium. Zrobiła to też w następnych dwu tygodniach. Była przekonana, że niczym to jej nie grozi, bo zawodowi dawcy robią to stale, a czasem nawet i lekarze. Poza tym w tym roku była wyjątkowo zdrowa i dobrze odżywiona, bo ojciec był znakomitym dietetykiem. Polly pękała od żelaza i witamin, a na anemiczną wyglądała tylko dlatego, że była blada z natury. Powiedziała sobie, że na przyszłość mądrzej będzie oddawać krew w Bellevue albo innym laboratorium, gdzie nikt jej nie zna, żeby nie wywoływać plotek wśród kolegów.

Ale następnym razem śpieszyła się, był tydzień przedświąteczny i godzinę przeznaczoną na lunch poświęciła na kupowanie laseczek z lukru i kolorowego papieru do girland na choinkę, bo matka przysłała ze wsi drzewko. Poszła więc jak przedtem do swojego laboratorium, obiecując sobie, że po raz ostatni.

No i trzeba pecha, że właśnie tym razem nakrył ją doktor Ridgeley, który wpadł obejrzeć próbkę krwi pacjenta.

- Co tu robisz? - spytał, choć widział doskonale, co robi, aparat bowiem ciągle jeszcze wisiał przy kanapie, na której leżała, jak zwykle po oddaniu krwi.

- Forsa na Gwiazdkę - powiedziała z nerwowym uśmiechem, rozluźniając zaciśniętą pięść.

Oczy lekarza rozszerzyły się, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wrócił po chwili. Zajrzał do danych.

- To twoje czwarte dawstwo - powiedział ostro. - Co się dzieje?

- Boże Narodzenie - powtórzyła.

On jednak uważał, że to z powodu jej ojca.

- Zrobiłaś, co radziłem? Zlikwidowałaś rachunki w sklepach? Zapowiedziałaś, aby mu nie dawano na kredyt?

- Nie mam żadnych rachunków w sklepach. A ojciec nie kupuje na kredyt.

- Możesz o tym nie wiedzieć. Posłuchaj, Polly. Pozwól, że dodam dwa do dwóch. Kiedy widzę pacjenta maniaka, a potem znajduję kogoś z jego rodziny sprzedającego krew w laboratorium, to wiem, że chory zaczął szastać.

- Nie. Jesteśmy po prostu bez pieniędzy na święta. - Wstała.

- Siadaj! - nakazał. - Twój ojciec, moja droga, jest poważnie chory. Ktoś powinien dopilnować, aby się leczył.

- To znaczy aby poszedł do szpitala? Nie, panie doktorze. - Zabrzmiało to bardzo służbowo. - Jest normalny, przysięgam. Ma zupełnie jasny umysł. Jest tylko odrobinę ekscentryczny.

- Mówiłem ci - ciągnął dalej niecierpliwie Ridgeley - że te napady rozrzutności są nieomyślne. Wskazują, że pacjent jest już daleko zaawansowany na krzywej prowadzącej do ataku. Następne stadium bywa często atakiem furii połączonej z megalomanią. I przeważnie idzie w parze z poczuciem misji. Czy twój ojciec interesuje się polityką?

Polly zbladła, zakręciło jej się w głowie, wmawiała sobie, że to z powodu utraty krwi.

- Każdy interesuje się polityką - wymamrotała.

- Ja nie - powiedział lekarz. - Ale pytam, czy on ma jakiś specjalny temat? Jakaś ulubioną formułkę na uratowanie świata? Zrobił jakieś odkrycie w ostatnich miesiącach?

Słowa te wydały się Polly istną magią.

- Jest trockistą - wyszeptała.

- Co to takiego?

- Och, nie bądź takim ciemniakiem! - krzyknęła Polly. - Trocki. Lew Trocki. Jeden z twórców rosyjskiej rewolucji. Dowódca Armii Czerwonej. Arcywróg Stalina. Na emigracji w Meksyku.

- Oczywiście, że słyszałem o nim - rzekł Ridgeley. - Czy nie był prasowaczem spodni w Brooklynie?

- Nie! - krzyknęła Polly. - To legenda! - Wielka przepaść rozwarła się między nią i tym młodym lekarzem, miała wrażenie, że krzyczy z drugiego brzegu tej przepaści. Chcąc być sprawiedliwa, szukała w pamięci, czy rok temu ona też nie myślała, że Trocki prasował spodnie w Brooklynie, rok temu była prawie taką samą ignorantką jak ten doktor. Pogłębiło to tylko jej świadomość, jak daleko odeszła od swojej początkowej pozycji, normalnego centrum warstw wykształconych, w którym uparcie tkwił Jim Ridgeley w swoim białym kitlu i który w tej chwili wydawał jej się

niedorozwinięty i niewykształcony. A przecież odgadł, że jej ojciec jest trockistą, nie wiedząc nawet, co to znaczy.

Zacząła tłumaczyć lekarzowi, że trockiści to jedyni prawdziwi komuniści, że teraz są w partii socjalistycznej.

- Mam nadzieję, że słyszałeś o Normanie Thomasie - rzuciła.

- Jasne. Kandydował na prezydenta, sam na niego głosowałem w 1932.

- No więc - Polly poczuła ulgę - trockiści są odłamem tego ruchu. - Mówiąc to, zdała sobie sprawę z pewnej nieuczciwości. Wiedziała od ojca, że trockiści przyłączyli się do socjalistów ze względów „taktycznych” i wcale nie są socjalistami typu Normana Thomasa.

- Jak go zwał, tak go zwał - powiedział lekarz, siadając koło niej na kanapce, Polly nie znosiła tego wyrażenia - stanowią małą sektę z poczuciem misji. Mam rację?

- W pewnym sensie. Uważają, że istnieje potrzeba permanentnej rewolucji. - Mimo woli się uśmiechnęła.

- Innymi słowy, uważasz ich za stukniętych - kiwnął głową lekarz. Polly starała się uczciwie rozeznąć w sobie. Pominawszy ojca, czy uważa Schneidera za stukniętego?

- Uważam, że w wielu punktach mają rację - rzekła. - Ale jeśli idzie o permanentną rewolucję, to uważam, że cokolwiek stracili poczucie rzeczywistości. Takie jest moje osobiste zdanie. Może ja to źle widzę.

- Masz cudowne oczy. - Lekarz uśmiechnął się ironicznie. Pochylił się naprzód. Przez sekundę myślała ze strachem, że zaraz ją pocałuje. Ale on skoczył na nogi. - Powinnaś oddać ojca do zakładu - dodał.

- Nigdy!

- Może ja się tak tym przejmuję - odezwał się, biorąc jej dłoń - bo zaczynam się zakochiwać w tobie.

Polly wyszarpnęła rękę. Wcale nie była taka zdziwiona, jak się należało spodziewać. Obawiała się, że skrycie zmierzała do tego, aby rozkochać w sobie doktora Ridgeleya, dlatego właśnie jego się poradziła w sprawie ojca. Miała na niego oko, w czym nie różniła się od innych kobiet, domyślała się też, że mu się podoba, i to nawet bardzo. Myśląc o nim, była świadoma tylko tej sympatii (przyznawała teraz w

duchu) i ciągle „na niego wpadała”. Ale gdy usłyszała to, co chciała usłyszeć, poczuła strach. Wolałaby, żeby powiedział coś innego, przemawiał jak bohater opowiadania w kobiecym piśmie. Przyszło jej też na myśl, że pewnie posłużyła się biednym ojcem jako przynętą, żeby zachęcić tego młodego mężczyznę do posunięcia się o krok dalej, uśmiechnęła się z pogardą do siebie samej. Jednocześnie radosny głos wyśpiewywał w jej sercu: „On mnie kocha!” I natychmiast odezwał się inny głos: „Kim jest ten Ridgeley? Co ty o nim wiesz?” Ojciec powie zapewne, że jest smętnie przeciętny, taki drugi Gus. Najlepszy dowód, że potrafi jednym tchem mówić o miłości i zamknięciu jej ojca w zakładzie dla obłąkanych. Spojrzała na niego lodowato.

- Jeśli ty nie chcesz tego zrobić - powiedział innym tonem - powinna to uczynić twoja matka.

- Nie może - tryumfalnie oznajmiła Polly. - Zapominasz, że się rozwiedli.

- W takim razie najbliżsi krewni.

- Siostra ojca. Ciocia Julia. Lekarz przytaknął.

- Jest dziecinniała - dodała Polly tym samym tonem dziecięcego tryumfu.

Sama nie wiedziała, co ją opętało, jakiś złośliwy chochlik zmuszał ją do kłamstwa.

- A twoi bracia?

- Nigdy by tego nie zrobili. Tak samo jak ja. Musisz się poddać, doktorze Ridgeley.

- Przestań się zgrywać. To niebezpieczna gra.

- Mój ojciec nie jest niebezpieczny. Zostaw go w spokoju.

- Teraz jest niebezpieczny dla ciebie - łagodnie powiedział Ridgeley. - Nie powinnaś oddawać dla niego swojej życiodajnej krwi.

- Uważasz pewnie, że mam kompleks ojca - chłodno rzekła Polly.

- Nie jestem freudystą - pokręcił głową Ridgeley. - Masz dla niego uczucie opiekuńcze, jak gdyby był twoim dzieckiem. Może dlatego, że do tej pory nie masz dzieci.

Polly nagle wybuchnęła płaczem. Ridgeley otoczył ją ramieniem, przywarła mokrym policzkiem do białego, nakrochmalonego kitla. Była niepokieszona. Nic nie trwa wiecznie. Najpierw Gus, a jakby tego było mało, to teraz ojciec. Tak dobrze było jej z nim i byłoby nadal, gdyby tylko mieli trochę pieniędzy albo gdyby ojciec był

troszkę inny. To prawda, ojciec jest jak dziecko, stopniowo zdała sobie z tego sprawę, jak stopniowo rozumiała, że Gus nigdy się z nią nie ożeni. W obu przypadkach powinna była od początku spojrzeć prawdzie w oczy. Cieszyła się z przyjazdu ojca, bo go potrzebowała, świadomie nie dostrzegała jego słabostek, jak nie dostrzegała słabostek Gusa. W wypadku ojca dochodziła jeszcze pewnie jakaś chęć przewyższenia matki, udowodnienia, że ona może go uszczęśliwić, a matka nie potrafiła. W praktyce oznaczało to, że Polly ustępowała ojcu w sprawach, w których matka miała siłę mu się przeciwstawić. Nie powinni byli wynajmować tego mieszkania, matka mogła jej to powiedzieć - był to początek *folie de grandeur*. Nie potrafi powstrzymać ojca, jest bezwładna. To samo było z Gusem. Gdyby pokierowała nim stanowczo, byłby się z nią ożenił.

- Miałam okropny romans - wyznała, płacząc. - On mnie rzucił. Pragnęłam śmierci i wtedy przyjechał ojciec. Pomyślałam, że mam wreszcie jakiś cel w życiu, że potrafię się nim zaopiekować. Ale jakoś nie potrafię. To nie jego wina, po prostu nie zarabiam dość dla nas obojga. I nie mogę odesłać go z powrotem do mamy. A w zakładzie też go nie umieszczę. On naprawdę nie jest wariatem nadającym się do zakładu. Mówiłeś przecież, że może wyzdrowieć „sam z siebie”. Mogłabym oczywiście zwrócić się do cioci. Tak chyba będzie najlepiej.

- Zwróć się do cioci?

- O pieniądze. Ona nie jest zdiecinniała. Skłamałam. Jest bardzo bogata, a przynajmniej była... nikt nie wie naprawdę, ile jej zostało. Ale bogacze miewają dziwny stosunek do pieniędzy.

- Byłoby to czasowe rozwiązanie twojego problemu - powiedział Ridgeley tonem psychiatry. - Musisz się pogodzić z myślą, że twojemu ojcu może się pogorszyć. Co z nim zrobisz, kiedy wyjdiesz za mąż?

- Nie mogę wyjść za mąż. Wiem o tym. W każdym razie nie mogę mieć dzieci z takim obciążeniem dziedzicznym. W końcu się z tym pogodziłam. To byłby egoizm mieć dzieci, nikczemność.

- Czy nikczemnością było urodzić ciebie? - spytał z uśmiechem.

- Rodzice nie wiedzieli - pospieszyła Polly w obronie rodziców - o melancholii ojca. To się stało później. - Lekarz ciągle się uśmiechał i Polly rozumiała, dlaczego.

Czy wolałaby się nie urodzić? Nie mogła tego powiedzieć, choć była nieszczęśliwa. Nawet pragnąc śmierci, nie żałowała ani przez chwilę, że żyje. Nikt żywy nie może tego żałować.

- Jakie ty masz dziwaczne, niewzruszone poglądy. I to ty, osoba pracująca w szpitalu. Nie masz przecież dziedzicznego kretynstwa w rodzinie. Albo dziedzicznego syfilisu.

- Zawsze myślałam, że z naukowego punktu widzenia powinnam być wysterylizowana.

- Boże, co za bzdury! Skąd ci to przyszło?

- Z college'u. Nie mówię, że profesorzy wykładali to, ale to jakoś wisiało w powietrzu. Eugenika. Że niektórym ludziom powinno się uniemożliwić rozmnażanie. Oczywiście nie dziewczynom z Vassar - dodała z uśmiechem - ale innym. Zawsze czułam się jakaś inna. W mojej rodzinie było dużo małżeństw między bliskimi krewnymi, kuzyni żenili się ze sobą. Krew Andrewsów zrobiła się cienka.

- Krew Andrewsów - Ridgeley spojrzał na ramię Polly, leżała tam jeszcze watka, w miejscu gdzie igła weszła w żyłę. - Udowodnię ci, że mam zaufanie do krwi Andrewsów. Wyjdiesz za mnie?

- Przecież nigdy nawet nie mieliśmy randki - broniła się Polly, rzekomo w imię uczciwości. - Nie znasz mnie wcale. Nigdyśmy...

- ...nie spali razem - dokończył. - Doskonale, chodźmy do hotelu. Zadzwoń do ojca, uprzedź go, że nie wrócisz na noc. Mam samochód przed szpitalem. Zjemy najpierw kolację i potańczymy. Dobrze tańczysz?

Polly obawiała się, że to „zagrywka”, jakiej on używa z wszystkimi młodymi pielęgniarzkami i laborantkami, ale jeśli proponuje tym wszystkim dziewczętom małżeństwo, to jak się później z tego wykreca? Jest całkiem przystojny, wysoki, z falistymi włosami, już to samo wystarczyło, by obudzić jej podejrzenia. W prawdziwym życiu tylko brzydca mężczyźni zakochują się jak z bicza strzełił i nie zostawiają dziewczynie wątpliwości co do swoich zamiarów. Ma taki dodający otuchy sposób mówienia, którego nie umiała sobie wytłumaczyć, może to skutek przebywania z chorymi, powiedziała sobie.

- Czy zawsze jesteś taki szybki Bill? - droczyła się z nim, przybierając ton, jakim przemawiała do ojca, gdy wbił sobie coś do głowy.

- Nie. Nie z kobietami. Możesz mi wierzyć lub nie, ale nigdy nie powiedziałem kobiecie, że ją kocham. Nigdy nie podpisałem się w liście „kochający”, chyba że w liście do moich rodziców. A mam już trzydziestkę. Więc oczywiście, skoro mnie to teraz wzięło, nie chcę tracić czasu.

Podejrzenia Polly osłabły. Roześmiała się łagodnie.

- Tracić czasu. Jak myślisz, od jak dawna jesteś we mnie zakochany?

- Od jakiejś półgodziny - Ridgeley rzeczowo spojrział na zegarek.

- Ale zawsze mi się podobałaś. Zwróciłem na ciebie uwagę, jak tylko się zjawiałaś w szpitalu.

Nie myliła się więc. Wzrosła jej wiara w siebie. Lecz nagle przełękała się czegoś innego. Ridgeley różnił się od Gusa, był prostolinijny, co jej się podobało, a mimo to korciło ją, żeby mu się przeciwstawić. Zbyt gwałtownie się angażuje, co znaczy, że zmusza i ją do angażowania się. A jednocześnie jego pośpiech nadawał tej rozmowie nierzeczywistą aurę, jak gdyby odbywała się w marzeniu.

Chciała powiedzieć, że nie mają niczego wspólnego, wydało jej się to jednak nieuprzejme, wobec tego powiedziała:

- Nawet gdybym wyszła za mąż, nie mogłabym wyjść za psychiatrę.

- Ze zdumieniem stwierdziła, że mówi to zupełnie szczerze, z głębi serca.

Szukając dziury w całym, jeśli idzie o Ridgeleya, trafiła na prawdziwy szkopuł. Psychiatra miałby w sobie biurkową stronę jeszcze bardziej drewnianą niż Gus, zauważyła już nawet oznaki czegoś takiego.

- Dobrze - powiedział bez namysłu Ridgeley. - Wycofam się z psychiatrii. Był to błąd, jaki popełniłem na studiach. Myślałem, że psychiatria jest nauką. Ale nie jest. Odchodzę stąd od nowego roku.

- Ale co będziesz robił? - wyrwało się Polly, która pomyślała, że jeśli on odejdzie od nowego roku, będzie jej go brakowało. Coś w niej stanowczo wzbraniało się uznać, że on zamierza się z nią ożenić. - Zostaniesz lekarzem ogólnym? Musiałbyś zacząć od początku, odbyć nowy staż.

- Nie. Badania naukowe. Musimy odkryć nowe metody leczenia chorób umysłowych, ale nie zrobi się tego w gabinecie psychiatry. Tylko w laboratoriach. Chemia mózgowa. Czeka już na mnie praca w zespole badaczy, mieszkam z jednym z nich. Ty też mogłabyś z nami pracować jako laborantka. Tu nie ma dla ciebie żadnej przyszłości.

- Wiem. Ale co ciebie pociąga w chorobach umysłowych, Jim?

- Marnotrawstwo - powiedział z naciskiem. - Ludzkich możliwości. Nie umiem czekać.

- Dostrzegłam to.

- Poza tym przypuszczam, że tkwi we mnie kawałek dobroczyńcy. To wrodzone. Mój stary jest pastorem. Prezbiteriańskim.

- Tak? - Była to miła wiadomość, Polly pomyślała, że przyjemnie byłoby mieć pastora w rodzinie.

- Mógłby nam dać ślub, jeśli zechcesz, albo pójdziemy do urzędu stanu cywilnego.

Im poważniej on mówił, tym bardziej ona usiłowała obrócić to w żart.

- A co z moim ojcem? Przypuszczam, że ci się przyda jako królik doświadczalny. Żebyś mógł wypróbować na nim swoje genialne odkrycia. Byłby moim posagiem.

Ridgeley zmarszczył brwi; Polly pomyślała, że on już zaczyna ją krytykować. - Może zamieszkać z nami i prowadzić nam gospodarstwo.

- Mówisz poważnie?

- Nie mówiłbym inaczej. A po naszym ślubie będę mógł mieć na niego oko. Prawdę mówiąc, uważam, że większość naszych pacjentów miałaby się znacznie lepiej w domu. Wiktoriański system był lepszy, gdy trzymano zbzikowaną ciotunię w komórce na piętrze. Bardziej ludzki. Winę przeważnie ponoszą rodziny chorych. Chcą się pozbyć wariata z domu, oddać go w „ręce kompetentnych fachowców”, czyli sadystycznych pielęgniarek i pielęgniarzy. To samo się dzieje ze starcami, nikt nie chce już mieć starca w domu.

- Och, to prawda! - wykrzyknęła Polly. - Ja lubię starych ludzi. To straszne, że się ich wyrzuca na szmelc jak zużyte samochody. Ale skoro tak myślisz, to dlaczego twierdzisz, że trzeba go oddać do zakładu?

- Różnica między teorią i praktyką. Nie chciałem, żebyś była z nim sama.

- On nie jest niebezpieczny - powtórzyła Polly. - Nie wypisaliby go z kliniki Riggsa, gdyby był niebezpieczny.

- Bzdura. Większość furiatów, którzy w napadzie szału mordują dziesiątki osób, to są właśnie faceci dopiero co wypisani z zakładu dla umysłowo chorych. Twojego ojca wypisano z kliniki Riggsa, bo nie mieliście już forsy na trzymanie go tam. Gdybyście mieli, siedziałby tam do tej pory.

- Jesteś okropnym cynikiem.

- Człowiek staje się cynikiem w zawodzie psychiatry. Ale przypuśćmy, że twój stary nie jest niebezpieczny, ty wiesz zapewne na ten temat więcej od lekarzy. Mimo to może być niebezpieczny dla samego siebie. Jeśli wpadnie w fazę depresyjną. Miał już manię samobójczą?

- Nie jestem pewna. Mówił o samobójstwie i mama się bała.

- No więc - spojrzał na nią; miał jasnobrażowe oczy z zaskakującymi zielonymi plamkami. - Może kazałem ci oddać go do zakładu, aby sprawdzić, jak zareagujesz.

- Och! - krzyknęła Polly. - Nastraszyłeś mnie na próbę! Jak w bajce! - Była rozczarowana.

- Może. To zwyczaj, jakiego się nabiera, będąc lekarzem. Sprawdzanie reakcji. Wiedziałem z góry, co powiesz. Że odmówisz. Chciałem chyba sprawdzić, czy potrafię ciebie nastraszyć.

- Udało ci się?

- Nie. Nie głęboko. Nic nie mogło cię przekonać, żebyś przestała ufać ojcu. Nie jesteś podejrzliwą dziewczyną.

- Jestem! - Pomyślała o tym, jak nie dowierzała Gusowi. - Znam ojca, to wszystko.

Polly stwierdziła, że zgodziła się wyjść za Jima, nie powiedziawszy nawet sakramentalnego „tak”. Tego wieczoru zjedli razem kolację i trochę tańczyli, potem

odwiózł ją do domu. Długo całowali się w jego samochodzie przed jej domem. Gdy w końcu weszła do domu, ciągle nie wiedziała, czy go kocha. Wszystko stało się tak nagle. Ale czuła ulgę, że go poślubi, i zastanawiała się, czy to nie jest niemoralne. Dawniej mówiono, że wdzięczność może zamienić się w miłość, czy tak jest naprawdę? Całowanie się z nim było przyjemne, ale to może być tylko seks. A Polly doszła do wniosku, że seks nie jest nieomylnym sprawdzianem miłości. Najbardziej niepokoiło ją to, że ona i Jim tak mało mają wspólnego - ciągle niespokojnie to sobie powtarzała. Poza szpitalem nie mieli ani jednego wspólnego znajomego. A co się tyczy jej starych przyjaciół, postaci literackich - króla Artura, Sir Lancelota, pana Micawbera i pana Collinsa, Wrońskiego i kochanego księcia Andrzeja - którzy byli dla niej jak członkowie rodziny, to Jim ledwie ich pamiętał. Gdy napomknęła podczas kolacji o doktorze Lydgate, wyznał, że nie czytał *Middlemarch*, tylko *Silasa Marinera* w szkole i bardzo tej książki nie lubił. Wyznał, że nie potrafi czytać powieści, a Hektor i Achilles są mu jednakowo obojętni. Ona i Jim znali przynajmniej Biblię i oboje studiowali nauki ścisłe, ale czy to wystarczy? On jest inteligentniejszy od niej, ale nie kształcił się w Vassar. A ona, jak wszyscy Andrewsowie, jest wyspiarką. Bo w jakim innym celu ciągle żenili się między sobą, jeśli nie po to, żeby się śmiać z tych samych kawałów, mieć wspólne wspomnienia, wspólnych dziadków i pradziadków nawet? O czym Jim będzie rozmawiał z jej braćmi, których teraz interesuje tylko rolnictwo i którzy mówią albo o paszy i cenach bydła rzeźnego, lub też zabawiają się cytatami z *Georgik* Wergiliusza, jak inne wiejskie ciury zabawiają się tłustymi dowcipami. Bracia nudziliby ją śmiertelnie, gdyby nie znała ich przez całe życie. A ta cała kupa starych dalszych i bliższych krewnych, którzy wypełzną z nor i zjawią się na jej weselu zwabieni zapachem szampana. I tak nie będzie szampana, bo „największą” ofiarą cioci było wylanie do zlewu szampana, który chowała na wesele Polly. Jaki werdykt wydałby psychiatra o całym klanie Andrewsów? Matka Polly jeszcze i teraz opisywała swoje wrażenia, gdy poznała ten klan jako młoda mężatka z Nowego Jorku.

- Ojciec i ja - mówiła obecnie - nigdy nie pasowaliśmy do siebie. Byłam dla niego zbyt normalna.

Nikt by tak nie pomyślał, widząc ją na farmie w roboczym kombinezonie i wspaniałej koafiurze. Podobne myśli nigdy nie spędzały Polly snu z powiek, gdy

marzyła o małżeństwie z Gusem, co dowodzi zapewne, przypuszczała, że nigdy w to małżeństwo nie wierzyła. Teraz starała się spojrzeć na rzecz realistycznie.

Gdy wróciła do domu, ojciec, który był nocnym markiem, nie spał jeszcze. Polly była pewna, że ojciec dostrzeże w niej zmianę, a nie chciała wyznawać, że zaręczyła się w jeden wieczór. Na szczęście pan Andrews miał głowę zaprzątniętą czym innym. Oznajmił, że czekał na nią, aby jej powiedzieć ważną nowinę. Ojciec chce się żenić, powiedziała sobie Polly. Ale rzecz była w tym, że dostał pracę. W sklepie z używanymi rzeczami na Lexington Avenue ma zastępować kierowniczkę prowadzącą ten sklep dla instytucji dobroczynnej. Pensja niewielka, ale będzie zajęty tylko po południu, obsługując klientów, przedpołudnia będzie miał wolne.

- To wspaniale, tatusiu! - powiedziała Polly. - Jakim cudem dostałeś tę pracę?

- Julia to załatwiła. Jest członkiem rady tej instytucji. Zazwyczaj trzymają tę posadę „dla podupadłej damy”, ale ona mnie przeforsowała. Wymieniła mnie, jak sądzę, za członkostwo klubu. „Henry zna się na drzewie”, powtarzała w kółko.

- To cudownie. Kiedy zaczynasz?

- Jutro. Dziś po południu kierowniczka wyjaśniła mi, jakie będą moje obowiązki, i zrobiła inwentaryzację. Są tam głównie białe słonie. Gały towar pochodzi z darów.

- Czy to wszystko antyczne rupiecie?

- Wcale nie. Mamy używane futra, garderobę dziecięcą, stare smokingi, liberie lokai i pokojówek. Mnóstwo tych rzeczy zawdzięczamy całej tej nieprzyjemności. - Tak nazywał kryzys gospodarczy. Polly zmarszczyła brwi, nie podobała jej się perspektywa ojca sprzedającego używaną garderobę. - Są to rzeczy z najlepszych domów - wyjaśnił pan Andrews. - Mamy zabawne francuskie lalki i pozytywki. Francuskie szafy, etażerki, żardinierki. Szafki na cacka, stojaki na parasole, komody z marmurowymi blatami. Złoczone krzeselka do muzykowania. Laski ze złotymi gałkami, irchowe rękawiczki, cylindry, wachlarze, hiszpańskie grzebienie, mantylki, harfę. Kanapy z końskim włosiem. Bardzo pouczający inwentarz czasów *passes*.

- Ale co skłoniło ciocię do szukania dla ciebie posady?

- Poprosiłem ją o pieniądze. To ją pobudziło do wyszukania mi pracy, żebym, jak to pięknie określiła, „nie musiał zebrać”. Gdybym ją poprosił o znalezienie mi posady, orzekłaby, że jestem za stary.

- Czy to była jedna z twoich głęboko ukrytych intryg?

- Całkiem przeciwnie. Ale teraz, gdy mam pracę, cieszę się, że będę zarabiał na chleb. Dołączyłem do klasy robotniczej. A Julia oczywiście chce mnie wyzyskać.

- W jaki sposób?

- Bo widzisz: „Henry zna się na drzewie”. Mam tam mieć oczy otwarte, na wypadek gdyby trafił do nas z jakiegoś strychu mebelek Sheratona czy Hepplewhite'a. Mam to po cichu odstawić dla niej.

- Nie wolno ci tego zrobić - stanowczo powiedziała Polly. - Byłoby to oszukiwaniem instytucji dobroczynnej.

- Taki właśnie jest zamysł mojej siostruni. Sama wyznała mi poufnie, że niektórzy z młodszych członków ich instytucji nie mają pojęcia o wartości starych mebli. Mówi, że przez inną instytucję dobroczynną, którą ona wspiera, udało jej się kupić rzadkiego aubussona za psi grosz.

Polly wydała pomruk oburzenia.

- Gdzie ona to trzyma? - spytała.

- W przechowalni. Czeka na śmierć poprzedniej właścicielki. Byłoby niezręczne dla Julii, gdyby tamta dama wpadła do niej i zobaczyła na podłodze ten dywan.

- Ale dlaczego ktokolwiek miałby oddawać rzadkiego aubussona?

- Rewolucja w gustach. To jedyna rewolucja, jaka dociera do tych pań. Córki suszą im głowy, że muszą urządzić dom na nowo, w nowoczesnym stylu. Albo mówią: „Mamo, wynajęłabyś mieszkanie w River House i pozbyła się trochę rupieci. Uprzedzam cię, że John i ja nie weźmiemy z tego ani kawałka, kiedy umrzesz.”

Polly pomyślała, że gdyby dziś po południu wiedziała o posadzie ojca, nie sprzedałaby swojej krwi i w tej chwili nie byłaby zaręczona. Był to jeszcze jeden wypadek, kiedy kaprysy czy niepowodzenia nakładają się na siebie w czasie, jak wtedy gdy ojciec do niej przyjechał. Przeraziła się na myśl, że mogłaby nie być zaręczona, jak gdyby właśnie ta możliwość, a nie zaręczyny, była jej prawdziwym

losem, którego uniknęła przez przypadek, jak ludzie, którzy powinni byli popłynąć „Titanikiem” i z jakichś powodów zrezygnowali w ostatniej chwili. Ten lęk uzmysłowił jej, że chyba już jest zakochana.

Zawiadomienie o zaręczynach Polly nie zdziwiło nikogo z jej przyjaciół. Zawsze jakoby wiedzieli, że ma kogoś w szpitalu. To zupełnie logiczne, że wychodzi za młodego lekarza.

- Spodziewaliśmy się tego dla ciebie, kochanie - oznajmiła Libby - wszystkie trzymałyśmy za ciebie palce.

Polly zdawało się, że przyjaciółki chcą jakby ograbić ją z jej niezwyklej miłości. Z ich słów wynikało, że gdyby to nie był Jim, byłby jakiś doktor X z położnictwa czy doktor Y z medycyny ogólnej. Tymczasem to nie mógł być nikt inny. Zrobiła wielkie odkrycie, że Jim jest dobry, nappełniało ją to zdumieniem, gdyż myślała, że dobrzy ludzie są na ogół starzy. Lecz gdy próbowała podzielić się tymi myślami z innymi, nie rozumieli jej, jak gdyby przemawiała obcym językiem. Nawet matka jakby nie rozumiała.

- Jest oczywiście bardzo przystojny. I chyba inteligentny. Znakomicie pasujecie do siebie.

- Nie o tym mówię, mamó.

- Chcesz pewnie powiedzieć, że jest do pewnego stopnia idealistą. Ale to było nieuniknione, że wyjdiesz za kogoś takiego. Światowiec nie pociągałby ciebie.

Tylko Schneider i lodziarz patrzyli na sprawę tak jak ona. Lodziarz chciał się upewnić, że jej *fidanzato* jest dobrym człowiekiem, Schneider poszedł trochę dalej. - Rozumiem, co pani czuje - powiedział. - Jak udowodnił Sokrates, miłość nie może być niczym innym niż umiłowaniem dobra. Lecz znalezienie dobra jest rzeczą rzadką. I dlatego miłość jest rzadkością, niezależnie od tego, co ludzie mówią. Przytrafia się jednemu na tysiąc, a temu, komu się przytrafia, wydaje się objawieniem. Nic dziwnego, że nie potrafi tego wytłumaczyć pozostałym dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu.

Przyjaciele Polly z wyjątkiem Schneidera byli zdziwieni, że pan Andrews będzie mieszkał z młodą parą. Przyjaciółki z grupy jedna za drugą starały się odwieść ją od tego - Pokey przyleciała specjalnie w tym celu z Princeton; Dottie, która akurat

bawiła w Nowym Jorku z mężem, aby pochodzić do teatrów, i mieszkała w hotelu „Plaza”, posunęła się nawet do tego, że porozmawiała z matką Polly. Nawet Helena podczas cocktailu w klubie Vassar wtrąciła ostrożne ostrzeżenie. Priss przyszła na lunch do szpitalnej kawiarni. Powiedziała, że Sloan jako pediatra stanowczo jest temu przeciwny.

- Jak będziesz miała dzieci, będziesz musiała myśleć o nich - powiedziała. -
Przypuśćmy, że t-twój ojciec...

- ...znów zwariuje - dokończyła Polly. - Czy to byłoby takie straszne dla moich dzieci? Wariował i wracał do zdrowia, kiedy ja i bracia byliśmy mali.

Priss orzekła, że to co innego, w tamtych czasach ludzie mało wiedzieli i narazali małe dzieci na obcowanie z obłędem... Polly i jej bracia po prostu mieli szczęście. Ale nawet gdyby ojciec Polly był normalny, jej przyjaciółki uważały, że popełnia straszliwy błąd - błąd, którego ich pokolenie nauczyło się przynajmniej unikać. Nie należy mieszkać z rodziną, jeśli chce się mieć udane małżeństwo, należy pod tym względem być absolutnie stanowczym. Co do tego wszystkie przyjaciółki były jednomyślne. Jeśli Polly chce zlekceważyć nauki wynikające z doświadczenia, to od samego początku skazuje swoje małżeństwo na katastrofę.

- Chcesz powiedzieć, że twój doktor zgadza się na to? - wykrzykiwały młode matrony, zgorszona.

- Tak - powiedziała Polly.

To zdumiewające oświadczenie zasiało poważne wątpliwości w umysłach jej przyjaciółek.

- Jeśli on cię kocha naprawdę, to należałoby się spodziewać, że będzie chciał być z tobą sam - twierdziła Kay. - Żadna siła na świecie nie przekonałaby Haralda, żeby dzielił się moimi uczuciami z kimś jeszcze.

Polly nic nie powiedziała na temat pogłosek o rozpadaniu się małżeństwa Kay.

- Co, twoim zdaniem, powinnam zrobić z ojcem? - spytała spokojnie.

- Dlaczego nie mógłby zamieszkać z twoją ciocią Julią?

- Nie lubi cioci.

- Ale ona ma ogromny apartament. Mógłby tam mieć osobne pokoje. I służbę, żeby się nim opiekowała. Miałby się tam znacznie lepiej, niż dusząc się w ciasnocie z

wami. Co z nim zrobisz, gdy będziesz miała gości? U twojej cioci mógłby dostać jedzenie na tacy w swoim pokoju.

Polly w naiwności ducha myślała, że wystarczy wziąć ślub, aby „żyć szczęśliwie do końca dni swoich”, chyba że mąż zdradza żonę, ale koleżanki były zdania, że nie wolno ani na sekundę spocząć, jeśli chce się uczynić małżeństwo „udanym”. Polly była gotowa do poświęceń, nauczyła się tego w dużej rodzinie, koleżanki jednak nie to miały na myśli. Uważały za rzecz wielkiej wagi, aby kobieta zachowała swoją indywidualność, inaczej może nie utrzymać męża.

- Przynajmniej - wtrąciła Libby - nie masz chyba zamiaru zabierać ojca w podróż poślubną?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Polly z irytacją. Ale wkrótce potem dostała list od matki, która pytała, czy to prawda, że Henry ma jechać z nimi w podróż poślubną, bo Louisa Hartshorn słyszała o tym w klubie Cosmopolitan.

Jedyną osobą, która pozostała głucha na ogólne niepokoje, był sam pan Andrews, który od samego początku uważał za rzecz samą przez się zrozumiałą, że będzie mieszkał z nowożeńcami. Dla niego problem był natury architektonicznej - znaleźć mieszkanie dla trzech osób i żeby przeróbka nie kosztowała zbyt wiele. Oglądał mieszkania nadające się do szybkiej przeróbki niedaleko laboratorium Jima na East Side; znalazł odpowiednie na ostatnim piętrze domu podlegającego ochronie lokatorów, twierdził, że można by tam zrobić świetliki w suficie, żeby środkowe pokoje miały światło. Młodzi mieli się pobrać na wiosnę na farmie, rodzice Jima przyjechaliby z Ohio i ojciec pana młodego udzieliłby ślubu. Dottie wyraziła nadzieję, że przy tej uroczystej okazji państwo Andrews pogodzą się i będzie podwójne wesele.

- Twój ojciec mógłby być drużbą Jima, a twoja matka pierwszą druhną na twoim ślubie. I na odwrót. Bardzo oryginalne. - Dottie szelmowsko mrugnęła. - Nie podoba ci się ten pomysł?

Gdy Jim dowiedział się o tym, oświadczył, że lepiej będzie, jeśli od razu pobiorą się w urządzenie stanu cywilnego i będą to mieli z głowy.

Polly była tego samego zdania. Więc aby nikogo nie obrazić, nie zabrali nawet pana Andrewsa na świadka. Ślubu udzielił urzędnik stanu cywilnego i tegoż wieczora wyjechali na Key West w podróż poślubną, śpiąc na jednym dolnym łóżku w

sleepingu. Ze stacji wysłali depesze z zawiadomieniem o ślubie. Przyjaciółki Polly były bardzo zawiedzione, że nie miały okazji obsypać ją ryżem lub w ogóle urządzić pożegnania. Zrozumiały jednak, że w obecnych okolicznościach huczne wesele byłoby ponad siły Polly. Grupa bardzo jej współczuła i byłaby wysłała kwiaty telegraficznie, gdyby tylko wiedziała, dokąd pojechali. Ale Polly i Jim oczywiście pary z ust nie puścili na ten temat, ciesząc się na tych kilka dni, gdy będą jeszcze sami, prawdopodobnie po raz ostatni do końca życia. W apartamencie Dottie w hotelu „Plaza” kilka przyjaciółek Polly z mężami wypilo zdrowie młodej pary *in absentia*. - Za jej szczęście - powiedziało towarzystwo, stukając się kieliszkami. - Jest tego warta jak nikt inny - zapewniły koleżanki. Panowie współczuli Jimowi, którego nie znali, ale w miarę jak mąż Dottie dolewał im szampana, doszli do wniosku, że musi być starszym panem, żeby tak potulnie dać się wciągnąć w podobną sytuację.

ROZDZIAŁ 13

Na początku marca Polly przyszła do kliniki Whitneya, żeby pobrać krew od psychicznie chorej przyjętej ubiegłej nocy. Po powrocie z podróży poślubnej została w szpitalu, mając nadzieję, że jest w ciąży, gdyż nie stosowali żadnych środków. Jeśli tak, a na pewność było jeszcze za wcześnie, nie miało sensu zmieniać pracy, którą i tak musiałyby rzucić w październiku. Jim co dzień wpadał do szpitala i jadł z nią lunch w stołówce dla personelu, trzymali się za ręce pod stołem. Wieczorami przyjaciółki Polly sadzały małżonków osobno na przyjęciach bufetowych wydawanych na ich cześć. Odkąd znaleźli się w szeregach ludzi żonatych, Polly i Jim nie mieli prawa siedzieć obok siebie, lecz z talerzami na kolanach musieli siedzieć na przeciwległych końcach pokoju. Przyjęcia te, na których każdy był półstadłem i mieszkał w budynku z windą, dawały Polly głębokie poczucie dystansu. Wszystkim mężom, rzecz jasna, wiodło się znakomicie w towarzystwie ubezpieczeń od ognia, w banku czy handlu, koleżanki zaś, z wyjątkiem kilku buntowniczek - które niekoniecznie były tymi samymi buntowniczkami co na uczelni - „zdobywały pozycję w towarzystwie”. Bywały jednak wieczory, gdy obserwując i słuchając ich, Polly dochodziła do wniosku, że jest chyba jedyną osobą szczęśliwą wśród absolwentek 1933 roku.

Widziała jasno, że wiele koleżanek rozczarowało się co do swoich mężów i zazdrości dziewczynom takim jak Helena, które nie wyszły za mąż. W czerwcu przypadał ich piąty doroczny zjazd, a już były pierwsze rozwódki. Żółwie rzewnie rozmawiały o tych szybkobiegaczkach. Uważały, że tamte przynajmniej „dokonały czegoś”. Rozwód Norine - przeprowadziła go, mieszkając czasowo na rancho pod Reno, nazywała się teraz Schmittlapp-Blake - okrył ją sławą wśród dawnych vassarówek na równi z Connie Storey, obecnie modelką u Bergdorfa, lub Lily Marvin, urządzającą wystawy okienne firmy Elizabeth Arden; koleżanki te zaćmiły zupełnie biedną Binkie Barnes, organizującą zjazdy Kongresu Organizacji Przemysłowych, oraz Bubbles Purdy kształcącą się na kaznodzieję. W samej grupie tylko Libby się wybiła, Kay, ongiś tak żywotna, nie wiodła już prymu. W ubiegłym roku krążyła plotka, że ona, która pierwsza wyszła za mąż, pierwsza też się rozwiedzie, swoisty rekord. Ale Kay ciągle jeszcze harowała u Macy'ego w dziale personalnym, a Harald ciągle pisał sztuki, których nikt nie wystawiał. Pracował sporadycznie jako inspicjent lub reżyser w letnim teatryku, w godzinie potrzeby pomagali im rodzice Kay. Na bufetowych przyjęciach poglądy były podzielone na temat tego, czy Kay siedzi na karku Harald, czy na odwrót. Nikt ich jakoś ostatnio nie widywał prócz Dottie, która specjalnie się do nich wybrała w zimie, oraz Heleny, która zaprosiła ich na kolację do „Savoyu”, gdy jej rodzice bawili w Nowym Jorku. Dottie opowiadała, że Haraldowie zadają się teraz z kliką o rozwiązłych obyczajach grającą w pokera, że Kay występuje tam jako „pani Pete”, a Harald jako „pan Pete”, kobiety są starsze od Kay, mówią głębkim głosem, przeciągając sylaby, i zwracają się do wszystkich panów per „panie” bez nazwiska, nie wyłączając własnych mężów. Grają z prawem otwarcia dla rozdającego, a otwarcie kosztuje ćwierć dolara; Harald jest prawdziwym karciarzem, ale Kay jest zielona i trzyma karty tak, że każdy może do nich zajrzeć, lubi dokupywać kartę do dwóch par, licząc na fula. Helena powtórzyła Polly diagnozę swej matki, wspaniałej diagnostyczki amatorki, że Kay jest na skraju załamania nerwowego.

- Pacjentka jest bardzo uparta - uprzedziła pielęgniarka Polly na korytarzu, otwierając zamknięte na klucz drzwi pokoju chorej. - Może z nią być kłopot.

W łóżku leżała Kay. Pod jednym okiem miała ogromny siniec i ślady bicia na obu ramionach. Na widok Polly w nakrochmalonym białym kitlu wybuchnęła

gwałtownym płaczem. Polly zrozumiała, że Kay porównuje swoją sytuację z sytuacją przyjaciółki, szukała w pamięci, czy widziała już kiedy płaczącą Kay. Nie zadając pytań, aby jeszcze bardziej nie rozstroić Kay, Polly umyła jej spuchniętą twarz mokrą ściereczką. Gdy przekonała się, że wbrew ostrzeżeniu pielęgniarki Kay nie stawia żadnego oporu, wzięła z szuflady szafki torebkę Kay, wyjęła z niej grzebień i delikatnie ją uczesała. Nie podała jej lusterka z powodu sińca pod okiem. Po kilku chwilach Kay przestała szlochać i usiadła.

- Co mi będziesz robiła? - spytała z zaciekawioną, patrząc na duży cylindryczny aparat Polly.

- Podstawowe badanie przemiany materii, to wszystko. To nie boli.

- Wiem - niecierpliwie rzuciła Kay. - Nie jadłam jeszcze śniadania.

Ten wybuch do tego stopnia był w stylu Kay, że Polly się uspokoiła. Stwierdziła ze zdziwieniem, że pomimo pozorów Kay jest całkowicie sobą.

- Dostaniesz śniadanie potem. Robimy to badanie na czczo.

- Och! - wykrzyknęła Kay. - Boże, dobrze, że tu jesteś. Nie masz pojęcia, jakie okropności wyczyniali tu ze mną. - W nocy pielęgniarki zabrały jej pasek od sukni. - Nie mogę włożyć sukni bez paska. - Zabrano jej też szarfę od nocnej koszuli (- Popatrz! -) i chciały zabrać jej obrączkę, ale im nie dała. - Biłam się z nimi, dosłownie brałyśmy się za łby, ale przyszła pielęgniarka oddziałowa i kazała zostawić mi obrączkę na noc. Jeden punkt dla mnie. Potem zmusiły mnie, żebym otworzyła usta, sprawdziły, czy nie mam ruchomej protezy, choć powiedziałam, że nie. Gdybym miała, na pewno wyrwałyby mi ją z ust. Powiem ci szczerze, że miałam ogromną ochotę je ugryźć. - Roześmiała się głośno. - Żałuję, że tego nie zrobiłam. - Rzuciła Polly szybkie spojrzenie, szukając aprobaty, Polly pomyślała, że to może niestety być zły znak. Kay była dumna z walki z pielęgniarkami, jakby ciągle była studentką wojującą z dziekanem czy rektorem. Czy nie rozumie, że może jej grozić kaftan bezpieczeństwa? Jakby nie wiedziała, gdzie się znajduje. A może po prostu się wstydzi. - One pewnie myślą - ciągnęła dalej innym tonem Kay - że chcę popełnić samobójstwo. Ciągłe mnie podglądają przez szparki w drzwiach. Czy myślały, że się powieszę na pasku? I co ja mogłam zrobić z obrączką?

- Mogłaś ją połknąć - odparła Polly szybko, myśląc, że pielęgniarki postąpiłyby lepiej, wyjaśniając Kay, o co idzie. - To normalne tutaj - uśmiechnęła się. - Zabierają wszystkim paski i obrączki. Dziwię się, że ci zostawili twoją. A wszystkie sale na tym piętrze mają wizjery.

- Jak w więzieniu. Czy to się nie nazywa „judasz”? - Łzy znów napłynęły do oczu Kay. - Harald postąpił jak nikczemny zdrajca. Wsadził mnie tu i zostawił. Udawał, że to normalny szpital.

- Ale co się stało? Dlaczego tu jesteś?

- Najpierw powiedz, gdzie ja jestem.

- Nie wiesz?

- Przypuszczam, że to szpital dla wariatów. Choć pielęgniarki powtarzają w kółko: „Och, nie, kochanie. Nic podobnego. To po prostu zakład dla ludzi nerwowych, żeby mogli sobie odpocząć.” Tak strasznie się wygłupiłam w nocy, kiedy mnie tu przywieźli. Z miejsca spytałam, gdzie telefon. Miałam ochotę z kimś porozmawiać. Powiedzieli, że w salach nie ma telefonów. Więc spytałam, dlaczego. Nie powiedziały, dlaczego. Powinłam była domyślić się, ale wydało mi się, że to tylko jakiś tam oddział, ogólna sala dla biedaków, i że Harald mnie tu wsadził, żeby nie wydawać forsy, znasz go przecież. Potem poprosiłam o radio, nie chciały mi go dać. Spytałam, dlaczego. Przyznały, że to zabronione, przepisy nie pozwalają. Powiedziałam, że to bardzo dziwne, bo moja przyjaciółka właśnie w tym szpitalu urodziła dziecko w zeszłym roku i miała radio w pokoju. Że doskonale to pamiętam. - Kay uśmiechnęła się. - Musiały pomyśleć, że mam fioła. Bo jak tylko to powiedziałam, zabrały mi pasek od sukni.

- Rzeczywiście myślą, że masz fioła - Polly przerwała Kay. - Jesteś w klinice Payne'a Whitney'a. To prywatny szpital dla umysłowo chorych przy Cornell Medical Center (Ośrodku Medycznym Cornell). Na tym piętrze odbywają się przyjęcia i tu się orzeka o chorobie pacjenta.

Kay głęboko westchnęła. Zamknęła oczy.

- Świetnie. Teraz wiem. Musiałam to usłyszeć, aby uwierzyć.

- Ale jak się tu dostałaś? - delikatnie dopytywała się Polly, głaszcząc pochyloną głowę przyjaciółki.

Kay otworzyła oczy. - Uwierzysz mi? Ktoś musi mi uwierzyć.

- Oczywiście, że ci uwierzę - serdecznie zapewniła Polly. Doszła do przerażającego wniosku, że musiała zająć pomyłkę, jak się czasem zdarza w szpitalach. Petersen to nazwisko pospolite, w każdym razie jako „Peterson”, a tak właśnie napisano na karcie Kay. To byłoby straszne, gdyby Kay przyjechała z zapaleniem wyrostka robaczkowego, a umieszczono by ją tu z powodu jakiegoś zamieszania! Nie wyjaśniało to jednak sińca pod okiem.

- To sprawka Haralda - ponuro powiedziała Kay. - Bije mnie, gdy jest pijany. Kiedy to było? Wydaje mi się, że strasznie dawno temu, ale chyba wczoraj rano. Tak, wczoraj rano.

- Pił z samego rana?

- Przez całą noc. Gdy wrócił o siódmej rano, powiedziałam, że spędził noc z kobietą. Wiem, że to było głupie z mojej strony, skoro pił. Powinnam była poczekać, aż wytrzeźwieje. - Polly stłumiła śmiech, samokrytyka Kay zawsze tak wiele wyjaśniała. - Ale wpadłam chyba w lekką histerię. Poprzedniego dnia mieliśmy kilka osób na cocktailu i wszyscyśmy się trochę wstawili. Po ich wyjściu, gdy szykowałam kolację, potrzebowałam konserwowego ogórka do sosu. Więc posłałam Haralda po ogórek do delikatesów, a on nie wrócił. Wiem, że to było głupie, mogłam przecież zrobić ten sos z indyjską przyprawą. Ale w przepisie był konserwowy ogórek. No i wrócił dopiero rano. Powinnam była udawać, że śpię, teraz to rozumiem. A ja skoczyłam na niego. Powiedziałam, że spędził noc z Liz Longwell... nie znasz jej, gramy z nimi w pokera. Skończyła Bryn Mawr w 1929, a jej mąż wyjechał, prowadzi sprawę w sądzie waszyngtońskim. Na to on oświadczył, że ma dość moich brudnych myśli, i uderzył mnie. Wiesz, zobaczyłam wszystkie gwiazdy, jak w komiksach. Zrobiłam głupstwo, ale nie pozostałam mu dłużna. Więc zwałił mnie z nóg i kopnął w brzuch. Co powinnam była zrobić? Wstać i poczekać, żeby mnie jutro przeprosił? Wiem, że to właściwa technika, ale nie mam tyle cierpliwości. Skoczyłam na nogi i wybiegłam do kuchni. On poleciał za mną, a ja porwałam nóż do chleba. Umyślnie nie wzięłam noża do mięsa, bo Harald właśnie go naostrzył i nie chciałam go zbyt nastraszyć. Tylko tyle, żeby odzyskał rozum. Wymachiwałam tym nożem, krzycząc: „Nie zbliżaj się do mnie!” Wytrącił mi go z ręki. Potem wepchnął mnie do ubieralni i

zamknął na klucz. Czekałam chwilę, starałam się uspokoić, nasłuchiwałam, co on robi. W końcu usłyszałam, że chrapie. Nie pomyślał o tym, że robi się późno, a ja muszę iść do pracy. Zastukałam, potem zaczęłam walić w drzwi, poczekałam, ubrałam się i znów zaczęłam walić w drzwi. Płakałam i szlochałam. A w pokoju była martwa cisza. Przestał nawet chrapać. Nic nie widziałam przez dziurkę od klucza, bo zostawił klucz w zamku. Jakby był trupem. W końcu usłyszałam dzwonek do drzwi wejściowych. Przyszło dwóch windziarzy, pytali, co się dzieje. Harald wstał, rozmawiał z nimi przez drzwi i kazał im odejść. Ale oni słyszeli mój płacz, nie mogłam się uspokoić.

- Och, biedna Kay!

- Poczekaj. Nie wiesz, co się stało dalej. Windziarze odeszli i zaraz potem zjawiała się policja. Harald wpuścił policjantów jak gdyby nigdy nic. Położył się w ubraniu i po krótkim śnie musiał wydać się im trzeźwy, choć niosło od niego alkoholem. Weszło dwóch policjantów, pytali, co się dzieje. Byłam tak przerażona, że przestałam szlochać. Ale usłyszałam, jak Harald mówi, że próbujemy scenę ze sztuki.

- Uwierzyli? - Polly zachnęła się.

- Z początku nie. Orzekli, że chcą usłyszeć, co ja mam do powiedzenia. Harald poinformował ich, że właśnie się ubieram. I jak tylko się ubiorę, potwierdzę jego słowa. Potem zaproponował im kawę, aby ich wyciągnąć do kuchni. Nastawił kawę i posadził ich przy stole we wnęce jadalnej. Wrócił do pokoju i cicho otworzył drzwi do ubieralni. „Jesteś już gotowa, kochanie? - zawołał. - Panowie z policji chcieliby zamienić z tobą słówko.” Musiałam szybko zdecydować, co robić, wiedziałam, że on liczy na moją lojalność, ale na myśl o tym, po tym wszystkim, co mi zrobił, wpadłam w szal. Musiałam mu jednak pomóc. Przecież jest notowany na policji, choć ci dwaj zdaje się o tym nie wiedzieli. Umyłam się, mocno przypudrowałam i wyszłam z ubieralni. Nie było jeszcze widać tego sińca pod okiem. Potwierdziłam to, co mówił. Wyjaśniłam, że mąż jest dramaturgiem, a ja mam studia reżyserskie i że próbowaliśmy scenę z jego sztuki.

- I co oni na to?

- Najpierw, że to dziwna pora na próbowanie sztuki, ale powiedziałam, że mąż pracował do późna w teatrze... windziarze widzieli, kiedy wrócił... i że próbowałam rolę kobiecą przed wyjściem do pracy w sklepie. Więc chcieli zobaczyć egzemplarz.

Byłam pewna, że wpadliśmy. Ale Harald... muszę przyznać, że nie stracił głowy... wygrzebał w mgnieniu oka swoją starą sztukę z szafy. Pod koniec drugiego aktu jest tam gwałtowna scena między mężczyzną i kobietą. Podał porucznikowi sztukę otwartą na właściwej stronie i spytał, czy chce posłuchać, jak to gramy. Porucznik nie chciał. Przeczytał z pół strony, wypili kawę i wyszli, nakazując mi nie próbować więcej w domu z prywatnymi rezydencjami. „Wynajmijcie salę” - powiedział, mrugając do mnie. Harald obiecał im bilety na sztukę.

- Musiałaś sobie świetnie z tym poradzić - z podziwem wtrąciła Polly.

- Ja też tak myślałam. Ale zaraz po ich wyjściu, zamiast podziękować mi, że go uratowałam od aresztu, Harald znów zaczął mnie lżyć. Powiedział, że jak zwykle wykreciłam kota ogonem i że to on uratował mnie przed aresztowaniem. Czy mogę zaprzeczyć, że rzuciłam się na niego z rzeźnickim nożem? Powiedziałam, że to był nóż do chleba. „Mała różnica” - rzucił. A gdy powiedziałam, że ja tylko wymachiwałam tym nożem, uśmiechnął się z wyższością. „Powinnaś była widzieć swoją twarz, moja droga. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Spotkałem Mord na drodze tej, Miał twarz jak mojej żony Kay.”

- Naprawdę sparafrazował poemat Shelleya? - zdziwiła się Polly.

- Więc to było to? Tak. - Kay była dumna. - Harald jest bardzo czytany. Więc skoro nie pamiętam, powiedział, że skoczyłam na niego z nożem, to powinnam się leczyć u psychiatry, bo cierpię na zanik pamięci. No to znów się rozplakałam, na nic się nie zdało dyskutować z nim. Powinnam była pójść do pracy, zrozumieć, że jest zmęczony i jeszcze nie wytrzeźwiał. A ja ciągle płakałam, więc powiedział, że jestem histeryczką. Włożył kapelusz i płaszcz. Oświadczył, że idzie do Norine, aby się przespać kilka godzin u niej, ona mieszka jeszcze w tym samym mieszkaniu co dawniej z Putem. Powiedziałam, że jeśli do niej pójdzie, nigdy mu tego nie wybaczę, dramatycznie stanęłam w drzwiach. A on tylko przeszywał mnie wzrokiem od stóp do głów. Powiedział, że to znów atak mojej obłądnej zazdrości. Że upadłam tak nisko, aby podejrzewać swoją najlepszą przyjaciółkę. „Nic ci to nie mówi o tobie?” - pytał. I rzeczywiście, poczułam się jak nędzna kreatura, choć wcale nie podejrzewałam go, że sypia z Norine. Nigdy bym go nie posądziła o romans z Norine, ona nie jest w jego typie. Ale byłam zazdrosna o to, że tam idzie, żeby mogła trąbić na prawo i lewo, że

przyszedł do niej, bo w domu nie ma chwili spokoju. Mnie się to wydało większą zdradą niż cudzołóstwo. Ale on i tak wyszedł, mówiąc, że przyśle mi Norine, aby mnie uspokoiła... i że nie bardzo będę mogła go oskarżać o łajdaczenie się z nią, jeśli ona będzie u mnie. Nie miałam wielkiej ochoty jej widzieć, ale zgodziłam się, żeby przyszła.

Zjawiała się wkrótce, powiedziała, że Harald błagał, aby mnie uspokoiła, że jest przerażony moim stanem. Przyznałam, że to nie była nasza pierwsza kłótnia, ostatnio ciągle się kłócimy.

- Bił cię już przedtem? - poważnie spytała Polly.

- Nie. Właściwie tak, ale dawno temu i nikomu słowa nie pisałam. Norine mówiła, że powinnam pójść na parę dni do szpitala, żeby całkowicie wypocząć, bo kiedy oboje jesteśmy stłoczeni w dwóch pokojach, to w domu nie wypocznę. Zaproponowała, żebym przeniosła się do niej, jeśli wolę. Nie wolałam. Ona jest okropną gospodynią, poza tym byłby to niejako dowód, że rozeszłam się z Haraldem. Ona zrobiła herbatę i rozmawialiśmy, koło południa przyszedł Harald, przyniósł kanapki z delikatesów. Przypomniało mi to ogórek konserwowy i sos, więc znów się rozbeczałam. „Widzisz - powiedział Harald do Norine - na mój widok wybucha płaczem.” Przemilczałam sprawę ogórka, bo Norine uważałyby mnie za wariatkę, że wysyłam go do sklepu z powodu jakiegoś tam przepisu na potrawę. Ona uważa, że zanadto trzymam się przepisów kulinarnych. Rozmawialiśmy przez całe popołudnie i oni mnie przekonali, że powinnam pójść do szpitala, gdzie będę mogła odpocząć, poczytać i posłuchać radia. Że potem gdy wypocznę, będziemy mogli zdecydować, co ma być z naszym małżeństwem. Zdecydowałam się właściwie z powodu mojego ubezpieczenia na wypadek choroby. Jak tylko usłyszała, że jestem ubezpieczona w Niebieskim Krzyżu, już była przy telefonie i pytała swojego lekarza, czy to daje mi prawo do osobnego pokoju w szpitalu. Powiedział, że musiałabym tylko dopłacić różnicę. I zanim się obejrzałam, ona już załatwiła dla mnie miejsce w szpitalu Harkness. Nie chciałam tam iść, New York Hospital jest o tyle przyjemniejszy, podobał mi się pokój, w którym leżała Priss, miał żółte samodziłowe zasłony i pomalowane na czysty kolor ściany, panowała tam taka nowoczesna atmosfera. Harald powiedział, że należy mi ustąpić, więc Norine znów zatelefonowała do swojego

lekarza, który powiedział, że nie pracuje w tym szpitalu, ale może tam poprosić lekarza, żeby mnie przyjęli. Czekaliśmy, grając w trójkę w brydża, dopóki nie zatelefonowali, aby powiedzieć, że mają dla mnie pokój. Była już noc. Zapakowałam walizkę i Harald odwiózł mnie taksówką. Kiedy przyszedliśmy do głównego wejścia, telefonowali gdzieś i posłali nas do tego budynku. Myśleliśmy, że to inne skrzydło. Harald wprowadził mnie i poszedł do biura podpisać formularze, a ja czekałam w hallu. Przyszła pielęgniarka, zabrała torebkę i powiedziała, że Harald może już iść, lekarz za chwilę mnie przyjmie i będę mogła pójść do swojego pokoju.

Już się nawet cieszyłam na ten szpital, byłam okropnie wyczerpana, myślałam, jak to będzie miło dostać w łóżku cocktail mleczny, że pielęgniarki natrą mnie spirytusem i będą się mną opiekować, że nie będę musiała zrywać się rano, więc byłam zadowolona, że Harald i Norine namówili mnie na ten szpital. Pomyślałam, że może dobrze mi zrobi pomieszkać jakiś czas bez Haralda, bo on może przychodzić tu po południu, przyrządzać cocktaile jak mąż Priss, pamiętasz? Siedząc w tym hallu, dziwiłam się, dlaczego nie ma w nim sklepu z pamiątkami, stoiska z kwiatami i wypożyczalni książek, ale akurat wszedł wysoki lekarz, żeby ze mną porozmawiać. Bardzo się jakoś interesował tym moim sińcem pod okiem. Roześmiałam się i powiedziałam, że wpadłam na drzwi, ale to go nie ubawiło. Nalegał, aż w końcu oświadczyłam: „Nie powiem”. Nie widziałam powodu, żeby go wtajemniczać w to, co zaszło między Haraldem i mną. „W takim razie będziemy musieli spytać pani męża” - oświadczył. „Niech pan pyta” - powiedziałam zdziwiona, byłam ciekawa, co wymyśli Harald. Ale jego już oczywiście nie było. Doktor kazał pielęgniarce zaprowadzić mnie na górę do tego przygnębiającego pokoju, takiego obskurnego, bez łazienki, telefonu, niczego. Postanowiłam nie robić historii, ale przespać się i rano poprosić o inny pokój. Gdy myślałam o tym, pielęgniarka zaczęła mnie rewidować. Własnym oczom nie wierzyłam. Przeszukały też moją torebkę i zabrały zapalki. Powiedziały, że jeśli zechcę zapalić, będę musiała poprosić o ogień pielęgniarkę. Pytałam, co mam zrobić, jeśli będę chciała zapalić w łóżku. Oświadczyły, że to zabronione, że mogę palić tylko w hallu lub jeśli ktoś z personelu będzie ze mną w pokoju. Chciałam właśnie zapalić. Ale pielęgniarka nie pozwoliła, kazała mi natychmiast iść do łóżka. Zorientowałam się wówczas, że to nie może być normalny szpital, ale ciągle doznawałam szoku.

Postanowiłam nie dać się zastraszyć i zachowywać się jak najbardziej naturalnie. Po wyjściu pielęgniarki położyłam się i właśnie zabierałam się do przejrzenia porannej gazety, której nie miałam czasu jeszcze przeczytać, gdy światło zgasło. Powiedziałam sobie, że to pewnie żarówka, i zadzwoniłam. W końcu pielęgniarka uchyliła drzwi. Poinformowałam ją, że żarówka się przepaliła, i poprosiłam o inną. Ale okazało się, że to ona zgasła światło, kontakt jest na korytarzu. Kazałam jej zapalić światło, odmówiła. Więc zostałam w ciemności.

- To wszystko normalne - Polly ścisnęła dłoń Kay. - Na piętrze przyjąć. Dopóki psychiatra nie zbada nowego pacjenta, są bardzo ostrożni.

- Przecież doktor rozmawiał ze mną w nocy.

- To nie był właściwy psychiatra, pewnie tylko stażysta na dyżurze.

- W takim razie dlaczego tak mnie wypytywał o ten siniec pod okiem? Ciągłe nie potrafię tego zrozumieć.

- Istnieje domniemanie, że każde skaleczenie jest dziełem samego pacjenta.

Ponieważ nie chciałaś mu powiedzieć, pomyślał, że właśnie to chcesz ukryć.

- Dlaczego miałabym chcieć podsiniaczyć sobie własne oko?

- Pacjenci robią takie rzeczy. Czasem dostają sińców, rzucając się pod samochód albo skacząc ze schodów na nabrzeżu. Kiedy psychiatra będzie cię badał dziś po śniadaniu, musisz mu powiedzieć, skąd naprawdę masz ten siniec. On i tak pewnie będzie chciał usłyszeć, co Harald ma na ten temat do powiedzenia.

- Co Harald ma na ten temat do powiedzenia! - powtórzyła oburzona Kay. - A jeśli skłamię? W ogóle nie chcę żadnego psychiatry. Chcę stąd wyjść. Natychmiast!

- Nie możesz stąd wyjść. Dopóki psychiatra cię zbada. Jeśli mu wszystko opowiesz, może będzie mógł cię stąd wypuścić. Nie jestem pewna. Najlepiej będzie, jeśli od razu poprosisz Haralda, żeby przyszedł. Zadzwonię do niego zaraz po skończeniu tego badania. Obawiam się, że skoro on cię tu wsadził, będzie musiał cię stąd wyciągnąć. Inaczej będzie to długa procedura.

- Harald mnie tu wsadził? - wykrzyknęła Kay.

- Musiał to zrobić. Chyba że sama to zrobiłaś. Tak?

- Nie - rzuciła Kay bez wahania. - Więc dlatego wypełniał te formularze w kancelarii. - Oczy obu kobiet rozszerzyły się. - To znaczy - wolno powiedziała Kay -

że wiedział, co to za szpital, gdy odchodził. - Polly milczała. - Prawda? - Kay podniosła nalegająco głos. - Powiedziałam ci przed chwilą, że mnie zdradził. Ale nie mówiłam tego poważnie, przysięgam. Myślałam, że oboje uważaliśmy cen szpitala za zwykły.

- Może - wtrąciła pocieszająco Polly - Harald nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi.

- Nie - pokręciła głową Kay. - Harald nigdy niczego nie podpisuje, dopóki dokładnie nie sprawdzi, co to jest. Szczyci się tym, że zawsze sprawdza rachunki w restauracji i każe kelnerowi wytłumaczyć, co znaczy każda pozycja. Czasem miałabym ochotę zapaść się pod ziemię. W kontrakcie wynajmu czyta uwagi wypisane drobnym druczkiem. Więc wiedział. - Kay wsparła brodę na dłoni, siniec pod okiem odznaczał się ostro na jej twarzy, która powoli zbieleła jak papier. Rysy jej się zaostrzyły, wyglądała staro.

Polly spojrzała na zegarek. - Chodź - nakazała - zrobimy badanie. Potem możemy porozmawiać.

Polly potrzebowała czasu do namysłu. Gdy Kay oddychała w wielkim cylindrze, a Polly obserwowała skalę, w pokoju panowała absolutna cisza. Polly bardzo się martwiła o Kay. Przyszła jej do głowy ponura myśl, że Harald z jakiegoś powodu chciał się pozbyć Kay na jakiś czas i umyślnie ją tu wsadził, wykorzystując w tym celu Norine. A może on i Norine są kochankami i planują zagładę Kay? Ale przecież takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym życiu i nie w naszych czasach. Co by zyskali przez taki manewr? Podstawę do rozwodu? Przecież gdyby Harald chciał rozwodu, Kay na pewno nie robiłaby trudności.

Niemal gorsza była myśl, że Harald i Norine przekonali siebie, że Kay jest naprawdę obłąkana. Może wsadzili ją tu w dobrej wierze. Jeśli Harald wmawia sobie, że działa w chwalebnej intencji, to biedna Kay jest ugotowana. Polly wzdrygnęła się, przypominając sobie kuchenny nóż. Facet, który przekonałby sam siebie, że Kay jest niebezpieczna, z łatwością przekonałby o tym psychiatrę - ciężar dowodu spoczywa na pacjencie, a jak Kay może udowodnić, co chciała zrobić?

Istniała jednak inna, nie tak ponura możliwość. Przypuśćmy, że Harald nie miał zamiaru umieszczać Kay w klinice Payne'a Whitney'a, a gdy przekonał się, że trafili tu

z powodu jakiejś administracyjnej pomyłki (którą Polly będzie mogła sprawdzić), to podpisał papiery ironicznie, traktując to jako kawał. Byłoby to zupełnie w jego stylu. Polly skinęła głową. Doskonale mogła sobie wyobrazić, jak pod wpływem nagłego odruchu, chcąc zrobić kawał, zamasyżuje podpisuje papiery, unosząc przy tym złowrogo brwi i ostrzegawczo wymachując w wyobraźni palcem. Ale w takim przypadku na pewno wróci rano, aby zabrać Kay. Może już czeka na dole z bukietem, aby ją z pompą przeprowadzić do pokoju z samodzielnymi żółtymi zasłonami.

Ta myśl uspokoiła Polly. W wypadku Haralda było to najnaturalniejsze wytłumaczenie. Uśmiechnęła się. Pomyślała, że do pewnego stopnia Kay jest sama sobie winna. Gdyby zgodziła się pojechać do szpitala Harmness Pavilion, słuchałaby może w tej chwili radia, a początkująca pielęgniarka poprawiałaby jej poduszki i podawała na drugie śniadanie szklanekę soku owocowego ze słomką.

Badanie dobiegło końca. Polly nie spodziewała się tak dobrego wyniku, była rada, że może to powiedzieć Kay. Wynik był zerowy, zdarzało się to niezmiernie rzadko. Fakt ten wyjaśniał zapewne, dlaczego Kay ma tyle energii. Jej organizm znajdował się w stanie idealnej równowagi. Polly wiedziała, że to nie jest dowód zdrowia psychicznego, ale mimo to uważała, że to dobry znak. Kay zaś była wniebowzięta, jak gdyby aparat powiedział jej komplement.

- Poczekaj, aż powiem Haraldowi - cieszyła się. Nalegała, żeby Polly koniecznie mu powiedziała, że w całej swojej praktyce po raz pierwszy zetknęła się z pacjentką mającą zerowy wynik.

Gdy salowa przyniosła Kay śniadanie, Polly wymknęła się, żeby sprawdzić, czy Harald nie czeka przypadkiem na dole. Pielęgniarka powiedziała, że nie ma żadnej wiadomości.

- Proszę zadzwonić i sprawdzić - poprosiła Polly. - Pani Petersen jest moją starą przyjaciółką. - Polly wróciła do Kay.

Po chwili zjawiała się pielęgniarka.

- Nie ma, proszę pani - rzekła.

- Co nie ma? - spytała Kay.

- Nie mam pacjentki na dziesiątą według mego kalendarza - szybko skłamała Polly. Skoro Kay nie podzielała jej nadziei, nie było powodu, żeby podzielała jej rozczarowanie. - Idę zadzwonić do Haralda - powiedziała.

- Doskonale - zaaprobowała Kay, smarując grzanekę masłem. Wynik podstawowej przemiany materii jakby jej przywrócił wrodzony optymizm.

- Czujemy się dziś rano lepiej, prawda? - powiedziała pielęgniarka. - Proszę kończyć, kochanie, to pomogę pani się ubrać.

W mieszkaniu Kay nikt nie przyjął telefonu. Tym lepiej, powiedziała sobie Polly, Harald pewnie już tu jedzie. Mimo to zatelefonowała do męża i pokrótce poinformowała go, co się stało. Obiecał przyjść wcześniej i zajrzeć do Kay przed lunchem.

- Jeśli ona tu jeszcze będzie, oczywiście - dodała Polly.

- Będzie.

- Nie bądź cyniczny.

W pokoju Kay w brązowej sukni, wymagającej paska, pakowała walizkę. - Zastałaś go? - spytała.

Polly wyjaśniła, że pewnie jest w drodze do szpitala. Pielęgniarka mrugnęła do Polly.

- Pani Petersen nie podoba się u nas - żartowała. - Woli wrócić do domu do mężusia.

- Nie daję mi się spakować - powiedziała Kay do Polly. - Tłumaczę jej, że to wszystko pomyłka. Że powinnam być w New York Hospital.

Pielęgniarka słabo się uśmiechnęła. Kay nie wiedziała, że najpospolitszym złudzeniem pacjentów tego szpitala jest przekonanie, jakoby trafili tu przez pomyłkę.

- Muszę uciekać, pani doktorowo - zwróciła się pielęgniarka do Polly. - Pani doktorowa ma pracę - poinformowała Kay. - Nie powinna pani zatrzymywać jej rozmowę.

- Zostanę parę minut - powiedziała Polly, broniąc Kay. - Jej mąż przyjedzie ją stąd zabrać.

- Ach tak! - pielęgniarka lekko się skrzywiła. Najwyraźniej uważała, że Polly źle robi, podtrzymując fałszywe nadzieje pacjentki.

- Myślisz, że on naprawdę przyjedzie? - spytała Kay, gdy zostały same.

- Oczywiście. - Polly zapaliła papierosy dla siebie i Kay. Obie spojrzęły na zegarki.

- Powinien tu być za piętnaście minut - stwierdziła Kay. - Jeśli wyszedł, właśnie gdy telefonowałam.

- Dwadzieścia - powiedziała Polly. - Od autobusu jest pięć minut drogi.

- Może wziął taksówkę.

Palily. Kay straciła ochotę do rozmowy, a usiłowania Polly, aby skierować rozmowę na uboczne tematy, nie powiodły się. Obie myślały o Haraldzie, hipnotyzowały go, żeby szybciej przyjechał. Kay zabrała się do czytania artykułu Luciusa Beebe'a we wczorajszej gazecie.

- Harald go zna - powiedziała. Usłyszały krzyki dochodzące z końca korytarza i bieganinę tłumioną gumowymi podeszwami. - Boże! - krzyknęła Kay.

- To nic - uspokoiła ją Polly. - Jakaś pacjentka „podnieciła się”, to wszystko. Pielęgniarki się nią zajmą.

- Co zrobią?

- Poślą ją na górę. Sale dla furiatów są na szóstym i siódmym piętrze. Jeżeli pacjentka w izolatce wykazuje poprawę, przenoszą ją na to piętro na próbę, żeby sprawdzić, jak się zachowa wśród innych pacjentek. Bardzo często jednak trzeba taką stąd zabrać. To pewnie stało się teraz. - Słysząc było szamotanie.

- Nałożą jej kaftan? - spytała Kay.

- Jeśli to będzie konieczne.

Nasłuchiwały. Ktoś zaczął wyc jak pies w pobliżu pokoju Kay. Przybiegło więcej ludzi, Polly rozróżniła cięższe kroki lekarza lub pielęgniarza z piętra furiatów. Kay przywarła do Polly. Usłyszały rozkaz wydany męskim głosem. Potem zapadła cisza.

- Mają tu cele wytapetowane materacami? - szepnęła Kay.

- Tak. Chyba tak. Nigdy nie byłam na górze. - Polly była wściekła ze względu na Kay, że to się musiało przydarzyć akurat teraz. Jim miał rację, krytykując szpital za to, co nazywał domem wariatów na piętrze przyjąć; to nieludzkie umieszczać ciężko chorych obok ludzi znajdujących się na chwiejnej granicy między zdrowiem

psychicznym i obłędem. Nowi pacjenci z nieznacznym załamaniem nerwowym lub też bardzo młodzi, dzieci niemal, byli przerażeni tym, co słyszeli i widzieli w pierwszych dniach pobytu w tym szpitalu. Polly miała oto naoczny przykład tego stanu rzeczy, Kay ciągle jeszcze drżała.

- Pamiętam, jak zwiedzałyśmy na studiach państwowy zakład dla umysłowo chorych - powiedziała. - Nie przypuszczałam wtedy... -

Oczy jej zasły łzami, nie dokończyła zdania. - Polly - podjęła - a jeśli on im powie, że jestem pomyłona?

Haralda jeszcze nie było, gdy po upływie pół godziny Polly musiała iść. Pielęgniarka zawiadomiła ją, że jest potrzebna w głównym budynku do wykonania badania krwi.

- Idź - rzekła Kay. - Nic mi nie będzie. Mam coś do czytania.

- Żałuję, że nie mogę ci zostawić zapalek - powiedziała Polly, ociągając się z wyjściem. - Ale nie chcę cię narazić na przykrości... Gdyby nadszedł psychiatra... - Urwała. Chciała powiedzieć: „Uważaj!”, ale dodała: - Nie martw się. Cokolwiek się stanie, Jim będzie tu przed lunchem.

Kay skinęła głową z nieprzekonującym uśmiechem. Patrzyła, jak Polly układa instrumenty.

- Idź - nakazała. - Na co czekasz?

Polly wypchnęła stolik na kółkach za drzwi. Korytarz był pusty. Wszystkie drzwi były otwarte, pacjentki odbywały pewnie gimnastykę poranną. Nie było rady, musiała się zastosować do przepisów, lecz czuła się z tego powodu potwornie. „Zalim ja jest stróżem siostry mojej?”* - powiedziało jej sumienie. Jak brzmi cytat z *Piekle* Dantego, który recytował jej ojciec, gdy go wsadzili do szpitala Riggsa? „*E to senti chiavar l'uscio di sotto / all'orribile torre...*” Wzięła klucz i zamknęła drzwi pokoju Kay.

* *Genesis 4, 9: „Zalim ja jestem stróżem brata mego?”*

Kay usłyszała obracający się klucz w drzwiach i wiedziała, że Polly ją zamknęła. Nie miała do niej żalu. Nie miała nawet żalu do perfidnego Haralda.

Przypuszczała, że Polly będzie się starała do niego dodzwonić. Straciła jednak nadzieję, że go złapie. Prawdopodobnie nie nocował w domu, jest z jakąś kobietą. I nie sądziła, że zjawi się w szpitalu. To, czego przez pięć lat tak panicznie się bała, stało się - odszedł od niej. Nie tak, jak to robią inni mężowie, po długich rozmowach i podziale mebli. Zawsze wiedziała, że pewnego dnia Harald po prostu zniknie. Ani ona, ani jego rodzice, ani nikt z jego znajomych nie zobaczy go więcej. Wyłoni się jak łódź podwodna gdzieś na środkowym zachodzie lub w Ameryce Południowej jako kto inny. Od początku był dla niej tajemniczy i tajemniczo rozplynie się w powietrzu. Zostawić ją w szpitalu dla wariatów, jak złodzieje zostawiają związanego człowieka w szafie ściiennej - oto coś, co sprawiłoby mu rozkosz. Przypuszczała, że kiedyś będzie musiała wystąpić do sądu o uznanie go za zmarłego, i to też sprawi mu rozkosz. Słyszała w wyobraźni jego śmiech, podobny do piania koguta na filmach Pathe, rozlegający się z czterech stron świata. I do końca życia nigdy się nie dowie, czy ją zdradzał. Nie zazna nawet tej ostatniej satysfakcji. Jedynym jego celem jest pozbawić ją wszystkiego i zadreńczyć. Chciała przywiązać go rzeczami, ale wymknął się jak magik Houdini. Jeśli ją rzuci, nie zabierze nawet maszyny do pisania, którą podarowała mu na Gwiazdkę, bo dostała ją po niższej cenie. I jeszcze inna sprawa. Wie, że go ubóstwia i pragnie, by zdobył sławę, ale jakby umyślnie krzyżuje jej plany. Czasem zdawało jej się, że on odwleka swój sukces do momentu, kiedy ona straci cierpliwość; a jak tylko ona straci nadzieję i porzuci go, jego nazwisko będzie z niej kpiło z wielkich neonowych reklam.

Naprawdę już myślała o odejściu od niego. W zeszłym roku Norine wbiła sobie do głowy, żeby ona i Harald pojechali autostopem do Reno. Norine twierdziła, że jeśli Kay da Haraldowi wolność, wyzwoli to jego siły twórcze. Pomysł ten nawet przemawiał do Kay jako wspaniała ofiara, aczkolwiek twierdziła, że powinni jechać pociągiem. Nic nie powiedziała Haraldowi ze strachu, że się zgodzi, co pozbawiłoby projekt całego smaku. I pewnego wieczora, gdy mieli gości, powiedział:

- Podobno zamierzasz się ze mną rozwieść.

I znów nie wiedziała, czy byłby przeciwny, czy nie. Miał taką minę, jakby go to skrycie bawiło, ale nie mogła z niego wyciągnąć, co w tym tak zabawnego, jeśli to rzeczywiście śmieszne, że ona chce się z nim rozwieść.

Prawdopodobnie nie traktował tego poważnie, przekonany, że ona go kocha. Mylił się. Kochała go z początku, jak przypuszczała, ale tak długo zadreśla ją niepewnością, że prawdę mówiąc, nie wiedziała już nawet, czy go chociaż lubi. Gdyby była go pewna, dowiedziałaby się chyba. Nigdy jednak przez dłuższy czas nie miała spokoju, żeby móc się zorientować. Czasem myślała, że on trzyma ją w niepewności, gdyż boi się, iż inaczej przestanie ją pociągać - nauczył się tego z jakiegoś podręcznika, jak owej porady z tabliczką mnożenia. Mogła mu powiedzieć, że pociągałby ją znacznie bardziej, gdyby mogła mu wierzyć. Nie można kochać mężczyzny, który ciągle bawi się z kobietą w ciuciubabkę - oto czego ona się nauczyła.

Wobec tego, mógłby powiedzieć Harald, nad czym ona tak boleje? Dlaczego czuje w tej chwili, jakby jej złamano serce? Starła się odpowiedzieć sobie na to pytanie. Doszła do wniosku, że boleje nad utratą Haralda, jakiego nigdy nie było, nie nad utratą prawdziwego Haralda. Lecz tracąc prawdziwego, który nie jest znów niczym specjalnym, traci jedyne ogniwo łączące ją z Haraldem, jakiego nigdy nie było. W takim przypadku będzie to naprawdę koniec jej marzenia. Leżała na łóżku, myśląc. Było jeszcze coś. Zawsze gardziła przegranymi ludźmi, więc jeśli Harald ją porzucił, ona jest przegrana.

O pół do dwunastej ktoś zapukał do drzwi. Przyszedł młody psychiatra w okularach, aby z nią porozmawiać.

- Spodziewaliśmy się zobaczyć dziś rano pana Petersena - powiedział z miną wyrażającą dezaprobatę, tak że Kay poczuła, iż powinna go przeprosić. Robił notatki, gdy opowiadała mu, co zaszło.

Gdy zdyszana skończyła i czekała na jego werdykt, milczał przez kilka chwil, przerzucając kartki notatnika.

- Dlaczego przywiązuje pani taką wagę do paska od sukni? - spytał nieoczekiwanie. - Nocne pielęgniarki zameldowały, że pani stała się bardzo niesforna, gdy zażądały od pani paska. I mam tu zapisane, że mówiła pani też o tym do pani Ridgeley i pani Burke, dziennej pielęgniarki.

- Polly powiedziała to panu? - wykrzyknęła Kay dotknięta do żywego i zdziwiona.

- Pani Ridgeley pytała, czy nie moglibyśmy wyjątkowo zwrócić pani paska. Ale pani Ridgeley powinna wiedzieć, że nie możemy robić wyjątków, dopóki nie porozmawiamy z pani mężem. - Lekarz znów spojrział na Kay z wyrzutem, jak gdyby to była jej wina, że Harald nie przychodzi.

- To nie moja wina... - zaczęła.

- Chwileczkę - przerwał jej lekarz. - Widzę, że użyła pani określenia „jego wina”, „moja wina” i tym podobnych trzydzieści siedem razy w trakcie naszej rozmowy. Proszę mi powiedzieć, co pani o tym sądzi?

- Nie rozumiem - Kay osłupiała. - Obiecano mi, że po wizycie psychiatry będę mogła się przenieść do normalnego szpitala.

- Nikt nie mógł autorytatywnie dać pani podobnej obietnicy - ostro wtrącił lekarz. - Obawiam się, że to pani własna fantazja.

Kay oblała się rumieńcem, prawda, że Polly powiedziała tylko „może”. Psychiatra zmarszczył brwi, patrząc na walizkę Kay.

- Chciałem uniknąć tej dyskusji - powiedział. - Nic nie da ani pani, ani mnie tak długo, jak pani jest w stanie wzburzenia emocjonalnego i nie ma jasnego sądu. W tej chwili nie jest pani zdolna do powzięcia ważnej życiowej decyzji. Ma pani podsiniaczone oko i twierdzi, że to mąż panią uderzył. Nie mam możliwości sprawdzenia, czy to prawda. My tu w każdym razie jesteśmy lepiej wyposażeni do zaopiekowania się panią niż szpital naprzeciwno. Wygląda na to, że fizycznie nic pani nie dolega prócz podsiniaczonego oka. Później zrobimy szereg badań, żeby się co do tego upewnić, zostanie pani dokładnie przebadana medycznie i stomatologicznie. Wydaje się, że cieszy się pani dobrym zdrowiem. Normalny szpital jest przeznaczony dla ludzi chorych cieleśnie. Nie jest domem wypoczynkowym ani sanatorium. Jeśli pani sądzi, że nie potrzebuje kuracji psychiatrycznej, może pani wrócić do domu lub pójść do hotelu.

- Dobrze, pójdę do hotelu - szybko odparła Kay.

- Nie tak szybko - lekarz podniósł palec. - Jeśli pani mąż wyrazi zgodę. Będę z panią szczerzy. Nie może pani stąd wyjść, dopóki nie porozmawiamy z panem Petersenem. On panią wczoraj w nocy tu przywiózł i bylibyśmy winni niedbalstwa, wypuszczając panią na jej własną prośbę. Przecież my nic o pani nie wiemy. I jak pani

sama przyznaje, groziła pani mężowi nożem. - Kay otworzyła usta. - Nie twierdę, że pani jest niebezpieczna - nie dopuścił jej do słowa lekarz. - Gdybyśmy tak sądzili, byłaby pani na którymś z pięter dla furiatów. Jest tu pani dla własnego dobra, proszę mi wierzyć.

- A jeśli Harald w ogóle nie przyjdzie?

- To wydaje się wysoce nieprawdopodobne - uśmiechnął się lekarz. - Niech pani nie wymyśla sobie zmartwień. Ale odpowiem na pani pytanie. W takim przypadku ordynator po dokładnym zbadaniu pani może panią wypuścić, jeśli będzie to uważał za wskazane.

- A jeśli Harald będzie nalegał, abym tu została?

- Sądzę, że państwo przy naszej pomocy dojdziecie do zgody w sprawie dalszego postępowania.

- Ale przypuśćmy, że Harald zaprzeczy temu, co panu opowiedziałam - zauważyła Kay, której słowa lekarza zmroziły krew w żyłach.

- Mamy doświadczenie w dochodzeniu do prawdy.

- I jeśli uwierzycie mnie, a nie jemu, to mnie wypuścicie?

- W takim przypadku ordynator może panią wypuścić.

- Chcę porozmawiać z ordynatorem.

- Doktor Jansen zobaczy panią we właściwym czasie.

- Kiedy?

- Jest pani z całą pewnością stanowczą kobietą.

- Zawsze taka byłam. Niech pan powie uczciwie: uważa mnie pan za obłąkaną?

- Szczerze mówiąc - odparł lekarz po namyśle - zrobiła pani na mnie dodatnie wrażenie. - Kay rozpromieniła się. - Nie znaczy to - ostrzegł ją lekarz - że nie ma pani ostrych zakłóceń emocjonalnych. Prawdopodobnie natury histerycznej. Radzę pani się uspokoić. Proszę zjeść dobry lunch i zapoznać się z innymi pacjentkami. Zobaczy pani, że niektóre z nich są bardzo ciekawe. I też pochodzą z dobrych rodzin. Niektóre są wysoce kulturalne. Po południu może pani się poddać hydroterapii, spodoba się to pani. I może pani pójść na lekcję rysunku czy tkactwa. Lubi pani pracę ręczną? - Kay lubiła, ale się do tego nie przyznała.

- Przedszkole - zauważyła wzgardliwie.

- Nasze inne pacjentki... - zaczął lekarz.

- Nie jestem waszą inną pacjentką - przerwała mu Kay.

- Do widzenia - powiedział lekarz chłodno. Kay nie chciała być taka nieuprzejma. Lekarz zamknął notatnik. - Gdy przyjdzie pani mąż, będę rad z nim porozmawiać. Zobaczę panią jutro.

- Jutro?

- Będę usilnie zalecał, aby pani pozostała w szpitalu przynajmniej na jeszcze jedną noc. Nawet jeśli rozmowa okaże się całkowicie zadowalająca. - Wyciągnął z kieszeni białego fartucha metalowy drażek. - Przepraszam - uderzył Kay w kolano. Jej noga podskoczyła. - Pani odruchy są normalne, jak przypuszczałem. - Podał Kay rękę. - I jeszcze coś: pani Ridgeley bardzo się martwi o panią. Wyraziłem zgodę, żeby doktor Ridgeley zobaczył się z panią, gdy tu będzie. - Lekarz szybko wyszedł.

Gdy Ridgeley przyszedł, Kay była w jadalni z innymi pacjentkami. Psychiatra wydał zarządzenie, że może się do nich przyłączyć w hallu przed lunchem. Natychmiast wybuchła sprzeczka na temat tego, kto ma siedzieć koło Kay przy stole, dyżurna pielęgniarka rozstrzygnęła spór, sadowiając Kay między siwą kobietą mówiącą, że cierpi na depresję maniackalną, i ładną dziewczyną w wieku Kay, ta znów poinformowała, że przywieziono ją tu w kaftanie bezpieczeństwa.

- Długo byłam na szóstym piętrze - zwierzyła się. - Teraz czuję się lepiej. Wkrótce mąż zabierze mnie do domu.

Słyszając to, jakaś płowowłosa dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- Ona nie ma męża - szepnęła siwowłosa do Kay. - Porzucił ją.

Naprzeciw Kay przy okrągłym stole siedziała katatoniczka ostrzyżona po męsku i tylko jej twarz pozostała całkowicie nieruchoma, gdy Kay, odpowiadając na pytanie, oznajmiła, że znalazła się tu przez pomyłkę. Niektóre się roześmiały, inne były zaniepokojone.

- Nie powinnaś tak mówić - szepnęła ładna dziewczyna - nawet jeśli to prawda. Nigdy cię nie wypuszczą, jeśli będziesz tak mówiła. Mogą nawet posłać cię z powrotem na szóste piętro.

W tym momencie Ridgeley wsunął głowę do jadalni.

- Jak się masz, Kay - powiedział. Obejrzał kobiety jedzące zupę, skinął głową tym, które znał. Był zły i zmarszczony. - Proszę kazać przynieść lunch pani Petersen do jej pokoju - powiedział do pielęgniarki nadzorującej stół Kay. - Chciałbym z nią porozmawiać.

- To niesprawiedliwe! - krzyknęła płowowłosa.

- Doktoru mój najśladzszy - odezwała się jakaś tęga kobieta, błaznując - dlaczego mnie porzuciłeś?

Ridgeley szybko przeszedł razem z Kay do jej pokoju.

- To zbrodnia - powiedział. - Nie mają podstaw, żeby cię tu trzymać. -

Wyjaśnił, że się spóźnił, bo kłócił się z psychiatrą, który badał Kay.

- I co powiedział?

- Krótko mówiąc, że nie może brać na siebie odpowiedzialności za wypuszczenie ciebie. Chce to zwalić na Haralda, którego oczywiście nie można znaleźć.

- Próbowalesz?

- Polly szukała go przez cały ranek. W końcu wysłała mu telegram. Jeśli się nie pokaże dziś po południu, zawiadomię policję.

Wściekłość Ridgeleya zadziwiła Kay i sprawiła jej przyjemność, zapomniała już, co to znaczy mieć obrońcę. Ostatnim jej obrońcą był tatusiek w domu.

- Hm - odezwał się Ridgeley - nie będzie łatwo cię stąd wydostać bez pomocy Haralda. Gdybym jeszcze był w tym szpitalu, postarałbym się to załatwić. Ale nie jestem i moje odejście nie było mile widziane. Oni tu są formalistami. Przypuszczam, że Harald mógłby ich zaskarżyć do sądu, gdyby cię wypuścili i ty byś go zamordowała. - Roześmiał się. - Takie są ich argumenty. Poczciwy Jansen to pedant. Nie potrafią zrozumieć, że zakład dla umysłowo chorych nie jest właściwym miejscem dla zdenerwowanej kobiety. Oni świetnie się tu czują. - Przyjrzał się Kay. - Gdyby nie podsiniaczone oko, wyprowadziłbym cię stąd jako odwiedzającą.

Kay przerażona podniosła oczy znad tacy z jedzeniem, miała silne poczucie praworządności.

- Polly mówiła, że jesteś impulsywny - wtrąciła.

- Zastanówmy się - Ridgeley skinął głową. - Twój ojciec jest lekarzem, prawda?

- Ortopedą i lekarzem ogólnym.

- A gdybym tak zatelefonował do niego? Mógłby złapać pociąg dziś wieczór. Na pewno wypuściliby cię pod jego opiekę.

- Podróż trwa trzy dni - oponowała Kay. - I nie zniosłabym tego, żeby tatusiek się dowiedział. Gdyby pomyślał, że jestem w takim zakładzie... - Łzy znów napłynęły Kay do oczu. - Albo gdyby się dowiedział o podsiniaczonym oku i policji... To by go zabiło. On myśli, że moje małżeństwo jest bardzo szczęśliwe, i uwielbia Haralda.

- Z daleka, jak sądzę - sucho skomentował Ridgeley.

- Zawsze byłam ulubienicą tatuśka - ciągnęła dalej Kay, ocierając oczy. - Ufa mi bezgranicznie. I sprawiłam, że uwierzył w Haralda.

- Co w nim jest godnego wierzenia? - spytał Ridgeley, wyglądając przez małe zakratowane okienko.

- Przecież jest geniuszem. To znaczy, gdybyś znał teatr... - Po chwili podjęła: - Czy Polly nie uważa go za geniusza? - spytała zaniepokojona.

- Nie mówiła mi tego. - Ridgeley odwrócił się i spojrzał na Kay. - Wiesz, mam wątpliwości, czy na pewnym punkcie jesteś normalna.

- Na punkcie Haralda - powiedziała cicho.

- Przypuszczam, że go kochasz - Ridgeley westchnął.

- To brzmi bardziej interesująco - szczerze powiedziała Kay. - Ale nie sądzę, abym go kochała. Powiedziałabym nawet, że go w jakiś sposób nienawidzę.

- A to znów brzmi orzeźwiająco. Ledwie znam faceta, oczywiście. Ale skoro go nienawidzisz?

- Dlaczego od niego nie odejdę? - Jednym z powodów, dla których Kay nigdy nie zwierzała się ze swoich trosk, był strach przed odpowiedzią na to pytanie. Może psychiatra mógłby to wyjaśnić. - Nie umiem tego wytłumaczyć - dodała smutno. - Myślisz, że jestem masochistką?

- Nie - uśmiechnął się Ridgeley. - Nawet Hopper, ten psychiatra, który rozmawiał z tobą, był uderzony twoim „brakiem wzburzenia” wobec okrucieństwa twego męża.

- Więc uwierzył mi! - wykrzyknęła Kay.

- Przywiązujesz do tego wielką wagę - współczująco zauważył Ridgeley. -

Kłamałaś dawniej?

- Okropnie. Ale tylko, żeby sobie dodać odwagi. Albo żeby dostać coś, czego pragnęłam.

- Ale nigdy nie świadczyłaś fałszywie przeciw swoim bliźnim?

- Och, nie! - wykrzyknęła Kay zgorziona. - Poprawiłam się. Spytaj Polly.

Rzecz w tym, mogę ci to powiedzieć, że Harald nie jest zbyt prawdomówny. Poczułam wstręt do tego. Może to tylko wstręt do Haralda.

- Uważasz, że twoje małżeństwo jest niepoważne?

- Jak się domyśliłeś? - Kay spojrzała Ridgeleyowi prosto w oczy. - Chyba tak.

Czy dlatego nie potrafię z tym skończyć? Gdybym z tym skończyła, wszyscy wiedzieliby, że mi nie wyszło. Nie zdajesz sobie sprawy, Jim, że jestem legendarną postacią w Salt Lake City. „Dziewczyną, która wyjechała na Wschód i zdobyła świat.”

- Zdobyła świat?

- Poślubiając Haralda. Człowieka teatru. To brzmi tak olśniewająco dla mamus i tatusiów moich koleżanek szkolnych. Widzisz, chciałam zostać reżyserem. Lub aktorką. Ale nie mam naprawdę talentu. Na tym polega moja tragedia.

- Słuchaj - Ridgeley spojrzał na zegarek. - Wszyscy są przy lunchu. Spróbuję cię stąd wyszmuglować. Nikt nie wie, że jesteś pacjentką, prócz personelu tego piętra. Przejdiesz ze mną przez hall do windy. Jeśli napatoczymy się na pielęgniarkę, to trudno, przekażę jej ciebie. Ale jeśli nie, to się stąd wydostaniemy. Windziarze to moi przyjaciele. Będziesz musiała zostawić tu walizkę. Polly przyniesie ci ją później. Gdzie masz płaszcz? Ja go będę niósł do windy.

Metodyczną z natury Kay zirytowała ta nagła zmiana tematu, bo kiedy już się zdobyła na mówienie o Haraldzie, chciała kontynuować tę rozmowę. Na chwilę porwał ją zapal Jima. Pomyślała, że Polly ma szczęście, jej mąż jest prawdziwym błędnym rycerzem.

- Nie mogę się na to zgodzić - rzekła. - Mogliby cię za to zdyskwalifikować.

Dostaliby szalu, widząc, że mnie nie ma.

- Bzdura. Byliby zadowoleni i wdzięczni za *fait accompli*. Poza tym możemy im zasugerować, że zapomniałem cię zamknąć i wyszłaś bez mojej pomocy.

Kay skrzywiła się. Nie uśmiechała jej się perspektywa poniesienia winy za coś, co było wyłącznie jego pomysłem. To jedna rzecz zostać publicznie zwolnioną, a inna figurować w szpitalnych kartotekach jako wariatka, która uciekła.

- Nie - powiedziała sztywno. - Nie chcę uciekać. Chcę stąd wyjść całkowicie oczyszczona. Żeby szpital uznał swoją pomyłkę.

- Nie znasz szpitali. - Ridgeley przekonał się, że jej nie namówi. Kay natomiast obawiała się, że sprawiła mu zawód, ale czy Polly zgodziłaby się na ucieczkę, będąc na jej miejscu? Mocno w to wątpiła.

Ridgeley wstał, miał zawiedzioną minę. Kay zorientowała się, że jest człowiekiem czynu.

- Postaramy się przynajmniej, aby cię przenieśli na inne piętro - powiedział, zaciskając szczęki. Wyjaśnił, że w szpitalu obowiązuje system awansów. Pacjenci awansują, przechodząc z wyższego piętra na niższe. Uprzywilejowani, których uznano za „rekonwalescentów”, czyli niemal gotowych do opuszczenia szpitala, znajdowali się na trzecim piętrze, podobnym bardziej do internatu niż szpitala. Okna nie były zakratowane, pacjentek nie zamykano na klucz, mogły mieć paski do sukien i obrączki, miały ustalone godziny odwiedzin, mogły gasić światło, kiedy chciały, i tylko - zupełnie jak w college'u - nie wolno im było palić w pokoju.

Słyszając o tych przywilejach, Kay nabrała otuchy.

- Myślisz, że naprawdę potrafisz dopiąć tego, aby mnie przeniesiono na trzecie piętro?

- Dziś po południu, pod warunkiem że mają tam wolne łóżko.

- Chcesz powiedzieć, że mogłabym przeskoczyć czwarte piętro? Czy to dozwolone?

- Zwykle nie. Ale to nie jest zwykły przypadek, prawda?

Kay uśmiechnęła się radośnie. Wyznała, że w szkole zawsze chciała przeskoczyć jedną klasę.

Istotnie nie minęło pół godziny, gdy przyszła pielęgniarka, żeby ją przenieść na trzecie piętro. Inne pacjentki z jej piętra odbywały niestety poobiednią drzemkę i nie

mogły widzieć, jak się przeprowadza. Kay usiłowała delektować się swoim zwycięstwem, lecz myślała ze współczuciem o tych, które zostały na tym piętze i które będą prawdopodobnie musiały czekać miesiącami na podwójny awans, ona zaś otrzymała go w jeden dzień. Nie potrafiła jednak nie pysznić się tym, przechodząc korytarzem. Tylko myśl o ładnej dziewczynie zakłócała jej radość.

Nowy pokój okazał się o wiele miłszy, choć i tu nie było telefonu, a ściany były w kolorze urzędowego beżu. Wyjmując z walizki przybory toaletowe, pomyślała, że nie miałyby nic przeciw pozostaniu tu, pod warunkiem że uznano by ją za zupełnie normalną. Na czwartą po południu wyznaczono jej badanie ogólne, a jutro miał ją zbadać ginekolog. I to wszystko „bez dopłaty”, jak poinformowała ją nowa pielęgniarka, która wpadła zaznajomić się z Kay. O piątej będzie hydroterapia. Pacjentki miały mnóstwo zajęć w ciągu dnia, ale wieczorem grały w brydża, do czasu gdy dostawały gorącą czekoladę lub owałtynę przed snem. Miały stół do ping-ponga, dwa razy w tygodniu pokazywano filmy, na które przyprowadzano też pacjentów mężczyzn. W szpitalu był salon piękności, a od czasu do czasu urządzano wieczorki taneczne. Kay wyznała szczerze, że ciarki by ją przeszły, gdyby musiała tańczyć z pacjentem. Pielęgniarka przyznała jej rację, ale dodała, że kobiety są urocze, będzie jej bardzo smutno, gdy pójdą do domu.

Przed samą kolacją powiadomiono Kay, że przyszedł Harald. Natychmiast zaczęła się trząść.

- Nie musi się pani z nim widzieć, kochanie, jeśli pani nie ma ochoty - powiedziała pielęgniarka.

Ale Kay oświadczyła, że jest gotowa go zobaczyć. Przyrzekła sobie nie płakać i nie oskarżać go, jednakże z miejsca napadła na niego:

- Gdzie się podziewałeś?

W odpowiedzi Harald podał jej pudło z kwiaciarni Goldfarba z dwiema czerwonymi kameliami, jej ukochanym kwiatem. Nie przychodził, bo nie mógł spojrzeć jej w oczy po tym, co zrobił. Chodził po mieście. Oglądał świt nad East River i przez cały dzień błąkał się po ulicach, myśląc o niej.

Kay stłumiła chęć uwierzenia mu. Powiedziała sobie, że nastął dzień porachunków, nie powinna dać się przekupić dwiema kameliami.

- Wsadziłeś mnie do domu wariatów - powiedziała. - Prawda? - Harald nie zaprzeczył. - Jak mogłeś? Jak mogłeś?

- Wiem - wyjąkał. - Wiem. - Nie potrafił wyjaśnić, co go do tego skłoniło. - Byłem zmęczony. Zaszła oczywista pomyłka co do szpitala. Ale stało się i było za późno. Gdybym nie podpisał tych papierów, nie miałbym gdzie cię umieścić. Tu był dla ciebie zarezerwowany pokój. Twierdzili, że to czysta formalność. Diabeł we mnie uwierzył w to, w co chciał uwierzyć. Ha! - Po wyjściu ze szpitala wstąpił do baru, potem wrócił do domu i przespał kilka godzin dzięki alkoholowi. Stojąc na moło nad North River zastanawiał się, czy nie zaciągnąć się jako marynarz na frachtowiec i nie zniknąć na zawsze gdzieś w strefie Kanału Panamskiego lub w Australii.

- Wiedziałaś! - krzyknęła Kay.

Potem poszedł do zoo w Bronx i obserwował małpy, swoich przodków, w pawilonie dla małp, następnie wrócił na Wall Street i przyglądał się świetlnym taśmom wiadomości giełdowych. Podniósł prawą nogę i pokazał dziurę w podeszwie. W końcu pojechał koleją podziemną na Pięćdziesiątą Dziewiątą ulicę, poszedł do kwiaciarni Goldfarba i oto jest.

- Jadłeś coś? - Pokręcił głową. - Rozmawiałeś z lekarzem?

- Tak, moja biedna dziewczyno, wypowiadałem się ze wszystkiego. Możesz stąd wyjść, kiedy tylko zechcesz. *Mea culpa*. - Milczał chwilę. - Psychiatra mówił mi, że nie chciałaś zdjąć obrączki. - Ujął jej rękę i delikatnie przyłożył usta do złotawosrebrnego kółka. - Uznałem to za znak, że może mi kiedyś wybaczysz. Czy się mylę?

Były to najżałośniejsze przeprosiny, jakie kiedykolwiek usłyszała z ust Haralda, własnym uszom nie wierzyła. Niemal warto było trafić do domu wariatów, aby to usłyszeć.

- Dziś wieczór? Mogę wyjść dziś wieczór?

- Jeśli chcesz. I nie jesteś zbyt zmęczona.

Kay zawahała się. Przypomniała sobie, że jutro ma ją zbadać ginekolog. Poza tym była ciekawa innych pacjentek. Skoro już tu jest, szkoda by było w pewnym sensie nie posiedzieć trochę dłużej.

- Dziś rano widziałam katatoniczną schizofreniczkę - rzekła. - Siedziałam naprzeciw niej przy lunchu. To było fascynujące. Była zupełnie sztywna, musiano ją karmić jak lalkę. A koło mnie siedziała ładna dziewczyna wyglądająca całkiem normalnie, ale przywieźli ją tu w kaftanie bezpieczeństwa. Podobałam się jej. Kłóciły się, która ma siedzieć koło mnie. Jak gdybym była nową uczennicą w szkole.

- Co jeszcze robiłaś? - Harald uśmiechnął się.

- Miałam hydroterapię. I badania lekarskie. Rozmawiałam z mężem Polly. - Poczula, że się rumieni. - Chciał, żebym stąd uciekła. I, och, muszę ci opowiedzieć o mojej przemianie materii...

Harald słuchał, ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

- Kolacja za pięć minut, pani Petersen. Kay i Harald wzdrygnęli się.

- Co mam robić? - spytała Kay. Na myśl o powrocie do domu poczuła jakiś nieokreślony zawód, jak gdyby miała za wcześnie wyjść z przyjęcia.

- Chciałabyś tu zostać do rana?

Kay zastanawiała się. Nie chciała ranić jego uczuć.

- Zgodziliśmy się, że potrzebujesz wypoczynku, pamiętasz? - odezwał się Harald zachęcająco. - Nie możesz wracać do pracy, dopóki twoje biedne oko się nie zgoi. I przecież poprosiłaś o tydzień urlopu zdrowotnego.

- Wiem.

- Twoje ubezpieczenie w Niebieskim Krzyżu pokrywa opłatę w szpitalach psychiatrycznych. Zadałem sobie trud, aby to sprawdzić w ich biurze. Na twoim miejscu pozostałbym tu przez tydzień, dwa. Możesz co dzień porozmawiać z psychiatrą. To wchodzi w zakres kuracji. Z twoją wiedzą w dziedzinie psychologii powinno ci to dużo dać. Obserwując tutejsze kobiety, zdobędziesz narzędzie do pracy w dziale personalnym magazynu. A może też lepiej zrozumiesz samą siebie.

- Ale mnie nic nie jest. Myślałam, że to zostało ustalone. - Chęć Kay pozostania w szpitalu gwałtownie zmaląła, gdy on to zaproponował. - Jim Ridgeley powiedział, że to zbrodnia trzymać mnie tu - rzuciła porywczo.

- Och, błagam, żadnych wyrzutów! Jeśli nie potrafisz mi wybaczyć, powiedz to po prostu, a ja sobie pójdę.

Kay pohamowała się, nie chciała go wypędzać.

- Zostanę - powiedziała ostrożnie - pod warunkiem jasnego postawienia sprawy, że nie jestem umyślowo chora jak inne pacjentki tutaj. Nie mam nic przeciw rozmowie z psychiatrą, jeśli będzie jasne, że nie potrzebuję tego naprawdę. To znaczy, każdy oczywiście potrzebuje, ale... - zawahała się.

- Ale nie każdy jest ubezpieczony w Niebieskim Krzyżu - podpowiedział Harald.

- Jeśli powiem nie - zaczęła, aby go wypróbować - zabierzesz mnie do domu?

- Naturalnie.

- Dobrze. Zostanę. W takim razie pójdę lepiej na kolację. Przyjdiesz jutro?

Harald przyrzekł. - Tak czy siak - dodał - psychiatra będzie mnie pewnie potrzebował.

- Potrzebował? - Kay najeżyła się.

- Lubią usłyszeć, co inni myślą o pacjentce. I chciałby pogadać z niektórymi twoimi przyjaciółmi. Przesłać tu jutro Norine? Potem mogłaby zajść do ciebie. Kogo jeszcze? Helene?

- Jeśli powiesz moim przyjaciółkom - Kay spojrzała na męża szeroko otwartymi oczami - zabiję cię! - Słyszac własne słowa, szybko zakryła usta dłonią. - Nie mówiłam tego poważnie, oczywiście - dodała, łapiąc oddech. - Ale błagam, nie mów Norine. Nie pozwól jej rozmawiać z psychiatrą. Zrobię, co tylko zechcesz, jeśli nie pozwolisz jej tu przyjść. - Wstrząsnęły nią gwałtowne szlochy.

- Nie bądź dzieckiem - niecierpliwie rzucił Harald. - Schowaj to dla psychiatry.

Ten bezlitosny ton zaraz po przeprosinach zranił Kay do żywego. Znów zapukała pielęgniarka.

- Idzie pani na kolację, pani Petersen?

- Tak - odpowiedział Harald. - Umyj sobie twarz. Pa. Zobaczymy się jutro. - Zamknął za sobą drzwi.

Kay powoli przypięła do sukni kamelie. Powtarzała sobie, że w każdej chwili może stąd wyjść. Jest tu z własnej i nieprzymuszonej woli. W odróżnieniu od innych pacjentek nigdy, ani przez chwilę, nie była obłąkana. Lecz w drodze do jadalni ogarnęły ją straszliwe wątpliwości. Stosują wobec niej chwyt psychologiczne, nie jest

tu z wolnej, nieprzymuszonej woli, a Haraldowi wcale nie jest przykro, psychiatra go pouczył, i tyle.

ROZDZIAŁ 14

Priss co rano zabierała syna do Central Parku, żeby się tam bawił, i pewnego dnia w czerwcu, gdy pchała wózek, a mały dreptał za nią, zobaczyła na ławce znajomą postać z wózkiem dziecięcym. Była to Norine Schmittlapp w eleganckich spodniach i czarnych przeciwsłonecznych okularach. Wózek miał opuszczoną budę, na materacyku przykrytym ceratą leżało nagie niemowlę, chłopczyk. Priss przystanęła, Norine zajęła „jej” ławkę. Nie była pewna, czy tamta ją pozna, od ich ostatniego spotkania minęło chyba z pięć lat. Koleżanka się zmieniła, przytyła i miała rozjaśnione włosy.

- Cześć! - odezwała się Norine, podnosząc oczy. - Siadaj z nami. To jest Ichabod. - Wskazała wózek. Jej ciemne oczy wyszukały Stephena, ciągnącego po ścieżce dydaktyczną zabawkę. - To twoje?

- Powiedz pani dzień dobry - przedstawiła Priss swego malca. Nie wiedziała, jak przedstawić Norine, która najwyraźniej wyszła powtórnie za męża. Norine uściśnęła rączkę Stephena.

- Norine Rogers. Miło mi cię poznać. - Na jej małym palcu połyskiwał ogromny brylant w platynowej oprawie, wózek dziecka był angielskim modelem z monogramem. - Przychodzisz tu co dzień? - spytała.

Okazało się, że panie mieszkają w sąsiedztwie. Norine właśnie wprowadziła się do kupionego przez nią i męża stylowego domu między Parkiem i Madison Avenue, a Priss mieszkała między Lexington i Siedemdziesiątą Drugą ulicą.

- Szczęściara z ciebie - powiedziała Priss z nutką zazdrości. - Na pewno masz ogród na podwórzu. Nie musisz chodzić do parku.

Dla niej była to mordęga pchać wózek co rano szmat drogi od Lexington do parku, a potem wracać na czas, żeby upiec kartofel na lunch dla syna o dwunastej. Norine poinformowała koleżankę, że jej podwórko jest jeszcze pełne szklanych cegiełek i mieszadeł do cementu. Przebudowują dom, robią pochylnie zamiast

schodów i stawiają mur ze szklanych cegiełek od strony ulicy. Priss zdała sobie sprawę, że to dom Norine jest przedmiotem komentarzy w całej dzielnicy, i zastanawiała się, jakiego to Rogersa poślubiła.

- Mój mąż jest Żydem - rzuciła Norine. - Jego rodzina zmieniła nazwisko Rosenberg na Rogers. Masz coś przeciw Żydom? Ja przepadam za nimi. - Zanim Priss zdążyła odpowiedzieć, mówiła dalej szybko, po dawnemu, jakby dyktowała list: - Cała rodzina Freddy'ego się nawróciła. Kiedy zmienili nazwisko. Jest zagorzałym episkopalistą. Okropnie chciałam, aby wrócił do swojej dawnej wiary. Żeby się modlił w tańsiej z filakteriami. Według autentycznej religii mojżeszowej. Bo zreformowany obrządek mojżeszowy to tylko dziewiętnastowieczny kompromis. Ale Żyd wyznania mojżeszowego nie może poślubić gojki. - Priss wyraziła zdziwienie. Norine skinęła głową. - Ortodoksyjni Żydzi krzywo patrzą na egzogamię. Jak papiści. Episkopaliści uważają rozwód za tabu. Pastor Freddy'ego nie chciał udzielić ślubu rozwódce. Więc poszliśmy do luterańskiego pastora w Yorkville. Rodzice Freddy'ego spodziewali się zobaczyć w salonie duchownego oprawiony w ramy portret Hitlera. - Roześmiała się Norine. - Interesujesz się religią? - Priss wyznała, że bardziej się interesuje polityką. - Mam dość polityki - oznajmiła Norine. - Od czasów Monachium. Pasjonuje mnie komparatystyka religijna. Społeczeństwo jest skazane na zagładę, jeśli nie odnajdziemy z powrotem drogi do Boga. Problemem takich ludzi jak my jest odzyskanie wiary. To łatwe dla mas, bo nigdy jej nie utraciły. Ale dla elity to inna sprawa. - Jej spojrzenie spoczęło na Stephenie. - To twój jedyny potomek?

Priss wyjaśniła, że miała kilka poronień, ale ma nadzieję urodzić więcej dzieci. Bo Stephenowi byłoby smutno dorastać jako jedynakowi.

- Zaadoptuj kilkoro - poradziła Norine. - To jedyny sposób. Jeśli elita nie jest zdolna do rozmnażania, musi przeszczepić nowe kłacze albo narazić się na wymarcie. Czy wiesz, że rodzina absolwentki Vassar jest tylko dwa plus dwa?

Priss знаła te statystykę, która wzbudziła niepokój w kołach byłych wychowanek uczelni - vassarówki zaledwie wyrównywały straty, podczas gdy reszta ludności rosła.

- Co robi twój mąż? - spytała Norine.

- Jest pediatrą.

- Tak? A z jakiej szkoły?

Priss zaczęła opowiadać, gdzie Sloan studiował. Norine przerwała jej:

- Jaką szkołę reprezentuje? Behawiorystów? Gestaltizm? Steinera? Kleina?

Anny Freud?

Priss zawstydziła się swojej ignorancji.

- Jest lekarzem medycyny - odparła, jakby się usprawiedliwiając. Po chwili również odważyła się na pytanie: - A co robi twój mąż?

- Jest bankierem - zachichotała Norine. - Wspólnikiem Kuhna i Loeba.

Pochodzi ze starej pożyczającej pieniądze rodziny. Rodem z Frankfurtu. Ale wskutek diaspory są rozsiani po całym świecie. Jeden z nich, czarna owca rodziny, został syjonistą i wyjechał do Palestyny. Nigdy o nim nie mówią. Rodzice Freddy'ego chcieli wrosnąć w tutejsze społeczeństwo. Jak tyłu bogatych niemieckich Żydów. Posłali syna do Choate i Princeton, gdzie dostał okropne ciągi w jednym z klubów. Gdy w klubie dowiedzieli się, że Rogers nazywał się kiedyś Rosenberg, poproszono go, aby zrezygnował z członkostwa. - Priss mlasnęła językiem, na co Norine krótko się roześmiała. Jak gdyby ów incydent sprawiał jej szczególną przyjemność.

Priss zerknęła na malutkiego Ichaboda i stwierdziła, że jest obrzezany, ucieszyła się przy tym z poczuciem winy, że ojciec Stephena nie jest Żydem. Uderzyła ją okropna myśl, że jeśli się chce dać swemu dziecku najlepszy start w życiu, to się nie wychodzi za Żyda. Przypuszczała jednak, że Norine nie boi się o los syna, Priss czuła zbożny strach przed osobą, która mogła obarczyć niemowlę takim imieniem.

- Nie boisz się, że go przezwą „Ickiem” w szkole? - spytała porywczo.

- Niech się wcześniej nauczy walczyć - filozoficznie odparła Norine. - Ichabod Niesławny. Właśnie to znaczy ichabod po hebrajsku. Pozbawiony sławy. - Zaczęła kołysać wózek.

- Ile on ma?

- Trzy miesiące.

Priss uważała, że Norine powinna podnieść budę wózka, obawiała się, że ranne słońce jest za ostre dla malutkiej główki, jeszcze prawie bez włosów.

- Czy on nie jest za mały na kąpiel słoneczną? - spytała.

Norine lekceważąco potraktowała to pytanie, co dzień rano wystawiała dziecko na słońce, od chwili gdy przywiozła je do domu ze szpitala Góra Synaj. Jednakże lekko podniosła budę, żeby twarz małego była w cieniu.

- Dobrze tu - zauważyła zadowolona - żadnych pielęgniarek do dzieci czy angielskich niań. Tam gdzie byłam z nim wczoraj, podnieśli straszny krzyk z powodu jego nagości. Bali się, że ich pruderyjne dziewczęta zaczną myśleć o jego koguciku, co, Ichabodku? - Dużą dłonią poklepała członek dziecka, który zeszywniał.

Priss kilkakrotnie przełknęła ślinę, niespokojnie zerknęła w stronę syna, biegającego radośnie za piłką po trawie. Zawsze bardzo się bała podniecić go, z przykrością odsuwała mu napletek przy myciu, choć Sloan kazał jej to robić ze względów higienicznych. Wolałaby niemal, aby był brudny, niż żeby się nabawił kompleksu Edypa od jej dotyku. Ostatnio, nie mówiąc o tym mężowi, omijała to miejsce, kąpiąc syna.

- Masz zegarek? - ziewając, spytała Norine.

- Karmisz go? - spytała Priss, poinformowawszy Norine, która godzina, i patrząc z zazdrością na jej obfity biust.

- Straciłam pokarm.

- Ja też! - wykrzyknęła Priss. - Zaraz po wyjściu ze szpitala. Jak długo karmiłaś?

- Cztery tygodnie. Wtedy Freddy zaczął sypiać z dziewczyną, którą wzięliśmy do Ichaboda, i moje mleko zastrajkowało.

Priss w porę się pohamowała, chciała opowiedzieć, jak straciła pokarm, kiedy zaczęli dawać Stephenowi dodatkową butelkę.

- Powinnam to przewidzieć - kontynuowała Norine, zapalając papierosa. - Nie mieliśmy prawdziwego pożycia od wieków. Wiesz, jak to jest. Pod koniec ciąży to *verboten*, a potem jest *verboten* przez miesiąc po porodzie. Freddy stał się bardzo jurny. Uważał Ichaboda za swojego rywala. I wzięliśmy tę irlandzką zdzirę. Prosto ze statku. Była koleżanką kelnerki usługującej matce Freddy'ego. Prawdziwe irlandzkie ścierwo. Oczy jak węgle i za grosz moralności seksualnej. Tam u nich sypiała na sianie z własnym wujem, sama mi to powiedziała. Freddy oczywiście przylepił się do niej jak smoła. Miała pokój tuż obok pokoju dziecka, Freddy sypiał tam na polowym

łóżku, bo zabierałam małego na noc do siebie, irytowało mnie wstawanie o drugiej nad ranem do karmienia, a Freddy skarżył się, że dziecko go budzi.

Priss miała ogromną ochotę wtrącić słówko i oświecić Norine: czy nie wie, że pod żadnym pozorem, nawet w przeludnionym mieszkaniu slumsowym, niemowlę nie powinno spać z osobą dorosłą? Powstrzymały ją jednak nieśmiałość i strach przed jękami się.

- Freddy - mówiła Norine - przekradał się do pokoju tej dzierlatki. Stwierdziłam to, ścieląc jej łóżko. Na prześcieradle były ślady nasienia Freddy'ego. Dobiło mnie to, że nie miała na tyle delikatności, aby choć podłożyć ręcznik. Ściągnęłam to prześcieradło i wetknęłam je Freddy'emu pod nos, gdy jadł śniadanie i czytał „Wall Street Journal”. Powiedział, że to częściowo moja wina. Bo zamiast traktować dziewczynę jak służącą, skakałam koło niej, wobec tego uważała, że ma prawo sypiać z panem domu i nie jest gorsza ode mnie. Na przykład słałam jej łóżko. Ona sama powinna była to robić. Freddy ma rację, nie umiem się obchodzić z robotnikami. Sam musiał ją wyprosić z domu. Kiedy jej wymawiał, ja prałam prześcieradło w pralce, a on powiedział, że powinnam była zostawić to dla praczki. Pokłóciliśmy się i straciłam pokarm.

- Wstrząs może to podobno spowodować - wtrąciła Priss. - Ale Ichabod dostał przynajmniej swoją porcję od-p-porności.

Norine przyznała jej rację, powiedziała zamyślona, że krzywda będzie psychiczna. Sięgnęła do wózka, znalazła gumowy smoczek, który wcisnęła dziecku do ust. Priss zakłopotana patrzyła na smoczek.

- Dajesz mu to, aby nie ssał kciuka? - spytała. - Wiesz, dzisiejsi pediatrzy uważają, że lepiej pozwolić niemowlętom ssać kciuk, niż próbować je od tego odzwyczaić. Ja starałam się delikatnie odwrócić uwagę Stephena, za każdym razem gdy wsadzał kciuk do buzi. Ale ten s-s-smoczek - słowo jakby ugrzęzło Priss w gardle - wydaje się strasznie niehigieniczny. A ssanie może zmienić kształt jego ust. Naprawdę powinnaś to wyrzucić. Sloan byłby oburzony, gdyby to zobaczył. To może stać się takim nawykiem jak ssanie kciuka. - Priss mówiła poważnie, zdumiona, że kobieta tak wykształcona jak Norine może być tak nie uświadomiona.

Norine słuchała cierpliwie.

- Kiedy dziecko ssie kciuk - odezwała się - to dlatego, że zostało pozbawione satysfakcji ssania. Potrzebuje codziennej porcji ssania, a z butelki ssie za krótko. Więc daje mu się gumową sutkę. Co, Ichabodku? - Czule się uśmiechnęła do małego, który faktycznie wyglądał wniebowzięty, pociągając gumowy smoczek.

Priss starała się na to nie patrzeć. Nie wyobrażała sobie gorszej rzeczy niż to, że dziecko znajduje rozkosz, ssąc pierś atrapy, gorsze to od samogwałtu. Uważała, że fabrykowanie takich rzeczy powinno być prawnie zakazane.

Stephen podszedł do wózka.

- Cio to? - spytał zaciekawiony. Wyciągnął rączkę, aby dotknąć smoczka w ustach niemowlęcia. Priss gwałtownie go odciągnęła. Mały wpatrywał się w smoczek, najwyraźniej zaciekawiony pomrukiem zadowolenia Ichaboda. - Cio to? - powtórzył.

Norine wyjęła smoczek z ust niemowlęcia.

- Chcesz spróbować? - spytała czule. Wytarła smoczek czystą pieluszką i podała go Stephenowi. Priss szybko jej przeszkodziła. Sięgnęła natychmiast do swojego wózka i wyciągnęła lizaka w woskowym papierze.

- Masz - powiedziała. - Ten „lizak” należy do malutkiego. Oddaj go pani Rogers. Tu jest twój.

Stephen wziął lizaka. Priss przekonała się, że wymiana jest skuteczna - grzecznie wymieniał „złą” rzecz, na przykład agrafkę, na „dobrą”, na przykład książeczkę z obrazkami, często nie zdając sobie sprawy z zamiany.

Norine obserwowała ten mały dramat.

- Wytrenowałeś go - powiedziała w końcu z lakonicznym uśmiechem. - Przypuszczam, że wytresowałeś go też, żeby korzystał z toalety.

- Niestety nie - powiedziała zawstydzona Priss. Zniżyła głos: - Szczerze mówiąc, zachodzę w głowę, co robić. Nigdy go oczywiście nie ukarałam, jak to robiły nasze matki i piastunki, gdy mu się coś „przytrafiło”. Ale niemal mam ochotę dać mu w skórę. Zrobiłam wszystko, co należy. Wiesz: „Zapamiętaj czas, gdy dziecko miewa stolec, i co rano delikatnie wysadzaj je na nocnik. Jeśli nie ma skutku, zdejmij dziecko, nie okazując żadnego niezadowolenia. A jeśli jest, uśmiechnij się i klaszcz w dłonie”.

Norine dotknęła najboleśniejszego miejsca Priss. Jako żona pediatry, czuła gorzki wstyd, że jej dwuipółletni syn nie potrafi prosić o nocnik. Nie tylko paskudził w

łóżku podczas snu, ale czasem też brudził sobie majteczki tu w parku, właśnie dlatego wyszukała tę odludną ławkę i nie szła z nim do innych dzieci. Potrafił napaskudzić w spodenki kąpielowe na plaży, jak podczas ostatniego weekendu, gdy w klubie w Oyster Bay opalała się i popijała cocktaile cała letnia kolonia. Mimo że był lekarzem, Sloan ogromnie się złościł, gdy jego syn paskudził się publicznie, ale nigdy nie pomógł Priss doprowadzić małego do porządku i nie robił nic, by ulżyć jej wstydomi. W zeszłym tygodniu, na przykład, przyszła Priss w sukurs jej młodsza siostra Linda, gdy Stephen odbiegł od matki i hasał po plaży z pełnymi majtkami kąpielowymi. Złapała go, zaniosiła do klubowego budynku, wyprała majtki małego, gdy sama Priss myła syna. A Sloan jakby nigdy nic siedział sobie pod parasolem.

Potem powiedział, że Priss i jej siostra podniosły niepotrzebny krzyk. Była to jedyna rzecz, co do której mógł zarzucić Priss uchybienie w wychowaniu syna. Nie moczył się już w łóżku, zjadał jarzyny i twarożek, już prawie nigdy nie płakał, wieczorem zasypiał o oznaczonej porze, mając przy sobie pluszowe zwierzątka. Priss nie mogła zrozumieć, na czym polegał jej błąd. Nie dostrzegała też błędu jej matka. Razem odtworzyły w pamięci wszystkie stadia nauki, od momentu gdy po raz pierwszy został wysadzony na sedesiku przymocowanym do normalnego sedesu. Malec natychmiast zmienił godzinę wypróżnienia. Przeskoczyła z dziewiątej na za dziesięć siódma, a potem skakała przez całą dobę, tak że Priss i młoda dziewczyna, którą miała do pomocy, były bezradne. Gdy sądziły z jego miny, że ma potrzebę, wysadzały go na sedesik, żeby skojarzył sobie jedno z drugim. Ale żeby nie wiadomo jak długo czatowały na tę chwilę i nie wiadomo jak cierpliwie czekały, siedząc na sedesiku na ogół się nie załatwiał. Często, jak tylko go zdjęły, następowało to w łóżeczku.

Gdy był mniejszy, Priss przypuszczała, że nie rozumie, czego się od niego wymaga, więc Sloan powiedział, że może postękiwać i robić miny, jakby coś wypychała, żeby zachęcić dziecko do tego samego. Jednak jej stękanie nic nie dało, czuła się tylko głupio. Próbowwała zostawić go samego na sedesiku, aby nie myślał, że to zabawa z matką. Zostawiała go dłużej, lecz Sloan twierdził, że pięć minut wystarczy. Gdy rzadko i całkiem przypadkowo, jak się zdawało Priss, „dokonał wyczynu”, ona wykonywała pantomimę pochwały w sposób umiarkowany, aby nie

czuł się ukarany, gdy nie śmiała się i nie klaskała. Sloan winił o ten stan rzeczy nerwowość Priss, jak wtedy gdy straciła pokarm.

- Mały czuje twoje zdenerwowanie, gdy sadzasz go na sedesiku. Odpręż się.

Sam Sloan jednak byłby daleki od odprężenia, gdyby musiał zrobić porządek w łóżeczku syna, gdy ten zapaskudził zabawki i pluszowe zwierzątka. Twierdził, że nie należy okazywać choćby cienia nagany w takich wypadkach.

- Zachowuj się spokojnie, jakby się nic nie stało.

Byłoby to jednak kłamstwo. Mały musiał już wiedzieć, choć matka nigdy nie zganiała go słowem czy grymasem, że ona bardzo nie lubi, gdy załatwia się w łóżeczku. Właściwie Priss zrozumiała, że mały nie tylko wie, ale czerpie z tej wiedzy przyjemność.

Zwłaszcza gdy prowadziła gości do dzieciennego pokoju po przyjęciu wieczornym i stwierdzała, że „to” się stało. Widząc uciekające z terenu zbrodni panie, dzieciak piszczał z uciechy. Priss podejrzewała, że w jej synu tkwi skłonność do buntu, że robi jej na złość w ten szczególny sposób. Jak gdyby przeczytał podręcznik pediatrii i wiedział, że nie może być ukarany za to, że jest niegrzeczny, robiąc w majtki, natomiast on może ukarać matkę.

Myśl ta była zbyt ponura, by Priss mogła ją wyjawić nawet własnej matce. Czy dwuipółletni szkrab może obmyślić i wykonać plan zemsty? I za co? Niestety w najciemniejszych chwilach Priss obawiała się, że wie, za co. Za zbyt późno podaną mu butelkę, za regulamin stosowany z absolutnym rygorem: szósta, dziesiąta, druga, szósta, dziesiąta, druga. Może nawet za „ssanie”, o którym mówiła Norine i którego go pozbawiono. Za to, że nigdy nie brano go na ręce, gdy płakał, chyba tylko po to, żeby mu zmienić pieluszki lub dać łyk wody. Za to, krótko mówiąc, że jego tata jest pediatrą. Wszyscy, włącznie z panią Hartshorn, nastawieni z początku sceptycznie do nowej metody, teraz nie posiadali się z podziwu, jak dobrze się sprawdziła: nie widzieli jeszcze dwulatka tak silnego, wyrosłego, dobrze wychowanego i samodzielnego. Zaproszeni na kolację przyjaciele Priss byli zdumieni, że Stephen idzie spać bez dyskusji. Matka śpiewała mu do snu, dostawał ciasteczko z ararutowej mączki i całusa. Potem matka otulała go kołderką i gasiła światło. Nie wołał, żeby mu zostawiła światło lub otwarte drzwi. Sloan podając gościom zakąski wyjaśnił, że mały

został do tego przyuczony od niemowlęstwa. Po ułożeniu go do snu Priss nigdy nie wchodzi do niego. Dzieciak jest przyzwyczajony do hałasu i nigdy nie spał na poduszce.

Żadna z przyjaciółek Priss nie mogła jej w tym dorównać. Staraly się w zasadzie trzymać tej metody, ale załamywały się przy drobiazgach, wskutek czego ich pociechy naprzykrzały się dorosłym na popołudniowych cocktailach, chciały wody do picia, żądały, żeby im zapalono światło i w ogóle, aby się nimi zajmowano; bały się ciemności, kaprysiły przy jedzeniu, nie chciały spać po południu. Rzecz w tym, twierdził Sloan, aby im nie ustępować i stosować metodę w całej rozciągłości, chyba że dziecko jest chore lub w podróży. Stephen miał dobry start w życiu dlatego, że Priss nigdy nie szła na kompromis. Ona sama starała się tak myśleć, zachęcona podziwem przyjaciółek. Lecz czasem gdy syn paskudził do spodenek, zastanawiała się w skrytości ducha, czy dziecko nie mści się za to, że w ogóle żyje.

- Mam nadzieję, że tobie lepiej się z tym powiedzie - powiedziała do Norine. - Zaczęłaś już przyuczać go do nocniczka? Sloan mówi, że myśmy czekali zbyt długo. I jeśli się zaczniesz wcześniej, nie ma powodu, żeby trudniej było nauczyć dziecko niż zwierzę.

Norine pokręciła głową. Nie zamierzała tresować syna. Bawienie się własnymi ekskrementami sprawia mu przyjemność i jest mu potrzebne tak samo jak ssanie.

- Gdy dojrzeje do używania klozetu, poprosi, aby go zaprowadzić do ubikacji. Nastąpi to prawdopodobnie, gdy pójdzie do przedszkola. Nacisk grupy zachęci go do zrezygnowania ze stolcowych przyjemności. Przekonasz się, że gdy pošlesz swojego do przedszkola, zdobędzie się na to wielkie wyrzeczenie. - Nie zamierzała też odstawiać Ichaboda od piersi, czyli od butelki, naturalnie. Sam przestanie ssać, gdy będzie w wieku Stephena, a jeśli nie, *tant pis*.

- Skąd, na Boga, wytrzasnęłaś takie poglądy? - wykrzyknęła Priss.

Była pewna, że nie od przyzwoitego pediatry, Norine chodzi zapewne do jakiegoś szarlatana. Lecz Norine wyjaśniła, że jej poglądy oparte są na antropologii. Naukowcy obserwują zwyczaje ludów prymitywnych i wyciągają wartościowe wnioski. Indianie Pueblo na przykład, będący *creme de la creme* indiańskiego świata,

nie odstawiają dzieci od piersi do wieku dwu lub trzech lat. Większość prymitywnych ludów w ogóle nie zwraca sobie głowy toaletowym treningiem.

- Ale oni nie mają toalet - oponowała Priss.

- Taka jest cena naszej kultury - skinęła głową Norine. - Kiedy się ma toalety ze spuszczaną wodą, robi się z nich fetysza. Czytałaś Margaret Mead? To wielka kobieta.

Było rzeczą samą przez się zrozumiałą, że Ichabod nie podlegał żadnemu regulaminowi. Sam tworzył regulamin dla siebie. Brano go na ręce, gdy płakał, i karmiono, gdy się tego „domagał”.

- A co z odżywkami dla niemowląt? Będziesz mu je dawała? Norine nie miała zdania na ten temat. Była jednak przeciwna stosowaniu ściśle określonej diety dla niemowląt.

- Dzieci są wytrzymałe - wtrąciła. - Wybiorą sobie odpowiednią dietę, jeśli dasz im różne rzeczy do jedzenia.

Priss wyraziła pogląd, że dzisiejsze kobiety może zanedbują sobie życie, otwierają po prostu słoik z mieszanką dla dzieci, zamiast robić w domu papkę ze świeżych jarzyn i przepuścić mięso przez maszynkę, czy zrobić sok. Problem ten nie interesował Norine. Co więcej, dyskusja, jaka rozgorzała między pediatrami na temat tego, jak prędko można zacząć dawać niemowlęciu sok pomarańczowy, mleko skondensowane zamiast preparatu Bordena, mieszankę gotową zamiast domowej, lewatywy zamiast czopków glicerynowych, zalet Pablum, nowego trzygodzinnego cyklu karmienia głodnych osesków (Priss i Sloan byli w tym pionierami) - dyskusja ta w ogóle nie dotarła do uszu Norine. Powtórzyła, że Ichabod sam zdecyduje, już teraz wykazuje predylekcję do włoskiego spaghetti - daje mu okruchy ze swego talerza. Nie posiada wagi dziecięcej ani wanienki. Kąpie małego w miednicy. Zamyślona przyjrzała się Stephenowi.

- Ile ma lat? Trzy?

- W przyszłą sobotę skończy dwa i pół.

- Gdy on się urodził, ludzie byli jeszcze zwariowani na punkcie wag, zegarów i termometrów. Czasy miar i wag. Boże, wydaje się wieki temu! - Ziewnęła,

wyprostowała się, była wysoka. - Wczoraj późno poszliśmy spać. Mieliśmy na kolacji jezuitów. Jeden z naszych gości grał na bębnie i Ichabod baraszkował jak szalony.

Priss uzbroiła się do walki, jasne było, że Norine gada od rzeczy.

- Czasy miar i wag dopiero się zaczynają - powiedziała dzielnie. - Po raz pierwszy ustanawiamy normy. We wszystkich dziedzinach. Powinnaś śledzić najnowsze osiągnięcia. Słyszałaś o badaniach Gesella, wybitnego psychologa i pediatry w Yale? Będziemy wreszcie mieli naukowy obraz dziecka. Gesell pokazuje, czego możemy oczekiwać w sensie możliwości od jedno-, dwu-, i trzylatka. Kiedy ogłosi swoje wyniki w p-p-popularnym ujęciu, każda matka będzie miała miernik.

- Znam prace Gesella - Norine stłumiła ziewanie. - On jest skamieniałym reliktem behawioryzmu. Jego córka skończyła Vassar w 1935.

- Czego to dowodzi?

Norine uchyliła się od odpowiedzi.

- Ciągłe wierzysz w postęp - powiedziała uprzejmie. - Zapomniałam już, że jeszcze są tacy. To wasza namiastka religii. Waszym totemem plemiennym stał się miernik. Ale my już to wszystko mamy za sobą. Żaden pierwszorzędny umysł nie może już się zgodzić z koncepcją postępu.

- Dawniej miałaś bardzo radykalne poglądy - oponowała Priss. - Nie podziwiasz pewnych pociągnięć Roosevelta? Tennessee Valley Authority*, elektryfikacja wsi, Farm Resettlement Administration (Administracja Przegrupowań Farm), kontrola zbiorów, płaca za odpowiednią pracę. Przyznaję, że popełnił błędy...

* Instytucja federalna zajmująca się zapobieganiem powodziom, nawigacją, elektryfikacją, nawozami sztucznymi itd. w tej części Ameryki.

- W dalszym ciągu mam radykalne poglądy - przerwała jej Norine. - Ale pojęłam, co to znaczy powrót do korzeni. Nowy Ład jest bez korzeni... powierzchowny. Brak mu nawet dynamizmu, jaki ma faszyzm.

- Czy twój mąż zgadza się z twoimi poglądami?

- A twój?

- Nie - musiała przyznać Priss. - Nie w polityce. Jesteśmy na noże w poglądach politycznych. - Teraz właściwie kłócili się na temat Gdańska. Sloanowi było obojętne, czy Hitler połknie całą Europę... wyznawał zasadę: Ameryka przede wszystkim.

- Stara historia vassarówek - podjęła Norine. - Zostawiam politykę Freddy'emu. Jako Żyd z górnej warstwy społecznej, jest rozdarty pomiędzy interwencjonizmem za granicą i leseferyzmem w kraju. Freddy nie jest intelektualistą. Ale zanim pobraliśmy się, ustaliliśmy, że musi przeczytać Kafkę, Joyce'a, Toynbee'ego i antropologów kulturowych. Niektóre z zasadniczych książek. Żebyśmy mogli semantycznie się porozumieć.

Priss zdziwiła się, że Norine opuściła Freuda.

- Większość z tego, co Freud napisał, jest przestarzałe - oświadczyła Norine. - Był zanadto związany ze swoim miejscem i czasem. Stare imperium austriackie z jego ludową obyczajowością uznał za kulturę uniwersalną. Jung ma mi więcej do powiedzenia. I niektórzy z młodszych postfreudystów. Nie znaczy to, że nie zawdzięczam wiele Freudowi.

Priss, która nosiła się z zamiarem przeczytania kiedyś Freuda, gdy znajdzie na to czas, poczuła rozczarowanie i ulgę, że to już nie jest konieczne. Doszła do wniosku, że Norine się na tym zna. Przemawiała niemal tak, jakby Freud już nie żył. Priss przez chwilę zmartwiła się, że może nie zauważyła jego nekrologów w pismach, tyle rzeczy uchodzi jej uwagi.

- Naturalnie - mówiła Norine - między Freddy'm i mną istnieje głęboki konflikt kulturalny. Nasze vassarowskie wykształcenie utrudnia mi pogodzenie się z rolą kobiety przy mężu. Gdy tymczasem on jako Żyd instynktownie uznaje zasadę matriarchatu. Chce, żebym królowała w domu, gdy on jest w kantorze. To wspaniałe, jeśli idzie o Ichaboda, Freddy nie wtrąca się w mój system wychowania małego i trzyma swoją matkę w kagańcu. On kocha progeniturę i pragnie założyć dynastię. Jak długo jestem zdolna do rodzenia, jestem dla niego świętą krową. Łóżko ma wielkie znaczenie dla niego, jest zmysłowy jak Salomon. Zbiera erotyki. Ubóstwia mnie, bo jestem gojka. Poza tym, jak wielu bogatych Żydów, jest snobem. Lubi widzieć u siebie ciekawych ludzi, a ja mogę mu ich przyprowadzić. - Westchnęła. - Kłopot w tym... - zniżyła głos i rozejrzała się. - Boże, tobie mogę to powiedzieć. Pewnie masz ten sam

problem. - Priss nerwowo przełknęła ślinę, obawiała się, że Norine zacznie mówić o seksie, który jeszcze ciągle był dla niej samej *bete noire* - Kłopot w tym, że mam intelekt - podjęła Norine. - Zostałam ukształtowana jako intelektualistka przez profesor Lockwood i te inne babki. Freddy nie ma nic przeciw temu, że przewyższam go intelektualnie, to mu się podoba. Ale ja jestem świadoma głębokiej przepaści. A on oczekuje ode mnie, żebym była *Hausfrau*. Nazywa to „panią domu”. Muszę być dobrze ubrana i wydawać dobre przyjęcia. Uważa, że to nic trudnego, kiedy się ma służbę. Ale ja nie potrafię kierować służbą, to chyba pozostałość po moim okresie politycznym. Zaczął sam angażować ludzi, ale mówi, że ja demoralizuję służbę, jak tylko ta trafi do nas. Moja mózgowość to sprawia. Służba rozpija się, fałszuje rachunki, zapomina wyczyścić srebro.

Freddy dostaje szału, jeśli mu się podaje odgrzewaną kawę w brudnym dzbanku, jest subarytą. Albo gdy bielizna stołowa jest nieświeża. Wczoraj wieczorem kazał kamerdynerowi zmienić obrus w chwili, gdy siadaliśmy do kolacji. Ja nic nie zauważyłam, byłam zbyt zaabsorbowana dyskusją o prawie naturalnym z tymi jezuitami.

- Mogłabyś sprawdzić bieliznę i srebro rano - poradziła Priss. - Jeśli spodziewasz się gości na kolacji, wyjmij wszystko i przejrzyj. - Choć Priss była w Phi Beta Kappa, nie miała nigdy kłopotów z przychodnimi służącymi, które trafiały do niej zazwyczaj z polecenia matki. Uważała, że inteligencja powinna pomóc w należyтым urządzeniu sobie życia, poza tym nie słyszała, aby Norine błyszczała jako studentka.

- Wiem - powiedziała Norine. - I odkąd mamy nowy dom, staram się odwrócić nową kartę. Zaczynam dzień od sesji z masażystką, która mnie masuje i uczy gimnastyki relaksowej, ale nim się obejrzę, zaczynam dyskusję o monofizykach, wierzeniu św. Atanazego lub o Maimonidesie. Moja służba to typy nie z tej ziemi, przyciągam takich jak magnes. Nasz obecny kamerdyner jest antropozofem. Wczoraj wieczorem zaczął ćwiczyć rytmikę - roześmiała się Norine.

- Naprawdę uważasz, że nasze wykształcenie było błędem? - spytała zaniepokojona Priss. Sloan często wygłaszał taką opinię, ale to dlatego, że wykształcenie wpłynęło na jej poglądy, z którymi się nie zgadzał.

- Och, całkowicie. Zostałam ukształtowana na całe życie. - Norine przeciągnęła się.

Priss spojrzała na zegarek. Musiała wracać. Norine również wstała.

- Dotrzymamy ci towarzystwa, ja i Ichabod. - Owinęła dziecko pieluszką i przykryła je kołderką z monogramem. - *Pour les convenances* - wyjaśniła. Przeszły na drugą stronę Piątej Alei i poszły Siedemdziesiątą Drugą ulicą, pchając wózki z dziećmi. Mówiły o tym i owym. - Kiedy myśmy się ostatnio widziały? - rzuciła Norine.

- Może u Kay? Zaraz po studiach?

- Zgadza się. - Zapadło milczenie.

- Biedna Kay - powiedziała Priss, omijając wózek z wiktuałami ze sklepu Gristede'a.

- Masz jakieś wiadomości od niej?

- Dawno nie miałam. Odkąd wyjechała na Zachód. Chyba od ponad roku - Priss wyrzucała sobie, że nie napisała do Kay.

- Widuję czasem Haralda - spokojnie powiedziała Norine.

- Och! A co on robi?

- To samo. Znow stanął na nogi. Ciężko przeżywał nerwowe załamanie Kay i rozejście się z nią. Boże, jak ten człowiek cierpiał!

- Czy to naprawdę było załamanie nerwowe? - spytała po chwili wahania Priss.

- Polly Ridgeley... to znaczy Polly Andrews, pamiętasz ją... utrzymuje, że nie było. Że załamała się dopiero w szpitalu.

- Widziałaś ją tam? - poważnie spytała Norine. Priss zaprzeczyła. - A ja widziałam. Lekarze zaraz posłali po mnie. Aby się zorientować, jaka ona jest. Byłam rzekomo jej najbliższą przyjaciółką. Gdy do niej weszłam, nie chciała ze mną mówić. Kazała mi wyjść. Miała manię prześladowczą w związku ze mną. Lekarze sądzili, że to na lesbijskim podłożu. Zabawne, ale paranoicy zawsze myślą, że są prześladowani przez kogoś tej samej płci. Kogo w rzeczywistości kochają. Gdy w końcu wyciągnęłam ją na rozmowę, okazało się, że uważa mnie za zdrajczynię, ponieważ rozmawiałam z psychiatrami. Jakoś nie miała pretensji do Haralda, choć on chodził prawie co dzień na rozmowy z lekarzami. Gryzło go sumienie, bo podle się z nią

obchodził pod koniec, nie rozumiał, że jej wyskoki wymagają leczenia. Laik nigdy tego nie rozumie, jeśli idzie o bliską osobę.

- Ale co jej właściwie było? Podobno trafiła tam przez nieporozumienie i została, żeby wypocząć i przemyśleć wszystko z dala od Haralda. Podobno porządnie zawinił.

- Taką rozgłosili wersję. Nigdy nie postawili ostatecznej diagnozy. Masa zasadniczych spraw była z nią nie w porządku. Seks. Chęć współzawodniczenia z mężczyznami. Ukryte skłonności lesbijskie, zbyt hamowane. Nie ziszczone aspiracje towarzyskie. Udało jej się wejść do waszego kółka w Vassar i zamieszkać z wami w południowej wieży. Ale nigdy potem nie weszła już do towarzystwa. Więc skoncentrowała swoje ambicje na Haraldzie, jej obsesja, żeby zrobić karierę, stała się dla niego nie do zniesienia. Zarzynała kurę, która powinna była znosić złote jaja. A przez cały czas pchała go do zarabiania pieniędzy i bezlitośnie podcinała mu skrzydła opętana zazdrością o penisa. Chciała go ukarać za to, że nie zrobił kariery zamiast niej. On to wszystko lepiej rozumiał po kilku sesjach z lekarzami. Ja im wyjaśniłam kilka punktów i namówiłam Puta, mojego pierwszego męża, żeby poszedł do szpitala i też porozmawiał z lekarzami. Genialnie wyjaśnił rozrzutność Kay. Namalował niezapomniany obraz jej manii bogactwa. Porównał jej stopę życiową z naszą, choć Put miał pracę, a Harald był prawie na zasiłku.

- Nie sądzisz, że kryzys gospodarczy mógł się do tego przyczynić? Gdyby poślubiła Haralda, gdy gospodarka funkcjonowała normalnie, on miałby pracę i żyłby na stopie odpowiedniej do dochodów. Kay popełniła błąd, zakładając, że Harald będzie miał stałą pracę. I narobiła długów. Ale tak było ze wszystkimi. Gdyby się pobrali trochę później, istniałby już Teatr Federalny. Ale idea programu pracy dla ludzi sztuki narodziła się niestety dopiero w 1935 roku. Roosevelt bardzo późno zrozumiał konieczność zapewnienia pracy artystom malarzom i aktorom.

- Więc ty to widzisz jako tragedię gospodarczą?

- Tak. Wysoki odsetek rozwodów w naszej klasie...

- Z Nowym Ładem jako *deus ex machina* - przerwała jej Norine. - Który zjawia się za późno na *happy end*. - Zachichotała. - Może jest coś w tym, co mówisz. Harald

faktycznie teraz pracuje w Teatrze Federalnym. Nie wiadomo, czy kongres nie zamorduje tego teatru. Akurat teraz, gdy Harald na szansę coś wyreżyserować.

- Obawiam się, że zamorduje - Priss zmarszczyła czoło. - Biedny Harald. Ten to ma pecha. To wręcz niesamowite. - Priss zadrżała w cienkiej sukni z bawełnianej kory.

- Harald jest potencjalnie wielkim człowiekiem - powiedziała Norine, godząc się ze zdaniem Priss.

- Biedna Kay - westchnęła Priss, gdy doszły do rogu Siedemdziesiątej Drugiej ulicy i alei Parkowej; postanowiła napisać do Kay jeszcze dziś po południu, gdy Stephen będzie spał. - U Macy'ego postąpili jak w średniowieczu, wyrzucając ją z pracy z powodu załamania nerwowego. Powinni to byli potraktować jako normalny urlop zdrowotny. I na domiar złego wyrzucono ich jeszcze z mieszkania.

- Dostała odprawę u Macy'ego - wtrąciła Norine.

Priss żałośnie pokręciła głową, stawiając siebie na miejscu Kay. Cóż dziwnego, pomyślała, że Kay uległa i wróciła do Utah, gdy ojciec po nią przyjechał, tu na wschodzie przegrała wszystko.

- Cały jej domek z kart... - wymamrotała zapatrzona w aleję Parkową.

- Chodź do mnie - zaproponowała nagle Norine. - Napijemy się kawy.

- Muszę dać lunch dziecku.

- Nakarmimy go - gościnnie zapewniła Norine. - Mamy w domu kotlet barani i zieloną sałatę. Czy może to jeść?

Priss miała ochotę przyjąć zaproszenie. W domu też miała kotlet barani i świeży szpinak, musiała jeszcze tylko upiec ziemniaka dla małego, rano zrobiła już dla niego tapiokę z pianką z białka. Pochlebiała jej świadomość, że nie nudziła Norine, i czuła się cokolwiek zmęczona monotonnym życiem. Odkąd rzuciła pracę przed urodzeniem syna, rzadko widywała „innych” ludzi.

- Mamy trzy koty - powiedziała Norine do Stephena. - I koszyk z kociakami.

To przekonało Priss, uważała, że zwierzęta są ważne dla dziecka, a Sloan nie pozwalał jej trzymać żadnych zwierząt w mieszkaniu, żeby nie nabawić się alergii.

Dom Norine miał czerwone drzwi wejściowe. Robotnicy układali jeszcze mur ze szklanych cegiełek. Wewnątrz domu świeżo pomalowana pochylnia prowadziła na

górne piętra. Zjawił się chudy służący w kamizelce, żeby popchnąć wózek z Ichabodem na piętro. Urządzenie to wydało się Priss bardzo praktyczne, ściąganie i wciąganie wózka po schodach było niewygodne, poza tym gdy Ichabod podrośnie, nie będzie mógł spaść ze schodów. Dom zrobił wrażenie na Priss, wydał jej się wygodny, tylko od ulicy wyglądał dziwnie, ale można było powiedzieć, że to inne domy nie harmonizują z nim. Dziwiło ją to, że Norine, posiadając taki dom, może być wrogiem postępu. Ale Norine wyjaśniła, że dom jest „nowocześnie klasyczny”.

W dużym pokoju na pierwszym piętrze ściany były ciemnoczerwone, szklane cegielki muru przesiewały światło z ulicy, a za małą ścianką z tychże cegiełek w pokoju znajdował się chromowany barek. Stały w tym pokoju okrągłe szklane stoliki wykończone chromowaną stalą i duże miękkie kremowe kanapy. W dużych szklanych wazonach był dziki dereń, z bliska okazało się, że ma przyklejone papierowe kwiaty do gałęzi. W bibliotece był duży gramofon, zestaw bębenków oraz biały fortepian, jak w nocnym lokalu. Na fortepianie stały jeszcze duże puchary do koniaku z resztkami napoju. Oświetlenie pokoi było ukryte w rowkach, a podłogi od ściany do ściany pokrywały bardzo puszyste kremowe wykładziny dywanowe. Wszystko było kosztowne i, jak Priss się zorientowała, w „dobrym guście”. Ale drobnej Priss wszystkie sprzęty wydawały się ogromne, jak dla olbrzymów. Gdy Norine usadowiła ją w rogu głębokiej kanapy, czuła się jak Złotowłosa śpiąca w największym z trzech łóżek niedźwiedzi. Służący zabrał Stephena, aby mu pokazać kocięta w pralni na parterze.

- Kawa będzie za chwilę - powiedziała Norine, sadwiąc się w drugim rogu kanapy. - Chyba że nie lubisz odgrzewanej. - Postawiła pośrodku kanapy szklaną popielniczkę wielkości balii, otworzyła pudełko do papierosów, zdjęła ciemne okulary i pantofle. - Służba zajmie się Stephenem - powiedziała. - Teraz możemy pogadać. - Podkurczyła nogi w czarnych lnianych spodniach. - Zdziwisz się, kiedy ci powiem, że byłam szalenie zakochana w Haraldzie. Przez cztery lata. Nigdy nie dopuściłam do tego, aby to wpłynęło na moje stosunki z Kay. Kiedy zrozumiałam, że to beznadziejne, wysłałam za Freddy'ego. Zawsze było beznadziejne, ale się oszukiwałam. - Norine mówiła beznamiętnie, szybko paląc papierosa, kołysząc się; jej apatia znikła. - Kilka lat temu trochę tarzaliśmy się w sianie, żeby się tak wyrazić, nic wielkiego. Potem

jemu to przeszło. On już taki jest. Ale przychodził dalej z przyjaźni, zwierzał się ze swoich romansów. Wiedziałaś, że zdradzał Kay? - Priss skinęła głową. - Dobierał się do ciebie?

- Nie. Ale próbował dobrać się do Dottie. Już po ślubie. Chciał się z nią umówić na randkę.

- Potrzebował kobiet. Ale mnie się zdawało, że do mnie odnosi się inaczej. Co jakiś czas rozbierał mnie i patrzył na moje ciało. Potem klepał mnie po pośladkach i szedł do domu. Albo do jakiejś innej kobiety. Opowiadał mi o tym. Zawsze mi mówił, kiedy sypiał z jakąś kobietą. Nie opowiadał mi jednak o tych, z którymi nie sypiał. Dowiedziałam się, że nie byłam wyjątkiem. Chodził do swoich dawnych flam, rozbierał je i odchodził. Robił to tylko po to, aby sprawdzić, czy są na jego zawołanie. Jakby robił inwentarz bydła. I wszystkie jego dawne kochanki były w nim zakochane. W każdym razie te, które znałam. Harald ma ogromną charyzmę. Mógłby być zostać mnichem.

Chudy wysoki lokaj wszedł z tacą, na której stały dwie ogromne filizanki do kawy, nie grzeszące czystością, srebrny dzbanek, dzbanuszek ze śmietanką i cukierniczka. Kostki cukru były w papierkach firmy Schrafft.

- Nie potrafię się przyzwyczać do tego, że jestem bogata - westchnęła Norine. - Zawsze zabieram cukier od Schraffta, kiedy tam piję kawę przy barku. A służba nie zadaje sobie trudu, aby wyjąć ten cukier z papierków. Freddy cierpi z tego powodu. - Lokaj wyszedł. - Perkins! - zawołała Norine. - Opróżnij popielniczkę. - Służący wziął balię i przyniósł inną. - Muszę mu o tym ciągle przypominać. Freddy wścieka się, widząc pełne popielniczki. Zabawne, żąda, aby każda rzecz, której dotknął, została umyta.

W trakcie wynurzeń Norine Priss poczuła, że siedzi na wilgotnej spódnicy, która staje się coraz bardziej mokra. Przerzuciła ciężar ciała z jednego pośladka na drugi. Dotknęła kremowej poduszki kanapy. Była wyraźnie mokra. W tej samej chwili Norine pomacała swoje spodnie z tyłu.

- Boże! - wykrzyknęła - znów to zrobili. Musieli wyprać te poduszki mydlinami, kiedy mnie nie było. Freddy wpędza każdego w tym domu w kompleks mycia - roześmiała się. - Jego ojciec dostał ataku reumatyzmu kilka dni temu, siedząc

na wilgotnym pokrowcu krzesła w jadalni. - Priss wstała, miała na spódnicy dużą moką plamę. - Perkins! - zawołała Norine do kuchni, stając w drzwiach - przynieś nam parę kąpielowych ręczników. - Służący przyniósł dwa olbrzymie ręczniki z monogramami i rozłożył je w rogach kanapy, żeby młode kobiety miały na czym siedzieć. - Dziękuję - powiedziała Norine. Lokaj wyszedł. - Powiedz mi - zwróciła się do Priss - czy trzeba dziękować służącemu? Freddy twierdzi, że nie, bo usługiwanie należy do obowiązków służby.

- Nie dziękuje się służbie, gdy podaje do stołu. Ale gdy się ją po coś posyła, jak po te ręczniki, to owszem. I zazwyczaj mówi się: „proszę” - dodała Priss delikatnie - jeśli prosisz o coś specjalnie. Możesz powiedzieć: „Może podasz panu Rogersowi jeszcze trochę pieczeni”. Ale jeśli prosisz pokojówkę, żeby ci podała chusteczkę do nosa, to mówisz: „proszę”.

- Tak też myślałam. Freddy nie ma racji. Będę chyba musiała kupować „Emily Post”, aby poznać savoir-vivre. Pamiętam, że u babci zawsze mówiliśmy „proszę” i „dziękuję” do służby, ale dziadkowie ze strony ojca byli Niemcami. Traktowali służbę jak członków rodziny. Nie znam się na nowojorskim kodeksie towarzyskim tak jak ty.

Priss czuła się zażenowana, była przekonana, że Freddy zna się na rzeczy nie gorzej od niej samej. To tylko Norine nie pojmuje subtelnych różnic. Wszedł lokaj. Szepnął coś do Norine.

- Och, dobrze. - Norine zerknęła w kierunku Priss. - Zróbcie coś. Proszę.

- Co powiedział? - Priss czuła, że to ma jakiś związek z nią. Służący czekał.

- Stephen się zesrał - obojętnie powiedziała Norine.

- Idę! - krzyknęła Priss do kamerdynera, podskakując i oblewając się szkarłatem, a następnie blednąc. - Strasznie mi przykro.

- Perkins może się tym zająć - wstrzymała koleżankę Norine, sadowiąc ją z powrotem na kanapie. - Albo piastunka Ichaboda. Wypierzcie mu majtki i dajcie mu pieluszkę - powiedziała do służącego.

Priss bardzo chętnie ustąpiła. Hańba jej syna i dziwnie brzmiący czasownik w czasie przeszłym, którego do tej pory nigdy nie używała w normalnej rozmowie nawet w czasie teraźniejszym (nie mówiąc o tym, że użyła tego czasownika kobieta, i to w obecności sługi), oszołomiły ją i przyprawiły o zawrót głowy. Czy to prawidłowa

forma? - zapytywała siebie zaciekawiona. Brzmi jak „zerwał się”, bardzo dziwacznie. Sama siebie się wstydzę, przerzucała w myśli inne formy tego czasownika.

- O czym to ja mówiłam? - podjęła Norine. - Aha, o Haraldzie. Więc szalałam za nim. Ale on miał kręćka na punkcie Kay. Nigdy nie mogłam tego pojąć.

Psychiatrzy w szpitalu mieli tylko jedno wyjaśnienie: istnienie „pewnej więzi”.

„Wzajemnej zależności”. Harald bez przerwy mówi o żywotności Kay. Uważał jej agresywność za przejaw Siły Życiowej, nigdy nie wyrósł z Bernarda Shawa. Myślisz, że ona jest bardziej żywotna ode mnie?

- Kay ma dużo energii - Priss wymigła się od odpowiedzi. - I bardzo wierzyła w Haralda. Na tym głównie opierał się ich związek, nie uważasz? Poza tym... nie chcę nic zarzucać Haraldowi, ale w tej rodzinie to przecież ona zarabiała na chleb.

- Harald mógł mieć kupę bogatych kobiet - wtrąciła Norine. - Ja sama szorowałabym podłogi, aby go utrzymać. Pracowałabym jako kelnerka czy fordanserka. To nie było żadne poświęcenie ze strony Kay dziurkować kartki z godzinami pracy u Macy'ego. Lubiła tę pracę. Podczas gdy ja byłam gotowa poświęcić wszystko. - Orzechowe oczy Norine zaszyły łzami.

- Nie mów tak - błagalnie powiedziała Priss poruszona tymi łzami tak głęboko, że omal sama nie zaczęła się zwierzać. Nie radziłyby nikomu się poświęcać po tym, jak potulnie zrezygnowała z pracy i ideałów społecznych ze względu na Sloana. Teraz było za późno, miała syna, wiedziała jednak na pewno, że popełniła błąd. Sloan czułby się o wiele szczęśliwszy, gdyby ona znajdowała się tam, gdzie pragnęła - w Waszyngtonie, jako skromny pionek Nowego Ładu, którego on nienawidzi - i mógłby się pysznić żoną „bolszewiczką”. Był z niej dumny, gdy pracowała w Administracji Uzdrawienia Gospodarki, miała wówczas inicjatywę, teraz straciła nawet i to.

- Tak - ciągnęła dalej z przekonaniem Norine - jeszcze teraz poświęciłabym wszystko. Całą mamonę Freddy'ego - rozejrzała się posepnie po swoich dobrach.

- Chyba nie wszystko - zdecydowanie wtrąciła Priss. - A Ichabod?

- Boże, całkiem o nim zapomniałam. - Norine zapaliła papierosa.

- Nie. Masz rację. Dałam losowi zakładnika. Jednego zakładnika, którego nie chcę stracić. Harald nigdy nie przyjąłby dziecka innego mężczyzny - zakaszlała ochryple. - I nie przepada za Narodem Wybranym. Dla niego Ichabod to Żydek.

Priss była zgorzozona słownictwem Norine, może będąc żoną Żyda ma się prawo tak mówić, tak jak Murzyni mają prawo mówić o sobie „czarnuchy”. Mimo to Priss była głęboko zażenowana. Odstawiła filiżankę. Norine paliła w milczeniu, najwyraźniej przygnębiona. Priss żałowała, że tu przyszła, zrozumiała, że Norine zaprosiła ją tylko po to, by mówić o Haraldzie. I jak zwykle gdy człowiek folguje swoim zachciankom, ona pewnie teraz żałuje tych wynurzeń. Wrażliwe sumienie Priss drgnęło, czuła, że nie powinna była przychodzić z synem do tego dziwnego domu. Sloan by ją zganił. Bóg wie, co oni tam dają dziecku w kuchni, na pewno coś, co mu zaszkodzi. I po południu pójdzie za późno spać.

- Czy mogłybyśmy - spytała uprzejmie - zajrzeć na dół, co się dzieje ze Stephenem? Nie jest przyzwyczajony do obcych ludzi.

Sumienie znów ją ugryzło za to, że pozwoliła tym obcym doprowadzić małego do porządku. Może mu jeszcze powiedzieli, że jest niegrzeczny, jak tyłu głupich służących, strofujących dzieci? Przed paroma minutami jeszcze niemal pragnęła, aby to zrobili. Norine szybko wstała.

- Oczywiście. Ale wpieryw mi coś powiedz. - Zakaszła ochryple jak palacz. Priss zachodziła w głowę, co to może być. Norine zajrzała jej głęboko w oczy. - Uważasz, że Ichabod jest podobny do Żyda?

Priss znów nie wiedziała, co powiedzieć. Dziecko było za małe, żeby uwydatnił się haczykowany nos, ciągle jeszcze miało oczy jak wszystkie niemowlęta - ciemnostalowoniebieskie - ciemny kolor skóry mógł być opalenizną. Jednakże dziecko jakoś się różniło od innych niemowląt. Było wyjątkowo długie, wyglądało przez to melancholijnie jak długa trzcina. Miało podkrążone oczka, malutkie rysy ściągnięte. Nie ulegało wątpliwości, że nosiło na sobie piętno szczególnego losu, jak się to zwykło mówić o Żydach.

Mały wydawał się jakiś wzruszający w swej nagości, jak gdyby nie był po prostu niemowlęciem, lecz małym dwunożnym okazem ludzkiego gatunku w ogrodzie zoologicznym. Ale to, że Ichabod nie był podobny do Stephena w tym samym wieku, nie dawało odpowiedzi na pytanie Norine, nawet gdyby Priss chciała takiej odpowiedzi udzielić. Nie była pewna, co Norine chciałaby usłyszeć.

- Nie jest podobny do ciebie - powiedziała Priss szczerze. - Może jest podobny do ojca.

Norine wzięła do ręki dużą, oprawną w ramki fotografię ciemnego, kędzierzawego, raczej przystojnego, cokolwiek otyłego mężczyzny. Ichabod nie był podobny do ojca. - Chyba jest podobny do siebie - orzekła.

Zeszły pochylnią na parter. W kuchni znajdowali się: owinięty pieluszką Stephen, lokaj, kucharka, trzy duże koty angory i koszyk z kociętami. Stephen zjadł już lunch, zostawił tylko na talerzu kawałek czekoladowego ciasta.

- Dziecko nie chce tego jeść, proszę pani - powiedziała kucharka do Norine. Wszyscy ze zdumieniem przyglądali się Stephenowi.

Priss przeprosiła służbę.

- Nie wie, co to jest - wyjaśniła. - Jadł tylko krakersy, grahamki w kształcie zwierzątek i ciasteczka ararutowe.

- Ciastecka - powiedział Stephen. - Zwieżątka kaka.

W drzwiach stanęła bardzo ładna młoda blondynka w cienkiej bluzce z głębokim dekoltem ukazującym jej biust, miała na sobie układaną spódniczkę w pastelowym kolorze i pantofelki na wysokich obcasach.

- Cześć, Cecilia - powiedziała Norine. - To piastunka Ichaboda - przedstawiała dziewczynę, która trzymała w ręku majteczki i żółty kombinezonik małego.

- Majtki są jeszcze wilgotne - powiedziała. - Ale wysuszyłam kombinezon żelazkiem. Mam go w to ubrać, Norine?

- Ja to zrobię - szybko wtrąciła Priss.

Gdy dziewczyna pochyliła się, by pomóc, dziecko wyciągnęło rączkę do jej piersi. Stephen nie spuszczał z niej oczu, gdy matka go ubierała.

- Cio to? - pokazał biust rączką.

Wszyscy prócz lokaja i Priss wybuchnęli śmiechem.

- Jest przedwcześnie rozwinięty - oświadczyła dziewczyna, przytulając malca do piersi, co dało mu okazję, której pragnął. Wsunął rączkę w dekolt dziewczyny.

- Uważaj - zachichotała Norine. - Cecilia jest dziewicą i papistką.

Priss odciągnęła rączkę syna. Rozejrzała się, czy nie ma czegoś, co mogłaby mu dać, gdyby się rozpląkał. Nie było nic prócz ciasta, wózek został na piętrze. Odłamała kawałek ciasta, podzieliła go na dwie części. Jedną włożyła sobie do ust.

- Patrz! To dobre - powiedziała, żując.

Mały niechętnie odwrócił oczy od bezwstydney piastunki i zaczął naśladować matkę. Po chwili łąpczywie zajadał babkę czekoladową z czekoladowym lukrem z żydowskiej cukierni.

ROZDZIAŁ 15

Po tym spotkaniu Priss zaczęła chodzić do innego miejsca w parku. Mijając czasem dom z czerwonymi drzwiami, przechodziła na drugą stronę ulicy i zobaczyła znów Norine dopiero na pogrzebie Kay. Od tamtego czasu minął ponad rok, potworny rok, wszystko się zmieniło. Wybuchła wojna. Lakey wróciła z Europy. Francja upadła, Luftwaffe bombardowała Anglię i zmarła Kay w dwudziestym dziewiątym roku życia. Był piękny lipcowy dzień, podobny do czerwcowego dnia ślubu Kay, wszyscy znów zebrali się w kościele św. Jerzego na Stuyvesant Square. Tym razem nabożeństwo odbywało się w głównej nawie, zgromadzeni ludzie nie zmieściliby się w kaplicy. Organy grały „Ponieważ wszelkie ciało jako trawa”* z *Requiem* Brahmsa, karawaniarze wnieśli Kay w bardzo prostej trumnie. Ustawili trumnę na ołtarzu i pokryli ją białymi kwiatami gipsówki i cyniami. Nabożeństwo odprawiał sam proboszcz tego kościoła.

* Piotr do Koryntian I, 24.

Przyjaciółki Kay wiedziały, że to by ją cieszyło. Stały na głowie, aby urządzić jej pogrzeb według obrządku episkopalnego. Załatwiła to w końcu pani Hartshorn, po rozmowie z proboszczem, doktorem Reilandem, starym przyjacielem rodziny.

Przypomniała mu, że Kay brała ślub w jego kościele, co powinno go upoważnić do odprawienia mszy żałobnej. Najpierw ciotka Polly, Julia, rozmawiała ze swoim

pastorem w kościele św. Bartłomieja, a Pokey telefonowała ze wsi do kościoła Św. Jakuba; Helena zdobyła poparcie przyjaciółki, zamężnej z synem proboszcza u św. Tomasza. Wszystkie były zdumione, do jakiego stopnia drobiazgowi potrafią być duchowni w sprawie pogrzebu osoby nie należącej do ich kongregacji.

Rodzice Kay nie zdążyliby przyjechać na pogrzeb, bo w tym upale nie można było czekać. W rozmowie międzymiastowej powiedzieli Helenie, żeby ciało ich córki zostało spalone, przyjadą po prochy, byli bardzo rozgoryczeni. Helena jednak miała absolutną pewność, że Kay za nic by tego nie chciała, zadzwoniła więc ponownie, żeby powiedzieć, iż przyjaciółki Kay pragnęłyby jej urządzić pogrzeb kościelny, jeśli rodzice wyrażą zgodę. Ojciec Kay zauważył, że przyjaciółki jego córki wiedzą zapewne najlepiej, czego by sobie życzyła. To również brzmiało bardzo gorzko. Lecz grupa była przekonana, że postępuje właściwie. Kay oddaliła się od rodziców; przyjeżdżając do domu, nie znajdowała z nimi wspólnego języka, bardzo zraniła rodziców swoim uporem, by wrócić po rozwodzie do Nowego Jorku, choć proponowali, aby została z nimi. Dali jej jednak pieniądze na drogę, co było ogromnie miłe z ich strony, a teraz zatelefonowali do zakładu pogrzebowego, upoważniając Helenę do zajęcia się pogrzebem. Jakże to smutne, mówił ojciec Kay, że nie znalazła chwili, aby napisać słówko do domu przez cały miesiąc przed swoim odejściem. Napisałaby, oczywiście, gdyby wiedziała.

Na studiach grupa prowadziła długie dyskusje o tym, jak chciałyby być pochowane. Pokey głosowała za krematorium bez żadnego nabożeństwa; Libby chciała, żeby jej prochy rozsiano w porcie nowojorskim. Lecz Kay, jak pozostałe dziewczęta, chciała być normalnie pochowana w ziemi i żeby pastor odmawiał modlitwy pogrzebowe nad jej grobem, bardzo lubiła werset: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot”* (będący właściwie werselem z nabożeństwa, a nie modlitwą nad grobem, recytowała to w roli Sidney Carton, którą grała w szkolnej dramatyzacji *Opowieści o dwu miastach* Dickensa).

* Jan, XI, 25.

Nienawidziła balsamowania, nie chciała być napompowana płynami. W Salt Lake City chodziła z chłopcem, którego ojciec miał zakład pogrzebowy, wyznała kiedyś Lakey zarumieniona ze wstydu, a chłopak pokazał jej wszystkie koszmarnie rekwizyty. Przyjaciółki Kay jednomyślnie uznały, że takie gwałtowne predylekcje były bardzo w jej stylu.

Po tylu latach - siedem od ukończenia studiów - dokładnie pamiętały, co lubiła i czym pogardzała. I nigdy nie wydorosłała ani nie zmądrzała.

Ułatwiło im to smutny obowiązek przygotowania jej do pogrzebu. Robiły taką rzecz po raz pierwszy w życiu. Jeśli traciły kogoś bliskiego, był to ktoś stary i one nie musiały się zajmować pogrzebem. Nie wiedziały, jak się obchodzić z ciałem. Lecz skoro Kay była rozwiedziona, a jej rodzice nie przyjechali, zajęły się same pogrzebem. Po pierwsze, musiały stoczyć straszliwą walkę z przedsiębiorcą pogrzebowym, który chciał zabalsamować ciało, kiedy policja oddała zwłoki, więc Helena musiała telefonować do adwokata, aby się upewnić, że ma prawo nie zgodzić się na to. Walka z utartymi zwyczajami była tak wyczerpująca, że w końcu gra zdawała się niewarta świeczki. Pomogły dziewczętom matka Priss, pokojówka cioci Julii, Ross, i pani Davison, która była akurat w klubie Vassar, gdy Kay wypadła na bruk z dziewiętnastego piętra. Na szczęście zawadziła, spadając, o występ muru i została na markizie, tak że nie roztrzaskała się na miazgę, tylko złamała sobie biedny kark. I na szczęście akurat w klubie była pani Davison, która przyjechała z Watch Hill na posiedzenie zarządu Unii Ludzi Mówiących po Angielsku, więc rozpoznała ciało i kazała Helenie zadzwonić do rodziców Kay.

Wystawili ciało w kawalerce Heleny za Zachodniej Jedenastej ulicy, miejsce to wydawało się najodpowiedniejsze, bo Helena była jeszcze niezamężna, a poza tym kiedyś mieszkała z Kay. Przedsiębiorca pogrzebowy zatuszował obrażenia na ciele Kay, ale dziewczęta nie pozwoliły mu umalować zmarłej, żeby „wyglądała naturalnie”, jak twierdził. Kay nigdy się nie malowała. Przejrzały jej garderobę w klubie Vassar, szukając odpowiedniej sukni - jej suknia ślubna nie wchodziła w rachubę, zresztą i tak już ją dawno wyrzuciła, nigdy nie lubiła tej sukni z białą fiszulką. Podnosząc suknie razem z wieszakami (wiele z nich wymagało zacerowania), nie mogły się na żadną zdecydować. Lakey posiadająca jasny umysł przecięła ich

wątpliwości. Kay wolałaby, naturalnie, być pochowana w nowej sukni. Dziewczęta nie wiedziały, jak się kupuje dla zmarłej, ale Lakey wzięła suknię Kay i poszła prosto do Fortuny'ego, gdzie kupiła długą jedwabną układaną szatę w szarobiałym kolorze - rodzaj stroju, w jakim księżna de Guermantes przyjmowała gości. Wtedy koleżanki przypomniały sobie, że Kay zawsze marzyła o sukni od Fortuny'ego, na którą nigdy w najśmielszych marzeniach nie mogłaby sobie pozwolić. Kay byłaby zachwycona suknią i tym, że kupiła ją Lakey. Włożyły jej na obnażone ramię złotą bransoletkę, nigdy nie posiadała innej biżuterii prócz obrączki, miała wstręt do tombakowych błyskotek. Helena poszła kupić dla zmarłej konwalie - zbierała je razem z Kay w lasach koło Pine Walk - ale konwalie już oczywiście przekwitły. Pani Davison wpadła na miły pomysł, żeby zamknąć oczy Kay dwiema srebrnymi monetami z czasów wczesnych chrześcijan, wysłała po nie córkę do kolekcjonera.

Kobiety miały mnóstwo roboty i bardzo mało czasu. Nie zdawały sobie sprawy, jak skomplikowany może być pogrzeb, zwłaszcza kogoś takiego jak Kay, zamieszkałego tylko czasowo w Nowym Jorku. Należało kupić kwaterę na cmentarzu. Pokey bardzo hojnie ofiarowała miejsce w kwaterze swojej rodziny, podobałoby się to Kay, że będzie leżała pomiędzy tymi wszystkimi Livingstonami i Schuylerami. Należało też zawiadomić wszystkich, którzy znali Kay. Posłać nekrolog do gazet. Wybrać razem z pastorem psalmy, ewangelię oraz modlitwy; zajęły się tym Helena z matką. Wybrać hymn do śpiewania w kościele. Tyle spraw czekało na ich decyzję. Jeśli idzie o kwiaty, postanowiły dać tylko kwiaty rosnące o tej porze roku, żadnych wieńców. Ale łatwo to było powiedzieć, kwiaciarnie namawiały na wieńce i traktowały człowieka jak sknerę, jeśli mówił nie, zupełnie jak przedsiębiorca pogrzebowy, kiedy nie godziły się na balsamowanie zwłok i upierały się przy prostej trumnie. Kay wolałaby zwykłą sosnową trumnę, ale to się okazało absolutnie nie do pomyślenia. Należało też zdecydować, czy trumna ma być otwarta, czy zamknięta w kościele. W końcu zdecydowały się na zamkniętą, a ci, co dobrze znali Kay i chcieliby ją zobaczyć, mogą przyjść do mieszkania Heleny przed zjawieniem się karawaniarzy. Helena podejmowała przybyłych kieliszkiem sherry i biszkoptami. I to wymagało decyzji: sherry czy madera, biszkopty czy kanapki. Koleżanki nie chciały nawet

myśleć w takiej chwili o zakąskach (kanapki czy sandwicze), ale starsze damy stanowczo orzekły, że Helena powinna wyprawić, by użyć słów pani Davison, stypę.

Te nieistotne szczegóły zajmowały im wszystkie myśli. Podobno takie codzienne sprawy odwracają uwagę od cierpienia. I tak też było. Robiąc to wszystko, zapominały o przyczynie tych zabiegów - śmierci Kay. Odczuwały ulgę, podejmując wreszcie jakąś decyzję lub gdy podejmował ją kto inny, jak wówczas gdy Lakey kupiła suknię, cieszyły się, dopóki sobie nie przypomniały, co się stało.

Ciekawe było obserwować, jak różnie ludzie zachowują się w obliczu śmierci. Człowiek nienawidził siebie za to, że dostrzega to w takiej chwili, ale nie mógł się powstrzymać od obserwacji. Na przykład pani Hartshorn i Ross cudownie dawały sobie radę z ubieraniem Kay, nawet w najgorszej chwili - wkładania na nią bielizny; przywieziono Kay gotową do pogrzebu (koleżanki przypuszczały, że to oznacza wypatroszoną), owiniętą w coś jak całun. Polly spokojnie pomagała ją ubierać, było to prawdopodobnie zrozumiałe, pracowała przecież dawniej w szpitalu. Ale reszta kobiet nie mogła nawet pozostać w pokoju i patrzeć na to. Gdy Ross przyszła z zapytaniem, czy mają włożyć pannie Kay stanik, koleżankom zrobiło się niedobrze. Sprawa była trudna. Wydawało się czymś nienaturalnym pochować kogoś w staniku (na szczęście Kay nigdy nie nosiła pasa), ale Ross zwróciła uwagę obecnym, że suknia od Fortuny'ego przylega do ciała. W końcu kazały pokojówce włożyć Kay stanik.

Stwierdziły rzecz ciekawą: pani Davison, która cudownie potrafiła dopilnować wszystkiego i nie bała się zmarłych, tak samo jak one wzdragała się przed dotknięciem zwłok. Została z dziewczętami, podtrzymując rozmowę, podczas gdy pani Hartshorn, Ross i Polly „robiły, co trzeba”.

- Zastanawiam się, Heleno - powiedziała pani Davison - dlaczego nie kazałaś jej ubrać w zakładzie pogrzebowym. Przecież płaci im się za to. „Od każdego według jego umiejętności.”

Teraz gdy zrozumiały, co to znaczy, dziewczęta również się dziwiły, że nie zrobiły tego, czuły jednak odrazę do przedsiębiorcy z jego lepkiem głosem i słoikami różu. A przecież przedsiębiorcy pogrzebowi są użytecznymi członkami społeczeństwa - do jakiego stopnia, pojęły dopiero teraz.

Mimo że Kay leżała w drugim pokoju (to też było trudne), dziewczęta były ubawione w skrytości ducha, patrząc na panią Davison, osobę komiczną, która, jak przypuszczały, dobrze o tym wiedziała. W szerokiej czarnej sukni z onyksową broszą rozprawiała salonowo o całunach i śmiertelnych prześcieradłach, od czasu do czasu wyciągając z zanadru jakiś cytat lub wypuszczając strzałę czarnego humoru.

- Gdyby tylko Kay mogła tu być - oznajmiła, kiwając głową - wyręczyłaby nas w tym wszystkim, żeby się tak wyrazić.

Tak długo jak jeszcze było coś do zrobienia, Libby nie pokazywała się. I nie wyraziła chęci partycypowania w kosztach poniesionych przez resztę koleżanek. Ubiegłego lata wyszła za mąż w Pittsfield za bardzo popularnego pisarza, autora powieści historycznych, którego lansowała jako agent literacki; tylko Polly była na ślubie, który odbył się w rodzinnym ogrodzie Libby z elżbietańską paradą przy dźwiękach muzyki Purcella, granej na starodawnych fletach w wieżyczce. W dniu pogrzebu zjawiała się zadyszana, żeby wypić kieliszek sherry i zagryźć biskopem, w czarnym toczku i z długim łańcuchem na szyi, który nazwała kasztelańskim. Uważała, że suknia od Fortuny'ego nie jest w kolorze Kay, i była bardzo ciekawa, ile za nią zapłacili. I jakby wyczuwając dezaprobatę koleżanek, pogorszyła jeszcze sprawę pytaniem:

- Powiedźcie - pochyliła się naprzód w fotelu i obejrzała biskopt - nie puszczyć pary z ust. Czy wyskoczyła, czy wypadła?

- Możesz powiedzieć wszystkim, Elizabeth - odezwała się pani Davison, dotykając mitygująco pulchną ręką ramienia Polly. - I mam nadzieję, że to zrobisz. Wypadła.

- Och, wiem, że tak orzekła policja.

- Ja mam głos, Heleno - wtrąciła pani Davison widząc, że Helena chce coś powiedzieć. - Przecież to ja ostatnia widziałam ją żywą. Niecałą godzinę przed jej śmiercią. Zaprosiłam ją na kawę do hallu po kolacji. Kay zawsze była moją faworytką. I jak powiedziałam policji, była w doskonałym humorze. Miała absolutnie jasny umysł. Mówiliśmy o Churchill, nalotach i konieczności obowiązkowej służby wojskowej u nas. Powiedziała mi, że ma iść na rozmowę w magazynie Saksa na Piątej

Alei. Nie zamierzała odbierać sobie życia. Gdyby nie „przebywała” raz w zakładzie dla umysłowo chorych, takie pytanie nigdy by nie powstało.

Młode kobiety skinęły głowami. Właśnie to było takie niesprawiedliwe w tej historii. Bo gdyby Kay nie została oczyszczona przez policję z zarzutu samobójstwa, nie mogłaby mieć chrześcijańskiego pogrzebu. Musiałaby spocząć w nie poświęconej ziemi.

- Możesz powiedzieć, Elizabeth - dodała pani Davison - że Kay jest pierwszą Amerykanką, która poległa w tej wojnie.

- Och, mamo! - krzyknęła Helena - to śmieszne tak mówić.

Ale w jakiś zabawny sposób była to prawda. Kay podobno wypatrywała samolotów na niebie przez okno pokoju w klubie Vassar, musiała stracić równowagę i wypaść. Wypiła dwa cocktaile przed kolacją, mogło to zakłócić jej reakcje ruchowe. Ci, którzy widywali ją po jej powrocie tej wiosny, byli wstrząśnięci, lecz nie całkiem zaskoczeni, słysząc, w jaki sposób zmarła. Bardzo się przejmowała wojną, jak wiele samotnych kobiet. Koleżanki mogły zaświadczyć, że dużo mówiła o nalotach, twierdząc, że trzeba być w pogotowiu. Od inwazji na Holandię powtarzała, że Ameryka może lada dzień znaleźć się w stanie wojny. Była przekonana, że wojna zacznie się nagłym atakiem nieprzyjaciela z powietrza, bo Hitler nie będzie czekał, aż Roosevelt się uzbroi i wypowie wojnę. Którejś nocy wysła Luftwaffe, żeby zmiotła Nowy Jork lub Waszyngton z powierzchni ziemi. Ona by tak postąpiła na miejscu Hitlera. Na tym polega *Blitzkrieg*. Zna oficera lotnictwa, który twierdzi, że narodowi socjaliści mają bombowce dalekiego zasięgu - tajna broń Hitlera - zdolne do takiego przelotu. I połączą zapewne atak z powietrza z atakiem łodzi podwodnych na wybrzeże.

Fakt, że Ameryka jest neutralna, nic nie znaczy. Norwegia, Dania i Holandia również były neutralne. Wbiła sobie do głowy, że burmistrz Nowego Jorku, La Guardia, powinien zarządzić ćwiczenia przeciwlotnicze i zaciemnienie. Chciała pracować jako opiekunka ludności podczas nalotów, mają taką służbę w Anglii, nalegała, żeby klub Vassar zaopatrzył się w wiadra, łopaty i piasek i stworzył cywilną formację obronną. Kupiła sobie radio, a ktoś podarował jej talię kart z sylwetkami

samolotów, oglądała je, aby się oswoić z różnymi kształtami maszyn. Gdy nie słuchała radia i nie klóciła się z izolacjonistami, wyglądała przez okno, obserwując niebo.

Nowe szaleństwo Kay bawiło jej przyjaciółki, kiedy ich nie zasmucało. Nawet Priss działająca w wielu komitetach domagających się przystąpienia Ameryki do wojny po stronie aliantów nie przypuszczała, że Hitler zaatakuje Amerykę. Pragnęła niemal, aby to zrobił, pobudziłoby to Amerykanów do czynu. Bała się, aby wojna nie skończyła się tego lata - jak długo jeszcze Anglicy wytrzymają sami? - bo w takim przypadku Europa będzie ujarzmiona, a Ameryka pozostanie obojętnym widzem. Albo też pośle zbyt małe posiłki i zbyt późno, jak to uczyniła w stosunku do Francji. Priss omal zmysłów nie postradała, gdy Francja padła, ona też siedziała przykuta do radia. Zmusiła Sloana do kupna przenośnego odbiornika, który mogli zabierać na plażę w Oyster Bay. Teraz co godzinę otwierała radio w mieście, spodziewając się usłyszeć, że Churchill skapitulował lub uciekł ze swoim rządem do Kanady. Strach przed taką ewentualnością zatruwał myśli wszystkich. Przez cały czas gdy przygotowywały się do pogrzebu, Helena miała otwarte radio na niskich rejestrach, bojąc się przepuścić jakąś wiadomość. Dziewczęta miały wrażenie, że do końca życia, myśląc o pogrzebie Kay, będą sobie przypominać głos spikera podającego dane o poległych w nocy. Tylko pani Davison nie traciła nadziei.

- Zapamiętajcie sobie moje słowa - oznajmiła. - Anglia nigdy się nie podda. Powtarzam mężowi, że to będzie druga hiszpańska Armada.

Jednakże czynna z natury Kay nie myślała już o Anglii, lecz o Ameryce i jej obronie. Przyjaciółki Kay ze smutkiem stwierdzały, że jej zainteresowanie „rozkładem jazdy Hitlera”, jak to określała, jest wyraźną rywalizacją z Haralodem, który stał się zagorzałym propagatorem sloganu: „Najpierw Ameryka”, i zdobywał rozgłos jako mówca na wiecach tego typu. Gdyby tylko Kay potrafiła zapomnieć o nim i nie brała udziału w kampanii zwalczającej tamten punkt widzenia. Jednakże zapał i gotowość wojenna dały jej cel w życiu. Co za okrutna ironia losu, że miały spowodować jej śmierć.

Pokojówka sprzątająca w pokoju Kay w klubie Vassar zeznała, że często widywała Kay patrzącą przez okno w niebo i ostrzegała ją, że może wypaść.

- Tak, Elizabeth - ciągnęła pani Davison - sama wypytywałam tę pokojówkę. I zmierzyłam okno. Dziewczyna wzrostu Kay łatwo mogła stracić równowagę i wypaść. Zwróciłam uwagę policji, że miała otwarte radio, a w popielniczce przy jej łóżku palił się papieros. Bardzo niebezpieczne przyzwyczajenie. Ale żadna młoda kobieta mająca zamiar odebrać sobie życie nie zrobiłaby tego w trakcie palenia papierosa. Musiała, paląc papierosa, usłyszeć samolot czy samoloty i wstała, aby wyrzucić przez okno. Zdaje mi się, że i ja słyszałam te samoloty, przeglądając pismo ilustrowane w hallu. Ale słysząc ten trzask, zapomniałam o wszystkim. Ciągle go słyszę. - Pani Davison wyjęła chusteczkę i wytarła oczy.

Zajmując miejsca w kościele, dziewczęta z grupy rozglądały się zdumione zapełniającym go już tłumem. A tu ciągle jeszcze przybywali nowi ludzie. Przyszła dawna przełożona Kay od Macy'ego i delegacja jej dawnych współpracowników. Pani Renfrew przyjechała z Gloucester, żeby reprezentować Dottie. Przyszedł pan Andrews z siostrą, sławetną ciocią Julią, i z Ross. Przyszła Libby z mężem. Była Lakey ze swoją utytułowaną przyjaciółką, która przyjechała z nią z Europy - baronową d'Estienne. Przyszła Pokey z mężem, a Polly i Helena ze zdumieniem dostrzegły przed sobą Hattona, kamerdynera Protherów.

- Dzień dobry, Hattonie - szepnęła Polly.

- Dzień dobry, *madame*, dzień dobry, panienko. Reprezentuję rodzinę. *Madame* przesyła kondolencje. I Forbes przesyła wyrazy współczucia.

Był to pogrzeb jak w wielkim świecie, Kay byłaby zadowolona. Connie Storey przeszła nawę i usiadła obok Putnama Blake'a i jego trzeciej żony.

- Imponujące zgromadzenie, matko - powiedział pan Davison z aprobatą. - Coś w rodzaju wotum zaufania.

Polly wypatrzyła Dicka Browna, dawnego przyjaciela Haralda, czas nie był dla niego łaskawy. Ridgeley wsunął się w ławkę obok Polly.

- Znasz tych wszystkich ludzi? - spytał żonę.

- Nie - szepnęła.

- Niech mnie diabli! - Ridgeley wskazał psychiatrę, który leczył Kay w szpitalu Payne'a Whitney. - Te panie wyglądają mi na dawne pacjentki tego szpitala - dodał, patrząc na trzymające się razem trzy kobiety.

Pani Davison skinęła głową sekretarce klubu Vassar. Priss poznała panią Sisson, obok której siedziała na weselu Kay. Przyszły też inne koleżanki uniwersyteckie Kay. Na ławce usiadł jakiś wojskowy ze skrzydełkami nad kieszonką munduru.

- Zdaje się, że Kay była z nim bardzo blisko - poinformowała pani Davison męża.

Helena szturchnęła Polly. Weszła Norine, cała w czerni i woalce, wyglądała na ciężarną, z ramienia do bioder zwisał jej jakiś temblak, w którym, kołysząc się przy każdym jej kroku, wisiało dziecko; jego gołe nóżki wystawały z tego szczególnego worka czy kieszeni jak z dziecięcego kombinezonu z krótkimi nogawkami.

- Dajcie mi soli trzeźwiących! - dość głośno wykrzyknęła Pokey.

- Co to? Kangur? - bez żenady skomentował pan Davison.

- Cicho, tatusiu! - pani Davison przywołała męża do porządku.

- To Ic-Ichabod - wyjaśniła Priss.

- Ale co, na Boga... - szepnęła Polly.

- To najnowszy wynalazek - wymamrotała Priss. - Czytałam o tych nosidłach w ulotce rządowej. Są przeznaczone dla matek, które nie mają z kim zostawić maleństwa, a muszą coś załatwić. Dziecko nabywa podobno p-pewności siebie, czując ciepło matczyne ciało.

Norine usiadła obok Dicka Browna. Przesunęła temblak, żeby móc posadzić sobie dziecko na kolanach.

- Dlaczego nosi go pani jak indiańskiego bachora? Jest pani indiańską squaw?

- Chcę, aby się zetknął ze śmiercią - kiwnęła głową Norine.

- Rozumiem - poważnie odparł Brown.

- W miarę wcześniej. Jak ze świnką.

Fala zdumienia, która poruszyła kościół na widok Ichaboda, opadała w miarę pojawiania się następnych żałobników. Polly zauważyła dawną służącą Kay, Klarę, właścicielkę zakładu pogrzebowego w Harlemlu. Weszła pani Flanagan, ukochana nauczycielka Kay, była dyrektorka Teatru Federalnego, ze swoją dawną asystentką.

- Nie przypuszczałam, że ta przyjdzie - wykrzyknęła Helena.

Ołtarz tonął w kwiatkach. Organy umilkły. Wszedł pastor. Stanął za trumną. Zebrani wstali.

- Jam jest zmartwychwstanie i żywot, rzekł Pan, kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyw będzie. A wszelki, który wierzy we mnie, nie umrze na wieki.*

Lakey poczuła spadającą jej z oka łzę. Zdziwiła się, że tak cierpi. Jedynym uczuciem, na jakie sobie pozwalała, było zażarte pragnienie, żeby ten pogrzeb wypadł bez zarzutu, stał się nieskazitelnym zwierciadłem tego, co Kay uważałaby za wzniosłe. Ona sama pragnęła, aby po jej śmierci ktoś obcy przywiązał jej kamień do szyi i wrzucił ją do morza. Nienawidziła udawanego żalu, wolałaby dać sobie wykłuć oczy, niż udawać żal. Z jej oka spadła druga nieduża łza. Zauważyła, że głowy się odwracają. Wściekła na tych ludzi, sama też szybko się obejrzała. Wszedł Harald w ciemnym ubraniu, usiadł w tylnej ławce. Jakże to w jego stylu, powiedziała sobie zimno, zmuszać nas wszystkich do odwracania się, żeby spojrzeć na niego. Polly i Helena również zerknęły. Obawiały się, że przyjdzie. Miał prawo tu być, naturalnie, miał prawo przykleknąć, gdy reszta żałobników stała, i ukryć w dłoniach podobną do trupiej czaszki głowę, jakby w modlitwie. Ale i one były wściekłe. W trakcie krótkiej pauzy poprzedzającej czytanie pierwszego psalmu nawet ci, którzy go nie znali, zwrócili na niego uwagę. Jak gdyby złowrogi cień padł na wszystkich. Gdyby zły duch mógł być obecny na pogrzebie jak zła wróżka na chrzcinach, powiedziała sobie Helena, byłby nim szybki Harald. Zacisnęła małe szczęki. Nie rozumiała, dlaczego jego kwaśna *mana*** ścina jej w żyłach „mleko ludzkiej dobroci”***. Nie mógł już skrzywdzić Kay. Dziwna myśl przyszła jej do głowy: Harald zabija „radość pogrzebu” Kay.

* Jan, XI, 25.

** *mana* - według wierzeń wyspiarzy polinezyjskich, zasada życia, bezosobowa moc, potęga, mogąca objawić się w ludziach, zwierzętach.

*** *Makbet*, V, 16.

Rzucając szybkie, niespokojne spojrzenie na zebranych, jak gdyby jego doświadczone oko dostrzegło w Haraldzie i Ichabodzie możliwe punkty zakłócenia spokoju, pastor rozpoczął pierwszy psalm:

- „Oznajmij mi, Panie, koniec mój i liczbę dni moich, która jest.”*

*Psalm 38, 5.

Rozległ się szelest, zaskrzypiały ławki. Jedni stali, inni usiedli, niektórzy uklękli, a niektórzy klęczeli pochyleni w ławkach. Polly postanowiła pójść w ślady Hattona, który usiadł. Pomyślała, że jest jednym z niewielu tu obecnych, którzy wiedzą, jak się zachować na pogrzebie. Myślała o ślubie Kay, o tym, jak młode i zabobonne były wtedy i jak mało się zmieniły. Znów poczuła obłądny strach, że jakaś przeszkoda wyłoni się w trakcie obrzędu i pastor zdecyduje, że jednak nie może pochować Kay. Lecz tamten ślub był jakiś szczególny, natomiast nie ma nic szczególnego w tym pogrzebie, a może? Szczególna jest tylko obecność Haralda. Nie powinien był przychodzić. Jego obecność sprawiała, że wszystko, co zrobiły - suknia Kay, stare rzymskie monety, muzyka i kwiaty, nawet sam obrzęd pogrzebowy - wydawało się niemądre i niedojrzałe. On jest Śmiercią, przybyłą na jej pogrzeb - powiedziała sobie.

Pastor rozpoczął następny psalm. Polly pochyliła głowę, starając się myśleć tylko o Kay. Miłość i litość, które wypełniły jej serce, gdy ubierała ciało, powróciły z gwałtowną siłą. Myślała o życiu Kay, nie było to właściwe życie, tylko rodzaj przywitania, jakieś: Hallo! Dziewczyna w trumnie została wreszcie bohaterką chwili. Reszta była niczym, próżnym, natrętnym cieniem.

- „Rano niech kwitnie i przeminie, w wieczór niech upadnie, stwardnieje i uschnie”** - zaintonował pastor.

** Psalm 89, 6.

Słowa te były właściwe nie tylko w związku z biednym, miażdżącym końcem Kay. Polly była przekonana, że Kay nie odebrała sobie życia, choć bardzo cierpiała w szpitalu, gdy lekarze przekonywali ją, że byłoby wskazane rozstanie z Haraldem. Omal nie dostała prawdziwego załamania nerwowego na myśl o tym, że będzie

„nikim”, a nie żoną geniusza. Lecz jeśli wyobrażała sobie, jak to czynią samobójcy, że wszyscy będą ją opłakiwać, byłaby w tej chwili zadowolona.

- Kocham cię, Kay - szepnęła skruszona Polly.

Gdy pastor zaczął *De Profundis*, Priss pomyślała, że Helena i pani Davison przesadziły, trzy psalmy to za dużo. Wybrały też najdłuższą Lekcję z Ewangelii: List św. Pawła do Koryntian, I, 15. Słowa były piękne, ale Priss była niespokojna z powodu Ichaboda. Wiedząc dokładnie, jakie są poglądy Norine na sanitarne zwyczaje dziecka, obawiała się, że małemu może się coś przytrafić. Pomimo wielkiej ilości kwiatów w kościele było bardzo duszno, może to tylko jej imaginacja, ale mogła przysiąc, że albo dziecku coś się przytrafiło, albo Kay... Na nic się nie zdało spoglądanie na Pokey, ta nie miała wężu. Zebrani zaczęli się wiercić, kiwali do siebie i szeptali, słysząc znane słowa Lekcji:

- „Głupi, co ty siejesz, nie bywa ożywione, jeśli pierwej nie obumrze.”

- *Si le grain ne meurt* - usłyszała Priss szept Lakey do towarzyski.

„...albowskiem zatrąbi trąba, a umarli powstaną nieskażonymi, a my będziemy przemienieni.”

- Haendel - przypomniała mężowi pani Davison. - *Mesjasz*. Priss zauważyła, że Polly spazmatycznie płacze, a Jim ściska jej dłoń.

Lakey również płakała, Priss pomyślała, że łzy ściekają po jej skamieniałej twarzy jak kryształowe krople, miała zaciśnięte zęby. Priss wolałaby, żeby w Lekcji nie powtarzało się słowo „skażeni”. „Gdzie jest, śmierci, oścień twój?”

- Nie wiedziałam, skąd to jest - rzekła Pokey, szturchając męża.

Priss pomyślała nagle o robakach w mogile. Wstrząsnął nią szloch. Gdy zaczęto śpiewać hymn, Helena zawstydziła się, był to ulubiony hymn jej matki: *On wiedz mnie*, numer 245. Ona chciała wybrać hymn Bacha z chorału w *Pasji: O święta głowo, w koronie ostrych cierni*. Ale matka orzekła, że ten drugi jest bardziej wzniosły, teraz brzmiał jak na zebraniu odrodzenia religijnego w namiocie. Pani Davison знаła słowa na pamięć i nie udawała nawet jak Helena, że zagląda do śpiewnika. Śpiewała fałszywie mocnym, sapiącym głosem, idąc w zawody z organami. Ostatnie słowa pani Davison zaśpiewała pełnym głosem: „I śmierci zimnej fali nie ulęknię się / Gdyż Bóg przez Jordanu wody wiedz mnie.” Helena sucho wyobraziwszy sobie Boga

podającego jej matce rękę, by ją przeprowadzić przez rzekę Jordan, obawiała się, że wszyscy w kościele mają przed oczami ten osobliwy obraz. A przecież matka Heleny była absolutną agnostyczką, jak większość tu zebranych. Nie wierzyła w życie poza grobem dla Kay, więc co tu było wzniosłego? Nic. Realizm Heleny nie pozwalał jej płakać. Kogo ma oplakiwać? Kay? Nie ma już żadnej Kay. Nie miała więc kogo oplakiwać.

Wszyscy uklękli do modlitwy. I nagle było po wszystkim. Ludzie wyszli z kościoła, rozproszyli się, karawaniarze weszli do kościoła po trumnę. Libby wyraziła zdziwienie, że przyjaciele Kay nie poniosą trumny, byłoby to o wiele bardziej uroczyste. Uważała też, że należało zostawić otwartą trumnę w kościele. Dostrzegła Connie Storey i pośpieszyła przywitać się z nią. Nie wybierała się na cmentarz, a Connie, również pracująca kobieta, będzie może chciała wziąć wspólnie taksówkę. Libby zamierzała tego wieczora, nim wyjdzie z mężem do jakiegoś lokalu, spisać swoje wrażenia z nabożeństwa. Było wruszające niemal ponad ludzkie siły.

Zamówiono samochody dla tych, którzy chcieliby pojechać na cmentarz i nie mieli własnych wozów. Stały przed kościołem za karawanem. Helena miała listę i sprawdzała nazwiska. Nikt nie pomyślał o Haraldzie. Mógł jechać z Norine, tylko że Norine nie wybierała się, dzięki Bogu; wszyscy zgodnie uznali za cud, że dzieciak nie zakłócił nabożeństwa, znużony kiwał się na kolanach matki. Harald stał na chodniku sam, uśmiechając się zagadkowo.

- Jim i ja możemy go zabrać naszym samochodem - zaofiarowała się Polly. - Ktoś z nas musi się odezwać do niego.

Helena nie była tak po chrześcijańsku miłosierna.

- Mama go weźmie. Nie ma „uprzedzeń”. Niech jedzie z nią - oświadczyła.

Lecz Harald podszedł do Lakey.

- Mogę zabrać się z panią? - usłyszała jego pytanie.

Szykowny sportowy europejski wóz Lakey w kolorze butelkowej zieleni stał przy krawężniku.

- Żałuję - odrzekła - nie mam dla pana miejsca.

- Wybacz, Elinor - odezwała się baronowa - wolałabym nie jechać na cmentarz.

- Dobrze. Niech pan wsiada - zwróciła się Lakey do Haralda. - Umie pan prowadzić?

Harald usiadł przy kierownicy. Gdy kondukt ruszył, ludzie zobaczyli, że dwuosobowy zielony wóz pomknął jak strzała, wyprzedzając karawan.

- O co się założysz, że on zacznie się do niej zalecać? - płaczliwie odezwała się Polly. Ona, Jim, Helena i pan Andrews jechali fordem Ridgeleya.

- Miejmy nadzieję, że to zrobi - łagodnie wtrącił pan Andrews. - Słyszałem, że baronowa ma kastety.

Powrót Lakey na „Rexie” był wielkim wydarzeniem dla grupy. Siódemka dziewcząt zebrała się na przystani pewnego kwietniowego poranka, żeby ją spotkać. Kay żyła jeszcze oczywiście, wróciła właśnie z Utah, Dottie zaś miała z tejże przystani wyjechać na wakacje na Bermudy. To Pokey wpadła na pomysł, żeby cała grupa poszła przywitać Lakey, nie uświadamiała sobie, że lata płyną, i nie dopuszczała myśli, że Lakey mogła się zmienić. Niektóre z dziewcząt były niespokojne, w momencie gdy spuszczano pomost. Obawiały się, że Lakey je przerosła. Na pewno uzna je za prowincjuszki, skoro sama obracała się w Europie wśród profesorów, historyków sztuki i kolekcjonerów. Odwrotne adresy na niektórych jej listach i pocztówkach świadczyły, że Lakey „poszerzyła horyzonty”, jak powiedziała Helena, bez przerwy bawiła u ważnych osobistości w willach, *pallazzi* i zamkach. Ostatni list, w którym pisała, że wraca do kraju, bo Włochy, jak sądziła, rychło przystąpią do wojny, został wysłany z siedziby Bernarda Berensona, sławnego krytyka sztuki, mieszkającego w Settignano. Stojąc na przystani, wyteżając wzrok, żeby ją dostrzec, gotowe zacząć machać rękami, bardziej wrażliwe z dziewcząt myślały o tym, że są ustatkowanymi matronami, przeważnie zameźnymi i dziecciatymi, Pokey miała już troje, Polly - córeczkę.

Gdy zobaczyły ją schodzącą z pomostu szybkim, zdecydowanym krokiem, w ciemnofioletowym kostiumie i kapeluszu, z zielonym skórzanym neseserem i zwiniętą zieloną jedwabną parasolką, były zaskoczone, jak młodo ciągle wygląda. Wszystkie obcięły sobie włosy i zrobiły trwałą ondulację, ale Lakey miała długie, zwinięte w kok włosy, co nadawało jej dziewczęcy wygląd, zachowała też cudowną figurę. Dostrzegła koleżanki, jej zielone oczy rozszerzyły się radośnie, pomachała im ręką. Po uściskach

(ucałowała każdą w oba policzki i odsunęła od siebie, by lepiej jej się przyjrzeć) przedstawiła niską, kręłą cudzoziemkę, która z nią przyjechała - dziewczęta myślały, że poznała tę osobę na statku.

Na nabrzeżu musiały długo czekać na bagaż Lakey. Miała dziesiątki walizek, trzydzieści dwa kufry-szafy, pięknie zapakowane paczki, przewiązane kolorowymi wstążkami, i niezliczone skrzynie z obrazami, książkami i porcelaną. Na deklaracji celnej napisała, że jest repatriantką, poprzednio zamieszkałą za granicą - znaczyło to zwolnienie od cła rzeczy osobistych i przedmiotów domowego użytku. Przywiozła masę prezentów, i jak to Lakey, zadeklarowała je, tkwiła więc długo przy celniku, pokazując mu listę upominków wypisaną jej dużym, czytelnym ukośnym pismem. Koleżanki nie mogły jej pomóc; gdy dostarczono cały bagaż, nie chciały oglądać zawartości kufrów i waliz, które celnik kazał otworzyć, lecz nawet Pokey oczy wyszły na wierzch na widok takiej ilości dziennej i nocnej bielizny, chusteczek do nosa, szlafroczków, pantofli, rękawiczek, wszystko w śnieżnobiałym bibułkowym papierze, nie mówiąc o sukniach, kapeluszach, szalikach, wełnianych i jedwabnych płaszczach, pięknie złożonych i również owiniętych bibułkowym papierem. Patrząc na tę imponującą garderobę - nie miała ani jednego futra, poinformowała później Libby - koleżanki myślały zakłopotane o regulaminach karmienia, mieszankach dla niemowląt, praniu i pieluszkach.

Nie mogły przecież tkwić całe przedpołudnie na przystani. Gdy niespokojnie tupiąc nogami (nie wolno było palić), czekały na koniec odprawy, stwierdziły, że baronowa, która już przeszła odprawę, również czeka. Wyglądało na to, że przyjechała z Lakey i nie jest zbyt życzliwie nastawiona do dziewcząt, które próbowały uprzejmie nawiązać z nią rozmowę o warunkach życia w Europie. Okazało się, że jest Niemką, która poślubiła francuskiego barona i po wybuchu wojny we wrześniu musiała opuścić Francję. Podobnie jak Lakey mieszkała kiedyś we Florencji, ale nie знаła cioci Libby z Fiesole. Co jakiś czas podchodziła do Lakey i coś do niej mówiła, dziewczęta dosłyszały, że powiedziała „najdroższa”, gardłowo wymawiając „r”. Kay pierwsza zrozumiała. Lakey stała się lesbijką. Ta kobieta to jej mężczyzna.

Powoli zrozumiała cała grupa. Dlatego właśnie Lakey tak długo siedziała za granicą. Tam ludzie bardziej tolerancyjnie odnoszą się do lesbijek i rodzina Lakey w

Lake Forest nie musiała wiedzieć. Przeżyły okropną chwilę. Każda zrozumiała, że jest *de trop*. Popelniły straszliwą gafę, przychodząc na spotkanie Lakey, którą chciały powitać z otwartymi ramionami, jak gdyby należała do nich, gdy ona należy wyłącznie do baronowej. Nie mogły nie domyślić się, że obie będą mieszkały razem w hotelu „Elysee”. Odpowiadając na obcesowe pytanie Kay, baronowa poinformowała, że Lakey pojedzie na krótko do rodziny do Chicago. Potem poszuka domu na wsi, niedaleko Nowego Jorku.

- Jakiegoś bardzo ustronnego domu - dodała.

Dziewczęta zrozumiały, w czym rzecz. Lakey chce być z baronową sama, bez sąsiadów i starych przyjaciół. Lub przynajmniej chce tego baronowa.

Przyjaciółki spojrzały na siebie. Miały zaplanowany dzień. Szofer rodziców Pokey czekał za przystanią, żeby zawieźć Lakey do hotelu i pomóc jej się zainstalować. Potem miały się spotkać wszystkie na wytwornym lunchu. Następnie każda chciała pierwsza pokazać Lakey swoje mieszkanie, męża, dziecko lub dzieci. Prócz Kay, która nie miała nic do pokazania i właśnie dlatego uważała, że ma największe prawo do Lakey. Teraz nie wiedziały, czy całkowicie zrezygnować z tych planów, czy też zaprosić baronową. Nie wiedziały, czy potraktować ten związek dyskretnie, czy otwarcie. Czego życzyłyby sobie Lakey? Chce, żeby sobie poszły? Może nie daruje im nigdy, że tak ją zaskoczyły na przystani. Grupa instynktownie spojrzała na Kay, powinna móc coś poradzić, mając doświadczenie teatralne. Ale Kay była w kropce. Na jej twarzy jasno rysowały się rozczarowanie, smutek i niepewność. Dziewczęta pomyślały, że Lakey, która zawsze budziła w nich strach i była wyniosła, teraz będzie nimi gardziła, ponieważ nie są lesbijkami. Ale z drugiej strony, wydawała się naprawdę rada, że je widzi.

Patrząc na nią rozmawiającą z celnikiem, zastanawiały się, od jak dawna jest lesbijką, czy to baronowa ją zdeprawowała, czy też była już taka przedtem. Może już na studiach - nieświadomie oczywiście. W świetle tego straszliwego odkrycia patrzyły badawczo na jej ubranie, szukając oznak tej skłonności. Miała na sobie kostium od Schiaparelliego, Kay bez żenady spytała o to, bo zgadła, że to Schiaparelli.

- Schiap robi całą garderobę Elinor - wyjaśniła baronowa, a dziewczęta spostrzegły, że ten familiarny skrót wielkiego domu mód w Paryżu po prostu zatkał Kay.

Lakey miała na sobie poza tym cieniusieńkie jedwabne pończochy, pantofelki z cielejcej skóry na wysokich obcasach i zieloną jedwabną bluzę z żabotem. Wydawała się nawet bardziej kobieca niż dawniej. Natomiast baronowa wyglądała na lesbijkę, choć nie była po męsku ostrzyżona i nie nosiła męskiego krawata - jej strój składał się z tweedowego kostiumu, bawełnianych pończoch i mokasynów na słupkach. Dziwne było pomyśleć, że baronowa miała kiedyś męża, a Lakey nie.

Po uporaniu się z celnikiem Lakey rozstrzygnęła dylemat koleżanek z największą swobodą. Chętnie zgodziła się na to, by szofer Pokey odwiózł ją i baronową do hotelu. Posłała baronową do Metropolitan Museum, każąc jej coś zjeść w kawiarni muzealnej, co da jej sposobność poznania Ameryki.

- Maria to niedźwiedz - oznajmiła ze śmiechem. - Warczy na obcych.

Sama zjadła lunch z koleżankami, a na wieczór zaprosiła te z nich, które mają czas, razem z mężami, na cocktail z nią samą i baronową w „Małpim Barze” w hotelu. Dziewczęta zorientowały się, jaki układ obowiązuje między Lakey i baronową. Baronowa bierze udział w spotkaniach, na których bywają też mężowie, w przeciwnym wypadku Lakey idzie bez niej.

Z chwilą gdy dziewczęta zrozumiały, co znaczy w ustach Lakey określenie „moja przyjaciółka” w stosunku do baronowej, ich skrepowanie znikło. W następnych tygodniach baronowa również się rozkrochmała. Nie tylko nie pomiała grupą za to, że dziewczęta nie są lesbijkami, ale wręcz uważała to za punkt na ich korzyść.

Odnosiła się tylko podejrzliwie do Kay, rozwódki mieszkającej samotnie w klubie Vassar. Koleżanki przekonały się ze zdumieniem, że zarówno Lakey, jak i baronowa są zaciekłymi antyfaszystkami. Nie przypuszczały, że Lakey może być tak ludzka, żeby podzielać sympatie polityczne szarych ludzi. Lecz ona pod wieloma względami była bardziej ludzka, niż pamiętały. Drugą niespodzianką dla nich było to, że lubi dzieci. Macierzyństwo, które zdaniem koleżanek powinno było budzić wzdrganie w Lakey, fascynowało ją. Przywiozła komplet haftowanych włoskich śliniaczków dla córeczki Polly, a ilekroć do niej przychodziła, wkładała małej śliniaczek i karmiła

dziecko, trzymając je na kolanach. Dla synka Priss przywiozła pryzmat i zestaw antycznych żołnierzyków, chętnie opowiadała mu bajki, malowała z nim razem palcami. Będąc podczas weekendu u Pokey w Princeton, bawiła się z bliźniakami w chowanego. Lubiła robić wycinanki, a także skaczące myszki z dużych lnianych chustek do nosa.

Obie z Marią były bardzo praktyczne. Znały się na kuchni i na szyciu, zajmowało je, na przykład, projektowanie nowego typu sukni dla ciężarnej Polly. Maria była fachową pielęgniarką, okazało się, że to rzecz powszechna wśród europejskich arystokracji, zwyczaj ten wywodził się z zamierzchłej przeszłości, gdy pani na zamku musiała leczyć chłopów i pielęgnować rannych w czasie wojny. Fakt, że żadna z dziewcząt prócz Polly nie potrafiła skroić sukni lub zrobić bandaża, gorszył baronową, jak gdyby były barbarzyнкami.

Rzecz zdumiewająca, nie minął miesiąc, a już niektóre koleżanki mówiły o „zaproszeniu Lakey i Marii na kolację”, jak gdyby szło o normalne stadło. Gdy zamieszkały w dużym domu za Greenwich, Polly z Jimem, Kay i Helena przyjeżdżały do nich w gości.

Mimo to cała grupa orzekła jednomyślnie, że to, co stało się z Lakey, jest tragedią. Unikały myśli o tym, co te kobiety robią w łóżku. Tylko Kay twierdziła, że spokojnie można sobie wyobrazić ich „uściski”. Lubiły Marię jako człowieka, żałowały tylko, że nie jest rusalką z rybim ogonem. To samo czuły w stosunku do Lakey, rzeczywiście podobnej do syreny z tymi dużymi zielonymi oczami i białą karnacją. Polly i Helena, które bardzo się do siebie zbliżyły, odkąd Helena zamieszkała w Nowym Jorku, starały się mówić o tej sprawie spokojnie. Nie mogły się jednak wyzbyć łagodnego poczucia, że związek tych kobiet jest perwersyjny. Oznaką tego była zazdrość baronowej. Była bardzo zazdrosna zarówno o mężczyzn, jak i o kobiety - właściwie o wszystkich obcych ludzi. Nosila przy sobie rewolwer podarowany jej przez męża i zmusila Lakey do kupna dwu złych podwórzowych brytanów. Wyszła też na jaw sprawa kastetów, o których jakoś dowiedział się pan Andrews. Koleżanki z łatwością mogły sobie wyobrazić Marię posługującą się nimi wobec każdego mężczyzny, który chciałby ratować Lakey. Słowo ratować wiele mówiło. Z jednej strony, Lakey i Maria tworzyły jakby szczęśliwe stadło, niczym

Polly i Jim, z drugiej, Lakey była cudowną branką, którą sroga kobieta-bandyta więzi w Straszliwym Zamku, i biada rycerzowi, który przybyłby, żeby ją wyzwolić z zaklęcia. Lecz można było spojrzeć na rzecz inaczej. Może to Lakey, nieprzenikniona, inteligentna Lakey, ujarzmiła i zniewoliła biedną, niezbyt inteligentną Marię? Otóż fakt, że można było odwrócić ten związek, jak się odwraca klepsydrę z piaskiem, wprawiał dziewczęta w zakłopotanie. Tak samo czuły się zakłopotane, myśląc o tym, która z tej pary jest mężczyzną, a która kobietą. Zdawało się, że Maria w pizamie i szlafroku kąpielowym jest mężczyzną, Lakey zaś, w jedwabnych, zdobionych koronkami szlafroczkach i batystowych z koronkami koszulkach nocnych, z rozpuszczonymi włosami, jest kobietą - jednakże to mogły być pozory, kostiumy maskaradowe. Polly i Helena z przykrością myślały, że to, co widzą, jest pozorem, poza i pod którym kryje się coś, czego by nie pochwały.

Harald i Lakey jechali bardzo szybko przez most Queensborough. On miał ochotę wstąpić do jakiegoś baru przed cmentarzem, na co Lakey się zgodziła.

- Kto urządził tę komedię? - spytał, odwracając głowę, by spojrzeć na profil Lakey.

- Mówi pan o pogrzebie? A co pan by zrobił? - Harald nie odpowiedział. - Ciało należy pochować. Albo spalić w krematorium. Nie można po prostu wsadzić zwłok do pieca na śmieci lub wyrzucić na śmietnik.

- Kiedy istnieją trudności z pozbyciem się ciała - powiedział po namyśle - zachodzi podejrzenie przestępstwa. Odniosłem wrażenie w trakcie nabożeństwa, że jej śmierć przypisują mnie.

Lakey dotknęła koka na karku.

- Odebrała sobie oczywiście życie - dodał.

- Dlaczego? - spokojnie spytała Lakey.

- Z czystego współzawodnictwa. Od lat, odkąd ją poznałem, usiłowałem się zabić.

Lakey spojrzała na niego badawczo, miał ściągnięte rysy.

- Postanowiła mi pokazać, jak to się robi. Że ona potrafi zrobić to lepiej. Za jednym zamachem. - Czekał na reakcję Lakey. - Nie wierzy mi pani, nieprzenikniony idolu. I słusznie, nigdy nie chciałem zabić się naprawdę. Zawsze tylko udawałem.

Udawanie samobójstwa jest specjalnością Petersenów. A jednak chcę umrzeć naprawdę, przysięgam pani. Gdybyśmy mogli po prostu mieć wypadek. - Ostro skierował samochód w prawo.

- Niech pan przestanie! - nakazała Lakey. Harald wjechał z powrotem na właściwy pas.

- A ona - podjął - ona miała odwagę odebrać sobie życie i zainscenizować śmierć przez wypadek.

- O czym pan mówi?

- O wyglądaniu przez okna na samoloty. Karty z sylwetkami maszyn.

Wychylanie się z okna w obecności pokojówki ostrzegającej ją, że może wypaść. Nieudolne stwarzanie pozorów. Prymitywne alibi. Żebyśmy uwierzyli, że straciła równowagę.

- Skąd pan zna te wszystkie szczegóły?

- Od mamy Davison. Mieliśmy miłą pogawędkę przez telefon.

- Ale dlaczego Kay miałyby nas oszukiwać?

- Chyba ze względu na rodziców - wzruszył ramionami Harald. - Żeby nie martwić tego swojego dziecinniałego tatuśka, o którym ciągle mówiła. A może wstydziła się przyznać tak otwarcie, że jej życie było fiaskiem. „Wszyscy by się dowiedzieli”.

Lakey w milczeniu patrzyła na tego mężczyznę, którego nigdy nie lubiła. Chciała tylko jednego: dojechać bezpiecznie na cmentarz, nie zginąć z nim razem w samochodzie, gdy wykona dramatyczny gest, aby udowodnić, że ma odwagę popełnić samobójstwo. Był dobrym kierowcą, pozwoliła mu prowadzić wóz, żeby to sprawdzić. Coś w nim intrygowało ją, chciała zaspokoić ciekawość, czuła, że i ona intryguje jego.

- Madonna z Palarni - odezwał się. - Zabawne, ale nigdy nie uważałem pani za safonistkę. A przecież mam dobre oko. Kiedy pani zaczęła? Czy też zawsze była pani taka?

- Zawsze. - Nieostrożne pytanie Haralda nasunęło jej pewien pomysł.

- „Grupa” - powiedział - musiała dostać histerii, gdy pani puściła w końcu farbę. Boże drogi, jak ja miałem dość „grupy”, zanim skończyłem z nimi wszystkimi.

- Są kochane.

- Powiedziała pani, że są kochane? - spytał, odwracając głowę i unosząc jedną brew.

- Tak. Wszystkie prócz jednej. Libby jest *mauvaise fille*.

- Kobięcy gust.

- Moja przyjaciółka, baronowa d'Estienne - uśmiechnęła się Lakey - jest nimi oczarowana. Kocha Amerykanki.

- Rany boskie! - krzyknął Harald.

- Tak - potwierdziła Lakey. - Mówi, że Amerykanki stanowią czwartą pięć.

- „Zawsze”, powiada pani? - Harald znów zerknął na Lakey. - To znaczy, że i na studiach. - Zmrużył oczy. - Przypuszczam, że była pani zakochana w „grupie”. We wszystkich siedmiu z wyjątkiem pani samej. We wszystkich razem i w każdej z osobna. To wyjaśnia sprawę. Nigdy nie mogłem pojąć, co pani, dziewczyna z intelektem, robi w tej *galere*. - Pokiwał głową. - Więc była pani w nich zakochana. Przyznaję, że ślicznie wyglądały jako dojrzałe do małżeństwa. I miała pani w tej waszej wieży prawdziwe *seraglio*. Kay mówiła, że pani bywała zimna i gorąca na przemian, kochała je i rzucała, a one nigdy nie wiedziały, dlaczego. Były zafascynowane. - Mówiąc, naśladował głosy dziewcząt.

- To prawda - uśmiechnęła się Lakey - miałam swoje ulubienice.

Harald zatrzymał wóz przed barem. Weszli, zamówił podwójną whisky dla siebie i pojedynczą dla Lakey. Usiedli w boksie.

- Pięć minut - powiedziała Lakey.

- Niech się pani nie martwi. Zobaczymy przejeżdżający kondukt - wypił duszkiem połowę whisky. - Które były pani ulubienicami? Nie, niech pani nie mówi. Zgadnę. Dottie. Pokey. Kay. Helena.

- Helena nie. Lubię ją teraz, ale nie podobała mi się na studiach. Wyglądała jak nieładny chłopczyk.

- A Polly?

- Byłam snobką, a Polly miała stypendium i musiała sama sobie dawać radę. Zdawało mi się, że brzydnie. - Zmarszczyła delikatne ciemne brwi. - Byłam taka smarkata. Nie lubię o tym myśleć. Dziewczyny potrafią być okrutne.

- Kochała się pani w Kay? - Harald wypił resztę whisky.

- Była prześliczna. - Lakey wsparła brodę na dłoniach. - Na drugim roku. Pan nie znał jej jeszcze. Byliśmy w Łańcuchu Stokrotek. Była jak kwiat polny. Rodzaj wiejskiej urody, którą szczególnie lubię. Bardzo malarska. Kto mógłby ją malować? Caravaggio? Niektórzy z Hiszpanów. Każdy, kto malował Cyganki. Lub góralki. Miała piękną szyję, jak łodyga kwiatu. I takie mocne plecy oraz cienką talię.

Harald zamówił drugą whisky, twarz mu pociemniała.

- Była gruboskórna - powiedział. - Bawiło mnie zadawanie jej bólu. Żeby ją zmusić do jakiejś reakcji. Po zranieniu jej byłem dla niej tkliwy. Ale rujnowała to, starając się wymusić na mnie ustępstwa. Była dosłowna, chciała, abym wyraził skruchę słowami. Nie wiem, nigdy nie kochałem kobiety. Kochałem niektórych mężczyzn, wielkich reżyserów, przywódców politycznych. Jako dzieciak kochałem ojca. Ale kiedy się żyje z kobietą, to jakby się żyło z echem, głośnym echem w wypadku Kay. Jej głos działał mi na nerwy, powtarzał bezmyślnie to, co usłyszał. Głównie ode mnie, przyznaję. - Roześmiał się. - Czułem się jak samotny kapitan z papugą. Ale miała przynajmniej jakąś prawość w sobie. Fizycznie była normalna. Była dziewczicą, gdy ją posiadałem, i nigdy nikogo innego nie pożądała. Lub poglądów kogo innego. - Jego głos stał się ochrypliwy. - To było coś. Chronicznie niewierny mąż musi mieć wierną żonę, w przeciwnym wypadku to żadne małżeństwo. A Kay nigdy się nie dowiedziała, że ją zdradzałem. Mogę się tym szczycić. Czasem coś podejrzewała, ale kłamałem. Wiernie. - Znow się roześmiał. - W końcu jednak jej zazdrość wszystko zniszczyła. To było nierozsądne.

- Jak to?

- Nigdy jej nie dałem powodu do zazdrości. Chroniłem ją. Ile razy spałem z kobietą, starałem się, aby ona nigdy się nie dowiedziała. Oznaczało to, że nigdy nie mogłem całkiem z nimi zerwać. Nawet gdy miałem ich po dziurki w nosie. Jak z tą dziwką Norine, widziała ją pani w kościele. Prawdziwa szantażystka. Miała mnie w ręku, bo kiedyś, nie mając nic lepszego do roboty, zabawiłem się z nią w zwierzę o dwu grzbietach. Potem latami musiałem podsycać w niej nadzieję, żeby przypadkiem nie nabrała ochoty opowiedzieć o tym Kay. Była to męcząca robota. A Kay odpłacała mi historycznymi oskarżeniami. Boże, widywałem się z Norine tylko po to, aby oszczędzić Kay.

Lakey spojrzała mu prosto w oczy z pogardą i niedowierzaniem.

- Boże, niech pani nie będzie taka konwencjonalna. Nie tego się po pani spodziewam. My się rozumiemy. Mógłbym cię kochać, gdybyś nie kochała kobiet. Może ty byś mnie uratowała, a może ja uratowałbym ciebie. Ty nie potrafisz kochać mężczyzn, a ja nie potrafię kochać kobiet. Więc może kochalibyśmy się wzajemnie, kto wie? Jesteśmy dwiema wyższymi istotami w tłumie głupców i statystów teatralnych. Nareszcie spotykamy się na ubitej ziemi. Skrzyżujemy szpady na jej mogile, chcesz?

W tym momencie zauważyli przez okno przejeżdżający kondukt. Harald wypił jeszcze na chybcika kieliszek przy barze. Wrócili do samochodu. Teraz prowadziła Lakey. Słuchając nieopanowanej gadaniny Harald, czuła obrzydzenie, doszła do wniosku, że jest do głębi zakłamanym. Wstydziała się, że mógł ją intrygować. Ciekawość stwarza możliwość zarażenia się od intrygującej osoby. Nie poniechała jednak zamiaru, żeby z niego zakpić, zemścić się za Kay, za inne kobiety, a nade wszystko za bezczelność, z jaką się jej samej narzucił. Nie czuła litości dla niego. Wprowadziła samochód na szosę za szeregiem żałobnych wozów i czekała na jego pytanie.

- Stać ponad innymi - odezwał się - to oczywiście nie tylko podstawa do tragedii, to jest tragedia. Tragedia Hamleta. Jesteśmy zmuszeni do zniżania się, obcując z bałwanami, daje nam to czasem poczucie pustki, jak gdybyśmy to my byli puści, a nie oni. Czy Hamlet mógł kochać córkę Poloniusza? Czy ty lub ja mogliśmy kochać Kay? Było oczywiście jej ciało. - Ruchem głowy wskazał karawan. - I pomyśleć, że znałem to ciało! - Rzucił szybkie ukośne spojrzenie na Lakey. - Zakładam, że twoja miłość do niej była czysto platoniczna. - Lakey patrzyła przed siebie. - A jednak trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę jej umysł. Musiałaś jej pożądać, prawda? Odepchnęła cię? Czy dlatego „puściłaś ją kantem“?

- Znudzila mi się - szczerze powiedziała Lakey. - Ludzie bardzo szybko mi się nudzili.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Nie mam zamiaru odpowiadać. Jest pan impertynencki.

- Spalaś z nią? - gwałtownie krzyknął Harald. Lakey zagadkowo się uśmiechnęła.

- Trzeba było spytać o to Kay. Powiedziałaaby panu. Była bardzo uczciwa pod koniec życia. Prawdziwa Amerykanka, zdaniem Marii.

- Jesteś nikczemna. Zepsuta do szpiku kości. Złośliwa. Zdeprawowałaś całą grupę? Co za śliczny obrazek.

Lakey była zadowolona, zmusiła w końcu tego ohydneho typu do szczerości, jego nienawiść do tego, co „odchyła się od normy”, była do przewidzenia.

- Co za parszywa lesbijska sztuczka! - rzucił. - Nie walczyć otwarcie, lecz zatruć broń.

Lakey nie wytknęła mu, że to on sam zatruł broń. Miała czyste sumienie. Zawarła sama z sobą umowę, że będzie mówiła absolutną prawdę i nie będzie niczego insynuowała.

Co więcej, z jej punktu widzenia, którego on nie brał pod uwagę, bierna, normalna Kay nie zgrzeszyłaby, wpadając w sidła Lakey zamiast w jego sidła. Znacznie lepiej wyszłaby na tym, bo Lakey wierzyła, że byłaby dobra dla Kay.

- Jesteś tchórzem - mówił Harald - obrzucasz błotem martwą dziewczynę. Nic dziwnego, że ukrywałaś się za granicą przez tyle lat. Powinnaś była zostać w Europie, gdzie światła już gasną. Tam twoje miejsce, jesteś trupem. Nigdy nie wysilałaś umysłu, żeby zdobyć coś więcej niż bezpłodną wiedzę. Jesteś pasożytem muzealnym. Nie masz w sobie nic amerykańskiego. Wypuść mnie!

- Chce pan wysiąść?

- Tak. Ty ją pochowaj. Ty i wasza „grupa”.

Lakey zatrzymała samochód. Harald wysiadł. Ruszyła za konduktem pogrzebowym, obserwując go przez wsteczne lustro - widziała, jak przechodzi na drugą stronę szosy i podnosi rękę, żeby się zabrać którymś z samochodów, jakie mijają go, pełne żałobników wracających z cmentarza do Nowego Jorku.

